

JILL MANSELL

**GOTOWE
NA MIŁOŚĆ**

Rozdział 1

- Przy tobie czuję się jaaaak - zawodziła na całe gardło z nutką żalości w głosie Lottie Carlyle - jaaaak prawdziwa kobieta.

Leżała na plecach z uszami pod wodą, zachwycając się niezwykłą barwą swojego głosu. W takiej pozycji efekt był dużo lepszy niż na suchym lądzie. Oczywiście nie tak fantastyczny jak w przypadku Joss Stone albo Barbry Streisand - w końcu mówią, że i w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu - ale i nie aż tak odstrasający, aby małe dzieci wybuchwały płaczem albo chowały się pod stołem na sam widok ust ułożonych do śpiewu. A tak właśnie bywało w prawdziwym życiu.

Właśnie dlatego teraz bawiła się tak dobrze w jeziorze w Hestacombe. Był upiornie gorący sierpniowy dzień, wolne popołudnie, a ona dryfowała na plecach w wodzie, wpatrując się w bezchmurne, błękitne niebo.

No, prawie bezchmurne. Kiedy jest się matką dwójki dzieci i jest czwarta po południu, horyzont niezmiennie przesłania ta sama ciężka chmura: co ugotować na obiad?

Najlepiej coś szybkiego, co jednocześnie będzie wyglądało na zdrowy posiłek, będzie zawierało witaminy, a Nat i Ruby łaskawie zechcą to zjeść.

Hm.

Może spaghetti?

Ale siedmioletni Nat jada jedynie spaghetti z oliwkami i miętowym sosem, a o ile Lottie pamięta, w lodówce oliwek już nie ma.

Może risotto z grzybami i bekonem? Ale Ruby wydbufie grzyby, marudząc, że są śliskie jak ślimaki i stanowczo odmówi zjedzenia bekonu, bo to przecież, brr, nieżywa świnia.

Warzywa po chińsku? Teraz naprawdę puściła wodze fantazji. W swoim dziewięcioletnim życiu Ruby nigdy świadomie nie przeknęła jarzyny. Pierwsze słowa większości dzieci to

„mama” albo „tata”. Pierwsze słowo Ruby, wypowiedziane na widok różyczki brokuła, brzmiało: „fuj”.

Lottie westchnęła i zamknęła oczy. Chłodna woda jeziora głaskała jej skronie. Leniwie strzepnęła owada, który wylądował na jej dłoni. Gotowanie dla tak niewdzięcznej rodziny to ciężki krzyż. Może jeśli pozostanie w jeziorze dość długo, ktoś w końcu zadzwoni na pogotowie opiekuńcze i pojawi się groźny przedstawiciel opieki społecznej rodem z powieści Dickensa. Ruby i Nat zostaną przygarnięci przez jakiś dom dziecka i zmuszeni do jedzenia krwistej wątróbki albo zimnej zupy z brukwi. Po paru tygodniach takiej kuracji być może docenią beznadziejne wysiłki matki zmuszonej do nieustannego komponowania menu dla swoich wybrednych dzieci.

Freddie Masterson stał w oknie salonu Hestacombe House i doświadczał przyjemnej poprawy nastroju na widok roztaczającej się przed nim panoramy. Według niego był to najpiękniejszy widok w całym regionie Cotswolds. Po drugiej stronie doliny wznosiły się wzgórza nakrapiane kolorowymi plamami drzew, domów, owiec i bydła. Poniżej przystrojone trzcina jezioro błyszczało w popołudniowym słońcu. Jeszcze bliżej wzrok przyciągał jego własny ogród pełen kwitnących kwiatów i krzewów fuksji poruszających się lekko za sprawą pszczoł chciwie przeskakujących z jednego kwiatka na drugi. Dwa dzięcioły, energicznie rozdziobujące trawę w poszukiwaniu robaków, popatrzyły z ukosa i odfrunęły niechętnie na widok zbliżającego się w ich stronę wąską ścieżką człowieka.

To mógł być decydujący moment. Obserwując Tylera Kleina, wędrującego w kierunku letniej altany i przystającego, aby podziwiać krajobraz, Freddie wiedział, że Amerykanin jest pod wrażeniem. Spotkanie poszło dobrze - Tyler był bez wątpienia bystrym człowiekiem i od samego początku dobrze się rozumieli. Miał pieniądze, które mógł tu zainwestować. I wydawało się, że jak na razie podoba mu się to, co zobaczył.

Jakże mogło być inaczej?

Tyler Klein skierował się w stronę bocznej furtki, która wychodziła na drogę. Z granatową marynarką przewieszoną swobodnie przez ramię i rozpiętą pod szyją koszulą poruszał się lekko, bardziej jak sportowiec niż jak biznesmen. Fryzura Clarke'a Gable, pomyślał Freddie. Włosy gładko szesane do tyłu za wyjątkiem niesforenego ciemnego kosmyka opadającego na oczy. Albo jak u Errola Flynna. Jego ukochana żona Mary zawsze miała słabość do Ciarke'a Gable i Errola Flynna. Freddie z żalem pogładził się po swojej łysawej głowie. I pomyśleć, że biedaczka wybrała właśnie jego.

Dostrzegając kątem oka turkusowy błysk, pomyślał, że to zimorodek, mknący nad taflą jeziora. Uśmiechnął się, bo gdy przyjrzał się dokładniej, zobaczył Lottie przewracającą się w wodzie leniwie z boku na bok w nowym turkusowym bikini. Wyglądała jak morświn wygrzewający się w słońcu. Gdyby jej powiedział, że pomylił ją z zimorodkiem, rzekłaby przekornie: „Freddie, czas przebadać wzrok”.

Nie powiedział jej, że już przebadał.

Resztę również.

Dróżka, która biegła wzdłuż ogrodu Hestacombe House, była wąska i porośnięta z obu stron makami, krzaczkami trybuli i jagód. Tyler Klein wydedukował, że skręcając w lewo, wróci do wioski Hestacombe. Dróżka w prawo wiodła w dół do jeziora. Tyler poszedł w prawo i usłyszał odgłos biegnących stóp i chichoty. Za pierwszym zakrętem, dwadzieścia lub trzydzieści jardów przed sobą, zobaczył dwoje dzieci ubranych w szorty, podkoszulki i czapki z daszkiem, i wspinających się przez przejście w płocie. Maluch z przodu niósł zrolowany ręcznik w biało- żółte pasy, a jego towarzysz dźwigał zwinięte bezładnie ubrania. Zapewne wracały do domu po kąpieli w jeziorze. Spoglądając w górę ścieżki i widząc Tylera, dzieci raz jeszcze zachichotały i zeskoczyły z prowizorycznego przełazu na pole za płotem. Zanim doszedł do przejścia, zniknęły z pola widzenia. Pewnie pobiegły do wsi jakimś skrótem.

Ścieżka prowadziła do piaszczystej polany, która schodziła w dół ku małej plaży. Freddie Masterson założył ją kilka lat wcześniej, głównie z myślą o wczasowiczach odwiedzających jego domki nad jeziorem, ale również, czego Tyler był przed chwilą świadkiem, ku uciesze mieszkańców Hestacombe. Zastaniając oczy przed blaskiem popołudniowego słońca odbijającego się od jeziora, Tyler spostrzegł w wodzie młodą kobietę w jaskrawym turkusowym bikini, dryfującą leniwie na plecach. Skądś dobiegał go dziwny, trudny do zidentyfikowania odgłos zawodzenia. Nagle hałas - a może to był śpiew? - ustał. Tyler zobaczył, jak chwilę później dziewczyna obróciła się na brzuch i zaczęła wolno płynąć z powrotem do brzegu.

Wyglądało to zupełnie jak scena z *Doktora No*, w której Sean Connery obserwuje Ursulę Andress wyłaniającą się jak bogini z tropikalnego morza. Z tą różnicą, że on nie chował się w krzakach i miał swoje własne włosy. A ta dziewczyna nie miała przypasanego do uda noża.

Nie była nawet blondynką. Jej długie ciemne włosy spływały na ramiona kaskadą wijących się loków, ciało było zgrabne i mocno opalone. Mile zaskoczony, jako że takie spotkanie było ostatnią rzeczą, jakiej się spodziewał, Tyler skinął przyjacielsko głową i, gdy ona wykręcała swoje ociekające wodą włosy, zapytał:

- Dobrze się pływało?

Dziewczyna popatrzyła na niego spokojnie, a potem rozejrzała po maleńkiej plaży.

- Gdzie są moje listki figowe? - powiedziała w końcu.

Listki figowe? Liście? Zaskoczony Tyler również rozejrzał się po plaży, mimo że nie miał pojęcia, czego szukać. Przez głowę przemknęła mu myśl, że być może umówiła się tutaj z dealerem narkotyków. Ludzie nie używali przecież precyzyjnych określeń w takich okolicznościach.

- Jakie „listki figowe”?

- To, co zazwyczaj zdejmuję się z siebie, kiedy idzie się pływać. Ubrania. Albo ręcznik. Albo kolczyki z brylantami...

- Gdzie je pani położyła? - spytał Tyler.

- Dokładnie tu, gdzie pan stoi. O, tu - powtórzyła, wskazując na jego wypolerowane czarne buty. - To jakiś dowcip? - Popatrzyła na niego zwięzonymi oczyma.

- Pewnie tak. Ale ja się do niego nie przyznaję. - Obracając się lekko, Tyler wskazał na ścieżkę za swoimi plecami. - Właśnie minąłem parę dzieciaków, które niosły jakieś „listki figowe”.

Dziewczyna oparła ręce na biodrach i patrzyła na niego z rosnącym niedowierzaniem.

- I nie przyszło panu do głowy, żeby je zatrzymać?

- Sądziłem, że „listki” należały do nich. - Tyler czuł się niezręcznie. Nigdy wcześniej nie użył wyrażenia „listki figowe” tyle razy w jednej rozmowie. - Po prostu pomyślałem, że też kąpali się w jeziorze.

- I pomyślał pan, że różowa sukienka z gołymi plecami w rozmiarze 38 i srebrne sandały w tym samym rozmiarze pasują do nich, jak ulał? - W jej głosie słychać było ten jakże brytyjski rodzaj sarkazmu.

- Sandały były zawinięte w coś różowego. W zasadzie nie przyjrzałem się dokładnie metkom, dzieci były trzydzieści jardów ode mnie.

- Ale pomyślał pan, że pływały. - Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie. - A były... mokre?

O kurczę. Dzieciaki nie były mokre. Marny z niego detektyw.

- Mogły tylko zamoczyć nogi - powiedział, aby nie przyznać się do porażki. - Naprawdę zostawiła pani na brzegu kolczyki z brylantami?

- A wyglądam na kompletną idiotkę? Nie, oczywiście, że nie. Brylanty nie rozpuszczają się w wodzie.

Niecierpliwym ruchem strzepnęła włosy, aby pokazać mu kolczyki połyskujące w uszach.

- No dobrze. Jak wyglądały te dzieci?
- Jak dzieci. Nie wiem - Tyler wzruszył ramionami. - Chyba miały na sobie podkoszulki. I może szorty...
- Pański dar obserwacji jest niewiarygodny. - Dziewczyna uniosła brwi. - A to byli chłopiec i dziewczynka?
- Być może.
- Wydawało mu się, że to byli chłopcy, ale jeden miał dłuższe włosy od drugiego.
- Już mówiłem, widziałem ich z dużej odległości. Przechodzili przez płot.
- Byli ciemnowłosi? Chudzi i kanciaci? - nalegała dziewczyna. - Wyglądali jak para Cyganów?
- Tak - Tyler nagle wzmógł czujność. Kiedy Freddie Masterson wyśpiewywał pochwały na cześć Hestacombe, nie wspominał o żadnych Cyganach. - A oni sprawiają tu jakieś kłopoty?
- Jasne, że sprawiają kłopoty. To moje dzieciaki. Dostrzegając przerażenie na jego twarzy, dziewczyna posłała mu szelmowski uśmiech.
- Proszę się nie martwić, oni nie są prawdziwymi Cyganami. I nie popełnił pan gafy.
- To dobrze. Bardzo mnie to cieszy - powiedział Tyler.
- Małe łobuzy. Nic nie widziałam. Musiały przeczołgać się przez krzaki i zwędzić ubranie, kiedy nie patrzyłam. Tak to jest, kiedy ma się dzieci, które marzą o pracy w oddziałach antyterrorystycznych. Ale to nie jest śmieszne. - Dziewczyna nagle spoważniała. - Nie sądziłam, że zrobią coś aż tak głupiego. Czy one w ogóle myślą? Co ja zrobię uziemiona tutaj bez żadnych ciuchów?
- Służę pani moją marynarką.
- I bez butów.
- Butów nie pożyczę. - Tylera zaczynała bawić ta sytuacja.
- Wyglądałyby w nich pani bardzo dziwnie. A poza tym, ja musiałbym maszerować boso.

- Dobrze się panu śmiać. - Dziewczyna zmarszczyła brwi, myśląc intensywnie. - OK, może mi pan wyświadczyć przysługę? Proszę wrócić do wioski. Trzeci domek za pubem, po prawej, to mój dom. Piper's Cottage. Dzwonek jest zepsuty, więc musi pan zastukać w drzwi. Proszę powiedzieć Ruby i Natowi, żeby oddali panu moje ubrania, i przynieść je tutaj, dobrze?

Krople wody spływały z głowy na jej brązowe oczy i błyszczały na opalonej skórze. Miała doskonale białe zęby i niesamowitą siłę perswazji. Tyler zmarszczył brwi.

- A co, jeśli dzieci nie będzie?

- Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie, ale ma pan uczciwą twarz, a okoliczności zmuszają mnie, aby panu zaufać. Jeśli ich nie będzie, wyjmie pan klucz spod doniczki geranium na ganku i wejdzie do domu. Moja sypialnia jest po lewej stronie na piętrze. Proszę po prostu wziąć coś z szafy.

Kącik jej ust zadrżał nagle.

- I żadnego węszenia w szufladzie z majtkami, jak pan tam będzie. Proszę po prostu wybrać jakąś sukienkę i parę butów, i wyjść. Będzie pan tu z powrotem za dziesięć minut.

- Nie mogę tego zrobić - Tyler potrząsnął głową. - Nie wie pani nawet, kim jestem. Nie wejdę do obcego domu. A jeśli dzieci tam będą... to chyba jeszcze gorzej.

Lottie złapała go za rękę i potrząsnęła nią energicznie.

- Miło mi. Jestem Lottie Carlyle. A więc już się znamy, a mój dom nie jest obcy. Może nie jest specjalnie wysprząpany, ale to przecież nie jest obowiązkowe. A pan?

- Tyler. Tyler Klein. Wciąż się nie zgadzam.

- Naprawdę jesteś niezwykle uczynny. A więc czeka mnie kompromitujący spacer w negliżu przez wioskę.

- Już mówiłem, służę marynarką. - Patrząc na ociekającą wodą Lottie i na swoją drogą jedwabną marynarkę, Tyler miał poczucie, że to wyjątkowo hojna propozycja. Jednak jego towarzyszka nie była zachwycona.

- I tak będę głupio wyglądała. Mógłbyś pożyczyć mi koszulę, pasowałaby lepiej - marudziła Lottie.

Tyler przyjechał tutaj w interesach. Nie miał najmniejszego zamiaru zdejmować koszuli.

- Nic z tego - powiedział stanowczo. - Marynarka albo nic.

Zdając sobie sprawę, że niewiele wskóra, Lottie Carlyle założyła marynarkę.

- Ciężko się z tobą negocjuje. Wyglądam bardzo idiotycznie?

- Tak.

- Jesteś bardzo uprzejmy. - Popatrzyła ze smutkiem na swoje bosa stopy. - Może wzięłbyś mnie na barana?

Teraz Tyler był naprawdę rozbawiony.

- Nie przeciągaj struny.

- To znaczy, że jestem za ciężka?

- To znaczy, że nie chcę narażać na szwank mojej reputacji.

- A co robisz w tych stronach? - w głosie Lottie słychać było zaciekawienie. - W swoim eleganckim miejskim garniturku i błyszczących bucikach?

Rzeczywiście, zapotrzebowanie na eleganckie garnitury w Hestacombe było niewielkie. Gdy odchodzili, Tyler spojrzał raz jeszcze na jezioro, w którym odbijały się przelatujące wazki. Rodzina kaczek właśnie podpłynęła do brzegu. Od niechcenia rzucił:

- Jestem przejazdem.

Stąpając ostrożnie po nierównej ścieżce, Lottie skrzywiła się z bólu.

- Au, moje stopy! - jęknęła z naciskiem.

Lottie Carlyle wzbudziła niemalą sensację, gdy maszerowali przez Hestacombe. Coś mówiło Tylerowi, że niezależnie od tego, co miała na sobie, Lottie i tak była tu atrakcją. Przejeżdżający motocykliści, rozpoznając ją, szczyrzyli zęby w uśmiechu i trąbili klaksonami, sąsiedzi machali z ogródków i robili żartobliwe uwagi. Lottie z kolei opowiadała im, co zamierza zrobić z Ruby i Natem, jak tylko dostanie ich w swoje ręce.

Kiedy zbliżyli się do Piper's Cottage, zobaczyli dzieci bawiące się konewką w ogródku przed domem. Raz jedno, raz

drugie obracało się wokół własnej osi, trzymając konewkę w wyciągniętych rękach i oblewając towarzysza wodą.

- Widzowie o słabych nerwach zechcą się teraz odwrócić - powiedziała Lottie. - Mam zamiar przełączyć się na tryb „wredna matka”.

Podnosząc głos, krzyknęła:

- Hej łobuzy, postawcie konewkę!

Dzieci dostrzegły matkę, w jednej chwili porzuciły konewkę i w mgnieniu oka wdrapały się na gałęzie jabłoni, przestaniając frontową ścianę domu. Wchodząc do ogrodu, Lottie spojrzała badawczo na drzewo.

- Wiem, co zrobiliście! I wiercie mi, macie poważne kłopoty.

Spomiędzy gąszczy liści i konarów dobiegł ją niewinny głos:

- My tylko podlewaliśmy kwiatki. Inaczej zwiędną.

- Mówię o moich ubraniach. To nie było śmieszne, Nat. Zabieranie komuś ciuchów to nie jest dobra zabawa.

- My nic nie zrobiliśmy - powiedział natychmiast Nat.

- To nie my - dorzuciła Ruby.

Tyler popatrzył na Lottie. Może rzeczywiście popełnił błąd? Widząc jego zafrasowane spojrzenie, dziewczyna uniosła brwi.

- Nie wierz im, proszę. Zawsze to mówią. Można przyłapać Nata z buzią pełną czekolady, a on wciąż będzie twierdził, że jej nie je.

- Ale to naprawdę nie byliśmy my - powtórzył z naciskiem Nat.

- Nie zrobiliśmy tego - powiedziała Ruby. - Uwierz nam.

- Im bardziej są winni, tym bardziej zaprzeczają. - Lottie wyczuła konsternację Tylera. - W zeszłym tygodniu bawili się procą w łazience i, nie wiedzieć czemu, pękło lustro. Bo oczywiście żadne z nich tego nie zrobiło.

- Mamo, ale tym razem naprawdę nie zabraliśmy twoich ubrań - powiedziała Ruby.

- Nie? A ten pan twierdzi, że zabraliście. Widział wszystko - wyjaśniła - a w przeciwieństwie do was, nie ma zwyczaju

kłamać. Możecie już zejść z tego drzewa i przynieść moje rzeczy?

- Ale nie wiemy, gdzie są! - Ruby wydała z siebie jęk pełen głębokiego oburzenia.

Lottie bez słowa zniknęła w domu. Przez otwarte okna słychać było trzaskanie otwieranych i zamykanych szuflad i drzwi. Po chwili pojawiła się z wyrazem triumfu na twarzy, niosąc wymiętą różową sukienkę, parę płaskich srebrnych sandałów i ręcznik kąpielowy w biało- żółte pasy.

- To nie my - odezwał się Nat.

- Tak? To ciekawe, skąd te rzeczy wzięły się w ogrodzie za domem.

Mówiąc to, Lottie zrzuciła z siebie zbyt obszerną marynarkę, zwróciła ją Tylerowi i wślizgnęła się w swoją pogniecioną sukienkę.

- Słuchajcie. To, że zabraliście mi ubrania, było bardzo złe. Ale to, że teraz kłamiecie i zaprzeczacie, jest jeszcze gorsze. Możecie zapomnieć o imprezie balonowej w ten weekend i o kieszonkowym.

- Ale to ktoś inny! - piszczła Ruby.

- Ten pan mówi, że to wy. To zabawne, ale z waszej trójki, najbardziej wierzę jemu.

Więc proszę już zejść z drzewa, iść do domu i zacząć sprzątać swoje pokoje. W tej chwili, bo wstrzymam wam kieszonkowe na następne sześć tygodni.

Najpierw Ruby, a potem Nat zeskoczyli z jabłoni. Zwężonymi ze złości oczyma wpatrywali się w Tylera. Ruby, przechodząc obok niego, rzuciła:

- Jest pan wielkim kłamcą.

- Ruby, przestań!

Nat, z kawałkami gałęzi we włosach, spojrzął z dołu na Tylera i wycedził: - Naskarzę na pana mojemu tacie.

- Oho, pan już się boi. - Lottie lekko popchnęła syna w stronę domu.

- Do środka. Już!

Nat i Ruby zniknęli w domu. Tyler czuł się okropnie.

- Słuchaj, może ja się rzeczywiście pomyliłem - powiedział.
- To dzieci. Trudno się dziwić, że psocą - Lottie rzuciła na Tylera doświadczoneym okiem. - Ty nie masz *dzieci*?
- Nie - Tyler potrząsnął głową.
- Są na ciebie wściekli, że ich wydałeś. - Oczy Lottie błyszczały. - Zrobią wszystko, żebyś poczuł się jak najgorzej. Ale przecież więcej ich nie zobaczysz, więc jakie to ma znaczenie?

Kiedy mówiła, ktoś w domu wybuchł głośnym szlochem.

- To Nat. Stoi pewnie przy oknie, żeby mieć całkowitą pewność, że go słyszymy.

Ciekawe, czemu nie powiedział, że to pewnie orzeł pochwycił moje ciuchy i przyniósł do ogrodu... No, muszę już iść. Dzięki za marynarkę. Mam nadzieję, że nie jest przemoczona - przerwała i rozczesując dłonią mokre włosy, uśmiechnęła się promiennie. - Całkiem miło było cię poznać.

- Uaaaaaa! - darł się na całe gardło Nat, wyraźnie niepokieszony.
- Ciebie też miło było poznać - Tyler musiał podnieść głos, aby było go słychać ponad rozdzierającym krzykiem.
- Uuuuu - aaaaa - uh - uh - aaaaaaa!!!
- Jeszcze raz dziękuję. - Lottie urwała, bo przez głowę przemknęła jej pewna myśl. - Słyszałeś, jak śpiewałam? Tam, w wodzie?
- To byłaś ty? - uśmiechnął się. - A raczej, to był śpiew?

W jej ciemnych oczach rozbłysła przekora. - W wodzie dużo lepiej mi wychodzi.

Z domu wciąż słychać było donośne pochlipywanie. - Wierzę ci na słowo - powiedział wolno Tyler.

Rozdział 2

Przebrana w żółto- zielony top i białe dżinsy, Lottie weszła na szeroki taras na tyłach Hestacombe House. Freddie czekał już na nią z butelką wina w ręku.

- Jesteś nareszcie! Dobrze, dobrze, siadaj - powiedział, wciskając jej w rękę kieliszek. - Wypij trochę, dobrze ci to zrobi.

- Dlaczego? - Lottie zastanawiała się, jaki był powód dzisiejszego zaproszenia.

Freddie nigdy nie był skryty, ale ostatnio wiele razy wyjeżdżał, nie ujawniając powodu tych podróży. Dziś wieczór, opalony, w białej koszulce polo i gładko wyprasowanych spodniach w kolorze khaki wyglądał czerstwo i schludniej niż kiedykolwiek. Hm, czyżby znalazł sobie wreszcie przyjaciółkę?

- Twoje zdrowie. - Freddie stuknął lekko swoim kieliszkiem w jej kieliszek. Z pewnością krył się w jego zachowaniu jakiś sekret.

- Na zdrowie. Nic nie mów! - Lottie ruchem ręki powstrzymała go od mówienia. - Myślę, że już zgadłam - powiedziała z zadowoleniem.

- A ja sądzę, że jednak nie - Freddie oparł się wygodnie, zapalił cygaro i popatrzył na nią z uśmiechem. - Ale mów. Śmiało.

- Myślę - powiedziała Lottie przeciągle - myślę, że to może być miłość. - Wygięła palce w zabawnym geście. - Myślę, że czeka nas bardzo romantyczna rozmowa.

- Lottie, jestem dla ciebie za stary!

- Ale ja mam na myśli kogoś w twoim wieku! Więc nie mam racji? - zrobiła zawiedzioną minę.

- Tylko trochę. - Freddie z wolna wydmuchiwał dym cygara. Złoty sygnet błyszczał na jego palcu.

- Ale ty powinienes z kimś się związać!

Od śmierci Mary Freddie nie spojrzał na inną kobietę. Lottie wierzyła jednak, że gdyby znalazł się ktoś odpowiedni, on znów mógłby być szczęśliwy. Zasługiwał na to.

- To raczej niemożliwe... Wypijesz, czy poczekasz, aż wyparuje?

Lottie posłusznie pociągnęła kilka sporych łyków.

- Smakuje? - Freddie obserwował ją z rozbawieniem.
- Co za pytanie? Jest czerwone, chłodne, nie czuję korka...
Pewnie, że mi smakuje.
- To dobrze, wzięwszy pod uwagę, że jest to *Chateau Margaux* rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy.

Lottie, która była takim znawcą win jak Johnny Vegas* linokoczkciem, pokiwała głową i ze znanstwem stwierdziła:

- Tak, tak właśnie myślałam.
- Dwa pięćdziesiąt za butelkę - powiedział Freddie z błyskiem w oku.
- Super! Z promocji w supermarkecie?
- Dwie stówki i pięćdziesiąt funtów za butelkę, ignorantko!
- Chryste! Chyba żartujesz! - Krztusząc się i niemalże wylewając resztę wina na spodnie, Lottie gwałtownie odstawiła kieliszek na stół. Freddie, zdaje się, mówił poważnie.
- Co to za pomysł, żeby dawać mi coś takiego do picia! To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam - lamentowała.
- Dlaczego?
- Przecież wiesz doskonale, że zupełnie nie znam się na winach! To kompletne marnotrawstwo!
- Ale mówiłaś, że ci smakuje – zauważył Freddie.
- Ale nie doceniłam go, prawda? Wyżłopałam je jak lemoniadę, bo mi kazałeś! - Proszę, możesz wypić resztę. - Lottie popchnęła kieliszek w jego stronę. - Ja nie przełknę już ani kropki.
- Skarbie, kupiłem to wino dziesięć lat temu - powiedział Freddie. - Leżało spokojnie w piwnicy, czekając na odpowiednią okazję.

Lottie wzniosła oczy w górę w geście niemej rozpacz.

* Znany komik brytyjski (przyp. tłum.)

- Tak, i dzisiaj nadarzyła się ta odpowiednia okazja? Dzień, w którym, twoja asystentka rozchlapała *Chateau Margaux*, czy co to jest, po całym tarasie? Lepiej by było, gdybyś trzymał je w piwnicy przez następne dziesięć lat!

- No, tak. Ale może nie chcę. W każdym razie, nie zapytałaś jeszcze, co to za specjalna okazja.

- A więc?

Freddie usadowił się głębiej i umiejętnie wypuścił zgrabne kółko dymu.

- Sprzedaję biznes - powiedział.

- To następny dowcip? - Lottie była zaskoczona.

- Nie - Freddie potrząsnął głową.

- Ale dlaczego?

- Mam sześćdziesiąt cztery lata. W moim wieku ludzie odchodzą na emeryturę.

Przyszedeł czas, aby się wycofać i robić to, na co mam ochotę. A poza tym trafił się właściwy kupiec. Nie obawiaj się, twoje stanowisko się nie zmieni.

W jego oczach zamigotały dziwne iskierki.

- Tak naprawdę myślę, że może się wam razem świetnie pracować.

Było to tylko Hestacombe, a nie wielkowiejska metropolia, więc nie trzeba było wiele czasu, aby skojarzyć fakty.

- Ten Amerykanin... - powiedziała Lottie, oddychając ciężko. - Ten w garniturze?

- Właśnie ten - Freddie pokiwał głową i przebiegle dodał:

- Nie próbuj wmówić mi, że nie pamiętasz, jak się nazywa.

- Tyler Klein. - Freddie miał rację. Gdy nieznamomi są tak przystojni, nie sposób zapomnieć, jak się nazywają. - Spotkaliśmy się nad jeziorem.

- Tak, nie omieszkał o tym wspomnieć - Freddie, wyraźnie rozbawiony, zaciągnął się cygarem. - Z jego słów wnioskowałem, że było to interesujące spotkanie.

- Można tak powiedzieć... Więc co teraz będzie? Wszystko pójdzie w jego ręce? A ty się wyprowadzisz? Freddie, zupełnie nie potrafisz wyobrazić sobie tego miejsca bez ciebie!

To prawda. Freddie i Mary Masterson wprowadzili się do Hestacombe House dwadzieścia dwa lata temu. Freddie przyłapał Lottie na podkradaniu jabłek ze swojego sadu, gdy miała dziewięć lat, tyle, ile teraz Ruby. Był częścią tej wioski. Brakowałoby go wszystkim, gdyby nagle zniknął. A poza tym był fantastycznym szefem.

- Nie sprzedaję domu. Tylko biznes.

- Uff, więc nie jest tak źle - powiedziała Lottie z ogromną ulgą. - Wciąż tu będziesz. To w zasadzie oznacza, że niewiele się zmieni.

Domki letnie w Hestacombe zostały przez lata przekształcone w dobrze prosperującą firmę. Było to osiem pieczołowicie odrestaurowanych odrębnych posiadłości rozrzuconych nad jeziorem i w lesie. Wielu gości przyjeżdżało tu regularnie co roku na kilka dni lub na cały miesiąc. Pewność, że każda ich zachcianka zostanie natychmiast zaspokojona, dawała im poczucie komfortu, a piękno przyrody Cotswolds pozwalało zapomnieć o codzienności.

- Proszę, wypij swoje wino - Freddie raz jeszcze podsunął jej kieliszek. - Tyler Klein jest uczciwym człowiekiem. Wszystko będzie dobrze. A ty będziesz w dobrych rękach - dodał z błyskiem w oku.

Okazja rzeczywiście była wyjątkowa. Sącząc maleńkie łyeczki, Lottie starała się docenić wykwintność i szlachetność *Chateau Margaux*. Wino na pewno było dobre, ale i tak nigdy by się na nim nie poznała.

- Gdzie on będzie mieszkał?

- W Fox Cottage. Musimy tylko zmienić kilka rezerwacji. Jeśli przeniesiemy gości do domków o wyższym standardzie, nikt nie będzie narzekał.

Fox Cottage, ich najnowszy nabytek, był przez ostatnie trzy miesiące intensywnie remontowany. Jakimś cudem udało się

skończyć wszystkie prace przed terminem. Był to jeden z mniejszych domków. W czasie remontu przebito strop nad parterem i u góry urządzono jedną ogromną sypialnię z oknami na całą wysokość ściany i oszałamiającym widokiem na jezioro.

- Niezbyt duży. Nie będzie za ciasny dla jego żony? - spytała niewinnie Lottie.

Freddie uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem, że próbujesz się dowiedzieć, czy ma żonę? Niech żyje subtelność. Zrzucając sandały i chowając stopy pod miękko wyściełanym krzesłem, powiedziała:

- I?

- Nie ma.

Super, pomyślała Lottie z zadowoleniem. Chociaż po spotkaniu z Natem i Ruby miał jej pewnie dosyć na resztę życia. Ale coś innego nie dawało jej spokoju.

- A gdzie go znalazłeś? Nawet mi nie powiedziałeś, że zamierzasz sprzedać firmę.

- To przeznaczenie. - Freddie wzruszył ramionami i ponownie napełnił kieliszki. - Pamiętasz Marcie i Waltera?

Oczywiście! Marcia i Walter Kleinowie z Nowego Jorku. Przez ostatnie pięć lat przyjeżdżali do Hestacombe w każdą Wielkanoc i wynajmowali jeden z domków po to, by z typowo amerykańskim entuzjazmem odkrywać okoliczne atrakcje turystyczne: Stratford-upon-Avon, Bath, Cheltenham.

- To jego rodzice.

Lottie zdała sobie sprawę, że syn, którym Marcia chwaliła się przez ostatnie lata, to Tyler.

- Ale on jest jakimś nadętym bankierem z Wall Street! Miałby porzucić tamto życie, żeby przenieść się tutaj? To tak, jakby Michael Schumacher porzucił Formułę Jeden i zaczął rozwodzić mleko.

- Tyler chce zmiany. Jestem pewien, że powie ci, co go do tego skłoniło. Tak czy owak, kiedy Marcia zadzwoniła kilka tygodni temu, żeby potwierdzić rezerwację na następne Święta Wielkanocne, zaczęliśmy rozmawiać o emeryturze.

Wspomniałem, że myślę o sprzedaży przedsiębiorstwa. Dwa dni później zadzwoniła ponownie, żeby powiedzieć, że rozmawiała o mnie ze swoim synem i że ten jest zainteresowany. Obejrzał naszą stronę internetową. Oczywiście wcześniej słyszał o nas od Marcii i Waltera, a ci, dzięki Bogu, wychwalali nas pod niebiosa. Potem zadzwonił Tyler. Powiedziałem mu, ile chcę za firmę i skontaktowałem z moim księgowym, żeby mógł się przyjrzeć naszej kondycji finansowej. Wczoraj wieczorem przyleciał na Heathrow i przyjechał tu, by obejrzeć posiadłość. A dwie godziny temu przedstawił mi interesującą ofertę.

- Którą przyjąłeś?

- Którą przyjąłem.

Tak po prostu. - Jesteś pewien, że dobrze robisz? - Może był to tylko wytwór jej bujnej wyobraźni, ale Lottie miała wrażenie, że Freddie nie był aż tak zadowolony z sytuacji, jak mówił.

- Jestem absolutnie pewien - pokiwał głową Freddie. Cóż, niech tak będzie. Miał prawo do odrobiny wypoczynku.

- W takim razie gratuluję. Wypijmy za długą i szczęśliwą emeryturę. - Lottie uniosła swój kieliszek, stuknęła nim w kieliszek Freddiego i powiedziała z otuchą:

- Będziesz się świetnie bawić. Pomyśl tylko, ile fantastycznych rzeczy będziesz mógł robić. Kto wie, może nawet zaczniesz grać w golfa? - dodała przekornie, wiedząc, jak bardzo Freddie nie cierpi tej gry.

Tym razem nie odpowiedział uśmiechem.

- Jest coś innego - powiedział.

- Mój Boże! Gimnastyka artystyczna?

- To o wiele gorsze niż gimnastyka artystyczna. — Jego palce zacisnęły się na kieliszku. - Mam guza mózgu.

Rozdział 3

Lottie utkwiała w nim wzrok. Czy to żart? To musiał być żart! Jak można siedzieć tu tak spokojnie i jednocześnie mówić coś tak

okropnego? Serce waliło jej jak młotem. Czy to mogła być prawda?

- Och, Freddie...

- No tak, nie wiadomo, co powiedzieć... Przepraszam. Chociaż nie przypuszczałem, że cokolwiek jest w stanie odebrać ci mowę. - W głosie Freddiego słyhać było wyraźną ulgę, że już powiedział to, co miał powiedzieć. Lottie usiłowała zebrać myśli.

- Przyznaję, że chwilowo jestem w szoku. Ale takie rzeczy się teraz usuwa. Zobaczysz, w mgnieniu oka będziesz zdrów jak ryba.

Chciała w to wierzyć, ale nawet kiedy wypowiadała te słowa, zdawała sobie sprawę, że sytuacja nie jest wesoła. To nie to samo, co stłuczone dziecięce kolano, na które można nakleić plasterek i zapewnić, że za chwilę przestanie boleć. Nie pomoże całus, aby lepiej się goiło.

- Mówię ci o tym, ale będę wdzięczny, jeśli zachowasz te rewelacje dla siebie - powiedział Freddie. - Guza nie da się usunąć, chirurdzy są bezradni. Chemio- i radioterapia też już nie pomogą, mogą jedynie dać mi trochę więcej czasu. Ale ta opcja mnie nie interesuje, więc podziękowałem.

- Ale...

- Nie przerywaj, proszę - powiedział spokojnie Freddie. - Skoro udało mi się zacząć, chciałbym skończyć. Z miejsca podjąłem decyzję, że skoro mam żyć krótko, niech dzieje się to na moich warunkach. Obydwoje wiemy, przez co przeszła Mary.

- Popatrzył na Lottie. - Dwa lata zabiegów i niekończących się koszmarnych kuracji. Cały ten ból! Przeżyła kilkanaście miesięcy agonii, i co jej to dało? W końcu i tak umarła. Więc ja mam zamiar darować sobie to wszystko. Mój lekarz twierdzi, że mam przed sobą mniej więcej rok. W porządku. Postaram się go wykorzystać, zobaczymy, na ile się uda. Ostrzegł mnie, że ostatnie miesiące nie będą przyjemne, więc od razu powiedziałem, że je też mam zamiar sobie darować.

To było dla Lottie zbyt wiele. Drżącą ręką sięgnęła po kieliszek, ale przewróciła go. Pięć minut wcześniej rzuciłaby się na

stół i raczej zlizwała wino, niż pozwoliła mu się zmarnować. Teraz sięgnęła po butelkę i napełniła kieliszek po brzegi.

- Mogę już zadawać pytania?

- Proszę bardzo - pokiwał głową Freddie.

- Od jak dawna wiesz?

- Od dwóch tygodni - uśmiechnął się krzywo. - Na początku też byłem zszokowany. Ale to zadziwiające, jak szybko można się przyzwyczaić.

- Nawet nie wiedziałam, że jesteś chory. Czemu wcześniej nic nie mówiłeś?

- W tym sęk, że ja wcale nie czuję się chory. - Freddie rozłożył ręce. - Miewałem bóle głowy i pomyślałem, że to pewnie wina okularów do czytania. Pojechałem do mojej okulistki, a ona zaświeciła mi w oczy tym swoim światełkiem i od razu powiedziała, że czekają mnie kłopoty. Dostałem skierowanie do neurologa, przeszedłem tomografię i inne badania, a potem przyszła diagnoza... Lottie, jeśli będziesz płakać, wyleję na ciebie moje wino. Przestań!

Lottie posłusznie przełknęła łzy, głośno pociągnęła nosem i spróbowała wziąć się w garść. Freddie zwierzał się jej, bo miał nadzieję, że nie rozsypie się pod ciężarem wiadomości. Nie była beksą.

- Już. Udało się. - Jeszcze raz pociągnęła nosem i wypłała potężny haust wina. - Przepraszam, ale to takie niesprawiedliwe. Nie zasługujesz na to - powiedziała na swoją obronę.

- Wiem, jestem cudowny. Prawie jak święty - mruknął, gasząc cygaro.

- Szczególnie po tym, co stało się z Mary. - Lottie znów poczuła ucisk w gardle. Trudno było to znieść.

- Skarbie, nie wściekaj się w moim imieniu. Mary już dawno tu nie ma. - Freddie sięgnął przez stół po jej rękę i uścisnął ją serdecznie. - Nie widzisz, że to ułatwia sprawę? Wiadomość o guzie w mojej głowie nie jest najgorszą rzeczą, jaka mi się w życiu przytrafiła. Nie jest nawet w przybliżeniu tak

okropna jak utrata Mary i świadomość, że muszę dalej żyć bez niej.

Lottie znowu była bliska łez.

- To najbardziej romantyczna rzecz, jaką w życiu słyszałam.

- Romantyczna! - powtórzył Freddie i roześmiał się. - Co za ironia! Wiesz, skąd wzięło się moje przezwisko? Mary zawsze mówiła, że jestem taki romantyczny jak piżama w paski. Wiedziała, ile dla mnie znaczy, ale łatwiej nam było droczyć się, niż roztkliwiać. Walentynkowe serduszka i bukiety fiołków - to nie było dla nas...

Więc dlatego Mary zawsze wołała na niego „Pasek”. Lottie pamiętała ich jako bezgranicznie szczęśliwą parę, małżeństwo, któremu można było zazdrościć. Ich słowne potyczki były tak zabawne, jak komediowe dialogi w telewizyjnych serialach. Lottie zdała sobie sprawę, jak bardzo Freddie musiał tęsknić za ukochaną żoną. Niegodziwość losu uderzyła ją ze zdwojoną siłą.

- Freddie, dlaczego to musi przytrafić się akurat tobie?

- Można przecież popatrzeć na to z drugiej strony: jak dobrze, że nie stało się to czterdzieści lat temu - powiedział Freddie. - To by było wkurzające. Ale udało mi się dożyć do sześćdziesiątego czwartego roku życia, więc nie jest tak źle. Kiedy miałem siedem lat, spadłem z drzewa i złamałem rękę - opowiadał, licząc na palcach. - A mogłem przecież skrócić kark i umrzeć. Kiedy miałem szesnaście lat, jadąc na rowerze, zderzyłem się z ciężarówką - strzeliło tylko parę żeber. Ale też mogłem zginąć. A potem pojechaliśmy z Mary na wakacje do Genewy. Ostatniej nocy tak zabalowaliśmy z grupą przyjaciół, że nie zdążyliśmy na samolot. I co się stało? Samolot się rozbił. Poniosła go fantazja. Lottie znała tę historię.

- Nie rozbił się - poprawiła Freddiego. - Odpadło jedno kółko i samolot przewrócił się przy lądowaniu. Nikt nie zginął.

- Ale mógł. Było kilku rannych.

- Siniaki i skaleczenia. - Lottie nie dała się zwieść, w tych sprawach była pryncypialna. - Siniaki i skaleczenia się nie liczą.

- To zależy, na ile są poważne. - Freddie patrzył na nią z rozbawieniem. - Będziemy się sprzeczać?

- Nie. - Lottie wycofała się natychmiast, zawstydzona. Kłócić się z umierającym człowiekiem: jak mogła tak nisko upaść?

- Tak, skarbie, sprzeczkujemy się i nie waz się poddawac. - Freddie chyba czytał w jej myślach. - Jeśli nie będziesz chciała się ze mną kłócić, znajdę sobie kogoś innego. Powiedziałem ci, co się dzieje, bo ufam, że sobie poradzisz. Nie chcę, żebyś otaczała mnie jakąś szczególną opieką, dobrze?

- Problem jest właśnie w tym, że ty nie chcesz żadnej opieki! - wybuchła gwałtownie Lottie. - A skąd możesz wiedzieć, że radioterapia i chemioterapia nie pomogą?

- Wolno ci się kłócić - powiedział twardo Freddie - ale nie wolno ci mnie dręczyć. Inaczej będę zmuszony cię wylać.

- I tak sprzedajesz firmę.

- Ale mogę wylać cię teraz. Słonko, jestem dorosły. Podjąłem decyzję. Jeśli zostało mi tylko sześć miesięcy na tym padole, chcę je dobrze wykorzystać i robić to, na co mam ochotę. I tu właśnie możesz się przydać. - Freddie był teraz bardziej zrelaksowany. Spokojnym ruchem ręki odgonił natrętną osę. - Jest pewna sprawa, z którą sam sobie nie poradzę, Lottie. Potrzebuję twojej pomocy...

Przez jeden straszliwy moment Lottie myślała, że Freddie chciał, by pomogła mu skończyć ze sobą, kiedy przyjdzie czas.

- W czym? - spytała poruszona.

- Dobry Boże, nie o to mi chodzi! - Freddie wybuchnął śmiechem, raz jeszcze czytając w jej myślach albo raczej dostrzegając wyraz skrajnego przerażenia na jej twarzy. - Widziałem, jak strzelałaś do rzutków. Jedyne, w co byłaś w stanie trafić, to drzewo. Jeśli będę wymagał odstrzału we właściwym czasie, poszukam lepszego strzelca.

- Nie żartuj na ten temat. - Lottie spiorunowała go wzrokiem. - To nie jest śmieszne.

- Przepraszam, ale właśnie wyobraziłem sobie ciebie celującą do mnie z karabinu i to było bardzo śmieszne. - Freddie nie przestawał chichotać. - Słuchaj, poradzę sobie z tym po swojemu. Wszyscy musimy kiedyś umrzeć, nie sądzisz? Mógłbym na przykład jutro paść na atak serca. W porównaniu z tym, ostrzeżenie, które przychodzi sześć miesięcy przed faktem, to luksus - mówił Freddie pocieszającym tonem.

- I mam zamiar dobrze wykorzystać ten czas.

Freddie powiedział, że potrzebuje pomocy. Lottie po chwili zebrała wszystkie siły, żeby zapytać:

- Więc co zamierzasz?

- Dużo o tym myślałem. I to wcale nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać. - Freddie skrzywił się. - Powiedz, co zrobiłabyś na moim miejscu, gdybyś nie musiała liczyć się z pieniędzmi?

Pytanie było absurdalne. Makabryczne i absurdalne. Ale jeśli Freddie mógł snuć takie plany, mogła i ona.

- To niezbyt oryginalne, ale sądzę, że zabrałabym dzieci do Disneylandu - powiedziała.

- Właśnie. - Freddie kiwał głową, wyraźnie zadowolony.

- Bo wiesz, że taka wyprawa najbardziej by się im podobała.

- Mnie też - stwierdziła Lottie niepewnie.

- Oczywiście, tobie też. Ale jeśli dzieci nie mogłyby jechać, pojechałabyś sama?

Zrozumiała, do czego zmierzał. Znowu poczuła się okropnie i z całego serca pragnęła przytulić Freddiego. Ale zamiast tego pociągnęła spory łyk wina i powiedziała:

- Nie, przypuszczam, że nie.

- Widzisz? Właśnie o to mi chodzi. - Freddie przysunął się i oparł łokcie na stole. - Wiele lat temu, zanim Mary zachorowała, obiecywaliśmy sobie, że na emeryturze będziemy zwiedzać świat. Mary chciała wejść na Wielki Mur Chiński, zobaczyć Wodospad Wiktorii i odkryć zaginione miasta w Peru. Moją listę otwierały dwa tygodnie w Palazzo Gritti w Wenecji, po których mielibyśmy się wybrać na wycieczkę do Nowej Zelandii i

Polinezji. Potem zwykle zaczynaliśmy się kłócić - ja twierdziłem, że kiedy nie będziemy już w stanie podróżować, powinniśmy kupić willę w Toskanii, a Mary uważała, że skoro już trzeba się zestarzeć, niech to przynajmniej stanie się w Paryżu. - Przerwał i zapatrzył się w prawie pustą butelkę *Chateau Margaux*. - Widzisz, cały plan opierał się o przekonaniu, że będziemy starzeć się razem. Teraz mogę pozwolić sobie na to, żeby pojechać tam, gdzie chcę, ale nie ma to najmniejszego sensu, bo to żadna przyjemność jechać samotnie albo z grupą nieznajomych. Ja chciałem zobaczyć te miejsca z Mary.

Lottie wyobraziła go sobie w jakimś egzotycznym miejscu samego, bez żadnej bratniej duszy, z którą warto byłoby dzielić te przeżycia. Czułaby się tak samo, siedząc w kolejce górskiej w Disneylandzie. Czy mogłaby się dobrze bawić, gdyby nie było z nią Nata i Ruby?

- Więc podróżowanie odpada. Freddie pokiwał głową.

- I zdecydowałem, że nie będę uprawiał sportów ekstremalnych. Skoki ze spadochronem, wspinaczka, kajakarstwo górskie - to nie w moim stylu...

Lottie nie mogła wyjść ze zdumienia. Jak to możliwe, że był taki pogodny?

- Więc co zamierzasz?

- Widzisz, mam pewien plan. - Freddie wydawał się bardzo z siebie zadowolony. - I będę potrzebował twojej pomocy...

Rozdział 4

Nat i Ruby zostali tego wieczora wyekspediowani do domu ich ojca. Kiedy Lottie przyjechała po dzieci o dziewiątej, w drzwiach przywitał ją radosnym okrzykiem Nat:

- Była ekstra zabawa!

- To super. - Po kilku godzinach spędzonych na rozpamiętywaniu nieszczęścia Freddiego, Lottie przytuliła go z wyjątkową czułością.

- Mamo, puść! Tato opowiedział nam o VD!
- O DVD? Naprawdę? - zdziwiła się. - A on ma na ten temat coś do powiedzenia?
- To świetna zabawa, uwielbiam ją! - Nat uwolnił się z jej uścisku i ciągnąc matkę do kuchni, wykrzykiwał: - Będę się w to zawsze bawił! VD, VD!
- Nie vii- dii, ciemniaku, a voodoo - poprawiła go z wyższością Ruby.
- Nie jestem ciemniakiem. Sama jesteś ciemniakiem.
- DVD to coś innego niż voodoo. To jest...
- A dlaczego - wtrąciła się Lottie - tato opowiadał wam o voodoo?
- Opowiedzieliśmy mu o tym okropnym panu. O tym, który naskarżył na nas dzisiaj po południu. Prawda, tato?
- Mario wszedł do kuchni, a Nat natychmiast zwrócił się do niego. - Tato powiedział, że powinniśmy mu odpłacić i spróbować VD.
- Moim zdaniem to działa. - Stojąc w drzwiach, Mario uśmiechał się promiennie.
- Voodoo?
- Voodoo. Tato powiedział nam, że można robić figurki ludzi, których się nie lubi i wtykać w nie szpilki. I my tak zrobiliśmy! - Nat podbiegł do kuchennego stołu i z triumfem pomachał plastelinową lalką najeżoną wykałaczkami.
- Widzisz? To ten pan! Za każdym razem, gdy wtykam w niego patyk, zaczyna go w tym miejscu boleć. Patrz! ciągnął, z lubością wciskając następną wykałaczkę w lewą nogę plastelinowej figurki. - Skacze teraz na jednej nodze i wykrzykuje: au! au!
- Lottie popatrzyła na byłego męża.
- Przypomnij mi, bo pamięć mnie zawodzi, ile ty masz lat?
- Nie irytuj się, to tylko zabawa. - Mario szczyrzył zęby w beztróskim uśmiechu.
- A masz. - Nat z radością ugodził figurkę w brzuch. - To go oduczy opowiadania o nas kłamstw.

To tylko zabawa! Wspaniale. Lottie czasami zastanawiała się, czy Mario miał w głowie chociaż jedną uncję zdrowego rozsądku.

- Nie powinienes uczyć ich takich rzeczy - powiedziała rozdrażniona. - To nieodpowiedzialne.

- Nieprawda, to jest świetne! - Ruby z entuzjazmem faszzerowała swoją figurkę wykałaczkami. - A poza tym naprawdę nie zabraliśmy twoich ciuchów, więc ten wstrętny człowiek sobie na to zasłużył.

- Ten wstrętny człowiek będzie moim nowym szefem - westchnęła Lottie. - Obawiam się, że będziecie się musieli do niego przyzwyczaić.

- Widzisz? Nawet ty uważasz, że jest wstrętny. - Nat z uwagą przyglądał się jej twarzy. - To dlatego płakałaś?

- Nie płakałam. To tylko alergja. - Mówiąc to, Lottie zdała sobie sprawę, jak trudno będzie zatrzymać wiedzę o chorobie Freddiego tylko dla siebie. - Chodźcie, kochani. Czas do domu - powiedziała.

- Nie musisz się spieszyć. Pozwól im pobawić się chwilę w ogrodzie. - Mario wypuścił dzieci przez tylne drzwi i posadził Lottie łagodnie przy kuchennym stole. - Mam wrażenie, że musisz się napić. Przyniosę piwo.

Najpierw *Chateau Margaux*, teraz puszka Heinekena. Czemu nie? Zrzuciwszy sandały i oparłszy się wygodnie na krzesło, Lottie obserwowała, jak Mario nalewa piwo. Cieszyła się, że są po rozwodzie, ale wciąż potrafiła docenić jego urodę i siłę. Teraz było znacznie łatwiej. Nie czuła już emocji i opuściło ją męczące, permanentne uczucie niepokoju, że Mario dzieli swoje piękne ciało nie tylko z nią, Uczucie, jak się w końcu okazało, uzasadnione. Chociaż oczywiście nie była to wina Maria. On nigdy nie czuł się winny.

- Bardzo proszę. Twoje zdrowie. - Mario nalał piwo do dwóch szklanek, podał jej jedną i, popijając, przyglądał się jej uważnie.

- Powiesz mi, dlaczego płakałaś? Nie.

Lottie potrząsnęła głową.

- To nic ważnego. Rozmawiałam z Freddie'm o Mary, trochę się rozkleiliśmy. To wszystko. - Wzięła ze stołu lalkę i zaczęła wyciągać wykałaczki. - On strasznie za nią tęskni. Nie wiem, czy jesteśmy w stanie zrozumieć, jak on się czuje.

- A ja myślałam, że jesteś zirytowana, bo dziś jest nasza rocznica ślubu. - Mario uwielbiał się przekomarzać.

O rany, naprawdę? Szósty sierpnia. Dziwne, że on pamięta, a ona nie.

- To nie jest rocznica ślubu - stwierdziła Lottie po chwili. - Byłaby, gdybyśmy się nie rozwiedli.

- To ty mnie zostawiłaś! Złamałaś mi serce. - Mario z lubością rozpamiętywał swoje nieszczęście.

- Przepraszam bardzo, zostawiłam cię, bo puszczałeś się na prawo i lewo.

- Dziś mija dziesięć lat - rozmarzył się. - To był taki wspaniały dzień, prawda?

Rzeczywiście, był. Lottie uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Była taka młoda - miała dwadzieścia lat, a Mario dwadzieścia trzy. Włoska mama Mario zaprosiła na uroczystość tańca swoich ekscytujących krewnych z Sycylii. Przyjaciółki Lottie patrzyły jak urzeczone na smagłych seksownych kuzynów Maria roztaczających wokół siebie aurę rodziny Corleone. Goście bawili się świetnie, pogoda była cudowna, więc tańce trwały do białego rana. Lottie, cała w bieli skrywającej jej niewielką jeszcze ciążę, zastanawiała się, czy mogła czuć się bardziej szczęśliwa. Dziecko jej i Maria miało się wkrótce urodzić, oni byli młodzi i piękni - cóż lepszego mogła sobie wymarzyć?

I rzeczywiście, przez pierwsze kilka lat układało się im wspaniale. Mario pozostał czarujący, zabawny i pełen energii. Nie potrafiła mu się oprzeć. Był również fantastycznym ojcem, który uwielbiał swoje dzieci i, co okazało się dużym plusem, nie miał nic przeciwko zmienianiu pieluch. Ale urok osobisty Maria szedł w parze z flirciarską naturą i Lottie szybko poznała ciemną stronę życia u boku człowieka, który zawsze i wszędzie musiał

być w centrum uwagi. Dziewczyny w otwarty sposób okazywały mu zainteresowanie. Ale Lottie nie była szarą myszką, która pokornie potrafiłaby przyjąć wysoki męża - natychmiast zapowiedziała, że flirtowania nie zniesie. A to było sprzeczne z jego naturą. Wtedy zaczęły się kłótnie. Świadomość, że wyszła za mąż za człowieka, który miał romansowanie w genach, była nie do zniesienia. Mario nie potrafił pozostać monogamistą. Zazdrość nie miała sensu, a poza tym Lottie nie chciała się do niej zniżać. Jeśli Mario nie potrafił dochować wierności, nie zasługiwał na Lottie. Nie była w stanie żyć z kimś, komu nie mogła ufać, wiedziała, że prędzej czy później zaczną się nienawidzić albo ona nie wytrzyma i przekłuje go czymś większym niż wykałaczką. Dla dobra Nata i Ruby, i zanim gorycz i nienawiść zdołały się w ich związku zadomowić, oznajmiła mężowi, że odchodzi. Mario był zdruzgotany. Robił wszystko, żeby wyperswadować jej tę decyzję, ale ona pozostała nieugięta. To był jedyny sposób, aby pozostali przyjaciółmi.

- Aleja cię kocham - protestował Mario. I kochał, wiedziała o tym.

- Ja też cię kocham. A ty masz romans ze swoją recepcjonistką.

To była walka nie tylko z nim, ale i ze sobą. Wiedziała, że musi przez to przejść.

- Nieprawda! Masz na myśli Jennifer? To nie jest romans, ona nic dla mnie nie znaczy - przekonywał. Wielce prawdopodobne, że ostatnie zdanie rzeczywiście było prawdą.

- Być może, ale ty znaczysz bardzo wiele dla niej. Zadzwoń do mnie ostatniej nocy zalana łzami i opowiadała przez godzinę, jak bardzo jej na tobie zależy. - Lottie westchnęła. - I nie mów mi, że się zmienisz, bo oboje wiemy, że to niemożliwe. Tak będzie lepiej, uwierz mi. Może usiądziemy i zastanowimy się, kto gdzie będzie mieszkał?

Na szczęście nie musiała walczyć o pieniądze. Mario był sprzedawcą i szefem ekskluzywnego salonu samochodowego w Cheltenham i miał bardzo przyzwoitą pensję. Zgodzili się, że ona

i dzieci powinni pozostać w Piper's Cottage, a Mario kupi jeden z nowych domków po drugiej stronie wioski. Żadne z nich nie brało pod uwagę wyjazdu z Hestacombe. Rozwiązanie wydawało im się idealne - Nat i Ruby mogli odwiedzać Maria, kiedy tylko chcieli, a on wypełniał dalej bez przeszkód obowiązki ojca.

Rozwód nigdy nie jest przyjemnym i bezbolesnym przeżyciem, ale Lottie starała się zdusić w sobie smutek. Bardzo szybko nabrała przekonania, że podjęła właściwą decyzję. To było jak wypłynięcie na płyciznę po wyczerpującej przeprawie w pław przez wzburzone morze. Mario Carlyle z pewnością nie był idealnym mężem, ale jako eks- mążzonek sprawdzał się znakomicie. Pomijając momenty, gdy lekkomyślnie uczył swoje dzieci wtykania szpilek w plastelinowe podobizny jej nowego szefa.

Rozdział 5

- Hej, gdzie jesteś? - Mario wymachiwał ręką przed jej nosem.

Sprowadzona gwałtownie na ziemię, Lottie powiedziała:

- Przepraszam, właśnie rozmyślałam, jak cudownie jest nie być już twoją żoną.

- Nie być niczyją żoną, chciałaś powiedzieć. - Mario uwielbiał naśmiewać się z jej ubogiego życia erotycznego.

- Jeszcze trochę i nabierzesz nawyków starej panny. Za dziesięć lat dzieci pójną swoją drogą, a ty zostaniesz sama. Będziesz tkwić w fotelu na biegunach, wyklinać na program telewizyjny i odmawiać wpuszczenia kontrolera z gazowni z obawy, że może być mężczyzną.

Lottie rzuciła w niego kulką plasteliny.

- Za dziesięć lat będę seksowną czterdziestką.

- I będziesz wymachiwać laską na każdego faceta, który ośmieli się zbliżyć do ciebie na mniej niż pół mili. Okropna staruszka z domem pełnym lalek. Będziesz robiła im na szydełku

koronkowe ubranka, wołała na nie po imieniu i wysyłała im urodzinowe kartki.

- Nie po czterdziestce. Miałam zamiar zacząć to robić, gdy skończę pięćdziesiąt sześć lat - zaprotestowała Lottie.

- W każdym razie nie czuję potrzeby, żeby biegać po ulicy i urządzać łapanek na facetów. Dobrze mi samej ze sobą. Odpowiada mi taki spokój. Mówię ci, powinieneś kiedyś spróbować. - Uśmiechnęła się do niego kwaśno.

Zabrzmiało to, jakby sugerowała wspinaczkę na Matterhorn w baletkach, więc Mario zignorował tę propozycję.

- Mówię poważnie. Od naszego rozstania byłeś tylko na jednej randce. - Uniósł w górę jeden palec na wypadek, gdyby nie mogła pojąć grozy tej pojedynczości. - I to też była porażka. Lottie, to nie jest normalne.

Nie jest? Może nie, ale nie zamierza się tym martwić. Dużo przyjemniej jest być samotną i wolną, niż zmuszać się do chodzenia na tak katastrofalne randki, jak ta zeszłoroczna. Zgodziła się pójść na obiad z Tikającym Melvem, bo prosił ją wcześniej trzy razy i nie miała serca odmówić po raz czwarty. Poza tym był to niezbyt lotny, prostoduszny mężczyzna, który nie potrafił czynić żadnych niemoralnych propozycji. To był w końcu tylko obiad, więc coś złego mogło się wydarzyć?

Jak się okazało, wiele. Częściowo była temu winna nerwość Melvyna, ale trudno dobrze się bawić w towarzystwie mężczyzny - a dokładnie kontrolera VAT- u - który cierpiał na denerwujący tik nerwowy, i który spędził pierwszą godzinę randki, robiąc jej wykład o zwrotach podatkowych. Lottie, która nie spała przez całą poprzednią noc, doglądając Nata (problemy żołądkowe, nic przyjemnego), musiała dłonią przytrzymywać szczękę, żeby nie ziewać ostentacyjnie podczas skomplikowanych wywodów o sposobach, do jakich uciekają się ludzie, aby uniknąć płacenia podatków. Pomiedzy przekąskami a daniem głównym uciekła do toalety, aby poziewać sobie swobodnie. I tam, wykończona, natychmiast zasnęła.

Obudziła się w kabinie i z przerażeniem stwierdziła, że upłynęło półtorej godziny. Powrót do restauracji i odkrycie, że Melvyn zapłacił rachunek i dawno wyszedł, było straszne. Przekonany, że dała nogę, bo zanudził ją na śmierć, nawet nie poprosił kelnerki, by sprawdziła w toalecie, czy Lottie jeszcze tam jest.

- Mówił, że to jego wina - z sympatią poinformowała Lottie kelnerka - bo znowu rozgadał się o pracy. Między nami mówiąc, odniosłam wrażenie, że nie pani pierwsza od niego uciekła. Biedak, naprawdę było mi go żal. Wyglądał na załamane. Od razu mu powiedziałam, że facet nie może oczarować dziewczyny, przynudzając o stopach procentowych i podatku VAT.

Ale najbardziej poniżające było to, że Lottie nie miała przy sobie dość gotówki, żeby zapłacić za taksówkę. Zmuszona była zadzwonić do Mario i prosić go, aby przyjechał po nią do Cheltenham i odwiózł do domu. Nieludzko głodna, zgodziła się na przystanek w Burger Kingu i potrójnego cheesburgera z frytkami na wynos. Jaki Mario miał wtedy ubaw! Ale przynajmniej Melvyn przestał zapraszać ją na randki. Cóż, trzeba umieć cieszyć się drobiazgami.

- Jedna nieudana randka - powtórzył Mario z nieskrywaną satysfakcją - i to z Tikającym Melvem! A właściwie, pół randki. Jesteś beznadziejnym przypadkiem.

- To pewnie efekt uboczny małżeństwa z tobą. Zniechęciło mnie ono do tych spraw na resztę życia - stwierdziła rzeczowo.

- Jesteś wybredna, i to jest twój problem.

- W przeciwieństwie do ciebie. Ty bierzesz, co się nawinie.

- Dzięki. Powtórzę Amber, co powiedziałaś. - Odwrócił głowę, przysłuchując się odgłosowi hamulców na podjeździe. - O, powiem jej od razu.

- Amber to wyjątek. - Przez trzy lata, od czasu, gdy zamieszkali osobno, przez życie jej męża przewijał się niekończący się korowód dziewczyn. Wcale by jej to nie przeszkadzało - w końcu Mario był już wolny - gdyby nie obawa o Nata i Ruby. Większość z tych panien była totalnie nieodpowiedzialna. Lottie

nie chciała uchodzić za Babę Jagę, zazdrosną byłą żonę, z premedytacją niszczącą każdy związek, w który wchodził jej eks-mąż, ale jak mogła nie reagować, skoro istniało potencjalne niebezpieczeństwo, że przynajmniej niektóre z tych rozkosznych dziewcząt mogą mieć wpływ na życie jej dzieci?

Nie chodzi o to, że były wredne, okrutne albo że miały złą wolę. Nic podobnego. Były po prostu bezmyślne i nie nadawały się do opieki nad dziećmi. Wszystkie jak jeden mąż udawały, że uwielbiają Nata i Ruby, bo bardzo chciały zaimponować Mariowi. Żeby wkupić się w łaski dzieci

I zdobyć ich przychyłność, kupowały im słodycze i lody. Pewna słodka idiotka zaproponowała Ruby, że rozjaśni jej włosy. Ile było łez i złości, gdy Lottie stanowczo poinformowała córkę, że nigdy się na to nie zgodzi! Inna narzeczona Maria kupiła Natowi procę o mocy karabinu maszynowego. Z kolei w zeszłym roku pewna milutka brunetka o imieniu Babs obiecała Ruby solennie, że na dziewiąte urodziny zabierze ją do Cheltenham, żeby przekłuć jej pępek. Oczywiście przez myśl jej nie przeszło, by zapytać o zdanie Lottie albo Maria. Bogu dzięki, Babs szybko zniknęła, bo kto wie, co jeszcze mogła wymyślić. Zaprosić Nata do studia tatuażu i wymalować mu na czole podobiznę Action Mana?

Ale Amber była inna. I Amber przetrwała najdłużej. Naprawdę lubiła dzieci Maria, a Lottie lubiła ją. I to bardzo. Gdyby miała wpływ na bieg wydarzeń, wybrałaby Amber jako partnerkę Maria i pozwoliłaby jej okiełznać go i poślubić. Byłaby cudowną macochą dla Ruby i Nata. Oczywiście mogłoby się okazać, że trzeba w tym celu wysterylizować Maria jak kota, ale w tym wypadku Lottie zrobiłaby wszystko, żeby jej mąż nie zstąpił ze ścieżki cnoty. Na razie jednak miała do dyspozycji mniej drastyczne metody, aby wspierać ten związek. Była gotowa zrobić wszystko, aby kolejna Babs nie pojawiła się na horyzoncie i nie została drugą panią Carlyle.

Frontowe drzwi otworzyły się i zatrzasnęły z hukiem, a do kuchni weszła Amber. Drobna, jasnowłosa i bardzo energiczna, z

wyraźną skłonnością do krótkich spódniczek i wysokich obcasów, nie wyglądała na pierwszy rzut oka jak wymarzony materiał na matkę. Ale pod jej głęboko wyciętą bluzeczką biło serce ze złota. Była stanowcza, bardzo pracowita i uzależniona od błyszczącej biżuterii. Nie pozwoliłaby Mariowi na żadne kręactwo, a spotykali się już od siedmiu miesięcy. Jak na razie, udawało jej się trzymać go na wodzy. Dla swojego własnego dobra Lottie pragnęła, aby ta sytuacja trwała jak najdłużej.

- Cześć! Potwory w ogrodzie?

- Nie martw się, już je zabieram. - Lottie podsunęła jej piwo, którego prawie nie tknęła. - Należy wam się chwila wytchnienia. Jak dzień?

Amber prowadziła swój własny salon fryzjerski w Tetbury i zatrudniała na godziny cztery stylistki. Swoją ciężką pracą zdobyła sobie liczną i wierną klientelę.

- Ciekawie. Zaproponowano mi wakacje za darmo na południu Francji.

- To jeszcze nic - wtrącił się Mario. - Dziś rano znalazłem w mojej poczcie informację, że wygrałem dwadzieścia pięć patyków i wycieczkę do Australii. Wyrzucaj takie śmieci, kotku. Nigdy nie ma nic za darmo.

- Nie rozumiesz. To prawdziwa propozycja. - Rozliczne bransoletki zabrzączały na jej nadgarstkach, gdy zanurkowała do wysadzanego cekinami różowego plecaczka. Wyciągnęła katalog z biura turystycznego i przysunęła krzesło do Lottie. - Chodźcie, pokażę wam. Jedną z moich klientek zarezerwowała dwa tygodnie w Saint- Tropez dla siebie i swojego chłopaka, ale zerwali w zeszłym tygodniu. Zapytała mnie, czy nie pojechałabym w jego miejsce. O tu, strona trzydziesta siódma. Wygląda fantastycznie, prywatny basen i inne cuda, i tylko pięć minut od przystani, gdzie milionerzy cumują swoje jachty.

- Rety, jaki szpanerski pokój. - Lottie pochyliła się nad fotografią w katalogu. - Z widokiem na zatokę?

Teraz i Mario z zainteresowaniem pochylił się nad ofertą.

- Nigdy nie byłem w Saint- Tropez. Na kiedy jest ta rezerwacja?

- Na początek września. Podobno w lipcu i sierpniu jest nieznośnie, więc to dużo lepszy moment, żeby tam jechać.

- Wszystkie kobiety opalają się tam w toplesie. - Lottie spojrzała ze współczuciem na Mario. - Nie wiem, jak to wytrzymasz.

- Ale... - zaczęła Amber, lecz Mario zabrał jej katalog.

- Chyba mógłbym się wtedy wyrwać. I tak muszę wykorzystać trzy tygodnie urlopu przed Bożym Narodzeniem. Może właśnie tego nam trzeba? - Popatrzył na Amber. - Muszę popracować nad francuskim, zanim wyjedziemy. *Voulez vous coucher avec moi, mon ange, ma petite, mon petit chou...*

- *Mon petit chou...* - skrzywiła się Lottie. - Nigdy nie rozumiałam Francuzów. Gdyby ktoś nazwał mnie kapustą, dałabym mu w zęby.

- Ale - wtrąciła się pośpiesznie Amber - ona zaprosiła tylko mnie, nie ciebie!

Mario zeszywniał.

- Ale powiedziałaś...

- Mandy zerwała ze swoim chłopakiem, ale chce jechać na te wakacje. Spytała mnie, czy nie pojechałabym z nią w jego miejsce.

- Aha. - Mario zwiesił ramiona. - To jest twoja klientka?

- No tak, ale jest też moją przyjaciółką. Przychodzi do nas od trzech lat. Zawsze świetnie nam się rozmawia. Te wakacje były zarezerwowane i opłacone dawno temu i bardzo się na nie cieszyła. Ale nie chce jechać sama, a żadna z jej przyjaciółek nie może wziąć we wrześniu urlopu. Więc poprosiła mnie. Pomyślałam sobie: takie wakacje za darmo, czemu nie?

- Więc już się zgodziłaś? - Mario był zaskoczony.

- Tak - kiwnęła głową Amber. Srebrne kolczyki zatańczyły wokół jej ramion. - Musiałabym być szalona, żeby odrzucić taką propozycję. Patsy i Liz mogą wziąć nadgodziny. Nie ma powodu, aby nie jechać. Boże, już się nie mogę doczekać!

Lottie rozumiała Amber, która wypruwała z siebie żyły w salonie i potrzebowała wakacji, ale potrafiła z łatwością określić powód, dla którego powinna się jednak powstrzymać. Jeśli Mario zostanie pozostawiony sam sobie na całe dwa tygodnie, kto wie, co przyjdzie mu do głowy? Nie zdając sobie z tego sprawy, Amber być może ryzykowała rozpad ich związku.

Jednak niezależnie od tego, co Lottie myślała, jakakolwiek interwencja byłaby nie na miejscu. Nie mogła powiedzieć Amber, że jeśli chce być pewna wierności Maria, musi odwołać wyjazd. Albo kazać go zaarrestować i umieścić w więzieniu na dwa tygodnie - pod warunkiem, że nie będzie tam żadnych strażniczek.

Do kuchni wpadli Nat i Ruby.

- A fu! Potwory! - Amber, udając strach i obrzydzenie, zasłoniła się katalogiem. - Zabierzcie je ode mnie, są takie wstrętne.

- Tak naprawdę to nas lubisz! - Nat spojrział na nią rozpromieniony i oparł się o jej krzesło. - Obiecałaś ostatnim razem, że zagramy w makao.

- Obiecałam, ale niestety teraz mama musi was zabrać do domu. Och, jaka to ulga! - odetchnęła komicznie Amber. - A tak naprawdę, co za nieszczęście! Jestem taka rozczarowana!

- Możemy zagrać jutro. Kupiłaś nam jakieś cukierki?

- A skąd. Słodycze niszczą zęby. Chcecie być szczerbaci? Według mnie jesteście dość okropni już teraz. - Amber umiejętnie załaskotała Nata pod żebrami i ten zwinął się w piszczącą i chichoczącą kulkę. Potem klasnęła w dłonie i zawołała do Ruby: - Nie zgadniesz, kto dzisiaj przyszedł do salonu!

- Królowa Śnieżka?

- Nie, o ile wiem żadna królowa nie mieszka w Tetbury. Ta pani wspomniała, że uczy w szkole podstawowej w Oaklea. A ja wykrzyknęłam: „Ojej, znam parę potworów, które tam chodzą”.

- Kto to był? - Ruby była podekscytowana.

- Pani Ashton - wyszeptała Amber konspiracyjnym tonem.

- Pani Ashton? To moja wychowawczyni!
- Wiem. Mówiła mi, że cię uczy. Powiedziałam, że spędziłaś całe wakacje, odrabiając lekcje i ćwicząc tabliczkę mnożenia.

- Uwierzyła ci? - zachichotała Ruby.
- Ani trochę. Powiedziała, że chyba mówię o jakiejś innej Ruby Carlyle.

Ale Ruby intrygowało coś innego.

- Co zrobiłaś z jej włosami?
- Hm, straciłam całe popołudnie, farbując je na różowo. A potem musiałam jej zrobić milion jasnych pasemek. Chciała mieć na jednej połowie głowy karbowane loki, a na drugiej warkoczyki - wyjaśniła Amber. - Efekt był fantastyczny, wyglądała jak Christina Aguilera w *Moulin Rouge*. Ale niestety to wszystko musi zniknąć, zanim zacznie się szkoła, więc umówiła się ze mną na za dwa tygodnie. Kiedy znów zobaczysz panią Ashton, będzie wyglądała normalnie: krótkie brązowe włosy i grzywka. Tak jakby nigdy nic innego nie miała na głowie.

Ruby i Nat patrzyli na nią z zachwytem, choć trochę nieufnie.

- Naprawdę?
- Co, nie wierzycie mi? - Amber otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. - Wszyscy nauczyciele tak robią. Podczas roku szkolnego muszą mieć zwyczajne nauczycielskie fryzury, ale jak przychodzą letnie wakacje, zaczynają szaleć. Naprawdę.

- Pan Overton nie może szaleć - zauważył Nat. - Nie ma żadnych włosów.

- Ha, ale powinieneś zobaczyć jego wakacyjne peruki! Serce Lottie przepełniło się miłością, gdy patrzyła na tę

trójkę dyskutującą z takim zaangażowaniem. Jej największym pragnieniem było, żeby dzieci czuły się szczęśliwe. Gdyby miała umrzeć, a jej dzieci miałyby zamieszkać z Marłem, Amber stworzyłaby im prawdziwy dom. Boże, nie pozwól, by Mario wszystko zniszczył. Może powinna znaleźć jakiś sposób, żeby złamał obie nogi i spędził wrzesień w szpitalu?

Rozdział 6

Powinnam napisać poradnik, jak denerwować ludzi i tracić przyjaciół, medytowała w duchu Kressida. Myśl o tym, co zamierzała zrobić, przyprawiała ją o gęsią skórkę. Ale z drugiej strony, wyświadczy temu człowiekowi przysługę. I ma nieodpartą ochotę z nim porozmawiać, mimo że chwilowo wygląda na kogoś całkowicie wyprowadzonego z równowagi. Chyba nie weźmie jej za wariatkę. Przeczesała pośpiesznie ręką niesforne jasnobrązowe włosy, układając w głowie sensowne pytania. Nawet tutaj, wewnątrz sklepu spożywczego w Hestacombe, jej fryzura poruszała się przy każdym podmuchu, jakby za chwilę miała odfrunąć.

Ted, właściciel sklepu, obsługiwał kogoś przy kasie i dobrodusznie utyskiwał na ostatnie niepowodzenia drużyny krykieta. Z tyłu sklepu mężczyzna, którego Kressida miała zamiar zagadnąć, raz jeszcze oglądął z niezadowoleniem stojaki z kartkami pocztowymi.

- Nic z tego, nic tu nie ma. Będziemy musieli pojechać do Stroud i poszukać czegoś sensownego - zwrócił się szeptem do syna.

Chłopak był wyraźnie zrozpaczony.

- Ale tato! Mieliśmy iść na ryby. Obiecałeś! - jęknął.

- Wiem, ale muszę to najpierw załatwić. Jutro są urodziny babci. Wiesz, jaka ona jest, nie wyślę jej byle jakiej kartki.

- Wyślij jej tę. - Chłopak wyciągnął coś ze stojaka. Na oko mógł mieć około jedenastu lat.

Kątem oka Kressida zobaczyła tłustawego króliczka z bukietem kwiatów.

- Babcia by się obraziła. Pomyślałaby, że nie chciało mi się poszukać czegoś odpowiedniego. Słuchaj, jeśli teraz pojedziemy do Stroud, do południa wrócimy.

- Nie, proszę, tato! Zawsze mówisz, że będzie szybko, a potem wszystko trwa wieki. Kiedy wrócimy, powiesz, że nie ma sensu iść na ryby, bo już za późno...

- Uhm. - Chrząknąwszy i upewniwszy się dwa razy, że Ted ciągle jest zajęty po drugiej stronie sklepu, Kressida powiedziała cichutko:

- Myślę, że mogłabym pomóc.

A więc zrobiła to. Nie było odwrotu. Zaczepiła zupełnie obcego człowieka w miejscu publicznym i zaoferowała mu swoje usługi.

Ojciec i syn odwrócili się zaskoczeni.

- Słucham? - powiedział mężczyzna.

Ojej, trochę za głośno to powiedział! Kressida podeszła bliżej, a jej mina sugerowała, że powinien ściszyć głos.

- Przepraszam, że się wtrącam, może to nie na miejscu, ale jeśli chcecie, mogę zrobić wam kartkę.

- Co? - Chłopak nie starał się być uprzejmy. Chyba naprawdę wzięli ją za impertynentkę. Trzasnęły drzwi - jedyny poza nimi klient opuścił sklep. Ich tajemnicze szepty na tyłach sklepu w każdej chwili mogły wzbudzić podejrzenia Teda.

- Robię kartki z pozdrowieniami. - Kressida była lekko zażenowana reakcją chłopca. - Mieszkam niedaleko. Jeśli jesteście zainteresowani, za dwie minuty mogę być do dyspozycji. Jeśli nie, nie ma problemu. W Stroud jest mnóstwo sklepów z kartkami.

Teraz naprawdę czuła się zakłopotana i miała poczucie, że nie była w porządku wobec Teda. Czując, że policzki jej płoną, złapała z półki butelkę płynu do mycia naczyń i odeszła w stronę lodówek. Włożyła do kosza mleko, masło i ruszyła do kasy.

- Cholerni wczasowicze - przeklął Ted, kiedy drzwi zaskrzypiały za ojcem i synem. Fakt, że ktoś wchodził do sklepu i wychodził z pustymi rękoma, odbierał jako osobisty afront.

Kressida tłumaczyła sobie, że nie powinna czuć się winna - nawet gdyby jej tu nie było, mężczyzna i tak nie kupiłby żadnej z kiczowatych kartek ze stojaka Teda. Ale sumienie nie dawało jej spokoju.

- Wiem, są wkurzający - powiedziała. - Wezmę jeszcze paczkę gumy owocowej.

- A ciasto orzechowe? Przywiozłem dziś rano. - Mrugając zachęcająco, Ted już sięgał po pachnący wypiek.

- Niech będzie, Ted. Wezmę i ciasto. - Kressida nie była odporna na chywyty handlowe.

Na zewnątrz, jakieś dwadzieścia jardów od sklepu, mężczyzna i jego syn spacerowali w słońcu bez wyraźnego celu.

- Przepraszam, wiem, że moja propozycja zabrzmiała dziwnie, ale nie jestem stuknięta - powiedziała Kressida, podchodząc do nich. - Mój dom jest tutaj, naprzeciwko skweru.

- To wygląda na porwanie. - Nieznajomy odzyskiwał dobry humor, obserwując Kressidę otwierającą szmaragdowozielone frontowe drzwi i rozglądającą się konspiracyjnie na prawo i lewo.

- Ted by mi nie wybaczył. A nie chciałabym mieć zakazu wstępu do jedyne go sklepu w wiosce. Wchodźcie, moja pracownia jest na końcu korytarza.

Kressida wprowadziła ich do zalanego słońcem obszernego pokoju, który wcześniej pełnił zapewne funkcję jadalni. Był pomalowany na żółto i wypełniony stertami pudeł. Pod jedną ze ścian stało biurko z komputerem podłączonym do internetu - to był najlepszy sposób na reklamowanie jej wyrobów. Obok biurka na długim kilkumetrowym stole leżały rozpoczęte prace.

- OK, to nie zajmie wiele czasu. Wiem, że śpieszycie się na ryby. - Kressida spojrzała na chłopca, który przebierał nogami i najwyraźniej żałował każdej minuty. - Jeśli powie mi pan, co podobałoby się mamie, zrobię kartkę na miejscu i według pana projektu.

Mężczyzna podszedł do stołu, a drgania wywołane jego krokami zbudziły z uśpienia ekran komputera. Przyjrzał się uważnie arkuszom kolorowej tektury, zwojom jedwabnych i

aksamitnych wstążek, talerzom z suszonymi płatkami kwiatów, piórek i szklanych koralików, a potem spojrzął na ekran komputera i przeczytał:

- Kressida Forbes - Kartki. To pani nazwisko?

- Tak, to ja. - I próbując zachować się jak prawdziwa bizneswoman, radośnie oznajmiła: - Wyjątkowe kartki na każdą okazję.

Chłopak, którego niestety zaczynała nie lubić, wydał z siebie pogardliwe prychnięcie, oznaczające bez wątpienia: „co za idiotka”.

- Kressida. Ładne imię. - Ojciec próbował zatuszować zachowanie syna.

- Kiedy byłam w szkole, wszyscy wołali na mnie Wykressida, bo ciągle rysowałam. Wtedy nie wydawało mi się to ładne.

Znów usłyszała prychnięcie.

- Albo Okressida - powiedział chłopak, a na ustach błąkał mu się złośliwy uśmiešek.

- Tak też bywało - zareagowała spokojnie. - W każdym razie - powiedziała, chwytając myszkę i klikając na przykładowe kartki na stronie internetowej - może pan wybrać którąkolwiek z tych kartek i podpisać wedle życzenia.

- Ile to zabierze czasu? - zaniepokoił się chłopak.

- Niedługo, ponieważ jestem w tym bardzo dobra. Mniej niż pół godziny.

- Pół godziny!

- Ta mi się podoba. - Mężczyzna wskazał na liliową kartkę z impresjonistycznym widokiem ogrodu. Połyskiwała na niej bladezielona cieniutka siateczka, srebrna wstążka, różowe szklane koraliki i ręcznie malowane metalicznie zielone drzewa.

- Może pani napisać z przodu: „Mamo, wszystkiego najlepszego w dniu Twoich siedemdziesiątych urodzin”?

- Oczywiście, że mogę. - Myślał, że nie potrafi pisać? - Napiszę, co pan zechce.

- Pół godziny!

- Proszę. - Sięgając ponad głową burkliwego chłopca, Kressida zdjęła z półki liliową tekturkę w formacie A5 i pasującą do niej kopertę. Otworzyła kartkę i podała jego ojcu wieczne pióro.

- Proszę napisać w środku życzenia i zaadresować kopertę. Potem możecie iść na ryby. Skończę kartkę i wyślę ją przed lunchem.

- Tak, tylko skąd będziemy wiedzieli, że pani ją wysłała? Chłopak zasłużył sobie na klapsa.

- Kiedy zadzwonisz jutro do babci z życzeniami, zapytasz, jak podoba jej się kartka.

- Donny, zachowuj się. Bardzo panią przepraszam. - Skończywszy pisać, mężczyzna wyciągnął portfel. - Jestem pani ogromnie wdzięczny. A matka będzie zachwycona. Ile się należy?

Kressida patrzyła przez okno, jak ojciec i syn wędrują w dół ulicy, wsiadają do granatowego Volvo i odjeżdżają. Kartka, którą wybrał ojciec Donny'ego, kosztowała cztery funty, ale Kressida była tak zawstydzona faktem, że niemalże siłą zmusiła nieznanego do skorzystania ze swoich usług, że poprosiła tylko o dwa. A na dodatek teraz musiała wysłać list droższą pocztą ekspresową i sama zanieść go do skrzynki. Spójrzmy prawdzie w oczy: nie ma najmniejszej szansy, aby kiedykolwiek odniosła sukces finansowy. Ale mimo wszystko, Kressida nie żałowała. Z sympatią myślała o mężczyźnie, chociaż nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Dowiedziała się tylko, że jego matka to pani E. Turner, która mieszka w Sussex i jutro świętować będzie swoje siedemdziesiąte urodziny. Aha, i że jej wnuk jest nadętym rozpuszczonym bachorem.

Niesforna fryzura Kressidy odbijała się w kuchennej szybie. Chwyciła parę szylkretowych grzebyków i zgrabnym ruchem upięła włosy w kok, odsuwając wszędybylskie kosmyki od twarzy. Podwinęła rękawy białej koszuli i usiadła przy stole, aby skończyć kartkę pani Turner. Listy wybierano w południe, lepiej więc, żeby się nie spóźniła.

Rozdział 7

Była siódma wieczór, kiedy u drzwi wejściowych zabrzączał dzwonek. Kressida siedziała przed telewizorem i zajadała kurczaka po hindusku. To pewnie Lottie, pomyślała. Zdarzało się, że wpadała na plotki i drinka.

- O kurczę! - Cofnęła się o krok, gdy zobaczyła, że to zupełnie inny gość. I uświadomiła sobie, że jej oddech z pewnością pachnie curry.

- Dziś rano policzyła mi pani za mało. I nie dała szansy, żebym się przedstawił. - Na progu stał syn pani Turner, opalony, uśmiechnięty i w czystej niebieskiej koszuli. W ręku trzymał bukiet frezji. - Tom Turner - przywitał się.

Od czasu pewnego dramatycznego wydarzenia we wczesnej młodości wpadała w panikę na widok każdego mężczyzny niosącego kwiaty. (- Jakie piękne kwiaty! Dla mnie?

- Nie, na grób babuni.)

- Miło cię znów widzieć, Tom. Jestem Kressida Forbes

- powiedziała zmieszana.

- Wiem - kiwnął głową Tom.

- Boże, pewnie, że wiesz. Zapomniałam. Eee... wysłałam tę kartkę.

Uśmiechnął się.

- Wiedziałem, że to zrobisz. Masz taką uczciwą twarz. Kressida nie miała pojęcia, czy jej twarz jest uczciwa. Za to miała stuprocentową pewność, że jest czerwona.

- Może powinnam się teraz przyznać, że pasjami rabuję banki - powiedziała Kressida, powstrzymując się od patrzenia na kwiaty.

- Proszę. - Wyciągnął dłonie z bukietem frezji w jej kierunku. - Pomyślałem, że lubisz kwiaty. I chciałem podziękować za pomoc dziś rano.

- Ojej! - Udając, że wcześniej nie zauważyła bukietu, Kressida chwyciła kwiaty i z entuzjazmem zanurzyła w nich twarz. - Jak pięknie pachną. Bardzo ci dziękuję. Naprawdę, nie trzeba było...

- Nie zapłaciłem tyle, ile powinienem. Widziałem ceny na stronie internetowej - uśmiechnął się Tom. - i chciałem przeprosić za zachowanie Donny'ego. Był dziś rano nieznośny.

Miło, że to zauważył. Kressida rozejrzała się.

- To taki wiek. Zostawiłeś go w samochodzie?

- Nie, został w domku ze swoim GameBoyem.

Zapadła niezręczna cisza. Tom wciąż stał na progu, najwyraźniej nie mając zamiaru odejść. Kressida miała świadomość, że jej oddech na pewno pachnie curry, ale jednocześnie nie chciała kończyć tej rozmowy.

- Złapałeś coś? - spytała krótko.

- Co? - Tom wyglądał na zaskoczonego. No, świetnie, na pewno pomyślał, że pyta go o chorobę weneryczną.

- Wybieraliście się na ryby - powiedziała pośpiesznie. - Udało się coś złapać?

- A tak! Udało się...

- Wejź na drinka! - Kątem oka Kressida dostrzegła Teda, właściciela sklepu, wędrującego w ich kierunku w dół ulicy. Z pewnością zmierzał do pubu Pod Latającym Bażantem na codzienną porcję Guinnessa i miłą rozmowę o stanie państwa, krwiożerczych supermarketach przejmujących władzę nad światem i wkurzającym stadzie amatorów nazywających siebie angielską drużyną krykieta.

Kressida, nie myśląc wiele, chwyciła Toma za ramię, bezceremonialnie wciągnęła go do holu i zatrzasnęła za nim frontowe drzwi. Coś mówiło jej, że absolutnie nie miał nic przeciwko temu.

- Już myślałem, że nigdy na to nie wpadniesz - powiedział rozbawiony.

- Przepraszam. Tam idzie Ted, ten ze sklepu. Wejdz, proszę.

Otworzyła szeroko kuchenne okno, żeby pozbyć się zapachu curry, i dyskretnie wyrzuciła do kosza plastikowy pojemnik, w którym podgrzewała w mikrofalówce kurczaka. Całe szczęście, że po podgrzaniu chciało jej się przełożyć jedzenie na talerz.

- Przepraszam za zapach. Pozwól tylko, że włożę w coś kwiaty. Herbata, kawa czy czerwone wino?

Tom spojrział na frezje, które rozwijała z folii.

- Myślę, że wolałyby wodę.

- Jasne. - Kressida pokiwała głową, czując, że trajkocze bez sensu. - Woda dla kwiatków. A czerwone wino dla nas. Obawiam się, że nie będzie nadzwyczajne.

- Przestań w końcu przepraszać. - Tom uśmiechnął się.

Usiedli na świeżym powietrzu w patio. Kressida dowiedziała się, że Tom i jego syn mieszkają w Newcastle, a tu wynajęli jeden z domków Freddiego. Był to trzeci dzień ich dwutygodniowych wakacji. Po południu złapali sześć pstrągów i pięć okoni, więc mieli w planie jeszcze kilka wypraw na ryby.

- Ta perspektywa rozchmurzyła Donny'ego - powiedział Tom. - Myślę, że to był jeszcze jeden powód, dla którego chciałem się z tobą spotkać. Chciałem, żebyś wiedziała, że Donny nie jest zawsze taki zgryźliwy jak dziś rano. To dobry chłopak. Ale ostatnie lata były dla niego bardzo trudne.

- Rozwiodłeś się? - Można się było domyśleć. Ojciec i syn spędzający razem wakacje, żadnej obrączki w zasięgu wzroku.

Tom kiwnął głową.

- Moja żona odeszła z innym.

- O Boże, przepraszam. Tom wzruszył ramionami.

- To zupełnie załamało Donny'ego. Nikt się tego nie spodziewał. Po prostu wyszła pewnego ranka i nie wróciła. Zostawiła tylko kartkę, nawet się nie pożegnała. Mieszka teraz w Norfolk z tym swoim facetem. Biedny Donny ma teraz tylko

mnie. Robię, co mogę i jakoś się trzymamy, ale to przecież nie to samo...

- Jasne, że to nie to samo. - Kressida pokiwała głową ze zrozumieniem, bardzo żałując, że miała wcześniej ochotę obić Donny'ego. I z całego serca współczuła siedzącemu naprzeciwko Tomowi.

- Dla ciebie to też musiało być straszne.

- Co mam powiedzieć? - Tom potrząsnął głową. - Trzeba żyć dalej, jakoś się pozbierać. Mam czterdzieści dwa lata i jestem samotnym ojcem. Nigdy nie sądziłem, że coś takiego może mi się przytrafić. O Boże, ale marudzę! - Skrzywił się, ale po chwili grymas zamienił się w uśmiech. - Teraz ja powinienem przeprosić. Porozmawiajmy o czymś przyjemnym. Zacznijmy tę rozmowę jeszcze raz, dobrze? Opowiedz mi teraz o sobie.

Kressida poczuła miłe łaskotanie w brzuchu. Tom był sympatycznym, otwartym facetem, z którym rozmawiało się jak ze starym znajomym. To przecież ona, nie do końca zdając sobie z tego sprawę, poderwała go dziś rano w sklepie Teda. Teraz siedział w jej patio, pił wino i prosił, żeby opowiedziała mu o sobie. Jej dotychczasowe katastrofalne doświadczenia z mężczyznami nauczyły ją, że są to istoty zainteresowane wyłącznie mówieniem o sobie. Ale musiała przyznać, że miała talent do wiązania się z wyjątkowo samolubnymi przedstawicielami płci przeciwnej. Jaka szkoda, że ten mieszkał aż w New- castle-upon- Tyne.

- No dobrze. Mam trzydzieści dziewięć lat i też jestem rozwiedziona. - Miała uczucie, że zabrzmiało to jak ogłoszenie w rubryce matrymonialnej, więc machnęła ręką i powiedziała: - Ale to było wieki temu. Bardzo lubię Hestacombe i moją małą firmę. Kiedyś pracowałam jako sekretarka, ale bezmyślnie uwikłałam się w *romans z moim szefem*. Oczywiście miłość skończyła się po kilku miesiącach, ale układy w pracy stały się nieznośne. - Kressida ujęła to lakonicznie, bo nie chciała się rozwodzić nad załamaniem, które przeżyła, gdy jej szef zostawił ją dla pewnej dziesięcioletki. - Rzuciłam pracę i

postanowiłam spróbować z kartkami. Pierwsze miesiące było okropne - jeździłam od sklepu do sklepu, prosząc, by ktoś zechciał sprzedawać moje pocztówki. Ale z czasem interes zaczął się kręcić, a teraz jest wspaniale. Nigdy nie zarobię fortuny, ale mam na spokojne życie i nie muszę patrzeć na zegarek. Jeśli mam ochotę zrobić sobie wolny dzień i poskakać na bungee, nic nie stoi na przeszkodzie. A kiedy indziej spędzam całą noc w pracowni, robiąc pięćdziesiąt zaproszeń na wesele albo chrzciny. Nigdy nie wiem, co będzie dalej i to mnie chyba najbardziej w tej pracy pociąga.

Tak, ta opowieść chyba była radosna i przyjemna. Tom nie powinien myśleć, że jest jakąś ponurą samotnicą. To, co mówiła, brzmiało dziko i ekscytująco, spontanicznie i impulsywnie...

- Skaczesz na bungee?

- A czemu nie? - Ciągłe czując się spontanicznie i dziko, zapewne pod wpływem czerwonego wina, Kressida uśmiechnęła się ołśniewająco i swobodnie potrząsnęła czupryną.

Klik, klik. Szylkretowe grzebienie wypadły z jej włosów, stuknęły o oparcie krzesła i upadły na podłogę patio. - No dobrze - poddała się. - Nie skaczę na bungee. Ale mogę zrobić sobie wolne i iść na zakupy, jeśli mam na to ochotę.

- I bardzo dobrze - zgodził się Tom. - Moja była żona uważała, że tydzień bez nowych butów jest tygodniem straconym.

- Była kobietą luksusową? - Kressida zawsze marzyła o tym, żeby być kobietą atrakcyjną i wytworną, ale wiedziała, że nie jest w stanie tego osiągnąć. Przepych nie leżał w jej naturze. Ilekroć wybierała się do miasta, aby kupić coś sztywnego, zawsze wracała z torbami pełnymi długich cygańskich spódnic, obszernych bawełnianych koszul obszytych aksamitem i koronkami, i wyszywanych kamizelek.

- Luksusową? Nie, nie sądzę. - powiedział Tom. - Angie po prostu lubiła mieć dużo wszystkiego i w każdym kolorze. Ale rzeczywiście zawsze była bardzo elegancka. Myślę - dodał - że ciągle jest.

A więc była kimś, kim nigdy nie będę, myślała Kressida. Elegancja wymaga przyjaźni z żelazkiem, a to było uczucie zupełnie Kressidzie obce. Czy mężczyzna, który przez lata żył z elegancką kobietą, może zainteresować się kimś, kto nawet nie ma deski do prasowania? Ale stop, znowu się zagalopowała. Ten człowiek przyszedł tylko podziękować za pomoc, nic więcej.

- Donny tego nie cierpiał - kontynuował Tom. - Angie i jego próbowała ubierać elegancko, a on najlepiej się czuje w znoszonych bluzach i bojówkach. Teraz pozwalam mu nosić to, co chce. Dzieciaki mają swoje upodobania, prawda? Ty przecież to rozumiesz.

- Eee... hm...

- Przepraszam - powiedział Tom, wyczuwając jej konsternację. - Widziałem w kuchni zdjęcia twoje i córki. Skoro też sama wychowujesz dziecko, byłem pewien, że zrozumiesz, co dzieje się z Donnym.

Kressidę zalała fala dumy podszytej, jak zawsze, smutkiem. Mogła ukryć ból, ale on i tak wypływał. Słowa utknęły jej w gardle. Upiła jedynie łyk wina.

- Jak ma na imię? - spytał Tom.

- JoJo. - To nie było trudne.

- JoJo. - Pokiwał głową. - Ma mniej więcej tyle lat co Donny?

To pytanie też nie było trudne. Nie musiała przecież opowiadać mu całej historii. Być może już nigdy więcej go nie spotka.

- Ma dwanaście lat. I obłędnie ją kocham. - Kressida zmusiła się do uśmiechu i przejechała bosymi stopami po chropowatych kafkach patio. - Ale nie jest moją córką. Ja tylko się nią opiekuję.

Rozdział 8

Tyler Klein zobaczył ich, kiedy przejeżdżał przez Hestacombe następnego poranka. Dwoje dzieci ubranych w szorty,

podkoszulki i czapki z daszkiem wyszło z nowego domu na obrzeżach wioski. Nie mógłby przysiąc, że to oni, ale mógł się dowiedzieć. Zwolnił i zatrzymał samochód tuż przy nich.

Kiedy otworzył drzwi klimatyzowanego wozu, uderzyła go fala gorąca. W oczach dzieci zobaczył błysk niepokoju, który powiedział mu wszystko. Jeden miał dłuższe włosy niż drugi, ale miał rację, że byli to dwaj chłopcy.

- Cześć - uśmiechnął się Tyler. - To was widziałem nad jeziorem?

Chłopcy przyjrzeni mu się nieufnie.

- Nie - powiedział starszy z nich.

- Na pewno? Nie uciekaliście z jakimiś ciuchami?

- To nie my.

- Słuchajcie, nie wydam was, obiecuję. Ja tylko muszę znać prawdę.

- Nie zabraliśmy żadnych ciuchów - powiedział młodszy chłopiec.

Deja vu. Ale tym razem Tyler był pewien, że miał rację.

- Dobra. Ale wiecie, że są takie testy, które można zrobić, żeby się dowiedzieć, kto jest winien. DNA - powiedział Tyler. - Odciski palców.

W drzwiach pojawiła się młoda, pulchna matka chłopców z jeszcze pulchniejszym niemowlęciem na ręku. Nie zareagowała, kiedy jej młodszy syn wypalił:

- Ale nie ukradliśmy ich, oddaliśmy jej. Wrzuciliśmy je przez płot do jej ogrodu.

- Wiem - kiwnął głową Tyler. - Ale dzięki za potwierdzenie.

- Au! - pisnął chłopiec, gdy brat trącił go boleśnie łokciem w żebra.

- Głupku, po co mu powiedziałeś?

- To boli!

- Przepraszam - ukłonił się Tyler, dostrzegając spojrzenie ich matki.

- Niech pan nie przeprasza. To zaraz oni będą przepraszać, łobuzy. Co buchnęli?

- Nieważne - Tyler potrząsnął głową.

- Dla pana może nie, dla mnie tak. Harry, Ben, do domu.

Chłopcy przemknęli obok matki, która trzepnęła ich z wprawą po uszach. Zanim zniknęli wewnątrz domu, starszy odwrócił się i przeciągle popatrzył na Tylera. Mężczyzna zdał sobie sprawę, że w oczach młodszej populacji Hestacombe stał się Wrogiem Publicznym Numer Jeden. Cóż za miły początek dnia!

Lottie siedziała przed komputerem w swoim biurze i porządkowała rezerwacje, kiedy usłyszała chrzęst żwiru na podjeździe. Dźwięk ten nieomylnie zwiastował przybycie

Tylera Kleina. Zadowolona z chwili relaksu, chwyciła stojącą przed nią butelkę Oranginy i wyszła na zewnątrz, żeby go przywitać.

- Widzę, że garnitur dzisiaj odpoczywa. - Oparła się o drzwi dobudówki, w której mieściło się jej biuro, i obserwowała Tylera wyłaniającego się zza samochodu. Miał na sobie koszulę w bladioróżowe paski i jasne dżinsy. Nie miała wątpliwości, że w rankingu nowych szefów ten plasował się na bardzo wysokim miejscu. Co mogło być fantastyczne lub wróżyć katastrofę. Czas pokaże.

- Nienawidzę garniturów. Musiałem je nosić codziennie przez ostatnie dwanaście lat. - Oczy Tylera Kleina rozbłyły, kiedy witał się z Lottie. - Od tej pory, jeśli zobaczysz mnie w garniturze, możesz być pewna, że jestem w drodze na wesele albo pogrzeb.

Lottie wzdrygnęła się na wzmiankę o pogrzebie. Ale to nie była jego wina - przecież nie wiedział o chorobie Freddiego. Uściśnął mocno jej dłoń, a unoszący się wokół niego subtelny zapach wody po goleniu sprawił, że chciała wdychać i wdychać, choć rozum podpowiadał jej, że już dawno powinien nastąpić wydech.

- Wygląda na to, że będziemy pracować razem - powiedział. - Freddie jest dziś w Cheltenham, ale powiedział mi, że chcesz zobaczyć, jak wygląda u nas normalny dzień pracy. - Popatrzyła na zegarek. - W tej chwili jest sprzątany Teacher's Cottage, dziś mają przyjechać nowi goście. Chcesz zobaczyć, jak go przygotowujemy?

Tyler wzruszył ramionami i kiwnął głową.

- Ty tu jesteś szefem. Zrobimy, co zarządzisz - powiedział.
- Zdaje mi się, że to ty jesteś szefem. - Lottie zamknęła za sobą drzwi biura. - I mam nadzieję, że mnie nie zwolnisz.

Teacher's Cottage był zabytkowym budynkiem objętym prawną ochroną. Był przeznaczony dla czterech osób i otoczony pięknym, starym ogrodem. Lottie przedstawiła Tylerowi Liz, sprzątaczkę, która właśnie skończyła pucowanie podłóg, i oprowadziła go po willi.

- Zostawiamy w lodówce świeże jedzenie. Na stole czeka na gości świeżo upieczone domowe ciasto. Kwiaty w salonie i sypialniach. Książki i gazety przeważnie giną, więc zastępujemy je nowymi.

- Skoro rozmawiamy o zgubach, to obawiam się, że jestem winien twoim dzieciom przeprosiny. - Tyler zrobił skruszoną minę. - Właśnie odkryłem, kto zabrał twoje ubrania.

- Nie martw się, w końcu im uwierzyłam. - Mówiąc to, Lottie poprawiła obrazy na ścianach, ustawiła poduszki i przesunęła stolik do kawy na właściwe miejsce. Obrazy wisiały prosto, a poduszki stały na baczność w rogach kanapy, ale nie szkodziło pokazać nowemu szefowi, jaką jest bystrą i pracowitą osobą.

- I kto to zrobił?

- Dwóch małych chłopców. - Tyler nie miał zamiaru podawać jej ich imion. - Więcej tego nie zrobią.

- Aa, Ben i Harry Jenkins. - Wyraz jego twarzy ją rozbawił.
- To nie Nowy Jork. Tu wszyscy się znają. Ich mama pomaga tu czasem w sprzątaniu. Mogę cię o coś zapytać?

- O co tylko chcesz. - Tyler rozłożył ręce.
- Zamierzasz tu mieszkać i osobiście doglądać posiadłości? Czy będziesz wpadał od czasu do czasu, raz na kilka tygodni, żeby zobaczyć, jak interes się kręci?

- Będę mieszkał tutaj i doglądał firmy. - Tylera chyba ubawił jej niepokój. - A co rozumiesz przez „wpadanie od czasu do czasu”?

- No wiesz, mieszkałbyś dalej w Londynie czy Nowym Jorku. Pracujesz w bankowości, prawda? - Lottie nie była całkowicie pewna tego, co o nim wiedziała. - To przecież duża zmiana. Myślałam, że może chcesz robić to, co robiłeś, a w przedsiębiorcę wczasowego zabawiać się tylko w wolnych chwilach.

- Uważasz, że nie poradzę sobie z tym biznesem?

- Uważam, że to nie będzie przynosiło takich dochodów, jak niebotyczne operacje finansowe, kombinacje na giełdzie, handlowanie udziałami i firmami itp.

Świadoma, że jej wiedza o rynkach finansowych jest, mówiąc ogólnie, nader wątpliwa, Lottie przerwała i kolejny raz poprawiła czasopisma na stoliku do kawy. - A skoro stać cię na to, żeby kupić wszystkie te domy i grunty, to czy mieszkanie w Fox Cottage nie będzie zupełnym dziwactwem? Mam na myśli, że pewnie jesteś przyzwyczajony do ciekawszych miejsc, luksusowych apartamentów z widokiem na Central Park i tym podobnych. A praca tutaj to coś zupełnie innego. - Lottie czuła się zobligowana, aby uprzedzić go o wszelkich niedogodnościach. - Co zrobisz, jak o trzeciej nad ranem zadzwoni do ciebie gość i powie, że pękła rura i woda leje mu się na głowę? Albo że odpływ się zapchał? Albo że właśnie złapał w kuchni mysz? Widzisz? Jak sobie z tym wszystkim poradzisz?

- Dobra, dobra. - Tyler uniósł w górę obie ręce. - Kiedy zadajesz milion pytań, to rób od czasu do czasu przerwę, żeby ludzie mieli szansę odpowiedzieć.

- Przepraszam. Wścibska jestem, wiem. I za dużo gadam. - Aby udowodnić, że mimo wszystko jest wartościowym

pracownikiem, Lottie poprawiła kwiaty wazonie, przekładając kilka pachnących groszków i liści paproci.

- Więc myślisz, że jestem jakimś palantem, który nie ma pojęcia o życiu i nie potrafi odróżnić śrubokręta od przepychacza do zlewu? I zostaw te kwiatki, Freddie już mi powiedział, że jesteś niezbędna. - Tyler wszedł do kuchni i zaczął sprawnie przeglądać zawartość szafek. - Uwierz mi, nie jestem taki beznadziejny. I nie boję się pracy fizycznej. Albo myszy. Ale jeśli zdarzą się awarie, z którymi nie będę umiał sobie poradzić, zrobię to, co każdy normalny człowiek zrobiłby na moim miejscu: wezwę fachowców.

Czyżby obraziła go, sugerując, że nie nadaje się do tej pracy?

- Wcale nie uważam, że jesteś palantem czy jakimś maminsynkiem - zaprotestowała Lottie. - Po prostu zastanawiam się, dlaczego nie chcesz już robić tego, co robiłeś.

Przeprowadziwszy inspekcję szafek, Tyler oparł się o kamienny blat i włożył ręce do kieszeni.

- Powiem ci, jak to jest. Wstajesz codziennie o piątej i gnasz na salę gimnastyczną, potem dwanaście godzin w biurze. Niekończące się spotkania, konkurenci, którzy najchętniej wdeptaliby cię w ziemię, decyzje, które mogą podreperować albo zniszczyć czyjeś finanse, a nawet życie. A potem martwisz się, czy podjąłeś słuszną decyzję, musisz znieść krytykę, kiedy coś nie wyjdzie. Mówię ci, to przesłania cały świat. Żyjesz pod straszliwą presją i wmawiasz sobie, że stres ci służy. A to nieprawda. Nic się nie liczy oprócz następnej transakcji, następnego miliona na koncie. Zamieniasz się w maszynę. - Przerwał, a po chwili bezbarwnym głosem dodał: - Takie życie może zabić.

W oczach miał dziwne przygnębienie. Chryste, pomyślała Lottie. Zabić? Chyba nie chodzi o ciebie?

Rozdział 9

- Chcesz wiedzieć, co się stało? - spytał Tyler. Lottie kiwnęła głową w milczeniu.

- To tempo zabiło mojego najlepszego przyjaciela.

Uff, więc wszystko w porządku. No, może nie całkiem, ale...

- Nazywał się Curtis Segal - kontynuował Tyler. - Zналиśmy się od szóstego roku życia, mieszkaliśmy na tej samej ulicy. Byliśmy sobie bliżsi niż bracia. Podczas wakacji w college'u pracowaliśmy na tym samym rancho w Wyoming. A po studiach zaczęliśmy pracę w podobnych firmach. Curtisowi szło świetnie, szybko awansował i zarabiał coraz lepsze pieniądze, ale prawie nie spał. Był zdrowy. Kiedy ma się trzydzieści parę lat, nie myśli się, że cokolwiek złego może się wydarzyć. Aż do pewnego dnia, w którym miał bardzo ważną prezentację. Nie największą, jaką kiedykolwiek robił, ale ważną. Pięć minut przed prezentacją powiedział sekretarce, że boli go lewe ramię. Chciała wezwać lekarza, ale Curtis jej nie pozwolił, bo wszyscy już czekali na rozpoczęcie prelekcji.

Tyler ucichł. Wciąż oparty o kuchenny blat, pograżył się w myślach.

- Więc poszedł tam i zrobił, co miał zrobić. No, nie całkiem, tylko połowę. Po czym przewrócił się i umarł przy wszystkich na środku sali. Lekarze reanimowali go przez czterdzieści minut, ale nic już nie dało się zrobić, nie żył. Wiesz, co stało się potem?

- Co?

- Firma straciła tych klientów. Faceci stwierdzili, że nie chcą współpracować z bankiem, w którym pracownicy zajmujący kierownicze stanowiska umierają na ich oczach. I wiesz, co jeszcze?

- Co?

- Jego szef nawet nie przyszedł na pogrzeb. Musiał podjąć obiadem innych bardzo ważnych potencjalnych klientów. Szalenie ważnych. Nie opuściłby przecież pogrzebu Curtisa dla byle kogo. Jak mi później powiedział, wysłał przecież wieniec za trzy tysiące dolarów.

Oczy Tylera były wąskie ze złości. Lottie chciałyby go pocieszyć, ale nie mogła przecież zarzucić mu rąk na szyję.

- Kiedy to było?

- Pięć miesięcy temu. Wtedy zrozumiałem, że to mogłem być ja. A w zasadzie, że ja mogę być następny. I podjąłem decyzję, ot, tak. - Strzelił palcami. - Dzień po pogrzebie Curtisa wręczyłem wymówienie. Wszyscy stwierdzili, że oszalałem. A ja wiedziałem, że robię słusznie, że w życiu musi chodzić o coś więcej niż wypruwanie sobie flaków na Wall Street, Poleciałem do Wyoming i odwiedziłem ranczo, na którym kiedyś pracowaliśmy. Pomyślałem, że znów mógłbym to robić.

To niewiarygodne miejsce: nic tylko góry, niebo i wielkie otwarte przestrzenie. Ale bez Curtisa to nie było to samo. - Tyler przerwał. - Potem pojechałem do rodziców. Pokazali mi zdjęcia z wakacji. Nie masz pojęcia, jak oni kochają to miejsce. Moja matka wciąż powtarzała, że powinienem zrobić sobie długi urlop, pojechać do Anglii i pooglądać krajobrazy.

- Więc przyjechałeś tutaj i kupiłeś widoki... Wiesz, bardzo lubię twoich rodziców. Są świetni - dodała Lottie.

Tyler pokiwał głową i uśmiechnął się.

- Trochę szaleni, prawda? Albo nieszkodliwie ekscentryczni, jak mówicie na Wyspach. Masz rację, kupiłem widoki. Od razu spodobał mi się ten kraj. Parę lat temu pracowałem w Londynie dla jednej z filii naszego banku. Byłem tu tylko sześć miesięcy i bardzo intensywnie pracowałem, ale właśnie wtedy pomyślałem, że mógłbym tu zamieszkać. A parę tygodni temu, rozmawiając z matką, dowiedziałem się, że Freddie planuje sprzedaż posiadłości. To właściwie ona zasugerowała, że mógłbym ją kupić, bo wtedy mama i ojciec mogliby tu przyjeżdżać za darmo.

Tyler był teraz bardziej rozluźniony. W jego głosie Lottie czuła prawdziwą miłość do matki.

- Powinieneś być wdzięczny niebiosom, że nie upodobała sobie Taj Mahal - powiedziała rozbawiona.

- To samo jej powiedziałem. Spytałem, czy nie wolałaby, żebym kupił Blenheim Palace. Ale wieczorem z czystej ciekawości popatrzyłem na waszą stronę internetową i nagle zdałem sobie sprawę, że mogę to zrobić, że być może to jest szansa na zmianę, jakiej szukam. To cudowne miejsce - moi rodzice zawsze tak twierdzili. Gdyby cena była rozsądna... Na zakupie takich posiadłości nigdy się nie traci, nie ma tu żadnego ryzyka. Wtedy zadzwoniłem do Freddiego... To było prawie dwa tygodnie temu. No i jestem tutaj, bez najmniejszego zamiaru powrotu na Wall Street.

Lottie zastanawiała się, jak długo Tyler może wytrwać w decyzji podjętej tak szybko. W oka mgnieniu kupił osiem rozległych posiadłości i domów. Ona więcej czasu spędzała, wybierając płaszcz na zimę.

- Tak to prosto brzmi. Nie miałeś problemów z formalnościami i biurem imigracyjnym? - powiedziała na głos.

- Kiedy w Konsulacie Brytyjskim usłyszeli, ile pieniędzy chcę tu zainwestować, wizę miałem gotową na drugi dzień.

No tak, musi być nadziany. A jeśli po paru latach mu się znudzi, sprzeda firmę i przeniesie się gdzie indziej. Na przykład na owczą farmę do Australii...

- Jesteś pewien, że chcesz mieszkać w Fox Cottage? - zapytała.

- Hej, nie jestem maminsynkiem - Tyler chyba upodobał sobie to określenie. - Poza tym, to tylko na parę miesięcy. Mogę wytrzymać.

Aha, na kilka miesięcy. Na twarzy Lottie wymalowało się rozczarowanie.

- A potem? - zapytała z obawą.

- Freddie ci nie mówił? Ma zamiar wyprowadzić się z Hestacombe House po Bożym Narodzeniu. Jeśli zechcę, będę mógł wtedy kupić dom.

Tym razem żołądek podszedł Lottie do gardła. Nie przyzwyczała się jeszcze do myśli, że Freddie naprawdę umierał. „Ma zamiar się wyprowadzić...”.

- Nie wyglądasz na zachwyconą - zauważył Tyler.

- Nie, nie o to chodzi... - zająknęła się. Tyler o niczym nie wiedział, a ona nie mogła mu powiedzieć, nie mogła...

Na szczęście nie musiała się tłumaczyć, bo na podjeździe słysząc już było silnik samochodu. Z uczuciem ulgi popatrzyła na zegarek.

- To Harrisonowie.

Tyler wyszedł za nią na ganek. Drzwi czerwonej terenówki otworzyły się ze wszystkich stron i wyłonili się Glynis i Duncan Harrisonowie z piątką swoich rozkrzyczanych dzieci.

- Proszę, jest tu i czeka, aby nas przywitać! - wykrzyknęła z zachwytem Glynis.

Harrisonowie przyjeżdżali do Teacher's Cottage od dziesięciu lat.

- Witaj Lottie, świetnie wyglądasz! - Glynis zamknęła Lottie w mocnym, pachnącym fiołkami uścisku. - Jak cudownie znów tu być!

- Cudownie, że wy znów jesteście. - Lottie naprawdę lubiła wielu ze swoich gości. - Jak podróż?

- Roboty drogowe na autostradzie M5, na tylnych siedzeniach dzieci próbujące się w drodze pozabijać, czyli normalnie. Przyzwyczailiśmy się. A kto to jest?

Puszczając Lottie, żeby przyjrzeć się Tylerowi, Glynis powiedziała:

- Masz w końcu nowego faceta, kotku? Super, - Nie mogąc się doczekać, aż zostanie przedstawiona, Glynis wyciągnęła do Tylera rękę i uśmiechnęła się szeroko. - Właśnie mówiłam Duncanowi, żeby już czas, żeby Lottie znalazła sobie jakiegoś miłego, młodego człowieka. Prawda, Duncan?

Lottie otworzyła usta, żeby sprostować, ale Tyler ją uprzedził. Potrząsnął serdecznie ręką Glynis i z przewrotnym uśmiechem powiedział:

- Tyler Klein. Miło mi panią poznać. Ma pani całkowitą rację. Już najwyższa pora, żeby Lottie znalazła sobie kogoś odpowiedniego.

Rozdział 10

Komórka rozbrzmiała tanecznym rytmem w momencie, gdy Kressida odkręcała kurek w wannie. Odnalazła telefon pod stertą ubrań rozrzuconych na łóżku i pobiegła z powrotem do łazienki, aby wybrać odpowiedni na ten dzień płyn do kąpieli.

- Kressida? Cześć, tu Sasza.

- Cześć Sasza. Co u ciebie? - zapytała tak, jakby nie znała odpowiedzi na to pytanie.

- Och, praca, praca. Nie wiem, w co ręce włożyć. Co to za hałas?

- Nalewam wody do wanny. - Sięgając na półkę, Kressida wybrała buteleczkę Florentyny od Marksa i Spencera, i wycisnęła okazałą porcję wprost pod strumień wody. A potem jeszcze jedną. Tych przyjemności nie warto sobie żałować.

- Jak ty masz dobrze! Pachnąca kąpiel o piątej po południu!
- wykrzyknęła Sasza. - Gdybym ja tak mogła... Posłuchaj, Robert musiał zostać na zebraniu w Bristolu, a ja nie mogę się opędzić od klientów. Nie mam pojęcia, o której dziś wrócimy. Mogę przysłać do ciebie JoJo?

Nie po raz pierwszy Sasza prosiła o tę przysługę. I nawet nie po raz trzechsetny. Sasza spędzała swoje życie pogrążona po uszy w morzu klientów - aż dziw bierze, że jej starannie ułożona jasna fryzura pozostawała w tej topieli nietknięta.

- Nie ma problemu. - Kressida wolną ręką zamieszała wodę, aby powstała jeszcze gęstsza piana. - Dam jej coś do jedzenia, a potem może mi pomóc w ogrodzie. O której będziecie chcieli ją odebrać?

- Hm, rzecz w tym, że poproszono mnie, abym zabrała nowych klientów na jakąś kolację. Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie przewidzieć, ile to potrwa. A Robert też mówi, że być może nie wróci przed północą, więc...

- To może JoJo zostanie u mnie na noc? Tak byłoby najprościej. - Kressida zastanawiała się, co zrobiłaby Sasza, gdyby

któregoś dnia powiedziała jej, że nie może przenocować JoJo. Musi raz spróbować i zobaczyć, co się wydarzy. Sasza prędzej odciąłaby sobie obie ręce, niż zaniedbała drogocennych klientów czy opłacalną transakcję. To mogłoby być bardzo zabawne.

- Kress, jesteś wielka! - Osiągnąwszy to, co chciała, Sasza natychmiast zaczęła się śpieszyć. - Świetnie, zadzwonię do JoJo i powiem jej. Taki tu młyn, więc...

- Lepiej wracaj do klientów - zasugerowała usłużnie Kressida.

- Tak, tak, muszę lecieć. A ty wracaj do kąpielni. Ciao! Kressida rozłączyła się. Czy piskliwe „Ciao!” Saszy na końcu każdej rozmowy telefonicznej doprowadzało do szału tylko ją, czy może inni reagowali tak samo? Co sprawiało, że kobieta urodzona i wychowana w Bootle nie potrafiła pożegnać się inaczej niż za pomocą „Ciao”? Może tego właśnie uczą na kursach przygotowujących do zawodu wyspecjalizowanego sprzedawcy fotokopiarek?

Ale jakie to miało znaczenie, skoro za chwilę miała przyjść JoJo? Jeśli trzeba będzie, zniesie „Ciao” tyle razy, ile Sasza zechce. Leżąc w wannie, Kressida przejechała ręką po znajomej srebrnej bliźnie w dole brzucha. Jakże inne mogłoby być jej życie, gdyby nie ta blizna. Zamknęła oczy i wróciła myślami do chwili, gdy miała lat dwadzieścia trzy i wciąż była szczęśliwą żoną Roberta. Perspektywa rodzicielstwa była dla nich tak ekscytująca! Od samego początku nie byli w stanie oprzeć się kupowaniu tych wszystkich maleńkich cudów w sklepach dla niemowląt, chociaż wiedzieli, że to może zbyt wcześnie i rozsądek każe się powstrzymać. To był najbardziej radosny szal zakupów w życiu Kressidy. O macierzyństwie marzyła od zawsze.

Tego wieczora, oglądając nowiutkie śpioszki, szydełkowe bereciki, wyściełany satyną kosz dla niemowlaka i zabawkowy telefon, który sam nucił kołysanki, Kressida po raz pierwszy poczuła przeszywający ból brzucha. Przeżeraona i obolała doczołgała się do telefonu. Zadzwoniła do Roberta, który grał w

krykieta z kolegami z pracy, ale nie odebrał. Miała zamiar wykreślić 999, ale ból wrócił, jeszcze mocniejszy i bardziej nieznosny niż przed chwilą. Przed oczami zawirowały jej ciemne plamy.

Kiedy Robert wrócił około dziesiątej, znalazł ją nieprzytomną na podłodze w łazience. W szpitalu przeprowadzono operację ratującą życie. To była ciąża pozamaciczna, pękł jeden z jajowodów, a krwotok okazał się tak rozległy, że trzeba było usunąć macicę. To był jedyny sposób, aby Kressida przeżyła.

Kiedy obudziła się z narkozy i zobaczyła płaczącego przy jej łóżku Roberta, zrozumiała, że jej życie skończyło się - ich upragnione dziecko znikło, a z nim jakakolwiek nadzieja na macierzyństwo. Kressida chciała umrzeć. Kusiła los i los zemścił się srogo. Czy stałoby się tak, gdyby nie kupiła tych wszystkich ubrań i zabawek? Ta myśl prześladowała ją dzień i noc. Im bardziej przekonywano ją, że te dwa fakty nie miały ze sobą związku, tym mocniej Kressida utwierdzała się w przekonaniu, że to ona sama była powodem nieszczęścia. Przytłoczona wyrzutami sumienia i żalem, pogłężyła się w depresji, pewna, że radość i szczęście umarły na świecie wraz z jej dzieckiem. Była na dnie czeluści, z której nie miała siły i nie chciała się wydobyć. Nikt nie mógł jej pomóc, bo to, czego pragnęła, było nieosiągalne. Przyjaciele próbowali rozmawiać z nią o adopcji, ale nie była na to gotowa. Gdziekolwiek poszła, widziała ciężarne kobiety dumnie wypinające brzuchy, rodziców na spacerach z dziećmi, matki tulące nowonarodzone niemowlęta i ojców rozgrywających zaciekle mecze z synami. Widywała też kobiety tracące panowanie nad sobą i wrzeszczące na swoje maluchy. Wtedy znów czuła ten straszliwy ból przeszywający jej wnętrze, i musiała uciekać, żeby nie zrobić czegoś, czego potem mogłaby żałować.

Pocieszeniem było to, co powtarzał jej każdy, że ona i Robert mieli siebie nawzajem. Razem mogli przejść przez najgorsze i odzyskać siły. Ich małżeństwo było niewzruszone jak skała. Tak niewzruszone, że jedenaście miesięcy po nocy, która na zawsze

zmieniła ich życie, Robert odmienił je na nowo i wyprowadził się z domu z widokiem na skwer w Hestacombe. Powiedział Kressidzie, że chce rozwodu, a ona nie oponowała. W porównaniu ze stratą dziecka, utrata Roberta nie bolała. A poza tym, jak mogła go winić? Czy normalny, zdrowy, młody mężczyzna może chcieć żyć z żoną bez macicy? Gdyby mogła się ze sobą rozwieść, zrobiłaby to samo.

To nie oznacza, że następny krok Roberta jej nie zranił. Ale mężczyźni przecież są bezmyślni. Przeprowadziwszy się do wynajętego mieszkania w Cheltenham, wdał się w szalony romans z nieprawdopodobnie ambitną przedstawicielką pewnego biura handlowego. Dziewczyna miała na imię Sasza i właśnie przeprowadziła się z Liverpoolu, żeby rozpocząć pracę w firmie. Cztery miesiące po rozwodzie Robert ożenił się z Saszą. Pół roku później zjawił się w domu Kressidy, aby jej oznajmić, że on i Sasza zamierzają kupić jeden z domów w nowo powstałym osiedlu na skraju wioski.

- Tej wioski? - spytała zaskoczona Kressida.

- A czemu nie?

- Ale dlaczego?

- Kress, moje mieszkanie jest za małe. Potrzebujemy więcej miejsca. Lubię Hestacombe, a ten nowy dom jest idealny. Rozwiedliśmy się - Robert wzruszył ramionami - ale przecież możemy odnosić się do siebie jak cywilizowani ludzie, prawda?

- Chyba tak... Przepraszam, oczywiście, że tak - powiedziała z ciężkim sercem. Wstydziała się za siebie. Przecież Robert też przeszedł gehennę. Powinna się cieszyć, że chociaż jedno z nich było w stanie odbudować normalne życie.

Na twarzy Roberta odmalowała się ulga. I wtedy powiedział:

- Och, i myślę, że powinienem ci powiedzieć - Sasza jest w ciąży. To kolejny powód, dla którego musimy się przeprowadzić. Będzie potrzebny pokój dla dziecka i dla opiekunki.

Kressida miała wrażenie, że cząsteczki powietrza wokół zamieniły się w ostre kawałki lodu. Język przywarł jej do podniebienia i z najwyższym trudem wydukała:

- B- Boże! G- gratulacje!

- Nie planowaliśmy tego. - W głosie Roberta zabrzmiała nutka żalu. - Sasza miała zamiar przez następnych parę lat skoncentrować się na swojej karierze, ale przecież takie rzeczy się zdarzają. Jestem pewien, że sobie poradzi. Jak mówi Sasza, w dzisiejszych czasach kobiety mogą wszystko.

To nie było jak klucie wykałaczką, ale jak dźganie długim lśniącym ostrzem, raz za razem, głęboko. Z trudem łapiąc oddech, Kressida zmusiła się do uśmiechu.

- Masz rację, dziś kobiety mogą wszystko... Klujący ból.

Zdawszy sobie sprawę, że to, co mówił, mogło nie być dla Kressidy przyjemne, wcisnął ręce do kieszeni i w odruchu samoobrony powiedział:

- Przykro mi. Ale nie możesz oczekiwać, że nigdy w życiu nie będę miał dzieci z powodu tego, co ci się stało.

Co ci się stało. Nie n a m .

- Nie oczekuję.

- Spotkałem inną kobietę, będziemy mieli dziecko. Nie obwiniaj mnie, Kress, wiesz, jak bardzo chciałem mieć normalną rodzinę.

Pokiwała głową, marząc, żeby wyszedł. Potrzebowała zostać sama.

- Wiem... W porządku. P- poradzę sobie.

- To dobrze. Życie musi toczyć się dalej. - powiedział z ulgą Robert.

Teraz, leżąc w kąpieli, Kressida poruszyła w powietrzu stopami i z uwagą przyjrzała się swoim pomarańczowo-różowym paznokciom. Życie toczyło się dalej. Rzuciła się w wir pracy zawodowej, a w wolnych chwilach remontowała dom, bo jakiegokolwiek zajęcie było lepsze od siedzenia i rozmyślania o rodzinie, którą utraciła.

Pięć miesięcy później dotarła do niej wiadomość, że Sasza urodziła dużą dziewczynkę. To był bardzo trudny dzień. Robert i Sasza dali dziecku na imię JoJo, a Kressida wysłała im

własnoręcznie zrobioną kartkę z gratulacjami. Kolejny kamień milowy był za nią.

Kiedy JoJo skończyła dwa miesiące, zajęła się nią opiekunka, a Sasza wróciła do pracy. Astrid była Szwedką i znacznie większą wielbicielką spacerów na świeżym powietrzu niż Sasza. Codziennie wędrowała z wózkiem dookoła wioski i próbowała rozmawiać z każdym, kogo zobaczyła, aby ćwiczyć angielski. Z tego powodu Kressida, powracając do domu pewnego popołudnia, została zmuszona do niezwykle interesującej rozmowy o pogodzie.

- Te chmury na niebie, czy one nie są jak większe białe poduszki? Co pani sądzi?

Na kursach języka Astrid dowiedziała się, że Anglicy uwielbiają rozmawiać o pogodzie i od tego tematu rozpoczynała każdą konwersację.

- Nooo, tak... Jak duże białe poduszki. - Kressida wyjęła z samochodu torby z zakupami.

- Ale ufam, że potem mogą być krople deszczu.

- To prawda, może padać.

- Jestem Astrid - powiedziała z dużą pewnością siebie dziewczyna. - Pracuję jako niania dla Roberta i Saszy Forbes.

Dla Kressidy nie była to nowina. Taktownie powstrzymała się od stwierdzenia: „Cześć, Astrid, jestem Kressida Forbes, pierwsza żona Roberta”. Zamiast tego powiedziała:

- A ja jestem Kressida. Miło cię poznać.

Astrid uśmiechnęła się szeroko i odwróciła wózek.

- Ale nie mogę zapominać manier. Muszę cię przedstawić JoJo.

Kressida wstrzymała oddech i popatrzyła z obawą na dziecko leżące w wózku. JoJo przyjrzała się jej z ciekawością. Kressida czekała na znajome ukłucie w brzuchu, ale nie nadeszło. Bardzo bała się, że zareaguje niechęcią. Ale teraz, patrząc na JoJo, już wiedziała, że nie jest w stanie żywić urazy do jedenastotygodniowego niemowlęcia.

- Jest śliczna, nie sądzisz? - Astrid powiedział to z dumą i pochyliła się, by podrapać dziecko w brodę.

- Tak, to prawda. - W sercu Kressidy rozbłysła iskierka ciepła, gdy w odpowiedzi na pieszczotę na twarzy dziecka wykwitł bezzębny uśmiech.

- Jest taka grzeczna. Bardzo lubię się nią opiekować. Ty miewasz dzieci?

Kłujący ból. Wiedziała, co Astrid miała na myśli, ale tym razem nie miała siły jej poprawić. Chwytnąjąc torby z supermarketu pełne gotowych dań, ciasteczek i pudełek mleka, powiedziała:

- Nie, nie miewam dzieci.

- Och, to nic - wykrzyknęła z radością Astrid. - Jesteś młoda. Najpierw dużo czasu, żeby się bawić, tak? Jak ja. Możemy mieć dzieci za kilka lat. Kiedy zechcemy.

Przez osiem miesięcy Astrid była idealną nianią. Kressida często potem myślała, że zawdzięczała swoją bliskość z JoJo chwilowej nieuwadze matki Astrid.

Wychodziła tego ranka ze sklepu Teda z gazetą i paczką Marsów, gdy zobaczyła służbowy samochód Saszy zbliżający się główną ulicą w jej kierunku. Hamując z piskiem opon, Sasza wystawiła głowę przez okno i wykrzyknęła:

- Kressida, możesz uratować mi życie?

Wyglądała, jakby była w nerwowym amoku. Wcześniej spotkały się przypadkiem kilka razy - Kressidę zawsze uderzały spokój i świetna organizacja Saszy. Pod każdym względem wyglądała profesjonalnie. Nosiła profesjonalne ciuchy, miała profesjonalną, krótko przystryżoną i fachowo rozjaśnioną fryzurę... Tego dnia natomiast Sasza miała na sobie poplamioną mlekiem bluzę i włosy w nieładzie. W siodełku na tylnym siedzeniu darła się wniebogłosy JoJo. Miała na sobie tylko koszulkę i pękającą w szwach pieluchę.

- Co się dzieje? - wystraszyła się Kressida. - JoJo jest chora?

- Matka Astrid jest w szpitalu. Wczoraj miała wypadek, roztrzaskała się o most, jest cała połamana. Astrid pojechała do Szwecji i nie wiadomo, kiedy wróci, bo musi zająć się młodszym bratem. - W miarę jak Sasza wyrzucała z siebie słowa, wrzask JoJo przybierał na sile. Sasza zacisnęła konwulsyjnie ręce na kierownicy. - Robert jest na jakimś cholernym szkoleniu w Edynburgu, a ja za dwie godziny muszę być w Reading na negocjacjach. To może być najważniejsza transakcja w całej mojej karierze. Nie wiem, co będzie, jeśli nie przyjadę na czas...

- Gdzie teraz jedziesz? - przerwała Kressida, bo ton głosu Saszy stawał się histeryczny.

- Do ośrodka zdrowia. Może któraś z pielęgniarek przypilnuje JoJo, jeśli jej dobrze zapłacę. A może znasz kogoś, kto mógłby pomóc? Zatrzymałam się - Sasza paplała nerwowo - bo znasz w wiosce więcej ludzi niż ja. Dziś rano pukałam do wszystkich domów na naszej ulicy, ale nikt nie chciał się nią zająć. Nie przychodzi ci do głowy, kto mógłby zająć się dzieckiem przez jeden dzień?

Tak jakby JoJo była chomikiem. Kressida patrzyła na Saszę bez słów.

- No i co? - z coraz większym obłędem w oczach dopytywała się Sasza.

- Hm... no, nie.

- Chryste, zaraz się rozryczę... - Sasza rzeczywiście była na skraju wyczerpania nerwowego. - Cholerna Astrid. Czym sobie na to zasłużyłam?

JoJo wyła, ale Sasza zamilkła.

- Chyba że... Może ja się nią zajmę? - powiedziała z wahaniem Kressida. - Jeśli to pomoże... To znaczy, nie jestem wykwalifikowaną opiekunką, ale pilnowałam dzieci w...

- Ty? - Oczy Saszy rozszerzyły się ze zdumienia. Kressida widziała film *Piastunka* i rozumiała natychmiast.

- Nie, przepraszam, tak tylko powiedziałam. Nie chcę się...

- Boże, nie żartujesz? Nie wierzę własnym uszom. Nie musisz iść do pracy?

- Dziś mam wolne - powiedział Kressida, lekko skonstronowana.

- Ależ to cudownie! Dlaczego nie mówiłaś od razu? Przechyliwszy się i otworzywszy drzwi od strony pasażera, krzyknęła:

- Szybko, wskakuj!

I tak to się zaczęło. W domu Saszy i Roberta okazało się, że JoJo wrzeszczała tak okrutnie, bo nie dostała rano nic do jedzenia i nikt nie zatroszczył się, by zmienić jej pieluchę. Zazwyczaj, jak zapewniała Sasza, była spokojnym, radosnym dzieckiem. Sasza wzięła prysznic, przebrała się z nieprawdopodobną szybkością i zostawiła Kressidzie klucze do domu. Wychodząc, zdążyła jedynie krzyknąć, że będzie w domu przed szóstą. Chyba jednak nie oglądała *Piastunki*. A poza tym, gdyby nie spotkała przypadkiem Kressidy, pewnie rzuciłaby JoJo na pastwę sprzątaczkki czy recepcjonistki w przychodni.

Ale ta świadomość wcale nie zmniejszyła przerażenia Kressidy, kiedy zdała sobie sprawę, w jakiej sytuacji się znalazła. Przez następne dziewięć godzin miała być odpowiedzialna za życie dziecka jej byłego męża. A gdyby coś stało się JoJo? A gdyby zachorowała i zaczęła się dusić? A gdyby w dom wjechała ciężarówka? Co by się stało, gdyby JoJo przypadkiem napiła się wybielacza albo przewróciła się i złamała nogę? Albo spadła ze schodów? Kressida zbladła na samą myśl. Boże, każdy pomyślałby, że z premedytacją maltretuje dziecko. Nie powinna była się tego podjąć, nie powinna była... Ale musiała, bo nie było w pobliżu nikogo, kto by ją zastąpił.

Kressida popatrzyła na JoJo, która siedziała na podłodze w salonie i żuła sucharek. W odpowiedzi na jej spojrzenie mała rzuciła sucharek i obnażyła w rozkosznym uśmiechu dziąsełka, w których zalśniły dwa perłowobiałe dolne ząbki. Najwyraźniej nie przejmując się faktem, że znalazła się w domu sama z zupełnie nieznaną osobą, wyciągnęła do Kressidy obie ręce.

- Co, kochanie? - Serce Kressidy natychmiast zmiękło i kucnęła przed dzieckiem. Uśmiechając się szeroko, JoJo obróciła

się, jakby chciała raczkować, i chwyciwszy nogawkę spodni Kressidy, uklękła. A potem znowu uniosła obie dłonie jak papież.
I Kressida wzięła ją na rękę.

Rozdział 11

- Ciociu Kress? To ja!

Drzwi od ogrodu otworzyły się i zamknęły z trzaskiem, oznajmiając przybycie JoJo.

- Tu jestem, kochanie - zawołała Kressida z kuchni, gdzie przygotowywała risotto z grzybów, i otworzyła szeroko ramiona, trzymając brudne dłonie z daleka od JoJo, gdy ta podbiegła ucałować ją na powitanie.

- Próbujesz latać?

- Próbuję nie wysmarować cię cebulą i czosnkiem - powiedziała Kressida, pokazując deskę do krojenia. - Jak dzień?

- Ekstra. Pływaliśmy, graliśmy w tenisa i robiliśmy ciasteczka. Chciałam ci kilka przynieść, ale wszystkie zjedliśmy.

Jako że i Robert i Sasza całymi dniami pracowali, zapisali JoJo na wakacyjne półkolonie prowadzone przez jedną z prywatnych szkół w Cheltenham. Na szczęście zajęcia podobały się JoJo. Obserwując ją, nalewającą sobie z kranu wody do szklanki, Kressida poczuła przyływ miłości do dziewczynki, która wniosła więcej szczęścia w jej życie niż jakakolwiek inna osoba. JoJo miała teraz dwanaście lat, bujne ciemne włosy, zgrabną figurę matki i długie nogi Roberta. Dziś miała na sobie dzinsowe krótkie spodenki, zieloną koszulkę, którą Kressida podarowała jej na poprzednią Gwiazdkę, a pod spodem różowy stanik z fiszbinami, którego nie potrzebowała, ale który uparła się nosić, bo kiedy ma się dwanaście lat, za wszelką ceną chce się wszystkim udowodnić, że jest się dorosłą.

- To z ogrodu? - JoJo spostrzegła frezje w wazonie na kuchennym stole.

- Nie. Dostałam je.
- Ooo! - JoJo uniosła brwi. - A od kobiety czy od mężczyzny?
- Tak się składa, że od mężczyzny. - Kressida zsunęła pokrojoną cebulę na patelnię i zwiększyła ogień.
- Ciociu Kress, masz nowego faceta?
- Zrobiłam kartkę dla jego matki. Chciał się odwdziczyć, to wszystko.
- I kupił ci kwiaty. I to porządne, z kwiaciarni - podkreśliła JoJo. - A nie musiał tego robić, prawda? Czy to nie znaczy, że chciałby być twoim facetem?
- Chyba czas zmienić temat.
- Nawet przez myśl mi to nie przeszło. Pomożesz mi przy grzybach? - spytała Kressida, energicznie mieszając cebulę.
- To się nazywa zmienić temat...
- No dobrze. On na pewno nie ma względem mnie żadnych zamiarów. I bardzo dobrze, bo mieszka dwieście mil stąd. A teraz czas pokroić grzyby.
- Ale...
- Wiesz, jak miło spędziłam popołudnie? Rozmyślałam nad momentem, w którym się poznałyśmy i zaczęłam się tobą opiekować. Miałaś dziesięć miesięcy i nie potrafiłaś jeszcze mówić.
- Dziesięć miesięcy! - teraz JoJo łyknęła przynętę. Uwielbiała słuchać o swoich wyczynach z dzieciństwa. - Umiałam już chodzić?
- Nie, ale raczkowałaś w tempie olimpijskim. Jak mała lokomotywa. Zaczęłaś chodzić, gdy miałaś jedenaście miesięcy.
- Po pierwszym udanym dniu, Sasza już wiedziała, gdzie szukać pomocy. Po niespełna dwóch tygodniach znowu poprosiła Kressidę o opiekę nad dzieckiem, a ta zgodziła się z radością. Tydzień później Sasza i Robert pojechali na eleganckie wesele do Berkshire, a JoJo i Kressida spędziły wspólnie cudowny dzień, którego kulminacją były pierwsze niepewne kroki małej zakończone triumfalnie w ramionach zachwyconej opiekunki.

Gdy Sasza i Robert przyjechali wieczorem, Kressida wspomniała o osiągnięciu JoJo. Sasza, uśmiechając się z zadowoleniem, powiedziała:

- Tak, za chwilę będzie chodzić. Jest bardzo rozwinięta jak na swój wiek.

Astrid nie wróciła. Zastępowały ją kolejne nieudane opiekunki. Gdyby Sasza poprosiła, Kressida, nie namyślając się wiele, byłaby gotowa rzucić pracę sekretarki i zająć się JoJo. Ale taka propozycja nigdy nie padła. Może byłoby to zbyt dziwaczne. A może miało to coś wspólnego z faktem, że JoJo raz nazwała Kressidę „mamusią”. W każdym razie, opiekowała się dzieckiem, gdy ją o to proszono i pomagała w awaryjnych sytuacjach. Taki układ wszystkim odpowiadał.

- Jaką najokropniejszą rzecz zrobiłam, kiedy byłam mała? - JoJo zaczęła w końcu kroić grzyby.

- Masz na myśli najbardziej kłopotliwą sytuację? Największe zakłopotanie przeżyłam, gdy zdjęłaś pieluchę na środku supermarketu i zostawiłaś ją na środku alejki z ryżem i makaronem. A to nie była czysta pielucha.

- Faj! - JoJo, śmiejąc się, potrząsnęła głową. - A najmiłsza rzecz?

- Nic nie przychodzi mi do głowy - skrzywiła się Kressida.

- Nieprawda. Opowiedz coś.

- Najlepsza rzecz, kochanie? - Zapominając o cebuli, Kressida uściśnęła JoJo. - Nie potrafię powiedzieć. Było ich całe mnóstwo.

Rozdział 12

Kiedy Tyler zatrzymał samochód przed Piper's Cottage, coś białego i mulistego plasnęło w przednią szybę samochodu i okazał się ptak, zapewne pogwizdując z satysfakcją po udanym strzale, odfrunął ponad dachy innych domów. Plama była duża i, jak zwykle, usytuowana w zakurzonej narożniku, do którego nie docierały pióra wycieraczek. Czy to zły omen?

Drzwi otworzyła Lottie. Była zaróżowiona i zdyszana.

- Cześć!

- Nie przeszkodziłem w czymś? - spytał z dziwnym uśmiechem Tyler, mimo że Lottie była ubrana w biały bezrękawnik i dzinsy, i nic nieprzyzwoitego nie powinno w tej chwili mieć miejsca. - Jeśli to nie jest dobry moment...

Lottie spojrzała na niego i otworzyła szerzej drzwi, za którymi krył się wielki odkurzacz.

- Ponoś cię fantazja. Po prostu próbuję nadrobić sześć tygodni niesprzątania w trzydzieści minut. Dzieci już piszą palcami po kurzu na telewizorze. Wejdz proszę. Uważaj na kabel. Chodzi o pracę? - Lottie przetarła ręką czoło.

Wyglądała fantastycznie. Zgrabna, piękna, tryskająca energią. Schyliła się, żeby podnieść ścierkę, Cif i płyn do pielęgnacji mebli.

- Pomyślałem sobie, że moglibyśmy wieczorem wybrać się na obiad - powiedział Tyler.

- Oo! - zdziwiła się Lottie.

- Oczywiście jeśli masz czas.

- Hm, w zasadzie mogę poprosić Maria, żeby zabrał dzieciaki. Raczej nie będzie się sprzeciwiał. Spotkamy się, żeby pogadać o pracy? - zapytała, niepewna, jaka intencja kryła się za tym zaproszeniem.

- Możemy pogadać o pracy, jeśli chcesz. I o wszystkim innym - uśmiechnął się Tyler. - To co, mogę przyjechać o ósmej?

- Dobrze - oczy jej rozbłysły. - Ale chyba będzie lepiej, jeśli upewnię się, czy Mario może się nimi dziś wieczorem zająć. Daj mi dwie minutki.

Zniknęła w kuchni, żeby zadzwonić. Nie chcąc podsłuchiwać rozmowy Lottie z byłym mężem, Tyler czekał w salonie. Jego wzrok padł na szarą pogniecioną szmatkę, którą Lottie najwyraźniej zapomniała sprzątnąć. Tyler chwycił ją i wyszedł przez szeroko otwarte frontowe drzwi.

Tego dnia wywożono w wiosce śmieci. Wszystkie kubły na kółkach wystawione były przed frontowe bramy domów.

Wytarłszy to, co ptaszek tak niefrasobliwie ulokował na jego szybie, Tyler wyrzucił szmatkę do stojącego przed domem Lottie kubła i wrócił do salonu.

- Aa, jesteś jednak - powiedziała Lottie. - Myślałam, że stchórzyłeś i uciekłeś.

- Wyszedłem, żeby... - zadzwieczał telefon Tylera. - Przepraszam. - Wyciągnął go z kieszeni koszuli.

- Nie ma problemu. Mario zabierze dzieci wieczorem. Zobaczymy się o ósmej. - Chcąc jak najszybciej powrócić do porządków, Lottie odprowadziła go do drzwi. Odbierając na zewnątrz służbowy telefon, Tyler usłyszał jedynie, że wewnątrz znów rozległ się dźwięk odkurzacza. Uśmiechnął się do siebie, nie mogąc doczekać się wieczoru. Na przestrzeni kilku dni jego życie zmieniło się nie do poznania i spotkał Lottie Carlyle, która bardzo różniła się od dziewczyn, które wcześniej znał. Tak, sprawy miały się coraz lepiej...

Tyler usłyszał potworny hałas, jeszcze zanim wysiadł z samochodu. Była za pięć ósma wieczorem. Z wnętrza domu dochodziło niezwykłe wycie. Lekko zaniepokojony - to chyba nie była Lottie? - podszedł do drzwi i nacisnął dzwonek.

- Witaj. Jesteś Tyler? - Drzwi otworzył wysoki mężczyzna z wyrazem przygnębienia na twarzy. Podał Tylerowi rękę. - Mario. Przepraszam za ten harmider, zdaje się, że mamy drobny problem.

A więc to był eks- małżonek. Tyler podążył za Mariem do salonu, na środku którego leżało przewrócone do góry nogami gigantyczne pudełko klocków Lego. Lottie siedziała w fotelu i tuliła na kolanach syna. Wyglądała na wykończoną. Wciąż miała na sobie dzinsy i tę samą jasną bluzkę. Nat płakał rozdierająco i, sądząc ze stanu, w jakim była bluzka, robił to od dłuższego już czasu. Zobaczywszy Tylera, wrzasnęła jeszcze głośniejszym głosem i ukrył twarz na ramieniu Lottie. W drugim końcu pokoju Mario otwierał

po kolei pokrowce na poduszkach sofy i szukał czegoś w ich wnętrzu.

- Co się stało? - zapytał Tyler. Można by pomyśleć, że ktoś umarł.

Z piętra rozległ się głos Ruby:

- Nie ma jej w szafce do bielizny!

- Nat zgubił swoją przytulankę. - Próbując odgarnąć włosy syna ze swoich oczu, Lottie skrzywiła się, gdy w odpowiedzi na jej słowa Nat zaszlochął jeszcze donośniej. - Szz, kochanie, już dobrze. - Kołysała go cierpliwie i głaskała po plecach. - Znajdziemy ją, nie martw się. Gdzieś tu jest.

- Jaką przytulankę? - zapytał Tyler.

- Mały kocyk. Nat ma go od czasów niemowlęcych. Nie potrafi bez niego zasnąć. - Lottie popatrzyła na zegarek. Na jej twarzy pojawił się grymas niezadowolenia. - Boże, przepraszam za to wszystko. Nawet nie miałam czasu się przebrać. Ale zaraz kocyk się znajdzie i będę gotowa w pięć minut. Obiecuję.

- I w łazience też go nie ma. - Dobiegł ich głos Ruby.

- Hej, nie ma problemu. - Tyler wyczuł możliwość zarobienia paru punktów, których przecież tak bardzo potrzebował. - Pomogę szukać. Kocyk, mówicie? Przecież nie ma nóg, więc nie mógł uciec.

- Musi być gdzieś w domu - kiwnęła głową Lottie i posłała Tylerowi uśmiech pełen wdzięczności. - Zawsze w końcu się znajduje. Nat schował go w jakimś bezpiecznym miejscu i ono okazało się zbyt bezpieczne.

Dobra, kocyk dziecięcy. Wyobrażając sobie błękitny kaszmirowy koc obszyty satyną, Tyler spytał łagodnie:

- Rozpocznijmy poszukiwania, Nat. Mógłbyś nam pomóc? Na przykład powiedzieć, gdzie widziałeś go ostatni raz?

- Na paa- parapecie, oo tam. - Łkając żałośnie i z trudem łapiąc powietrze, Nat wskazał na przeciwległą stronę pokoju.

O jasny piorun. O cholera.

Tylko nie to.

Czuając, że robi mu się słabo (Chryste, nigdy nie robiło mu się słabo!), Tyler zapytał:

- A ten kocyk, hm... jaki miał kolor?

- Nie miał żadnego koloru - powiedziała Lottie, próbując uspokoić rozdygotanego syna.

- On niee m- maa k- kolooru - łkał Nat. - To moja podusia!

O jasna cholera.

- Tu nie ma. - Mario skończył przeglądać wnętrza poduszek. - To kawałek starej rozciągniętej bawełny - wyjaśnił Tylerowi - ze śpioszków, które Nat nosił, kiedy był niemowlakiem. Kwadrat trzydzieści na trzydzieści centymetrów, zszarzały i brudny.

- Niece jest brudny! - wrzasnął Nat. - To moja przytulanka! Tyler modlił się, żeby nie zdradził go wyraz twarzy.

W college'u często grywał w pokera, ale ta gra była dużo trudniejsza. Czuł, że pocał mu się ręce...

- Byłeś tu dziś po południu - powiedziała nagle Lottie. - Nie zwróciłeś uwagi, czy coś leżało na parapecie? - W jej oczach rozbłysła nadzieja.

Nie było sensu udawać, nie mógł zaprzeczać i okłamywać jej. Ale nie miał tyle odwagi, by powiedzieć prawdę w obecności Nata. Lekkim skłonieniem głowy pokazał Lottie, żeby wyszła za nim z salonu. W ustach miał zupełnie sucho.

Zostawiła Nata zwiniętego w kłębek w fotelu i podeszła do Tylera w korytarzu.

- Słuchaj, naprawdę strasznie mi przykro. Rozumiem, że możemy stracić stolik w restauracji, ale nie mogę...

- To ja. Ja zabrałem ten kocyk - powiedział pośpiesznie. - Co?

- Myślałem, że to stara ścierka. Sprzątałaś rano i myślałem, że zapomniałaś ją zabrać.

- Gdzie on jest? - Z jego twarzy Lottie już wyczytała, że nie należy spodziewać się szczęśliwego zakończenia tej historii.

- Wytarłem nim ptasie gó..., eee, ptasie łajno z szyby.

- Tyler mówił przyciszonym głosem. - Był strasznie brudny. Na zewnątrz stał kubek i tam go wyrzuciłem.

- Nie, nie wierzę - wyjęczała Lottie, chowając głowę w dłoniach. - Dzisiaj wypróżnili kubły. Co my teraz zrobimy!?

- Przepraszam, tak mi przykro. To był czysty przypadek

- mówił Tyler, próbując się tłumaczyć. - Skąd miałem wiedzieć, że to nie była ścierka?

- I tak po prostu go wzięłeś! - Rozdrażniona Lottie potrząsnęła głową. - Gdybyś mnie spytał, powstrzymałabym cię. Albo gdybyś mi powiedział, wygrzebałabym go ze śmieci.

- Miałem zamiar. Ale zadzwonił telefon, wyszedłem, bo ty chciałaś odkurzać... stało się. Słuchaj, wiem, że Nat jest teraz rozżalony, ale ma już siedem lat. Może już czas skończyć z przytulankami. Mam na myśli, że to nie powinno trwać całe życie. Może to jest okazja, żeby skończyć z tym przyzwyczajeniem.

- Boże - westchnęła Lottie. - Ty naprawdę nie masz żadnego pojęcia o dzieciach.

- Ale...

- UKRADŁEŚ KOCYK NATA!!! - wrzasnął jakiś głos tuż nad ich głowami i serce Tylera podskoczyło jeszcze wyżej. W następnej chwili Ruby zbiegła po schodach jak burza i skierowała w jego stronę oskarżycielski palec.

- Ukradłeś przytulankę Nata i wyrzuciłeś ją! Nat, to ten człowiek, ten, który nakłamał! - Wyślizgując się zwinnie spod wyciągniętej ręki Lottie, mała wpadła do salonu i zawyla: - Mówi, że i tak jesteś za duży na przytulanki, że masz siedem lat, a tylko dzidziusie potrzebują przytulanek. I nie ma już twojego kocyka i nigdy przenigdy go nie zobaczysz!

- Nat, Tyler tak nie powiedział. I to był nieszczęśliwy wypadek - wołała Lottie, biegnąc za Ruby.

Tyler miał ochotę wyjść z domu, wsiąść do samochodu i odjechać, ale zebrał siły i z pokorą wszedł za Lottie do salonu. Myślał, że nie może być nic gorszego niż zawodzenie Nata, ale okazało się, że cisza, która teraz nastąpiła, była dużo trudniejsza do

zniesienia. Błady i trzęsący się z oburzenia chłopczyk wyglądał, jakby zapomniał, jak się oddycha.

- Wyrzucisz mój kocyk? - wysapał z niedowierzaniem i wlepił wzrok w Tylera.

Tyler twierdząco pokiwał głową.

- Tak mi przykro - wyszeptał na bezdechu.

- Do kubła przed domem! - oznajmiła z satysfakcją Ruby.

- To było niechcący - powiedziała Lottie.

- Ale kocyk nie wpadł tam sam! - krzyknęła Ruby, wpatrując się w Tylera. - I co teraz będzie z Natem? On chyba umrze.

- Nie umrze - rzucił Mario, a Lottie znów wzięła syna na kolana i przytuliła, próbując go pocieszyć.

- A nie można by zrobić nowego kocyka? Lepszego? - Kończąc, Tyler zdał sobie sprawę, jak bardzo nie na miejscu jest to, co mówi. Wszyscy popatrzyli na niego z dezaprobatą, jak gdyby proponował, żeby pobawili się w rzucanie kotem o ścianę.

- No to może... - ręka Tylera powędrowała w kierunku portfela. - Czy mogę dać ci coś, co ci jakoś wynagrodzi stratę? Mógłbyś sobie kupić...

- Nie ma takiej potrzeby - wtrącił się Mario. - Naprawdę. Poradzimy sobie jakoś. Chodź, Nat, puść mamę, musi się przyszykować do wyjścia.

- Nie z NIM! - Nat podniósł głos i wyprężył ciało. - Mamo, nie idź nigdzie z tym człowiekiem! Chcę, żebyś została ze mną. I chcę mój kocyk!

Lottie była rozdarta.

- Myślę, że powinnaś zostać - powiedział Tyler. - Na obiad pójdziemy kiedy indziej. Chciałbym, aby coś dało się w tej sprawie zrobić, ale to chyba niemożliwe. Najlepiej będzie, jak zostaniesz dziś w domu. - W tych okolicznościach wieczór i tak nie byłby udany. Tyler marzył, żeby jak najszybciej wyjść. Ruszył w kierunku drzwi. - Bardzo, bardzo mi przykro, Nat. Jeśli jest coś, co mógłbym zrobić...

- Idź sobie - chlipnął Nat ponad ramieniem Lottie. - Jedź do Ameryki! I ni- nigdy nie wracaj!

Rozdział 13

- Komputer to cudowna rzecz - powiedział Freddie.
- To prawda - zgodziła się Lottie.
- Ale nie cierpię go używać.
- Wiem. Ale to dlatego, że jesteś zbyt leniwy, żeby się nauczyć. Gdybym mogła udzielić ci paru lekcji...

- Nie, dzięki.

- Ale to takie...

- Daj spokój, proszę - powiedział stanowczo Freddie, wznosząc w górę ręce i potrząsając niecierpliwie głową. - Przez całe życie nie cierpiałem technicznych tematów. Maszyn. Nie wiem, jak działa mój samochód i nie wiem, dlaczego samoloty nie spadają z nieba. Ale nie ma takiej potrzeby, bo są mechanicy i piloci, którzy wiedzą. Tak samo jest z komputerami - ciągnął, nie pozwalając Lottie się wtrącić. - Mam przed sobą tylko sześć miesięcy życia i nie zamierzam ich marnować na naukę pływania po internecie.

- Surfowania.

- Surfowania też nie chcę się uczyć. Ani jeżdżenia na nartach wodnych. Nie jestem jakimś cholernym Jamesem Bondem.

- Chciałam...

- Pozwól mi wyjaśnić. - Freddie nie dawał za wygraną i Lottie zaczęła się zastanawiać, czy uda się jej jeszcze kiedykolwiek dopowiedzieć rozpoczęte zdanie do końca. - Nie chcę się uczyć tych komputerowych czarów i nie będę tego robił, bo ty możesz się tym zająć. Ja będę zadawał pytania, ty będziesz szukać na nie odpowiedzi i mi je podawać. Proste?

- Dobrze. Zrobię, co będzie w mojej mocy. A jakie pytania będziesz mi zadawał? - Kiedy Freddie oznajmił Lottie, że umiera, powiedział jednocześnie, że ma pewien plan, ale nie wyjaśnił jaki. Chyba o tym właśnie teraz mówił...

W odpowiedzi Freddie wyjął z kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru i rozwinął ją.

- Chcę odszukać te osoby.

Na kartce nagryzłone były nazwiska pięciu osób. Lottie ledwie miała czas przeczytać pierwsze nazwisko - Freddie pomachał przed nią kartką i natychmiast ją schował.

- Mogę wiedzieć, *dlaczego?* - spytała *po chwili namysłu*.

- Bo chcę się z nimi znowu spotkać.

- Kim oni są?

- To są ludzie, którzy kiedyś byli dla mnie bardzo ważni. Z którymi się przyjaźniłem. - Freddie uśmiechnął się lekko. - Ludzie, którzy w ten czy w inny sposób wpłynęli na moje życie. Boże, jakie to sentymentalne, nie robi ci się niedobrze?

- Trochę. Brzmi jak scenariusz jednego z tych ckliwych filmów, które puszczają w telewizji przed Bożym Narodzeniem. - Lottie w istocie uwielbiała te filmy.

- Jeśli to cię pocieszy, to na razie tylko ja chcę się z nimi zobaczyć - powiedział Freddie. - Nie ma żadnej gwarancji, że oni będą równie chętni.

- A opowiesz mi, co się kryje za każdym z tych nazwisk? Powiesz mi, dlaczego byli tacy ważni?

- Nie teraz. - Freddiego chyba ubawiła nieskrywana ciekawość Lottie. - Pomyślałem, że wstrzymam się z opowieściami do chwili, kiedy ich znajdziesz. Będziesz silniej umotywowana.

Lottie skrzywiła się. Była wścibska, a on o tym wiedział.

- Będę potrzebowała więcej informacji: ile mają lat, gdzie mieszkali, co robili...

- Powiem ci wszystko, co o nich wiem.

- Ale może się tak zdarzyć, że nie uda się ich namierzyć.

- Ale spróbujemy, dobrze?

- Jeśli mi nie powiesz, co to za ludzie - powiedziała chytrze Lottie - będę musiała zgadywać.

Freddie uśmiechnął się.

- A zgaduj, zgaduj, kochanie. I tak nie dowiesz się prawdy, zanim ich dla mnie nie znajdziesz. No, rozchmurz się. To może się okazać bardzo łatwe.

- Albo cholernie trudne - powiedziała sfrustrowana Lottie.

- To może czas zacząć? Im szybciej, tym lepiej. - Zadowolony, Freddie zapalił cygaro. - Musisz mieć nadzieję, że nie padnę trupem, zanim skończysz.

Pierwsza osoba z tajemniczej listy była śmiesznie łatwa do odnalezienia. Poszukiwania zabrały mniej niż pięć minut. Mężczyzna nazywał się Jeff Barrowcliffe i prowadził prywatny warsztat naprawy motocykli w Exmouth.

- To na pewno on! - powiedział z przekonaniem Freddie, spoglądając na ekran sponad ramienia Lottie. - Zawsze miał bzika na punkcie motocykli.

Żeby się upewnić, Lottie wysłała e- mail:

*Szanowny Panie Barrowcliffe,
w imieniu przyjaciela, który próbuje odnaleźć osobę o
Pańskim nazwisku, chciałabym zapytać, czy urodził się Pan 26
grudnia 1940 roku i czy mieszkał Pan kiedyś w Oksfordzie.*

Z poważaniem, L. Carlyle

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jego odpowiedź pojawiła się na ekranie półtorej minuty później:

Tak, to ja. O co chodził

- Stary Jeff! Potrafi obsługiwać komputer i wysyłać e- maile! - Freddie nie mógł wyjść z podziwu. - Kto by pomyślał!

- A kto by pomyślał, że ty nie potrafisz, nieuku! - nie musiał długo czekać na ripostę Lottie. - Mam mu o tym napisać? - Wygięła jak pianistka palce ponad klawiaturę.

- Nie, zadzwonię do niego. - Freddie pośpiesznie przepisał ze strony internetowej numer do warsztatu. - Na osobności - dodał, wychodząc z jej biura.

- Myślisz, że się ucieszy?

- Tego się dowiem. - Freddie pomachał telefonem.

Wrócił po dziesięciu minutach z irytująco enigmatycznym wyrazem twarzy. Lottie wpatrywała się w niego ze znakiem zapytania w oczach.

- I co?

- Co co?

- Jeff Barrowcliffe! Obiecałeś, że teraz mi powiesz. Spokasz się z nim?

Freddie pokiwał twierdząco głową.

- Pojadę do Exmouth w ten weekend.

- Widzisz? - Klasnęła w ręce zachwycona Lottie. - A więc ucieszył się. Dlaczego myślałeś, że będzie inaczej?

- Bo kiedyś zabrałem mu motor - powiedział Freddie. - Jego radość i dumę.

- Wielkie rzeczy!

- I rozwaliłem go. Zupełnie. Musiał oddać go na złom.

- O- och!

- Jego dziewczyna jechała wtedy ze mną na tylnym siedzeniu. Byli już zaręczeni.

- Boże, Freddie, chyba nie...

- Nie, Giselle nie zginęła... Skończyło się na siniakach i skaleczeniach. Miała cholerne szczęście.

- No, to chyba wszystko w porządku? - zapytała z ulgą Lottie

- Jeff też tak myślał. Ale ją też mu zabrałem. - Uśmiechnął się krzywo, widząc zdumione spojrzenie Lottie. - Sama widzisz. A zawsze uważałaś mnie za porządnego człowieka. Tak to jest - nigdy niczego nie można być pewnym.

W ogródku pubu pod Latającym Bażantem kilku klientów grało w bule. Przechodząc przez porośłą wiciokrzewem alejkę, Lottie dostrzegła Maria, który z zapalem uczył jakąś dziewczynę właściwej techniki rzutu kulą. Lottie zastygła w bezruchu ze szklanką soku pomarańczowego w dłoni i obserwowała ich niezauważona. Kostki lodu stukały o szklankę. Mario wstąpił do pubu w drodze z pracy - wciąż miał na sobie rozpiętą pod szyją elegancką białą koszulę i czarne spodnie od garnituru. Marynarka

wisała na oparciu krzesła, a na stoliku tuż obok stał kufel Guinnessa. Dziewczyna, której pomagał Mario, była szczupła i ciemnowłosa. Okulary słoneczne zatknęła sobie na czubku głowy. Trzepotała teraz wymalowanymi tuszem rzęsami i chichotała jak siedemnastolatka, mimo że, jak zauważyła Lottie, musiała mieć trzydziestkę z okładem. Lottie zastanawiała się, jak funkcjonował rozum Maria. Czy ta część jego mózgu, która włącza funkcję flirtowania na widok absolutnie każdej kobiety, nigdy się nie zużyje? A może to nie jego mózg funkcjonował niewłaściwie? Pociągając łyk soku, Lottie przyjrzała się pełnym zazdrości spojrzeniom innych grających w bule dziewczyn i pomaszzerowała w stronę Maria.

- Cześć, Lottie. - Mario wyprostował się i uśmiechnął radośnie. Ciemnowłosa dziewczyna obróciła się i wlepiła w nią taksujące spojrzenie - Lottie bez wątpienia stanowiła konkurencję. Dla przekory, po to, żeby zobaczyć wyraz twarzy nieznajomej, Lottie pocałowała Maria w policzek.

- Cześć, kochanie - powiedziała swobodnie. - Zagramy potem, dobrze? Uwielbiasz, jak z tobą wygrywam.

Mario zaśmiał się, doskonale wiedząc, do czego zmierzała Lottie.

- Kto to jest? - zapytała z irytacją jego partnerka. - Twoja dziewczyna?

- W zasadzie - powiedziała Lottie - jestem jego żoną.

- W zasadzie była żoną - poprawił ją Mario. - Chociaż wciąż uwielbia wtrącać się w moje życie.

- Ktoś musi. - Głowa nieznajomej obracała się rytmicznie pomiędzy Lottie i Mariem, jak gdyby była sędzią na Wimbledonie. - A gdzie Amber?

- Przeprawia się przez Himalaje) A gdzie ma być? W salonie - powiedział Mario. - Przyszedł niespodziewany klient i nie wyjdzie przed ósmą, więc wpadłem tu na szybkiego drinka. To ci chyba nie przeszkadza?

- A kim jest Amber? - Rzęsy ciemnowłosej ślicznotki przestały trzepotać.

Lottie popatrzyła, na Maria.

- To moja dziewczyna - powiedział z westchnieniem.

- Stała dziewczyna - dodała Lottie.

- Wielkie dzięki - powiedział Mario, kiedy dziewczyna i jej przyjaciółki, potrząsając kształtnymi fryzurkami, zniknęły we wnętrzu pubu.

- Nie ma za co - powiedziała radośnie Lottie. - Możemy teraz pograć, jeśli chcesz. Chyba nie boisz się, że wygram? - Prawdę mówiąc, odprowadziwszy wzrokiem adoratorkę Maria, Lottie miała wrażenie, że już odniosła zwycięstwo.

- Za gorąco. - Mario sięgnął po piwo. - Wypiję i jadę.

- Całe szczęście, że przyszedłam. Co by się stało z tą dziewczyną, gdybym się nie zjawiła?

- Nic. - Poczul się dotknięty. - Nie wiedziała, jak trzymać bule, to wszystko. Pokazywałem jej, jak się prawidłowo rzuca.

- A jedzie mi tu czołg? - Lottie pokazała palcem na swoje oko.

Mario potrząsnął głową.

- Zupełnie tego nie rozumiem. Kiedy byliśmy małżeństwem, nigdy nie zrzedziłaś. Teraz, kiedy nie jesteśmy małżeństwem, robisz mi bez przerwy wymówki. A tak w ogóle gdzie są dzieci?

- Do siódmej w Klubie Karate. I nie zmieniaj tematu - powiedziała nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Zrzedzę właśnie z ich powodu. Amber nie jest naiwna i dobrze o tym wiesz.

Zdajesz sobie sprawę, jakim jesteś szczęściarzem, że ją masz? Jeśli odkryje, że romansujesz, zerwie z tobą natychmiast. Nie żartuję - dodała, bo kąciki ust Maria uniosły się lekko do góry. - Wbrew temu, co myślisz, można ci się oprzeć.

- Kiedyś uważałaś, że nie można. - Jego oczy błyszczały szelmowsko.

- Byłam młoda i naiwna. A potem od ciebie odeszłam - powiedziała Lottie. - O czym to świadczy?

- Ze już nie jesteś taka młoda, a w zasadzie, że jesteś dość wiekowa. Au, przestań! - Mario złapał się za ramię. - Nie romansuję. Jestem całkowicie wierny Amber.

Jak na razie - niewypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

- I niech tak pozostanie. Bo musisz brać pod uwagę dobro swoich dzieci - ciągnęła Lottie. - Jeśli Amber cię zostawi, bo odkryje, że ją oszukujesz, to będzie bardziej bolesne niż szturchaniec w ramię. Musisz o nich myśleć i...

- Myślę o nich - powiedział z naciskiem Mario. Wyglądał na urażonego, chociaż Lottie podejrzewała, że żądanie, by przestał flirtować było równie realne jak oczekiwanie, żeby gepard przerzucił się na dietę złożoną z marchewki i brokułów. - Ciągle o nich myślę - powtórzył. - Gdybyś przestała mnie napastować i dała mi czasami wtrącić słówko, zapytałbym, jak czuje się Nat.

Nat i kocyk. Przytulanka, które jest już tylko wspomnieniem.

- Lepiej - westchnęła Lottie. Miała za sobą kilka bardzo trudnych dni, a pierwsza noc była naprawdę dramatyczna. Nat zrywał się z krzykiem co godzinę i wybuchał rozdzierającym płaczem. - Dziś nawet trochę się rozchmurzył. Powiedziałam mu, że Arnold Schwarzenegger też zgubił swoją przytulankę, kiedy miał siedem lat. - Lottie wydeła usta. - Teraz Nat chce do niego napisać, bo uważa, że Arnie zrozumie, co on przeżywa.

Na twarzy Maria pojawiła się czułość.

- Wyjdzie z tego. Daj mu jeszcze parę tygodni, a dojdzie do siebie.

- Boże, parę tygodni - Lottie wyobraziła sobie nieprzespane noce, które ją czekają.

- Hej, głowa do góry. Założę się, że twój nowy szef czuje się bardzo niezręcznie.

- Dziś rano poleciał do Stanów, żeby pozłatwiać swoje sprawy. Wróci w przyszłym tygodniu.

Mario spojrział na zegarek i wstał, pozostawiając na stoliku swojego na wpeł wypitego Guinnessa. - Słuchaj, a może dzieci prześpią się dziś u mnie? Odbiorę je z karate i zabiorę do domu. Zrobimy sobie pizzę i pogramy na komputerze. Co ty na to?

- Może nie jesteś aż taki zły - powiedziała Lottie, wzruszona nieoczekiwaną propozycją.

- Tak, potrafię być miły - mrugnął do niej Mario i zadzwonił kluczykami. - Pojadę obejrzeć zajęcia karate. Nie podrywaj dziś żadnych nieznanym mężczyznom i połóż się wcześniej, dobrze?

Potrafił być cudowny, jeśli chciał. W wielu momentach bywał irytująco beztroski i nieodpowiedzialny, ale, kiedy trzeba, umiał być troskliwy i ofiarny. Przez moment Lottie miała wielką ochotę opowiedzieć mu o strasznej chorobie Freddiego, ale powstrzymała się, wiedząc, że nie powinna. Najbardziej bała się reakcji ludzi na wiadomość, że od początku wiedziała - każdy będzie patrzył na nią z niedowierzaniem w oczach i pytał: „Dlaczego nie zmusiłaś go do leczenia? Dlaczego nic nie zrobiłaś? Nie można tak po prostu stać i patrzeć, jak ktoś umiera!”.

Tak czy owak nie mogła zwierzyć się Mario. Freddie domagał się kategorycznie, aby nic nikomu nie mówiła aż do czasu, gdy pojawią się zewnętrzne fizjologiczne sygnały sugerujące, że nie wszystko jest z nim w porządku. Perspektywa sobotniego spotkania z Jeffem Barrowcliffem bardzo go ożywiła, był...

- Dobrze się czujesz? - spytał Mario zatroskanym głosem, a Lottie zdała sobie sprawę, że od dłuższej chwili wpatrywała się w pole do gry w bule, gdzie w piasku leżała mała kolorowa piłeczka otoczona rozrzuconymi srebrnymi kulami. Otrząsnęła się.

- Wszystko w porządku. Jestem trochę przepracowana, nic więcej.

- To dobrze. A więc w drogę do Klubu Karate. A ty zadbaj o siebie. - Mario przechylił się ponad stołem i ucałował ją ciepło w policzek. - Już mnie nie ma.

Rozdział 14

Było wczesne sobotnie popołudnie. JoJo opalała się w ogródku ciotki Kressidy, czytając „Phi!”, magazyn dla nastolatek, i słuchając Avril Lavigne na odtwarzaczu CD. Jej rodzice urządzali dziś grilla, więc domem i ogrodem rządziła firma cateringowa. Robertowi i Saszy nie przyszłoby do głowy, żeby zorganizować luźną imprezę dla przyjaciół i sąsiadów, która służyłaby jedynie zabawie i być może skończyłaby się tańcami na ulicy. Dzisiejsze przyjęcie jak zwykle miało być okazją do poznania ludzi z branży i do zawarcia interesujących kontraktów. Celem było zrobienie wrażenia na klientach, a nie, broń Boże, beztronska zabawa. Taka opcja nie była brana pod uwagę. Kiedy JoJo zasugerowała, że mogłaby spędzić ten dzień u ciotki Kress, jej matka odetchnęła z wyraźną ulgą i powiedziała:

- Cudowny pomysł, kochanie. Nie bawiłabyś się tu dobrze.

JoJo była szczęśliwa, że może uciec, a ciocia Kress była zachwycona, że ją widzi. Wyszło słońce, więc JoJo rozciągnęła się na leżaku ubrana w jasnoniebieski top i szorty w niebiesko-różowe paski. Kressida pojechała do supermarketu, by uzupełnić nadwątlone zapasy. Obiecała JoJo, że wróci przed drugą i na pewno przywiezie cytrynowe lody z bezą, czekoladowy popcorn i tyle mrożonego sorbetu malinowego, ile dwie istoty ludzkie mogą skosztować w tydzień. Chociaż, jeśli miałyby się kierować dotychczasowym doświadczeniem, powinny założyć, że wszystko to zniknie w jeden dzień.

JoJo skończyła czytać artykuł o dziewczynie, która zadurzyła się w swoim nauczycielu fizyki. Avril Lavigne śpiewała po raz kolejny to samo. Reszta płyt była w jej torbie w kuchni, więc odłożyła gazetę i weszła do domu. Dopiero gdy wyłączyła walkmana, usłyszała gong przy drzwiach wejściowych.

Zanim dobiegła do drzwi i je otworzyła, dzwoniący dali za wygraną i odeszli w dół ulicy. Zastanawiała się właśnie, czy powinna za nimi zawołać, gdy, chyba wyczuwając jej spojrzenie, starszy z nich odwrócił się i zobaczył JoJo. Mężczyzna powiedział coś do towarzyszącego mu chłopca i zawrócił w stronę JoJo dokładnie w chwili, gdy ta zdała sobie sprawę, że jej

nos posmarowany jest na białą grubą warstwą filtru przeciwsłonecznego. Pośpiesznie rozmazała krem po twarzy, tłuszcząc przy okazji niemiłosiernie obie ręce.

- Witaj! - Mężczyzna zdawał się być bardzo przyjacielsko nastawiony. - Myśleliśmy, że nikogo nie ma w domu. Dzwoniłem dobrą chwilę.

- Przepraszam, byłam w ogrodzie. Z walkmanem. - JoJo wskazała na swoje uszy.

- A tak, mój syn też to ma. - Mężczyzna kiwnął ręką w kierunku chłopca przechadzającego się za bramą. Ten nie raczył nawet popatrzeć. - Jak widzisz, nie potrzebuje mieć słuchawek na uszach, żeby mnie zignorować. - Spojrzał na nią. - Adam Ant.

- Słucham? - zapytała JoJo, zdziwiona. - Tak się pan nazywa?

- Nie, nie. - Mężczyzna potrząsnął głową. - Ty wyglądasz jak Adam Ant z tym białym paskiem na nosie. Ale pewnie nie masz pojęcia, kto to. Jesteś o wiele za młoda. W każdym razie, ty pewnie jesteś JoJo. Czy twoja... hm... Czy Kressida jest w domu?

- Pojechała na zakupy. - Jako że pod drzwiami cioci Kress nie kłębiły się tabuny nieznanym mężczyznom, JoJo szybko skojarzyła, kim może być ten człowiek.

- Jest pan człowiekiem od kwiatów? - zapytała z nieskrywanym zainteresowaniem.

- Od kwiatów? - powtórzył.

- Tym, który kupił kartkę i przyniósł cioci Kress w podziękowanie kwiaty parę dni temu.

- A tak, to ja. - Twarz mu się rozjaśniła. - Oczywiście. A jak myślisz, o której wróci?

- Koło drugiej. Chce pan kupić jeszcze jedną kartkę? - spytała JoJo domyślnie.

- Noo, nie całkiem.

- To o co chodzi? Jeśli zostawi mi pan wiadomość, na pewno przekażę. Proszę poczekać, koło telefonu mam karteczki. - JoJo sięgnęła po notatnik i czerwony długopis, znalazła czystą

stronę i stanęła przed nim jak kelnerka. - Proszę mówić - powiedziała z wyczekiwaniem w głosie.

- Eee... Ja może zadzwonię później... - Mężczyzna lekko się zarumienił i JoJo zdała sobie sprawę, że po prostu się zawstydził. Przystąpił w zakłopotaniu z nogi na nogę, po czym odwrócił się, jakby chciał odejść, i wtedy zrozumiała, że przyszedł tu, by zaprosić ciocię Kress na randkę. JoJo dokuczała jej trochę po incydencie z kwiatami - kto by pomyślał, że miała rację! Zelektryzowana tym odkryciem, i jednocześnie świadoma wyjątkowości sytuacji (w magazynie dla dziewcząt przeczytała właśnie list od rozżalonej czytelniczki pytającej redakcję, dlaczego chłopcy zawsze obiecują, że zadzwonią, ale nigdy tego nie robią), postanowiła zatrzymać nieznanego mężczyznę za wszelką cenę.

- To może ja zapiszę pana numer i ciocia Kress oddzwoni? - zapytała, przybierając służbowy ton, taki sam, jakim mówiła jej matka, gdy chciała doprowadzić do końca intratną transakcję.

- Hm...

- To może umówię pana teraz? Wiem na pewno, że ciocia Kress jest dziś wieczór wolna.

- Cóż...

Bojąc się, że mimo wszystko mężczyzna odwróci się na pięcie i odejdzie, JoJo rozpaczliwym ruchem wcisnęła mu w dłoń pióro i notatnik.

- Proszę, niech pan napisze tu nazwisko i telefon, ciocia...

- Przepraszam... Zawsze się tak rządysz? - Syn nieznanego przechylił się nad furtką i patrzył na nią spod spuszczonego nisko daszku bejsbolówki.

JoJo zjeżyła się.

- Donny, nie ma powodu, żebyś był niegrzeczny - skarcił go ojciec.

- Nie jestem niegrzeczny. - Chłopak z ponurą miną wruszył ramionami. - Po prostu zadaję techniczne pytanie.

- Nie rządzą się - powiedziała przez zaciśnięte zęby JoJo. Chłopak uniósł brwi.

- Jesteś pewna? A słuchałaś kiedyś siebie?
- Donny!
Nie zwracając uwagi na ojca, chłopak powiedział:
- Tato przyszedł zaprosić twoją ciotkę na randkę.
- Wiem - odpowiedziała bez ogródek JoJo. - Staram się pomóc.
- Pomóc? Śmiertelnie go wystraszyłaś. I bez twojej pomocy to jest dla niego za trudne.
- Wiedziałaś, po co przyszedłem? - mężczyzna był lekko skonsternowany. - A skąd?
- Słuchaj. - JoJo skupiła wzrok na chłopaku przy furtce. - To nie moja wina, że ciotka wyszła. Twój tata mówi teraz, że zadzwoni, ale potem może nie zadzwonić. Chciałam coś konkretnego ustalić, coś, z czego potem nie mógłby się wycofać.
- Mój tata z niczego się nie wycofuje, OK?
- Za wyjątkiem naszej ścieżki - zauważyła JoJo.
- Bo na niego napadłaś!
- Ej, ej! - Doszedłszy do siebie, mężczyzna klasnął w ręce. - Przestańcie już.
- Ona zaczęła - wymamrotał pod nosem Donny.
- Donny, proszę. Zacznijmy jeszcze raz. - Spojrzał na JoJo wzrokiem, w którym tym razem widać było zdecydowanie, a nie panikę.
- Przyszedłem zaprosić twoją ciocię na kolację, ale...
- Dziś wieczór?
- Kiedy zechce. Ale skoro jej nie ma, wpadnę później. Obiecuję.
- Ale dziś wieczór byłoby super! - wykrzyknęła JoJo, która najwyraźniej postanowiła doprowadzić rzecz do końca. - Zna pan jakieś dobre restauracje w okolicy?
- Noo, nie... - powiedział niepewnie mężczyzna.
- Bardzo dobrze dają jeść Pod Czerwonym Lwem - trajkotała JoJo. - W Gresham. To tylko kilka mil stąd. Byłam tam z rodzicami parę tygodni temu. Jedliśmy cudowne ciasto z

kremem o smaku toffi. Mam powiedzieć, że przyjedzie pan po ciotkę Kress o siódmej?

Mężczyzna na chwilę zaniemówił.

- Ale jeszcze jej nie zapytałem, czy w ogóle ma ochotę gdzieś ze mną pójść - wydukał po chwili.

- Oj, ma, ma. - Tego akurat JoJo była pewna. - Całe wieki nie była na randce. Nie ma za bardzo szczęścia do mężczyzn.

Po twarzy przemknął mu uśmiech.

- Na pewno byłaby zachwycona tym, co mówisz.

- Ale to prawda. - JoJo chyba zaczynała go lubić. - Zawsze wiązała się z niewłaściwymi osobami. To co, o siódmej? Przypilnuję, żeby była gotowa na czas.

Teraz mężczyzna zaśmiał się w głos.

- A co z tobą?

- Ze mną? Ja jeszcze nie chodzę z chłopakami, mam dopiero dwanaście lat. - Ton JoJo był bardzo zasadniczy. - Poza tym, chłopaki to błazny.

Donny prychnął przy furtce.

- Chciałem zapytać, czy masz jakieś plany na dziś wieczór, czy może chciałabyś pójść z nami. - Mężczyzna wskazał na syna, który zajął się wydłubywaniem kępek mchu z ogrodzenia. - Będzie do pary, a poza tym Donny ucieszy się, mając do towarzystwa kogoś w swoim wieku.

Donny miał taką minę, jakby proszono go o wykonanie tańca z *Jeziora Łabędziego* w przedstawieniu szkolnym. I to na golasa. JoJo nie mogła oczekiwać, że będzie się w jego towarzystwie dobrze bawić. Z drugiej strony, miała dwanaście lat, co oznaczało, że dorośli nie pozwolą jej zostać samej w domu w nocy. A jeśli ciocia Kress zrezygnuje z randki, bo nie będzie chciała jej zostawić? Będzie wtedy musiała iść do domu i uczestniczyć w tym sztywniackim grillu. Naprawdę, nie ma innego wyjścia.

- Och, wspaniale. Dziękuję - uśmiechnęła się z wdzięcznością, a od strony Donny'go jej uszu dobiegło kolejne szydercze prychnięcie. - Będziemy waszymi przyzwoitkami.

Ojciec Donny'ego wyglądał na uszczęśliwionego.

- A więc ustalone - powiedział. - Zamówię stolik na siódmą trzydzieści. Ciastka z kremem o smaku toffi dla wszystkich - dodał z uśmiechem.

- Fuj! - mruknął Donny, rysując trampkiem po chodniku. - Ciastka z kremem są dla dziewczyn.

- Co takiego? - Kressida postawiła torby z zakupami na kuchennym stole i z otwartymi ustami wpatrywała się w JoJo.

- Umówiłam cię na randkę. - Dziewczynka pękała z dumy.

- Chryste! Z kim?

- Z tym panem, który przyniósł ci kwiaty. - Co?

- Och, zachowujesz się, jakby adoratorzy stali w kolejce. - JoJo pokazała w uśmiechu wszystkie zęby. - Wiesz, o kim mówię. Dziś wieczór idziesz z nim na kolację do restauracji Pod Czerwonym Lwem w Gresham.

- Dzisiaj? - Kressida nie była w stanie powiedzieć nic mądrego, a krew buzowała w niej tak, jakby jej układ krwionośny był torem Formuły Jeden. Osunęła się na krzesło.

- Ale... a co z tobą? Nie mogę zostawić cię samej.

- Nie musisz. Idę z wami. - JoJo zaczęła rozpakowywać torby, ładując woreczki z kukurydzą i opakowania placków ziemniaczanych do zamrażalnika.

- Idziesz z nami? - powtórzyła słabym głosem Kressida.

- Idę z Donnym. Z tym ponurym smarkaczem. Pamiętasz go? Będziemy was pilnować, żebyście nie zstąpili ze ścieżki cnoty. Wiesz, nawet starszym ludziom może przyjść do głowy coś głupiego. - Mówiła to bardzo swobodnie, najwyraźniej nie biorąc pod uwagę, że to może być prawda. - A więc wieczór mamy zaplanowany. Super, nie? Mówiłam ci, że mu się podobasz. Mogę sobie wziąć trochę lodów?

Kressida kiwnęła głową, zupełnie skołowana. Była to tylko kolacja, i do tego we czworo. Ale jej głupie serce skakało w piersi niczym jelonek Bambi. Od czasu swego pojawienia się w Hestacombe, Tom Turner gościł w jej myślach dużo częściej niż powinien.

- Boże, co ja na siebie włożę? - mamrotała Kressida, dochodząc do wniosku, że ktoś tak wiekowy i niewprawny jak ona potrzebuje wielu godzin, aby przygotować się do randki. - Powinnam wyskubać brwi. I włosy mam w kompletnej rozsypce... Czy jak teraz posmaruję nogi samoopalaczem, zbrązowieją do wieczora?

- Dawno temu, kiedy kobiety nie miały rajstop, smarowały sobie nogi proszkiem do zagęszczania sosów. Uczyliśmy się o tym w szkole. Robiłaś tak? - zapytała z zainteresowaniem.

- To było podczas wojny, czarownico. Jestem pewna, że wszystkie psy w Gresham zebrałyby się, żeby spróbować zlizać ten przysmak z moich łydek. A skoro wychodzę już gdzieś z facetem - Kressida wyraźnie się ożywiła - wołałabym, żebyśmy nie musieli uciekać przed sforą zapchlonych kundli. Kurczę, na mojej białej spódnicy jest plama po spaghetti.

JoJo w międzyczasie porzuciła rozpakowywanie zakupów i oparta o lodówkę zajadała łyżką lody cytrynowe wprost z pudełka.

- Ciociu, to nie jest Johnny Depp. Nie przejmuj się tak bardzo.

- Wiem. - Kressida przeczesала palcami włosy, które bezwzględnie wymagały strzyżenia. - Ale nie chciałabym, żeby uciekł z krzykiem.

- Przecież wie, że nie umówił się z supermodelką - pocieszała ją JoJo. - Po prostu zrób, co się da.

Młoda. I okrutna. I niestety ma rację.

- OK - powiedziała Kressida.

- W każdym razie, nie panikuj. Mam to, czego ci potrzeba. - JoJo wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. - Pożyczę ci mój magazyn dla dziewczyn.

Rozdział 15

Gazeta JoJo zawierała dwustronicowy artykuł zatytułowany: „Dwadzieścia Porad na Najgorętszą Randkę Życia”.

Przestudiowawszy dogłębnie tekst - razem z JoJo przyklejoną do jej boku - Kressida dowiedziała się, że na randkę z Tomem powinna założyć krótki obcisły top, który uwydatni jej płaski brzuch (tylko trzeba taki mieć!), że dzień wcześniej powinna wrzucić do pralki swoje tenisówki (bo nikt nie lubi wachać cuchnących butów) i że nie powinna mu robić malinki w widocznym miejscu już przy pierwszym spotkaniu (fuj!). Została również poinstruowana, aby nie obrażać jego kolegów, aby nie nakładać zbyt grubej warstwy błyszczycy (bo nikt nie lubi przykleić się do dziewczyny podczas całowania) i nie wysyłać podczas randki sms-ów do innych przystojnych młodzieńców. Wskazane jest oczywiście, aby śmiała się z jego dowcipów, ale nie za głośno (przecież nie chcesz, żeby pomyślał, że jesteś hieną!). Powinna również sprawdzić, czy zapasowe tampony schowane są głęboko na dnie torby (żeby nie wypadły i nie potoczyły się po podłodze) i, na koniec, powinna kontrolować ilość wypijanej coli - cokolwiek się wydarzy, nie wolno jej beknąć mu prosto w twarz!

Należy podziękować opatrności za magazyny dla nastolatek, pomyślała Kressida. Jakże wstrząsające *faux pas* mogłaby popełnić, gdyby nie wcześniejsza lektura tego artykułu!

- Czego się napijecie? - W restauracji Pod Czerwonym Lwem, Tom złożył ręce i odwrócił się do Kressidy. - Co dla ciebie?

- Dla mnie cola - powiedziała niewinnie Kressida i spojrzała na JoJo, która potrząsnęła z przerażeniem głową. - Albo nie. Wiesz, mam ochotę na lampkę białego wina.

JoJo wyraźnie odetchnęła.

- Świetnie. A ty, Donny?

- Poproszę colę.

- JoJo?

- Dzięki - JoJo uśmiechnęła się do Donny'ego. - Dla mnie też cola.

- Po co to robimy? - Donny zmarszczył brwi. - Nudno tutaj.

JoJo wzniosła oczy ku niebu, zastanawiając się, jak on może być taki tępy. Kiedy tylko podano napoje, uparła się, żeby wyszli do ogródka z tyłu restauracji.

- W środku też jest nudno. A my musimy być taktowni. Gdybyśmy zostali z nimi, twój tato zacząłby pytać, czy lubię swoją szkołę i jakie są moje ulubione lekcje, bla, bla, bla, a ciocia Kress wypytywałaby cię o zainteresowania i kim chcesz być, kiedy skończysz szkołę. Musieli by z nami gadać. Dorośli zawsze tak robią, gdy w pobliżu są dzieci. Ale tak naprawdę oni chcą z e s o b ą porozmawiać, to po co im się narzucać? Możemy siedzieć tutaj i robić, co chcemy.

- I nie musimy odpowiadać na beznadziejne pytania - nieoczekiwanie kiwnął głową Donny. Musiał przyznać, że jej argumenty były sensowne. Popatrzył na nią spod swojej czapki.

- Ale tu nie ma nic do zrobienia. Chyba, że chcesz poskakać po drabinkach dla dzieci - dodał sarkastycznie.

- Nie, dzięki. Mógłbyś spaść i się rozplakać. - JoJo pociągnęła łyk coli. - Możemy pogadać.

- O czym? - Spojrzał na nią z niechęcią.

- No, nie wiem. Ale mógłbyś się trochę wysilić - powiedziała JoJo, tracąc cierpliwość. - Przecież mieszkasz w Newcastle. Nie ma tu nikogo z twoich znajomych i nikt nie zobaczy, że rozmawiasz z dziewczyną.

- Nie boję się rozmawiać z dziewczynami.

- Nie? Jakoś nie bardzo ci idzie jak na razie.

- Może to zależy od dziewczyny. - Donny wyduł usta. JoJo miała wielką ochotę wypić duszkiem resztę coli

i beknąć mu prosto w twarz. Czy to dziwne, że nie interesowała się chłopakami, skoro byli tacy beznadziejni?

- Wiesz co? - powiedziała zniechęcona. - Nie próbuję cię poderwać. Nie jesteś w moim typie. Po prostu pomyślałam, że moglibyśmy dać trochę swobody twojemu ojcu i mojej ciotce, to wszystko.

- Dobrze, dobrze... - Donny wypuścił ze świstem powietrze.
- Tylko jaki to ma sens? Przyjechaliśmy tu na wakacje. W przyszłym tygodniu wrócimy do Newcastle.

- No to co? Podobają się sobie. Co w tym złego? Nigdy nie słyszałeś o wakacyjnym romansie? - zapytała JoJo, zirytowana jego postawą.

Słyszac słowo „romans”, Donny wzdrygnął się i odwrócił głowę z takim obrzydzeniem, jakby JoJo na niego napluła. Na co, prawdę mówiąc, miała ogromną ochotę.

- Wiem, że nic poważnego nie może z tego wyniknąć, bo za daleko mieszkacie. - Mimo wszystko nie poddawała się. - Ale to nie jest powód, żeby nie mogli spotkać się parę razy i na tym skończyć. Pomyśl o tym jak o treningu. Ciocia Kress nie miała w życiu szczęścia do mężczyzn, więc to miło zobaczyć ją z kimś sensownym. A twój tato, zdaje się, też już wyszedł z wprawy. - Przerwała, po czym z namysłem powiedziała: - Nie chcesz tego? Nie chcesz, żeby się z kimś spotykał?

Donny popatrzył na swoje trampki.

- Nie o to chodzi... - powiedział w końcu. - Tylko to takie dziwne uczucie. Mama odeszła od nas dwa lata temu.

- Słyszałam. Ciocia Kress mi powiedziała.

- Wiem, że pewnie kiedyś się ożeni. A jeśli wybierze kogoś, kogo nie będę mógł znieść? Chodzi mi o to, że przecież nie będę miał nic do gadania. Rodzice mojego kumpla, Grega, rozwiedli się i ożenili na nowo, a Greg nie cierpi i swojej macochy, i swojego ojczyma.

JoJo zrobiło się go żal.

- Ale przecież może ożenić się z kimś, kogo będziesz lubił. Nie musi być tak źle. Widzisz, może to jest odwrotny układ, ale mój tata był kiedyś żonaty z ciocią Kress, a ja kocham ją na zabój.

- Twój tata był żonaty z ciocią Kress? Kiedy, przed twoim urodzeniem? - Donny zmarszczył brwi, próbując zrozumieć tę układankę. - Strasznie dziwne.

- Wcale nie. Ona jest cudowna, a ja mam wielkie szczęście - tłumaczyła JoJo.

Donny skubał nogawki swoich spranych dżinsów.

- Mogę się założyć, że nie będę miał tyle szczęścia. Ja nigdy...

- Uśmiechnij się!

- Co? - Podniósł wzrok i zobaczył, że JoJo śmieje się do niego, jakby była stuknięta.

- Zrób uszczęśliwioną minę - instruowała go JoJo, wciąż wyginając wargi w idiotycznym uśmiechu. - Ciocia Kress wygląda przez okno i sprawdza, czy się dobrze bawimy. Udaj, że się cieszysz.

- Po co?

- Naprawdę jesteś taki tępy, czy tylko się zgrywasz? Bo wtedy nie będą musieli się o nas martwić i zajmą się sobą.

- Boże, czemu nie wzięłam GameBoya! - wyjęczał Donny, ale zmusił się do grymasu, który z pewnej odległości mógł uchodzić za uśmiech. - A ty jesteś jakaś dziwna, wiesz?

- Wszystko w porządku. Rozmawiają i śmieją się, jakby znali się od lat - oznajmiła uszczęśliwiona Kressida.

- Naprawdę? - W oczach Toma widać było ulgę.

- Przyjaźń od pierwszego wejrzenia. Tylko popatrz. Niepotrzebnie się martwiliśmy. Na pewno lepiej się czują sami w ogródku niż tutaj ze starymi ramolami. Chociaż ty wcale nie jesteś starym ramolem - dodała pośpiesznie Kressida, bo brwi Toma uniosły się w geście zdumienia.

- Ty też nie - uśmiechnął się.

- Ale oni na pewno tak sądzą.

- Oczywiście. Dla nich każdy po dwudziestym piątym roku życia jest starcem.

Kressida wcale nie uważała, że jest zramolała, w każdym razie nie do końca. Miło było siedzieć w ładnym wnętrzu, przy elegancko nakrytym stoliku. Światło wewnątrz restauracji było przyciemnione i jej cera wyglądała w nim znakomicie. Migające

płomyki świec przydawały romantycznego blasku. Wypiwszy wino, oparła się wygodnie, czując rozlewające się w jej wnętrzu ciepło. Tom wyglądał wyjątkowo młodo. A właściwie, wyglądał wyjątkowo, kropka. Zapachy wydobywające się z kuchni przyprawiły o zawrót głowy.

- Tak się cieszę, że tu przyszliśmy - powiedziała radośnie Kressida.

- Nie dziękuj mnie, tylko JoJo. To był jej pomysł - uśmiechnął się Tom. - Nie da sobie w kaszę dmuchać. Powiedziała mi, o której mam po ciebie przyjechać i gdzie cię zabrać. Zrobiłem, co mi polecono.

- Mnie się bardzo podoba. A ty żałujesz?

- Nie mam powodu. To najlepsze wakacje od lat. - Pochylił się do przodu i powiedział:

- Pomyśl, gdyby nie urodziny mojej matki, nigdy byśmy się nie spotkali.

Odczuwając lekki zawrót głowy i cudowną beztroskę, Kressida uniosła swój kieliszek i nieomal włożyła koronkowy rękaw w płomień świecy.

- W takim razie, zdrowie twojej matki.

- Za moją matkę. - Tom stuknął swoim kieliszkiem w jej kieliszek i ciepło dodał: - I za ciebie.

- I za mnie. I za ciebie też. - Spojrzała mu w oczy i z całego serca zapragnęła, żeby nie mieszkał tak daleko. I postanowiła nie pić więcej wina na pusty żołądek. To była jedna z tych okazji, w których za wszelką cenę nie chciała zrobić z siebie błazna. - Może zamówimy coś do jedzenia? A potem opowiesz mi o Newcastle.

- To nie jest żadne egzotyczne miejsce. - Tom spojrzał na nią z uśmiechem.

Ty tam jesteś, pomyślała Kressida w upojeniu, którego nie czuła od czasu, gdy była nastolatką.

- Dla mnie jest dość ekscytujące.

Idzie! - powiedziała JoJo, kiedy ciocia Kress pojawiła się w ogrodzie, zasłaniając oczy przed zachodzącym słońcem i machając kartami dań.

- W końcu - mruknął Donny. - Umieram z głodu. Siedzimy tu od godziny.

- Przestań biadolić i uśmiechnij się. - JoJo kopnęła go w nogę pod drewnianym stołem. Natychmiast poczuła jeszcze silniejsze kopnięcie w kostkę.

- Cześć, ciociu. Dobrze się bawicie?

- Och, świetnie, kochanie, naprawdę świetnie. - Uśmiechając się szeroko, ciocia Kress wręczyła każdemu z nich menu. - Zamawiamy jedzenie. A u was wszystko w porządku?

- Super! - JoJo była Pod Czerwonym Lwem wcześniej, więc od razu powiedziała:

- Dla mnie fajitas z kurczakiem. I ciastko z kremem toffi. A dla ciebie, Donny?

Przejrzał menu z prędkością światła.

- Poproszę burgera i frytki.

- Weź coś innego - poprosiła JoJo. - To takie nudne. Weź fajitas z kurczakiem.

- Chcę burgera i frytki. Mogę wziąć, co chcę.

- Oczywiście, że możesz. - Ciocia Kress pochyliła się i poradziła: - Nie zwracaj uwagi na JoJo. Zawsze jej się wydaje, że wie najlepiej. A co chcesz na deser? Ciastko z kremem?

- Hm... - Donny popatrzył na JoJo, która ostentacyjnie zacisnęła usta. Westchnął. - No dobrze, nich będzie - powiedział.

- A możemy zjeść tutaj? - zapytała JoJo. - Tyle ludzi tutaj je. A wy możecie zostać w środku, jeśli wolicie.

- Znakomity pomysł! Powiem kelnerowi, żeby podał wasze dania tutaj, kiedy będą gotowe. Tak miło widzieć, że się dogadujecie - ciągnęła ciocia Kress. - Twój tato proponuje

- spojrzęła na Donny'ego - żebyśmy pojechali jutro do parku Longleat. Co wy na to?

JoJo podskoczyła z radości. Siedzący obok niej Donny skrzywił się lekko, ale potem kiwnął głową i wydusił z siebie uśmiech.

- A więc ustalone - ciocia Kress była w siódmym niebie.
- Lepiej będzie, jak teraz wrócę i złożę zamówienie.
- O niczym innym nie marzę - mruknął Donny, gdy znów zostali sami. - Zabawa w szczęśliwą rodzinę - prychnął.
- To chyba lepsze niż zabawa w nieszczęśliwą rodzinę - odparowała JoJo i szturchnęła go. - No, rozchmurz się, będzie fajnie.

- Zwiedzanie rezydencji - jęknął Donny. - Przez cały dzień! Z tobą!

- W Longleat jest super. - A ponieważ polubiła drażnienie Donny'ego, a właściwie, wkurzanie go, dodała: - A tamtejsze lwy uwielbiają, kiedy zrzedliwi nastoletni chłopcy przypadkiem wpadają z samochodów wprost w ich pazury.

- Rrrrrraaach!

Donny popatrzył na nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Potem pochylił się i trzy razy uderzył czołem w drewniany blat stołu.

- Boże - wyjęczał.

Rozdział 16

Freddie wyruszył na spotkanie autostradą M5 w niedzielę po śniadaniu. Jeśli nie będzie korków, powinien dojechać do Exmouth w kilka godzin. Otworzył okno i zapalił cygaro, z premedytacją ignorując uporczywy tępy ból głowy, który każdego ranka ciążył mu niby ołowiany hełm. Łąki i pola za szybą spowite były mgłą. Pojedyncze promienie słońca z trudem przedzierały się przez chmury. Myśl o spotkaniu z Jeffem napełniała Freddiego radością, ale była to radość podszyta niepokojem. Ich rozmowa telefoniczna była krótka, Jeff był wyraźnie zaskoczony, słysząc głos przywołujący wspomnienie z dalekiej przeszłości. I nie było to miłe wspomnienie.

Cóż, to rozumiałe, że nie okazał się wylewny. Ale Freddie miał nadzieję, że uda im się przewyciężyć skrępowanie i zło, które się wydarzyło, i odbudować chociaż w niewielkim stopniu przyjaźń, która łączyła ich w dzieciństwie. Wtedy więc między nimi wydawała się nierozzerwalna i byli przekonani, że tak będzie przez całe życie. Tymczasem wystarczyła jedna feralna noc, aby więzy przyjaźni zerwały się na zawsze i każdy z nich poszedł swoją drogą. Jeff bez wątpienia bardzo wtedy cierpiał. Ale czy to cierpienie trwało przez następnych czterdzieści lat? Freddie nie znał odpowiedzi na to pytanie. Nie chciał o tym rozmawiać przez telefon.

Na autostradzie pojawił się znak stacji benzynowej i w pierwszym odruchu Freddie postanowił zatrzymać się na kawę i kilka tabletek Ibufenu. Ale nie zrobił tego. Chciał jak najszybciej dojechać do Exmouth, zobaczyć Jeffa i zadać wszystkie pytania, które od lat kłębiły się w jego głowie. Znał Jeffa i wiedział, że potrafi być bardzo porywczy. Być może za chwilę przekona się o tym na własnej skórze? Ale z drugiej strony, z pewnością sobie na to zasłużył.

- Pijany - powiedziała z obrzydzeniem Giselle. - Zalany jak prosię. Nie jest w stanie iść, nie mówiąc o jeździe na motorze. Nawet jeśli Derek odwiezie go do domu, motor i tak zostanie tutaj i Jeff nie będzie mógł rano pojechać do pracy. A ja też nie mam jak dostać się do domu, nie przejdę sama ośmiu mil w środku nocy - zakończyła niemal ze łzami w oczach.

Biedna Giselle była u kresu wytrzymałości i trudno było się temu dziwić. Freddie wiele razy widział Jeffa zalanego w sztok. Od urodzenia mieszkali w Oksfordzie obok siebie i byli najlepszymi kumplami, ale kiedy Jeff wpadał w pijacki ciąg, nikt nie potrafił go powstrzymać.

Tego wieczoru bawili się w słynnym pubie w Abingdon, który był zawsze otwarty aż do wyjścia ostatniego gościa. Jeff i Giselle przyjechali na nowym motorze Jeffa, magicznym Nortonie 350. Pozostała piątka, w tym Freddie, gniotła się jak

sardynki w puszcze w czarnym minimorrisie Dereka. A teraz Jeff nie był w stanie wrócić do domu.

Freddie przyglądał się Giselle ubranej tego wieczora w wiśniowy top i biało- czerwona spódnice. Ciemne włosy upięła w wysoki koński ogon. Wyglądała na roztrzęsioną. Freddie wiedział, że następnego ranka musiała być w pracy, a było już dobrze po północy. Do tego miała nadopiekuńczych rodziców, którzy nie kładli się spać, zanim ich osiemnastolatka nie wróciła do domu. Nikt nie miał dość pieniędzy, by zapłacić za taksówkę. Ale właściwie taksówka nie była potrzebna...

- Jeff może wrócić z Derekiem i resztą. My pojedziemy motorem Jeffa, odwozę cię do domu. Pasuje?

- Zrobisz to? - w oczach Giselle rozbłysła nadzieja. - Och, Freddie, to cudownie. Matka oszalałaby z niepokoju, gdybym nie wróciła. Uratowałeś mi życie.

Cóż za znamienne słowa.

Wynieśli Jeffa z pubu i wtłoczyli w siedzenie pasażera z przodu minimorrisa.

- Nie waż mi się wymiotować w samochodzie! - powiedział Derek do zwisającej bezwładnie głowy Jeffa.

- Dlaczego on to robi? - powiedziała ze smutkiem Giselle, kiedy tylne światła samochodu znikły im z oczu. - Potrafi być taki uroczy. Kiedy nie pije, jest chodzącym ideałem. A potem bez powodu idzie w tango. To bez sensu.

Miała rację, ale Freddie nie chciał podejmować dyskusji. Jeff to Jeff. Nie zamierzał być nielojalny w stosunku do najlepszego przyjaciela.

- Do rana mu przejdzie - powiedział z wymuszonym spokojem. - Każdemu zdarza się wypić o jeden kieliszek za dużo. Chodź, jedziemy do domu.

Droga do Oksfordu była zupełnie pusta. Nagle z przydrożnych krzaków wyskoczył wprost pod koła lis. Freddie gwałtownie zahamował i skręcił kierownicą, aby ominąć zwierzę. Tylne koło maszyny zatańczyło pod nimi i uciekło w bok. Freddie miał wrażenie, że wszystko, co zdarzyło się potem,

działo się w zwolnionym tempie. Ręce Giselle zacisnęły się konwulsyjnie na jego talii. Widząc przed sobą kamienne ogrodzenie, rozpaczliwie krzyknęła. Uderzenie było głośne i gwałtowne. Giselle wyskoczyła z tylnego siedzenia jak z katapulty i wylądowała bezwładnie po drugiej stronie muru. Freddie cudownym zrzędzeniem losu spadł na wąski pas zieleni, ciągnący się wzdłuż płotu. Poczuł ból rozlewający się po całym ciele, ale wiedział, że czuć ból znaczyło żyć. Podniósł się z trudem i przechylił przez mur.

- Giselle - zachrypiał. - Odezwij się.

Nie było odpowiedzi. Jedyne para wydobywająca się z silnika motocyklu świszczała w pełnej grozy ciszy. W nieprzeniknionej ciemności udało się Freddiemu przedostać na drugą stronę. Usłyszał, że Giselle oddycha. Próbowała usiąść.

- Mój Boże, Giselle...

- Chyba nic mi nie jest Spadłam na jakieś kamienie. Strasznie boli mnie noga - wyszeptała przez zaciśnięte gardło. - I plecy.

Gdy Freddie dotknął jej ramienia, poczuł na palcach zastygającą krew. Zadrzał. Mało brakowało, a zabiłby dziewczynę, którą kochał, dziewczynę zaręczoną z jego najlepszym przyjacielem. Kiedy ścisnął jej rękę, wyczuł na palcu maty zaręczynowy pierścionek.

- Boże, co ja zrobiłem!

- Zdaje mi się, że skasowałeś motor Jeffa - wyszeptała z wysiłkiem Giselle. Świst w silniku stawał się z każdą minutą intensywniejszy. - Chyba nie będzie ci wdzięczny.

Usłyszeli dźwięk nadjeżdżającego samochodu. Uczynny kierowca odstawił ich natychmiast na oddział chirurgii najbliższego szpitala. W poczekalni Giselle powtarzała Freddiemu, że wypadek to nie jego wina i nikt nie byłby w stanie mu zapobiec. Freddie potrząsał ukrytą w dłoniach głową.

- Gdyby coś ci się stało, nie zniósłbym tego - powiedział. Na swojej szyi poczuł jej wilgotne od krwi ramiona. Na

środku poczekalni chirurgicznej, w podartym i zabłoconym ubraniu, przyłgnęła do niego i całowała go bez opamiętania. Kiedy skończyła, przytrzymała jego twarz w swoich dłoniach i, czytając w jego oczach skrywaną od dawna prawdę, wyszeptała:

- Nie widzisz tego, Freddie? Stało się.

Gdy przyjechali przerażeni rodzice Giselle, przedstawiła im towarzysza i wyjaśniła, że w żaden sposób nie mógł uniknąć wypadku. Próbował tylko ominąć lisa. Ojciec Giselle przyjrzał się Freddiemu zmęczonym wzrokiem.

- A gdzie nasz kochaś?

- Derek odwiózł go do domu - powiedziała spokojnie Giselle.

- To znaczy, że znowu narozrabiał?

- Tak. I postanowiłam za niego nie wychodzić. - Giselle popatrzyła na brudną od krwi drobniutką kiść brylantów na swojej lewej ręce. - Zrywam zaręczyny.

W oczach jej matki pojawiły się łzy ulgi.

- Bogu niech będą dzięki - powiedział ojciec. - Nie był ciebie wart.

Giselle popatrzyła na Freddiego, a ten obawiał się, że jego serce nie pomieści miłości, którą czuł. Chciał do końca życia chronić ją przed idiotami takimi jak Jeff. Giselle wsunęła rękę w jego dłoń i spojrzęła na ojca.

- Nie był mnie wart. Ale znam kogoś, kto jest.

I tak to się stało. Życie Freddiego zmieniło się podczas tamtej nocy całkowicie. Przez osiem miesięcy ukrywał swoje uczucia do Giselle, a teraz musiał zmierzyć się z wyzwaniem, jakim było ogłoszenie ich związku światu, a w szczególności Jeffowi. Kiedy o trzeciej trzydzieści w nocy opuszczali oddział chirurgiczny zawinięci od stóp do głów w bandażę i plastry, wyglądali jak para egipskich mumii.

- Powiem Jeffowi już dziś, dobrze? Powiem, że między mną a nim koniec, i że teraz jestem z tobą.

Freddie nigdy wcześniej nie zastanawiał się, czy jest tchórzem, czy bohaterem.

- A może powinniśmy poczekać? - powiedziały jego usta, zanim zdążył pomyśleć.

- Dlaczego?

- Wiesz... - wykonał nieokreślony ruch ręką. - Żeby nie zranić Jeffa. - I dlatego, że Jeff słynął z gwałtownego temperamentu.

- Sam jest sobie winien. Musi spojrzeć prawdzie w oczy. - Giselle najwyraźniej podjęła już decyzję. - Nie będę go okłamywać, Freddie. Nie jestem taka.

- Dobrze - kiwnął głową Freddie i przetknął ślinę. Jutro Jeff dowie się, że zostawiła go dziewczyna i że jego ukochany Norton 50 350 nadaje się na złom. I dowie się, dla kogo go zostawiła.

Tamtej nocy Freddie spał bardzo niespokojnie.

Z zadumy wyrwał go widok niebieskiego drogowskazu oznajmiającego, że musi zjechać z autostrady na następnym skrzyżowaniu. Freddie włączył lewy kierunkowskaz i przyhamował za trzęsącą się ciężarówką. Exeter, potem Exmouth, a potem dom Jeffa przy drodze do Sandy Bay. Będzie tam za pół godziny. Freddie dotknął nosa, zastanawiając się, czy lewy sierpowy Jeffa jest równie mocny, jak przed laty.

Rozdział 17

Lottie spędzała miło czas w supermarkecie, upajając się chłodnym powietrzem sączącym się z klimatyzatorów i ładując do koszyka sterty smakowitych potraw. Po piętnastominutowej przejażdżce z Hestacombe była rozgrzana i lepka, ale wewnątrz sklepu powietrze było cudownie rześkie. Rano, zamiast zjeść śniadanie, pobiegła z pustym żołądkiem do biura nadrobić zaległości, więc teraz wszystko, co widziała na półkach, wydawało jej się niebywale atrakcyjne. No, może poza jedzeniem dla kotów.

Właśnie przyglądała się łakomie półkom ze świeżymi bułeczkami i rogalami z czekoladą, zastanawiając się, czy pół tuzina

na pewno jej wystarczy, gdy kątem oka dostrzegła, że ktoś ją obserwuje. Obróciwszy się, zobaczyła wysokiego, przystojnego mężczyznę przyglądającego się jej z nieskrywanym rozbawieniem. Miał na sobie jasną dżinsową koszulę i szerokie szorty w kolorze khaki. Opierał się nonszalancko o pusty wózek. Jego bujne blond włosy i białe zęby przywodziły na myśl australijskich surferów. Na bosych stopach lśniły zużyte turkusowe gumowe klapki, ale zegarek na jego opalonym nadgarstku był bez wątpienia kosztowny. Co mogło oznaczać, że był zręcznym złodziejem.

Lottie odwróciła się plecami, ciesząc się w duchu z tej niemej adoracji. Otworzyła torebki z pieczywem i poczęstowała się trzema, nie, czterema, no, niech będzie, pięcioma rogalikami z czekoladą. Przyjemnie było zobaczyć w niedzielny poranek przystojnego faceta w dziale z pieczywem. Patrzy! na nią jeszcze? I dlaczego miał pusty wózek? Czekał na żonę i dzieci, które utknęły przy warzywach? Była bardzo zadowolona, że ubrała dziś rano różową sukienkę w paski i że chciało jej się porządnie uczesać. Wrzuciła pieczywo do wózka i obróciła go, niby od niechcenia, chcąc raz jeszcze uchwycić wzrok przystojnego blondyna i, być może, skwitować jego podziw krótkim, rzuconym w przelocie uśmiechem. Ale nieznajomego już nie było. I jego wózka również. Zniknęli z pola widzenia, co nie pochlebiało jej próżności. Bałwan. A więc to tyle, jeśli chodzi o poranne przyjemności.

Dwadzieścia minut później Lottie dotarła do stoiska monopolowego i zagłębiła się w lekturze etykiet na oferowanych w promocji winach. Problem w tym, że opisy rozwdziły się o owocowej nucie tu i odświeżającym smaku tam, kiedy ona potrzebowała informacji w rodzaju: Okey, wiem, że kosztują tylko 2 funty 99 pensów, ale obiecuję, że nie będę cierpkie i mętne, i nie uszkodzę szkliwa na zębach. Niestety, żadna butelka nie przekazywała tak jasnego komunikatu, więc Lottie przeprowadzała selekcję inną metodą. Etykieta na winie, które trzymała w lewej dłoni, informowała, że było ono czerwone, aromatyczne i

oferowało bogaty bukiet odczuć smakowych. To w prawej dłoni miało być białe, lekkie i orzeźwiające. I chyba na to wino się zdecyduje, bo było sprzedawane w kobaltowo- niebieskiej butelce z ładną srebrną nalepką, a poza tym było tańsze o całego funta i pięćdziesiąt centów, podczas gdy to drugie...

- Nie rób tego - odezwał się głos za jej plecami. Lottie nieomal upuściła obie butelki, bo wiedziała, do kogo mógł należeć ten głos. Kiedy odwróciła się, nieznajomy kręcił z dezaprobatą głową. - Zasługujesz na coś lepszego.

- Wiem. - Lottie usiłowała stłumić przyśpieszony oddech, ale nie było to łatwe, bo serce waliło jej jak oszalałe. - Ale mój doradca finansowy może się z nami nie zgodzić.

- Tanie wino to wątpliwa oszczędność. Lepiej kupić jedną butelkę czegoś sensownego niż trzy byle jakie.

- Zapamiętam to na wypadek, gdybym kiedyś wygrała na loterii. - Włożyła niebieską butelkę za srebrną naklejką do koszyka, a drugą odstawiła na półkę. Mężczyzna szybko ją ominął i stanął z przodu.

- I nigdy przenigdy nie kupuj wina dlatego, że jest w ładnej butelce. - Patrzył na jej zakup z wyraźnym bólem na twarzy. - To gwarancja, że będzie ohydne.

- Zgubiłeś wózek - zauważyła Lottie.

- Jest bardzo kiepsko wytresowany, powinienem trzymać go na smyczy. - Włożył oba palce do ust i zagwizdał, strasząc przy okazji wszystkich klientów na stoisku.

- Podjedzie do nogi? - spytała zaintrygowana Lottie.

- Tak myślę. Prędzej czy później się zjawi, jak znudzi mu się gonitwa za innymi wózkami... O, widzisz? - Pochylił głowę i patrzył, jak jego kosz wyjeżdża zza najbliższego rogu, kierowany przez chudą elegancką blondynkę w nieskazitelnie wyprasowanej niebieskiej bluzeczce ze stójką i w dzinsach, z pełnym makijażem na twarzy.

Och, co za bałwan!

- Tu jesteś, Seb - odezwała się z pretensją w głosie dziewczyna. - Już byliśmy w tej alejce. Potrzebne nam jeszcze

patyczki do koktajli i możemy znikać. Obiecałam mamie, że wrócimy przed południem.

Lottie oniemiała na widok wypchanego po brzegi kosza. Było tam chyba z sześćdziesiąt butelek szampana, a na nich, pieczołowicie poukładane, leżały niezliczone opakowania z wędzonym łososiem i szynką parmeńską, zgrzewki z przepiórczymi jajami i pół tuzina kartonów ze świeżo wyciśniętym sokiem pomarańczowym.

- Nie wiem, czy widzisz, ale to jest cholernie ciężkie - zaszcebiotała dziewczyna, podsuwając wózek Sebowi. - Popchaj trochę.

- To na przyjęcie - oznajmił Seb, patrząc przeciągle na Lottie. Jej zdumienie nie uszło jego uwagi. - Dziś są urodziny Tiffany.

- Wszystkiego najlepszego - powiedziała Lottie automatycznie.

Tiffany westchnęła nerwowo.

- Zacznę świętować, jak stąd wyjdziemy.

- Przyjęcie nazywa się Śniadanie u Tiffany'ego - powiedział Seb, wskazując na wózek. - Ale zaczyna się o trzeciej, więc będzie to Śniadanie u Tiffany'ego po południu.

- A czemu nie? - Lottie uśmiechnęła się do nich promiennie i zamierzała odejść.

- W zasadzie - Seb powstrzymał ją ruchem ręki - mogłabyś przyjść. Jeśli nie masz planów na popołudnie, byłoby nam.

- Dzięki, ale mam plany. - To była prawda, obiecała dzieciom kąpiel w jeziorze, ale zauważyła też błysk przerażenia w perfekcyjnie umalowanych oczach Tiffany. Odwróciła wózek, czując lekkie zażenowanie, bo na wierzchu leżała puszka z fasolą, opakowanie kolorowego makaronu w kształcie Batmanów i potężna paczka papieru toaletowego.

- Bawcie się dobrze. Cześć - powiedziała, odchodząc.

Powędrowała w stronę kas tak beztrąsko, jakby zaproszenia na przyjęcie padające z ust olśniewających mężczyzn były nieodłącznym elementem wizyt w supermarkecie.

- Musisz być taki trzpiotowaty, Seb? Myślisz tylko o sobie.
- Za jej plecami Tiffany uniosła głos. Była wyraźnie poirytowana. - To moje przyjęcie, OK? Nie możesz zapraszać wszystkich, których spotkasz. Kto to w ogóle jest?

Lottie zwołniała, nasłuchując.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział beztrąsko Seb.
- Ale ma genialną pupcię.

Jak zwykle Lottie wybrała kasę, która wyglądała na najszybszą, ale okazała się najwolniejsza. Kiedy pakowała do worków opakowania makaronu i ciasteczka, zobaczyła kątem oka Seba i Tiffany, wychodzących ze sklepu, bo oczywiście takie pary zawsze wybierały właściwą kasę. Pewnie na zewnątrz czeka limuzyna z szoferem, który odwiezie ich do domu.

- Ma pani kartę stałego klienta? - zapytała kasjerka.

- Chwileczkę... tak, proszę bardzo. - Lottie mogłaby się założyć, że tacy ludzie jak Seb i Tiffany nie zawracali sobie głowy takimi drobiazgami, jak karty rabatowe. Kiedy jest się tak nadzianym, wystarczy platynowa American Express.

Pięć minut później, kiedy pakowała zakupy do bagażnika, usłyszała z tyłu szum silnika.

- Hej!

Wyprostowała się, mając świadomość, że Seb miał przed chwilą niebywałą okazję, by podziwiać jej genialny tyłeczek. Siedział za kierownicą brudnego Volkswagena Golfa z Tiffany u boku. A więc to była ich limuzyna.

- Hej - odpowiedziała, zastanawiając się, czy Seb zamierza powtórzyć zaproszenie. Jej wzrok powędrował w kierunku lewej dłoni Tiffany w poszukiwaniu obrączki. Seb zauważył jej spojrzenie.

- To moja siostra.

- Na nieszczęście. - Tiffany uniosła oczy ku niebu. Może dla ciebie, pomyślała Lottie, w napięciu czekając,

co będzie dalej. I tak nie mogła pójść na to przyjęcie, ale skoro zatrzymał samochód, to był nią zainteresowany. Gdyby

poprosił ją o numer telefonu, mogłaby mu go napisać na dłoni mazakiem Ruby, a wtedy on zadzwoniłby..

- Masz. Nie pij tamtego świństwa. - Przerrywając tok jej fascynujących myśli, Seb wystawił przez otwarte okno butelkę Veuve Cliquot. - Wypij dla odmiany coś porządnego.

Zaskoczona oraz dlatego, że wymachiwał butelką nad asfaltem, trzymając ją tylko w dwóch palcach, Lottie wyciągnęła rękę i chwyciła szampana, ratując przed rozbiciem.

- Dlaczego to robisz?

- Bo podobają mi się twoje oczy.

- Chyba moja pupa.

- Też - zaśmiał się.

- Cóż, dziękuję. - Lottie czekała, aż poprosi o numer.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Miłej niedzieli. Cześć.

Patrzyła oniemiała, jak zakurzony golf odjeżdża z piskiem opon z parkingu. Pojechał! Nie mogła w to uwierzyć. Nie tak miało być, chyba, że...

Lottie gorączkowo oglądała butelkę, pewna, że gdzieś na nalepce musiał napisać swój numer, żeby miała szansę zadzwonić i podziękować mu, jak należy. Nie do wiary, ale nie zrobił tego. Niczego tam nie było. Wręczył jej butelkę drogiego szampana i odjechał, nie zostawiając żadnego kontaktu. Nie wiedziała nawet, kim był. Dlaczego? Dlaczego tak się zachował?

Co za bałwan!

Rozdział 18

Jeff Barrowcliffe mieszkał w błękitnym domku z lat trzydziestych, ozdobionym kaskadami kwiatów spływających ze skrzynek okiennych i z wiszących koszy. Kiedy Freddie wszedł przez furkę, zobaczył Jeffa na podjeździe z boku domu, majstrującego przy silniku motocykla. Bez wątpienia się zmienił - był łysawy, bardziej kanciasty i pomarszczony - ale, mimo wszystko, można go było poznać na pierwszy rzut oka.

Jeff wyprostował się, wytarł ręce w brudną od smaru ścierkę i czekał, aż Freddie do niego podejdzie. Nigdy w życiu się nie objęli - w latach pięćdziesiątych tego rodzaju czułości były zarezerwowane tylko dla gejów. Freddie nie wiedział, czy powinien teraz przytulić Jeffa. Na szczęście ten wybawił go z kłopotu, ściskając oburącz, zamiast Freddiego, swoją zatłuszczoną szmatkę.

- Jeff, jak miło znów cię widzieć!

- Ciebie też. Po twoim telefonie nie mogłem przestać myśleć o przeszłości. - Przejechał usmoloną ręką po opalonej głowie. - Nie rozumiem, dlaczego zadzwoniłeś po tylu latach. Przypuszczam, że z ciekawości. Posunęliśmy się trochę - wzruszył ramionami Freddie - a żadne z nas nie będzie żyć wiecznie. Chciałem odnowić stare znajomości, zobaczyć, co stało się z moimi dawnymi przyjacielami.

- A więc z innymi też straciłeś kontakt - powiedział oschle Jeff.

- Tak - odpowiedział krótko Freddie. Zaslugiwał na odrobinę złośliwości. - Chciałem przeprosić. To drugi powód, dla którego tu jestem.

- Kiedy widziałem cię ostatni raz, leżałeś plackiem na podłodze i krew lała ci się z nosa jak z kranu. A ja potłukłem sobie knykcie. - Kiedy Jeff to mówił, po jego twarzy przemknął cień uśmiechu. - Też mam przeproszać?

- Nie. Zaslugiwałem na to. - Wspomnienie tamtego dnia wryło się głęboko w pamięć Freddiego. Wcześniejszego wieczoru Giselle powiedziała Jeffowi o wypadku, a potem oznajmiła, że ich narzeczeństwo dobiegło końca i że związała się z Freddiem. Freddie siedział w swoim pokoju i odpalał jednego papierosa od drugiego. Słyszał odgłosy kłótni dochodzące z domu obok. Następną rzeczą, którą pamiętał, było walenie w drzwi i krzyk Jeffa grożącego, że wybije mu wszystkie zęby. Freddie zszedł na dół, gotowy stanąć z Jeffem twarzą w twarz. W tych okolicznościach była to jedyna rzecz, jaką mógł zrobić.

Wtedy widzieli się po raz ostatni. Tej samej nocy Jeff spakował plecak, wyjechał z Oksfordu i wstąpił do wojska. Być może nie powinien się do tego przyznawać, ale Freddie przyjął tę wiadomość z pewną ulgą.

- Wejdiesz na herbatę? - spytał Jeff.

- Z przyjemnością - pokiwał głową Freddie. Tyle pytań tłoczyło się w jego głowie! Nie bardzo wiedział, od którego zacząć. Mnogość kwiatów w ogrodzie i na ganku sprawiła, że zapytał:

- Jesteś żonaty?

- O, tak. Od trzydziestu trzech lat. Mam dwie córki i czworo wnucząt. Żony dzisiaj nie ma. Pomyślałem, że lepiej ją gdzieś wysłać, skoro przyjeżdżasz. Wiesz, nie chciałbym, żebyś mi ją porwał - rzucił przez ramię, gdy wchodzili do domu.

Freddie wyczuł żart i odetchnął z ulgą.

- Tamte czasy dawno minęły.

- A co u ciebie? - W czyściutkiej, świeżo wyremontowanej biało-zielonej kuchni Jeff zabrał się do przygotowania porządnej, tradycyjnie parzonej herbaty. - Też się ożeniłeś?

- Tak - kiwnął głową Freddie. - Ale nie z Giselle - dodał krótko.

- Więc niepotrzebnie złamałem ci nos.

- Nie pasowaliśmy do siebie. A poza tym, byliśmy wtedy dziećmi. Dwadzieścia lat - każdy w tym wieku popełnia błędy. Dzięki. - Freddie sięgnął po filiżankę herbaty, którą podał mu Jeff i przysunął do siebie cukiernicę.

- Tak to jest - zgodził się Jeff i zapalił papierosa. - A teraz nasze dzieci popełniają te same błędy. I nie możemy ich powstrzymać. Takie jest życie.

- Nie mieliśmy dzieci. I wielka szkoda. - Freddie poczuł nagle, że zazdrości Jeffowi rodziny. Chciałby ich wszystkich spotkać. - Ale ożeniłem się z cudowną dziewczyną. Byliśmy bardzo szczęśliwi. - W gardle znów poczuł znajomy ucisk. Musiał wziąć się w garść. - Naprawdę miałem szczęście. Żyliśmy razem czterdzieści lat. Nie wyobrażam sobie lepszej żony.

- No, to nam się jednak udało - powiedział Jeff. - Dawno umarła?

- Cztery lata temu.

- Masz jeszcze włosy i własne zęby. Poznasz kogoś.

- Nie, nie ma mowy. - Freddie nie chciał mówić Jeffowi o swojej chorobie. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było współczucie. Ale nie spodziewał się, że tak się rozklei na wspomnienie Mary. Kurczę, na stare lata zrobił się okropnie sentymentalny.

- Może chciałbyś kropelkę brandy do herbaty? - Jeff widział, że Freddie walczy z emocjami. Kiwnął głową.

- Przepraszam. To czasami wraca w najmniej oczekiwanych momentach. Wiem, że to śmieszne.

Oddychając głęboko, obserwował Jeffa, który wydobył butelkę koniaku z jednej z kuchennych szafek i wlał sporą porcję do jego filiżanki.

- A ty się nie napijesz?

Jeff wstawił butelkę do szafki i usiadł.

- Nie. Ja nie piję.

- Wielkie nieba! - zdumiał się Freddie. Tego się nie spodziewał. - Naprawdę? Kiedy przestałeś?

- Dwa lata po naszym ostatnim spotkaniu. Wtedy wypłem tyle, że wystarczy do końca życia. - Jeff mówił jak zawsze otwarcie. - Piłem jak szalony, żeby zapomnieć, że Giselle zostawiła mnie dla ciebie. Powiedziała, że za dużo piję. Ha, pomyślałem, uważasz, że to jest dużo? Mogę wypić jeszcze więcej!

- W wojsku?

- Jasne, cholera, że w wojsku. A potem miałem inną dziewczynę i ta też mnie zostawiła. Nazwała mnie pijaną stratą czasu. Zabawne, ale następna, i jeszcze następna, zrobiły to samo. - Przerwał, by wypić łyk herbaty i zaciągnąć się papierosem. - Któręś ranka obudziłem się z myślą, że być może one wszystkie mają rację. Pamiętam to doskonale - obudziłem się w

czyimś ogródka, za połamanym żywoplotem, a jakiś pies sikał na mój płaszcz. To chyba pomogło.

- I co? Przystałeś? Tak po prostu?

- Tak po prostu. W tym ogródka o poranku. Więc, jak na ironię, nie pamiętam, jaki alkohol piłem ostatni raz w życiu i gdzie to było. Ale zrozumiałem, że jeśli nie przestanę, nie dożyję czterdziestki. Tego się trzymałem i udało mi się. Nie mówię, że było łatwo, ale opłacało się. Życie obeszło się ze mną łaskawie, ciągle żyję i chyba jestem szczęśliwy. O co jeszcze mógłbym prosić?

- A ja się cały czas martwiłem, że zrujnowałem ci życie. - Ulga, jaką odczuwał Freddie, była ogromna.

- Przez pewien czas nie myślałem o tobie z sympatią, mówiąc oględnie. Ale to już przeszłość - powiedział Jeff.

- To dobrze. Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że to słyszę. - A więc udało im się zbliżyć. Tak bardzo obaj tego potrzebowali. Czując się dużo lepiej niż przez kilka ostatnich tygodni, uśmiechnął się ponad stołem do przyjaciela, którego nie widział od lat.

- Mam nadzieję, że dasz się zaprosić na obiad.

- To był cudowny dzień. - Zmęczony, ale szczęśliwy Freddie nie mógł oprzeć się pokusie wstąpienia do Piper's Cottage w drodze do domu. Lottie, która właśnie położyła dzieci spać, uścisnęła go serdecznie i otworzyła butelkę Veuve Cliquot.

- Nie wierzę własnym oczom! Znowu kradłaś w sklepie, kochanie? - Freddie patrzył na szampana z niekłamanym zdumieniem.

No nie, znowu ktoś jej dogadywał, bo raz wyszła ze sklepu z czarno- czerwonym stanikiem i majtkami przyczepionymi do swetra. Nawet nie były w jej rozmiarze, ale to nie przeszkodziło Mariowi ochrzcić ją Lottie Lepka Rączka i radośnie ostrzec wszystkich w Hestacombe, by uważali na swoje karty kredytowe.

- Flirtowałam w sklepie, ściśle mówiąc. W supermarkecie spotkałam zapierającego dech w piersiach faceta. Po zakupach podszedł do mnie na parkingu i myślałam, że chce mnie zaprosić

na randkę. Ale nie miał takiego zamiaru! - opowiadała sfrustrowana Lottie. - Dał mi tę butelkę i tyle go widziałam.

- Jego strata, kochanie. Nasza korzyść. Ale pozwól mi opowiedzieć o Jeffie.

Freddie był zbyt podekscytowany swoim udanym spotkaniem, by interesować się rozdającym szampany anonimowym wielbicielem Lottie. Opowiedział, jak on i Jeff poszli na lunch, jak rozmawiali przez całe popołudnie o wszystkich ważnych i nieważnych sprawach i co opowiadali sobie o życiu. Lottie dowiedziała się o alkoholizmie Jeffa, o jego ukochanych wnukach i o warsztacie naprawy motocykli. Ten ostatni temat interesował ją najmniej. W każdym razie pomysł spotkania okazał się strzałem w dziesiątkę, a zmiana, jaka zaszła we Freddie, wręcz rzucała się w oczy.

- Kogo będziemy teraz szukać? - zapytała Lottie, gdy skończyli pić szampana.

- Nie domyślasz się? - Oczywiście Freddiego błyszczą. - Giselle?

- Giselle - kiwnął głową.

Ciekawość, czy może raczej wrodzona wścibskość poddyktowała Lottie następane pytanie:

- Kochałeś się w niej, ale rozstaliście się. Dlaczego?

- Hm. Coś się stało - powiedział Freddie. No jasne.

- Ale co?

Freddie podniósł się, sięgnął po kluczyki i schylił się, by pocałować Lottie w policzek.

- Nie byłem niestety grzecznym chłopcem.

- Jeśli mi nie powiesz - zagroziła Lottie - nie będę jej szukać.

Uśmiechnął się.

- Złamałem Giselle serce. Myślała, że się oświadczę, a ja z nią zerwałem.

- Ale dlaczego?

Freddie odwrócił się w drzwiach.

- Bo zakochałem się po uszy w kims innym.

Rozdział 19

Był pierwszy września i Amber szykowała się do wyjazdu do Saint- Tropez. Mario, który przyjechał do Tetbury prosto z pracy, siedział na łóżku w jej maleńkim pokoiku nad salonem fryzjerskim i patrzył, jak się pakuje.

- OK. - Amber odliczała na palcach, co włożyła już do walizki. - Bikini. Sarong. Srebrne japonki. Różowe sandały. Kosmetyki do włosów, kosmetyki do opalania, środek na komary, białe spodnie, książki, kapelusz....

- Nie zapomnij o prezerwatywach - przypomniał Mario.

- Już spakowałam.

- A nie możesz ich zostawić? - Mario chwycił Amber w pasie i posadził sobie na kolanach. - Zachowujcie się przyzwoicie, dziewczyny. Żadnych romansów z nadzianymi francuskimi milionerami i ich cholernymi jachtami. - Amber objęła go ramionami i pocałowała.

- Ty też nie.

- Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio jakiś francuski jacht wpłynął do Hestacombe.

- Wiesz, co mam na myśli. Kiedy cię spotkałam, od razu wiedziałam, co z ciebie za ziółko.

- Zmieniłem się. - Głos Maria wyrażał urażoną niewinność.
- Nigdy cię nie zdradziłem.

- Och, ale ja chcę, żebyś nigdy mnie nie zdradził. Kiedy mnie tu nie będzie. Gdyby tak się stało - spojrzała mu w oczy i wytrzymała jego wzrok - to byłby koniec. Nie chciałabym już z tobą być.

- Aleja nic nie knuję - zaprotestował Mario.

- To dobrze. - Ucałowałszy go w czubek nosa, Amber zeskoczyła z jego kolan. - Wykład skończony. Myślisz, że wystarczy mi tyle bluzek?

Mario patrzył, jak liczyła koszulki i dodała jeszcze kilka. Ufał Amber całkowicie, ale mimo wszystko wolałby, żeby nie

jechała do Francji bez niego. Będzie tęsknił. Nat i Ruby też będą tęsknić. Może kiedy Amber wróci, powinni porozmawiać o zamieszkanu razem?

Spojrzał na zegarek.

- Piętnaście po siódmej. O której musisz wyjść?

- O dziewiątej. Powiedziałaś, że przyjadę po Mandy piętnaście po. - Amber nie chciała, żeby odwoził je na lotnisko w Bristolu. Tłumaczyła, że łatwiej jej było zostawić samochód na strzeżonym parkingu i mieć go pod ręką, kiedy wróca. - A co, jesteś głodny? Mogę wyskoczyć i przynieść coś gotowego.

Mario ześlizgnął się z łóżka i przyciągnął ją do siebie.

- Zostań i skończ swoje pakunki. Ja wyjdę i przyniosę coś do jedzenia. Jak zjemy, zostanie nam tylko jedna rzecz do załatwienia.

- Taak? - srebrne kolczyki z turkusami zatańczyły swawolnie, gdy patrzyła na Maria. - Co to może być? Odkurzenie czy zmywanie?

Była bystra i pełna życia, i Mario wiedział, że będzie za nią tęsknił. Zjechał pomału dłońmi na nagi kawałek ciała pomiędzy spódnicą i kusą pomarańczową koszulką i wyszeptał:

- Musimy się porządnie pożegnać. W łóżku.

Był czwartkowy poranek. Lottie siedziała w biurze, walcząc z górą korespondencji, kiedy wszedł Tyler. Właśnie wrócił z Nowego Jorku.

Boże, jak cudownie było znów go widzieć! W białej koszulce polo i lewisach wyglądał na opalonego, przystojnego i ani trochę nie zmęczonego podróżą. Nie było wątpliwości: szef, który odznaczał się tak wysokimi walorami estetycznymi, to w tej pracy dodatkowa premia. Chociaż może nie powinna tego mówić Freddiemu. Był przecież uroczy, ale nigdy w życiu na jego widok nie zaschło jej w ustach ani nie zadrżało serce.

- Witaj! - Tyler popatrzył na stertę listów na biurku. - Strasznie jesteś zajęta.

- Jesteś moim nowym pracodawcą - powiedziała Lottie. - Muszę utrzymać cię w przekonaniu, że mam mnóstwo pracy.

Pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Wiesz co? Tęskniłem za tobą.

Wielkie nieba, i co ona ma na to odpowiedzieć? Jeśli myślał, że usłyszy, że ona też za nim tęskniła, to się przeliczył.

- No i wróciłeś - powiedziała Lottie promiennie, zastanawiając się nad tym, co trzymał w błyszczącej granatowej torbie, którą postawił na ziemi.

- Aha. - Idąc za jej wzrokiem, Tyler pochylił się i zaczął czegoś wewnątrz szukać. - Prawie zapomniałam. Freddie ostrzegł mnie, że teraz z nikim nie rozmawiasz, dopóki nie dostaniesz butelki szampana.

Faceci! Nie wystarczyło jedno upokorzenie? Czy Freddie naprawdę nie zdawał sobie sprawy, że wolałaby, żeby nie dzielił się z każdą napotkaną osobą jej zwierzeniami o przystojnym nieznajomym i kłopotach z randką? Z drugiej strony, skoro Tyler chciał stawać w szranki współzawodnictwa, to chyba był dobry sygnał.

- Naprawdę - zaczęła Lottie - nie musiałeś...

- Niestety, powiedział mi o tym dopiero pięć minut temu - ciągnął Tyler - więc obawiam się, że będę musiał improwizować.

- Wyprostował się, trzymając w dłoni puszkę coli. - Trochę ciepła. Może być?

- Dziękuję. - Lottie przyjęła puszkę z godnością oraz wdziękiem i postawiła na biurku. - Dobry rocznik, jak przypuszczam.

- Zaiste. Leżakowała w pojemniku w moim samochodzie przez ostatni tydzień, sądzę, że już dojrzała.

- Super. Zachowam ją na specjalną okazję.

- Wstąpiłem za to do FAO Schwarz^{*}. Wybrałem coś dla Nata, żeby mu choć trochę wynagrodzić to, co stało się w zeszłym tygodniu. - Tyler wyciągnął z torby dwie pięknie

* FAO Schwarz - słynny sklep z zabawkami w Nowym Jorku (przyp. tłum.).

zapakowane paczki. - A potem pomyślałam, że nie mogę przynieść czegoś tylko dla Nata, bo Ruby czułaby się dotknięta, więc jej też coś kupiłem.

- Och, naprawdę nie musiałeś tego robić. Będą zachwyceni - powiedziała Lottie mocno poruszona.

- To się nazywa przekupstwo. - Tyler uśmiechnął się. - Jeśli tego trzeba, żeby znowu wkupić się w ich łaski, to w porządku.

Lottie nie była pewna, czy „znowu” było dobrym słowem. Przede wszystkim jej dzieci nigdy nie darzyły go sympatią. Ale może to będzie punkt zwrotny, którego wszyscy tak bardzo potrzebują?

- Bardzo ładnie z twojej strony, że pomyślałeś. Mam im je dzisiaj dać? - spytała, sięgając dłonią po torbę.

- A nie znalazłabyś dla mnie czasu dziś wieczorem? Moglibyśmy pójść na kolację, skoro w zeszłym tygodniu nam nie wyszło. Mógłbym po ciebie przyjechać i wręczyć dzieciom prezenty osobiście.

Lottie pomyślała przez nanosekundę, po czym kiwnęła głową.

- Dobrze. - Właściwie było podwójnie dobrze, bo jeśli Mario będzie się opiekował dziećmi, nie będzie mógł szukać przygód, co mogło im wszystkim wyjść tylko na dobre.

- A więc jesteśmy umówieni. - Tyler wyglądał na zadowolonego. - O, powiedzmy, siódmej trzydzieści?

Czując ciepło w żołądku, Lottie zdała sobie sprawę, że była zadowolona, iż jej spotkanie z Sebem nie miało dalszego ciągu. Kiedy podobasz się mężczyźnie, ten zaprasza cię na obiad i ustala datę i godzinę. A Tyler Klein chyba naprawdę ją lubił, bo nie tracił czasu. I dobrze się składało, bo ona też bardzo go lubiła.

- Mamo, nie cierpię tego człowieka. Nie idź z nim nigdzie - błagał Nat, gdy dowiedział się, z kim Lottie wychodzi wieczorem.

- Kochanie, on naprawdę jest bardzo miły - powiedziała Lottie, stojąc przed lustrem w łazience. W jednej dłoni trzymała

maskarę, szminkę, puder i perfumy, a drugą próbowała się malować.

- Nie jest miły, jest okrutny!

- No dobrze - westchnęła Lottie. - Miałam ci nie mówić, ale Tyler przywiózł ci prezent. Czy to cię choć trochę przekonuje?

Jej syn na pewno nie był przekupny.

- A jaki prezent? - Twarz Nata rozjaśniła się.

- Nie wiem, przyniesie go dziś wieczorem. Ale jeśli tak go nie cierpisz, to może...

- A więc Nat dostanie od niego prezent! - Ruby siedziała na krawędzi wanny i wypróbowywała bez użycia lusterka fioletowy cień do powiek. Oburzona jawną niesprawiedliwością takiego obrotu sprawy powiedziała ze złością: - Ale to my musimy znieść zawodzenie Nata każdej nocy. Ryczy jak niemowlak.

- I Tyler o tym wie. - Lottie zdecydowanym ruchem odebrała swój cień, póki jeszcze trochę zostało w pojemniczku. - I dlatego tobie też coś kupić.

Jej córka na pewno nie była przekupna.

- Naprawdę? - Podekscytowana Ruby nieomal wpadła do wanny. - A co dla mnie ma?

- Nie mam pojęcia. Powiedział tylko, że w Nowym Jorku wstąpił do tego sklepu, który nazywa się Schwarz i...

- Schwarz? FAO Schwarz? - Ruby aż podskoczyła, a w jej oczach widać było zachwyt. Odwróciła się do Nata, który wyszeptał:

- FAO Schwarz na Piątej Alei?

- Skąd znacie ten sklep? - zapytała Lottie zdumiona.

- Mamo, to najlepszy sklep na świecie! - zawołał Nat. - Oglądaliśmy o nim program na CBBC. Jest niesamowity!

- Lepszy niż Disneyland - przyłączyła się Ruby. - Możesz kupić, co tylko chcesz, jest większy od Buckingham Pałace i sprzedają tam wszystko.

Oczy nieomal wychodziły im z orbit. Zdaje się, że oczyma wyobraźni już zobaczyli Tylera podjeżdżającego pod ich dom

ustrojoną w kokardki ciężarówką wypchaną po dach drogimi zabawkami.

- Słuchajcie, każde z was dostanie tylko jeden prezent - powiedziała Lottie szybko. - Chociaż skoro sądzicie, że Tyler jest taki okropny, to może rzeczywiście nie powinniście ich przyjmować.

- Skoro już przywiózł je dla nas aż z Nowego Jorku, to powinniśmy mu pozwolić je wręczyć - powiedziała Ruby. - Inaczej zranimy jego uczucia.

- A skoro kupił je u FAO Schwarz - dodał poważnie Nat - to na pewno będą fantastyczne prezenty, które kosztowały górę pieniędzy.

Jej dzieci wcale nie były przekupne.

- Czy to znaczy, że mogę iść z nim na kolację? - zapytała ostrożnie Lottie.

- Myślę, że powinnaś - kiwnęła głową Ruby, a Nat potwórzył jej gest.

- Wielkie dzięki. Hura! I nie zapomnijcie o manierach - ostrzegła ich Lottie. - Cokolwiek wam da, pamiętajcie, żeby wyglądać na zachwyconych i...

Ruby i Nat wznieśli oczy do nieba.

- Powiedzieć dziękuję.

Rozdział 20

Para bardzo przekupnych dzieci wyglądała przez okno w pokoju Nata, kiedy Tyler zajechał pod dom.

- Chyba przełamaliśmy opór nieprzyjaciela - wchodząc, wyszeptał Tyler do ucha Lottie. - Twoje dzieci właśnie do mnie pomachały. Nie gwizdały ani nie rzucały kamieniami.

Lottie była tak spięta, że czuła drzenie każdego mięśnia - tak bardzo chciała, by jej dzieci polubiły Tylera. Początek mieli straszny, ale przy odrobinie szczęścia zła passa mogła się skończyć. Zależało jej, by ta trójka poznała się i zaakceptowała. Oby prezenty uczyły cud!

- Cześć, dzieciaki - przywitał ich swobodnie Tyler, gdy Nat i Ruby, z iście anielskimi minami, stanęli u szczytu schodów. - Co słyhać?

- W porządku. - Szeroko otwarte oczy Nata z trudem oderwały się od kolorowych opakowań prezentów, które trzymał Tyler.

- Wszystko dobrze, dziękujemy. - Ruby była superu-przejma. - Dobrze się pan bawił w Ameryce?

Tyler zareagował na tę przemianę z wyraźną ulgą.

- W Ameryce było dobrze, ale jeszcze lepiej było wrócić tutaj. I wiecie co? Przywiozłem wam dwa drobiazgi.

Lottie z trudem stłumiła uśmiech, gdy jej dzieci udały, że oto dopiero teraz dostrzegły błyszczące i oszałamiająco kolorowe paczki.

- Ta jest dla ciebie. - Tyler wyciągnął prawą rękę z paczką w stronę Ruby. - A ta dla ciebie. - Drugą ręką podał prezent Natowi.

Zbiegli razem po schodach i wzięli prezenty.

- Dziękujemy, panie Klein - powiedzieli chórem.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Tyler był tak zadowolony, jakby przed chwilą otrzymał Oscara. - I mówcie do mnie Tyler.

Lottie wprowadziła ich wszystkich do salonu i trzymała za plecami kciuki, gdy Nat i Ruby zaczęli zrywać papier z pudeł. Już było dużo, dużo lepiej niż w zeszłym tygodniu. Byłoby tak cudownie, gdyby... O nie. O Boże!

- Nie bardzo wiedziałem, co ci kupić - mówił do Ruby Tyler - ale była tam bardzo miła sprzedawczyni, która mi podpowiedziała, że to będzie najodpowiedniejsze.

Graj, poprosiła w myślach Lottie, proszę cię, graj jak aktorka, jak jeszcze nigdy nie grałaś. Chciała, żeby jej myśli pofrunęły do Ruby, gdy ta patrzyła jak skamieniała na pudełko z pleksiglasu zawierające rumianolicą chińską lalkę w ciężkich wiktoriańskich szatach. Niektóre dziewięcioletnie dziewczynki lubią lalki, być może istnieją nawet takie dziewczynki, które

lubią trzymane w przezroczystych pudełkach figurki, którymi w zasadzie nie można się bawić. Ale Ruby wykazała jakie takie zainteresowanie lalkami tylko jeden raz w życiu, kiedy bawiła się z ojcem w voodoo.

- Śliczna - powiedziała dzielnie Ruby, ale podbródek jej drżał. Z wysiłkiem usiłowała ukryć rozczarowanie. - Proszę popatrzeć: oczy jej się zamykają i otwierają, kiedy się ją przechyla. Dziękuję, panie Klein.

- Tyler - powiedział Tyler, pozostając w błogiej nieświadomości co do uczuć Ruby. Nie mógł wybrać gorszego prezentu, nawet gdyby długo szukał. - Cieszę się, że ci się podoba.

- Jest piękna - powiedziała Lottie, bojąc się, że cisza, która zapadła, stanie się kłopotliwa. - I jakie ma włosy! I buty! Cieszysz się, Ruby, prawda? A jak radzi sobie Nat?

Odwróciła się do syna, który walczył z taśmą klejącą.

- Co ty tam masz? - spytała wesoło.

Ostatnia warstwa papieru opadła na ziemię, a serce Lottie podeszło do gardła.

- Warhammer - powiedział bezbarwnie Nat. - Dziękuję, panie Klein.

Mój Boże, warhammer. Zabawka wymagająca dobrej koncentracji, sprawnych palców i wielkiej cierpliwości, a więc wszystkich tych cech, których biedny Nat po prostu nie miał.

- Sprzedawczyni powiedziała mi, że sprzedają codziennie tony tego. Dzieci za tym szaleją - oznajmił z dumą Tyler. - Godzinami skleją modele i je malują. Mówiła, że będziecie mieli zabawę na kilka tygodni.

Nat wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- Fantastyczne - powiedziała pośpiesznie Lottie. - Polubisz robienie tych małych figurek, zobaczysz.

Nat kiwnął głową i stuknął dłonią w pokrywkę pudełka, co miało pewnie ilustrować, jak bardzo był zachwycony.

- Tak - powiedział ciekawym głosem.

- Cześć, już jestem. - Drzwi frontowe otworzyły się i Mario oznajmił swoje przybycie. - Przepraszam za spóźnienie. Amber

właśnie dzwoniła. Świetnie się bawi i wszystkich pozdrawia. O rany, co tu się dzieje? - Zamarł w drzwiach na widok Nata i Ruby z rezygnacją tulących swoje prezenty. - Dziś jest Gwiazdka?

- Nie, nie jest. - porzuciwszy swój prezent, Ruby wskoczyła mu na ramiona. - Tato, możemy dziś powspinać się po drzewach?

- I poszukać węży! - dołączył się Nat.

- No dobrze, my uciekamy. - Chcąc jak najszybciej wyjść, póki atmosfera była sprzyjająca, Lottie uścisnęła dzieci. - Bawcie się dobrze.

- Wy też - powiedział Mario i mrugnął do niej. - Nie wróćcie zbyt późno.

Bojąc się, że powie coś w rodzaju: „A jeśli nie możecie wytrzymać, to przynajmniej uważajcie”, lub tym podobne, Lottie wypchnęła Tylera przez drzwi.

To był wspaniały wieczór. Elegancka restauracja w Painswick okazała się trafionym wyborem. Lottie poznawała Tylera coraz lepiej i coraz bardziej go lubiła. Biorąc pod uwagę, jak bardzo wyszła z wprawy w kwestii randkowania, zadziwiające było, że w ogóle nie czuła się zdenerwowana.

Do Hestacombe wracali około jedenastej. Nat i Ruby powinni już spać, więc Mario mógł od razu wyjść, a ona mogła zaprosić Tylera na kawę. Tylko kawę, nic poza tym. Był jej szefem i nie chciała, by myślał, że jest puszczalska. No, może jeden pocałunek nie będzie występkiem, ale nic poza tym.

A potem frontowe drzwi otworzyły się szeroko, wypuszczając światło i dzieci do ogrodu, i to był koniec marzeń o spokojnym wieczorze. Całe szczęście, że nie miała w planach niczego zdrożnego, pomyślała smętnie. Jeśli ktoś poszukuje naturalnego środka antykoncepcyjnego, powinien wypożyczyć Nata i Ruby.

Popatrzyła na Tylera z miną winowajcy.

- Mieli już spać.

- Nie przejmuj się. Popatrz, wyglądają na bardzo z siebie zadowolonych - stwierdził głosem eksperta. - Pewnie malowali model Warhammera i chcą mi pokazać, co zrobili.

Ehm. I na pewno właśnie odkryli, że ich ulubionym daniem jest brukselka. Lottie wyskoczyła z auta.

- Już późno. Dlaczego nie jesteście w łóżkach?

- Tatusz powiedział, że nie musimy, bo jeszcze ten tydzień mamy wolny od szkoły. Ale była zabawa! - Nat objął ją obiema rękami w pasie i podskakiwał jak kangur. Był bardzo podekscytowany. - Mamuś, zgadnij, co się stało. Nigdy nie zgadniesz!

Lottie uwielbiała, gdy dzieci były takie rozentuzjasmowane. Nie umiała gniewać się na Maria, że pozwolił im nie kłaść się tak długo.

- No, mówcie.

- Nie, zgadnij!

- Umyłeś zęby bez proszenia?

Nat popatrzył na nią z niedowierzaniem - Nie.

- No to nie wiem. - Gdy Nat ciągnął ją do domu z siłą małego traktora, Lottie rzuciła przez ramię do Tylera:

- Wejdiesz na chwilę? To znaczy, na kawę?

- Spróbuj mnie powstrzymać! - Zamknął samochód i poszedł za nimi ścieżką. - Też chcę wiedzieć, co się stało.

- Dwie rzeczy. - Wykrzyknęła radośnie Ruby, ściskając drugie ramię Lottie. - Dziś wieczór stały się dwie rzeczy.

- Mój Boże, życie chyba nie może już być bardziej ekscytujące! - Biegając za dziećmi do domu, rzuciła przez ramię: - Przepraszam.

- Nie przepraszaj! - Ciemne oczy Tylera spotkały się z jej oczyma. - Świetnie się bawię. Za nic w świecie nie chciałbym tego przegapić.

- Więc tak - powiedział z bardzo ważną miną Nat, kiedy już usiedli w salonie. - Zadzwoił telefon, tato odebrał, a tam powiedzieli, że to będzie rozmowa z Ameryką.

- Coś podobnego! - Lottie popatrzyła na Maria.

- A potem tatuś podał mi telefon i powiedział, że ktoś chce ze mną rozmawiać, więc wziąłem telefon i powiedziałem: „Dobry wieczór”, a ten pan powiedział: „Cześć, mały człowieku, czy rozmawiam z Natem Carlyle?”. Tak dziwnie mówił, jakby nie całkiem dobrze po angielsku. A ja powiedziałem: „Tak, to ja, o co chodzi?”.

Lottie uniosła brwi i spojrzała na Maria, a ten wzruszył ramionami.

- A potem on powiedział: „Wiesz, kim jestem, mały człowieku?”, a ja powiedziałem: „Ma pan głos jak Arnold Schwarzenegger”. - Nat mało nie eksplodował z podniecenia. - A on na to: „Ho, ho, to się dobrze składa, bo ja jestem Arnold Schwarzenegger”. To był on! - Nata rozpieła radość, policzki płonęły mu czerwienią. - I ja powiedziałem: „Skąd ma pan mój numer?”, a on na to: „Sekretarka przesłała mi list, w którym ktoś opisał, jak zgubiłeś swoją przytulankę i jaki byłeś nieszczęśliwy. Tam było napisane, że może telefon ode mnie pomoże ci przetrwać ciężkie chwile i trochę cię rozweseli”.

- Ojej, to nie do wiary! - Lottie znów spojrzała na Mario, szukając rozwiązania tej zagadki. Mario potrząsnął głową.

- To naprawdę był on! - potwierdziła Ruby energicznie. - Ja też słuchałam. To na pewno był jego głos, taki sam jak w filmach.

Kto jeszcze wiedział o koszałkach- opałkach, jakie opowiadała Natowi o Arnoldzie Schwarzeneggerze? Lottie z niedowierzaniem popatrzyła na siedzącego obok Tylera. Poprosił, by ktoś o podobnym głosie zadzwonił do Nata? Albo, ale to przecież nieprawdopodobne, naprawdę załatwił, żeby sam Arnie to zrobił jako rekompensatę za spowodowanie całego tego zamieszania. Wokół ust Tylera błąkał się dziwny uśmiech. Dobry Boże, właśnie wrócił z Ameryki. Obracał się w dobrze sytuowanych kręgach... Czy to możliwe, że znał Arnolda Schwarzeneggera? Kiedy się nad tym zastanowić, nie było to całkiem niemożliwe.

- Ty na to wpadłeś? - wysapała Lottie, przejęta do głębi wdzięcznością i podziwem.

- Szs, nie przerywaj. - Nie patrząc na nią, Tyler kiwnął do Nata. - On jeszcze nie skończył. Mów, Nat, co jeszcze powiedział?

Nat wziął kolejny głęboki oddech, gotowy do dalszej opowieści. Jeśli się go poprosi, by nauczył się tabliczki mnożenia, zajmie mu to pół roku, ale co innego, kiedy chodziło o zapamiętanie rzeczy naprawdę istotnych - Nat był w stanie przytoczyć słowo w słowo dialogi ze wszystkich odcinków *Simpsonów*. Oraz wszystkie szczegóły dzisiejszej rozmowy. Z dumą oznajmił:

- Powiedział mi, że rozumie, co czuję, bo kiedy był *chłopcem, też miał swojego misia, ale gdy skończył siedem lat*, pewien okrutny człowiek mu go zabrał i nigdy więcej misia nie zobaczył. Powiedział: „Och, Nat, gdybyś wiedział, jaki byłem nieszczęśliwy. Tak bardzo kochałem moją przytulankę. Płakałem każdej nocy, zastanawiając się, gdzie mój miś może być. Ale pewnego dnia powiedziałem sobie: nie, muszę być dzielnym chłopcem, silnym i odważnym jak Superman, i muszę nauczyć się żyć bez przytulanki, i muszę urosnąć duży i wyćwiczyć mięśnie tak, żeby nikt mi więcej nic nie zabrał”. - Nat mówił to z płonącymi oczyma. - Potem powiedział mi, że też muszę być dzielny i silny, i kazał obiecać, że będę się starał i nie będę już płakał. No więc obiecałem, a on powiedział, że ma dużo zajęć i musi już iść, powiedział „do widzenia” i rozłączył się.

- Niesamowite! - Lottie naprawdę oniemiała z wrażenia. Nieważne, czy Tyler poprosił o przysługę samego Arniego, czy kogoś o podobnym głosie. Lottie posadziła sobie Nata na kolanach i obsypała go pocałunkami.

- To fantastyczne! Popatrz, jakie masz szczęście: przecież to nieprawdopodobne, że zadzwonił do ciebie sam Arnold Schwarzenegger.

- Wiem! - powiedział w ekstazie Nat. - I wie, jak mam na imię!

Ponad zmierzwioną czupryną Nata Lottie posłała Tylerowi spojrzenie pełne wdzięczności. Zrobił coś naprawdę cudownego. Uśmiechnęli się do siebie, a jej serce biło jak szalone. To był właśnie człowiek, w którym mogła się...

- Mamuś, ale to nie jest jedyna rzecz, która się dziś wydarzyła! - Teraz Ruby ciągnęła ją za ramię, domagając się uwagi dla siebie. - Jest jeszcze coś!

Rozdział 21

- Co takiego, kochanie? - Rozpromieniona Lottie pogładziła córkę po policzku. Co jeszcze mogło się wydarzyć? Może Tyler sprawił, że Beyonce wpadła dziś wieczór na herbatkę? Albo że Orlando Bloom czekał w ogródku za domem?

- To następna niespodzianka - paplała Ruby. - Jest w kuchni.

Orlando Bloom siedzący przy kuchennym stole? Czyż to nie byłoby piękne? Albo jeszcze lepiej: Orlando Bloom zmywający naczynia...

- Nie mogę wytrzymać z ciekawości - wykrzyknęła Lottie. - Albo mi natychmiast powiesz, albo...

- Chryste Panie! - wrzasnął Tyler, kopiąc gwałtownie nogą. Lottie mrugnęła z przestachem i zobaczyła jakiś ciemny kształt przelatujący przed jej oczyma. Zanim ktokolwiek zdołał się ruszyć, przedmiot uderzył z pacnięciem w ścianę naprzeciw. Z prędkością światła Tyler chwycił dzieci i pchnął je w stronę drzwi. - Już dobrze, dzieci. Zamknijcie za sobą drzwi i uciekajcie na górę.

- Co to było? - krzyknęła Lottie, bo ciemny przedmiot osunął się i zniknął za regalem.

- Jasna cholera - westchnął Mario, przeczesał palcami włosy i podszedł do regału.

- Tatusz, czy to był Bernard? - Ruby prześlizgnęła się pod ramieniem Tylera, a jej głos drżał ze strachu. Podbiegła, by

pomóc ojcu i zaczęła z furią zrzucać książki z półek. - Bernard, gdzie jesteś? Już dobrze, już możesz wyjść.

- Nie wierzę - wymamrotał Tyler. Lottie zobaczyła, że pod opalenizną zbladł jak kreda.

- Kto to jest Bernard? - spytała Lottie, pełna złych prze-czuć.

- Moja niespodzianka. - Ruby była zbyt zajęta przedzie-raniem się przez książki, aby spojrzeć na matkę. - Chciałam ci go pokazać. Znaleźliśmy go dziś wieczorem w lesie i tatuś po-wiedział, że mogę go zatrzymać. Dlaczego on nie wychodzi? Bernard, gdzie ty jesteś? Już dobrze, nie musisz się bać...

- Czy ktoś może mi powiedzieć, kto to jest Bernard? - domagała się Lottie.

- Waż. - Tyler wciąż potrząsał głową. - Poczułem coś na mojej stopie i kiedy spojrzałem, zobaczyłem węża. Kopnięcie to był odruch, musiałem go z siebie zrzucić. Kiedy byłem mały, spędzaliśmy dużo czasu w Wyoming - było tam dużo grzechotników, ludzie umierali od ich ukąszeń.

- W Anglii nie ma grzechotników - powiedział pomału Mario. - Bernard to padalec. Padalce są nieszkodliwe - tłumaczył. - Nie gryzą. W zasadzie nie są nawet wężami, ale beznogimi jaszczurkami, które żyją w... ach!

Lottie nie potrzebowała pytać, co znaczyło to „ach”. Już wiedziała. Zrezygnowana przyciągnęła do siebie Nata. Mario włożył rękę za regał i powoli wyciągnął Bernarda. Brązowy dwudziestocalowy padalec był bez wątpienia martwy. Ruby uklękła na podłodze obok ojca, do oczu napłynęły jej łzy, a z ust wyrwał się pełen bólu szloch. Sięgnęła po Bernarda i z czułością ułożyła jego bezwładne ciało na swoich kolanach. Tyler był szary na twarzy.

- Cholera jasna - wymruczał. - Nie zniosę tego. Lottie też miała dosyć. Właśnie pomyślała, że od teraz

wszystko będzie dobrze i wtedy coś takiego musiało się wy-darzyć! Jakieś fatum, czy co?

- Mój Boże, przepraszam. - Tyler wydał z siebie bolesne westchnienie. - Nie spodziewałem się zobaczyć węża na bucie, zareagowałem odruchowo.

- Nie powinien się na tobie znaleźć - Powiedział Lottie. - Powinien być zamknięty w kuchni. Dlaczego drzwi do kuchni były otwarte?

- Wsadziliśmy go do tekturowego pudełka wyściełanego słomą. - Dolna warga Nata drżała. - Myśleliśmy, że nie wyjdzie. Odsunąłem tylko trochę przykrywkę, żeby się nie udusił.

- Ruby, tak strasznie mi przykro - powtórzył jeszcze raz Tyler. - Nie chciałem go zabić. Sprzedają węże w sklepach zoologicznych? - spytał w desperacji. - Kupię ci innego węża. Jakiego tylko będziesz chciała.

Łzy kapały Ruby z czubka nosa na martwego padalca na jej kolanach. Pociągnęła z całej siły nosem i popatrzyła na Tylera.

- Nie chcę, żebyś mi kupował węża. Na pewno kupiłbyś coś okropnego z porcelanową twarzą i koronkowym kapeluszem na głowie. I byłoby ubrane w przedpotopowe ciuchy. A nawet jakbyś mi kupił prawdziwego pytona i tak bym go nie chciała, bo cię nienawidzę. I nienawidzę tej głupiej lalki, którą mi dałeś. Zabiłeś Bernarda. Nigdy, przenigdy nie przychodź już do naszego domu.

Lottie schyliła głowę w milczeniu.

- I nie chcę, żebyś chodził gdzieś z moją mamą - Ruby nie mogła skończyć.

Tyler nie odpowiedział.

- Natowi też nie podobały się modele - krzyknęła za nim, gdy odchodził w stronę drzwi. - Ale w porządku, tato mówi, że możemy sprzedać je na aukcji w internecie.

Lottie nie miała siły odprowadzić Tylera do drzwi. To raczej nie była odpowiednia noc na namiętny pocałunek.

Na życzenie Ruby Bernard został pochowany w ogródku. Mario wykopał długi i wąski grób, a krótka, ale pełna emocji ceremonia została poprowadzona w świetle świec przez samą Ruby. Jeśli sąsiedzi patrzyli na nich z okien sypialni, na pewno

dziwili się temu, co się działo. Z drugiej strony, mieszkali koło Carlyle'ów dość długo, żeby przestać się czemukolwiek dziwić. Składanie do grobu padalca w samym środku nocy nie było nawet warte odnotowania na liście dziwnych zachowań.

W końcu przyszedł moment, gdy udało się zapakować Nata i Ruby do łóżek. Zasnęli, jak tylko przyłożyli głowy do poduszek. Mario też powinien wyjść. Ale, jak to Mario, nie mógł oprzeć się chęci wyrażenia własnego zdania.

- Jesteś pewna, że chcesz dalej pracować dla tego gościa?

- A czemu nie? - najeżyła się Lottie.

- No, chyba zauważyłaś, że ma skłonność do tragicznych wypadków. - Oczy Maria błyszczały z rozbawienia. - Wyobraź sobie, że zadzwoni telefon, kiedy oboje będziecie w biurze. Zrobisz ruch, żeby go odebrać. John Wayne pomyśli, że chwytasz za pistolet, w błyskawicznym odruchu wyciągnie swój rewolwer i zastrzeli cię na miejscu. Od razu ci mówię, że to on będzie musiał kopać twój grób, bo będziesz potrzebować większego mieszkańka niż Bernard.

- To był wypadek - powiedziała zniecierpliwiona Lottie. Czowała się zobowiązana, by bronić Tylera. - Myślał, że to waż, a w Ameryce węże są niebezpieczne. A poza tym podoba mi się, że zorganizował ten telefon.

- Od Arniego? - Uśmiech Maria stał się jeszcze szerszy. - Chyba nie myślisz, że to naprawdę był Arnold?

- Oczywiście, że to nie on, wiem o tym. - W jakiś cudowny sposób Lottie zapomniała, że była taka chwila, gdy rzeczywiście pomyślała, że to był Arnold. - Ale zgodzisz się, że ładnie postąpił. I nie możesz powiedzieć, że to nie rozweseliło Nata.

- Jasne, że to rozweseliło Nata. - Kiwając głową z aprobatą, Mario sięgnął po kluczyki.

- Więc dlaczego nie chcesz przyznać, że Tyler zrobił coś dobrego?

- Bo nie chcę i już.

- No właśnie! - zawołała Lottie z triumfem. - Bo jesteś zbyt dumny, zbyt uparty, po prostu zbyt włoski, żeby zaak-

ceptować na swoim podwórku kogoś innego, kto radzi sobie z twoimi dziećmi.

Jedna brew Maria uniosła się do góry.

- Radzi sobie? Tak uważasz?

- Poradziłby sobie, gdyby wszystko nie obracało się przeciwko niemu - powiedziała sfrustrowana Lottie. - Przynajmniej próbuje. A to się przecież liczy. Dla mnie to bardzo wiele znaczy.

- Myślę, że wszyscy doskonale to widzimy - powiedział przeciągle Mario. Otworzył frontowe drzwi, żeby wyjść, po czym zatrzymał się i odwrócił w jej kierunku.

- I jeszcze jedno. Dlaczego uważasz, że to Tyler stoi za telefonem od Arniego?

Paznokcie Lottie wbiły się w jej dłonie. Jasny gwint. Znała Maria od jedenastu lat i dobrze wiedziała, co oznacza ten ton. Co za pajac! Może nie wyglądał w tym momencie na bardzo z siebie zadowolonego, ale wiedziała na pewno, że tak się czuł. Jak mogła być tak głupia i dlaczego wyciągnęła tak pochopny wniosek? Tylko dlatego, że była to rozmowa z Ameryką, a Tyler właśnie wrócił z Nowego Jorku? Co za naiwność!

A Mario z pewnością do końca życia nie da jej o tym zapomnieć.

- Mam w pracy nowego człowieka. Ma na imię Eamonn - powiedział Mario. - Kapitalnie naśladuje głosy. Może podszyc się pod każdego, więc poprosiłem, żeby zadzwonił do Nata. Czyż to nie było miłe z mojej strony? - zapytał, a twarz mu ani drgnęła. - Nie powiesz mi, jaki jestem cudowny i jak wiele to dla ciebie znaczy?

Bez wątpienia świetnie się bawił.

- To są twoje dzieci - powiedziała Lottie bezbarwnym głosem. - Jesteś ich ojcem i powinieneś się o nie troszczyć. To nie jest żadne bohaterstwo.

- Ale gdyby Tyler to zrobił, to byłoby bohaterstwo?

- Nie jest ich ojcem.

- I Bogu dzięki! - odpalił Mario. - Przyznaj, że trudno znaleźć drugą osobę z taką skłonnością do nieszczęśliwych wypadków.

Ta rozmowa przypomniała Lottie o jeszcze jednej cesze Maria, która zawsze doprowadzała ją do szału: uwielbiał być górą w sprzeczkach. W każdej dyskusji. Co więcej, wyglądało na to, że nie zrezygnuje, dopóki nie wygra i w tej słownej potyczki.

- Lubię go.

- Wiem - odpowiedział cieplejszym tonem. - I w tym cały problem. Odkąd się rozstaliśmy, z nikim nie chodziłaś. I nagle zjawia się ten gość, niebrzydki...

- Bardzo cię przepraszam, jest męski i przystojny... - poprawiła go Lottie.

- I nieźle nadziany...

- Nie dlatego go lubię!

- Ale nie możesz powiedzieć, że to przeszkadza. Hej, przyznaj uczciwie - podpuszczał ją Mario. - Każda woli gościa z pieniędzmi niż bez pieniędzy. Zainteresował się tobą, co jest przyjemne, ale nie daj się ponieść emocjom. Dziś byłaś na pierwszej prawdziwej randce od lat. Brakuje ci dystansu...

- Nie bądź bezczelny - Lottie miała ochotę dać mu po twarzy. - Według ciebie powinnam była puszczać się na wszystkie strony i spać z każdym, kto się nawinął? Tak jak ty?

- Tego nie powiedziałem. Poza tym, ty nie jesteś puszczałką i to jest komplement - dodał Mario, wyraźnie próbując uniknąć rozwijania tematu. - Ale wydaje mi się, że nie powinnaś pakować się w nieprzemyślany związek tylko dlatego, że ktoś poświęcił ci odrobinę uwagi. Rozumiem, że to ci sprawia przyjemność, ale od razu nie znaczy, że on jest osobą, która odmieni twoje życie. Poza tym, są jeszcze dzieci. Jak one będą się czuły, jeśli...

- Wystarczy. - Lottie miała stanowczo dosyć. - Zachowaj swoje wykłady dla kogoś innego, nie chcę tego słuchać. - Nie była w stanie wygrać tej sprzeczki, a ponieważ zasztyletowanie męża na progu groziło więzieniem i męczącymi wizytami

prokuratorów, zatrzasnęła mu po prostu drzwi przed nosem. Usłyszał, że chichocze po drugiej stronie.

- To znaczy, że wiesz, że mam rację! - usłyszała, gdy zasuwawała rygiel.

Rozdział 22

Kressida nigdy nie zapomniała dnia, w którym po raz pierwszy dostała walentynkową kartkę. Miała wtedy jedenaście lat i była w pierwszej klasie gimnazjum. Listy przyniesiono, gdy walczyła z poranną porcją płatków owsianych. Jej mama, słysząc charakterystyczne plaśnięcie przy drzwiach wejściowych, powiedziała:

- Przynieś proszę listy, kochanie.

Przechodząc przez hol, Kressida poczuła obehwałdniającą radość pomieszana z niedowierzaniem. Jedna z kartek była zapakowana w czerwoną kopertę, zaadresowana do niej, a z tyłu narysowane było walentynko we serduszko.

- Jest coś ciekawego? - zawołała z kuchni matka.

Drżącymi palcami rozerwała kopertę. Z kartki uśmiechnął się do niej niepewnie mały kociak. W puchatych łapkach trzymał wielkie czerwone serce. W środku, pod wydrukowanym napisem: „Jesteś moją Walentynką!”, widniały napisane odręcznie słowa: „Do Kressidy. Kocham Cię, czy będziesz moją Walentynką? Ucałowania od.... xxx”.

To była niewyobrażalna radość! Pośpiesznie wsunęła kartkę z powrotem do koperty i wcisnęła ją za pasek spódnicy. Ściągnęła jak najniżej sweter, aby ukryć swój skarb. Weszła do kuchni z zaróżowionymi policzkami i wręczyła matce pozostałe koperty.

- Same rachunki - westchnęła mama. - I żadnej walentynkowej kartki od Engelberta Humperdincka?

- Nie - wymamrotała Kressida, wciskając w usta ostatnią porcję płatków i popijając sokiem. - Muszę lecieć, nie chcę spóźnić się na autobus.

To był cudowny poranek. A w zasadzie, cudowny tydzień i prawdopodobnie początek nowego cudownego życia. Kressida spędzała całe godziny, wpatrując się w swoją kartkę i tuląc ją do siebie jak ukochaną maskotkę. Wąchała atrament, gładziła słowa opuszkami palców i wymyślała najróżniejsze osoby, które mogły ją wysłać. Wszystko dlatego, że ktoś ją naprawdę kochał i chciał, by była jego Walentynką. Z jednej strony fakt, że kartka była niepodpisana, frustrował, bo jak można być czyjąś Walentynką, skoro nie wiedziało się czyją. Ale z drugiej strony, otwierało to pole dla wyobraźni. Mógł ją przecież wysłać każdy, absolutnie każdy, co było dużo bardziej ekscytujące niż świadomość, że jej autorem był, dajmy na to, przyszczaty i cherlawy Wayne Trapp, który zawsze gapił się na nią w szkolnym autobusie.

Czasami po prostu lepiej jest nie wiedzieć.

Mój Boże, to było prawie trzydzieści lat temu! Ale Kressida stwierdziła, że gdy zamknie oczy, jest w stanie odtworzyć każdy szczegół tej kartki. Czy każda kobieta taka była, czy tylko ona? Ale dlaczego ma mieć to sobie za złe? W końcu to bardzo ważny moment w jej życiu, chwila, która wpłynęła na to, jaka jest teraz, mimo, że nigdy nie odkryła, kto wysłał tę kartkę i od dawna przypuszczała, że to była sprawka jej matki.

A teraz ta historia powtarzała się na nowo, z tym, że dziś była prawie całkowicie pewna, że matka nie maczała w tym palców. Przede wszystkim, już od jakiegoś czasu nie żyła. A po drugie, Kressida wiedziała, że nawet w kolejnym wcieleniu matka nie byłaby w stanie nauczyć się obsługi poczty elektronicznej.

Więc to jednak Tom przysłał tego e- maila. Czują mrówki we wszystkich palcach, tak jak czują je trzydzieści lat wcześniej, gdy otworzyła pamiętną kartkę. Czytała list Toma już po raz czwarty, mimo że pojawił się w jej skrzynce odbiorczej zaledwie kilka minut wcześniej.

Witaj Kressido,

Przesyłam kilka słów, by raz jeszcze podziękować Ci za kartkę. Mama była zachwycona. Kartka stoi na honorowym miejscu na kominku i matka pokazuje ją absolutnie każdemu. Więc raz jeszcze dzięki za ratunek.

Bardzo się cieszę, że się spotkaliśmy i ciągle jestem myślami w miejscach, które odwiedziliśmy razem. Jestem pewien, że Donny też świetnie się bawił, ale on prędzej da sobie amputować obie nogi, niż się do tego przyzna. Albo może rzuciłby się na pożarcie lwom? Mam nadzieję, że Ty i JoJo wspominiacie wyprawę do Longleat równie miło jak my.

Ja znowu jestem w pracy, a chciałbym nie być. To jest ta nieprzyjemna strona wakacji. Na dodatek w Newcastle leje. Myślę, że spróbuję skontaktować się z Freddie w Hestacombe House i zapytać, czy można by wynająć domek na następne dwa tygodnie. (W tym momencie serce Kressidy podskoczyło z radości do góry.) A poważnie mówiąc, mam nadzieję, że uda nam się zarezerwować go na tydzień w następną Wielkanoc. (Tu Kressida wydała jęk zawodu - następna Wielkanoc była za osiem miesięcy.) Jeśli tak się stanie, mam nadzieję, że znów się spotkamy.

Muszę lecieć, praca wzywa.

Wszystkiego dobrego, Tom Turner

Widząc swoje odbicie w ekranie komputera, Kressida stwierdziła, że szczerzy zęby w uśmiechu jak idiotka. Cudownie, że Tom się odezwał. Ostatni tydzień po jego wyjeździe ciągnął się nieznośnie. Zaczął list od zdania „Przesyłam kilka słów...”, ale przecież tu było więcej słów niż kilka. Jak na e-mail, ten był całkiem długi. Przecież wcale nie musiał pisać i dziękować jeszcze raz - zrobił to wcześniej osobiście. Jednym słowem, Kressida miała uczucie, że to był bardzo obiecujący znak, świadczący o tym, że Tom nie chciał stracić z nią kontaktu i że być może...

- Ciociu Kress, ktoś chce zamówić zaproszenia na wesele!

Kressida podskoczyła na krześle, gdy drzwi otworzyły się na oścież i weszła JoJo, wymachując bezprzewodową słuchawką. Rety, tak ją oczarował list Toma, że nie usłyszała dzwoniącego w kuchni telefonu. W pośpiechu i z niewytłumaczalnym poczuciem winy zamknęła list Toma, by usunąć go z ekranu, wzięła od JoJo telefon i próbowała się skoncentrować na rozmowie o weselnych planach pewnej podekscytowanej potencjalnej panny młodej z Bournemouth.

Kiedy skończyła rozmawiać, a JoJo siedziała w bezpiecznej odległości w kuchni, Kressida znów otworzyła list od Toma i przeczytała go raz jeszcze. Obawa, że może go przypadkiem skasować, była tak silna, że włączyła drukarkę i wydrukowała. Tak, teraz wyglądał zdecydowanie lepiej, jak prawdziwy list, na prawdziwym papierze. Odpisze oczywiście, ale nie w tej chwili. Natychmiastowa odpowiedź na zwykły przyjacielski list mogłaby wyglądać na nadgorliwość. I bardzo dobrze, bo to dawało jej trochę czasu, by pieczołowicie dopracować list, który brzmiałby jak zwykły i przyjacielski. A więc odpisze wieczorem.

Drzwi znowu się otworzyły i JoJo, z mąką na nosie i na grzywce, wetknęła głowę do pracowni.

- Dobre wieści?
- Bardzo dobre - powiedział radośnie Kressida. - Ile?
- Ile czego?
- Zaproszeń na wesele. - Aa, ehm,...dwadzieścia. JoJo zmarszczyła brwi.
- To niewiele.
- No tak, organizują małe kameralne przyjęcie.
- To dlaczego mówisz, że to bardzo dobra wiadomość?
- Bo małe wesela są takie romantyczne! - Kressida wsunęła kopię listu Toma do szuflady. - A ona... była taka szczęśliwa.
- Ja miałam wrażenie, że była pijana. - JoJo spojrzała na Kressidę z namysłem. - Dobrze się czujesz?
- Ja? O tak, wspaniale. - Rety, jak trudno było skupić się na odpowiedziach, gdy w głowie układało się zwykły, przyjacielski e-mail. - Jak ci idą ciasteczka?

- Już się pieką. Jeszcze dziewięć minut. Kiedy już poleję polewą, mam na wierzchu posypać je czekoladą, czy położyć kandyzowane wiśnie?

Cześć, Tom, Jak miło, że się odezwałeś. Nie zwracaj sobie głowy wynajmem domku, możesz przyjechać na weekend i zatrzymać się u nas. Donny miałby do dyspozycji wolną sypialnię, a Ty możesz przespać się ze mną. Co Ty na to? Nie możesz...

- Ciociu Kress?

- Och, ehm... - Kressida z trudem powróciła do rzeczywistości. - A może i jedno, i drugie? - powiedziała bez-trosko.

Kiedy dwa lata temu Merry Watkins przejęła pub Pod Latającym Bazantem, postanowiła uczynić z niego najbardziej ekskluzywne miejsce spotkań w okolicy. Zabrała się z energią do pracy, mając bardzo jasną wizję tego, jak powinna wyglądać współczesna wiejska gospoda. Dzięki osobistemu urokowi i zmysłowi do interesów, a ku ucieście okolicznych mieszkańców, Merry osiągnęła sukces. Każdy gość był tu witany jak dawno niewidziany przyjaciel. Bar został odnowiony w tradycyjnym stylu i był relaksującą przystanią dla zabłąkanych wędrowców. Podawano tam niezrównane piwo prosto z beczki, a ogródek na tyłach pubu zapraszał do odwiedzin całe rodziny. Najciekawszy był jednak sposób, w jaki Merry przekształciła front pubu. Zaśmiecony parking zmienił się w rodzaj obsypanej kwiatami i iluminowanej sceny, z wygodnymi krzesłami i stołami w wiejskim stylu. Ukryte pomiędzy doniczkami i girlandami kwiatów światełka stwarzały wrażenie, że goście siedzący od frontu byli aktorami w przedstawieniu, które każdy z przechodniów chciał zobaczyć.

Merry bez żadnych oporów sadzała najbardziej atrakcyjnych gości w tym właśnie miejscu. Mniej olśniewający klienci, na przykład ci ze sfilcowanymi brodami i plecakami, byli zachęceni do zajęcia miejsc przy barze albo w ogródku na tyłach pubu.

Miejscowi farmerzy i tak woleli przesiadywać wewnątrz, w jednym z mrocznych zakamarków. Każda dobrze ubrana lub fizycznie pociągająca osoba, zwana przez Merry „przyciągajką”, była prowadzona do stolika z przodu, aby podnosić prestiż Latającego Bażanta i nakręcać interes. I ta metoda się sprawdzała! Merry stworzyła swoją własną wersję miejsca dla VIP-ów, a ludzie przyjeżdżali do Hestacombe z daleka po to tylko, aby inni zobaczyli ich na będącej przedmiotem pożądania rozświetlonej scenie pubu.

- Usiądę w ogródku z tyłu - powiedział Mario, odbierając drinka i resztę.

- Nie usiądziesz. - Merry nie była kobietą, z którą można było się sprzeczać. - Maszeruj przed pub, piękniśiu, i ściągnij paru innych klientów.

Mario posłusznie powędrował na zewnątrz, wymieniając po drodze zdawkowe uwagi z osobami, które znał, a potem usiadł przy jedynym wolnym stoliku i wyciągnął telefon. Zadzwoił do Amber, ale odpowiedziała mu poczta głosowa, więc się rozłączył. Była ósma trzydzieści; pewnie siedziała z Mandy w restauracji, w której nie wolno było używać komórek. Spróbuje jeszcze raz później.

Jeden tydzień za nim, jeden przed nim. Odkładając telefon, Mario zdał sobie sprawę, jak bardzo tęsknił za Amber. Jakby rzucił palenie i nie bardzo wiedział, co zrobić z rękami. Ale był grzeczny. Sprawował się najlepiej, jak potrafił. Kiedy Jerry i inni koledzy zaproponowali nocny wyjazd do Cheltenham na piwo i wędrowną podróż po klubach, odmówił, prowokując dobroduszne drwiny i komentarze, że niedługo będzie spędzał czas po pracy wyłącznie w kuchni. Ale nie zmienił zdania. Głównie dlatego, że jego koledzy nie byli cnotliwymi wzorami do naśladowania, a to plus alkohol mogło prowadzić do nocy pełnej pokus, którym Mario mógłby nie być w stanie się oprzeć. Znal się dobrze, więc wołał powiedzieć „nie”.

- Przepraszam, czy te miejsca są wolne? - powiedział nieśmiały głos z lewej strony.

Mario spojrział w górę i zobaczył drobną brunetkę w jasnozielonej sukience. Kobięcie towarzyszyła szykowna starsza dama, która z pewnością była jej matką. Bardzo bezpieczna sytuacja. Zdjął okulary słoneczne i wskazał na wolne krzesła, uśmiechając się do nich swobodnie.

- Proszę bardzo.

- Tylko dwa drinki? - zapytała badawczo Merry.

Była dziesiąta trzydzieści i Mario po raz trzeci pojawił się przy barze, aby zamówić kolejkę.

- Tylko dwa - zgodził się. - Zatrzymały się w jednym z domków. Matka była zmęczona i poszła się położyć. Chyba ci to nie przeszkadza?

Spojrzała na niego uważnie.

- Mnie nie, kotku. Więcej pieniędzy w kasie. Zastanawiam się tylko, czy Amber to nie przeszkadza.

Czyż wiejskie życie nie jest godne pozazdroszczenia?

- Nie wiem. Zadzwońię do niej i poproszę o zezwolenie, dobrze? - Wyjął z kieszeni drobne i odebrał drinki. - Przecież nie robię niczego złego. Siedzimy tutaj na widoku wszystkich. Ma na imię Karen, zerwała z narzeczonym i jest w lekkim dołku. Matka wynajęła dla nich domek na tydzień, żeby odpoczęła i przestała myśleć o tym, co było.

- Hmm. - To było bardzo znaczące „hmm”.

- Nigdy nie były w tej części kraju - kontynuował spokojnie Mario. - Dziś pojechały na zakupy do Bath i dlatego Marilyn, czyli matka, jest taka zmęczona. Karen nie jest, więc postanowiła zostać na jeszcze jednego drinka. Nie uprawiamy tu seksu, Merry.

- Cieszę się, że to słyszę - powiedziała Merry. - Na to nie mam tu licencji.

- Po prostu rozmawiamy. Po to ludzie przychodzą do pubów, prawda? Nikt nikomu nie robi krzywdy. Poza tym, to one zaczęły rozmowę, nie ja.

- Ładna dziewczyna.

- No tak - powiedział Mario w desperacji. - To już twoja zasługa, nie uważasz? Nie pozwoliłabyś żadnej brzydkiej usiąść od frontu.

- Poza tą w pomarańczowych spodniach. Wygląda jak koń. - Merry skrzywiła się za barem. - Ale przyszła tu z tym tłumem z Ballantyne, więc nie mogłam jej przeszkodzić.

- Zmieniasz temat.

- Ty też - zauważyła bystro Merry.

- Ja po prostu jestem towarzyski. Czy to, że Amber wyjechała, oznacza, że ja nie mogę wychodzić z domu? Może powinienem przykuć się kajdankami do sofy - Mario uniósł jedną brew - i przez dwa tygodnie oglądać ten chłam w telewizji? I jeść wyłącznie chińskie zupki, nie wyściubiając nosa na dwór i nie korzystając z najbliższego baru z obawy, że mógłbym przez przypadek rzucić się poprzez ladę na dziewczynę sprzedającą frytki?

- To rzeczywiście byłby widok godny zapamiętania.

- No więc nie mam takiego zamiaru. Jestem tutaj, zachowuję się pięknie i nie potrzebuję nadzoru.

- W takim razie znikaj, nie chcę, żeby zaczęła się o ciebie martwić. Ładnie to opisałeś - zawołała za nim Merry. - Tak, jakbyś o niczym innym ostatnio nie myślał - dodała rozbawiona.

Rozdział 23

Marilyn i Karen Crane zatrzymały się w Pound Cottage, domku położonym nad samym jeziorem. Kiedy Lottie przyjechała o dziesiątej rano ze świeżą dostawą czystych ręczników, zastała matkę i córkę siedzące przy śniadaniu na tarasie w eleganckich jedwabnych szlafrokach. Karen rzucała kaczkom okruchy rogała i popijała świeżo wyciśnięty sok pomarańczowy. Marilyn przeglądała ostatni numer „Życia Cotswold”. Taras zalany był słońcem, a z otwartego okna za ich plecami sączyły się dostojne dźwięki muzyki poważnej. Był to obrazek rodem z reklamówek Ralpa Laurena.

Lottie wyciągnęła z samochodu ręczniki i wdrapała się po drewnianych schodach na taras. Zabiegana i spocona nie pasowała do tej eleganckiej scenerii. Na śniadanie zjadła obgrzyzone skórki z tostów pozostawione na talerzu przez Natę i wypila resztkę truskawkowego shake'a Ruby. Właściwie niczym nie różniła się od kaczek. W przeciwieństwie do swoich gości.

- Przywiozłam wam ręczniki - powiedziała wesoło.

- Och, świetnie. Wrzuć je proszę do środka. - Marilyn przywitała ją ciepłym uśmiechem i zastukała dłonią w krzesło obok siebie. - A potem chodź i usiądź z nami. Planujemy dziś wycieczkę do Stratford i chcemy wiedzieć, co warto zobaczyć. Poza sklepami, oczywiście.

Lottie zaniósła ręczniki do łazienki i wróciła na taras.

- Kawy? - Marilyn sięgnęła po czystą filiżankę.

- Z przyjemnością. - Prawdziwa kawa! Pachniała bosko.

Czy zostanie też poczęstowana ostatnim rogalikiem z masłem? Ale nadzieje Lottie rozwiła Karen, sięgając po rogalik i rwąc go na małe kawałki, by rzucić je krążącym wokół kaczkom. A gdyby tak podbiegła i chwyciła kawałek w locie, wprost do ust?

- Przejrzałyśmy przewodnik, ale nie chcemy tracić czasu na żadne nudziarstwo. A po drodze chciałbyśmy wstąpić do Stow-on-the-Wold. - Marilyn przecesała swoją szykowną ciemnobrązową fryzurę szykownie umalowanymi paznokciami. - I chciałbyśmy wiedzieć, gdzie można dobrze zjeść. Mam na myśli coś wykwintnego. - Spojrzała na Lottie wyczekująco. - Najlepiej, gdyby to była jakaś kilkugwiazdkowa restauracja.

Kilkugwiazdkowa, pomyślała Lottie, próbując odnaleźć w pamięci odpowiedni lokal.

- Zaraz za Oksfordem jest Le Manoir aux Quat' Saisons. Ale mogę polecić świetne miejsce w Painswick. Nie serwują tam lunchu, ale jadłam tam kolację w zeszłym tygodniu i...

- Coś w Stratford. I na lunch, a nie na kolację - powiedziała Karen, otwierając po raz pierwszy usta. - Jestem już umówiona na wieczór.

- Dobrze, więc mogę sprawdzić kilka stron internetowych i zobaczyć, co jest ciekawego w Stratford. Przyniosę wam...

- Halo! - Wchodząc Lottie po raz drugi w słowo, Karen odebrała telefon. - A, cześć, Bea. Tak, super, właśnie karmię kaczki. Nie, nie jest tak źle, jak myślałam, domek jest naprawdę słodki. A mama kupuje mi tysiące różnych rzeczy, żeby mnie rozweselić.

- Przyniosę wam listę restauracji - wyszeptała Lottie do Marilyn. - Jeśli coś was zainteresuje, możecie wstąpić do mojego biura przed wyjazdem, wydrukujemy pełny opis.

- Nie możesz sama czegoś polecić? - Marilyn wyglądała na rozczarowaną.

- Nie. - Lottie miała ochotę przypomnieć tej kobiecie, że pracuje przez cały boży dzień i nie ma czasu włóczyć się po Anglii i sprawdzać jakości posiłków w każdej napotkanej restauracji.

- Och. Zawsze mi się wydaje, że gwiazdki nad wejściem zostały przyklejone przez właścicieli. Nie można im ufać - narzekala Marilyn, krzywiąc się. - Kiedyś poszliśmy do restauracji w Knightsbridge, która miała być szalenie ekskluzywna, a nie byli w stanie nam podać świeżo wyciśniętego soku ananasowego.

A to dopiero! Lottie popijała kawę i przyglądała się paznokciom Marilyn. Na pewno nie były prawdziwe, ale zrobione były świetnie.

- I nie zgadniesz, jaki numer! Umówiłam się dzisiaj na randkę. - Karen, rozmawiając, podciągnęła nagie kolana pod brodę. - Nie do wiary, prawda? Spotkałam go wczoraj wieczorem. Mama i ja zaczęłyśmy z nim rozmawiać w miejscowym pubie, a potem mama poszła się położyć, a my zostaliśmy jeszcze na kilka godzin. Wiesz, czuję się okropnie po odejściu tego gnojka Jonty'ego, ale ten facet wydał mi się taki zabawny. Nawet mama uznała, że jest czarujący, a wiesz, jaka ona jest wybredna. Lottie wypila do końca kawę.

- Myślę, że muszę już... - zaczęła, podnosząc się.

- I wyobraź sobie, że ma na imię Mario - zapiszczała do słuchawki Karen.

Lottie ciężko opadła na krzesło.

- Wiem, że słodko. Zapytałam, czy sprzedaje lody Cornetto.

Lottie zabrakło tchu. Chwyciła swoją filiżankę i połknęła sporą porcję zimnych fusów.

- Nie, nie sprzedaje lodów. Prowadzi salon samochodowy. Ale wcale nie jest brudny i nie cuchnie smarem - chichotała Karen. - Słuchaj, zadzwonię jutro i wszystko ci opowiem. Jak zobaczysz Jonty'ego, powiedz mu, że ani trochę za nim nie tęsknię, dobrze? Powiedz mu, że spotkałam kogoś dużo lepszego niż on. I powiedz, żeby mi oddał odtwarzacz CD. OK, zadzwonię, pa.

Lottie miała ochotę zdzielić Maria po twarzy. Dzięki niemu miała pełno ohydnych, czarnych grudek między zębami. I nie miała ich gdzie wypluć. Wolno i z obrzydzeniem przejechała językiem po wewnętrznej stronie ust i połknęła drapiące fusy.

- A więc - powiedziała powoli - spotykasz się dziś z Mariem.

Karen spojrzała na nią z ożywieniem.

- Znasz go?

- Bardzo dobrze - pokiwała głową Lottie.

- Oczywiście, mieszka tu w wiosce. Ty też. - Kiedy Lottie znowu kiwnęła głową, Marilyn powiedziała żartem: - Tylko mi nie mów, że to jakiś psychopata.

- No, niee - Lottie przeciągnęła ostatnie słowo, by zaznaczyć, że problem leżał w czym innym.

Marilyn była dość inteligentna, by zrozumieć jej intencję. Uniosła brwi.

- No więc co? Jest żonaty?

To nie był dobry moment, by opowiadać o swoim związku z Mariem. W tej chwili nie miało to znaczenia.

- Nie, nie jest żonaty - powiedziała z wahaniem Lottie - ale ma dziewczynę.

- Mieszka z nią? - dopytywała się Karen.

- No, nie, nie mieszkają razem...
- Eee, to w porządku - Twarz Karen rozjaśniła się. - Już zaczęłam się martwić.

- Ale to nie pierwszy lepszy romans. Są już razem od ośmiu miesięcy. Ona ma na imię Amber i jest cudowna.

Ale Karen wzruszyła ramionami, zupełnie nieporuszona tymi rewelacjami.

- Gdyby to było coś poważnego, mieszkaliby razem.

- Ale są parą. Są...

- Nie są prawdziwą parą. - Karen przewróciła oczami. - Chryste, nie zamierzam czuć się winna, bo on się z kimś jeszcze spotyka. I tak trudno jest spotkać faceta, który nie jest żonaty albo z kimś nie mieszka. A poza tym czas na nas, zacznijmy się ubierać, jeśli mamy jechać do Stratford. - Strząsnęła resztki rogala pomiędzy człapiące i kwaczące kaczki, wstała i weszła do domu.

Lottie popatrzyła za nią. Marilyn pogładziła ją po dłoni.

- Wiem, że chciałaś dobrze - powiedziała na pocieszenie. - Ale nie martw się, to tylko jedna noc, nic się Karen nie stanie.

Karen może nie, pomyślała Lottie. Ale co będzie z Amber, jak się dowie? Dlaczego Mario był taki beznadziejnie głupi? Zaraz po powrocie do biura wykręciła jego numer.

- Cześć, to ja. Co robisz dziś wieczorem?

- Nie pytaj. Nudne spotkanie w interesach. - Rety, dobry był. Tak szybko znalazł odpowiednie słowa! Był całkowicie wiarygodny i to było przerażające.

- Kłamca. - Lottie zastanawiała się w tej chwili, ile milionów kłamstw powiedział jej przez te wszystkie lata. - Spotykasz się z Karen Crane.

- Właśnie mówię - nudne spotkanie - kontynuował gładko Mario. - Jest zainteresowana nowym Audi Quattro.

- A ja jestem Trevor McDonald. Oboje wiemy, czym jest zainteresowana Karen! - Mówiąc to, Lottie z furią rysowała szpiczastego jeża w swoim notatniku. - A tobie chyba zupełnie odbiło. Mówiąc bez ogródek, chcesz, żeby Amber cię zostawiła?

Mario westchnął.

- To głupie. Rozmawiałaś z Merry?

- Nie, *ale teraz mam zamiar*.

- Słuchaj, wieczorem wypiliśmy kilka drinków. Byłem miły.

Nie pocałowałem jej i nie mam takiego zamiaru.

- Ale zaprosiłeś ją na wieczór.

- Nie. To ona mnie zaprosiła. Potrzebuje odrobiny towarzysztwa, kogoś, z kim będzie mogła pogadać - bronił się Mario. - Więc zgodziłem się. To takie straszne?

- Gdzie ją zabierasz? - Oczywiście Lottie były wąskie ze wściekłości.

- Spotykamy się Pod Bazantem. Na widoku wszystkich.

- A potem?

- Może pojedziemy na pizzę do Cheltenham. A może nie. Boże, Lottie, nie możesz mi zaufać? To nic takiego. A wszystko dlatego, że jest kobietą. Gdyby była facetem, nawet nie zwróciłabyś uwagi.

Święte słowa.

- Pewnie nie. Ale okłamałeś mnie przed chwilą.

- Bo wiedziałem, że się przyczepisz. Muszę lecieć - Jerry próbuje sprzedać Mazdę MX- 5 pewnemu dziewięćdziesięcioletniemu biedakowi. Do zobaczenia. I obiecuję, że będę grzeczny wieczorem.

Lottie nie dałaby złamanego szeląga za jego zapewnienia. Zachowywał się jak panienka na widok talerza z pączkami: „Nie, nie mogę, naprawdę nie powinnam, jestem na diecie... no, może tylko jednego...”.

- Zaufaj mi - powiedział Mario, kiedy Lottie milczała. - Nie narozrabiam.

Hmm. Narysowała spiczastą dzidę wbijającą się w jeża.

- Tylko spróbuj - powiedziała.

Rozdział 24

Tyler rozmawiał przez telefon, gdy Lottie podjechała pod *Fox Cottage* z plikiem dokumentów dotyczących finansów na kolejny rok. Dał jej znak, żeby usiadła, i dalej rozmawiał z księgowym. Lottie rozejrzała się po pokoju. Obejrzała kolekcję płyt z muzyką i z filmami i z ulgą stwierdziła, że jej szef nie był zagorzałym fanem muzyki country albo filmów science fiction. Chyba, że kochał je tak bardzo, że trzymał je w osobnym pudle w sypialni. Och, niech to nie będzie prawda!

W salonie nie było zbyt wielu rzeczy do obejrzenia - widocznie Tyler nie lubił gromadzić gratów. Lottie wyszła więc do ogrodu. Pszczoły bzyczały i przelatywały z kwiatka na kwiatek, motyle tańczyły wokół nich jak hostessy na przyjęciu, a w powietrzu unosił się odurzający zapach wiciokrzewu. Niewielki trawnik usłany był jaskrami i stokrotkami, a pomiędzy kwiatkami buszowała w poszukiwaniu jedzenia para żięb. Lottie zanurzyła twarz w dorodnym kwiecie malwy i... odskoczyła gwałtownie, bo rozkoszując się zapachem, nieomal połknęła osę. Walcząc z insektem, uderzyła w malwę - osa odleciała, ale kwiat padł na ziemię jak ścięty nożem, obsypując po drodze Lottie jaskrawożółtym pyłkiem. Jej jasnoróżowa bluzka była upstrzona plamami. Przyroda!

- Jakiś problem? - Rozmowa telefoniczna najwyraźniej dobiegła końca, bo Tyler wyrósł jak spod ziemi za plecami Lottie.

- Drobną potyczka ze złośliwym zielskiem.
- Chyba przegrałaś - powiedział z powagą Tyler.
- Poczekaj, aż znajdę jakąś maczetę, wtedy się odwdzięczę.
- Lottie zaczęła gorączkowo strzepywać pyłek, ale osiągnęła tylko tyle, że wtarła go głębiej w materiał bluzki. - Chyba muszę iść do domu i się przebrać. Plik z rezerwacjami jest na stoliku do kawy.

- Dzięki. Ale nie odchodź jeszcze. - Tyler wyciągnął rękę, aby ją zatrzymać. - Wiem, że dotychczas nie szło nam najlepiej,

ale co robisz dziś wieczorem? Pomyślałem, że moglibyśmy pojechać do Bath i zobaczyć...

- Nie mogę - powstrzymała go Lottie. - Jest coś, co koniecznie muszę dziś wieczorem zrobić.

- OK - Tyler zamilkł. - Czy to jest grzeczny sposób na powiedzenie mi, żebym spadał?

- Nie, skąd. Naprawdę koniecznie muszę dziś zająć się czymś innym.

- Bo ja rozumiem, że tobie nie jest łatwo. Dzieciaki mnie nienawidzą. Ale pomyślałem, że jeśli przez jakiś czas będę trzymał się od nich z daleka, to jakoś się ułoży. - Tyler uśmiechnął się krzywo. - To znaczy, jeśli nie będę się im pokazywał na oczy. Przy odrobinie szczęścia może przyzwyczają się do tej sytuacji i za jakiś czas znowu spróbujemy. Co o tym myślisz?

To jak wykluczenie pewnych potraw z diety, pomyślała Lottie. Potem wprowadzasz je ponownie, by sprawdzić, czy alergia już minęła. Problem w tym, że ciało ludzkie nie zna współczucia. Jest mało prawdopodobne, by zlitowało się nad tobą i zdecydowało się zmienić zdanie w sprawie alergii na czerwone wino i czekoladę tylko dlatego, że wie, jak bardzo je lubisz. Podobnie było z Natem i Ruby.

Ale nie miała serca go uświadamiać. Pokiwała głową.

- Brzmi interesująco - powiedziała.

- Naprawdę? - Tyler uniósł jedną brew.

- Naprawdę.

- No to może jutro?

Boże, tak bardzo by chciała!

- Uhm... a nie moglibyśmy tego odłożyć na kilka dni? - Wyszło jej w ustach i walczyła ze sobą, żeby nie poddać się pokusie. - Do końca tygodnia jestem dość uwiązana.

To właśnie jest szlachetność. To było jak zamiana wakacji w pięciogwiazdkowym hotelu na Mauritiusie na tydzień w przeciekającej przyczepie kempingowej w Cleethorpes. Jak stwierdzenie: „Ty weź filet i frytki, a ja zjem zimną owsiankę”.

Jak wybór pomiędzy nowiutkim porsche i starym, brudnym motorowerem...

- Jeśli chcesz mnie przekonać, że jesteś trudna do zdobycia - zauważył Tyler - idzie ci to bardzo dobrze.

- Nie chcę. - Lottie miała na końcu języka, że gdy to on wchodzi w grę, ona może okazać się śmiesznie łatwa do zdobycia. Melancholijnie rzuciła: - Przyszły tydzień mi pasuje.

- Mam nadzieję, że mnie nie zwodzisz. Przyszły poniedziałek?

Kamień spadł jej z serca.

- Przyszły poniedziałek - zgodziła się ochoczo.

- Chodź tu, masz pyłek kwiatowy na nosie. Podeszła bliżej, pozwalając, by go wytarł.

- I tu. - Tyler pogłaskał lekko jej lewą brew, przyprawiając żołądek Lottie o rozkoszny skurcz.

- I jeszcze tu - kontynuował, głaszcząc ją po prawym policzku. Poczowała mrowienie w palcach stóp. Rety, i gdzie jeszcze?

- Już koniec? - wyszeptwała.

- Nie całkiem. Jeszcze... - Dotknął jej ust i objechał palcem ich zarys. A potem palec zniknął i Tyler ją pocałował. Lekko i podniecająco. Lottie zamknęła oczy. Poczowała jego dłonie we włosach i zarzuciła mu ramiona na szyję. Całe lata nikt jej tak nie całował. Już zapomniała, jakie to cudowne uczucie.

- Jak dobrze - powiedział Tyler. Oderwał usta od jej ust i przyglądał się twarzy Lottie. Kąciki jego ust lekko drżały. - Pierwszy krok za nami.

Lottie kiwnęła głową, próbując złapać oddech. I to jaki pierwszy krok! Gałęzie drzew za jej plecami zakołysały się. To pewnie wiewiórki bawiły się, przeskakując z jednego drzewa na drugie. W listowiu śpiewały ptaki, a para barwnych motyli kręciła piruety nad trawnikiem. Ni stąd ni zowąd Lottie poczuła się jak bohaterka filmu Disneya - nie zdziwiłaby się, gdyby kwiaty wystrzeliły nagle bujnymi pąkami, a rodzina królików zaśpiewała chórem na ich cześć.

- Od tygodni chciałem to zrobić - powiedział Tyler.

- Ja też. - Serce waliło Lottie w piersiach.
- I nie potrafię wyobrazić sobie nic bardziej przyjemnego. -
Zobaczyła błysk w jego szarych oczach. - Ale chyba musimy
zdobyć się na wysiłek i być bardziej profesjonalni w pracy.

Zgodziła się gorliwie, strząsając z siebie rozmarzenie, które
otuliło ją jak puchowa kołdra.

- Masz rację. Musimy być profesjonalni. I rozsądni. - Język
jej się plątał. Jakich to słów szukała? Aha. - Partnerzy w
biznesie.

- Muszę się pilnować. Aż do następnego poniedziałku -
stwierdził Tyler.

- Do następnego poniedziałku. - Lottie nie mogła się do-
czekać, aż przestanie się pilnować.

- Żadnej Ruby, żadnego Nata - tylko ty i ja. - Tak.

Ojej, teraz i na jego koszuli była żółta plama w miejscu,
gdzie przycisnął ją do siebie. Potarła koszulę dłonią, ale bez
rezultatu.

- Popatrz, co zrobiłam - powiedziała. Tyler uniósł z
rozbawieniem brwi.

- To najdrobniejsza z rzeczy, które mi zrobiłaś. Ale chyba
lepiej będzie, jak pójdę i zmienię koszulę. Inaczej mnie wyda.

Puchowa kołdra zsunęła się z niej natychmiast. Wstydził się
jej?

- Nie chcesz, żeby inni wiedzieli?

- Nie obrażaj się - uśmiechnął się. - Nic podobnego.
Pomyślałem, że lepiej byłoby, gdyby Nat i Ruby nic na razie nie
wiedzieli. W przeciwnym razie *urządzą ci w domu piekło*.

Lottie przełknęła z ulgą ślinę i kiwnęła głową.

- Masz rację.

Wewnątrz domu zadzwonił telefon.

- Chyba lepiej będzie, jak odbiorę.

- A potem zmień koszulę. Ja też pójdę się przebrać. Uścisnął
jej dłoń i skierował się w stronę domu. Lottie

powędrowała ścieżką, uśmiechając się do siebie. To był ich pierwszy pocałunek. Och, poniedziałkowa nocy, przybądź jak najszybciej!

Kiedy znikła za zakrętem, gałęzie sykomyry zadrżały raz jeszcze. Siedzący w listowiu Ben i Harry Jenkinsowie szturchnęli się łokciami i zachichotali. Często chowali się na drzewach. Przeważnie nie działo się nic ciekawego, więc spędzali czas, wydrapując brzydkie słowa na pniach albo zrzucając patyki, liście i robaki na głowy bezbronnych przechodniów. Ale to było wyjątkowe wydarzenie. Z pewnością oglądanie całujących się dorosłych było dużo lepsze niż rzucanie w ludzi żukami. A to nie byli byle jacy dorośli: to był ten nowy gość z Ameryki i mama Ruby i Nata Carlyle'ów. Ha!

Sprawdziwszy dwa razy, że w ogrodzie nie było żywej duszy, chłopcy zeskoczyli z drzewa jak małe żółwie Ninja i popędzili przez zarośla. Gdy bezpiecznie dotarli do swojej kryjówki, stuknęli się pięściami i śmiejąc się padli na ziemię.

- Obcałowowali się!

- Taaak, obcałowowali!

- Jeśli się tam schowamy w poniedziałek w nocy, to możemy zobaczyć, jak to robią.

- Jak co robią?

- To, tumanie! - Harry zademonstrował biodrami, co miał na myśli.

- Aha! - Będą tańczyć, pomyślał Ben. Może miał dopiero siedem lat, ale wiedział, że dziewczyny całują chłopaków, jak z nimi tańczą.

- To fantastyczne! - Harry, którego życiową misją było zdobywanie przewagi nad rywalami, wymachiwał triumfalnie pięściami w powietrzu. - Niech tylko Nat i Ruby się o tym dowiedzą!

Rozdział 25

- Cześć! - Widząc Karen i Maria przy narożnym stoliku, Lottie pomachała ręką i zaczęła przeciskać się w ich stronę.

- Co ty tu robisz? - zapytał podejrzliwie Mario.

- Też mi powitanie. Dobrze, że już kupiłam sobie drinka. - Zamachała przyjaźnie palcami do Karen, przysunęła trzecie krzesło i usiadła. - Nie będziecie mieli nic przeciwko, jak się przysiądę? Jak było w Stratford? Kupiłeś coś ciekawego?

- Eee... No, tak... - Karen popatrzyła na Maria, wyraźnie niezadowolona z inwazji na ich prywatność.

- Gdzie dzieci? - zapytał Mario.

- Zamknięte w policyjnej celi. - Lottie wykrzywiła usta w jego stronę, a potem się uśmiechnęła. - Kressida z nimi została. Miałam dziś wielką ochotę gdzieś wyjść.

- Mogłem się tego spodziewać. - Mario zmierzył ją wzrokiem.

- A czemu nie? Piękny wieczór. - Pociągnęła łyk ze szklaneczki, oparła się wygodnie i westchnęła z zadowoleniem. - Cóż mogłoby być przyjemniejszego niż pogawędka z wami?

- Zaraz, zaraz, przepraszam. - Karen wyprostowała się i spojrzała na Lottie. - Jesteś jego dziewczyną?

- Dziewczyną? O, nie. Jestem jego żoną. Oczy Karen zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Byłą żoną - poprawił ją Mario z rezygnacją w głosie.

- Byłą żoną i matką jego dzieci. Ale wciąż nam razem dobrze, prawda? - Lottie szturchnęła go niefrasobliwie łokciem. - Nie w tym sensie, oczywiście, ale w sensie przyjaźni. Z Amber też nam dobrze. To jego dziewczyna. Wyjechała teraz na wakacje, ale jest cudowna. Gdybyś ją spotkała, od razu byś ją polubiła.

- Dobra. - Mario uniósł w górę obie ręce. - Osiągnęłaś, co chciałaś i powiedziałaś, co miałaś powiedzieć. Ale nie było takiej potrzeby. Już ci mówiłem, że ja i Karen nie robimy nic złego. Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Lottie zdawała sobie sprawę, jak bardzo Karen musi jej w tej chwili nienawidzić.

- Wiem! To wspaniale! Dlatego pomyślałam, że się przyłączę i razem spędzimy fantastyczny wieczór. Jak przyjaciele.

Wyrolowała go! Mario zrozumiał, że nie było wyjścia - wzruszył dobrotliwie ramionami.

- Dobrze - powiedział spokojnie. - Tak właśnie zrobimy.

- To świetnie. - Lottie obdarzyła go olśniewającym uśmiechem. - Karen, nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Karen miała taki wyraz twarzy, jakby Lottie zaproponowała, że wytatuuje jej wąsy na górnej wardze. Ale Mario już się zgodził.

- Nie, oczywiście, że nie - powiedziała przez zaciśnięte zęby i potrząsnęła głową. Naturalnie kłamała, ale Lottie nie miała zamiaru się tym przejmować.

- To znakomicie - powiedziała ciepło.

- Och! - wykrzyknęła Karen, bo przypomniała sobie, że przecież jest wyjście z tej sytuacji. - Niestety, nie będziemy mogli zostać tu długo. - Rzuciła Lottie spojrzenie pełne udawanego zawodu. - Jedziemy do Cheltenham.

- Na kolację - kiwnęła Lottie z entuzjazmem. - Wiem, Mario mi mówił. Najlepiej do Trigianiego, robią tam cudowne spaghetti marinara. Właśnie dlatego nie jadłam nic od lunchu.

Jak na osobę, która szukała towarzystwa i miłej rozmowy, Karen niewiele z siebie dała tego wieczoru. Po posiłku u Trigianiego była małomówna i przygnębiona. Gdy dojechali do Piper's Cottage i Mario zwolnił, by zaparkować przed jej domem, Lottie wychyliła się z tylnego siedzenia.

- Może odwieziemy najpierw Karen?

- Jesteśmy już pod twoim domem. - Mario spojrział w lustro i napotkał jej wzrok. - A poza tym, chcę porozmawiać z Karen na osobności.

Quelle surprise.

- A ja chciałabym porozmawiać na osobności z tobą - powiedziała Lottie. - O Ruby i Nacie. Nie masz nic przeciwko temu, prawda, Karen?

Karen miała już dość i marzyła tylko o tym, żeby uciec, więc uniosła w górę kopertówkę Chanel. W przeciwieństwie do wszystkich torebek z logo Chanel, które Lottie widziała w życiu, ta była oryginalna.

- Rób, co chcesz. Cokolwiek.

Lottie była zachwycona tym stwierdzeniem. „Cokolwiek”. Znaczyło to: „Wygrałaś, poddaję się”. Jakie to zabawne!

- Dobra robota - powiedział Mario, po raz drugi tego wieczoru podjeżdżając pod Piper's Cottage.

- Nie musisz mi dziękować. - Twarz Lottie jaśniała uśmiechem.

- Jesteś z siebie zadowolona?

- Jestem zachwycona.

- To było niepotrzebne, wiesz o tym? Nie potrzebuję przyzwoitki.

- Oczywiście, że nie - powiedziała Lottie, klepiąc go po ramieniu. - Nigdy nie oszukałbyś Amber.

- Więc po co to wszystko?

- Żeby mieć stuprocentową pewność. Wyłącz silnik.

Mario przewrócił oczyma.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zostajesz dziś na noc u nas.

- Masz ochotę się kochać?

- Nie, ale znam dziewczynę, która ma - powiedziała Lottie.

- Już jej nie ma.

- Och, ale może zadzwonić i przekonać cię, pomimo twoich zasad, żebyś spotkał się z nią jeszcze raz. Jako przyzwoitka mam obowiązek chronić cię przed wyuzdanymi wszetecznicami. Uważam, że powinieneś zostać z nami do końca tygodnia. Dzieci byłyby zachwycone. I...

- I?

- I jeśli Amber mnie zapyta, czy byłeś grzeczny, będę mogła jej powiedzieć, że byłeś.

Mario z uśmiechem potrząsnął głową.

- To naprawdę takie dla ciebie ważne?

- Chcę, żeby moje dzieci były szczęśliwe. Nie ma dla mnie nic ważniejszego. A one kochają Amber na zabój i chcą, żebyście byli razem. Lepiej, żebyś niczego nie zepsuł.

- Dobrze, już dobrze. Skoro tak, zostanę z wami do końca tygodnia.

Hura, zwycięstwo! Wyskoczywszy z samochodu, Lottie odtańczyła dziki taniec, nim dotarła do drzwi kierowcy. Kiedy Mario wygramolił się z samochodu, wysoki i smukły, w ciemnoniebieskiej koszuli i jasnych dżinsach, wsunęła mu rękę pod ramię i pocałowała go z wdzięcznością w policzek. Razem poszli w stronę domu. Była dopiero dziesiąta, co oznaczało, że dzieci będą jeszcze na nogach i bez wątpienia zagonią ją i Maria do gry w Monopol.

- Ale jest jedna rzecz. - Mario zatrzymał się tuż przed progiem.

- Co?

- Chodzi o to wielkie kazanie o mnie i Amber, i że muszę z nią być, bo dzieci ją kochają i że gdybym związał się z kimś innym, to na pewno zrujnowałbym im życie albo zaczęłyby wachać klej.

- Tak? - Jeśli mają grać w Monopol, Lottie chciała być wyścigówką. Zawsze wtedy wygrywa.

Mario spojrział na nią z namysłem.

- Więc dlaczego uważasz, że to jest w porządku, gdy ty chodzisz z Tylerem Kleinem?

Mario siedział w swoim biurze, gdy przez klimatyzowany salon samochodowy przebiegł pełen zachwyty gwizd. Podniósł wzrok i natychmiast zobaczył powód zachwyty - przez automatycznie otwierane drzwi weszła Amber.

- Szczęściarz z ciebie. - Gwizd wyszedł z ust Jerry'ego, który teraz gładził pokrytą kilkudniowym zarostem brodę i

przyglądał się Amber wzrokiem wymagającego znawcy. - Jeśli kiedykolwiek *uznasz, że już jej nie chcesz*, biorę ją na pniu - powiedział.

- Chyba śnisz - odparował Mario. Jerry ważył sto kilogramów i ukrywał swoje siwiejące włosy pod nierzucającą się w oczy warstwą farby. A poza tym Mario nie miał najmniejszego zamiaru rzucać Amber na pastwę kogokolwiek innego. Gdy szła przez salon, wyglądała fantastycznie w jedwabnej żółtej bluzeczce i sportowej białej spódnicy. Jej włosy były jaśniejsze, a opalenizna ciemniejsza niż kiedykolwiek. Bila od niej energia. Dobrze, że nie było w tej chwili klientów.

- Wróciłaś! - Przez cały tydzień denerwował się, że Lottie czuwała nad nim jak stróż, ale w tej chwili był z tego zadowolony. Miał całkowicie czyste sumienie - nie musiał niczego ukrywać i było to wspaniałe uczucie. Przytulił Amber, wdychając cudowny zapach jej skóry, i pocałował ją.

- Tęskniłem za tobą.

- Naprawdę? - Odwróciła się w stronę współpracowników Maria. - Mówi prawdę? - zapytała żartobliwie.

- A skąd - powiedział usłużnie Jerry. - Rzuciłbym go, gdybym był tobą. Może wolałabyś mnie?

- Czy ona wygląda na zdesperowaną? - Mario chwycił ją za rękę. - Chodźmy stąd.

- Sekundka. Jerry, czy Mario dobrze się sprawował?

- Bardzo dobrze. Był miły dla wszystkich striptizerek i zanim wetknął im banknocik w stringi, zawsze najpierw prosił o pozwolenie. - Rechocząc z zachwytem, Jerry wyraźnie się rozgrzewał. - I zawsze mył najpierw ręce przed...

- Wyrzuceniem z roboty nieznośnych kumpli - dokończył wścickły Mario.

- Może zapytałam niewłaściwą osobę - uśmiechnęła się smutno Amber.

Mario uściskał jej rękę.

- Chodź. Porozmawiamy na dworze.

Na parkingu z tyłu salonu pocałował ją jeszcze raz.

- O której wróciłaś? Spodziewałem się ciebie wieczorem.
- Przyleciałyśmy o pierwszej, o wpół do trzeciej byłyśmy w domu. Ale nie możemy się spotkać dziś wieczorem. Jedna z moich stałych klientek zrobiła sobie sama pasemka, gdy mnie nie było. Podobno wygląda jak strach na wróble i nie chce wyjść z domu, dopóki nie przyjadę i nie naprawię tego, co zepsuła. Dlatego przyjechałam teraz.

- Ale... miałaś do nas przyjść wieczorem. - Mario nie wierzył własnym uszom - spędził ostatni tydzień, licząc godziny do jej przyjazdu. - Kupiłem górę jedzenia na grilla, a dzieciaki nie mogą się ciebie doczekać.

- A ty? - Amber przyjrzała się uważnie jego twarzy.

- Ja też. - Jak mogła pytać?

- To dobrze. Ale pasemka Maisie są zielone i farbowanie zajmie mi całe godziny. Wiem, że będę potem nieprzytomna. Spotkajmy się jutro. - Amber otworzyła bagażnik swojego turkusowego fiata i wyciągnęła paczkę. - Daj to Natowi i Ruby, to ich rozweseli.

W przeciwieństwie do Tylera Kleina, Amber umiała kupować prezenty i zawsze wybierała te najodpowiedniejsze.

- Wolałyby ciebie od prezentów - powiedział, gdy pudło znalazło się w jego ramionach.

- Poczekają do jutra. - Amber spojrzała na zegarek, pochyliła się i cmoknęła go w policzek.

- Muszę lecieć, mam tyle spraw. Pa, kochanie. Nie zapomnij uściskać ode mnie potworów.

Mario stał i patrzył, jak fiacik Amber wyjeżdża z impetem z parkingu i znika za zakrętem. Gdyby jej nie ufał, pomyślałby, że spotkała na wakacjach kogoś innego. Ale nie. To śmieszne. Amber nigdy by mu tego nie zrobiła.

Mimo to, coś w jej zachowaniu diametralnie się zmieniło. Walcząc z uczuciem rozczarowania i dziwnym ciężarem w piersi, skierował się z powrotem do biura.

A więc całe oczekiwanie na nic.

- Juhuuu - zaskrzeczał Jerry. - A oto i on, powracający po szybkim numerku na parkingu. Panie i panowie, minuta i czterdzieści trzy sekundy! To się nazywa tempo!

Mario potraktował *infantylny* dowcip *Jerry'ego* z pogardą, na którą zasługiwał. Chryste, czy naprawdę była dopiero czwarta?

I po co liczył godziny do powrotu Amber?

Rozdział 26

- To dziś jest ta noc... la la la, la la. - Lottie śpiewała ci-chutko, tak, aby nikt jej nie słyszał i przeglądała się w lustrze toaletki. Sukienka, którą założyła, była czerwona i błyszcząca. Tym samym kolorem połyskiwały jej usta. Rozpuszczone luźno włosy otaczały jej twarz burzą ciemnych loków, a oczy świeciły niecodziennym blaskiem. Pod sukienką miała czarny jedwabny stanik i takie same figi - zastaw, który zakłada się z nadzieją, że może być oglądany. Serce łomotało jej w piersi. Sięgnęła po tusz i poprawiła makijaż. Za dziesięć minut przyjadą Amber i Mario, żeby zabrać dzieci. Nat i Ruby zostawali dziś na noc u ojca - tak, to na pewno będzie wieczór, który zapamięta na długo. Wstała i krytycznie obejrzała swoje odbicie w lustrze. Na schodach rozległo się charakterystyczne człapanie kapci.

- Ruby? Zawołała. - Chodź i powiedz mi, co myślisz. Czy moja pupa bardzo wystaje w tej sukience?

Ruby stanęła w drzwiach sypialni. - Tak.

- To super. - Lottie poklepała swoje kształtne siedzenie z satysfakcją. To był jeden z jej największych atutów. Popatrzyła na Ruby.

- Ruby? Coś nie tak?

- Nata boli brzuch. Zwymiotował i teraz płacze.

- Zwymiotował? - Lottie w pośpiechu rzuciła się do drzwi.
- Gdzie?

- Nie na dywan. W toalecie. Mówi, że strasznie go boli. Pobiegly razem na dół. Nat leżał na sofie i pojękiwał z bólu. Lottie ukłękła przy nim i pogłaskała go po twarzy.

- Kiedy to się zaczęło, kochanie?
- Niedawno. Było mi niedobrze przy podwieczorku, ale teraz jest okropnie. - Nat skrzywił się i zazgrzytał zębami. - Strasznie boli, mamusiu.

Lottie dotknęła jego czoła.

- Dlaczego jesteś cały mokry? - zapytała zdumiona.
- Umyłem buzię, jak wymiotowałem. I spuściłem wodę, żeby brzydko nie pachniało.

- Umyłeś buzię? I pomyślałeś o tym, żeby spłukać toaletę? To jakiś podwójny cud! - powiedziała Lottie, żeby rozweselić syna.

Ale Nat złapał ją kurczowo za szyję.

- Przytul mnie, mamo! Pomóż mi. Oj, znowu mi niedobrze...
Lottie ogarnęła trwożą. Nat się rozchorował - zawsze

miął większą skłonność do sensacji żołądkowych niż Ruby. Pielęgnowała go w takich sytuacjach wielokrotnie i wiedziała, że wszelkie objawy mijały następnego dnia bezpowrotnie. A dziś była ta szczególna noc, jej noc, i nie chciała, by cokolwiek jej przeszkodziło. Ubrała się elegancko, uczesała i ogoliła nogi. Za mniej więcej trzydzieści minut miała się zjawić w Fox Cottage. Jeszcze chwilę temu myślała, że tylko gwałtowny upadek ze schodów i złamanie obu nóg mogłyby jej pokrzyżować plany. Na nieszczęście zapomniała, że była matką.

- Przyniosłam miskę - oznajmiła Ruby. - Na wypadek, gdyby Nat nie zdążył do łazienki.

- Dzięki. - Nat przylgnął do niej kurczowo. Lottie czuła się, jakby zapomniała kupić los na loterii ten jedyny raz, kiedy padła największa wygrana. - Tylko wyjmij z niej najpierw naczynia.

- Gdzie jest Amber? - spytała Ruby, gdy przyjechał Mario.

- Jest zajęta. Nie może przyjść dziś wieczorem. - Mario z *niepokojem popatrzył na Natę i na miskę.* - *Co się dzieje?*

Syn spojrzął na niego żałośnie.

- Jestem bardzo chory.

Mario odruchowo cofnął się, jakby obawiał się, że Nat natychmiast wymiotuje.

- Może mu przejdzie - odezwała się Lottie błagalnym tonem. - Po prostu boli go brzuch. - Pogładziła Nata z desperacją w oczach po twarzy. - Może po prostu musisz się wyspać, kochanie?

- Niecee. - Nat potrząsnął głową i przylgnął do niej jeszcze silniej.

- Biedna mamusia - powiedziała ze współczuciem Ruby.

- Będzie musiała opuścić ważne spotkanie w interesach w Bath.

- Spotkanie w interesach? - Mario uniósł jedną brew i sceptycznie przyjrzał się jej czerwonej błyszczącej sukience.

- Spotkanie w Izbie Turystyki. Najpierw zebranie, a potem obiad. - Lottie ćwiczyła to kłamstwo przez cały dzień.

- W Pump Rooms. Wszyscy mają przyjść w strojach wieczorowych.

Ale jakie to miało znaczenie? Wszyscy wiedzieli, że nigdzie nie pójdzie. Chyba, żeby zdarzył się jakiś cud...

- Nat, a może tatuś się tobą zajmie? On...

- Niecee! - Nat rzucił się na nią. - Jestem taki biedny - zaskamlał. - Nie idź nigdzie, mamusiu. Chcę, żebyś przy mnie została.

- Znowu wychodzisz? - Ruby wyglądała na przerażoną.

- Jak to znowu? - Lottie właśnie sprzątała po śniadaniu. Uniosła brwi. - Jeszcze nigdzie nie byłam.

Był poranek. Nat w zadziwiającym tempie odzyskał siły po ciężkim nieżycie żołądka. Albo czymś, co tylko na niego wyglądało. Przy śniadaniu wcisnął w siebie w rekordowym tempie górę płatków czekoladowych i pognał na górę przyszykować tornister. Teraz słyhać go było na schodach - schodził i na całe gardło śpiewał najnowszy przebój Avril Lavigne.

Ruby wciąż siedziała przy stole i zmagła się z miseczką płatków kukurydzianych - zawsze trwało to wieki, ponieważ

stanowczo odmawiała polewania ich mlekiem. Popatrzyła na Nata, który wpadł z impetem do kuchni.

- Ona znowu wychodzi - powiedziała z naciskiem. Nat natychmiast przestał śpiewać.

- Dlaczego?

- Bo wy idziecie do taty na grilla, a ja postanowiłam zapisać się na wieczorne zajęcia w Cheltenham. - Lottie nalała sobie do filiżanki mocnej kawy. - Chyba mi wolno, prawda?

- Jakie wieczorne zajęcia?

Racja, jakie zajęcia? Makrama? Rosyjski dla początkujących? Tkanie własnego pasa cnoty?

- Tańce w stylu country - powiedziała stanowczo.

- Co? - Popatrzyli na nią, nie wierząc własnym uszom.

- To tylko zabawa.

- I będziesz nosić kowbojski kapelus i spiczaste buty? I tańczyć w rządku? - Nat zakrył sobie usta dłońmi, tłumiąc chichot. - To beznadziejne.

- Nie trzeba nosić kapelusza i spiczastych butów.

- To i tak beznadziejne. Żałosne. Chyba dla głupków.

Lottie poczuła się w obowiązku stanąć w obronie wszystkich tancerzy country na świecie. Sama nigdy nie próbowała tego tańca, ale wyglądał przecież bardzo wesoło.

- Ale ja będę się tego uczyć i nie jestem głupkiem. I Arnold Schwarzenegger też nie jest, a tańczy tak od lat - dodała gładko, żeby wzmocnić swoją siłę przekonywania.

- To nieprawda - wykrzyknął wzburzony Nat. - Nie tańczy!

- To wszystko jest kłamstwo - powiedziała z pogardą Ruby.

- Nie zapisała się na żadne zajęcia. Mówi tak tylko, bo znowu chce się spotkać z tym facetem.

- To prawda? - Nat wbił wzrok w Lottie.

Serce zamarło jej w piersi. Dlaczego życie musiało być takie trudne?

- No dobrze, miałam zamiar zapisać się na tańce. - Mówiła szybko, bo co innego kłamać, a co innego zostać na tym przyłapanym. - Ale potem spotykam się z Tylerem.

Ruby energicznym ruchem odsunęła od siebie miseczkę z płatkami.

- Widzisz?

- Nie - potrząsnęła głową Nat. - Mamo, proszę!

- Nat, jakie to ma dla ciebie znaczenie? Ty nie musisz się z nim spotykać. To bardzo miły człowiek - powiedział Lottie zrezygnowanym głosem.

Nat wysunął dolną wargę.

- Chcesz powiedzieć, że go lubisz?

- Tak. - Lottie odstawiała filiżankę z kawą. - Kochanie, to tylko jedna noc poza domem. Z przyjacielem.

- A potem następna noc, i następna, i następna - wyliczała Ruby. - I to nie żaden przyjaciel, tylko twój f a c e t. - Ostatnie słowo wymówiła ze wstrętem. - Mamo, proszę, nie chodź nigdzie z tym człowiekiem. On nas nienawidzi.

- To nieprawda, że was nienawidzi. Jak możecie tak myśleć? A poza tym - uniosła ręce w geście obronnym, bo oboje równocześnie otworzyli usta - Nie mamy teraz na to czasu. Jest w pół do dziewiętej. Porozmawiamy spokojnie po szkole.

- Super. - Ruby popatrzyła na nią spod oka i odepchnęła krzesło. Lottie szukała kluczyków. - To znaczy, że i tak spotkasz się z nim wieczorem.

A był jakiś powód, dla którego nie powinna tego robić? Dzieci były takie niesprawiedliwe. Zabrała ze stołu miseczkę po płatkach.

- Tak, mam zamiar się z nim spotkać i cieszyć się na to spotkanie. A teraz idźcie umyć zęby.

Pasmo wspaniałej pogody zostało tego popołudnia nagle przerwane. Ciemne jak węgiel chmury zasnuły niebo od zachodu i pierwsze grube krople deszczu, wielkie jak winogrona, zastukały w przednią szybę samochodu, gdy Lottie jechała po dzieci do Oaklea School. Jak zwykle, zanim znalazła miejsce na parking, krople zmieniły się w rześistą ulewę. I jak zwykle Lottie nie miała kurtki. Przygotowała się do biegu i gwałtownie

wyskoczyła z samochodu. Usłyszała złowieszcze „trrrach” i małe, skromne rozcięcie z przodu jej spódnicy powiększyło się do zdecydowanie nieskromnych rozmiarów, sięgając niemal fig. Trudno, będzie musiała skryć się z tyłu boiska, pomachać do Nata i Ruby i pobiec z powrotem do auta. Chwyciła oba brzegi rozdartej spódnicy, ale mogła teraz poruszać się wyłącznie drobnymi kroczkami, jak gejsza. Spróbowała więc innej metody, próbując zakryć rozdarcie dłońmi. Teraz wyglądała, jakby bardzo chciało jej się siusiu. Ale to nic, już prawie dotarła na skraj boiska. Kurczę, dlaczego musiało się rozpaść, akurat gdy odbierała dzieci ze szkoły? Popatrzyła w dół, by sprawdzić, czy spódnica choć trochę ją zakrywa i zrobiła kolejne niemiłe odkrycie - jej biała bluzka była całkowicie przemoczona i przylegała do niej jak folia samoprzylepna, dumnie eksponując ukrywający się pod spodem czerwony koronkowy stanik.

Rozdział 27

Czując się jak kloszard - chociaż pewnie, gdyby była kloszardem, miałyby na sobie płaszcz - Lottie skryła się pomiędzy drzewami na końcu boiska i pomachała do Nata i Ruby, gdy ci wybiegli z budynku szkolnego. Zanim ją dopadli, wybiegła już za bramę.

- Chodźcie, jedziemy, popatrzcie, co się stało z moją spódnicą. - Popchnęła ich przed sobą, używając Ruby jako żywej osłony. - Nat, pośpiesz się, strasznie pada.

- Ale nie możemy iść. Panna Batson chce z tobą porozmawiać.

Lottie zamarła. Czy jakiegokolwiek inne słowa są w stanie wywołać równie silne poczucie grozy w sercu matki? Nie była mięczakiem, ale nauczycielka Nata była zaiste przerażającą osobą. Nikt nie znał jej imienia, jej matka pewnie też nie. Była grubo po pięćdziesiątce i miała stalowoszare włosy, które idealnie pasowały do szarych ubrań, jakie nosiła, a te z kolei idealnie pasowały do jej stylu bycia. Kiedy żądała rozmowy z

jakimś nieszczęsnym niewinnym rodzicem, wiadomo było, że należy zacząć się bać.

- Dobrze, zadzwonię i umówię się na spotkanie. - Wolałaby lifting twarzy bez znieczulenia, ale od spotkania z nauczycielką nie było ucieczki.

- Nie, teraz - nalegał Nat.

- Kochanie, pada deszcz. I mam podartą spódnicę. Nie mogę tak do niej iść. - Próbowała go pociągnąć, ale zaparł się nogami w ziemi.

- Musisz. Powiedziała: teraz.

Wnętrznosci Lottie przewróciły się na drugą stronę.

- Dlaczego? Co takiego zrobiłeś?

- Nic - powiedział ze spuszczoną głową i kopnął kamień.

- Więc dlaczego to nie może poczekać?

- Bo nie może - wymamrotał.

- Jest tam. Czeka na ciebie. - Ruby wskazała ręką drugą stronę boiska.

O Boże, rzeczywiście. Na widok panny Batson stojącej w drzwiach szkoły Lottie zrobiło się słabo. Nawet z tej odległości wyglądała ponuro. I przerażająco. Nie jak miła nauczycielka nauczania początkowego, która mogłaby za chwilę zaśpiewać: „Mam chusteczkę haftowaną, wszystkie cztery rogi”. Jeśli panna Batson miała by cokolwiek śpiewać, pewnie brzmiałoby to: „jak się zbudzę, to was zjem” i byłoby adresowane do Boga ducha winnych nieszczęsnych rodziców.

Lottie chwyciła Nata za rękę i podreptała przez boisko. Ostatni raz była wezwana przez pannę Batson, gdy jeden z jego kolegów szturchnął go w nogę tępym ołówkiem, a Nat odpowiedział na to ukłuciem ołówkiem świeżo zaostrzonym. Lottie musiała wówczas wysłuchać długiego wykładu o tym, że szkoła podstawowa w Oaklea nie będzie tolerowała przemocy i że powinna czuć się winna wychowania dziecka z tak społecznymi skłonnościami. Żałowała wtedy, że sama nie miała przy sobie ostrego ołówka.

Teraz, przemoczona tak, jak jeszcze nigdy w życiu, starła krople deszczu z oczu i wzięła kilka głębokich oddechów.

- Dzień dobry, panno Batson. Chciała się pani ze mną zobaczyć?

- Dzień dobry, pani Carlyle. Tak, chciałam.

Słowa „Pani Carlyle” zabrzmiały w jej ustach wyjątkowo pogardliwie.

Panna Batson poprowadziła Nata i Ruby przez korytarz.

- Możecie poczekać w holu. Usiądźcie sobie pod sekretariatem. Pani Carlyle?

Zdecydowanym ruchem głowy, uzbrojonej w hełm kędzierzawej staroświeckiej trwałej ondulacji, wskazała jej drzwi do klasy i krzesło tuż przed swoim biurkiem.

- Proszę sobie wygodnie usiąść.

To był oczywiście żart. Szare krzeselko z giętego plastiku było przeznaczone dla przedszkolaków. Kolana miała Lottie pod brodą, a pupa w żaden sposób nie mieściła się w siedzisku, więc niezależnie od tego, jak mocno ścisnęła nogi, mogła mieć całkowitą pewność, że różowe majtki w paski, które miała na sobie, znajdowały się na widoku panny Batson i to niezależnie od pozycji, jaką przyjęła Lottie. Poza tym kapąła z niej woda, a miseczki czerwonego stanika świeciły przez mokrą bluzkę jak dwa reflektory.

- Przepraszam za spódnice - powiedziała Lottie, udając beztroskę. - Pękła przy wysiadaniu z samochodu. Pech!

- Ahm. Mamy porozmawiać o Nacie. - Ton panny Batson miał zapewne wykazać, że uważa rozmówczynię za osobę frywolną i głupią. - Muszę powiedzieć, pani Carlyle, że bardzo się o niego martwię.

- Co przeszkrobał? - zapytała Lottie. Oczywiście wyszło jej w ustach.

- Pożyczył dziś rano linijkę od Charlotte West. I nie chciał jej zwrócić.

- Aha. Linijkę. - Uczucie ulgi rozpląnęło się w ciele Lottie jak alkohol. - To nie takie straszne, prawda?

Dostrzegła groźny błysk w paciorkowatych oczach panny Batson.

- Noo, to nie jest w porządku. Porozmawiam z nim, wytłumaczę, że nie wolno...

- Kiedy w końcu odebrałam mu linijkę, Nat nie chciał przeprosić. Postawiłam go w kącie, a on wyciągnął kredkę i zaczął pisać po ścianie.

- O! Co napisał?

- Napisał: NIENAWIDZĘ - zakomunikowała panna Batson lodowatym tonem - zanim zdążyłam odebrać mu kredkę. Potem, gdy skarciłam go za niszczenie szkolnej własności, rozplakał się.

- Dobrze, rozumiem. O tym też z nim porozmawiam.

- Spędziłam na rozmowie z Natem całą przerwę obiadową, żeby dowiedzieć się, dlaczego tak się zachowuje. To bardzo nieszczęśliwe dziecko, pani Carlyle. Wszystko mi opowiedział, całą tę historię. I muszę powiedzieć, że to bardzo niepokojące. Bardzo niepokojące.

- Jaką historię? - spytała Lottie z grozą i niedowierzaniem.

- Pani syn jest ofiarą rozwodu, pani Carlyle. To jest bardzo traumatyczne przeżycie, z którym to małe dziecko musiało sobie poradzić. A teraz pani, jedyny jego opiekun, wdała się w związek z innym mężczyzną. Mężczyzną, którego, dodajmy, Nat nie akceptuje - powiedziała z powagą panna Batson.

- Ale...

- I ma to katastrofalny wpływ na Nata - kontynuowała nauczycielka. Jej usta wygięły się w grymasie dezaprobaty. - Czuje się bezsilny. Mówił pani niejednokrotnie o swoich uczuciach, ale pani zdecydowała się ignorować jego ból.

- Ale ja...

- Podjęła pani w rzeczy samej przedziwną decyzję, by trwać w tym nieszczęsnym związku, nie biorąc pod uwagę stanu psychicznego pani syna. Co, nie ukrywam, bardzo mnie szokuje. Matka, która wybiera swoje szczęście kosztem szczęścia swoich dzieci, okazuje oburzającą beztroskę i egoizm.

Zbyt zszokowana, by wydusić z siebie jakiegokolwiek słowo, Lottie wbiła wzrok w wiszącą za panną Batson mapę Afryki. Potem Afryka rozplynęła się, a Lottie z przerażeniem zdała sobie sprawę, że oczy ma pełne łez.

- Musi pani poważnie przemyśleć swoje priorytety, pani Carlyle. Kto jest dla pani ważniejszy - ten człowiek, czy pani syn. - Panna Batson zrobiła przerwę, aby wzmocnić efekt swoich ostatnich słów. - Kogo pani bardziej kocha?

Lottie nigdy w życiu nie czuła się taka mała. Było jej wstyd, a po policzku spływała jej łza. Panna Batson niewątpliwie uważała, że jest skandalistką, nieodpowiedzialną matką i do tego kobietą lekkich obyczajów, o czym świadczyły buty na wysokich obcasach, wyzywający stanik i spódnica z niebywale nieprzystwoitym rozcięciem.

- No więc? - panna Batson zastukała palcami, wyczekując odpowiedzi.

- Bardziej Kocham syna - wyszeptała bezwiednie Lottie.

- To dobrze. Miło mi to słyszeć. Co, jak mniemam, oznacza, że nie będziemy tego potrzebowały.

- Czego? - Lottie popatrzyła na kartkę z numerem telefonu.

- To telefon do opieki społecznej.

- Co takiego?

- Nat powiedział mi wszystko - chłodno stwierdziła panna Batson. - Opowiedział o psychicznym znęcaniu się nad nim i jego siostrą przez owego dżentelmena, z którym pozostaje pani w związku. O wszystkich rzeczach, które on powiedział i zrobił przez ostatnie tygodnie - proszę mi wierzyć, to nie było przyjemne. Jeśli szuka pani potencjalnego ojczyma dla dzieci, musi pani wziąć pod uwagę ich uczucia, pani Carlyle. One są najważniejsze. No dobrze, na razie to odłożymy. - Złożyła kartkę na pół i wsunęła do szuflady biurka.

- Chwileczkę. - Krew napłynęła Lottie do policzków, gdy dotarło do niej, co sugerowała panna Batson. - Żadne psychiczne znęcanie się nie miało miejsca! Tyler nie jest potworem! Zrobił wszystko, co w jego mocy, by poukładać sobie relacje z dziećmi i

nigdy nie miał złych intencji. Gdyby tylko zechciały dać mu jeszcze jedną szansę, zobaczyłyby jak...

- Może jednak będziemy potrzebowały tego numeru. - Kościste palce panny Batson zsunęły się z powrotem do szuflady.

- Nie, nie będziemy! - Teraz Lottie rzeczywiście miała ochotę przeszyć ją świeżo zaostrzonym ołówkiem. - Nie ma mowy. Próbuję jedynie pani wytłumaczyć, że Nat przesadził w swojej opowieści.

- A ja próbuję pani wytłumaczyć - powiedziała spokojnie panna Batson - że poświęciłam godziną przerwę obiadową na ocieranie łez siedmioletniego chłopca i słuchanie jego wyznań o spustoszeniu, jakie czyni w jego życiu pojawienie się tego człowieka.

- Ale...

- To wszystko, pani Carlyle. - Panna Batson wstała i popatrzyła na zegarek. - Nie muszę chyba mówić, że będziemy ze szczególną uwagą przyglądać się Natowi i Ruby w najbliższych tygodniach i miesiącach. Grono pedagogiczne szkoły w Oaklea uważa dobro i szczęście swoich wychowanków za sprawę najwyższej wagi.

- Ja też - powiedziała dotknięta Lottie.

- To dobrze. Jestem pewna, że jak tylko ów dżentelmen zniknie z horyzontu, zauważymy znaczną poprawę stanu psychicznego Nata i Ruby. Dziękuję, że poświęciła mi pani czas.

Panna Batson otworzyła drzwi, by wypuścić ją na korytarz, gdzie czekały dzieci.

- Dziękuję - odpowiedziała w otępieniu Lottie.

Rozdział 28

Cześć Tom,

Mogę zrobić dużo błędów, bo piszę klejącymi się palcami. Przez ostatnią godzinę przyklejałam maleńkie białe piórka marabuta do zaproszeń na chrzciny i dopiero gdy skończyłam, odkryłam, że nie mam już acetonu i nie mogę zmyć kleju. Jestem

zapracowana po łokcie, bo przychodzi mnóstwo zamówień. To dobrze, ale w ogrodzie wychodzą chwasty, a ja nie mam czasu się nimi zająć - wygląda to okropnie. (Za to zawsze znajduję czas, żeby jeść czekoladę!)

Czy Donny oswoił się już ze szkołą? JoJo zaczęła się w tym semestrze uczyć rosyjskiego. Była tu przed chwilą i prosiła o pomoc w zadaniu domowym, ale to trochę za dużo dla mojego biednego umęczonego umysłu.

Oglądałeś wczoraj ten film kryminalny na ITV? Byłam pewna, że to wikary był czarnym charakterem. Całą noc myślałam, w jakim innym filmie widziałam tę aktorkę, która grała jego żonę. Wciąż nie mogę sobie przypomnieć i doprowadza mnie to do szału. Kiedy poszłam...

Zadzwoił dzwonek u drzwi i Kressida podskoczyła na krześle. Od czasu pierwszego sztywnego listu Toma oboje nabrali pewności siebie i pisali teraz codziennie. Za każdym razem, gdy klikała w ikonę poczty elektronicznej, przenikał ją dreszcz oczekiwania i zastanawiała się, czy znajdzie tam wiadomość od niego. Bezwstydnie zachęcała go do pisania, załączając w każdym liście kilka pytań, które dawały mu pretekst, by napisać ponownie. Czy było to oszustwo? Kressida nie dbała o to. Jak na razie, sposób okazał się doskonały.

- Cześć! - Otworzyła frontowe drzwi i z rozbawieniem stwierdziła, że stał za nimi mokry szczur, trzymając kurczowo w dłoniach dwie butelki wina. Kressida wzięła je do ręki.

- Dla mnie? Wielkie dzięki. Do widzenia.

- Tak szybko się mnie nie pozbędziesz - Lottie wetknęła stopę w drzwi.

Kressida uśmiechnęła się szeroko.

- Wskakuj. Wyglądasz okropnie.

- Dzięki. Też byś tak wyglądała po takim dniu, jaki miałam dziś. Przynieś korkociąg - zażądała Lottie, idąc wprost do kuchni. - I kieliszki. Wszystko, czego potrzebuję, to odrobina twojej uwagi i dużo współczucia.

- Och, moje biedactwo. Wracam za dwie sekundy. - Kressida obróciła się na pięcie i pobiegła do pracowni. Dopadła komputera i wystukała z prędkością światła:

Muszę lecieć. Właśnie przyszła moja przyjaciółka Lottie - otwiera w tej chwili wino. Jest w kompletnym dołku. Uściski i całusy, Kress xxx

Przycisnęła „Wyślij” i pognąła z powrotem do kuchni, gdzie Lottie, zbyt niecierpliwa, by szukać odpowiednich kieliszków, nalewała czerwone Merlot do kubków.

- Więc co innego mogłam zrobić? - Minęło pół godziny i pierwsza butelka była niemal pusta. Lottie opowiedziała słowo w słowo całą zenującą rozmowę z panną Batson.

- Przyjechaliśmy do domu i odbyłam poważną rozmowę z Ruby i Natem. Okazuje się, że Ben i Harry Jenkinsowie widzieli mnie i Tylera kilka dni temu. Mieliśmy chwilę słabości w ogrodzie. No, nie, nie w tym sensie - dodała szybko, gdy Kressida uniosła brwi. - Pocałowaliśmy się tylko. Ale te cholerne dzieciaki Jenkinsów schowały się na drzewie i słyszały, jak Tyler mówił, że nie chce widzieć Nata i Ruby, czy coś w tym rodzaju. I o to poszło. O siódmej zawiozłam dzieciaki do Maria i zadzwoniłam do Tylera, żeby mu powiedzieć, że nie możemy się więcej spotykać. Poza pracę, oczywiście. I tyle. To koniec... To wino nie jest takie złe, prawda? - Lottie rozlała ostatnie krople do kieliszków. - Im więcej się pije, tym staje się lepsze.

Kressida nie miała na ten temat zdania, czuła tylko, że od wina opadają jej ramiona.

- Jak zareagował Tyler?

- Co miał powiedzieć? Nie upadł na kolana i nie zaczął mnie błagać, bym zmieniła zdanie. Poza tym, rozmawialiśmy przez telefon, więc nie wiem, jak było z tymi kolanami. - Lottie westchnęła ciężko. - W każdym razie nie błagał. Powiedział, że to straszne i że bardzo mu przykro, że sprawy przybrały taki obrót. Ale zgodził się, że przede wszystkim muszę mieć na uwadze dobro dzieci.

- Pewnie ma rację. To jedyne, co możesz zrobić. - Kressida była pełna współczucia. - Ale to takie niesprawiedliwe. Kiedy ma się piętnaście lat i chodzi z nieodpowiednim starszym chłopakiem, można się spodziewać, że rodzice zabronią randek. Ale nikomu nie przychodzi do głowy, że za kilka lat dzieci mogą zrobić to samo.

- Nigdy nie myślałam, że będę miała takie dzieci. - Oczywiście Lottie napełniły się łzami. - Boże, tak bardzo je kocham. Są całym moim życiem. Nienawidzę tej starej jędry Batson, ale w pewnym sensie ma rację. Przez myśl mi nie przeszło, jak one mogą to przeżywać, przysięgam. Orzeszki?

- Co takiego?

- Orzeszki. I czekolada. Pomogą nam przetrwać ciężkie chwile i trochę nas pocieszą. Chociaż ty nie wyglądasz, jakbyś potrzebowała pociechy - zawołała Lottie za Kressida, która poszła do kuchni przeszukać szafki w poszukiwaniu łakoci. - Szczerze mówiąc, wyglądasz radośnie i promiennie.

- Nieprawda.

- Prawda. - Nie.

- Tak! - Lottie wysunęła w jej stronę oskarżycielski palec. - Tryskasz radością i energią, jakbyś ukrywała jakiś beczenny sekret. Za wszelką cenę muszę się dowiedzieć, o co chodzi.

Kressida nie umiała skrywać tajemnic. Zaczerwieniła się teraz, a wzrok uciekł jej w stronę pracowni, gdzie w skrzynce odbiorczej mógł już czekać nieprzeczytany, kuszący e-mail od Toma.

- Masz faceta! - zapięła z zachwytem Lottie, zauważywszy spojrzenie Kressidy. Nieomal przewróciła swój kieliszek. - Facet? W twojej pracowni? Ty rozpasana ładacznico! Jest nagi? To namiętny seks czy prawdziwa miłość?

- To Tom Turner - powiedziała bez ogródek Kressida. - Nie, nie chowa się w pracowni. Piszemy do siebie. Codziennie - dodała po chwili.

- Tom Turner! Ależ to fantastycznie! - Lottie zaklaskała w dłonie. - A więc to może zamienić się w miłość.

Miłość. Kressida poczuła w żołądku skurcz lęku. Boże! „Uściski i całusy”!

Napisała to czy nie?

Była jedenasta w nocy, Lottie właśnie wyszła, a Kressida usiadła przed komputerem, nie mogąc znieść dręczącego ją strachu. Dokładnie takiego samego uczucia doświadczyła wiele lat temu po egzaminie gimnazjalnym z matematyki, gdy wszyscy narzekali, jak trudno było odpowiedzieć na wszystkie pięć pytań w ostatnim zadaniu, a ona z przerażeniem odkryła, że odpowiedziała tylko na jedno. Ale wtedy po prostu nie przeczytała wszystkiego z należytą uwagą. Dziś miała mrozące krew w żyłach przeczucie, że napisała za dużo.

Z e-mailami dotyczącymi pracy nie miała problemu. Wszystkie kończyła podobnie: „Z poważaniem” albo „Wszystkiego dobrego”, albo „Serdecznie dziękuję”. Idąc za przykładem Toma, pisała na końcu listów do niego „Wszystkiego najlepszego”. Ale gdy odpowiadała na szalone i pełne czułości listy, które JoJo słała do niej prawie każdego dnia, nieodmiennie pisała: „Uściski i całusy, Kress xxx”.

I teraz miała przerażające uczucie, że gdy pobiegła dokończyć list do Toma po przyjściu Lottie, odruchowo napisała: „Uściski i całusy, Kress xxxx”.

Nie zapisała kopii listu, więc nie mogła sprawdzić.

Gorączkowo, z płonącymi policzkami, Kressida zalogowała się na stronie internetowej i zastukała nerwowo palcami w blat stołu, czekając, by sprawdzić, czy Tom odpisał.

Nie odpisał. Popiła spory łyk wina. W żaden sposób nie mogła się dowiedzieć, czy brak odpowiedzi oznaczał, że po prostu nie przeczytał jeszcze listu, czy że był zbyt zaskoczony jej bezwstydnym zachowaniem, by wiedzieć, jak zareagować.

Może się uśmieł? A może przestraszył? Od „Wszystkiego najlepszego” jest daleka droga do „uścisków i całusów” i długiego rzędu pocałunków.

Boże, czy można coś zrobić, by uratować sytuację?

Chyba należało napisać.

Drogi Tomie,

Nie jestem pewna, czy powinnam to pisać (wypiłam sporo wina), ale bardzo przepraszam, jeśli napisałam „Uściski i całusy” na końcu mojego ostatniego maila. Miałam zamiar wystukać „Wszystkiego najlepszego”, ale pomyliło mi się - nie pierwszy raz - i wzięłam Cię za JoJo. Chodzi o to, że myślałam, że kończę list do JoJo, a nie do Ciebie, bo oczywiście nie osmieliłabym się wystać ci uścisków i rzędu buziaków.

Przechyliwszy głowę, Kressida opróżniła kieliszek i otarła krople wina z brody. Do roboty, niech to będzie za nią.

Oczywiście nie chodzi o to, że Cię nie lubię. Jesteś bardzo miłym człowiekiem i zawsze z niecierpliwością czekam na Twoje listy, więc mam nadzieję, że mój ostatni Cię nie przeraził. Gdybym nie dopisała tych nieszczęsnych „Uścisków i całusów”, wszystko byłoby w porządku. Ale wolę wyjaśnić. I jeszcze raz przepraszam. Proszę, odpisz szybko i powiedz, że nie uważasz mnie za kompletną wariatkę. Chyba, że tak właśnie myślisz - w takim wypadku wołałabym o tym nie wiedzieć.

Wszystkiego najlepszego,

Kress.

Widzisz? Żadnych całusów.

Czy to dobrze brzmiało? Było dość zwyczajne i przyjacielskie? Lekkie, ale objaśniające pomyłkę? Tak, chyba tak. Na pewno tak. Tom nie może się obrazić, najwyżej będzie się naśmiewał przez jakiś czas, aż stanie się to dla nich żartem, do którego z lubością będą wracać.

Zrozumie.

Czując się dużo lepiej, Kressida kliknęła „Wyślij”. Zrobione. Czas iść spać.

Rozdział 29

Co się dzieje z Amber?

Lottie miała dziś wolny poranek i wybrała się do salonu, by ostrzyć włosy i zrobić balejaż. Miała nadzieję, że ciemno- rude pasemka choć trochę ją rozweselą i rozjaśnią mroki dożywotniej samotności. Lubiła tu przychodzić - gwar kobiecych głosów, płoteczki i przyjemne zapachy kosmetyków działały relaksująco. Ale dziś dziewczyny miały wolne, co oznaczało, że ona i Amber były same. I dziś po raz pierwszy ich rozmowa zupełnie się nie kleiła. Co więcej, po kilku próbach ożywienia konwersacji zapadała niezręczna cisza.

- Amber, czy coś się stało? - zapytała po piętnastu minutach bezskutecznych starań.

Zobaczyła w lustrze, że Amber wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. A stało się? To ty mi powiedz - dodała. Bez wątpienia coś było nie tak. Lottie potrząsnęła głową i kawałki folii załopotwały wokół jej skroni jak uszy spaniela.

- O czym mam ci powiedzieć?

Amber opuściła pędzel, którym nakładała farbę na pasma jej włosów.

- O Mario.

- O Mario? Ma się dobrze. Naprawdę. - Przez głowę przemknęła jej myśl, że być może Amber dowiedziała się o drobnym flircie z Karen Crane.

- Wiem, że ma się dobrze. - Amber utkwiała wzrok w odbiciu Lottie w lustrze. - Chcę wiedzieć, czy się z kimś spotykał.

Lottie poprawiła się w fotelu i spłotła kurczowo palce pod granatową peleryną, którą była owinięta.

- Nie - powiedziała z najgłębszym przekonaniem.

- A ja myślę, że tak.

- Na przykład z kim? Amber milczała przez chwilę.

- Na przykład z tobą - powiedziała w końcu. Lottie roześmiała się z widoczną ulgą.

- To o to chodzi? Myślisz, że coś jest między mną i Ma-
rłem? Amber, gdyby było, powiedziałabym ci. Ale nic między
nami nie ma. Nigdy w życiu. Przysięgam!

Amber wzięła głęboki oddech. W końcu kiwnęła głową, a jej różowo- srebrne kolczyki wydały z siebie delikatny brzęk. Sięgnęła po pokrojone w kwadraty kawałki folii aluminiowej.

- No dobrze. Więc przepraszam. Chyba ci wierzę. Ale... Poszłam wczoraj do sklepu, a Ted nie posiadał się ze zdumienia, że mnie widzi.

- Bo nie było cię przez parę tygodni.

- Tak właśnie pomyślałam. A potem powiedział, że sądził, że ty i Mario znów mieszkacie razem. Zaraz zawtórowała mu jakaś staruszka. „Też tak pomyślałam” - powiedziała - „bo przecież śpi każdej nocy w Piper's Cottage”.

Wiejscy plotkarze! Nie można związać ich powrozem i utopić w jeziorze?

- Spał na sofie - powiedziała Lottie. A potem znów poruszyła się w fotelu, bo już wiedziała, jakie będzie następane pytanie.

- Na sofie - kiwnęła głową Amber. - Super. Ale chciałybym wiedzieć - powiedziała pomału - czyj to był pomysł, żeby Mario się przeprowadził.

- Dzieci strasznie się cieszyły - zaczęła radośnie Lottie, ale zamilkła na widok spojrzenia Amber.

- Ty to wymyśliłaś, prawda? Zmusiłaś Maria, żeby spał u ciebie każdej nocy. Bo wiesz, że nie można mu ufać i to był sposób na to, by mieć go na oku i by podczas mojej nieobecności nie przyszło mu do głowy nic głupiego.

Amber nie była głupia. Lottie uniosła ramiona w geście poddania.

- Masz rację. Pomyślałam, że ostrożność nie zawadzi. Wiesz, jacy są faceci, rozum noszą w spodniach. Nie sądzę, by Mario z własnej woli knuł coś niedobrego, ale przynajmniej - jest wyjątkowo przystojny. A dziewczyny są bezwstydne. Pomyślałam, że bezpieczniej będzie, jeśli zostanie z nami i nie będzie nigdzie chodził z chłopakami z pracy i...

- Zachowywał się, jakby nie miał dziewczyny - dokończyła ze szczerością Amber. - Co z oczu, to z serca. Jeśli się nie dowie, to nie będzie cierpieć.

- Przepraszam, myślałam, że dobrze robię. - Lottie obserwowała w lustrze, jak sprawnie zapakowała w folię ostatni kosmyk i wytarła dłonie w ręcznik. - Powinnam była zostawić go samemu sobie?

Amber westchnęła i strząsnęła z oczu pojaśniałą na słońcu grzywkę.

- Mój Boże, nie wiem. Dlaczego to zrobiłaś?

- Bo chcę, żebyście zawsze byli razem i żyli długo i szczęśliwie. Jesteście wspaniałą parą - powiedziała Lottie. - I nie chcę, żeby cokolwiek stanęło wam na drodze.

- Robisz to dla potworów. - Ton Amber był oschły. - Bo mnie lubią.

- Kochają cię! A to bardzo ważne - przyznała Lottie. - Chcę, żeby były szczęśliwe. Próbowałam pomóc.

Amber popatrzyła na nią.

- A co ze mną? Zależy ci, żebym ja była szczęśliwa?

- Tak! W tym rzecz.

- Wcale nie - powiedziała beznamiętnie Amber i przysunęła bliżej fotel na kółkach. - Rzecz w tym, czy to jest w ogóle możliwe, bym była szczęśliwa z Mariem. Z kimś, komu nie mogę do końca zaufać.

Lottie była przerażona.

- Ale byliście razem przez ile, przez osiem miesięcy? Zawsze wiedziałaś, co to za ziółko. Jest bawidamkiem i flirciarzem, ale nigdy się tym nie przejmowałaś.

- Nieprawda. - Amber potrząsnęła głową. - Kiedy zaczęliśmy się spotykać, myślałam to, co myślą miliony dziewczyn - że to ja będę tą jedyną, która go zmieni. Oszukiwałam się, że teraz będzie inaczej, że nauczy się na swoich błędach i zrozumie, że to, co jest między nami, jest zbyt cenne, by to, ot tak, zmarnować.

Przerwała i popatrzyła uważnie na Lottie.

- Ty pewnie też tak myślałaś, prawda? Kiedy za niego wychodziłaś.

No, tak. Lottie dobrze pamiętała, że tak właśnie było. Ale miała wtedy dziewiętnaście lat. Gdy ma się dziewiętnaście lat, jeszcze się nie wie, że nie można zmienić drugiego człowieka na lepsze.

Wzruszyła ramionami, co miało oznaczać, że przyznaje Amber rację.

- Ale nie zdradził cię - zauważyła.

- Bo ty i dzieci trzymaliście go w areszcie domowym. - Amber uśmiechnęła się blade.

- Kocha cię.

- Tak, wiem. Ale czy to wystarczy?

- Więc co teraz będzie? - Lottie przeszył dreszcz niepokoju.

- Nie wiem. Próbuję podjąć jakąś decyzję. - Ale Nat i Ruby...

- Lottie, kocham ich z całego serca. - Amber wzięła do ręki czysty kawałek folii aluminiowej i zaczęła drzeć go na strzępy. - Wiesz o tym. Ale nie możesz oczekiwać, że zostanę z facetem, który mnie zniszczy, po to, by uszczęśliwić jego dzieci.

- I jego była żoną - przypomniała jej Lottie. - Ją też uszczęśliwisz.

- Nie masz wstydu. - Usta Amber zdrzały.

- Chciałabym być bogata i bezwstydna - powiedziała ze smutkiem Lottie. - Gdybym miała wory pieniędzy, przekupiłabym cię, żebyś została.

- To dobrze, że ich nie masz. No, zobaczmy, co tu się dzieje. - Amber odwinęła jedno z foliowych zawiniątek na karku Lottie i uważnie obejrzała ukryty w nim kosmyk. - Jeszcze chwilka. Chcesz kawy?

- Tak, z przyjemnością - kiwnęła głową Lottie, zadowolona, że udało się przełamać napięcie między nimi. Teraz przynajmniej wiadomo było, w czym tkwi problem. Być może razem uda im się go rozwiązać.

- Mężczyźni - powiedziała, krzywiąc się. - Dlaczego oni nie potrafili docenić, ile mają szczęścia?

Amber sypała kawę rozpuszczalną do kubków.

- Niektórzy potrafią.

- Podobno. Ale łatwiej trafić na takiego, który chce się tylko dobrze bawić. Albo myśli, że wszędzie dobrze, gdzie go nie ma. - Lottie wykonała nieokreślony ruch ręką, wskazując, gdzie to może być. - Gdybym ja żyła z fantastycznym facetem, przez myśl by mi nie przeszło, żeby go okłamywać i oszukiwać. Tobie też nie. Więc dlaczego...

- Mnie przeszło.

- Tak? - zainteresowała się Lottie. - Oszukiwałaś swojego chłopaka? Kto to był?

Amber naląła ostrożnie wrzącą wodę do kubków, dodała mleko i zamieszała.

- Mario.

Lottie zaniemówiła. Tego się nie spodziewała.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Chcesz cukru?

- Dwie łyżeczki. Boże, kiedy to było?

- Na wakacjach - powiedziała Amber.

- Nie wierzę. Spotkałaś kogoś we Francji? O mój Boże!

- Ściśle mówiąc, nie spotkałam. - Amber podała Lottie kawę i usiadła, obejmując dłońmi swój kubek. - Pojechaliliśmy do Francji razem.

Lottie nie była w stanie zebrać myśli. Świat zawirował, jakby siedziała nie w fotelu fryzjerskim, ale na karuzeli. - Ale mówiłaś, że...

- Wiem. Powiedziałam, że jadę na wakacje z moją przyjaciółką Mandy. Ale nie jestem lesbijką - dodała ponuro Amber.

- Nie pojechałam z Mandy. To było kłamstwo.

Coś podobnego! Lottie odstawiła kawę w obawie, że poparzy sobie nogi.

- A z kim?

- Ma na imię Quentin.

Ojej. Quentin?

- OK, wiem, co myślisz. To nie jest imię, które kojarzy się z prawdziwym mężczyzną. Facet, który nosi takie imię, nie może wyglądać jak gwiazda filmowa i porażać bicepsami - powiedziała z rezerwą Amber. - I ten też niczym się nie wyróżnia. Jest zwyczajny - miły, normalny i zwyczajny. Parę lat temu chodziliśmy ze sobą przez kilka miesięcy. To był związek, który nie wymagał ode mnie żadnego wysiłku. Jak mówił, że zadzwoni, to dzwonił. Jak zapowiadał, że przyjdzie, to przychodził. Był cudownym chłopakiem. Kupował mi kwiaty. Opiekował się mną, kiedy miałam grypę. Raz nawet stał w kolejce całą noc, żeby kupić bilety na koncert Eltona Johna z okazji moich urodzin.

- Hm. To nadzwyczajne. - Lottie nie ukrywała zazdrości - sama dałaby sobie uciąć rękę, żeby zobaczyć Eltona Johna. - Ale zerwaliście ze sobą. Co się stało?

Amber wzruszyła ramionami.

- Poczulałam się trochę... znudzona. Kiedy ktoś jest taki dobry i czuły, przestajesz go szanować i doceniać. W tym związku nie było adrenaliny, nie wiem, czy mnie rozumiesz. Wydawało mi się, że w miłości musi być więcej emocji. Chciałam kogoś, na którego widok serce będzie mi waliło jak młotem i będą się uginały kolana. Więc powiedziałam Quentinowi, że nie widzę przed nami przyszłości, że był dla mnie zbyt dobry. - Na jej twarzy pojawił się grymas, ale mówiła dalej. - A Quentin na to: „Chcesz kogoś, kto będzie dla ciebie okrutny? O to ci chodzi?”. Ale jest dżentelmenem, więc nie nalegał. Powiedział, że ma nadzieję, że znajdę to, czego szukam, bo zasługiwałam na szczęście. A potem dowiedziałam się, że rzucił pracę i wyjechał do Londynu.

- A teraz wrócił? - Lottie była jednocześnie zaszokowana i zauroczona. Wiedziała, że nie powinna się w tę historię angażować, ale nie mogła się powstrzymać.

- Tak, wrócił - kiwnęła głową Amber. - Wpadł tutaj sześć tygodni temu, żeby się przywitać, ale nie miałam czasu gadać,

więc umówiłam się z nim po pracy na kawę. Żeby porozmawiać i posłuchać, co u niego. Miło było go zobaczyć, to wszystko. Quentin opowiedział mi o swojej pracy i o planach. Ja powiedziałam mu o Mario. Zapytał, czy Mario jest dla mnie dość okrutny i czy to on jest tym, którego szukałam. Odpowiedziałam, że nie wiem, ale że się dobrze bawię. I tyle. Dwadzieścia minut w kawiarni za rogiem. - Amber bawiła się swoimi kolczykami. - Tego wieczoru - kontynuowała - poszliśmy na imprezę i pewna dziewczyna spędziła cały wieczór, zagadując Maria. Poszliśmy tam jako para, ale ona zupełnie mnie zignorowała. Czułam się jak Harry Potter w pelerynie niewidce. Mario spędził na rozmowie z nią cały wieczór, jak gdyby nigdy nic. Jakby nie zdawał sobie sprawy, do czego ona zmierza. To doprowadziło mnie do furii. I zaczęłam myśleć. Kiedy Quentin przyszedł do mnie następnego wieczoru, zaprosiłam go na drinka.

- Tylko na drinka? - Ton Lottie był swawolny.

- Tak. Przyniósł mi mały bukietik frezji. Potem powiedział, że ciągle mnie kocha. I wtedy zrozumiałam, że są na świecie gorsze rzeczy niż być kochaną przez porządnego i miłego człowieka.

Lottie poczuła się w obowiązku stanąć w obronie eks- męża.

- Mario też jest miłym człowiekiem.

- Wiem, że jest. Ale czy on może mnie uszczęśliwić? Czy raczej złamie mi serce? - Amber znów wzruszyła ramionami. - To bardzo ważne. I wiem, że Quentin nigdy by tego nie zrobił.

- Więc jak poważne jest to coś między wami? - Lottie poczuła, że skóra kurczy jej się na plecach.

- Nie spałam z nim, jeśli o to pytasz. No, nie tym razem - powiedziała prosto z mostu Amber.

- Ale... ale byliście razem na wakacjach! Przez całe dwa tygodnie!

- Mieliśmy osobne pokoje. Te wakacje to był pomysł Quentina. Widział, jaka byłam rozdarta. Potrzebowałam rozstać się z Mariem na jakiś czas, żeby popatrzeć na to wszystko z dystansu. - Amber przerwała i pogrążyła się w myślach. - Więc

z technicznego punktu widzenia nie zdradziłam Maria. Czy to się liczy, jeśli jedziesz na wakacje z innym facetem, ale z nim nie śpisz?

- I co teraz? Podjęłaś jakąś decyzję? - zapytała Lottie, przejęta niepokojem.

- Prawie - powiedziała Amber.

- Prawie? Powiedz! - zaskamlała Lottie.

- Nie. To nie byłoby w porządku. Muszę najpierw im powiedzieć. - Amber obejrzała ponownie różowoczerwone pasemka Lottie. - Gotowe. Chodź do umywalki.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - powiedziała Lottie, gdy ciepła woda pieściła jej głowę, a umywalka zapełniała się zużyтыми kawałkami folii. - Martwiłaś się, że Mario może cię oszukać, więc wyjechałaś na dwa tygodnie z innym facetem. Czy to nie jest trochę... nieuczciwe?

- Pewnie jest. - Amber energicznymi ruchami dłoni wmasowała pachnący migdałami szampon we włosy Lottie. - Ale gdyby Mario mnie oszukał, zrobiłby to z nudów albo dlatego, że usłyszałby miłe pochlebstwo, albo po prostu miałby ochotę na drobny flirt. Ja wyjechałam z Quentinem, bo musiałam podjąć decyzję, która być może zmieni całe moje życie.

- A więc nie spałaś z Quentinem. Ale całowałaś go?

- Całowałam. - Amber stała za głową Lottie, ale ton jej głosu wskazywał na to, że się uśmiechała. - Wiele razy. I wiem, co myślisz. Ze jestem wiarołomną dziwką. Ale nie robiłam tego dla zabawy. Mam poważny powód, żeby się tak zachowywać.

Rozdział 30

Była jedenasta rano. Kressida skrzywiła się i objęła rękoma obolałą głowę, a jej wzrok powędrował w stronę ekranu komputera. W skrzynce odbiorczej czekał list od Toma.

To wszystko wina Lottie. Przyszła tu wczoraj i upiła Kressidę na umór. A potem zniknęła w ciemnościach nocy,

zostawiając ją samą w domu, z komputerem podłączonym do światowej sieci komunikacyjnej.

A swoją drogą, to też jest niesprawiedliwe. Mogła wybierać dowolnie wśród wszystkich ludzi na całym świecie, mogła wystać głupi list do kogoś mieszkającego w Alabamie albo na Fidzi, w Tbilisi albo w Tokio, do kogoś zupełnie obcego, któremu byłoby obojętne, jakie bzdury plecie. Ale tak się nie stało, prawda? Nie napisała do żadnego z pięćdziesięciu bilionów czy trylionów użytkowników Internetu na świecie. O, nie, to byłoby zbyt racjonalne! Wysłała te swoje żalosne banialuki, bez żadnych zahamowań, do jedyne go człowieka na świecie, na którym chciała zrobić wrażenie, jedyne go, który jej się podobał i któremu nie chciała dać żadnych powodów do myślenia, że była kompletną kretynką.

Ale nie było rady, musiała wypić piwo, które sama nawarzyła. Za późno teraz na żale. A poza tym, co najgorszego mogło się stać? Tom mógł jej odpisać, że pomyliła adresy, że niestety nie ma zamiaru odpowiadać w tym samym tonie i że byłby zobowiązany, gdyby już nigdy nie zaśmiecała jego skrzynki odbiorczej.

Wtedy mogłaby pójść i spokojnie utopić się w jeziorze w Hestacombe.

OK. Klikamy.

Cześć Kress,

Jest dopiero dziewiąta rano, a Ty już rozjaśniłaś mój dzień. Twój e-mail był cudowny. Mówisz, że czekasz na moje listy, ale jestem pewien, że ja na Twoje czekam jeszcze bardziej. Nie przepraszaaj za przestanie „uścisków i całusów” (co zresztą zrobiłaś, razem z kilkoma pocałunkami). Bardzo mi miło i nie ma powodu, dla którego miałabyś czuć się niezręcznie.

Och, Bogu niech będą dzięki. Kressida wzięła głęboki oddech. Poczowała, jak opada z niej napięcie. A więc nie musi się topić.

Ale to nie był koniec...

Mam pewną propozycję. Donny wspomniął ostatniego wieczoru o JoJo. Mimo że udaje obojętność, wydaje mi się, że bardzo

ją lubi. Gdy zapytałem, czy chciałby się z nią spotkać, chrząknął i powiedział „nie wiem”, co u trzynastolatka jest wyrazem aprobaty. (Gdybym zapytał Donny'ego, czy chciałby się spotkać z Keirą Knightley w swoje urodziny, chrząknęły i powiedział „nie wiem”.)

Więc pomyślałem, że może Ty i JoJo zgodzilibyście się przyjechać do Newcastle w następny weekend. Mógłbym cię doprowadzić, a dla dzieciaków jest tu mnóstwo atrakcji. Donny nigdy wcześniej nie miał przyjaciółki i myślę, że byłoby bardzo dobrze, gdyby udało się utrzymać kontakt z JoJo. Jest sympatyczną partnerką do rozmowy i przemiłą dziewczyną.

To tylko propozycja. Wiem, że to daleko, ale jeśli będziecie miały wolny weekend i będziecie chciały nas odwiedzić, my będziemy zachwyceni.

Daj znać, co o tym myślisz.

Uściski i całusy,

Tom xxxxxx

Dać mu znać, co o tym myśli? Co o tym myśli?! Kressida musiała się powstrzymać, by nie odtańczyć jakiegoś szalonego pląsu, nie otworzyć na oścież okien i nie wrzasnąć „Tak, tak, tak!” ile sił w płucach. Tak musieli się czuć piłkarze po zdobyciu zwycięskiego gola na mundialu. Tom ucieszył się z jej e-maila! Nie potraktował jako ciężkie *faux pas* ani pierwszego listu, ani dalszych pijackich wynurzeń. I sam podpisał swój list „uściski i całusy” i... ile pocałunków? Sześć! I na dodatek zaprosił je do Newcastle w następny weekend. Czy mogło wydarzyć się coś bardziej ekscytującego? Dysząc, Kressida wyobraziła sobie siebie i JoJo podróżujące pociągiem, wysiadające na stacji w Newcastle i spędzające w miłym towarzystwie cudowne czterdzieści osiem godzin w wirze zabawy i śmiechu, a może nawet „uścisków i całusów”...

Oj, chyba się troszeczkę zagalopowała. Nie jest przecież bezwstydną latawicą. Ale i tak weekend zapowiada się wystrzałowio i JoJo na pewno będzie zachwycona. Uwielbia wszelkie wyjazdy.

Chyba wysła wiadomość na jej komórkę już teraz, zanim dowie się, o której będą miały pociąg. To już następny weekend! Podekscytowana, Kressida sięgnęła po telefon. Tak, w następny weekend znów zobaczy Toma.

Odpowiedź od JoJo przyszła po godzinie: „Brzmi ekstra. Nie mogę się doczekać. Będziemy jechać w piątek? Całusy J xxxx”.

Kressida pocałowała telefon - wiedziała, że JoJo jej nie zawiedzie.

Reszta życia Lottie nie szła niestety po jej myśli, ale musiała przyznać, że bardzo dobrze czuła się w roli prywatnego detektywa. Nie udało jej się jeszcze odnaleźć drugiego nazwiska na liście Freddiego, Giselle Johnston, ale Johnston to było jej nazwisko panięskie, a ona miała teraz sześćdziesiąt dwa lata, więc trudno było się dziwić trudnościom. Łatwiej poszły poszukiwania trzeciej osoby z listy, Fenelli McEvoy.

- Mam ją - wykrzyknęła Lottie, wpadając do salonu w Hestacombe House i wymachując triumfalnie kartką papieru. - Musisz mi teraz powiedzieć, kim ona jest. - Sięgnął po kartkę, ale Lottie schowała ją za plecy. - Zanim Ci to dam.

Fenella. Freddie zapalił cygaro i uśmiechnął się do siebie. To będzie interesująca historia.

- Najpierw ty musisz mi powiedzieć, jak ją znalazłaś.

- Napisałam na adres, który mi podałeś, a człowiek, który mieszka tam w tej chwili, oddzwonił. Kupili z żoną ten dom od McEnvoy'ów dwadzieścia lat temu. McEnvoy'owie przenieśli się za granicę, do Hiszpanii. Ale parę lat temu dotarła do niego pocztą pantoflową wiadomość, że Fenella wróciła do Oksfordu. A ostatniego lata przechodziła pod jego domem, gdy akurat był w ogrodzie, i wdali się w rozmowę. Powiedziała, że mieszka w Hutton Court, w apartamentowcu tuż nad rzeką, i że od czasu opuszczenia Carlton Avenue dwa razy się rozwiódła. Więc - ciągnęła radośnie Lottie - wpisałam Hutton Court w wyszukiwarkę internetową i znalazłam projektanta stron internetowych, który tam mieszka i ma tam biuro. Zadzwoiłam i

zapytałam, czy zna kobietę o imieniu Fenella, a on na to: „A, ma pani na myśli Fenellę Britton? Mieszka na ostatnim piętrze”. Widzisz, jaka jestem obrotna? - Lottie zrobiła skromną minkę. - Według mnie, byłabym świetnym międzynarodowym szpiegiem.

- A ona odpisała? - Wzrok Freddiego spoczywał na liście, który Lottie trzymała kusząco poza zasięgiem jego dłoni.

- Odpisała. Teraz Twoja kolej. - Lottie była bardzo stanowcza.

- Niektórym ludziom zdarzają się chwile szaleństwa - zaczął Freddie, wypuszczając dym cygara i przypominając sobie Fenellę tak, jak wyglądała wtedy. Usadowił się głębiej w skórzanym fotelu. - Moja chwila trwała miesiąc. Byłem wtedy z Giselle. Fenella była już mężatką. A ja nie umiałem się powstrzymać - opowiadał. - Była jak narkotyk, któremu nie byłem w stanie się oprzeć. Mieliśmy romans.

- A ja myślałam, że w tamtych czasach młodzi ludzie lepiej się prowadzili. - Lottie aż cmoknęła z niezadowolenia. Podała Freddiemu list. - Wiesz co? Byłeś strasznym kombinatorem. Kto kogo odstawił?

- Ona mnie odstawiła, jak wy to teraz pięknie nazywacie. - Freddie dobrze pamiętał, jaki był wtedy nieszczęśliwy. Uśmiechnął się do siebie i strząsnął popiół z cygara. - Fenella była kobietą luksusową. Miała dobrze zarabiającego męża. Krótko mówiąc, nie byłem dla niej dość bogaty.

W przeciwieństwie do Jeffa Barrowcliffe, który zareagował na pierwszy telefon Freddiego z dużą rezerwą, Fenella bardzo się ucieszyła.

- Głos z przeszłości! - wykrzyknęła z zachwytem, gdy zadzwonił. - Oczywiście, Freddie, że chciałabym się z Tobą zobaczyć, to cudownie. Gdzie teraz mieszkasz? Koło Cheltenham? To żadna odległość. Chcesz tu wpaść, czy wolałbyś, żebym ja przyjechała?

Jakie to było proste. Odkładając słuchawkę po paru minutach rozmowy, Freddie zastanawiał się, dlaczego wszystko nie mogło być równie proste trzydzieści osiem lat temu.

Pierwszy raz zobaczył Fenellę McEnvoy w sklepie z galanterią skórzaną w centrum Oksfordu. Wybierała rękawiczki. Freddie, który wszedł do sklepu, aby odebrać z naprawy pasek do zegarka, obserwował ją, jak przymierza jedną mięciutką popielatą rękawiczkę z koźlęcej skórki i jedną blad różową, podszywaną satyną. Fenella doskonale zdawała sobie sprawę, że młody człowiek ją obserwuje. Obróciła się i pomachała do niego czubkami palców.

- Jak pan myśli, które? Muszą pasować do białej garsonki. Była olśniewająca - ciemnowłosa i elegancka jak Audrey

Hepburn. Pewność siebie emanowała z niej jak francuskie perfumy.

- Różowe - powiedział Freddie bez wahania, a ona posłała mu hipnotyzujący uśmiech i odwróciła się do ekspedientki za ladą.

- Mężczyzna o nienagannym smaku. Wezmę te. Freddie był całkowicie w jej władaniu. Sklep opuścili razem. Na dworze właśnie zaczęło padać.

- Powinnam była kupić parasolkę - powiedziała Fenella. - Gdzie ja teraz znajdę taksówkę?

- Mam samochód z drugiej strony. - Freddie wskazał na przeciwległą stronę ulicy. - Gdzie pani jedzie?

- Nie tylko mężczyzna o nienagannym smaku. - Fenella z uśmiechem wkroczyła na ulicę. - Również rycerz w lśniącym zbroi. Ach, jaki piękny samochód!

- Nie, to nie ten. - Z lekkim zażenowaniem, Freddie przeprowadził ją obok błyszczącego Bentleya i otworzył drzwi swojego skromnego Austina 7, stojącego tuż za limuzyną. - Da się pani mimo wszystko odwieźć do domu?

Fenella roześmiała się, czując przytyk.

- Wszystko lepsze od spaceru w takiej ulewie. Podwiózł ją pod sam dom, imponującą edwardiańską willę

na pełnej zieleni ekskluzywnej Carlton Avenue. W międzyczasie dowiedział się, że jej mąż ma na imię Cyril, jest o piętnaście lat od niej starszy i jest jakąś grubą rybą na rynku tekstyliów.

- Urządzamy koktajl w sobotę. - Koci uśmiech Fenelli go hipnotyzował. Mówiła niskim, przyciszonym głosem. - O siódmej. Chciałbyś przyjść?

Freddie przełknął ślinę. Nigdy w życiu nie był na koktajlu. Ale teraz pragnął tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

- Ale, problem w tym, że ja mam... ee... dziewczynę. Fenella uśmiechnęła się szeroko.

- To dobrze. Jak ma na imię?

- Giselle.

- Piękne.

- Tak, jest piękna.

- Miałam na myśli jej imię.

- Och, przepraszam.

- Jestem pewna, że jest również piękna. Nie potrafię wyobrazić sobie ciebie z brzydką dziewczyną. - Fenella dotknęła jego rękawa. - Przyjdź na nasze przyjęcie, Freddie - powiedziała. - I przyprowadź Giselle, jeśli chcesz. Chętnie ją zobaczę.

W sobotę Freddie i Giselle wybrali się na koktajl do McEnvoy'ów i przez cały wieczór czuli się bardzo niezręcznie. Pozostali goście byli starsi i zdecydowanie lepiej sytuowani, i, co najważniejsze, najwyraźniej nie mieli najmniejszej ochoty nawiązywać towarzyskich kontaktów z zagubioną parą młodych ludzi.

- Co my tu robimy? - szeptała Giselle.

- Nie wiem - odpowiadał ściszym głosem Freddie. Cel wizyty zrozumiał dopiero dwadzieścia minut później, gdy w drodze z łazienki spotkał Fenellę na schodach.

- To nie jest odpowiednia dziewczyna dla ciebie.

- Co takiego? - Pomimo zaskoczenia, Freddie był świadomy bliskości ich ciał.

- W tych sprawach mam zawsze rację. Co robisz w środę wieczorem?

- Spotykam się z Giselle.

- Wykręć się i przyjdź do mnie. Cyril wyjeżdża w interesach.

Freddie poczuł, że się poci.

- Nie mogę tego zrobić.

- Oczywiście, że możesz. O ósmej. Och, uśmiechnij się, Freddie - Fenella patrzyła na niego z rozbawieniem. - Nie udawaj takiego zszokowanego. Przecież też tego chcesz.

I Freddie, czując do siebie obrzydzenie, ale nie mogąc się powstrzymać, musiał w duchu przyznać, że chce.

Cały czas myślał, że to Giselle była miłością jego życia. Pojawienie się Fenelli zburzyło ten porządek. Giselle reagowała poczuciem winy na seks przedmałżeński i dlatego nad ich nieczystymi aktami miłosnymi unosiło się widmo grzechu. Fenella, mężatka, nie miała takich skrupułów. W środową noc uwiodła Freddiego wprawnie i wielokrotnie. Seks z nią był fantastyczny. Na szczęście Cyril często wyjeżdżał służbowo. Był ostoją finansową, ale w łóżku się nie sprawdzał. Tak twierdziła jego żona.

Nie to, co Freddie.

- Za dużo pracujesz - narzekała Giselle cztery tygodnie później, gdy znów jej powiedział, że nie będzie mógł spotkać się z nią wieczorem.

- Wiem, ale szef chce, bym doprowadził te negocjacje do końca. To nie będzie trwało wiecznie - obiecywał Freddie.

Wiedział, że nie będzie. On i Fenella byli dla siebie stworzeni. Nie potrafił wyobrazić sobie życia bez niej. Kilka godzin później, w łóżku, powiedział jej o tym i poprosił, by odeszła od Cyrila.

- Jakie to słodkie, kochanie. - Fenella przejechała czubkami palców po jego nagiej nodze. - Ale dlaczego u licha miałabym to zrobić?

- Bo cię kocham! - Freddie był całkowicie pod jej urokiem i zdumiał go jej brak zrozumienia dla tego, co działo się między nimi. - Taki układ nie może trwać wiecznie. Zerwę z Giselle. A ty powiesz o nas Cyrilowi.

- Co takiego? - zachichotała Fenella.

- Musisz się z nim rozwieść!

- Mój Boże, strasznie by się wkurzył.

- To bez znaczenia - odpowiedział gwałtownie Freddie. - Ta sprawa dotyczy tylko nas. Chcę się z tobą ożenić.

- I zaoferować mi takie życie, do jakiego przywykłam? - Gestem dłoni Fenella wskazała na ogromną, wykwinnie urządzonej sypialnię i szafy pękające w szwach od kosztownych ubrań i butów. - Freddie, bądź rozsądny. He ty dokładnie zarabiasz?

Kapiel w beczce z lodem nie byłaby dla Freddiego większym szokiem.

- Myślałem, że mnie kochasz - powiedział przez zaciśnięte zęby,

- Och, Freddie, lubię cię. - Fenella pogłaskała go po twarzy.

- Nawet bardzo. Dobrze się razem bawiliśmy, nie uważasz? Ale to nigdy nie było nic poważnego.

Freddie zauważył, że użyła czasu przeszłego. I zrozumiał, że musiała mieć już wcześniej kochanków. Nie kochała Cyrila, ale nie miała najmniejszego zamiaru rozstawać się z nim.

- Na mnie czas. - Pokonany i upokorzony, Freddie wysunął się z łóżka i zaczął szukać rozrzuconych w nieładzie ubrań.

- Tak, czas. Przepraszam, kochanie. - Fenella pokiwała głową ze współczuciem.

Należało mu się współczucie. Zdradził Giselle, która naprawdę go kochała. I zrobił z siebie kompletnego głupca. Ubrał się i, stanąwszy w drzwiach, popatrzył na Fenellę.

- Nie musisz mnie odprowadzać. Miłego życia.

- Bez wątplenia będzie miłe. - Oparta o białe puchowe poduszki posłała mu pocałunek i pomachała czubeczkami palców. - Tobie też tego życzę.

Freddie wsiadł do swojego samochodu. A więc koniec. Nie było go na nią stać. Nie był dość bogaty.

Rozdział 31

Kressida opadła bezwładnie na kuchenne krzesło. Czy to działa się naprawdę? To tak, jakby otworzyć pięknie opakowany prezent i znaleźć w środku zdechłego szczura.

- Nie, to nie będzie możliwe - powtórzyła energicznie Sasza Forbes. - Wyjeżdżamy. Jeden z dyrektorów regionalnych z działu Roberta bierze ślub w Kent i będziemy tam przez cały weekend.

Kressida zakładała, że telefon do Saszy i Roberta w sprawie wyjazdu do Newcastle będzie czystą formalnością. Nigdy nie zdarzyło się, by odmówili jakiegokolwiek propozycji, więc Kressidzie przez myśl nie przeszło, że tym razem może być inaczej.

- A JoJo jedzie z wami? - próbowała zdusić rosnące w niej rozczarowanie. - Nie wspominała o żadnym weselu.

- Jestem pewna, że jej mówiłam. Ale wiesz, jakie są nastolatki - mówiła Sasza beztroskim tonem. - Nigdy nie słuchają.

- Ale to wesele kolegi z pracy. - Zdesperowana Kressida próbowała znaleźć właściwe argumenty. - Nikogo nie będzie tam znała. Jesteś pewna, że nie byłoby lepiej zostawić ją ze mną? Wtedy będziecie mogli naprawdę odpocząć i...

- Nie, nie. Za późno na zmiany. Szef Roberta zabiera swoich małych rozrabiaków i obiecaliśmy, że JoJo się nimi zajmie. Inaczej wysadzą nas w powietrze.

Kressida nie mogła się z tym pogodzić. Jaki nieszczęśliwy zbieg okoliczności! - Ale...

- Kressida, ona jedzie z nami. Jedziemy tam całą rodziną. Przepraszam cię, ale mam jeszcze kilka telefonów do wykonania. - Dając Kressidzie do zrozumienia, że poświęciła jej aż nadto swojego cennego czasu, dodała ze zniecierpliwieniem: - Może zapomniałaś, ale JoJo to nasza córka, nie twoja.

Rozłączyła się, ale ostatnia uwaga zabolęła tak, jakby przeszył ją nóż Stanleya. Była tyra bardziej bolesna, że prawdziwa. Chyba będzie musiała przeprosić Saszę i Roberta. Przeprosić i unżyć się. Łzy napłynęły jej do oczu. Żadne kłótnie nie miały sensu. Mogli w każdej chwili postanowić, że zabronią JoJo ją odwiedzać.

Po dwóch filiżankach mocnej kawy Kressida wysłała kolejnego sms- a do JoJo z informacją o weselu. Potem napisała do Toma, wyjaśniając, że nie będą jednak mogły przyjechać w ten weekend. Fakt, że ona mogła, był bez znaczenia - zaprosił je obie, żeby zapewnić towarzystwo Donny'emu. Ta wizyta miała być atrakcją dla dzieci i to one miały się z niej ucieszyć. Gdyby przyjechała bez JoJo, Donny mógłby być zawiedziony. To tak, jakby obiecano mu wizytę w Disneylandzie, a zamiast tego zabrano go do Praktykera. Szczerze powiedziawszy, wizja samotnego weekendu w Hestacombe bardzo mocno kojarzyła się z nudną wędrówką wzdłuż niekończących się regałów marketu budowlanego.

Wielka szkoda, odpisał z pracy Tom dwadzieścia minut później. Donny będzie taki zawiedziony! Oczywiście, dodał Tom (pośpiesznie? z grzeczności?), on też. W następny weekend Donny bierze udział w zawodach piłkarskich dla juniorów, ale co z kolejnym weekendem?

Kressida spojrzała w kalendarz i odkryła, że na kolejny weekend zgłosiła się jako wolontariuszka do pomocy w jesiennej zabawie dobroczynnej organizowanej przez lokalny szpital. Rano ma poprowadzić loterię fantową, a po południu zaopiekować się stoiskiem z książkami. Tak to jest z nagrodą za dobre uczynki. Kressida miała ochotę wybuchać płaczem. Dobrze, że nie miała kota - gdyby miała, na pewno by go w tej chwili kopnęła.

Fenella wydała z siebie okrzyk zachwyty i wyciągnęła rękę do Freddiego.

- Kochanie, jak ty pięknie wyglądasz! Siwowłosa, dystyngowany i przystojniejszy niż kiedyś! Och, jak dobrze znów cię widzieć!

Głowa bolała Freddiego tak bardzo, jakby ktoś ścisnął jego mózg imadłem, ale jeśli było coś, co mogło mu pomóc zapomnieć o bólu, był to widok Fenelli w różowo- żółtej letniej sukience i idealnie dobranym powiewnym szalu. Jej ciemne oczy błyszczały, wciąż miała fryzurkę w stylu Audrey Hepburn, a jej nogi były tak szczupłe i piękne jak zawsze. Freddie policzył, że miała sześćdziesiąt trzy lata. Gdyby tego nie wiedział, sądziłby, że była ledwie po pięćdziesiątce.

- Ciebie też miło widzieć. - Pochylił się i, wdychając świeży, kwiatowy zapach jej perfum, ucałował ją w oba upudrowane policzki. - Bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś. Proszę, zostaw to mnie - powiedział, widząc, że otworzyła torebkę i wyjęła portmonetkę. - Daj mi choć tyle zrobić.

Freddie zapłacił taksówkarzowi, zostawiając mu sowity napiwek.

- Gdybym wiedział, że przyjedziesz pociągiem, wyjechałbym po ciebie na stację.

- A może bałam się, że przyjedziesz po mnie tym okropnym Austinem 7? - W oczach zabłyśły jej figlarne ogniki, gdy popatrzyła na błyszczącego bordowego Daimlera zaparkowanego na podjeździe. - Naprawdę jest twój? Dorobiłeś się, kochanie. Bardzo się cieszę ze względu na ciebie.

Freddie miał świadomość, że zachowywał się jak ośmiolatek, z którego wyśmiewano się, bo nie miał roweru - więc gdy dostał nowiuteńki rowerek pod choinkę, nie mógł oprzeć się pokusie jeżdżenia ulicą w tę i z powrotem tak, aby wszyscy go widzieli. Czterdzieści lat temu Fenella wzgardziła nim, bo nie miał pieniędzy. Teraz świetnie mu się powodziło, ale dawna zniewaga tkwiła w nim jak zadra. Ponowne spotkanie i pokazanie, co odrzuciła, zamykało tę sprawę. Był sześćdziesięcioczworoletkiem pedałującym w górę i w dół ulicy,

dzwoniącym dzwonkiem i wykrzykującym: „Patrzcie na mój piękny nowy rower!”.

Jedli lunch w oranżerii i rozmawiali o przeszłości. Fenella była zachwycona domem, więc Freddie opowiedział jej, jak kupował poszczególne posiadłości i rozbudowywał biznes. Ona opowiedział mu o rozwodzie z Cyrilem po dwudziestu trzech latach małżeństwa.

- Poszedł na wcześniejszą emeryturę i przenieśliśmy się do Puerto Banus. Wcześniej pracował bez przerwy, a to dawało mi dużo czasu dla siebie - wyznała Fenella. - Kiedy przestał pracować, nie było od niego ucieczki. To mnie doprowadzało do szału. On doprowadzał mnie do szału. Nie miał ochoty na nic, ani na golfa, ani na picie. Nie byłam w stanie tego znieść. Więc rozstaliśmy się, a ja związałam się z Jerrym Brittonem.

Freddie zastanawiał się, czy ten związek zaistniał przed rozstaniem z Cyrilem.

- Grał pasjami w golfa i wydatnie przyczyniał się do podniesienia obrotów w barach w Puerto Banus - opowiadała Fenella z krzywym uśmiechem. - Ale dobrze się z nim bawiłam. Sprawił, że znów poczułam się młoda i atrakcyjna. Po dwudziestu trzech latach małżeństwa z Cyrilem to była miła odmiana.

- I wyszłaś za niego? - Freddie nie był w stanie powstrzymać się od tego pytania. - Był majątny? Fenella uśmiechnęła się ze smutkiem.

- O, tak - powiedziała. - Zbliżałam się do pięćdziesiątki, ale niczego się nie nauczyłam. Jerry szastał pieniędzmi na prawo i lewo, a ja uwielbiałam pławić się w tym luksusie. Całe życie szukałam bezpieczeństwa finansowego. Byłam głupia i płytką, teraz widzę to jak na dłoni. Jerry oczywiście okazał się beznadziejnym gnojkiem. Nigdy wcześniej nie czułam się taka nieszczęśliwa. Sypiał, z kim się dało, zaczął mnie poniżać przy swoich kolegach... To był koszmar. - Odłożyła na stół nóż i widelec. - A najgorsze było to, że czułam, że zasługuję na takie traktowanie - powiedziała ze smutkiem. - To była kara za moją

chciwość i beztroskę. Kiedyś musiałam dostać za swoje, nie było od tego ucieczki.

- Nie oceniał siebie tak surowo. Przynajmniej byłaś szczerą - powiedział Freddie.

- I popatrz, dokąd mnie to zaprowadziło. - Fenella potrząsnęła głową. - A ironia losu polega na tym, że... Nie, nic, zapomnijmy o tym.

Machnęła dłonią, jakby chciała odgonić wypowiedziane słowa.

- Na czym polega ironia losu? - zainteresował się Freddie.

Sięgnęła po swój kieliszek Chablis.

- Dobrze, powiem, ale zabrzmi to żałośnie. - Przerwała, upiła łyk wina i popatrzyła na niego. - Tęskniłam za tobą, Freddie. Kochałam cię. Wiem, że nigdy ci tego nie powiedziałam, ale nie mogłam. Nawarzyłam piwa i musiałam je wypić. Ale nigdy cię nie zapomniałam. Nigdy nie przestałam porównywać innych mężczyzn z tobą, pragnąc, by byli choć trochę podobni do ciebie.

- Podobni do mnie, ale z większymi pieniędzmi. - Ton Freddiego był chłodny.

- Nie, podobni do ciebie - upierała się Fenella. - Zajęło mi to trochę czasu, ale w końcu pojęłam, o co w życiu chodzi. Kiedy odeszłam od Jerry'ego, mogłam walczyć o jego majątek, ale nie zrobiłam tego. Wyjechałam bez pieniędzy, wróciłam do Anglii i postanowiłam zacząć nowe życie jako uczciwa osoba. Postanowiłam, że pieniądze nie będą kierowały moim życiem. Gdybym spotkała naprawdę miłego człowieka, biednego, ale uczciwego, zamieszkałabym z nim, bo życie mnie nauczyło, że szczęście nie ma nic wspólnego z zawartością konta w banku.

Freddie był pod wrażeniem.

- Twoje plany się ziściły?

- Na krótko. - W oczach Fenelli pojawił się smutek. - Spotkałam świetnego faceta. Miał na imię Douglas i pracował w centrum ogrodniczym. Nie miał pieniędzy, ale to było bez

znaczenia. Dobrze nam było razem i miałam takie nadzieje na przyszłość... Ale po dwóch miesiącach zmarł nagle na atak serca.

- Przykro mi.

- Dziękuję. To było straszne, po prostu straszne. Czułam, że to kolejna kara za wszystkie niegodziwości, których się dopuściłam. Odebrano mi całą radość. To było osiem lat temu. - Fenella wyjęła z torebki chusteczkę i otarła łzy. - Od tego czasu nikogo nie miałam. Chciałam z kimś być, ale nikt się nie pojawił. Boże, wiem, że zabrzmiało to śmiesznie, ale czy możesz sobie wyobrazić, jak się ucieszyłam, gdy otworzyłam list od twojej przyjaciółki Lottie? List z wiadomością, że mnie szukasz i chcesz się ze mną spotkać? Poczulałam się jak nastolatka. To była szansa, żeby choć w części naprawić błąd, który popełniłam, traktując cię tak okropnie... I, patrząc na to bardziej egoistycznie, szansa, by być naprawdę szczęśliwą z człowiekiem, który był moją pierwszą miłością. Tym właśnie dla mnie byłeś, Freddie. Nie byłam w stanie wtedy się do tego przyznać, ale tak właśnie było. Byłeś moją pierwszą miłością. - Umilkła, a po chwili roześmiała się gorzko. - A teraz jestem tutaj i znowu wszystko jest nie tak. Chyba wisi nade mną jakieś fatum.

- Dlaczego tak uważasz? - spytał rozbawiony Freddie.

- Bo cały sens przyjazdu tutaj i spotkania z tobą leżał w... - Wykonała kolejny niesprecyzowany ruch ręką - A, niech tam... w tym, by ci udowodnić, że naprawdę się zmieniłam. Ale teraz nie mogę tego zrobić, bo już nie jesteś biedny. Masz to wszystko!

- Przykro mi - uśmiechnął się Freddie.

- Wierz mi, nawet w części nie jest ci tak przykro, jak mnie. - Fenella oparła się na krzesło i włożyła za ucho niesforny kosmyk. - Kiedy podałeś mi swój adres, wzięłam Hestacombe House za blok mieszkalny. Spodziewałam się zobaczyć normalnego, niezbyt zamożnego człowieka, wiodącego niezbyt bogate życie. I chciałam ci pokazać, że to nie ma znaczenia. Myślałam, że zemdleję, kiedy taksówkarz zatrzymał się przed twoją bramą. Do głowy by mi nie przyszło, że mógłbyś dorobić się czegoś takiego. A to oznacza, że nie mogę z tobą flirtować, bo

gdybym zaczęła to robić, natychmiast uznałbyś, że robię to ze względu na twoje pieniądze.

- Nie wiem, co powiesz. - Freddie zamilkł na chwilę. Postanowił nie owijać niczego w bawełnę. - Dobrze, powiem wprost. To był jeden z powodów, dla których chciałem się znów z tobą spotkać. Żeby ci udowodnić, że potrafiłem do czegoś dojść, pomimo wszystkich przeciwności i pomimo faktu, że złamałaś mi serce.

Fenella przestłoniła dłonią usta.

- Złamałam ci serce? Naprawdę?

- O, tak.

- Myślałam, że po prostu wrócisz do tej swojej słodkiej dziewczynki... jak ona miała na imię?

- Giselle. - Freddie poczuł ukłucie w sercu.

- O właśnie. Mała ślicznotka. Jak to się skończyło?

- Wszystko zepsułem. To była tylko i wyłącznie moja wina. Kiedy ty i ja zerwaliśmy ze sobą, do niczego się nie nadawałem. Giselle nie była niczemu winna i nie potrafiła zrozumieć, dlaczego się zmieniłem. To był bardzo trudny czas.

- Mój Boże, przepraszam! - wykrzyknęła Fenella. - Czuję się okropnie.

- Taki rzeczy się zdarzają. Może to przeznaczenie? W każdym razie, żyliśmy ze sobą, ale czuliśmy się oboje nieszczęśliwi - opowiadał dalej Freddie. - A potem spotkałem kogoś innego. I to był koniec, zerwałem z Giselle. Zacząłem spotykać się z tą drugą dziewczyną.

- Która miała na imię?

- Mary. Po sześciu miesiącach wzięliśmy ślub. Umarła cztery lata temu.

- Och, Freddie. I byliście szczęśliwi? Oczywiście, że byliście - wykrzyknęła Fenella. - Widzę to w twoich oczach. To cudownie. Bardzo się cieszę, że w końcu znalazłeś tę jedyną.

Freddie nie mógł mówić, kiwnął tylko głową.

- Biedactwo - Fenella pochyliła się i wzięła jego rękę w swoje dłonie. - Musisz za nią bardzo tęsknić... I ta samotność,

prawda? Nie ma nikogo, z kim można byłoby dzielić życie. Serce mi pęka, gdy widzę twój smutek.

- Ten żal to cena, jaką płacimy za miłość - powiedział z prostotą Freddie. Otrząsnął się i pochylił, by dolać wina do jej kieliszka. - Ale nasza rozmowa zesłała na zbyt poważne tory. Będziesz żałowała, że w ogóle tu przyjechałaś.

- Freddie, jestem niebiańsko szczęśliwa, że znowu cię widzę. Martwi mnie tylko twoja samotność. Wiesz, ciągle jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną. - Fenella uśmiechnęła się. - Gdyby nie te twoje nieszczęsne pieniądze, kto wie, co by się mogło stać. To nasze spotkanie mogłoby... - urwała. - Wielkie nieba, nie słuchaj mnie. Jestem niemądrą staruszką.

Ucichła, a Freddie zdał sobie sprawę, że powinien zareagować jak prawdziwy dżentelmen i z galanterią zaprzeczyć. Głowa mu pękała - powinien zażyć kolejną dawkę środka przeciwbólowego. Ale najpierw musiał jej wyjaśnić, że żadne wspólne plany na przyszłość nie wchodziły w grę.

- Nie jesteś niemądra. Ani stara - dodał pośpiesznie. - Ale ja nie szukam kandydatki na życiową partnerkę. Nie dlatego chciałem się z tobą spotkać.

- Och - powiedziała Fenella, zaskoczona jego otwartością.

- Przepraszam, jeśli tak to rozumiałaś. - Freddie czuł się winny, bo chyba rzeczywiście tak właśnie odebrała jego zaproszenie. - Pomyślałem tylko, że byłoby miło dowiedzieć się, jak ci się wiedzie i co działo się w twoim życiu.

- Ach, tak. - Fenella z trudem zdobyła się na uśmiech. - Więc teraz wiesz. To wszystko? Dowiedziałeś się i mam już sobie iść?

- Nie, nie, skąd. - Freddie energicznie potrząsnął głową, co wywołało jeszcze silniejszy ból. - Staram się tylko uczciwie stawiać sprawę i od razu mówię, jak się rzeczy mają. Nie szukam żadnych romantycznych uniesień. Chcę, żebyś to wiedziała. Ale nie chcę, żebyś odchodziła. Przecież możemy mile spędzić razem ten dzień.

- Przystojny i przekonujący. Czy mogłabym ci się oprzeć? - Spojrzenie Fenelli złagodniało. Odsunęła talerz i pochyliła się w jego stronę. - Opowiedz mi teraz o swojej wspaniałej żonie.

Rozdział 32

Lottie powoli odkrywała, że nie było większej tortury niż praca dla kogoś, kogo się pragnęło, kiedy nie było możliwości, aby to pragnienie zaspokoić. Możliwość patrzenia bez możliwości dotykania zaczynała ją bardzo męczyć.

Kiedy przyszła o dziewiątej, Tyler był już w biurze. W granatowej koszulce polo i jasnych dżinsach wyglądał jak zwykle pociągająco. Znów poczuła motyle w brzuchu - ten facet przyprawiał jej system hormonalny o szaleństwo. I jak zwykle w jej głowie pojawiło się pytanie, któremu nie pozwalała się zwerbalizować: Jaki jesteś w łóżku, Tyler?

Kiedy podniósł wzrok znad klawiatury komputera i uśmiechnął się szeroko, motyle w jej brzuchu zamachały gwałtownie skrzydłami, a Lottie zaczęła się gorączkowo zastanawiać, czy przypadkiem nie wypowiedziała tych słów na głos.

- Cześć. Jak dzieci?

Zawsze o to pytał. Była to jedyna wzmianka odnosząca się do ich nigdy niezaistniałego związku, na jaką sobie pozwalał. Nigdy nie próbował jej pocałować ani namówić do zmiany zdania.

Lottie rzuciła okulary słoneczne i kluczyki na biurko i sięgnęła po leżące tam listy.

- Dobrze. W szkole wszystko w porządku.

- Super.

Kiwnęła głową. Pewnie, że super. Nie zniosłaby, gdyby się okazało, że poniosła taką ofiarę na darmo.

- Mamy zamówienie na Walnut Lodge. - Tyler stuknął w ekran komputera. - Na drugi tydzień grudnia. Na tydzień miodowy.

- Nie ma problemu. Och, to Zach i Jenny! - wykrzyknęła Lottie. Pochyliła się do przodu, by przeczytać list na ekranie. - Przyjechali tu w zeszłym roku z grupą przyjaciół. Są świetną parą, ale Jenny straciła już nadzieję, że kiedykolwiek uda jej się zaciągnąć Zacha do ołtarza, bo przeżył w młodości burzliwy rozwód swoich rodziców i poprzysiągł sobie, że nigdy się nie ożeni. - Lottie była naprawdę wzruszona. - A jednak to robi. Czy to nie wspaniale? Widać szczęśliwe zakończenia jeszcze się zdarzają.

- Chyba, że on nie wie, że się żeni, a ona przygotowuje wszystko w tajemnicy - powiedział Tyler z udawaną powagą. - Zawsze mi szkoda tych facetów. Idą na czyjś ślub, a tu, *voilà*, okazuje się, że ich napalona dziewczyna zorganizowała im koszmarną niespodziankę.

- Tylko mężczyzna może coś takiego wymyślić. - Lottie pacnęła go w ramię plikiem trzymany w dłoni listów. - Jesteś okropnie cyniczny.

- Wierz mi, jak ci się coś takiego przytrafi, nie masz ochoty się śmiać.

Otworzyła usta ze zdumienia.

- Zdarzyło ci się coś takiego?

- Jakaś ty łatwownia - mrugnął do niej Tyler.

- Przynajmniej jestem romantyczna. - Lottie przyłożyła mu raz jeszcze kopertami. - A nie zgorzkniała i pokręcona i...

- Teraz jesteś niesprawiedliwa. - Tyler zręcznie pochwycił ją za nadgarstek. - Potrafię być romantyczny, kiedy chcę. Wszystko zależy od dziewczyny - powiedział.

Oj, robi się niebezpiecznie. Adrenalina rozlała się w jej trzewiach, a Lottie zdała sobie sprawę, że posunęła się za daleko. Czas się pozbierać i zrobić krok w tył. Ale jak? W głębi serca chciała, by ta chwila trwała jak najdłużej. „Przestań flirtować i zostaw tego faceta”, rozkazał w jej głowie surowy głos, który w przerażający sposób przywodził na myśl pannę Batson. „Zostaw tego faceta!”.

Lottie zrobiła krok w tył i westchnęła głęboko.

- No dobrze. Freddie lubi szczęśliwe zakończenia. Powiem mu o Zachu i Jenny, ucieszy się. I nie waz się do nich pisać - rzuciła przez ramię. - Daj mi pięć minut - zrobię to, kiedy wrócę.

Tak jak każdego ranka Lottie weszła do domu przez kuchnię. Zazwyczaj o tej porze Freddie siedział z gazetą przy stole i rozkoszował się poranną kawą, ale dziś kuchnia była pusta. Przeszła więc przez obity boazerią hol i zobaczyła, że drzwi do pracowni były uchylone. Usłyszała cichy szelest otwieranej szuflady i uznała, że Freddie musi być wewnątrz. Potem zastanawiała się, dlaczego nie zawołała go wtedy, tak jak zwykle to czynić przy innych okazjach. Zamiast tego weszła cicho do jego biura i zobaczyła stojącą tyłem szczupłą ciemnowłosą kobietę, owiniętą w zbyt obszerny szlafrok. Kobieta lustrowała biurko Freddiego. Lottie zobaczyła, że nieznajoma przegląda papiery, które trzyma w dłoni, i wkłada je z powrotem do prawej szuflady biurka. Zamknęła ją, ostrożnie otworzyła lewą szufladę i zlustrowała jej zawartość. Wyciągnęła kilka listów i obejrzała je. Lottie nie miała zamiaru przeszkadzać jej w tych poczynaniach, ale podłoga pod jej stopami skrzypnęła i kobieta raptownie się odwróciła. A więc to była Fenella Britton.

- Mogłabym zapytać, co pani robi - powiedziała Lottie spokojnie - ale byłoby to niemądre pytanie.

Rety, panna Batson byłaby z niej dumna. Może powinna przejść przeszkolenie i, skoro i tak żyła jak stara panna, zostać wredną nauczycielką w tweedowej spódnicy i butach z podeszwą ortopedyczną.

- O mały włos nie przyprawiła mnie pani o atak serca! - Fenella przycisnęła obie dłonie do piersi i potrząsnęła głową. - Przepraszam, wiem, jak to musi wyglądać. Ale chodzi o Freddiego. Tak się o niego martwię.

Lottie martwiła się o Freddiego od tygodni. Przeszył ją strach. Czyżby w nocy jego stan się pogorszył?

- Dlaczego? Gdzie on jest? Co się stało?

- Nic się nie stało. - Fenella gniotła w dłoni połt oliwkowozielonego szlafroka z froty. - Ale coś jest z Freddiem nie tak, prawda? Widziałam dziesiątki opakowań ze środkami przeciwbólowymi w łazience. Niektóre są tylko na receptę. - Wskazała na list, który leżał na blacie biurka. - A to jest od neurologa. Pisze o wynikach ostatniej tomografii i że perspektywy nie są różowe... Boże, nie zniosę tego! Odnalazłam go po tych wszystkich latach i mam go tak szybko stracić? Mój Freddie umiera!

Łzy spływały jej po policzkach. Wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć. Wepchnęła listy z powrotem do szuflady, oparła się o biurko i objęła ramionami swoje drobne ciało.

- Może pani usiądzie - powiedziała Lottie. - Gdzie jest Freddie?

- U góry. K- kapie się. Przepraszam. Fenella Britton. - Wyciągnęła delikatną drżącą dłoń. - Pani musi być Lottie. Freddie wszystko mi o pani opowiedział.

Lottie nie odpowiedziała, że ona o Fenelli też wiele słyszała. To była kobieta, która wzgardziła Freddiem, bo nie był wystarczająco bogaty, by mógł się w jej oczach liczyć. A teraz zjawia się tutaj i, odkrywszy, że Freddie stał się łakomym kąskiem, węszy w jego prywatnych papierach. Co więcej, została tu na noc.

- Nie byłoby uczciwiej zapytać go, co się dzieje? - Pomimo potoku łez, Lottie nie potrafiła wzbudzić w sobie żadnych ciepłych uczuć w stosunku do Fenelli.

- Gdyby chciał mi powiedzieć, zrobiłby to. Ale nie wspominał ani słowem. Jak to Freddie - powiedziała Fenella, wycierając oczy. - Nie chce mnie denerwować. Zawsze był taki rozważny i opiekuńczy.

- Może pani z nim porozmawiać, gdy wróci. Wyjeżdża pani dzisiaj? - Lottie spojrzała na zegarek. - Mogę podrzucić panią na stację, jeśli...

- Czy wyjeżdżam? Jak mogę wyjechać teraz, kiedy znam prawdę? - Fenella gwałtownie potrząsnęła głową. - O nie, już

raz zawiodłam Freddiego. Nie zrobię tego drugi raz. Jest zupełnie sam. Potrzebuje mnie.

- Spotkała go pani raptem wczoraj - powiedziała Lottie. Niedowierzenie mieszało się w jej sercu z podejrzliwością. Czy Fenella miała zamiar wprowadzić się do Hestacombe House?

- Kochałam go przez czterdzieści lat - powiedziała otwarcie starsza kobieta. - Freddie nie ma rodziny. Nie może być w takiej chwili sam.

Lottie zastanawiała się, czy to zdanie o rodzinie miało drugie dno. Czy to dziwne, że tak pomyślała?

- Nie będzie sam - powiedziała głośno. Zobaczyła gniewny błysk w oczach Fenelli i już wiedziała, że miała rację.

- Nie chcesz mnie tu, prawda? Nie chcesz, żeby Freddiem opiekował się ktoś, na kim naprawdę mu zależy? A właściwie dlaczego? - Głos Fenelli był gładki jak aksamit, ale było w nim oczywiste wyzwanie.

- Nie wiem. W szufladzie były jakieś wyciągi z banku?

- Nie, nie było. - Fenella przechyliła głowę na bok. - Ale to panią martwi, tak? Freddie nie ma komu zostawić pieniędzy. I ma pani nadzieję, że wszystko dostanie się pani.

- Przestańcie. - Za nimi rozległ się głos Freddiego. - Co tu się dzieje?

- Przyłapałam ją na węszeniu w twoich papierach - powiedziała Lottie. - Czytała listy od lekarza i Bóg wie, co jeszcze.

- Bo martwię się o ciebie! - Fenella przebiegła obok Lottie, rzuciła się Freddiemu na szyję i wybuchła kolejnym potokiem łez. - Znam już prawdę. Kochane biedactwo! To nie do zniesienia. Dlaczego życie musi być tak okrutne?

Na twarzy Freddiego odmalowała się ulga. Lottie widziała, jak opada z niego napięcie. Ujął drobną twarz Fenelli w swoje dłonie.

- Już dobrze. Szsz, nie płacz. Tak mi przykro.

Nie pocieszaj jej, miała ochotę wykrzyknąć Lottie. Zastrzel ją!

Och, Freddie, mój Freddie! - Fenella płakała wtulona w jego koszulę w biało- brązową kratkę. Chwileczkę, zaraz przyniosę rewolwer!

- Teraz rozumiesz, dlaczego powiedziałem, że nie szukam życiowej partnerki - głos Freddiego łamał się ze wzruszenia. - Nie mogę już z nikim być. To byłoby nieuczciwe.

- Kochanie, nie widzisz, że już za późno? - wyszeptała Fenella. - Nie masz wpływu na to, co czujesz do innych ludzi.

Ja na pewno nie mam wpływu na to, co czuję do ciebie, pomyślała Lottie.

- To już się stało - ciągnęła Fenella. - Czy tego chcesz, czy nie. To może nie jest łatwe ani rozsądne, ale już jesteśmy razem. Ty i ja, cokolwiek się wydarzy i kiedykolwiek się wydarzy. - Z czułością pogładziła Freddiego po twarzy. - Będę się tobą opiekować. Do końca.

Jeszcze jest jezioro, pomyślała zdegustowana Lottie. Moglibyśmy ją związać i wrzucić do wody. Fenella ochłonęła ze wzruszenia.

- Mogę się wykapać, kochanie? - zapytała.

- Oczywiście. - Freddie pogładził ją po głowie. - Pluskaj się, jak długo chcesz.

Obdarzyła go promiennym uśmiechem.

- Dziękuję. A ty możesz porozmawiać z Lottie. Wyjaśnij jej, że nie jestem żadną Babą Jagą.

Lottie uśmiechnęła się do siebie. To jest pomysł! Czy Bab Jag i innych czarownic nie pali się na stosie?

Fenella zniknęła za drzwiami prowadzącymi na górę. W kuchni Lottie robiła kawę i słuchała opowieści o wczorajszym dniu. Najbardziej podobał jej się fragment o tym, jak Fenella z przerażeniem odkryła pomyłkę w swoim wyrachowanym postępowaniu i jak była przerażona, gdy okazało się, że Freddie jest teraz multimilionerem, ponieważ jedynymi facetami, z jakimi chciała się obecnie zadawać, byli obdarci biedacy bez grosza przy duszy.

Aha, i nie spali ze sobą ostatniej nocy. Rozmawiali i śmiali się tak długo, że Fenelli uciekł ostatni pociąg i nie było wyjścia, musiała zostać.

Lottie usłyszała już więcej, niż chciała.

- Wiem, że to nie moja sprawa, Freddie, ale nie ufam jej. Grzebała w twoich osobistych rzeczach.

- Ale wytłumaczyła, dlaczego. - Freddie najwyraźniej czuł się zobowiązany, by stanąć w jej obronie. - Powiedziałem jej, żeby czuła się jak u siebie w domu.

To nie będzie łatwe.

- Oskarżyła mnie, że czuję się przez nią zagrożona, bo chcę, żebyś cały swój majątek zostawił w testamencie mi. Co nie jest prawdą - dodała pośpiesznie.

- Ty tak twierdzisz - wzruszył ramionami Freddie.

- Freddie! Jak możesz!

- Wiem, że nie czyhasz na moje pieniądze - Freddie uśmiechnął się. - Ale Fenella tego nie wie, prawda? Nie zna cię. Tak jak ty nie znasz jej.

Lottie miała ochotę wykrzyknąć, że wie, że ma rację, ale powstrzymała się. Popatrzyła badawczo na Freddiego.

- Niech ci będzie. Zaslugujesz na to, żeby być szczęśliwy. Tylko nie podejmuj żadnych nieprzemyślanych decyzji, dobrze?

- Jak na przykład pośpieszna wizyta w Urzędzie Stanu Cywilnego? - Jedna brew Freddiego powędrowała w górę. - Albo u notariusza, żeby zmienić testament i zapisać wszystko Fenelli?

Dokładnie, pomyślała Lottie.

- Coś w tym stylu - powiedziała.

- Kochanie, to bardzo wzruszające, że się o mnie troszczysz - usiłował ją pocieszyć Freddie. - Doceniam to. Aleja nie jestem jakimś zadurzonym podlotkiem. Ani niepoczytalnym staruszką. Myślę, że w sprawach miłosnych zauroczeń mogą sobie zaufać.

Lottie wiedziała swoje, ale nic nie powiedziała. Oczywiście, że nie mógł sobie ufać - przecież był mężczyzną.

- To było długie pięć minut - zauważył Tyler, kiedy Lottie zjawiała się w biurze.

- Przepraszam. Popracuję w przerwie obiadowej. - Usiadła i zaczęła spisywać listę obowiązków na dziś.

- Zawsze pracujesz w przerwie obiadowej.

- Więc będziesz musiał mnie wyrzucić z pracy. Och, cholerne pisadło! - Odkrywszy, że długopis nie pisze, rzuciła nim przed siebie z taką energią, że jej krzesło na kółkach odjechało do tyłu. Długopis odbił się od ściany naprzeciwko, a Lottie uderzyła tyłem głowy o półkę za biurkiem.

- Niech to szlag!

- OK, mam propozycję. Nie wyrzucę cię, jeśli obiecasz, że nie pozwiesz mnie do sądu w związku z obrażeniami odniesionymi w miejscu pracy. To przecież tylko i wyłącznie moja wina, że długopis się wypisał. - Tyler robił wszystko, żeby się nie roześmiać. - Lottie, co się dzieje?

- Poza pękniętą czaszką? - Pomasaowała tył głowy. - Właśnie spotkałam przyjaciółkę Freddiego.

- Tę dawną miłość z Oksfordu? - zainteresował się Tyler. - Mówił mi o niej. Jaka jest?

- Zachowuje się jak poszukiwacz ogarnięty gorączką złota. Biedny Freddie to kopalnia.

- Widocznie taka już jest. - Tyler wzruszył beztrąsko ramionami. - To mu przeszkadza?

- Co? - Lottie popatrzyła na Tylera z niedowierzaniem.

- Widzę, że ciebie to bardzo wkurza.

- Bo to stara oszustka! Udaje wielką miłość do Freddiego, żeby położyć łapy na jego pieniądzech!

- Ty tak twierdzisz.

- Ale to prawda.

- Może ona naprawdę go lubi - powiedział spokojnie Tyler - a fakt, że jest bogaty, to sprawa drugorzędna.

Lottie nie mogła uwierzyć, że Tyler jej bronił. To było oburzające. Gdyby miała pod ręką jeszcze jeden długopis, rzuciłaby nim w Tylera.

- Hej, daj im spokój, pozwól się Freddiemu zabawić. - Rozłożył ręce. - Jeśli ona tylko czyha na pieniądze, Freddie przejrzy ją prędzej czy później. Ale popatrz na to z innej strony - ciągnął. - Możesz się mylić. Być może są dla siebie stworzeni. I będą oszałamiająco szczęśliwi przez następnych trzydzieści lat.

- Nie, nie będą - wypaliła Lottie. - Tego akurat jestem pewna, że...

- Ze co? - Tyler pytająco uniósł brwi, gdy Lottie przerwała w pół słowa.

Prawie wyjawiała tajemnicę Freddiego, więc potrzęsnęła tylko głową, zawstydzona.

- Ze nic. Nie będą i już.

Rozdział 33

Temperatura znów podniosła się do dwudziestu kilku stopni. Lottie spędzała czas na plaży, uzupełniając braki w opaleniznie, gdy ktoś nagle przesłonił jej słońce. Odruchowo wciągnęła brzuch. Tyler?

Otworzyła oczy i zobaczyła, że to nie Tyler. Stał nad nią smutny i zmęczony Mario. Od razu domyśliła się, o co chodzi. Uniosła się na łokciach i przesłoniła rękę oczy przed słońcem.

- Co się stało?

Mario obejrzał się na Nata i Ruby, którzy pluskali się na płyciźnie z goldenem retrieverem, należącym do rodziny wynajmującej Beekeeper's Cottage. Upewnił się, że nie będą w stanie niczego usłyszeć.

- Amber puściła mnie kantem.

- Och, nie! - Lottie zadbała, by wyglądać na wystarczająco wstrząśniętą. - Nie wierzę! Dlaczego?

- Okazuje się, że spotykała się z kimś innym. - Mario przyglądał się, jak Nat wrzuca patyk do jeziora, a Ruby i pies jednocześnie rzucają się do wody, by go aportować.

- Naprawdę?

Mario kiwnął głową i pomachał do Ruby, która, przegrawszy batalię o patyk, pomachała do niego.

- Naprawdę. Dlaczego kobiety są takimi kłamczuchami?

- Jak to długo trwa? - Kropla potu spłynęła jej przez dekolt, kiedy poprawiała wiązania w bikini.

- Ciebie to też dotyczy - ciągnął Mario. - Bo teraz kłamiesz i udajesz zdziwioną. Amber powiedziała mi, że rozmawialiście o tym w zeszłym tygodniu.

Niech żyje Amber!

- Cóż. - Lottie nie miała zamiaru czuć się winna. - Siostrzana solidarność. Chciałam być dyskretna. Mógłbyś zejść ze słońca?

Mario westchnął i usiadł na ręczniku obok niej.

- Nie zastługuję na odrobinę współczucia?

- A uważasz, że ile ci się należy? Pamiętaj, że jestem twoją byłą żoną. Sypiałeś z innymi dziewczynami i dlatego się rozwiedliśmy. A teraz Amber stwierdziła, że nie może z tobą być, bo nie może ci ufać, i znalazła sobie kogoś, komu wierzy. - Lottie sięgnęła po buteleczkę z płynem do opalania i wycisnęła sobie sporą porcję na brzuch. Gdybym była mściwa, powiedziałabym, że sprawiedliwości stało się zadość.

Oczy Maria błyszczały gniewnie.

- Wielkie dzięki. Tym bardziej, że nie zdradziłem Amber. Ani razu.

- Oczywiście, że nie. Nawet wtedy, gdy pojechała do Francji - przypomniała mu z naciskiem Lottie. - I to tylko dzięki mnie.

- To inna sprawa. Amber stwierdziła, że nie chce się już ze mną spotykać, gdy odkryła, że spędziłaś całe dwa tygodnie w roli chodzącego pasa cnoty. - Mario żywo gestykulował, dając upust emocjom. - Gdyby nie ty, byłibyśmy wciąż razem.

- O nie! Nie próbuj zrzucić winy na mnie! Kiedy ja wyzniałam cuda jako, jak to ująłeś, „chodzący pas cnoty”, Amber pojechała sobie do Francji z innym facetem! Brrrr! - Odsunęła się gwałtownie, gdy golden retriever, który właśnie wyskoczył z

jeziora i podbiegł do nich, otrząsnął się energicznie i spryskał ją lodowatymi kropelkami wody. W ślad za hałaśliwym zwierzakiem przybiegł spocony Nat.

- Dlaczego krzyczysz na tatusia?

- Bo tatuś nakrzyczał na mnie.

- Aha. A co to jest pas cnoty?

- Coś, co się kupuje u Marksa i Spencera i zakłada, żeby brzuch nie wystawał. Dobrze, chyba musimy iść do domu. - Lottie spojrzała na zegarek. Ten gest przyniósł pożądany skutek.

- Niece. - zaprotestował Nat i pognął do jeziora z psem u boku.

- Wiesz, że nie chciałam, żebyście ty i Amber się rozstali - powiedziała Lottie spokojniejszym głosem. Wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Maria. Kiwnął głową i bez słowa zapatrzył się na dzieci puszczające kaczki na tafli jeziora.

- Wiem - powiedział po chwili. - Nie mogę uwierzyć, że to się stało. Myślałem, że byliśmy razem szczęśliwi.

Lottie ogarnęła czułość. Widocznie rozstanie z Amber dotknęło go dużo bardziej, niż to okazywał. Jego życie było zawsze na swój sposób bez troskie - był taki czarujący i radosny, wszyscy go lubili.

- Boże, jak ja mam o tym powiedzieć dzieciom? - Rozciągnął usta w bolesnym grymasie. - Nie będą zachwycone.

To mało powiedziane! Lottie wiedziała, że będą zrozpaczone. Kochały Amber z taką samą siłą, z jaką nienawidziły Tylera. Jedyna różnica polegała na tym, że w tej sprawie nie mogły absolutnie nic zrobić.

- Tak mi przykro - powiedziała cicho Lottie.

- Mnie też. - Mario zawahał się i przełknął ślinę. - Kocham ją. Nie miałem pojęcia, że to może tak boleć. I nie mogę przestać wyobrażać jej sobie z kimś innym.

Więc teraz wiesz, jak się czułam, gdy mi to zrobiłeś, pomyślała Lottie, ale nie powiedziała tego głośno. Wręcz przeciwnie, objęła go ramionami i mocno przytuliła. Mario, co prawda, nie był już jej mężem, ale nie przestał być jej drogi, a

teraz potrzebował pocieszenia. Przykro było patrzeć na niego w takim stanie.

Nat zauważył ich czułości.

- Ooo, sexy!!! - zawołał.

Ale wzrok uciekł mu na bok i ironiczny uśmieszek zniknął z jego twarzy. Lottie obróciła się, by sprawdzić, na co patrzył, i zobaczyła Tylera idącego wąską ścieżką w stronę domków. O rany, co on sobie pomyśli?

Ale z drugiej strony, jakie to miało znaczenie? Byli wolni i mogli robić to, co chcieli. Mogłaby uprawiać seks z Marłem, jeśli tylko miałyby na to ochotę. No, może nie tu na plaży na oczach dzieci.

Tyler zniknął, a pies oddalił się wielkimi susami. Podbiegła do nich Ruby, by pokazać monetę, którą trzymała w dłoni.

- Patrzcie, znalazłam pięćdziesiąt pensów w wodzie!

- Pewnie rybki zgubiły - powiedział odruchowo Mario.

- Znalazła pięćdziesiąt penisów! - zawył z uciechy Nat, który właśnie odkrywał tajemnice ludzkiej fizjologii i uwielbiał pikantne dowcipy.

- Tatusiu, powiedz mu, że to gotówka. Nat rzucił się na piasek obok Maria.

- Dlaczego mama cię przytulała? Czy dlatego, że jesteś taki seksowny?

Mario zawahał się. Lottie doszła do wniosku, że nie można owijać tego, co się stało, w bawełnę.

- Tatuś jest smutny, to wszystko. On i Amber już się nie spotykają.

Nat i Ruby popatrzyli na nią, a potem na Maria.

- Dlaczego?

- Tak się czasem zdarza - wzruszył ramionami Mario, ale szczeka mu drżała.

Ruby wsunęła rączkę w jego dłoń.

- Już jej nie lubisz?

- Lubię, i to bardzo.

- Ale ona ciebie nie lubi? - Dolna warga Nata zaczęła niebezpiecznie dygotać.

- Albo nas - wyszeptwała Ruby.

- Przestańcie, wiecie, że to nieprawda - krzyknęła Lottie. - Amber bardzo was oboje kocha!

- Ale już jej nie zobaczymy. To niesprawiedliwe. - Ruby popatrzyła na Marię. - Co jej zrobiłeś, że przestała cię lubić?

- Nic - powiedział Mario.

- Musiałeś coś zrobić!

- Nie zrobiłem, jasne? Po prostu spotkała kogoś innego. Nat był wstrząśnięty.

- Kogoś, kogo lubi bardziej od ciebie? Gdzie go znalazła?

- To nie ma znaczenia.

- Jest lepszy od ciebie? - Poruszony do głębi Nat nie dawał spokoju.

- Oczywiście, że nie. - Mario uśmiechnął się i posadził go sobie na kolanach. - Czy ktoś może być lepszy ode mnie? Amber ma kiepski gust, jeśli chodzi o mężczyzn.

- Tak jak mama - wtrąciła Ruby - z tym swoim okropnym Tylerem.

Lottie miała nadzieję, że okropny Tyler nie czaił się w krzakach za ich plecami i nie słyszał tej rozmowy. Chociaż właściwie nie dowiedziałyby się niczego nowego.

- Amber może zmienić zdanie - powiedział Nat z nadzieją w głosie. - Myślisz, że zmieni zdanie i wróci?

- Serio? Nie. - Mario potrząsnął głową. - Amber nie jest taka. Jeśli podejmuje decyzję, to się jej trzyma.

- Jak ma na imię jej nowy chłopak? - zapytała Ruby.

- Quentin - odpowiedziała Lottie.

- Quentin? Co za głupie imię! - Oczy Nata błyszczały. - Prawie takie głupie jak Tyler. - Nagle ożywił się. - Wiem, możemy zrobić następną lalkę DVD i to będzie Quentin. Wetkniemy w nią dużo szpilek, dobrze?

- Voodoo, głupku. Jakiś ty tępy!

- Jestem strasznie głodna - powiedziała Lottie, zastanawiając się, co ma w lodówce i co może wyczarować z kilku plasterków bekonu, słoiczka sosu miętowego i dwóch worków pasternaku. Też coś, pasternak. Wszystko przez tę promocję: „Kupisz jeden, dostaniesz drugi w prezencie”.

Mario rozpoznał oznaki paniki w jej oczach i przyszedł w sukurs.

- Chodźcie - powiedział. Postawił Nata na nogi, wstał i podał rękę Lottie. - Zabierzmy ich do Pizza Hut.

Gdzieś na dole zaskrzypiały drzwi i Mario się obudził. Nie musiał otwierać oczu, by przypomnieć sobie, gdzie jest. Nie czuł oszołomienia po wypitych poprzedniego dnia drinkach - wspomnienie wieczoru było w jego głowie bardzo jasne.

Otworzył jednak oczy i popatrzył na zawieszony w sypialni różowe zasłonki, błękitne ściany i niebiesko- różowy dywanik na podłodze. Jego ubrania przewieszony były przez poręcz rattanowego krzesła, a koszula i skórzany pasek leżały rzucone na podłodze pod oknem.

Nie był w stanie dosięgnąć do zegarka, ale światło wlewające się do pokoju spomiędzy zasłon świadczyło, że było około siódmej. Musiał pojechać do domu, wziąć prysznic i pojechać do pracy na ósmą trzydzieści.

Dlaczego na dole skrzypnęły drzwi?

Odpowiedź pojawiła się po chwili, gdy drzwi sypialni otworzyły się na oścież i do pokoju wmaszerował czarnobiały kot. Zatrzymał się, gdy zobaczył Maria i mrugnął enigmatycznie. Potem wskoczył na łóżko i zaczął zgniatać jasnoniebieską kołdrę swoimi białymi łapkami.

Mario był uczulony na kocią sierść i kichał, gdy w pobliżu był kot.

Kichnął teraz.

Kot popatrzył na niego z pogardą, jakby mówił: „Jesteś uczulony? Na mnie? Też coś!”.

Obok niego pod kołdrą ktoś poruszył się i przeciągnął. Dziewczyna podniosła głowę, więc Mario mógł uwolnić lewe

ramię i sprawdzić, która godzina. Najgorsze było to, że musiał teraz porozmawiać z kobietą, z którą spędził noc. Było pięć po siódmej.

- Cześć - mruknęła sennie Gemma i wychynęła spod kołdry. Włosy ułożyły jej się w rodzaj ptasiego gniazda, a na ustach miała słodki i bezmyślny uśmiech, na widok którego Mariowi zrobiło się słabo. Dlaczego poszedł z nią do łóżka? Dlaczego?

Ale przecież znał odpowiedź. Zrobił to, by ukarać Amber, by sprawić jej przykrość i pokazać, że mimo iż ona go nie chce, jest całe mnóstwo dziewczyn, które go chcą.

- Cześć - odpowiedział Mario, czując współczucie dla Gemmy i jeszcze większe współczucie dla samego siebie. Spojrzał jeszcze raz na zegarek - ciągle było pięć po siódmej.

- O Boże, spóźnię się do pracy - powiedział.

- Nie musisz jeszcze iść. - Gemma nie wiedziała, że pod oczyma rozmazane miała resztki wczorajszego makijażu i pewnie zakładała, że Mario uzna jej nadąsaną minkę za uroczne grymaszenie. - Hej, dziecinko, jaki z ciebie śliczny chłopczyk!

Te słowa były, dzięki Bogu, skierowane do kota, który usiadł kilka cali od twarzy Maria i przyglądał mu się uważnie.

- To jest Binky - powiedziała Gemma. - Prawda, że jest wspaniały? Binky, przywitaj się z Mariem.

Na szczęście kot nie posłuchał. To byłoby zapewne trudne do zniesienia.

- Mam alergię na koty - powiedział Mario. Na ciebie też, pomyślał.

- Och, to niemożliwe! - zaprotestowała Gemma. - To mój pieszczonek. I mój najlepszy przyjaciel. Prawda, malutki?

- No dobrze. Ale ja naprawdę muszę iść. Słuchaj, noc była świetna...

- Oj, tak, świetna! - wykrzyknęła radośnie Gemma. - Nazwałabym ją najlepszą nocą w moim życiu. Wiesz, nie masz pojęcia... Podobałeś mi się od lat.

Mario był przerażony. To jakiś koszmarny sen! Wczoraj wieczorem po kolacji w Pizza Hut z Lottie i dziećmiakami, zawiózł ich do Piper's Cottage i pojechał do domu. Wjechał już na podjazd i raptem zdał sobie sprawę, że nie zniesie panującej wewnątrz pustki. Musiał gdzieś pójść i spotkać się z ludźmi, by nie dać się pokonać ogarniającemu go lodowatemu poczuciu odrzucenia.

Pojechał pod Trzy Piórka w Cheltenham, pubu mieszczącego się tuż za salonem samochodowym, w którym pracował. Był pewien, że spotka tam Jerry'ego i innych chłopaków z pracy. Napiją się, pośmieją w męskim gronie i pograją w bilard. Mario zaglądał tam wiele razy, ale nie był stałym bywalcem tak, jak Jerry. Przyjechał samochodem, więc zamówił tylko colę - o ile pamiętał, barmanka miała na imię Gemma.

Dwie godziny później Jerry szturchnął go łokciem i powiedział:

- Wiesz, mógłbyś zadziałać. Przez cały wieczór nie odrywa od ciebie wzroku.

To wtedy Mario zdał sobie sprawę, że gdyby tylko chciał, mógłby to zrobić. Czemu nie? W końcu nic go nie ograniczało. Dla zabawy i w ramach eksperymentu zaczął rozmawiać z Gemmą. Po chwili dołączył do nich Jerry, wyraźnie zazdrosny.

- Uważaj, złotko, on już ma dziewczynę - wyszeptał teatralnym głosem w ucho Gemmy.

- Nie, nie mam - powiedział Mario.

Jerry zachichotał i w ramach męskiej solidarności obdarzył go jeszcze jednym kuksańcem.

- To jak, masz? - zapytała zmartwiona Gemma. Mario potrząsnął głową.

- Nie.

O jedenastej zamykano pub. Mario zastanawiał się, co mogła teraz robić Amber i wysunął oczywisty wniosek. Obraz jej i Quentina w łóżku stanął wyraziście przed jego oczyma, mimo że nie miał pojęcia, jak Quentin wyglądał. W wyobraźni Maria był on chudy jak obdarty ze skóry królik, i tak blade, że niemal

błękitny. Na owłosionych kościstych nogach nosił rozczłapane skórzane sandały.

- Odwieźć cię do domu? - zapytał, żeby ukarać Amber. Gemma zarumieniła się ze szczęścia.

- Mieszkam tylko parę przecznic stąd.

- No to co? - Wzruszył ramionami, żeby pokazać, że to nie miało znaczenia. - Mógłbym cię podrzucić.

- Mógłbyś - powiedziała prawie na bezdechu, a jej wymalowane oczy zabłyśły.

Reszta wieczoru potoczyła się zwykłym torem. Jerry i reszta chłopaków wypili po jeszcze jednym drinku i wyszli, mrugając i żartobliwie upominając Maria, by nie zapomniał nazajutrz zjawić się w pracy. Pub opustoszał, Gemma posprzątała i wyszli razem za dwadzieścia dwunasta. Idąc w ślady Billa Clintona, Mario przespał się z tą dziewczyną, bo miał taką możliwość. W niczym to nie pomogło i wcale nie poczuł się lepiej, ale zanim to odkrył, było już za późno - dokonało się. Nie czuł się z siebie dumny. A na dodatek, teraz czekała go z pewnością okropna scena.

Gemma uniosła się na łokciu.

- Dzisiaj mam wolne - powiedziała. - Chcesz tu przyjść po pracy?

Mario żałował, że nie męczy go ból głowy albo cokolwiek innego, na czym mógłby skupić uwagę. I marzył, by ten przekłety kot przestał wlepić w niego ślepie.

- Chyba nie mogę.

- Aha. To może jutro? Mogę udać, że mam grypę i...

- Gemma, nie mogę. To nie byłoby wobec ciebie uczciwe. Jesteś świetną dziewczyną, ale ja zerwałem z kimś wczoraj i...

- No to co? Masz teraz mnie.

Mario nie mógł znieść nadziei, jaka malowała się w jej oczach. Nienawidził siebie w tej chwili. Potrząsnął głową.

- Przykro mi, ale nie chcę się z nikim wiązać. Myślałem, że to rozumiesz.

Na twarzy Gemmy pojawiły się czerwone plamy.

- To znaczy, że nie chcesz się ze mną spotykać? Nigdy?

- Nie mówię, że nigdy. - Mario próbował oszczędzić jej bólu. - Chodzi o to, że teraz nie jestem w najlepszej formie. Kto wie, może za rok albo za dwa...

- Nie wierzę! - krzyknęła Gemma, a kot wreszcie odwrócił głowę. - Wykorzystałeś mnie i znikasz?

- Ty też mnie wykorzystałaś - zauważył Mario.

- Ty gnojku! Poszłam z tobą do łóżka, bo chciałam mieć pewność, że będziemy się spotykać!

- Kochanie, tak mi przykro. - Wszystko szło nie tak. I było dwadzieścia po siódmej.

- Aaaach! - Gemma zauważyła, że spojrzął na zegarek. Zrzuciła z siebie kołdrę i wyskoczyła z łóżka. Kot, który ni stąd ni zowąd znalazł się pod kołdrą w nieprzeniknionych ciemnościach, zamiauczał przeraźliwie i zaczął się rozpaczliwie szamotać, by wydostać się na świat. Sekundę później wyłonił się spod kołdry, spojrzął na Maria i z szybkością błyskawicy przejechał łapą po jego twarzy.

„A masz, łajdaku”, zasyczał. „Ty draniu, jak śmiesz kalać reputację mojej pani?! A poza tym, zjeżdżaj z mojego łóżka”.

- Chryste Panie! - Mario wydał z siebie stłumiony okrzyk. Drapnięcie nieobciętymi kocimi pazurami bolało. Jakby tego było mało, znowu kichnął. Kot zeskoczył z łóżka i wybiegł z pokoju jak uciekający morderca.

- Bardzo dobrze! - krzyknęła naga Gemma, próbując wbić się w biały szlafrok. - Mam nadzieję, że będzie boleć jak cholera.

Rozdział 34

Była druga po południu. Gemma z pewnością byłaby zadowolona, gdyby wiedziała, że chociaż jedno z jej życzeń spełniło się. Trzy równoległe szramy biegnące w poprzek prawego policzka Maria nie były głębokie, ale nadszperzenie bolesne. I oczywiście wywołały niewysłowioną wesołość wszystkich współpracowników, którzy od rana nie nazywali go

inaczej jak Kapitan Sparrow. Mario odetchnął, gdy w porze lunchu wyszli do kawiarni na ulicy obok.

Gdy po raz kolejny podniósł wzrok sponad papierów rozrzuconych na biurku, zobaczył Amber maszerującą przez salon. Jego szare komórki natychmiast zaczęły pracować ze zdwojoną prędkością. A więc przyszła! Zrozumiała swój błąd i zmieniła zdanie, a pudło, które dźwigała, kryło błyszczący, napełniony helem balon z napisem: PRZEPRASZAM. KOCHAM CIĘ. Wszystko po to, by go przekonać, żeby znów ją zechciał.

- Cześć. - Stała w drzwiach jego biura. - Co ci się stało w twarz?

- Siłowałem się z tygrysem- ludojadem. - Mario nie wiedział, czy wytrzyma tak zmasowany napływ adrenaliny.

Amber uśmiechnęła się.

- Ale co się naprawdę stało? Wygląda paskudnie.

- Kot mnie podrapał.

- Nie znasz nikogo, kto ma kota.

Ups, pomyślał Mario. Z całego serca chciałby nie znać nikogo, kto ma kota. Wzruszył ramionami.

- To był jakiś bezdomny, wychudzony zwierzak. Znalazłem go z tyłu za salonem dziś rano. Chciałem go zabrać do schroniska, ale ten pomysł mu się nie spodobał.

Cóż innego mógł powiedzieć?

- Lepiej weź zastrzyk przeciwężcowy. - Amber wskazała ręką pudło. - Przywiozłam twoje rzeczy.

A więc to nie był balon z helem. Mógł się tego spodziewać.

- Co tam jest?

- Płyty, filmy, trochę ciuchów. Twój fioletowy sweter z owczej wełny - wiedziałam, że będziesz go chciał z powrotem.

- Ja ciebie chcę z powrotem. - Słowa same wypłynęły mu z ust. Może to niezbyt po męsku, to jak żebranie o litość, ale nie mógł się powstrzymać.

- Mario! - Amber przygryzła wargę. - Proszę, nie. To dla mnie też bardzo trudne, wiesz o tym.

- Więc zmień zdanie!
- Nie mogę.
- Możesz. Kocham cię.

Amber zawahała się przez chwilę. Zaczęła bawić się bransoletkami na nadgarstku. Ale potem potrząsnęła głową.

- Może mnie kochasz. Ale nie możemy być razem. Boże, właśnie dlatego nie zawiozłam tych rzeczy do twojego domu. Pomyślałam, że tu będzie łatwiej.

Mario wyjął z pudła pierwszą z brzegu płytę. *Guns N'Roses* - szukali jej od miesiący.

- Gdzie ją znalazłaś?
- Za sofą. Co robiłeś wczoraj?

Stukałem barmankę spod Trzech Piórek, skoro pytasz. A co ty robiłaś? Ale może nie powinien tego mówić.

- Zabrałem dzieciaki do Pizza Hut. - Tak, to brzmiało dużo lepiej.

- Więc powiedziałaś im? Jak to przyjęły?
- A jak myślisz?

Oczy Amber zaszyły mgłą.

- Przepraszam.
- Kochają cię. Są takie zrozpaczone. Nat powiedział...
- Aaaa. Tutaj jest!

Drzwi salonu otworzyły się, oznajmiając przybycie Jerry'ego i reszty. Wchodząc, widzieli jego, ale nie mogli zobaczyć Amber. Jerry uśmiechał się od ucha do ucha.

- Tu jest nasz niegrzeczny chłopiec! Nie poszliśmy na lunch do kawiarni - wdepnęliśmy pod Trzy Piórka! Miiiaau!

Krew odpłynęła Mariowi z twarzy. Gdyby teraz zatrzasnął drzwi biura, musiałby się tłumaczyć Amber. I tak już patrzyła na niego podejrzliwie.

- Pogadaliśmy sobie z Gemmą - ciągnął Jerry, wyraźnie zachwycony tym, czego się dowiedział. - Kochany, jaka ona jest wściekła! Nazwała cię zawszonym kłamczuchem, oszustem i gnojkiem. A w łóżku, jak mówi, jesteś beznadziejny. Ha, ha! Szkoda, że nie miała kamery i nie nagrała, jak kot rzucił się na

ciebie w łóżku! Ale byłaby zabawa, gdybyśmy wystali taki filmik z tobą do „Śmiechu Warte”!

Mario nie miał odwagi popatrzeć na Amber. Miał wrażenie, że z pokoju wyszano cały tlen.

- Do widzenia, Mario - powiedziała miękko Amber. A potem, spod drzwi, dodała z wyraźną odrazą w głosie: - Schodzisz na psy, mój drogi. Nigdy nie byłeś beznadziejny w łóżku.

Projektant stron internetowych nazywał się Phil Micklewhite.

- Dzień dobry - powiedziała Lottie, gdy odebrał. - Nie wiem, czy mnie pan pamięta, ale rozmawialiśmy...

- Nigdy nie zapominam głosu - powiedział przyjaźnie Phil Micklewhite. - Dzwoniła pani w zeszłym tygodniu i szukała Fenelli Britton.

- Tak, to ja. Chodzi mi o to, że zrobił pan na mnie wrażenie miłego i uczciwego człowieka, któremu można całkowicie zaufać i...

- I nie może pani przestać o mnie myśleć! - dokończył Phil.
- Nawiedzam pani sny. Chce mnie pani spotkać w realu, żebyśmy mogli dać upust naszym niepohamowanym żądzom. Wiem, wiem, to mi się też często zdarza, ale zanim zjawi się pani u moich drzwi, czuję się zobowiązany ostrzec, że mam pięćdziesiąt lat, jestem gruby i taki brzydki, że nawet moja rybka się mnie boi.

Lottie odetchnęła i poczuła do niego jeszcze większą sympatię.

- W zasadzie chciałam zapytać o coś, co dotyczy Fenelli. Mogę?

- Bardzo proszę. Ale obawiam się, że niewiele będę mógł pomóc. W zasadzie nic o niej nie wiem. A mogę wiedzieć, dlaczego?

- A będzie pan trzymał język za zębami?

- Dyskrecja to moje drugie imię.

Lottie w skrócie opowiedziała mu, o co chodzi.

- A więc - dodała - zastanawiałam się, czy nie wie pan czegoś, co pomogłoby ustalić, czy mam rację, czy nie. Na przykład gdyby pan powiedział, że pracowała jako ekskluzywna prostytutka, że mężczyźni odwiedzali ją o różnych porach dnia i nocy. To mogłoby mi bardzo pomóc - powiedziała z nadzieją w głosie.

- Właśnie widzę. - Phil był lekko rozbawiony. - Ale obawiam się, że nigdy nie widziałem żadnych odwiedzających jej mężczyzn. Tu, w Hutton Court, żyjemy bardzo spokojnie. Jest tu osiem mieszkań i większość mieszkańców to emeryci. Bardzo mili. Mówimy sobie „dzień dobry” i tyle. Ramsayowie spod trójki karmią moją rybkę, kiedy wyjeżdżam, ale na tym nasze kontakty towarzyskie się kończą. Nie chadzam na popołudniowe herbatki. Pukają do moich drzwi tylko wtedy, gdy chcą skorzystać z internetu.

Tonący brzytwy się chwyta.

- A po co chcą skorzystać z internetu?

- Tylko ja w całym budynku mam komputer. Ramsayowie czasem wysyłają e- maile do swojego syna w Oregonie. Barkerowie nałogowo rozwiązują krzyżówki. Erie spod jedyнки kolekcjonuje stare aparaty fotograficzne. Wpadają do mnie od czasu do czasu, a ja nie mam nic przeciwko temu - opowiadał. - Zarabiam u nich punkty, a to oznacza, że nie mogą zbyt głośno narzekać na stan kwietników na moich oknach.

- Fenella używa internetu?

- Bardzo rzadko. Chociaż była u mnie w zeszłym tygodniu.

- Żeby wysłać e- mail?

- Nie. - Phil roześmiał się. - Nie wiedziałyby, jak to zrobić. Zapytała, jak może coś znaleźć w internecie. Połączyłem ją z Google, pokazałem, co ma robić, i zostawiłem.

- Kiedy w zeszłym tygodniu? - spytała Lottie.

Phil zastanowił się przez chwilę.

- Chyba dzień po pani telefonie. W Lottie wstąpiła nowa nadzieja.

- Czy może pan dowiedzieć się, czego szukała?

- Proszę dać mi kilka sekund.

Phil zagłębił się w gąszczu komputerowych plików - słyszała stukot klawiszy. Po chwili odezwał się ponownie.

- Nie wiem, co wpisała w wyszukiwarkę, ale połączyła się ze stroną o nazwie „Domy do Wynajęcia w Hestacombe”.

Bingo!

- Było to dzień po pani telefonie - potwierdził Phil.

A więc dzień po tym, gdy wysłała priorytetem list do Fenelli, w którym informowała ją, że Freddie Masterson chciałby się z nią spotkać! Szybko wpisała nazwisko Freddiego w wyszukiwarkę Google i na ekranie pojawiła się długa lista stron dotyczących „Domów do Wynajęcia w Hestacombe”. Sama pisała wszystkie te teksty, chwalać zalety Freddiego i szczegółowo opisując, w jaki sposób budował przez lata swoją firmę. Na ekranie pojawiły się również liczne fotografie domów i kilka zdjęć samego Hestacombe House, który wyglądał majestatycznie na tle ustrojonego jesienią parku i w niczym nie przypominał bloku mieszkalnego.

- Czy to pani w czymś pomoże?

- To jest to, czego szukałam - kiwnęła głową zachwycona Lottie. Gdyby Phil był w pobliżu, ucałowałaby go. - Doskonale.

Fenella znieruchomiła i popatrzyła na Freddiego.

- To żart?

Rozmawiali na zewnątrz, na tarasie.

- Nie - potrząsnął głową Freddie. - Gdyby to był żart, nie byłby śmieszny, prawda?

- Chcesz, żebym wyjechała - powtórzyła Fenella - bo oglądałam twoje strony w internecie.

- Bo mnie oszukałaś - powiedział Freddie. Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

- To znów przez tę cholerną dziewczynę, tak? Wtrąca się i wtyka nos tam, gdzie nie powinna. A ty pozwolisz jej wygrać! Kocham cię, Freddie. A ty kochasz mnie. Możemy być razem tacy szczęśliwi!

Fenella wtargnęła w jego życie trzy dni temu. Dwa dni temu pojechali do Oksfordu i wrócili z trzema walizkami jej ubrań. Wczoraj Lottie wzięła Freddiego na bok i opowiedziała mu szczegóły swojej rozmowy z Philem Micklewhite. A teraz on robił to, co należało zrobić.

- Nigdy wcześniej mnie nie okłamałaś - powiedział Freddie. - Myślałem, że mogę ci ufać.

- Możesz - jęknęła Fenella.

- Ale dlaczego chcesz zostać z kimś, kto umiera?

- Bo nie mogę znieść myśli, że mogłabym z tobą nie być.

- W takim razie dobrze - uśmiechnął się Freddie. - Możesz zostać.

Ciemne oczy Fenelli rozszerzyły się z zachwytem. Zerwała się od stolika i zarzuciła Freddiemu ramiona na szyję. Zapach jej perfum wypełnił jego nozdrza.

- Kochanie, naprawdę? Nie będziesz tego żałował.

- Mam nadzieję, że ty też nie.

- Och, Freddie...

- Posłuchaj. Muszę ci coś powiedzieć. - Freddie spojrzał na nią. - Powinnaś wiedzieć, że rozmawiałem z moim prawnikiem. Spisałem testament i nie mam zamiaru go zmieniać. Cokolwiek się wydarzy, nie dostaniesz ani grosza, gdy odejdę. Ani domu, ani pieniędzy, ani niczego. - Przerwał, jakby chciał dać jej czas na przyswojenie tych rewelacji. - To tyle. Zrozumiem, jeśli teraz zdecydujesz się zmienić swoje zamiary.

Wiedział, jaka będzie decyzja Fenelli, zanim zdążył skończyć zdanie. Jej ramiona znieruchomiały na dźwięk słowa „prawnik”. Wstrzymała oddech. Gdy doszedł do słów „ani domu, ani pieniędzy, ani niczego”, jej palce zaczęły zsuwać się z jego ramion, ręce opadały coraz niżej i niżej, a z nimi, a przynajmniej takie wrażenie odniósł Freddie, opadała temperatura powietrza na tarasie. Freddie delikatnie oswobodził się z jej bezwładnego uścisku.

- Więc kto to wszystko dostanie? - odezwała się w końcu. - Przecież nie możesz tego ze sobą zabrać, prawda?

Wziąć wszystko ze sobą... Freddie rozważył przez moment tę myśl. Gdyby mógł zamienić pieniądze na drogie brylanty i połknąć je, czy to oznaczałoby zabranie wszystkiego ze sobą?

Fenellę zirytował brak odpowiedzi.

- Tylko mi nie mów, że zapisałeś swój majątek jakiemuś nędznemu schronisku dla zwierząt.

Potrząsnął głową.

- Już rozwiązałem tę sprawę, nie martw się.

- Wiesz, myślę, że popełniasz błąd. Mogliśmy być bardzo szczęśliwi.

- Nie sądzę - powiedział Freddie. - Na pewno nie. Fenella spojrzała na niego bez złości.

- Kiedy dostałam ten list, myślałam, że wracasz do mnie, by mnie uratować.

Nie miał zamiaru czuć się winny.

- Przykro mi - powiedział.

Odsunęła się od niego i odwróciła, by popatrzeć na cudowną panoramę jeziora. Potem wyraźnie zebrała się w sobie.

- Mnie też jest przykro. Pójdę i spakuję moje rzeczy. Czy zasługuję chociaż na odwiezienie na stację?

Freddie uśmiechnął się blado i kiwnął głową.

- Oczywiście.

Rozdział 35

Wspieranie działalności charytatywnej jest zawsze chwalebne, nie ma co do tego wątpliwości. Słuchanie wykładu o zdecydowanej potrzebie dalszych badań nad jakąkolwiek przypadłością medyczną jest nudne, ale z pewnością ma sens. Wszyscy na sali przybrali poważny i zatroskany wyraz twarzy i posłusznie słuchali. Lottie, ściskając szklaneczkę z wodą mineralną, zastanawiała się, czy malująca się na twarzach innych powaga była naturalna, czy też musieli narzucić ją sobie z takim wysiłkiem, jak ona. Jeszcze chwila i naprawdę zrobi jej się niedobrze.

Znalazła się na uroczystości otwarcia nowej restauracji o nazwie Jumee w centrum Cheltenham. Eleganckie zaproszenie w postaci trójwymiarowego hologramu wydrukowanego na błękitnym pleksiglasie zrobiło na Lottie duże wrażenie. Była zachwycona, że może przyjść i wypróbować oferowane tam wspaniałości w imieniu przyszłych gości firmy Hestacombe. Miała nadzieję, że jedzenie będzie świetne. Uczciła tę okazję zakupem nowej zmysłowej czarno- złotej sukienki. Ale na razie to był koniec dobrych wiadomości. Nie mogła przecież przewidzieć, że będzie musiała wysłuchiwać niekończących się, a popartych szczegółowymi ilustracjami, wywodów poważnej, siwowłosej kobiety w płowym, zapiętym pod szyję swetrze i włochatej tweedowej spódnicy, dotyczących... egzemy.

Pół godziny temu żołądek Lottie wydawał pełne radosnego oczekiwania pomruki. Zapachy sączące się z kuchni były bardzo wyrafinowane. Od czasu KitKata spożytego w porze lunchu Lottie z premedytacją nie wzięła niczego do ust. Ale teraz w jej żołądku dokonywała się gwałtowna zmiana - radosne pomruki zamieniły się w bolesny skurcz, który zapowiadał, że przyjęcie jakiegokolwiek jedzenia może być niemożliwe. Doświadczała takiego uczucia jako nastolatka.

To na pewno nie był wymarzony scenariusz wydarzeń. Lottie myślała ze współczuciem o młodym małżeństwie, które włożyło w to przedsięwzięcie wszystkie swoje oszczędności. Rozmawiała wcześniej z Robbiem i Michelle, wiedziała, że prowadzenie własnej restauracji zawsze było ich marzeniem. Zgodnie z przyjętym planem działania sprzedali dom i opróżnili wszystkie swoje konta, ale z rozczarowaniem odkryli, że wciąż nie mieli dość pieniędzy, by rozkręcić biznes. I wtedy przyszedł im z pomocą wuj Michelle, Bill, człowiek bardzo zamożny, który zaoferował im hojną pomoc w postaci osiemdziesięciu tysięcy funtów. Z ulgą i wdzięcznością przyjęli tę ofertę i prace w Jumee zostały ukończone w przewidzianym czasie. Więc gdy wuj Bill zasugerował, by wykorzystać okazję i pierwszego wieczoru zebrać pieniądze na cel dobroczynny, któremu patronował, nie

wypadało odmówić. Jego ulubioną organizacją dobroczynną było Clearaway UK. Ukochany syn wuja, Marcus, cierpiał z powodu straszliwej egzemy i spędzał niekończące się miesiące w szpitalach. Jego życie było naznaczone tą bolesną i oszpecającą chorobą. Wujek Bill od lat robił, co w jego mocy, by ją zwalczyć, co było szlachetne i godne podziwu, i pokazywało, jakim był cudownym i litościwym człowiekiem. Ale trzeba też powiedzieć, że zaproszenie doktor Edwiny Murray z Instytutu Badań Naukowych działającego przy organizacji Clearaway UK, aby wygłosiła wykład uświetniający bankiet inauguracyjny, nie było najlepszym pomysłem.

- Kiedy skóra jest popękana i czerwona, kiedy całe ciało jest jedną wielką masą spuchniętych sącących się ran, kiedy społeczeństwo odwraca się z obrzydzeniem od widoku twarzy tak zniekształconej, że niemal nierozpoznawalnej, życie staje się dla chorego nie do zniesienia.

Wyglądało na to, że dla Robbiego i Michelle, siedzących na podeście za mówczynią, życie też chwilowo stało się nie do zniesienia. Doktor Murray sięgnęła do wielkiej szarej teczki leżącej na stole obok i wyciągnęła plik fotografii w formacie A3. Podniosła pierwszą wysoko do góry.

- Chciałabym, by wszyscy popatrzyli na to. To jest przykład egzemy u mojego siedemdziesięcioletniego pacjenta. Choroba zajęła całe ciało i nastąpiła infekcja. Proszę się nie odwracać - zawarczała doktor Murray na kilka osób w przednich rzędach, które wzdrygnęły się, jęknęły lub zasłoniły sobie z obrzydzeniem oczy. - Chcę, by każdy na tej sali przyjrzał się tym fotografiom i zdał sobie sprawę, jakie ma szczęście, że nie cierpi na podobną zrypaność.

Po tej reprimendzie, posłuszna publiczność utkwiała przeżony wzrok w pierwszej z kolorowych fotografii. W sali panowała pełna grozy cisza. Można by usłyszeć przelatującą muchę. Z powagą i bez słowa doktor Murray uniosła drugą fotografię, tym razem pokazującą zbliżenie nóg chorego i...

- liik!

W sali rozległ się donośny odgłos czkawki, chyba najgłośniejszy, jaki Lottie kiedykolwiek słyszała. Publiczność odwróciła się, by odszukać winowajcę, który stał z przodu po lewej stronie. Był to wysoki i smukły mężczyzna w obszernej różowej koszuli, jasnych dżinsach i czapce z daszkiem. Doktor Murray wpatrywała się w niego z nieukrywaną wściekłością.

- Iiik!

Mężczyzna najwyraźniej nie miał zamiaru opuścić pomieszczenia. Zresztą nie byłoby to łatwe, wziąwszy pod uwagę, że otoczony był zwartą masą ludzi, którzy za bardzo bali się doktor Murray, żeby ruszyć się z miejsca i pozwolić mu wyjść.

- Iiik! - dławił się sprawca zamieszania, a jego ramiona drgały w rytm czkawki. - Iiik.

Doktor Murray trzęsała się z oburzenia. Lottie, nie myśląc wiele, przecisnęła się obok tęgiej kobiety stojącej po jej lewej stronie i zdołała dotrzeć do posiadacza najgłośniejszej czkawki świata.

- Iiik! O kurczę! - wrzasnął mężczyzna i wyskoczył w powietrze, jakby poraził go prąd. Wyginając się na wszystkie strony i szarpiąc tył koszuli, odwrócił się i stanął twarzą w twarz z Lottie.

- Nie wierzę! - roześmiał się. - Dziewczyna z genialną pupcią!

- Jak pan śmie?! - zagrzmiała doktor Murray.

Ludzie zaczęli szeptać i chichotać. Mężczyzna uśmiechnął się szeroko do Lottie, świadomy, że znajdowali się w centrum uwagi wszystkich obecnych. Zdołał wreszcie uwolnić tył swojej koszuli i kostki lodu, które Lottie wrzuciła mu za kołnierz, spadły i potoczyły się po wypolerowanej drewnianej podłodze.

- Iiik!

- Proszę wyjść! - Zawyla na całe gardło doktor Murray, przywracając do porządku rozbawioną publiczność.

Seb z supermarketu chwycił Lottie za rękę i pociągnął za sobą. Jakimś cudem tłum rozstał się jak Morze Czerwone.

Kiedy uciekali pośpiesznie z sali, widzieli utkwione w sobie oczy obecnych i malującą się w nich nieukrywana zazdrość.

Gdy znaleźli się już na chodniku na zewnątrz, odsunął ją na długość ramienia i z powagą zapytał:

- Więc jak ona się miewa?

Lottie była wciąż pod wrażeniem tego nieoczekiwanego spotkania. Przez otumanioną głowę przemknęła jej myśl, że mówił o butelce Veuve Cliquot, którą jej sprezentował na parking przed supermarketem, zanim zniknął w kłębach kurzu.

- Może lepiej sprawdź? - Delikatnie obrócił ją o sto osiemdziesiąt stopni i pokiwał z uznaniem głową. - No, tak. Wciąż tam jest i wciąż jest tak samo piękna.

To, co mówił, było z pewnością niezgodne z wszelkimi wymogami politycznej poprawności, ale nieklamany zachwyt na jej pupą był jednym z najmiłszych komplementów, jakie Lottie kiedykolwiek słyszała. Była tak szczęśliwa, że udało jej się wyjść z restauracji, że z trudem powstrzymywała się, by nie odtańczyć jakiegoś triumfalnego pląsu.

- Przepraszam za kostki lodu - powiedziała. - Nie wiedziałam, że to ty. Chciałam tylko pomóc ci pozbyć się czkawki.

- I udało ci się - rozłożył ręce, dając wyraz swojemu zdumieniu. - Widzisz? To cud. Poszła sobie.

- Cóż mam powiedzieć. - Lottie wzruszyła skromnie ramionami. - Dobra jestem w tym, co robię.

- Musimy to uczcić. - Zmrużył swoje niebieskie oczy, zdjął czapkę i przeczesał dłonią niesforne włosy. - Ostatnim razem zламаłaś mi serce. Nie mogłem przestać o tobie myśleć. Ale przeznaczenie przywiodło nas ku sobie i dało nam jeszcze jedną szansę.

- Przeznaczenie mogło przywieść nas ku sobie nieco wcześniej, gdybyś poprosił mnie o numer telefonu - Lottie nie mogła się oprzeć, by mu tego nie wytknąć.

Roześmiał się.

- Ty też mnie nie poprosiłaś.

- Nie dałaś mi szansy, natychmiast się ulotniłeś.

- A zrobiłabyś to? To super! - Seb był bardzo zadowolony.
- Lubię dziewczyny, które wiedzą, czego chcą. To co robimy?
Jesteś głodna?

Egzema. Sączące się rany. Żółta ropa wypływająca z pękanej rozpalonej skóry...

- Jakoś nie.

- Świetnie. Ja też nie. - Poklepał Lottie po jej sensacyjnej pupie. - Chodź, porozmawiamy przy drinku o naszym nowym przedsięwzięciu finansowym.

- Tak. Dieta doktor Murray - oznajmił z zadowoleniem Seb.
- To będzie większy przebój niż dieta Atkinsa. Wszystko, czego nam potrzeba, to CD z jednym ze słynnych wykładów doktor Murray. Za każdym razem, gdy odchudzający się będzie miał ochotę coś przekąsić, włoży do odtwarzacza płytę i już! Natychmiastowe nudności. Czy to brzmi przekonująco?

- Genialnie! - Lottie objęła dłońmi szklaneczkę z sokiem żurawinowym z wódką, którą Seb dla niej zamówił. To chyba lekarstwo na zapalenie pęcherza moczowego, ale jej przecież nic nie było. - Metoda jest tania. I prosta. Moglibyśmy ją nazwać Złote Przeboje - Mdłości na Chwile Słabości.

Seb roześmiał się.

- Organizacja charytatywna na pewno będzie chciała mieć udział w zyskach. Dobroczynicy są bardzo pazerni. Ale znajdziemy jakiegoś szemranego prawnika, który spisze dla nas kontrakt. Dwa procent od dochodu netto dla nich, dziewięćdziesiąt osiem dla nas.

- Świat stanie się szcuplejszy - dodała z radością Lottie - a my będziemy bardzo bogaci. Zawsze chciałam mieć prywatny odrzutowiec.

- Jesteśmy zwycięską drużyną. - Seb stuknął swoim kieliszkiem w jej szklaneczkę i usiadł wygodnie, patrząc na nią z nieskrywaną przyjemnością. - Chyba przyszedł czas, żebyś mi coś powiedziała.

Co sprawiało, że był taki pociągający? Zafascynowana Lottie pochyliła się do przodu.

- Na przykład co?
- Na początek imię i nazwisko. I inne istotne szczegóły - powiedział Seb. - Gdzie mieszkasz, itp.
- Lottie Carlyle. Z Hestacombe.
- Mężatka?
- Rozwiedziona.
- Dzieci?
- Dwoje. Dziewięć i siedem lat. - Boże, czy to go nie zniechęci?
- A ty masz...?
- Na imię Lottie. Uśmiechnął się.
- Ile masz lat?
- Och, przepraszam. Sześćdziesiąt trzy.
- Hej, wyglądasz fantastycznie na swój wiek! - Seb ześliźnął się ze stołka barowego, chwycił ją za rękę i pocałował, a potem jednym haustem wypił wódkę z sokiem.
- A więc, Lottie Carlyle, tam stoi barman i okropnie się nudzi. Może go rozruszamy i zamówimy jeszcze jedną kolejkę?

Rozdział 36

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć - oznajmiła Lottie, gdy taksówka zatrzymała się przed Piper's Cottage.

- Tak, a co takiego?
- Jesteś złym człowiekiem. - Szturchnęła łokciem siedzącego obok niej Sebastiana Gilla i popatrzyła na zegarek. - Bardzo złym człowiekiem. Jest pierwsza w nocy, a ty poświęciłeś ostatnie pięć godzin na sprowadzenie niewinnej sześćdziesięcioletniej staruszki na manowce. Jeśli myślisz, że zaproszę cię na drinka, srodze się mylisz.
- Jesteś bardzo okrutną kobietą - Seb z powagą potrząsnął głową - ale szanuję cię, ponieważ jesteś dziewczicą. Co jest bardzo ładnym gestem z mojej strony, bo widzę, że ta taksówka będzie

mnie kosztować co najmniej pięćdziesiąt funciaków. Czy wolno mi wysiąść i złożyć na twoich ustach pełen uwielbienia pocałunek na dobranoc, czy uznasz to za czyn frywolny? Mam, co prawda, osiemdziesiąt siedem lat, ale to nie zmienia faktu, że chciałbym wyrazić moje uznanie...

- Dobrze, pozwalam.

Szukając po omacku klamki, Lottie podziwiała w duchu Seba, który wypił tego wieczoru więcej niż ona przez ostatni miesiąc i wciąż był w stanie wygłaszać tak skomplikowane przemówienia. Jej głowa wirowała jak piłka na nosie cyrkowej foki - jedyna nadzieja, że nie przestanie się kręcić, nie zachwieje się i nie spadnie na ziemię.

Och, ale cóż to była za noc! Boki bolały ją od śmiechu. Bawili się z Sebem znakomicie, a im więcej o nim wiedziała, tym wydawał jej się doskonalszy. Jego pełne nazwisko brzmiało Sebastian Aloysius Gili (co oczywiście było dziwaczne, ale nie można zniechęcać się do człowieka, bo nie podoba nam się jego drugie imię). Miał osiemdziesiąt siedem lat, ale pewna administracyjna pomyłka sprawiła, że w prawie jazdy wpisano mu datę urodzenia, która czyniła z niego trzydziestodwulatka. Mieszkał w Kingston Ash, w połowie drogi pomiędzy Cheltenham i Tetbury, i tak jak Lottie był od kilku lat rozwiedziony. A najlepsze w tym wszystkim było to, że miał ośmioletnią córkę Mayę, co oznaczało, że nie czuł się skępowany w towarzystwie dzieci i że była szansa, iż nie będzie robił i mówił w ich obecności żadnych niewłaściwych rzeczy, jak zdarzało się to niektórym innym ludziom, których Lottie знаła.

No, ale być może znów ponosiła ją fantazja - już wyobrażała sobie wesole popołudnia spędzane razem i bajeczne pikniki na plaży. Znała Seba trochę lepiej od pięciu godzin. Ale był to bardzo obiecujący początek.

- Potrzebujesz asysty, skarbie? - Taksówkarz zapalił papierosa i obserwował, jak Lottie wygramoliła się z samochodu i stanęła niepewnie przed furką. - Jesteś pewna, że to twój dom?

Też coś! Czy naprawdę myślał, że jest z nią aż tak źle?

- Wszystko w porządku, w absolutnym porządku. - Próbowwała znaleźć coś w torebce. - Szukam moich... Ojej!

- Okularów słonecznych? Majteczek? Może rewolweru? - podpowiadał usłużnie Seb. - Delicji? No, pomóż nam, ile sylab?

- Cholernego klucza do domu! - zawyła Lottie, padając na kolana i macając chodnik w nieprzeniknionych ciemnościach.

- Boże, dziewięć sylab! Takie słowo trudno znaleźć! - Seb wysiadł z samochodu i przyłączył się do działań poszukiwawczych na chodniku. - Gdzie go upuściłaś?

- Gdybym wiedziała, już dawno bym go znalazła, nie uważasz? - powiedziała ze śmiechem, bo w ferworze poszukiwań Seb złapał ją za kostkę. - Kółko od kluczy zaczepiło się o coś w torebce, więc szarpnęłam i wyleciało mi z ręki.

- Nienawidzę, gdy dzieją się takie rzeczy - powiedział Seb.

- Trudno. Spróbuj się skupić. To poważna sprawa. Może być na jezdni albo na chodniku, albo w ogródku, albo... właściwie wszędzie.

- A gdybyś zadzwoniła do drzwi? - zasugerował Seb. - Kamedyner ci nie otworzy?

- Na nieszczęście kamerdyner ma dzisiaj wychodne. Przydałaby się latarka. - Lottie wzdrygnęła się, bo głaszcząc dłońmi chodnik w poszukiwaniu kluczy, natknęła się na ślimaka. - Mam latarkę w kuchni...

- Cholerni kamerdynerzy, nie ma ich nigdy, gdy są potrzebni. - Seb wstał z klęczek i zwrócił się do taksówkarza.

- Jest pan pewny, że nie ma w bagażniku?

- Czego? Kamerdynera? Nie, chłopie. - Taksówkarz uśmiechnął się szeroko i zaciągnął się papierosem. - Więcej kłopotu niż pożytku.

Seb położył dłonie na piersiach.

- Latarki! Królestwo za latarkę!

- O rety! Ślimak bez skorupki! - Lottie wydała z siebie stłumiony okrzyk i nieomal wpadła do studzienki odpływowej.

- Myślisz, że będzie wiedział, jak otworzyć drzwi? A może mógłby wślizgnąć się pod drzwiami i otworzyć od środka?

Świetnie wyglądasz, nawiasem mówiąc. Na kolanach i rękach. - Jego białe zęby zalśniły w ciemności. - Jak radosny psiak - dodał wesoło.

- Słuchajcie, to wszystko jest bardzo zabawne - ziewnął kierowca taksówki - ale szukajcie z łaski swojej tego przekłętego klucza, dobrze?

- Jest środek nocy - Lottie spojrzała na niego z taką wyższością, na jaką pozwalała jej psia pozycja na krawędzi krawężnika - i nie mamy żadnej szansy, żeby znaleźć klucz, bo nikt z nas nie ma latarki.

Taksówkarz westchnął ciężko i wrzucił wsteczny bieg.

- No dobrze, pilnujcie, żebym was nie przejechał. Cofnę się i poświęcę światłami na chodnik.

- Świetny pomysł - kiwnęła z aprobatą Lottie. - Naprawdę cudowny. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam?

- Bo jesteście oboje schlani jak wieprze. - Taksówkarz wyrzucił papierosa przez okno. - A teraz ruszcie się z drogi. I pamiętajcie, że licznik ciągle bije - przypomniał i wykonał zgrabny skręt o dziewięćdziesiąt stopni. - Mam nadzieję, że was na to stać.

Ale zgodnie z prawem Murphy'ego, jak tylko stanął w poprzek drogi, by oświetlić ogród Lottie, natychmiast pojawiło się następne auto, które w zaistniałych okolicznościach nie było w stanie przejechać. Lottie, oparta na dłoniach i kolanach, modliła się, by nie okazało się, że klucze wpadły do studzienki kanalizacyjnej. Usłyszała, że nadjeżdżające auto zwolniło i zatrzymało się, a ich taksówkarz zawołał:

- Przepraszam, chłopie, ale ta para graczy zgubiła swoje kulki. Daj nam minutkę, dobrze?

- Dwie pary reflektorów - powiedział zachwycony Seb. - Ekstra!

A potem do uszu Lottie dotarł znajomy głos. Podniosła głowę zbyt gwałtownie i świat znów zawirował.

- Co zgubili?

Lottie zamarła jak kociak pochwycony w... w strumień światła reflektorów.

- Nasz taksówkarz myśli, że jest zabawny - powiedziała wyzywająco. - Po prostu upuściłam klucze. Wszystko - Boże, jak trudno wymówić niektóre słowa, gdy jest się zmęczonym - jest całkowicie pod kontrolą.

- Miło to słyszeć - powiedział przeciągle Tyler. - Tak przy okazji, masz ślimaka na sukience.

Lottie wydała z siebie stłumiony okrzyk i strząsnęła ślimaka, który przekoziółkował kilka razy i wyładował w krzakach. Oślepiąca światłami zasłoniła oczy.

- Mógłbyś pomóc, wiesz? Tym bardziej, że to wyłącznie twoja wina, że nie mogę dostać się do domu.

Jedna brew powędrowała w górę.

- A to dlaczego?

- Bo radziłam sobie świetnie przez lata, trzymając zapasowy klucz pod doniczką geranium przed wejściem. Aż zjawiłeś się ty - Lottie oskarżycielsko wysunęła palec - i powiedziałeś, że to śmieszne, żeby tam trzymać klucz i że to zaproszenie dla rabusiów. Więc zabrałam go i leży sobie teraz w szufladzie ze sztuccami w kuchni. I to jest właśnie śmieszne i właśnie dlatego powinienesś...

- Znalazłem go! - krzyknął Seb.

- Naprawdę? - Lottie wciąż klęczała, ale obróciła się z ulgą. Seb pokazał w uśmiechu wszystkie zęby.

- Nie, żartowałem.

- O Boże!

- Ale przez ułamek sekundy poczułaś się lepiej, prawda?

- A teraz czuję się gorzej - jęknęła Lottie. - Chcę iść do łóżka, ale nie mogę, bo nikt nie pomaga mi szukać tego pieprzonego klucza.

- Hej, piękna jesteś, jak się złościsz. - Trzasnęły drzwi samochodu i Seb zwrócił się do Tylera. - Nie uważasz, że jest piękna z tymi włosami opadającymi na twarz i błyszczącymi oczyma? Jak wkurzony springer spaniel.

Tyler popatrzył na niego z niechęcią. Lottie stwierdziła, że ma dosyć porównywania jej do psa. Ostrożnie, by nie stracić równowagi, podniosła się i... oj, straciła równowagę. Ale tylko na moment. Dobrze, teraz trzeba oprzeć się o murek i wyglądać, jak gdyby nigdy nic. Albo jeszcze lepiej, wyglądać na osobę trzeźwą. Naprawdę wyglądała jak springer spaniel? I co Tyler robił na ulicy o takiej godzinie? Późno już.

- No dobrze. - Tyler stał na chodniku z rękoma na biodrach.
- Jeśli nie wiesz, gdzie upuściłaś klucz, a zdaje się, że nie wiesz - powiedział sprytnie - musisz poczekać do rana. Pozwól swojemu koledze pojechać tą taksówką do domu. Możesz przespać się u mnie, a rano poszukamy klucza. Pasuje?

Lottie zdusiła chichot. Czy pasuje? Tyler wyraźnie nie miał ochoty oglądać Seba pod Piper's Cottage ani minuty dłużej.

Seb też tak pomyślał, bo obejrzał Tylera z rozbawieniem od stóp do głów.

- Jesteś jej mężem?

- To mój szef. - Lottie zastanawiała się, co dokładnie miał na myśli Tyler, mówiąc, że powinna przespać się u niego i czy chodziło jedynie o kontakty służbowe.

- Ten zrzęda, który ciągle narzeka na twoją pracę? Ten, z którym nie możesz wytrzymać?

- On żartuje - powiedziała pośpiesznie Lottie. - Nic takiego nie mówiłam.

Jej decyzję przyspieszył pękający pęcherz moczowy. Lottie pomachała odjeżdżającemu taksówką Sebowi, spokojna, że teraz mają już swoje numery telefonów zapisane w komórkach. (Bo chyba nie byli aż tak pijani, żeby wstukać swoje własne numery - to rzeczywiście nie byłoby zabawne).

- Będziesz jutro miała piekielnego kaca - stwierdził Tyler, sadzając ją obok siebie w samochodzie.

- Dzięki za informację. Nigdy bym sama na to nie wpadła. Świetnie się bawiliśmy. - Lottie walczyła bezskutecznie z pasem bezpieczeństwa. Dała za wygraną i pozwoliła, by Tyler zapiął go

za nią. Czowała się, jakby znów miała sześć lat. - Chyba wolno mi się zabawić, prawda?

- Ile tylko chcesz. Nie próbuję cię powstrzymać. Lottie uśmiechnęła się w ciemnościach.

- Jesteś pewien?

- Wiesz, co mam na myśli. Wolałbym, żebyś nie włączyła się z kompletnymi idiotami. - Ton jego głosu wskazywał, że to była jego opinia o Sebie.

- Lubię go. Nie psuj mi zabawy. - Świat znów zawirował w jej głowie, gdy Tyler wziął ostry zakręt obok pubu. - A ty gdzie dzisiaj byłeś? Kto wie, czy nie wymknąłeś się, by spotkać się z jakąś pomyloną panienką.

- Andersonowie wyjechali z Walnut Lodge o ósmej wieczorem i mieli lecieć do Szwecji. O dziesiątej odebrałem od nich rozpaczliwy telefon z Heathrow - powiedział Tyler. - Zostawili paszporty w puszcze na słodczyce w kuchni.

Lottie poczuła ulgę na myśl, że nie spotkał się z żadną dziewczyną.

- A więc pojechałeś aż do Londynu! To bardzo szlachetnie z twojej strony.

- Dbam o stosunki z klientami. Byli bardzo wdzięczni. - Tyler przerwał. - A gdzie są dzisiaj Nat i Ruby?

- U Maria. - Lottie rozpaczliwie potrzebowała iść do toalety. - Nie powinni się dowiedzieć, że zostałam u ciebie. Zatruliby mi życie.

- Na szczęście nie rozmawiamy ze sobą - powiedział swobodnie Tyler - więc ode mnie tego nie usłyszysz.

Byli prawie na miejscu. Jechali wąską drogą wzdłuż jeziora, prowadzącą do Fox Cottage. Rety, jakie wyboje! Lottie zaciskała zęby, próbując utrzymać pęcherz w ryzach.

- Moglibyśmy spać ze sobą i nie dowiedzieliby się. Jakie to ironiczne. Ale sądzę, że nie powinniśmy tego robić. To nie byłoby w porządku. Bylibyśmy nieuczciwi i w stosunku do siebie, i do nich.

O Boże, dlaczego to powiedziała? Słowa wypłynęły z niej, zanim zdołała pomyśleć, co mówi. Czy nie zachowała się jak dziwka, otwarcie przyznając się, że myśli o spaniu z Tylerem? Ale przecież było między nimi to kuszące... coś, a ona i Seb nie stanowili żadnej pary. Tak naprawdę dopiero dzisiaj go poznała.

- Masz rację. - Tyler kiwnął głową. - A poza tym próbuje stosować zasadę, by nie spać z pijanymi kobietami.

- Nie? Myślisz, że mogą obudzić się następnego ranka i przerazić się tym, co zrobiły? Boisz się, że mogą cię pozwać?

- Nic podobnego - powiedział spokojnie Tyler, zatrzymując samochód przed Piper's Cottage. - Zawsze obawiam się, że mogą strasznie chrapać.

Co za beczelność. Czy naprawdę myślał, że byłaby w stanie zrobić coś tak nieeleganckiego? Marząc o toalecie, Lottie wyskoczyła z samochodu i przeskakiwała z nogi na nogę, gdy Tyler próbował otworzyć frontowe drzwi.

- Specjalnie to robisz?

- Co robię specjalnie? - Tyler zamarł w bezruchu, zdziwiony.

- To, że jesteś taki powolny.

- Aa, o to ci chodzi - uśmiechnął się - Tak.

- Nienawidzę cię. - Wyrwała mu klucz i z furią zaatakowała dziurkę od klucza. Trafiła za dziesiątym razem, otworzyła na oścież drzwi i pobiegła do góry do ubikacji.

Och, cóż za ulga! Cóż za niebiańska ulga... Teraz mogła skupić się na innych rzeczach niż kurczowe zaciskanie mięśni dna miednicy.

Była druga w nocy, a ona znajdowała się w domu Tylera. To prawda, że była troszeczkę pijana, ale to nie jej wina. Umyła ręce i przyjrzała się swojej twarzy w lustrze nad umywalką. Czuła się urażona. Dlaczego Tyler nie chciał z nią spać? Przecież wyglądała fantastycznie. Każdy prawdziwy facet byłby zachwycony taką okazją. Pomimo że powiedziała, że nie powinni tego robić. Ale teraz, gdy już i tak znaleźli się tu razem, głupio byłoby nie skorzystać ze sposobności.

Och, cóż to za boski zapach?
Bekon!

Rozdział 37

- Nie chrapię - oznajmiła Lottie, stając w kuchennych drzwiach.

Tyler był odwrócony do niej plecami. Gdy popatrzył na nią, strząsnęła do tyłu włosy i posłała mu kuszący uśmiech w stylu Lauren Bacall.

- Przepraszam?

- Nie chrapię. Przysięgam. Auu. - Ekscytująca chwila kuszenia została przerwana przez kuchenne drzwi, które zatrzasnęły się za Lottie i nieomal zmiażdżyły jej palce.

- Hm, miło mi to słyszeć. - Tyler umiejętnie podrzucił skwierczące plasterki bekonu na patelni. Boże, miał ręce, za które można by się dać posiekać.

- Zmieniłam zdanie na temat dzisiejszej nocy. - Lottie dyskretnie ssała zgniecione palce. Naprawdę okropnie bolały. - To może być nasza jedyna szansa. Myślę, że powinniśmy ją wykorzystać.

- Tak sądzisz?

- Głupio byłoby nie skorzystać. Oboje wiemy, że tego chcemy. Nie jest tak?

- Ee, poczekaj...

- Proszę! Nie udawaj, że nie chcesz! - Lottie rozłożyła rękę i wzruszyła ramionami. - Więc dlaczego nie?

Tyler pomyślał przez chwilę.

- Bo jesteś pijana, a ja wolałbym to zrobić, kiedy będziesz trzeźwa - powiedział w końcu.

- Przepraszam - oburzyła się Lottie - ale to bardzo krzywdzące. Sugerujesz, że nie jestem w tym dobra, gdy jestem pijana? Udowodnię ci, że jestem tak samo fantastyczna w łóżku po paru drinkach, jak na trzeźwo.

- Ale...

- To prawda - wykrzyknęła, czując, że nie do końca go przekonała. - Możesz spytać Maria. Oczywiście nie teraz. Jutro możesz zapytać. Lubię, jak jest chrupaący, nawiasem mówiąc.

- Słucham? - Tyler zamarł w bezruchu z łyżką w powietrzu. Ostatnia uwaga go zainteresowała.

- Bekon. - Lottie wskazała brodą na wypełnioną plasterkami boczku patelnię. - Lubię chrupaący. Dwa plasterki dla ciebie i trzy dla mnie?

- Pięć dla mnie - powiedział wolno Tyler. - Byłaś na bankiecie w restauracji, nie pamiętasz?

- Ale nic nie jedliśmy. Wyszliśmy... w pośpiechu. To tam znów spotkałam Seba. - Twarz Lottie rozjaśniła się. - Widzisz, on miał okropny atak czkawki i próbowałam mu pomóc, a potem wymyślił mi tę genialną dietę, która przyniesie nam miliony... Och, to długa historia. - Pomimo jej entuzjazmu, Tyler wyglądał na mało zachwyconego. Miała nadzieję, że nie będzie samolubny i nie będzie próbował jej zbyć marnymi dwoma plasterkami. - I dlatego jestem taka głodna. Rozumiesz? W zasadzie umieram z głodu.

Przeszła cichutko przez kuchnię i kusząco objęła Tylera.

- A przecież musimy utrzymać zasób energii na odpowiednim poziomie, prawda? Hmm? Nie chcemy być słabi i udęczeni przez ssanie z głodu...

- Lottie. - Tyler obrócił się, gdy zaczęła składać pocałunki na jego łopatkach. Oswobodził się z uścisku i spojrzał jej głęboko w oczy. - Nie mogę gotować, kiedy mnie tak rozpraszasz. Masz absolutną rację, musimy zjeść porządny posiłek. Może pójdziesz do salonu i rozgościsz się? Jak tylko jedzenie będzie gotowe, przyniosę je. Podoba ci się ten pomysł?

- Bardzo mi się podoba - uśmiechnęła się Lottie, bo Tyler miał rację - to było najlepsze rozwiązanie. - Możemy do tego zjeść tosty, smażone grzybki i pomidory?

- Co tylko chcesz - obiecał Tyler, a kąciki jego ust uniosły się tak obiecująco, że Lottie nie była w stanie mu się oprzeć.

Uniosła się na palcach i pocałowała go. To wyłącznie jego wina, że ma tak rozkoszne usta.

- Jesteś cudowny. - Lottie pogłaskała go po brodzie pokrytej lekkim zarostem. - Będzie bosko. Nigdy nie zapomnimy dzisiejszej nocy.

- Na pewno nie - zgodził się Tyler i z uśmiechem wskazał jej drogę do salonu. - Uciekaj. Im szybciej przestaniesz mnie molestować, tym szybciej zjemy kolację.

I tym szybciej będę mogła zasmakować twojego boskiego ciała, pomyślała z rozkoszą Lottie. Zlokalizowała wyjście z kuchni i pomachała zalotnie do Tylera czubkami swoich zgniecionych palców. Odwzajemnił uśmiech i w odpowiedzi pomachał palcami.

Dobrze, tu jest salon.

Sofa.

Jakaś uwodzicielska muzyka, bezwzględnie. Przecież musi mieć uwodzicielską muzykę. Przeglądając kolekcję płyt

CD, Lottie znalazła album Alicii Keys i włożyła go do odtwarzacza. Wyjęła i włożyła odwrotnie, żeby zaczął grać. O tak. Super.

Teraz trzeba wrócić na sofę. Zsunęła buty i ułożyła się ponętnie na aksamitnych poduszkach, upewniwszy się, że sukienka się nie pomięta. Oczywiście bez przesady, parę zagnieceń nie przeszkadza. Teraz dobrze. Kiedy Tyler otworzy drzwi do salonu, zobaczy elegancką i zrelaksowaną kobietę, której nie będzie w stanie się oprzeć.

- Lottie!

- Plaster!

- Lottie, obudź się.

Ktoś nią potrząsnął. Chyba ten sam człowiek, który zakleił jej oczy. Potrząsanie nasiliło się, a Lottie obróciła się na bok i skrzywiła z bólu, bo coś ciężkiego przetoczyło się i trzasnęło w jej głowie. Oj, to chyba mózg. Pomału rozwarła powieki. Ojej, słońce. I Tyler. Strasznie rozbawiony.

- Nie powiesz mi, że jesteś rannym ptaszkiem.

O, Boże. Wydarzenia ostatniej nocy powróciły gwałtownie do jej świadomości. Lottie dałaby wszystko, by móc schować głowę pod kocem, gdyby tylko jakiś miała. Ale nie miała. Zostawił ją na sofie na całą noc i nie przykrył nawet kuchenną ścierką.

- Która godzina?

- Ósma. Czas wstawać.

Nawet nie próbował okazywać współczucia. Cóż, trudno było go za to winić. Lottie wyobraziła go sobie pracującego w pocie czoła w kuchni i wchodzącego triumfalnie do salonu z dwoma talerzami wypełnionymi po brzegi bekonem, kielbaskami, tostami i grzybkami po to tylko, by znaleźć ją na sofie pogrążoną we śnie. Spała jak zabita - tak mu odpłaciła za jego poświęcenie. Nie mówiąc o drugiej obietnicy, którą złożyła. Hmm, chyba lepiej o niej nie wspominać. Nie ma się co dziwić, że nie okazywał jej żadnego współczucia w ten piękny poranek. Rety, naprawdę było pięknie...

- Trochę mnie boli głowa. - Zasłaniając dłonią oczy, Lottie popatrzyła na niego z nadzieją. - Nie masz przypadkiem nadliczbowej aspiryny?

- Przykro mi, nie mam. - Wcale nie było mu przykro. - Możesz potem kupić sobie w aptece. O co chodzi z tym plastrem?

- Z czym?

- Spałaś. Zawołałem do ciebie po imieniu, a ty powiedziałaś: „Plaster”.

- Aa. - Teraz sobie przypomniała. - Śniło mi się, że otworzyłam banana, którego nie powinnam była otworzyć, więc próbowałam go z powrotem zamknąć. Ale skończyła mi się taśma klejąca i...

- Hmm. - Tyler znacząco uniósł brew. Lottie zarumieniła się.

- Dobra, wstaję. Bardzo cię przepraszam, że zasnęłam, kiedy szykowałeś dla mnie jedzenie. Jeśli go nie wyrzuciłeś, chętnie je teraz zjem.

- Poważnie? - W jego ciemnych oczach widać było niedowierzanie.

- Oczywiście. Umieram z głodu. - To było dziwne, ale prawdziwe - niezależnie, na jak potężnego kaca cierpiała, jej apetyt pozostawał tak nieokiełznany jak rozbawiony szczeniak labradora.

- Pytam, czy naprawdę wierzysz, że ugotowałem wczoraj tę kolację.

- Oo. A nie ugotowałeś?

- A po co? Wiedziałem, że po trzydziestu sekundach od padnięcia na tę kanapę będziesz chrapać jak bizon. - Tyler najwyraźniej świetnie się bawił, obserwując jej minę. Zaczął przeciągać każde słowo. - Zrobiłem sobie kanapkę z bekonem. Była pyszna. Pięć grubych plastrów tylko dla mnie. I wiesz co? Były naprawdę chrupiące.

- Więc nie byłeś zawiedziony, że zasnąłam zanim... - Lottie bała się skończyć.

- Zawiedziony? Żartujesz? Wiesz, w jakim byłaś stanie? Powiem ci, że liczyłem na to.

- Och.

- Przygody na jedną noc nie są w moim stylu - powiedział.

- Rozumiem. - Lottie poczuła się łatwa i tania. Ostatniej nocy w zasadzie oświadczyła mu, że ma zamiar zabzykać go na śmierć, i nawet nie wzięła pod uwagę, że on może nie mieć na to ochoty.

- Szczególnie, że mamy razem pracować.

- Oczywiście. Przepraszam. - Teraz wiedziała, co to znaczy być potraktowana jak zero. A nawet mniej niż zero. Jego opinia o niej z pewnością taka była.

- Nie ma potrzeby przeproszać - powiedział Tyler. - Zapomnimy o tym, co się wydarzyło, dobrze?

O tak! Jak to łatwo powiedzieć. Ale to nie będzie proste.

- Zrobię ci teraz filiżankę herbaty. - Ruszył w kierunku drzwi. - Możesz skorzystać z łazienki. Na półce koło umywalki jest zapasowa szczoteczka do zębów.

Zapasowa szczoteczka czekająca na nocnych gości, którzy są zbyt pijani, by o własnych siłach wrócić do domu. Lottie zwlokła się z kanapy.

- Naprawdę chrapałam jak bizon? - zapytała. Tyler popatrzył na nią poważnie przez kilka sekund.

- To jest rzecz, która na wieki pozostanie sekretem znanym tylko mnie i mojej kanapce z bekonem - powiedział po chwili.

Gdyby Tyler był niskim cherlawym facetem, mogłaby pożyczyć od niego koszulę i parę dżinsów. Ale nie był. A poza tym i tak pewnie niczego by jej nie pożyczył.

- Powiedz mi, gdzie byłaś, gdy je upuściłaś - polecił. Lottie westchnęła.

- Nie upuściłam ich. Kółeczko od kluczy zaczepiło się o zamek przy mojej kosmetyczce i kiedy ją wyciągnęłam, klucze wyleciały jak z katapulty.

- No tak. - Tyler powiedział to w taki sposób, że poczuła się jak kompletna idiotka. - Więc jedynym wyjściem jest szukać, aż znajdziemy.

Czuła się tym bardziej głupio, że w słoneczny poranek paradowała przed domem ubrana w błyszczącą czarno- złotą suknię i czarne satynowe szpilki. Zebrała wszystkie siły, by przemoc obezwładniający ból głowy i skupić się na zadaniu, które miała wykonać. Żeby się przebrać, musiała wejść do domu. Ale to nie koniec. Kiedy znajdą klucz, muszą pojechać do Cheltenham i zabrać jej samochód z parkingu z parkomatami. Tyle że ona nie zapłaciła za parking i nie miała biletu, więc mogła się tylko modlić, żeby na kołach nie było blokady i samochód w ogóle jeszcze tam był.

Ostatniej nocy czołgali się z Sebem po tym chodniku i szukali w ciemnościach kluczy, aż zjawił się Tyler i wszystko skomplikował. Ale teraz było jeszcze gorzej. Jadący ulicą samochód zwolnił, a Lottie usłyszała znajomy głos.

- Nie pozwól mrówkom uciec! Zapłać im, to może zostaną i zaprzyjaźnią się z tobą!

Super. Lottie zdusiła złośliwą odpowiedź, która cisnęła jej się na usta, odsunęła włosy z twarzy i usiadła na swoich satynowych, czarnych szpilkach.

- Mamusiu, co ty robisz?! - Zaciekawiony Nat wystawił głowę przez okno. - Naprawdę łapiesz mrówki?

- Ale ty jesteś głupi - odezwała się z pogardą Ruby z tylnego siedzenia. - Chyba jasne, że nie. Mamo, dlaczego ciągle masz na sobie sukienkę z wczoraj?

Mario pokazał zęby w uśmiechu.

- Dobre pytanie. Sam się nad tym zastanawiałem.

Była ósma trzydzieści i dzieci, wystrojone w błękitno- szare mundurki, jechały do szkoły.

- Upuściłam klucze, to wszystko - powiedziała Lottie. - Przyjadę po was, dobrze? Jedźcie, chyba nie chcecie spóźnić się do szkoły?

- Ja chcę - powiedział radośnie Nat.

Ale zwięzione oczy Ruby już utkwione były w Tylerze.

- Co on tu robi? I gdzie jest twój samochód? Gdzie ty spałaś ostatniej nocy? - Zadawała te wszystkie pytania lodowatym głosem, jak miniaturowa Matka Przełożona.

Boże!

- Tutaj, a gdzie? - odruchowo powiedziała wytrącona z równowagi Lottie.

- To czemu wciąż masz na sobie tę sukienkę?

- Bo... bo ją lubię. Tyle osób powiedziało mi wczoraj, że jest ładna, więc postanowiłam dzisiaj też ją ubrać.

Usta Ruby były zaciśnięte jak łupina orzecha.

- A samochód?

Byłaby świetnym prawnikiem.

- Eee... - Lottie zaplątała się w zeznaniach. Miała zbyt silnego kaca, żeby pamiętać, co wcześniej powiedziała. - Więc...

- Lottie, to nie może trwać cały dzień - wtrącił się Tyler. Odwrócił się do Nata i Ruby.

- Wasza mama wypija parę drinków ostatniej nocy i zostawiła samochód w Cheltenham. Zadzwoń do mnie dziś rano i

poprosiła, żebym pojechał z nią po samochód. Więc przyjechałem dziesięć minut temu, ale jak mama wychodziła przez furtkę, upuściła klucze. Co oznacza, że wszyscy spóźnimy się do pracy.

Nat i Ruby nie patrzyli na Tylera, kiedy to mówił. Zachowywali się, jakby nie istniał. Tak mocno zawzięli się, by nie przyjmować do wiadomości jego istnienia, że ich oczy wędrowały we wszystkich kierunkach, tylko nie tam, gdzie stał.

- No widzicie? - Lottie odetchnęła z ulgą, gdy skończył. - Zadowoleni?

- Nie wiem - ponuro z tylnego siedzenia mruknęła Ruby. - Czy to może być prawda, czy jeszcze jedno wstrętne kłamstwo?

- Ruby...

- To nie one? O, tam! - Nat wychylił się po pas przez okno i wskazał na krzak róży rosnący przed murkiem. Spojrzenie Lottie podążyło za palcem syna. Miał rację. Na jednej z niższych gałęzi kołysały się wesoło i błyszcząły w słońcu jej klucze. I pomyśleć, że nigdy w życiu nie udało jej się rzucić obręczą do celu w wesołym miasteczku.

- Bogu niech będą dzięki. - Podbiegła do krzaka róży i zdjęła drogocenne znalezisko.

- Dostanę nagrodę? - zapytał z nadzieją w głosie Nat.

- Może później. Uciekajcie do szkoły. Ja muszę odebrać samochód. - Ucałowała w pośpiechu dzieci i zastukała w zegarek.

- Panna Batson cię posieka, jeśli spóźnią się na lekcje - powiedziała do Maria.

- Panna Batson mnie uwielbia - oznajmił z satysfakcją. - Uważa, że jestem wspaniały. Już wiem, powiem jej, że byliśmy na czas, ale miałaś takiego kaca, że nie mogłaś znaleźć kluczyków od samochodu.

- Jaki ty jesteś uczynny! Pamiętaj, jeśli to zrobisz, będą duże szanse, że zostaniesz ich jedynym opiekunem - ostrzegła Lottie. - I bardzo dobrze, miałbyś wtedy za swoje.

Rozdział 38

Śmiejąc się, Mario odjechał z dziećmi do szkoły. Lottie dostała się w końcu do domu, zdjęła idiotyczną błyszczącą sukienkę i wciągnęła na siebie białe spodnie i gładką szarą koszulkę. W lodówce znalazła butelkę zimnej wody mineralnej.

- Pamiętasz, gdzie zostawiłaś samochód? - zapytał Tyler, gdy jechali do Cheltenham.

- Oczywiście, że pamiętam. - Lottie poczuła się urażona. Może nie była w stanie określić dokładnie, gdzie zaparkowała, ale przecież wiedziała, na którym parkingu.

- To dobrze. Tylko sprawdzam. Tu niedaleko jest stacja benzynowa - Tyler wskazał brodą przed siebie - gdybyś chciała kupić coś na ból głowy.

Lottie połknęła w domu trzy paracetamole i wypila pół litra wody, więc teraz heroicznie powiedziała:

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku.

Co było oczywiście absurdalnym stwierdzeniem. Zaoferowała szefowi swoje wdzięki, spotkała się z uprzejmą odmową, ale nawet tego nie zauważyła, i na domiar złego zasnęła pijackim snem na sofie w jego salonie. Spójrzmy prawdzie w oczy - czy można znaleźć coś, co było mniej „w porządku” niż to wszystko?

- Telefon - podpowiedział Tyler, gdy z torebki leżącej u stóp Lottie rozległ się przyduszony dźwięk.

- Witaj, bogini! - To był Seb. W jego głosie rozbrzmiewała niestosowna radość.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się Lottie, która wprawdzie nie czuła się tego ranka jak bogini, ale i tak ucieszyła się z jego telefonu.

- Spędziłaś noc z tym swoim przerażającym szefem?

- Nie miałam wielkiego wyboru.

- Mam nadzieję, że zachowywał się przyzwoicie. Ze nie próbował skorzystać z sytuacji i zmusić cię do podziwiania jego wdzięków...

- Nie, nie, nic podobnego. - Lottie przycisnęła telefon z całej siły do ucha, żeby nie słycać było słów Seba.

- Ale ma względem ciebie jakieś zamiary? To w końcu twój szef. A ty masz niesamowity tyłek. Pewnie niełatwo mu się skupić na pracy, gdy ty...

- On tu jest - przerwała Lottie. - Obok mnie. Seb zaśmiał się.

- Ma chłop szczęście. Dzwonię, bo chciałbym się dziś z tobą spotkać.

- Dzisiaj? - O rety! To jej schlebiało, ale nie była pewna, czy uda jej się przekonać Maria, by zajął się Natem i Ruby przez drugą noc z rzędu.

- Nie wiem, czy uda mi się znaleźć opiekunkę do dzieci - powiedziała z grymasem niepokoju na twarzy.

- To możesz przyjść z dziećmi. - Seb wcale się nie przejął. - Na Błoniach jest wesołe miasteczko. Myślisz, że miałyby ochotę?

Czy miałyby ochotę na wycieczkę do wesołego miasteczka? Czy on żartował?

- Byłyby zachwycone. Jesteś pewien, że ci to nie przeszkadza? - Lottie była lekko wytracona z równowagi i dopiero teraz zauważyła, że Tyler stał na skrzyżowaniu i czekał na wskazówki. - Przepraszam. W lewo, a potem druga w prawo za tą niebieską ciężarówką. Um, słuchaj, zadzwonię za moment, dobrze? Jedziemy po mój samochód.

Seb przerwał.

- A ten twój szef, spałaś z nim?

- Nie!

- Czy on to słyszał?

- Tak - odpowiedział Tyler. - Słyszał.

- Pogadamy potem. - Lottie pośpiesznie zakończyła rozmowę, obawiając się, że Seb za chwilę powie coś niestosownego.

- Skręć w lewo za kwiaciarnią. Jesteśmy prawie na miejscu.

- Wygląda na to, że umówiłaś się na wieczór na randkę - powiedział Tyler bezbarwnym tonem.

Czy to miało dla niego znaczenie? Naprawdę? Poczła ucisk żalu, bo gdyby miała wybierać, nie wybrałaby Seba. Ale przecież to był dylemat czysto teoretyczny. Była matką i dzieci podjęły decyzję za nią. Dreszcz podniecenia mieszał się w jej żołądku z bladym strachem, gdy myślała, że wieczorem będzie musiała przedstawić Seba Natowi i Ruby. A jeśli znienawidzą go tak samo, jak znienawidziły Tylera?

- Na to wygląda - powiedziała, nie zdradzając emocji.

- Nie. Nie ma mowy. Nie mogę tego zrobić - oznajmił stanowczo Seb. - Wszystko, tylko nie to.

- Ale musisz. - Śmiejąc się głośno i ciągnąc Seba za rękę, Ruby przeszła obok stoiska z rzutkami. - Zmuszę cię do tego.

Seb zaparł się nogami w ziemi.

- Nie zmusisz.

- Czemu nie?

- Chcesz wiedzieć, czemu nie? Dobrze, powiem ci. Powód pierwszy: bo będę pisał jak dziewczyna - wymieniał

Seb, licząc na palcach. - Powód numer dwa: będę płakał jak dziewczyna. I powód numer trzy: będzie mi niedobrze. Nat ciągnął go za drugie ramię.

- Nie będzie. Musisz tam wejść razem z nami. Mamo, powiedz mu.

- Musisz - powiedziała Lottie do Seba - bo ktoś powinien tu zostać i zaopiekować się pluszakami, a opieka nad pluszakami to nie jest zajęcie dla dorosłego mężczyzny.

Seb pozwolił się zaciągnąć do Pociągu z Duchami, a Lottie usadowiła się na trawie, żeby na nich poczekać. Kolorowe światła wesołego miasteczka błyszczały i wirowały wokół niej, a ona wdychała wyraziste zapachy hot-dogów, smażonej cebuli, jabłek na patyku i oleju napędowego. To niewiarygodne, że Seb bez żadnego wysiłku zaskarbił sobie łaski obojga dzieci w przeciągu dwóch godzin. A właściwie w przeciągu dwóch minut. Już przy powitaniu zauważyła błysk sympatii. Na pewno pomogło to, że sam był ojcem. Zachowywał się przy nich

swobodnie, był zrelaksowany, zabawny i z zainteresowaniem słuchał tego, co mówią. Widać było, że dobrze bawił się w ich towarzystwie, ale nie próbował wyrzucić na nich żadnego szczególnego wrażenia. To wystarczyło, a reakcja dzieci przerosła jej najśmielsze oczekiwania. Ostatnie godziny były objawieniem. Nie wiedziała, że mogą z takim entuzjazmem i radością bawić się z mężczyzną, który nie był ich ojcem.

Jaskrawozielony pluszowy dinozaur wywrócił się na jej nogę. Lottie posadziła go prosto obok włochatego świecącego pomarańczowego pająka i ogromnej fioletowej świni, którą wygrali na strzelnicy. Jak mocno błyszczały oczy Nata i Ruby, gdy Seb wyciągnął portfel i wręczył każdemu z nich banknot dziesięciofuntowy! Próbowwała protestować, ale nalegał. „W przeciwnym razie to nie będzie sprawiedliwe” - wyjaśnił. „Boja nie zaprzestane, dopóki nie zdobędę fioletowej świni”.

I nie zaprzestał. W przypadku Seba porażka nie wchodziła w grę. Pomimo że zdobycie tej tandetnej zezowatej świnki w ostatecznym rozrachunku kosztowało go około pięćdziesięciu funtów. Kiedy straganiarz w końcu mu ją wręczył, Nat zapytał: „A jak ją nazwiesz?”. A Seb na to: „Wiesz, mam siostrę, która ma na imię Tiffany...”.

- O Boże, nigdy więcej - jęczał Seb, gdy się pojawił, znowu ciągnięty przez Nata i Ruby. - To było okropne. Tam były prawdziwe duchy.

- Bał się - oznajmił z dumą Nat. - A ja nie.

- Dobrze, to teraz inna przejażdżka. Ta. - Seb wskazał na ustrojstwo, którego Lottie najbardziej się bała, maszynę poruszającą się z zawrotną prędkością w górę i w dół.

- Chciałabym pójść - poklepała pluszowe zabawki - ale ktoś musi się nimi opiekować. Idźcie. Zostanę tutaj i popatrzę.

Seb popatrzył na Nata i Ruby i skrzywił się.

- Wasza mama się boi.

- Nie boję się - powiedziała Lottie. - Naprawdę. Uwielbiam takie huśtawki, ale...

- Ja bałem się Pociągu z Duchami - powiedział spokojnie Seb - i popatrz na mnie. Przetrwiałem.

- Aleja...

- Żal mi tych dzieci. - Potrząsnął głową i odwrócił się do Nata i Ruby. - Dzieci, żal mi was. To musi być okropne mieć mamę, która się wszystkiego boi.

- Już ci mówiłam - zaprotestowała Lottie. - Ktoś musi przypilnować tego, cośmy wygrali.

- Tak. Ktoś musi. - Seb chwycił włochatego pająka, jaskrawozielonego dinozaura i fioletową świnkę. Pomaszzerował w stronę jeżdżącej w górę i w dół maszyny, posłał obezwładniający uśmiech w stronę dwóch nastolatek, zamienił z nimi kilka słów i wręczył im zabawki. - Ale to nie musisz być ty - powiedział, wracając.

Po huśtaniu w górę i w dół przyszedł czas na karuzele i autka. Do dziesiątej udało im się zaliczyć wszystkie atrakcje wesołego miasteczka. Wygrali jeszcze kilka pluszowych zabawek i zjedli niewyobrażalną ilość jabłek na patyku, cukrowej waty i frytek z sosem curry.

- To było cudowne - westchnęła w ekstazie Ruby, gdy wracali przez pole do miejsca, w którym zostawili samochód. - Dzięki, Seb.

- To ja wam dziękuję - odpowiedział z powagą Seb - za opiekę w Pociągu z Duchami.

- Kiedy znów się razem gdzieś wybierzemy? - Nat popatrzył na niego z wyczekiwaniem.

Lottie skrzywiła się w ciemnościach - cóż za obcesowość! Ale czego można wymagać od siedmiolatka? Z drugiej strony było to pytanie, na które sama chciała poznać odpowiedź.

- Rzecz w tym, że nie wiem, czy wasza mama ma na to ochotę - powiedział Seb.

- A czemu nie? Pewnie, że ma.

- A może stwierdziła, że mnie nie lubi? Natowi wydało się to nieprawdopodobne.

- Nie, nie stwierdziła. Lubi cię. Prawda, mamo?

- Widzisz? - powiedział Seb, bo Lottie zawahała się, szukając sensownej odpowiedzi. - Próbuje być miła, bo nie chce zranić moich uczuć, ale myślę, że w głębi serca kocha kogoś innego.

- Kogo? - Oczy Ruby zrobiły się okrągłe jak spodki. Seb ściszył głos do szeptu.

- Tysona. Chyba tak ma na imię. To jej szef.

- Niece! - Nat wydal z siebie okrzyk pogardy. - Ona go nie lubi. Nie pozwolimy jej.

- Ma na imię Tyler - dorzuciła Ruby z satysfakcją - i nie nawidzimy go.

- Ruby! - zaprotestowała Lottie.

- Ale to prawda!

- Wasza mama może mnie nie lubić - powiedział Seb. - Jeszcze tego nie wiemy. Mówiła wam coś?

- Kiedy pytaliśmy, jaki jesteś, mówiła, że miły - odpowiedziała usłużnie Ruby, z błyszczącymi oczyma.

- Hm, to chyba dobry początek.

- I że jesteś przystojny.

No, super, pomyślała Lottie.

- To mi schlebia. - Seb potargał włosy Ruby. - Ale to nie znaczy, że jej się podobam.

- Ależ tak. Mamo - polecił Nat - powiedz Sebowi, że go kochasz.

- Nat, przestań! - Całe szczęście, że było ciemno.

- Czemu nie? Wielkie nieba.

- Bo... bo to nie są rzeczy, które dorośli tak po prostu sobie mówią.

- Ale możemy jeszcze raz wybrać się gdzieś z Sebem? Możemy, prawda?

Przez Lottie przebiegły ciarki. Czuła się zażenowana, jak nigdy dotąd. A Seb się z niej śmiał! Łobuz!

- Jeśli on się zgadza, ja też się zgadzam.

- Punkt dla mnie! - zapał z zachwytu Seb, zacisnął pięści i wykonał kilka szybkich bokerskich ruchów.

- Weź mnie na barana! - Nat wdrapał się na niego, a Seb umiejętnie wrzucił go sobie na plecy i pognał przez pole. Nat trzymał się go kurczowo i wydawał z siebie okrzyki pełne zachwytu.

- Strasznie fajny! - powiedziała Ruby, obserwując, jak robią duże kółko i zawracają. - Bardzo go lubię.

- Hm, widzę. - Lottie niezobowiązująco kiwnęła głową, ale w głębi czuła przyływ energii jak po wypiciu Red Bulla, który dodaje skrzydeł.

- Moja kolej! - krzyknęła Ruby, gdy Nat zszedł na ziemię. Seb podciągnął ją do góry i ruszył cwałem.

- Lubię Seba - wyznał Nat, wsuwając brudną i ciepłą rękę w dłoń Lottie. - Jest miły. I prawie taki fajny jak tata.

- Tak. - Lottie poczuła ucisk w gardle. Być może wszyscy właśnie znaleźli mężczyznę swoich marzeń.

Rozdział 39

Następnego wieczoru Nat zrobił coś, co spowodowało, że serce Lottie skurczyło się z niepokoju. On i Ruby leżeli na brzuchach na podłodze w salonie i toczyli ostrą rozgrywkę w makao, kiedy Nat, zastanawiając się nad kolejnym ruchem, odruchowo podrapał się za lewym uchem. Lottie zeszytniała, przypominając sobie nagle, że zrobił to już kilka razy w czasie gry, ale dopiero teraz dotarło do niej prawdopodobne znaczenie tego gestu.

- Oj, mamó, nie przeszkadzaj. - Lottie zsunęła się na podłogę i ujęła jego głowę w swoje dłonie, a Nat próbował uwolnić się z uścisku. - Wygrywam.

Lottie zignorowała jego protesty. Wstrzymawszy oddech, zaczęła gorączkowo rozdzielać jego ciemne włosy, łudząc się, że drapanie niekoniecznie oznaczało to, o czym...

- Cholera!

- Mamó! - powiedział Nat z zachwytem. - Ty przekleś!'

- Przepraszam, przepraszam, myślałam, że powiedziałam to tylko w myślach. - Ciągłe klęcząc, Lottie usiadła na piętach i wydała z siebie jęk przerażenia. - Och, Nat. Ty masz wszy.

Nat wzruszył ramionami, do maksimum skoncentrowany na grze w karty.

- Tak myślałem - powiedział. Lottie zbladła.

- Tak myślałeś? To dlaczego nic nie powiedziałeś? Znów wzruszenie ramion.

- Zapomniałem. Kilka osób w mojej klasie też ma wszy. Dostaliśmy o tym list do rodziców w zeszłym tygodniu.

- W zeszłym tygodniu! Nie dałeś mi żadnego listu! Nat gniewnie zmarszczył brwi.

- Znalazłem tego rozgniecionego żuka na boisku, pamiętasz? Użyłem listu, żeby go pozbić, zawinąć i pochować.

- A ja też mam wszy? - Ruby nie lubiła, gdy ktoś inny niż ona znajdował się w centrum uwagi. Przyczołgała się po dywanie i położyła głowę na kolanach Lottie. Tym razem potwierdzenie najgorszego zajęło nie więcej niż pięć sekund.

- Tak. - Lottie miała ochotę wybuchnąć płaczem.

- Super! Czy to znaczy, że nie będziemy chodzić do szkoły?

- Nie, nic podobnego. To oznacza długie godziny czesania.

- Mamo, ty też możesz mieć wszy - powiedział usłużnie Nat.

Chryste Panie!

Lottie zerwała się na równe nogi i pobiegła na górę. Stary metalowy grzebień na wszy leżał z tyłu szafki w łazience. Po dziesięciu minutach nerwowego czesania przekonała się, że jej fryzura była wolna od nieproszonych gości. Ale to nie był koniec zmartwienia, bo przecież istniało prawdopodobieństwo, że następną nieświadomą ofiarą mógł być Seb.

W zasadzie to było nie tylko teoretycznie możliwe, ale wielce prawdopodobne. Lottie zamknęła oczy i przypomniała sobie zabawy Seba i dzieci na wesołym miasteczku ostatniej nocy. Gdy siedzieli ściśnięci na huśtawkach. Gdy Seb kucał przy Nacie, by wyjaśnić mu, jak się mierzy do celu i strzela na

strzelnicy. Kiedy woził Ruby na barana, a ona, piszcząc z zachwytu, ścisnęła go mocno za szyję, a jej długie kręcone włosy opadały na jego głowę.

Lottie wzdygnęła się. Musiała powiedzieć Sebowi. Boże drogi, jak on zareaguje? Był facetem, do tego pięknym i zadbanym. Na pewno ogarnie go skrajne obrzydzenie i ucieknie przerażony, z przekonaniem, że ona i jej zawszone dzieci nigdy się nie myją. Może nie będzie chciał jej więcej widzieć. I, szczerze mówiąc, trudno mu się będzie dziwić.

Po dwóch godzinach, trzech kąpielach i litrowej butelce odżywki, Lottie wyczesła dzieciom włosy tak dokładnie, że odpadały jej ręce. Ale przynajmniej w tej chwili nie miały na głowach żadnych insektów. Nat oczywiście błagał, by pozwoliła mu zatrzymać złapaną wesz w pudełku od zapalek, ale to było poza dyskusją.

Teraz, po zmienieniu pościeli i zapakowaniu dzieci do łóżek, przyszła kolej na rzecz, której najbardziej się obawiała. Zło konieczne, myślała Lottie, czując obezwładniający niepokój, ale zdecydowana zrobić to, co należało. Zacisnęła biały pasek szlafroka, zwinęła się w kłębek na sofie i wybrała numer komórki Seba.

Niech się dzieje, co chce.

- Halo!

Nie byto słyszeć wyraźnie i głos osoby, która odebrała, trzeszczał w słuchawce, ale był to na pewno głos kobiety. Przez głowę Lottie przemknęła myśl, że Seb ją okłamał i był żonaty. Ale gdy cienki głosik powtarzał w kółko „Halo, halo, kto mówi?“, dotarło do niej, kto odebrał telefon.

- Cześć. Czy mogę rozmawiać z Sebem?

- Jest teraz bardzo zajęty. Lottie?

- Tak. - Lottie poczuła się irracjonalnie zadowolona z faktu, że siostra Seba zna jej imię.

- Cześć, Lottie. Tu Tiffany. Czy to coś pilnego?

- No, tak, dosyć. Um...

- Jedziemy autostradą M5 i Seb prowadzi. Nie pozwalam mu rozmawiać przez telefon, gdy zajmuje się jazdą. Inaczej już dawno by się zabił. Więc powiedz mi, proszę, o co chodzi, a ja mu przekażę.

Pedantyczna Ciotka Klotka, pomyślała z irytacją Lottie. Przecież nie może powiedzieć jej o wszach!

- Wiesz, to właściwie może poczekać, nie martw się. - Udało jej się zabarwić głos nutką obojętności. - Powiedz Sebowi, że zadzwonię później, dobrze? Pa.

Rozłączywszy się, Lottie ukryła rozpaloną twarz w dłoniach. Dlaczego takie rzeczy przytrafiały się właśnie jej? Po trzech jałowych latach totalnej samotności wreszcie spotkała człowieka, który jej się podobał i który nie tylko odwzajemnił jej sympatię, ale również świetnie dogadywał się z Natem i Ruby. Spędzili wczoraj cudowny, niezapomniany wieczór w wesołym miasteczku, podczas którego Seb obsypał ich pieniędzmi i otoczył czułością. I co dostał w zamian? Wszy.

Zadzwonił telefon.

- Cześć, to znowu ja. Seb powiedział, że nie możesz trzymać go w takim napięciu. Wiesz, jaki on jest niecierpliwy. Mówi, że musi natychmiast wiedzieć, co się stało.

W żaden sposób Lottie nie była w stanie wymyślić przekonującego kłamstwa, które usprawiedliwiłoby ten nagły telefon. A niech tam. Może nawet łatwiej powiedzieć to przez kogoś, jak wtedy, gdy jest się w szkole i ktoś ci się podoba, ale nie masz odwagi powiedzieć mu o tym wprost.

- Halo! Halo! Jesteś tam jeszcze? - świergotała Tiffany.

- Tak, jestem. - Lottie wzięła głęboki oddech. To było jak skok na bungee. - Chodzi o to, że z przykrością muszę powiedzieć, że moje dzieci mają wszy. Co oznacza, że Seb też je może mieć, więc powinien... hm, się obejrzeć.

- Tak? Przepraszam, przejeżdżaliśmy pod mostem. Powtórz, proszę.

- Wszy! - zawołała Lottie.

- Co to jest? Nie wiem, o co chodzi. - W głosie Tiffany słyhać było zdumienie, jakby nigdy wcześniej nie słyzała tego słowa. Była na nie zbyt wytworna. Wychowała się zapewne w warunkach, w których nie doświadczało się takich wątpliwych przyjemności.

- Chodzi o wszy na głowie, gnidy - wyjaśniła niechętnie Lottie. Jak okropnie brzmiało to słowo! Przywodziło na myśl coś lepkiego i wijącego się.

- Co takiego? MÓWISZ POWAŻNIE? O BOŻE, JAKIE TO OHYDNE! - zawyła Tiffany, a w telefonie rozległo się trzeszczenie, jakby potrząsała słuchawką, bojąc się, że wypełzną z niej zastępy wszy. - FUJ! JAK MOGŁAŚ COŚ TAKIEGO ZROBIĆ! JEŚLI SEB ZŁAPAŁ JE OD CIEBIE, TO ZNACZY, ŻE JA TEŻ JE MAM?!

W tle słyhać było głos zdezorientowanego Seba. - Co? Co takiego? - powtarzał.

- Proszę, pozwól mi porozmawiać z Sebem.

- Nie, nie możesz rozmawiać z Sebem - wrzasnęła w odpowiedzi Tiffany. - Mówiłam ci, że prowadzi samochód. O Boże, niedobrze mi, czuję się taka brudna! To nie do zniesienia!

- Lottie? - To był głos Seba. - Co się dzieje, do diaska? Tiff chce mi wyskoczyć z samochodu. Co ty jej do cholery powiedziałaś?

- FUJ! FUJ! FUJ! - w tle słyhać było głos Tiffany.

- Tiff! - powiedział ostro Seb. - Daj spokój!

Lottie zadrzała. Czowała się jak kobieta, która musi powiedzieć swojemu nowemu chłopakowi, że przypadkowo zaraziła go syfilisem. Albo opryszczką narządów płciowych. Albo AIDS.

- Słuchaj - powiedziała szybko - już powiedziałam, że przepraszam. Ruby i Nat złapali wszy, co oznacza, że ty też możesz je mieć.

- Wszy? - powtórzył Seb. - A niech to jasna cholera!

A więc jednak. Lottie poczuła, że poca jej się dłonie. To było takie upokarzające.

- Dopiero dziś wieczorem to odkryłam, gdybym wiedziała, nie pozwoliłabym im zbliżyć się do ciebie.

- Nie wierzę. Chcesz mi powiedzieć, że cały ten harmider jest o parę wszy? Tiff, weź się w garść. Przecież to nie jest koniec świata.

Lottie wstrzymała oddech. Słyszała irytację w głosie Seba i Tiffany skomlącą w oddali:

- Ale ja czuję się taka brudna.

- Lottie? - odezwał się w słuchawce. - Przepraszam za moją siostrę. O której godzinie kładziesz się spać?

Seb przyjechał o wpół do dwunastej, odstawivszy najpierw Tiffany do domu. Lottie otworzyła frontowe drzwi, a on stał tam w zielonej płóciennej koszuli i dżinsach, z błyszczącymi oczyma i promiennym uśmiechem.

- Witaj, bogini. Przejeżdżałem i postanowiłem wpaść po grzebień na wszy.

Lottie miała ochotę go uściskać.

- Tak mi przykro.

- Nie opowiadaj głupstw. To się zdarza. - Wszedł do salonu. - Miałem już kiedyś wszy - powiedział. - I Tiffany też, jeśli chcesz wiedzieć. Ale to było dla niej takie traumatyczne przeżycie, że wymazała je z pamięci.

- Dlaczego to było traumatyczne przeżycie? - Lottie posadziła go na krześle na środku pokoju i zarzuciła mu biały ręcznik na ramiona.

- Bo nabijałem się z niej chyba przez rok. I powiedziałem o tym wszystkim jej znajomym.

- To było podłe. - Lottie pieczołowicie rozdzielala jego jasne włosy i czesała osobno każdy kosmyk.

- Miałem wtedy dziesięć lat. A poza tym, ona o wszystko się wkurza. Na tym polega bycie bratem.

Lottie uśmiechnęła się.

- Myślałam, że nie będziesz chciał mnie więcej widzieć.

- Hej. - Seb objął ją swawolnie ramieniem w talii. - Nie pozbędziesz się mnie za pomocą kilku pełzających robaczek. Znalazłaś coś?

- Na razie nic.

- Wiesz, podoba mi się to. Cudnie mnie pielęgnujesz. Lottie, której to zajęcie też się podobało, zrobiła krok w tył.

- A ty mnie obmacujesz.

- Chyba właśnie dlatego tak mi się to podoba. - Seb chwycił ją ponownie i przyciągnął do siebie, sadzając ją sobie na kolanach. - Wiesz, że jeszcze cię nie pocałowałem?

Przez ciało Lottie przebiegł dreszcz oczekiwania - tak się składa, że ten drobny szczegół nie umknął także jej uwadze.

- To dlatego, że masz wszy. Fuj! - powiedziała.

- A mam?

- W zasadzie żadnej nie znalazłam. - Lottie pomachała grzebieniem. - Ale i tak musisz sobie kupić taki grzebień. Na wszelki wypadek. Musisz...

- Czesz mnie jeszcze. Tak, wiem - powiedział Seb, potrząsając głową. - Najpierw wrzucasz mi kostki lodu za koszulę. Potem twoje dzieci sprzedają mi wszy. A pocałunku jak nie było, tak nie ma. Muszę ci powiedzieć, że to najbardziej konwencjonalny związek, w jakim kiedykolwiek byłem.

- A czy to takie złe? - Lottie nie mogła oderwać oczu od jego ust. Miał najbardziej czarujący uśmiech na świecie.

- Właściwie to mi się podoba. To, że nie jesteś jak inne. Ale jest coś, co chciałbym zrobić...

Pocałował ją tak umiejętnie, jak Lottie się spodziewała. Owinęła ręce wokół jego szyi i, wciąż trzymając grzebień, oddała pocałunek. O tak, teraz było lepiej. Może nie czuła takiego przyływu adrenaliny, jak wtedy, gdy całowała Tylera, ale nie można się spodziewać takiej gorączki za każdym razem, prawda? I przynajmniej byli zupełnie sami i nikt ich nie obserwował - żadne dzieci od Jenkinsów nie czaiły się na drzewie i nie śledziły

ich, jak wtedy, gdy całowała się z Tylerem przed Fox Cottage. Tyle było potem zamieszania...

- Jesteś piękna. - Lewa ręka Seba rozpoczęła wędrówkę po jej ciele, gdy szeptał te słowa. Lottie chwyciła ją, zanim wspięła się do góry pod jej zieloną bluzą.

- Nie? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Nie teraz.

- Dlaczego?

Lottie zastanawiała się, czy to go do niej zniechęci. Był rozczarowany? Spodziewał się, że zostanie na noc pełną miłosnych uniesień? Tym gorzej.

- Nat i Ruby mogą się obudzić - powiedziała.

Z jedną brwią uniesioną do góry Seb przypominał Rogera Moore'a.

- Czy to prawdziwy powód, czy jesteś zbyt uprzejma, by mi powiedzieć, że jestem równie atrakcyjny co wiadro pomij?

Lottie z uśmiechem zgarnęła z jego czoła jasne kosmyki i jeszcze raz go pocałowała.

- Moje dzieci nie są przyzwyczajone do widoku obcych mężczyzn w moim łóżku. Nie chcę ich przestraszyć. I nie byłabym w stanie się zrelaksować.

- A więc nie będzie seksu. Tylko wszy. - Seb z ponurą miną potrząsnął głową. - Mogę się założyć, że Mickowi Jaggerowi to się nigdy nie przydarzyło.

- Przepraszam. - Lottie miała nadzieję, że Seb nie będzie się starał jej przekonać, by zmieniła zdanie.

- Hej, nie ma problemu - uśmiechnął się. - Nie musimy się spieszyć. Dajmy dzieciom czas, by przyzwyczały się do mojej obecności.

Gdy stała w progu i machała do niego na pożegnanie, słowa Seba wirowały jej w głowie. Nie muszą się spieszyć i mogą dać dzieciom czas, by przyzwyczały się do obecności Sebastiana Gilla. Czy to oznaczało, że miał poważne zamiary?

Rozdział 40

Było ciepłe, słoneczne piątkowe popołudnie we wrześniu, ale Kressida miała wrażenie, że to Boże Narodzenie. Żołądek ścisnął się jej z podniecenia. Tym razem wszystko musi pójść dobrze. Robert i Sasza byli zachwyceni, że Kressida zabiera JoJo na weekend. Za godzinę miała wrócić ze szkoły i ruszą razem autostradą M5. Aby właściwie uczcić tę niezwykłą okazję, sprawdziła nawet ciśnienie w oponach i kupiła zapasową saszetkę płynu do spryskiwaczy. Jeśli jej widok okaże się dla Toma rozczarowaniem, będzie przynajmniej mógł podziwiać jej lśniąca od czystości przednią szybę.

Sama myśl o ponownym spotkaniu z Tomem przyprawiała Kressidę o przyjemne palpacje serca. Napięcie w niej rosło - po raz piętnasty w ciągu dziesięciu minut spojrzała na zegarek i obejrzała swoje odbicie w lustrze na toaletce. Zaczęła bawić się koronkowymi rękawami białej koszuli. Ulubiona koszula, nowa jasnoróżowa szminka, nowa różowa aksamitna kamizelka... To było dziecinne, ale Kressida nie potrafiła nic na to poradzić. Kto wie, może właśnie w tej chwili Tom z obłądem w oczach przeczesuje sklepy w Newcastle w poszukiwaniu nowego swetra lub nowej pary butów, którymi chciałby oczarować Kressidę.

Czy mężczyźni robią takie rzeczy?

W każdym razie trzeba się skoncentrować. Jest parę rzeczy do zrobienia. Zapięta walizkę, zniosła ją na dół i postawiła w wąskim korytarzu. Spojrzała na ściągawkę. Musiała jeszcze zapakować plik kartek i zanieść je na pocztę. I podlać kwiatki. Potem wybrać płyty do słuchania w trakcie podróży i włożyć do torebki kilka gum do żucia, które umilą podróż.

Ale najpierw trzeba było wymieszać koncentrat płynu do spryskiwaczy z wodą i wlać go do pojemnika pod maską. Kressida napełniła w kuchni plastikowy dzbanek wodą z kranu i ostrożnie oderwała róg saszetki. Z jeszcze większą ostrożnością wlała turkusowy płyn do dzbanka z wodą i zamieszała roztwór łyżką. To była jedna z tych rzeczy, które doprowadzały Roberta

do szału, gdy byli małżeństwem - gdyby tu teraz był, wywracałby z niedowierzaniem oczami widząc, że ktoś może być tak niemądry, żeby przebierać się w najlepsze ciuchy, mając przed sobą potencjalnie brudną robotę.

Ha, ale nie było go tu i nie miało to żadnego znaczenia. Bardzo z siebie zadowolona, Kressida wzięła w obie ręce dzbanek i poszła w stronę drzwi.

Hałas, który się rozległ, był tak nagły i niemal tak głośny jak wystrzał z karabinu. Coś głucho uderzyło w kuchenną szybę i Kressida wydała z siebie okrzyk przerażenia. Ramiona jej zdrząły, a przez głowę przebiegła błagalna myśl: „Nie na ubranie, tylko nie na ubranie!”. Perspektywa katastrofy była tak przerażająca, że zapomniała o tym, co robi i wypuściła z rąk dzbanek. Turkusowa woda chlusnęła z koziołkującego dzbanka i rozlała się po kuchennym stole. Wyciągając ręce w desperackiej próbie pochwycenia go, Kressida krzyknęła „Nieee!”. Miała wrażenie, że widzi wszystko w zwolnionym tempie. To był koszmar. Cała siła ataku skierowała się na białe pudełko zawierające kartki. Pudełko nie było przykryte, bo nie wydrukowała jeszcze faktury, która miała być wysłana z zamówieniem. Zamówieniem, które bezwzględnie musiało zostać nadane dziś po południu.

Konsekwencje tego, co się stało, były tak okropne, że musiała minąć chwila, by Kressida zdała sobie z nich sprawę. Przyglądając się sobie w stanie głębokiego szoku, stwierdziła, że na jej ubraniu nie wylądowała ani jedna kropla turkusowego płynu.

Ale kartki... kartki były całkowicie zniszczone. Każda z nich. Dłonie jej drżały, gdy podciągnęła rękawy i wyjęła pierwszy z brzegu starannie ułożony plik. Na każdej z kartek widniał ręcznie wykaligrafowany srebrny napis: „Emily- Jane już tu jest!”. Każdą zdobiły pieczołowicie przyklejone bładoróżowe piórka marabuta, srebrne koraliki, błyszczące cekiny i posypana brokatem siateczka. Na frontowej stronie każdej kartki Kressida narysowała niemowlę w łóżeczku i

ozdobiła wszystkie brzegi różową aksamitną wstążką. Były to najbardziej wymyślne kartki, jakie kiedykolwiek przyszło jej zrobić. Praca nad jedną trwała pół godziny, a było ich osiemdziesiąt.

Ale to nie był koniec. Nie chodziło tylko o to, że było to najbardziej lukratywne zamówienie, jakie Kressida kiedykolwiek miała zrealizować, o nie. Zamówienie zostało złożone przez właściciela znanej w Wielkiej Brytanii sieci sklepów z kartkami okolicznościowymi, człowieka, który nie zadowolił się pierwszym z brzegu pomysłem i wykonaniem. Jego żona w wieku czterdziestu dwóch lat i po licznych próbach zapłodnienia *in vitro* właśnie urodziła pierwsze dziecko. Fakt, że wybrali akurat ją, by zrobiła kartki obwieszające szczęśliwe narodziny Emily- Jane, był dla Kressidy pochlebstwem i wyróżnieniem. Spełnienie ich oczekiwań było sprawą życia i śmierci, bo Kressida nie miała wątpliwości, że niezrealizowanie zamówienia równałoby się odmowie dalszej współpracy. Nie miałyby szans sprzedawać swoich kartek w jego sklepach. A to z kolei spowodowałoby dramatyczne obniżenie jej zarobków i podcięcie skrzydeł firmie, którą prowadziła.

Poruszając się jak we śnie, i z jednej strony zdając sobie sprawę, co oznaczał ten wypadek, a z drugiej strony nie przyjmując tego do wiadomości, Kressida zostawiła ociekającą wodą stół i wyszła do ogródka za domem, by zobaczyć, co spowodowało ów niezwykły łomot, w efekcie którego rozlała wodę.

Na kamiennej ścieżce leżał nieżywy szpak. Oczy miał otwarte, a głowę wygiętą pod nieprawdopodobnym kątem. Widocznie leciał sobie beztrąsko, gdy napotkał szybę, uderzył w nią i zginął na miejscu. Jakie to smutne! Był piękny i zdrowy, a tu bach, bum, i po nim.

Kressida schyliła się i podniosła biedne, ciągle jeszcze ciepłe ciało. Narobiło tyle kłopotu, że powinna czuć do niego niechęć. Z drugiej strony, gdyby ten ptak mógł jeszcze myśleć, miałby pełne prawo czuć niechęć do niej, W końcu go zabiła. W porze

obiadowej spędziła okrągłą godzinę, pucując okna pierwszy raz od roku. Szpak, zwiedziony na manowce brakiem plam i brudu, nie przewidział, że może tam być szyba. Była morderczynią i powinna wyciągnąć wnioski z tej lekcji. Mycie okien - tak w domach, jak i w samochodach - oznaczało kłopoty.

Z oczu Kressidy trysnęły łzy, gdy tuliła w dłoniach drobne, miękkie ciałko.

A więc już po weekendzie.

Znowu.

- A może ja do ciebie przyjadę? - zaproponował natychmiast Tom.

- To nie ma sensu. Odtworzenie kartek zabierze mi cały weekend. Będę pracować bez przerwy - mówiła Kressida, potrząsając głową. - Musiałam zadzwonić do tego człowieka, który złożył zamówienie i powiedzieć mu, że nie dostanie kartek przed wtorkiem. Możesz sobie wyobrazić, że nie był zachwycony.

- Gdybyśmy przyjechali do Hestacombe, moglibyśmy ci pomóc robić kartki - przekonywał ją Tom z nadzieją w głosie. - Skończyłabyś dwa razy szybciej.

O Boże, to bardzo miłe, że proponował pomoc, ale Kressida wiedziała, że nie może się zgodzić. Ludzie sądzą, że wystarczy przykleić to czy tamto na kawałek kartonu. I że nie wymaga to żadnych umiejętności. Tymczasem stworzenie kartek, z których każda byłaby profesjonalnie wykonana i nie wyglądała jak dzieło czterolatka z programu dla dzieci, było dużo trudniejsze niż mogło się wydawać. Ilekroć JoJo oferowała swoją pomoc w realizacji zamówienia, Kressida musiała udawać zachwyt nad jej dziełami, a po wyjściu dziewczynki bez słowa wyrzucać je do kosza na odpadki. Ale Tom nie miał dwunastu lat i nie mogłaby go w ten sposób oszukać.

- Tom, to bardzo miłe z twojej strony, ale to niemożliwe. Musimy odpuścić sobie ten weekend. Bardzo mi przykro.

- Nie przejmuj się. - Głos Toma w słuchawce brzmiał obco i oschle, ale to pewnie dlatego, że zadzwoniła do niego do pracy.

- Nie ma problemu. Może innym razem.

- Bardzo się cieszyłyśmy na ten wyjazd. - Kressida chciała, by wiedział, co czuła.

- Tak. No cóż - chrząknął. - My też.

Znów wyczuła ten obcy ton. Był na nią zły, że zepsuła mu plany? Czując się bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek, Kressida zdała sobie sprawę, że mimo wszystkich niemądrych fantazji, które snuła, znała Toma Turnera za mało, by odpowiedzieć na to pytanie.

- Ciociu Kress! To ja. Przepraszam, że przeszkadzam.

Kressida oparła się i rozprostowała bolące plecy. Był piątek, wpół do dziesiątej w nocy. Właśnie skończyła ósmą kartkę. Jeszcze tylko siedemdziesiąt dwie.

- W porządku, kochanie. Gdzie jesteś?

- W sypialni. Mama i tato zaprosili przyjaciół na kolację. No, nie prawdziwych przyjaciół - poprawiła się JoJo. - Jakichś ludzi z pracy. Wiesz, o co mi chodzi.

Biedna JoJo została relegowana do swojego pokoju, podczas gdy dorośli siedzieli na dole i z powagą omawiali cele strategiczne firmy. Robert zdawał się być mocno wytrącony z równowagi, gdy Kressida zadzwoniła, by mu oznajmić, że ona i JoJo nie wyjadą jednak na weekend.

- Jadłaś kolację? - Wiedziała, że nie powinna się martwić o takie rzeczy, ale Robert i Sasza potrafili być w tych sprawach bardzo beztroscy.

- Wszystko w lodówce było dla gości, więc zjadłam sobie pizzę w moim pokoju. Była dużo lepsza niż to, co oni jedzą - powiedziała z zadowoleniem JoJo. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Tom był bardzo zmartwiony, bo myślał, że wymyśliłaś tę historię ze zniszczonymi kartkami, ale już wszystko jest dobrze, bo wie, że to się naprawdę stało.

Kressida zaniemówiła.

- Słucham?
- Myślał, że się wykręcasz. Wiesz, takie „Przepraszam, nie mogę się z tobą spotkać, bo muszę umyć głowę”, albo coś w tym rodzaju. Bo nie chciało ci się jechać taki kawał do Newcastle albo nadarzyła ci się lepsza atrakcja, czy coś takiego. Mężczyźni są tacy wrażliwi na swoim punkcie, prawda?
- Chwileczkę - wymamrotała Kressida. - Skąd o tym wszystkim wiesz?
- Z nowego numeru mojej gazety. Jest tu artykuł o tym, jak chłopcy się denerwują, gdy...
- Nie, nie. Chodzi mi o to, skąd wiesz, co myślał Tom.
- Aha. Donny mi powiedział.
- Zadzwoił do ciebie? - zapytała rozbawiona Kressida.
- Przysłał mi sms- a. Takiego gburowatego, jak on sam - powiedziała z uśmiechem JoJo tonem matki, która zwykła pობłażać swojemu zadziornemu synowi w jego nastoletnich humorach. - Napisał, że to nie jego interes, ale czy to prawda z tymi zalanymi kartkami. Więc odpisałam, że oczywiście prawda i czy sądzi, że kłamiesz, na co on napisał, że nie, ale jego tata jest kompletnie zdołowany i zastanawia się, co się naprawdę dzieje. Więc ja napisałam, że ty też jesteś załamana i że kiedy przyszłam do ciebie po szkole, to płakałaś.
- Och, JoJo, nie zrobiłaś tego! - Każdy miesiąc w ciele Kressidy ścisnął się jak ślimak zanurzony w soku cytrynowym.
- A dlaczego nie? Przecież to prawda. Płakałaś.
- Czy nigdzie w tym przeklętym magazynie JoJo nie było napisane, że nie było przyjęte informować przedstawicieli płci przeciwnej, że zalewamy się z ich powodu łzami? Ze płacemy rzewnie, gdy nie możemy się z nimi spotkać?
- Płakałam, bo szpak się zabił - zmyślała Kressida.
- Ciociu Kress, przecież wiesz, że to nieprawda. I nie musisz się martwić, bo tata Donny'ego bardzo się rozchmurzył, gdy mu Donny o tym powiedział. Teraz już wszystko jest jasne - powiedziała energicznie JoJo - i zaczęliśmy planować następną

randkę. W następny weekend Donny ma jakąś nudną wycieczkę do Belgii, ale potem możemy się spotkać.

- Ee... super - powiedziała słabym głosem Kressida.

- OK, rozłączę się, żeby nie przeszkadzać ci w kartkach. - Aha, jeszcze jedno - przypomniała sobie JoJo. - Pomyśleliśmy, że może oni powinni przyjechać teraz do nas. Może tak będzie łatwiej. Powiedziałam, że masz dość pokoi, żeby ich przenocować.

Rozdział 41

Był początek października. Przyszła jesień. Powietrze było dużo chłodniejsze i wiał porywisty wiatr. Z drzew spadały kasztany i turlały się jak bule po całym tarasie. Freddie, stojąc w oknie salonu w Hestacombe House, spoglądał na ogród, w którym Nat i Ruby biegali w tę i z powrotem po usłanym liśćmi trawniku, próbując zebrać jak najwięcej kasztanów. Uśmiechnął się, widząc ich dziecięcy entuzjazm, rozwiane włosy i zarumienione policzki.

- O czym myślisz? - Lottie weszła za nim do salonu, niosąc tacę z herbatą.

- Ja? Myślę, jakim jestem szczęściarzem. - Freddie odwrócił się i skierował w stronę skórzanej sofy. - Właśnie przeżyłem moje ostatnie lato. Wiesz, nie chciałbym paść trupem bez żadnego ostrzeżenia. Lubię mieć świadomość, że oglądam wszystko po raz ostatni. To daje mi szansę, żeby wszystko docenić.

Rozmawiali ze sobą już tak wiele razy, że Lottie nie czuła żadnej niezręczności, gdy mówił o przyszłości.

- Może to jeszcze nie jest ostatni raz. Zdarza się, że guz przestaje rosnąć.

- Może, ale mój nie przestał. Miałem wczoraj jeszcze jedną tomografię - powiedział Freddie, biorąc do ręki filiżankę herbaty, którą mu naląła. - Lekarz powiedział mi, że muszę się przygotować na gwałtowne pogorszenie. W zasadzie uznał, że

mam cholerne szczęście, iż przetrwałem tak długo bez bardziej znaczących symptomów. Co już zresztą sam odkryłem. Szczególnie po wczorajszej wizycie w szpitalu i oczekiwaniu w poczekalni.

Lottie popatrzyła na niego.

- Nie chcę tego słuchać, ale i tak mi powiesz.

- Był tam pewien mężczyzna z żoną. Ma na imię Tim i ma takiego samego guza, jak ja - powiedział Freddie. - Porusza się na wózku, ponieważ ma sparaliżowaną prawą połowę ciała. Niewyraźnie mówi. Nie kontroluje czynności fizjologicznych. - Przerwał. - Ma trzydzieści jeden lat i dwoje dzieci w wieku dwóch i czterech lat. Dlatego uważam siebie za szczęściarza.

- Och, Freddie. Życie jest takie niesprawiedliwe - jęknęła sfrustrowana Lottie. - Dlaczego mi nie powiedziałeś, że jedziesz na tomografię? - Potrząsnęła głową. - Mogłam pojechać z tobą.

- Nic by to nie pomogło na mojego guza, ciągle bym go miał - powiedział miękko Freddie. - Nie da się wypowiedzieć zaklęcia i sprawić, by zniknął. A poza tym nie możesz się ciągle urywać z pracy. Jest za to coś innego, co chciałbym, żebyś dla mnie zrobiła.

- Co tylko chcesz - powiedziała bez wahania i wyprostowała się. Freddie czuł, że gdyby poprosił ją, by przepłynęła dla niego Kanał La Manche albo wdrapała się na Mount Everest, dałaby z siebie wszystko.

- Spróbuj raz jeszcze poszukać Giselle. - Gdy to powiedział, coś ścisnęło go w gardle. Czas uciekał, a wczorajszy dzień jasno mu o tym przypominał. Ale to nie oznaczało, że przestał marzyć o spotkaniach z bliskimi mu osobami.

- Dobrze, poszukam. Ale myślę, że powinniśmy zatrudnić profesjonalną agencję. Tam będą wiedzieli, jak ją namierzyć, mają swoje sposoby...

- Może, może... Ale spróbuj sama jeszcze raz. - Freddie wiedział, że zachowuje się nierozsądnie, ale z jakiegoś bliżej niesprecyzowanego powodu chciał, by to Lottie odnalazła Giselle. - Wiesz, rozmawiałem wczoraj z Tylerem i zgodził się,

bym wypożyczył cię na jeden dzień. Pojechałabyś do Oksfordu i rozejrzała się. Może tam się czegoś dowiesz.

- Dobrze, pojedę. - Nat zastukał o szybę tak gwałtownie, że Lottie aż podskoczyła. Otworzyła okno i pomogła najpierw jemu, a potem Ruby przejść przez parapet do salonu.

- Ma pan najlepsze kasztany - powiedział do Freddiego podekscytowany Nat - Uzbieraliśmy całą furę. - Pogrzebał w wypchanym worku i wyciągnął okazały okaz. - Proszę, może go pan zatrzymać, jeśli pan chce.

- Dziękuję. To bardzo miłe z twojej strony. - Freddie wziął do ręki błyszczący kasztan i zważył go w dłoni. - Ten jest najlepszy?

- Nie - powiedział Nat. - Najlepsze są w moich kieszeniach.

- Mądry chłopak. - Freddiego rozbawiła uczciwość Nata. - Ja też to, co najlepsze, trzymam w kieszeniach. - Wsunął w dłoń dzieci monety jednofuntowe.

- Freddie - upomniała go Lottie. - Oni są już wystarczająco rozpuszczeni.

- Nie jesteśmy - wyszeptał Nat.

- Weź pióro - Freddie zwrócił się do Lottie. - Podam ci tyle informacji o Giselle, ile pamiętam.

- A kto to jest Giselle? - zainteresowała się Ruby.

- To była moja dziewczyna, kiedy byłem młody.

- Kochał ją pan?

- O tak.

- I całowaliście się?

- Bardzo często.

- To takie romantyczne. Gdzie ona mieszka? Freddie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że uda nam się ją odnaleźć.

- Jak moją piłkę do nogi. - Nat pokiwał ze zrozumieniem głową. - Kopnąłem ją za płot i tyle ją widziałem. Myślę, że ktoś ją ukradł.

- Pan Freddie nie kopnął swojej dziewczyny za płot, głupku. I nikt jej nie ukradł. - Myśląc intensywnie, Ruby odwróciła się do Freddiego. - Chce pan, żeby ona znowu była pana dziewczyną? Dlatego jej pan szuka?

Freddie i Lottie spojrzeli na siebie.

- Nie, nic podobnego. - Freddie z trudem stłumił uśmiech. - Ale chcę ją jeszcze raz spotkać, zobaczyć, jak jej się wiedzie.

- I kto tu jest głupkiem? - Nat popatrzył na Ruby z triumfalnym wyrazem twarzy. - Po pierwsze on jest za stary, żeby mieć dziewczynę. A po drugie, na pewno już dawno znalazła sobie kogoś innego.

Wiał silny wiatr, padało i na dodatek wszystko wskazywało na to, że Giselle Johnston i jej rodzina zostali porwani przez kosmitów i wywiezieni na inną planetę. Chodząc po zalanych deszczem ulicach Oksfordu i walcząc z parasolką, która w porywach wiatru wywracała się na lewą stronę, Lottie zdała sobie sprawę, jaka jest zasadnicza różnica między miastem a wioską. Gdyby za czterdzieści lat ktoś przyjechał do Hestacombe i zapytał o nią, sąsiedzi na pewno powiedzieliby mu, gdzie teraz mieszka i co robi. Po prostu wiedzieliby.

Ale tu było inaczej. Giselle mieszkała z rodzicami w zwykłym wiktoriańskim domku szeregowym na Cardigan

Street w północnej części miasta. W ostatnich latach dzielnica ta stała się bardzo modna wśród młodych, ambitnych biznesmenów i developerów, więc większość domów była tak odremontowana, że trudno było je poznać. Lottie przez ostatnie dwie godziny wędrowała od drzwi do drzwi i rozmawiała z wieloma pnącymi się po szczeblach drabiny społecznej matkami małych dzieci i z jeszcze większą liczbą niań i opiekunek, zajmujących się owymi dziećmi, podczas gdy ich matki robiły karierę zawodową. Nowi sąsiedzi w ogóle się nie znali, a szanse zdobycia informacji o rodzinie, która mieszkała na tej ulicy czterdzieści lat temu, były równe zeru.

Zajrzawszy przez frontowe okno pod numerem 247, Lottie zapukała do drzwi i chwilę poczekała, nie mając nadziei na jakikolwiek odzew. Mieszkańców nie było, a poza tym Lottie czuła, że było mało prawdopodobne, by osoba, która przystroiła salon w nowoczesne kolory węgla i srebra, mogła wiedzieć cokolwiek o rodzinie Johnstonów.

Odwróciła się na progu i przygotowała na kolejne uderzenie deszczu, który padał w tej chwili pod takim kątem, że wciskał się pod jej parasol. Ulicą zbliżała się szybko w jej kierunku mała, pulchna osoba odziana w jaskrawoniebieską kurtkę przeciwdeszczową i dźwigająca w rękę czarny worek na śmieci. Lottie, spodziewając się, że kobieta minie ją i pójdzie dalej, zdziwiła się, gdy ta otworzyła furtkę pod numerem 274 i zbliżyła się o niej.

- Dzień dobry - powiedziała życzliwie do Lottie. - Mogę w coś pomóc?

Musiała mieć około siedemdziesiątki. Stojące sztywno loczki siwych włosów, pomarańczowa szminka i ciekawskie wejrzenie mówiły Lottie, że ma do czynienia z energiczną osobą.

- Mieszka pani tutaj? - Mówiąc to, Lottie dostrzegła w jej ręku klucz.

- Chyba pani żartuje, a skąd. - Kobieta wzniosła do góry oczy. - Zaglądała pani przez okno? Tam jest jak w rakiemie kosmicznej. Czy ja wyglądam na osobę, która chciałaby mieszkać w rakiemie?

- Noo, nie.
- Proszę, niech pani wejdzie i rzuci okiem.
- Tak, już widziałam - przyznała się Lottie.
- Więc co pani tu robi? Czymś pani handluje?
- Nie, szukam kogoś.
- Przykro mi, złotko, ale pan Carter jest teraz w pracy.
- Nie chodzi mi o pana Cartera. Próbuję odnaleźć kogoś, kto mieszkał na tej ulicy czterdzieści lat temu. Giselle Johnston.

Kobieta włożyła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

- Giselle? Tak, pamiętam ją. Wyglądasz jak zmokła kura, złotko. Chcesz wejść na filiżankę czegoś ciepłego?

Kobieta miała na imię Phyllis i mieszkała trzy ulice dalej. Mieszkała tam całe swoje życie. Była już babcią, ale pracowała dwa dni w tygodniu, sprzątajac domy.

- Jest pani pewna, że pan Carter nie miałby nic przeciwko temu? - Woda spływała z Lottie strumieniami, tworząc kałuże na nieskazitelnie białej podłodze w kuchni.

- Czego oko nie widzi, tego sercu nie żal. Daj mi, złotko, swoją kurtkę. Boże, jesteś przemoczona do suchej nitki!

Phyllis miała rację. Zdjęła z siebie płaszcz przeciwdeszczowy, a cytrynowożółty sweterek, który miała pod spodem, był zupełnie suchy. Zdarzają się w życiu chwile objawienia. Właśnie teraz Lottie zdała sobie sprawę, że porządny płaszcz przeciwdeszczowy, jakkolwiek mało seksowny, był bardzo użyteczną częścią garderoby.

- Pracuje w agencji reklamowej - mówiła Phyllis. - Każdego ranka wychodzi z domu o siódmej trzydzieści i nie wraca przed szóstą. Przychodzę na kilka godzin, kiedy mi pasuje, sprzątam i wychodzę. Świetna praca. Gotówka na rękę. Byłam z mężem na rejsie po Morzu Śródziemnym w zeszłym roku.

- Pierze pani dla niego? - zapytała Lottie, bo Phyllis zaczęła wyładowywać zawartość czarnego worka do suszarki bębnowej.

- Nie, złotko. Czasami suszę tu moje rzeczy. To miły facet, nie miałby nic przeciwko temu. - Nagle Phyllis zamarła w bezruchu. - Ale nie jesteś z Urzędu Skarbowego? - zapytała z niepokojem.

- Teraz to pani żartuje - powiedziała dotknięta do żywego Lottie. - Czy wyglądam, jak urzędniczka ze skarbowki?

- No to siadaj. Zaparzę herbatę. - Włączyła suszarkę i zaczęła napełniać czarny czajnik o nowoczesnym, aerodynamicznym kształcie. - Więc o co chodzi z tą Giselle?

Nareszcie.

- Mam przyjaciela, który znał kiedyś Giselle. Chciałby się z nią spotkać. Nazywa się Freddie Masterson - powiedziała Lottie

i pomyślała, że może Phyllis klepnie się w uda i zawoła: „Freddie Masterson? Kto by się spodziewał! Jak się miewa stary, kochany Freddie?”.

Ale nie było klepania po udach. Zamiast tego Phyllis zacisnęła pomarańczowe usta.

- A, on - powiedziała. - Nic dziwnego, że wysłał cię do tej niewdzięcznej roboty.

O rany!

- Dlaczego?

- Bo gdyby ją odnalazł, nie mógłby się spodziewać ciepłego przyjęcia. Możesz być tego pewna. Pamiętam Freddiego. Złamał tej dziewczynie serce. Biedactwo, niczym nie zasłużyła sobie na takie potraktowanie. Ile chcesz kostek cukru?

- Dwie - Lottie z podnieceniem startła krople deszczu z twarzy. - On naprawdę żałuje, że ją skrzywdził. Czy ona gdzieś tu mieszka? - To było takie ekscytujące! Może uda się jej spotkać dziś z Giselle i namówić do przyjazdu do Hestacombe...

- Nie, złotko. Wyjechała do Ameryki. Chcesz mleka? Do Ameryki. O kurczę! Lottie kiwnęła głową.

- Utrzymuje pani z nią kontakt? Phyllis potrząsnęła głową.

- Mówię o tym, co zdarzyło się prawie czterdzieści lat temu. Znałyśmy się, ale nie byłyśmy przyjaciółkami. Spotkała jakiegoś Amerykanina ze śmiesznym nazwiskiem i zaręczyła się z nim. Wyjechali do Stanów, żeby się pobrać. Potem nic o Giselle nie słyszałam. Jej rodzice też się wyprowadzili - ale teraz już na pewno nie żyją.

Cóż. Coś zawsze było lepsze niż nic. Lottie wyjęła ze swojej przemoczonej torebki notatnik i pióro.

- Pamięta pani to śmieszne nazwisko?

- Za dużo się spodziewasz, złotko. To było polskie nazwisko. Zaczynało się na „K”. A kończyło na - owski. Pomiedzy były jakieś pokręcone sylaby. Kiddliddliowski? Coś w tym rodzaju. To ci w czymś pomoże?

Okazuje się, że jednak nie zawsze coś jest lepsze niż nic. Żeby nie urazić Phyllis, Lottie zapisała „Kiddliddliowski” w swoim notatniku.

- Pamięta pani, jak miał na imię?

- Nie, złotko. Tom, Ted, Dan - coś takiego. Nigdy go nie spotkałam. Proszę, wypij herbatę. I poczęstuj się ciasteczkami.

- Dziękuję - Lottie wzięła do ręki czekoladowego pieguska.

- Nie kojarzy pani, dokąd dokładnie w Ameryce pojechali?

Phyllis zmarszczyła brwi, jakby chciała wydusić odpowiedź z zakamarków mózgu. - Czy to mogło być... Toronto?

Jej mózg nie był przyzwyczajony do tak intensywnej pracy.

- Czy jest w okolicy ktoś, kto mógłby mi pomóc? - Lottie ciągle wierzyła, że cud jest możliwy.

- Przykro mi, złotko, ale nikt mi nie przychodzi do głowy. Wszystko się tu zmieniło. Nie ma nikogo z dawnych sąsiadów. Ojej, czas na mój program. - Zerknąwszy na futurystyczny zegar na ścianie, Phyllis wyjęła pilota z metalowej miski na owoce i włączyła przenośny telewizor.

- Cóż, bardzo dziękuję. Bardzo mi pani, hm... pomogła. - Lottie wypila do końca herbatę i przełknęła ostatni kęs ciastka. Włożyła do torebki notatnik i wcisnęła ręce w rękawy przemoczonej kurtki. A więc cud się nie wydarzy. Gdyby to wszystko działo się w filmie, Phyllis w ostatniej chwili powiedziałyby: „Ojej, na śmierć zapomniałam. Przecież wiem, jak odnaleźć Giselle”. Ale to nie był film, a sprzątająca domy Phyllis, żując trzeciego pieguska, siedziała pogrążona w zawiłościach kolejnego odcinka *Sąsiadów*.

- Pójdę już - powiedziała Lottie.

- Dobrze, złotko. Miło było cię spotkać. Gdy zobaczysz Freddiego Mastersona, możesz mu ode mnie powiedzieć, że jest starym łobuzem. I że to bardzo dobrze, jeśli nie odnajdzie Giselle Johnston.

Rozdział 42

- Jesteś starym łobuzem i bardzo dobrze, jeśli nie odnajdziesz Giselle.

Freddie zachichotał, ale w jego oczach czaił się smutek.

- Dobra stara Phyllis. Zawsze mówi to, co myśli. I pewnie ma rację.

Siedział przy wypolerowanym dębowym biurku w swoim biurze, otoczony papierami. Lottie wyjęła kartkę formatu A4.

- Znajdziemy Giselle - powiedziała. - Zrobiłam, co mogłam, ale teraz przyszedł czas, żeby skontaktować się z profesjonalistami. Tu jest lista firm zajmujących się poszukiwaniem zaginionych ludzi. Wybierz którąkolwiek z nich, a jestem pewna, że odnajdą Giselle w mgnieniu oka. Pomyśl, może ona od czterdziestu lat czeka, żeby rzucić w ciebie talerzem.

- Albo przejechać po mnie walcem. To bardziej prawdopodobne. Jesteś rozczarowana, że jej nie znalazłaś? - Freddie oparł się wygodnie w fotelu na kółkach.

- Wiesz, że tak. Oboje bardzo się staraliśmy.

- To nic. Mam tu jeszcze jedną osobę. Tym razem powinno być łatwiej. - Kąciki ust zadrżały mu z rozbawienia, gdy ujrzał, z jaką ciekawością Lottie rzuciła się na notatnik, który jej podsunął. - Nazywa się Amy Painter.

- Następna dziewczyna? Jak słowo daję, myślisz, że kim jesteś? Jackiem Nicholsonem? - mamrotała Lottie, zapisując nazwisko.

- Jest mniej więcej w twoim wieku.

- Freddie! Ty chyba naprawdę myślisz, że jesteś Jackiem Nicholsonem!

- Amy nie jest moją dziewczyną. - Oczy Lottie rozszerzyły się podejrzliwie. - Ani moją córką - dodał pośpiesznie.

- Och. - Lottie powachlowała się notatnikiem. - Bogu dzięki. Przez chwilę tak właśnie pomyślałam.

- Amy ci się spodoba. Wszyscy ją lubią. Może nawet ją rozpoznasz? - powiedział Freddie. Jestem pewien, że już się kiedyś spotkałyście.

Gdy Lottie dziesięć minut później wychodziła z domu, Freddie zapytał:

- A, jeszcze jedno. Jak ci leci z tym nowym facetem?

- Świetnie. - Lottie lekko się zarumieniła, bo poprzedniej nocy Seb po raz pierwszy spał w Piper's Cottage. Spędzili razem noc i kochali się dwa razy. - Dobrze się bawimy. A dzieciaki go uwielbiają.

- Muszę się z nim spotkać i dokładnie mu się przyjrzeć. Żeby zobaczyć, czy na ciebie zasługuje.

- O tak. To ja nie jestem pewna, czy zasługuję na niego. - Wzruszona troską w jego oczach, Lottie nie mogła pogodzić się z myślą, że może go wkrótce zabraknąć. - Jutro wyjeżdża na trzy tygodnie, żeby zorganizować turniej polo w Dubaju. Ale jak tylko wróci, zaproszę go, obiecuję.

- Czy jeśli pojedziemy do pałacu Blenheim, będziemy mogli się spotkać z księciem i księżną Blenheim?

Lottie starała się ominąć wzrokiem Tylera, który siedział po przeciwnej stronie biura. Państwo Mahoney z Minnesoty przyjechali do Anglii po raz pierwszy w życiu i z całego serca pragnęli poznać kogoś ze szlacheckim tytułem. Zwiedzili już zamek Windsor i czuli się głęboko rozczarowani faktem, że przy frontowej bramie nie czekali na nich królowa Elżbieta i księżę Filip. Jak widać, teraz byli gotowi spuścić z tonu.

- Myślę, że mogą być bardzo zajęci. - Lottie starała się być taktowna. - Ale i tak warto odwiedzić to miejsce. Możecie...

- A Highgrove House? - Maura Mahoney przeglądała swój przewodnik. - Czy Karol będzie w domu?

- Highgrove House nie jest otwarty dla zwiedzających. - Lottie widziała, że Tyler, słuchając jej, uniósł brwi. Gdyby jej nogi były o dwadzieścia stóp dłuższe, kopnęłyby go. Z całej siły.

- Highgrove House? „House” to dom! Karol jest angielskim księciem i nie mieszka w zamku? Powinniście bardziej dbać o

rodzinę królewską - Maura zrugła Lottie. - No to może pałac Gatcombe? Czy jeśli wpadniemy tam, żeby się przywitać, księżniczka Anna da nam swój autograf?

Raczej pokaże wam dwa palce, pomyślała Lottie, poszukując gorączkowo jakiejś atrakcyjnej propozycji.

- Rzecz w tym, że członkowie rodziny królewskiej nie... nie dają... - głos jej się załamał, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i do biura wpadł Seb. - Nie dają autografów.

- Czy ktoś chce mój autograf? - Rozciągnął wargi w szelmowskim uśmiechu i uniósł rękę w stronę Tylera w geście przywitania. - Masz parę minut? - powiedział do Lottie. - Jestem w drodze na lotnisko.

Lottie bezwiednie położyła dłoń na piersiach. Widok Seba, z jego rozwianą arystokratyczną blond czupryną, w tak niespodziewanym momencie wciąż potrafił przyprawić ją o bezdech.

- Jestem teraz zajęta. Możesz chwilkę poczekać?

Maura Mahoney z zachwytem w oczach lustrowała każdy centymetr muskularnego dwumetrowego ciała Seba. Utkwiła wzrok w biało- niebieskiej koszulce z logo klubu polo w Beaufort.

- Przepraszam, że pytam, ale czy gra pan w polo?

- O tak, oczywiście. - Seb popatrzył na przysadzistą kobietę o nadmiernie obfitych kształtach, wciśniętą w spodnie firmy Burberry w rozmiarze 48. - Pani też gra? - zapytał poważnie.

- Oszałał pan? Jestem na to trochę za stara! - Maura zarumieniła się i zatrzepotała mysimi rękami. - Ale pan wygląda na wytrawnego gracza. Nie gra pan przypadkiem z jakimś królem?

- O tak, często. Jesteśmy starymi kumplami. A bo co?

- O B o ż e! Nie mogę w to uwierzyć! - wrzasnęła Maura i zaczęła się energicznie wachlować przewodnikiem turystycznym.

- Co za szczęście! I mówi pan tak, jak on! Proszę wyświadczyć mi największą przysługę na świecie i dać się sfotografować. Albo jeszcze lepiej... - Maura niemal się udusiła, usiłując pośpiesznie

zerwać z szyi Canona. Rzuciła aparat w ręce Lottie. - Masz, słońko, i zrób nam, proszę, kilka zdjęć razem.

Lottie wyprowadziła ich z biura i z poważną miną zrobiła kilkadziesiąt zdjęć pękającej z dumy Maurze i Sebowi. Gdy Maura i jej szalony aparat zniknęły z pola widzenia, Seb chwycił Lottie w pól i przytulił.

- Jezu, czy wszyscy Amerykanie są tacy naiwni?

- Ciii... - Lottie pokazała wymownym ruchem głowy na drzwi do biura, które znajdowały się tylko sześć stóp od nich.

- Co? Aha. - Rozbawiony Seb poszedł w stronę uchylonych drzwi i wetknął za nie głowę. - Przepraszam.

- Nie ma za co - odpowiedział uprzejmie Tyler, ale słychać było, że mówi przez zaciśnięte zęby.

- Jak autobusy. Nie widzisz tu żadnego Jankesa przez całe wieki, a potem dwóch przyjeżdża naraz. - Seb zamyślił się. - Chociaż ja nigdy nie jeżdżę autobusami.

- Nie wiedziałam, że grasz w polo z królem - powiedziała pośpiesznie Lottie.

- O tak, od lat. - W oczach Seba zapaliły się psotne ogniki. - Z Tomem Kingiem i Adamem Kingiem*.

Lottie była bardziej zawiedziona, niż to okazała.

- Nie powiem tego Maurze.

- Sprawilem ci zawód? Znam paru prawdziwych książąt, mówimy sobie „dzień dobry”. - Objął ją ramionami i przyciągnął do siebie. - Czy to oznacza, że nie będziesz za mną tęskniła, gdy wyjadę? To może masz czas na szybki numer, żebyś wiedziała, co tracisz?

Tego było za wiele. Tyler siedział w biurze i słyszał każde słowo, czy chciał tego, czy nie. Próbowwała odciągnąć Seba od drzwi, ale spotkała się z oporem i zrozumiała, że Seb robi to specjalnie.

* *King* (ang.) - król (przyp.tł.).

- Będę tęskniła - próbowała wyszeptać w ucho Seba, ale jemu chodziło o coś innego.

- Pokaż, jak mocno będziesz tęskniła - powiedział głośno.

- Nie. Mam robotę, a ty musisz zdążyć na samolot.

- Chcesz powiedzieć, że masz ochotę, ale jesteś skępowana, bo nie jesteśmy sami. Szef słucha. No dobrze, zapomnijmy o numerku. Pocałuję cię bardzo cichutko, a ty też spróbuj być cicho. Żadnych jęków, dyszenia ani okrzyków rozkoszy. Dasz radę?

Dwie minuty później zabłocony zielony golf odjechał, a Lottie wróciła do biura.

- On żartował. Rozumiesz? To tylko taka zabawa. - To, co mówiła, oczywiście było prawdą, ale i tak brzmiało, jakby się broniła.

- Nic mnie to nie obchodzi - Tyler nawet nie oderwał wzroku od ekranu komputera - dopóki robisz, co do ciebie należy.

- Mówił to wszystko, żeby się przed tobą popisać. Nawet się nie całowaliśmy, nie...

- Lottie, nie musisz się przede mną tłumaczyć. Jesteś dorosła i możesz wybierać, z kim chcesz się spotykać. - Z tonu Tylera można było bez trudu wywnioskować, co sądził o jej wyborze. - Możemy teraz wrócić do pracy?

Był rozdrażniony. A Sebowi doprowadzanie Tylera do szału sprawiało oczywistą przyjemność. Na pierwszy rzut oka można było stwierdzić, że nigdy nie zostaną przyjaciółmi od serca.

- Ale udało mu się sprawić przyjemność Maurze. - Lottie nie potrafiła się powstrzymać od wygłoszenia tego komentarza - zawołowana krytyka Seba była dla niej równoznaczna z krytyką jej umiejętności wyboru właściwego mężczyzny.

- Jasne - kiwnął głową Tyler. Rozległ się dzwonek telefonu.
- Odbierzesz, czy ja mam to zrobić?

Cztery dni później, gdy Lottie wróciła do biura z Beekeeper's Cottage, w którym właśnie ulokowała nowo przybyłą rodzinę, zastała Tylera w towarzystwie dziennikarki z magazynu

turystycznego. Kobieta przeprowadzała z nim wywiad i mimo iż pierwszą młodość miała daleko za sobą, flirtowała z nim bez opamiętania. Chudy fotograf, czekając na swoją kolej, siedział na biurku Lottie, zjadał jabłko i czytał swój horoskop we wczorajszej gazecie.

- Tak, to chyba wszystko. - Dziennikarka uśmiechnęła się, a na jej policzkach pokazały się kokietyjne dołeczki. Rozplatała wymyślnie ułożone nogi i pochyliła się, by wyłączyć magnetofon. - Wspaniale, b a r d z o dziękuję. Davey, teraz twoja kolej.

Davey ziewnął, odłożył jabłko i wziął do ręki aparat. Jemu na pewno nie pokazałyby się kokietyjne dołeczki, nawet gdyby bardzo się starał.

- W tym momencie zwykle pytamy rozmówców, czy chcą spojrzeć w lustro i poprawić coś w swoim wyglądzie - zaświergotała - ale zapewniam pana, że w jego przypadku nie jest to konieczne.

- To jest Lottie - powiedział Tyler. - Moja asystentka.

- Świetnie. Gdzie by tu pana ustawić? Może zaczniemy tutaj, a potem pójdziemy do domków?

- A co z Lottie? - zapytał Tyler. - Chciałaby pani, żeby ona również pojawiła się na zdjęciach?

Lottie ucieszyła się w duchu. Może to nieskromne, ale uwielbiała być fotografowana. Kiedy Freddie był tu szefem, zawsze brała udział w sesjach fotograficznych.

- Nie, myślę, że nie. - Dziennikarka nie dała fotografowi czasu na odpowiedź. - Wolalabym skupić się na panu.

A to jedza! Brzydka jak noc ze swoimi nieogolonymi nogami wciśniętymi w brązowe rajstopy. Lottie miała ochotę zapytać, czy nie potrzebuje kosiarki.

- OK. - Tyler beztrudno wzruszył ramionami, nie zdając sobie sprawy, że jego odpowiedź wywołała oburzenie Lottie. Nie mogła uwierzyć, że zupełnie się nią nie przejął. Czy nie widzi, że właśnie ją zlekceważono? Jak może być taki ślepy? Spojrzała na niego wymownie.

- Co? - spytał ze zdziwieniem.
- Nic. - Zirytowana, wzruszyła ramionami, naśladując jego gest.
- To dobrze. - Odwrócił się. - To gdzie mnie pani chce?
- Och - zawołała zalotnie dziennikarka. - Proszę mi nie zadawać takich pytań!

Żałosna, szpetna, włochata czarownica. Tym razem Lottie nie potrafiła się powstrzymać.

- Wygląda, że to miłość od pierwszego wejrzenia. Cóż, nie będę przeszkadzać - powiedziała, kierując się do wyjścia.

- Och, byłbym zapomniał - zawołał za nią Tyler. - Dzwonił twój chłopak. Powiedział, że zadzwoni jeszcze raz później, ale żebyś się grzecznie zachowywała.

To był z pewnością następny dowcip Seba. Gdyby chciał, mógł przecież zadzwonić na jej komórkę. Ale Seb był Sebem i wolał przekazać wiadomość przez Tylera.

- Nie ufa jej? - zapytała konfidencjonalnym tonem Włochata Nóżka, gdy Lottie wychodziła z biura. - Muszę powiedzieć, że mnie to nie dziwi. Moim zdaniem jest jakaś narwana.

Rozdział 43

- Mamo! Telefon!

Lottie leżała w wannie i słuchała dochodzących z zewnątrz odgłosów burzy. Na schodach zadudniły kroki Nata.

Drzwi otworzyły się z hukiem i jej mały synek wpadł do łazienki, ściskając w rączce telefon.

- Oj, mamo! Widzę twoje duże cycki!

- Ciicho! Daj mi to. - Nat jeszcze nie rozumiał, że słychać było to, co mówi, nawet gdy nie krzyczał bezpośrednio do słuchawki. Sięgając po telefon, Lottie już wyobrażała sobie sprośny komentarz Seba.

,- Cześć, przepraszam - powiedziała. - Oj... poczekaj chwilkę... mam szampon w uchu. O, już dobrze.

- To ja. - Głos Tylera sprawił, że telefon niemal wypadł z jej rąk wprost do wanny. - Przepraszam, że ci przeszkadzam, ale mam problem i pomyślałem, że może mogłabyś mi pomóc.

A co, nie wie, jak się pozbyć Włochatej Nózki? Może owinęła ją właśnie wokół jego talii i błaga, by zrobił jej dzidziusia!

- Pomóc w czym? - zapytała ostrożnie.

- Jestem w Harper's Barn. Potrzebuję twojej pomocy. W jego głosie brzmiała jakaś ostra nuta, której nigdy wcześniej nie słyszała. Wyczuła, że niezależnie od słów, które teraz padną, będzie musiała wydobyć się z rozkosznego kokonu pachnącej piany. Kąpielus interruptus. Myśl o gwałtownym wyjściu z gorącej wody przed planowanym czasem była niezwykle bolesna.

- Zamordowałeś kogoś i chcesz się pozbyć ciała? - Gdyby chodziło o Włochatą Nóżkę, pomogłaby mu z rozkoszą.

- Dora sprzątała tu po południu po tym, jak wyjechali państwo Avery - powiedział Tyler. - Pamiętasz perfumy Patrycji Avery?

- Boże, nie przypominaj mi. - Lottie miała wrażenie, że czuje ich smak na koniuszku języka. To był najbardziej obezwładniający zapach stworzony przez człowieka, z ostrą nutą, od której łzawiły oczy i która przywodziła na myśl dzikiego skunksa.

- Musiała rozbić butelkę w największej sypialni. Dora powiedziała, że kiedy weszła, nie dało się odдыchać. Tylko że nie powiedziała, że pootwierala wszystkie okna, żeby pozbyć się zapachu.

- Wszystkie okna? Lukarny też? - Serce zamarto w piersi Lottie.

- No właśnie. A o dziesiątej przyjeżdżają Thompsettowie.

- Wiesz, jestem w wannie.

- Tak, słyszałem - powiedział Tyler. - No to co?

- OK, OK, przyjadę. O, Boże! - Lottie zadrżała, bo do łazienki wskoczył rozebrany do pasa Nat.

- O co chodzi? - zapytał Tyler.

- Ta- dam! - Nat zatańczył niczym Mick Jagger i z zachwytem krzyknął: - Popatrz, mamusiu! Założyłem twój stanik!

W Harper's Bara paliły się wszystkie światła. Gdy wysiadła z samochodu, została nieomal przewrócona przez gwałtowny poryw wiatru, dmący od strony jeziora. Krople deszczu siekły niczym bicz wodny. Znów czuła się, jakby właśnie wyszła z wanny. Wzięła głęboki oddech i, tuląc w ramionach worki z czystą pościelą, pobiegła w górę zabłoconą ścieżką. Wpadła z impetem przez drzwi, które otworzył przed nią Tyler.

- Dziękuję - powiedział. Zamknął drzwi i wziął od niej ciężkie worki z grubej folii.

- Nie ma za co. To moja praca. Chociaż powinnam chyba poprosić o podwyżkę. - Dysząc ciężko, Lottie wytarła krople deszczu z twarzy i schyliła się, by ściągnąć białe- różowe kalosze. Krótka, szara spódniczka przylgnęła do jej ud, ale przecież zaraz wyschnie. Różowy polar też. Chyba rzeczywiście będzie musiała zainwestować w porządny płaszcz przeciwdeszczowy. Na szczęście Tyler włączył wcześniej centralne ogrzewanie i w domu było ciepło.

- Musimy zmienić pościel, powycierać drewniane podłogi i w miarę możliwości wysuszyć dywany. Posprzątałem już w łazience przy sypialni - mówił Tyler, gdy szła za nim do góry po schodach. - Próbowałem skontaktować się z Dorą, ale nie ma jej w domu. Jej mąż powiedział, że to jest jej... wieczór dingo?

- Bingo. - Chyba, że Dora wymyśliła jakąś świetną nową grę, w której brały udział dzikie australijskie psy.

- Bardzo cię przepraszam, ale nie masz prawa uśmiechać się z wyższością. Z nas dwojga, kto ma syna, który lata w staniku?

- W porządku. To może zabierzemy się do pracy? - Lottie położyła przed sobą worek z pościelą i zaczęła rozrywać celofanowe opakowanie. Okna były teraz zamknięte, ale zbieranie wody z dywanów zajmie im dużo czasu.

- Czuję się jak pokojówka - jęknął Tyler, gdy zmieniali pościel na trzecim łóżku.

- Ale przecież cieszysz się, że kupiłeś ten biznes. - Za nic w świecie nie przyznałaby się do tego, ale uważała, że było coś niesamowicie seksownego w mężczyźnie ścielącym łożko. Nie mogła oderwać wzroku od jego dłoni umiejętnie zawijających i wyrównujących potężne granatowe prześcieradła z egipskiej bawełny.

- A więc, kiedy idziesz na kolację ze swoją dziennikarką? - powiedziała, żeby skupić uwagę na czymś innym.

- Przestań - uśmiechnął się Tyler. - Strasznie nachalna. Nie w moim typie.

- Nie? Jej włochate nóżki ogrzałyby cię w mroźną zimową noc.

- Miau.

- Ona zaczęła. - Lottie zaczęła wpychać jedną z poduszek w bawełnianą poszewkę. - Nie chciała mnie fotografować.

- Chciałaś być na zdjęciach? Trzeba było powiedzieć.

- Nie o to chodzi. I powiedziała, że jestem narwana.

- Bo jesteś. - Tyler zabrał się do ubierania kolejnej poduszki.

- Nieprawda - oburzyła się Lottie.

- Czasami jesteś. Ale to nie jest zasadniczo takie złe.

- Co za bezczelność! - Lottie zamachnęła się na niego poduszką. Kiedy poduszka uderzyła w ramię Tylera, zgasło światło.

O cholera.

- Ty to zrobiłaś? - zapytał w ciemnościach jego głos.

- Jeśli jesteś skrzynką rozdzielczą, to tak. - Odłożyła poduszkę i ostrożnie podeszła do okna, które wychodziło na jezioro. Widać było z niego inne domy rozrzucone nad brzegiem. Ale tym razem ciemności nie rozpraszał najdrobniejszy błysk światła. - A niech to szlag! Tylko tego nam było trzeba.

- A więc prądu nie ma w całej wiosce? - Głos Tylera rozległ się tak blisko za jej plecami, że aż podskoczyła. - Nie wiesz, ile to może potrwać?

- Tego nigdy nie wiadomo. Czasem to tylko kilka minut. A czasem kilka godzin. - Odwróciła się i nie wiedząc, gdzie stoi Tyler, czekała, aż jej wzrok przyzwyczai się do ciemności. - Oj, przepraszam. - Jej wyciągnięta ręka otarła się o ciepłe ciało.

- Nie przepraszaj - odezwał się niskim głosem Tyler. Czuła na szyi jego oddech i znów przeniknął ją dreszcz... którego chyba nie powinna odczuwać. - Dzieci są bezpieczne?

- Tak. Zawiozłam je do Maria. Nie zostawiłam ich samych w domu, jeśli to miałeś na myśli.

- To dobrze. - Zamilkł. - Lubią tego nowego faceta? Tego... Sebastiana?

- Uważają, że jest fantastyczny. - Gdy to powiedziała, usłyszała, że westchnął.

- Jacy ludzie są różni...

- Tak po prostu go nie lubisz, czy jesteś zazdrosny? - Gdyby paliło się światło, Lottie nie miałaby odwagi zadać tego pytania. Na kilka sekund zapadła cisza, przerywana przez odgłosy burzy na zewnątrz, świst wiatru i krople deszczu uderzające jak drobne kamyki o trzeszczące okna.

- Uważam, że nie jest ciebie wart - powiedział w końcu Tyler.

- I?

- I nie rozumiem, dlaczego uważasz, że jest taki wspaniały.

- I?

- I chyba tak, jestem trochę zazdrosny, skoro pytasz.

Po jej plecach znów przebiegł ten elektryzujący dreszcz. Trzęsąc się z rozkoszy, zrobiła krok w stronę Tylera. To nie było w porządku i nie powinno jej nawet przyjść do głowy, ale wiedziała, że gdyby Tyler ją teraz pocałował, nie potrafiłaby się powstrzymać i też by go pocałowała. To znaczy, gdyby udało im się odnaleźć swoje usta w nieprzeniknionych ciemnościach.

- Ale jestem pewien, że dobrze o tym wiesz - dodał przeciągle Tyler.

Wzdłuż jej kręgosłupa przebiegł następny dreszcz. Rety, nie miała prawa tak reagować - ona i Seb byli już regularną parą. Ile

razy pouczała Maria, że oszukiwanie jest ohydne. A teraz stoi tutaj i czuje się, jakby wstąpił w nią duch byłego męża. Zachowuje się jak rozpustna dziwka - powinna się wstydzić. Ale kłopot w tym, że poczucie przyzwoitości chyba ją opuściło. Seb jest miły, owszem, ale nie ma wątpliwości, że jej uczucie do Tylera jest dużo silniejsze. W tym momencie była w stanie myśleć tylko o tym, co poczuje, gdy...

„Ding- di- dong- di- du” zakwilił jej telefon, a czar chwili przysł. Oszołomiona sięgnęła do kieszeni polaru i wyjęła komórkę.

- Mamusiu, mamy przerwę w dostawie prądu! - Dzwonił podekscytowany Nat.

- Wiem, kochanie. My też.

- Zgasły wszystkie światła! I telewizor! Nawet PlayStation nie działa!

Lottie uśmiechnęła się.

- Tak się dzieje, gdy jest przerwa w dostawie prądu.

- Toster też nie działa! Ale tatuś mówi, że możemy upiec sobie kromki chleba w kominku! Zaraz to zrobimy. Super, nie?

- Super - zgodziła się Lottie. Tyler odszedł o krok. Odrobina światła z ekranu telefonu oświetliła jego zasmuconą twarz. Rozmawiała z synkiem, a Tyler odsuwał się od niej fizycznie i psychicznie.

Nat wybrał akurat ten moment, aby zadać pytanie kontrolne:

- A wy co robicie w Harper's Barn, skoro jest całkiem ciemno?

Dobre pytanie. Przygotowuję się, by bezwstydnie rzucić się w ramiona najbardziej znenawidzonego człowieka świata, pomyślała Lottie.

- Musimy zebrać z podłogi mnóstwo wody. Będziemy musieli pozapalać świeczki i dalej pracować - oj!

Światła zamigotały i zapaliły się na dobre. Awaria została usunięta. Sypialnia zaślniła oślepiającym blaskiem.

- O nie! - Nat był zrozpaczony. - Włączyli prąd! Nie będziemy mogli upiec chleba w kominku! To był taki fajny pomysł.

- No dobrze - powiedziała Lottie, gdy rozmowa dobiegła końca. - Całe szczęście, że mamy prąd. - Przez ułamek sekundy miała dziką ochotę, jak Nat, żeby powykręcać wszystkie korki i pogrążyć się znów w ciemności. Ale to nie miałyby sensu, bo nastrój i tak prysł. Razem z elektrycznością powróciło poczucie rzeczywistości, a jaskrawe światło podziałało jak kubeł zimnej wody. Lottie odczuwała lekkie zawstydzenie, bo to przecież niemożliwe, by Tyler nie wyczuł jej napięcia i przyśpieszonego oddechu. Przyjrzał jej się uważnie przez chwilę, po czym schylił się i chwycił brzeg kołdry.

- I dobrze - powiedział. - Lepiej się pośpieszmy.

Rozdział 44

Lottie wpadła na Kressidę przed sklepem. Spojrzała do jej koszyka i uniosła brwi.

- Zawsze myślałam, że prędzej kupisz „Panią Domu” niż coś takiego. Możesz się jakoś wytłumaczyć?

Kressida zarumieniła się.

- Tom i Donny przyjeżdżają na weekend.

- I chcesz ich zaprosić na mecz?

- Nie śmieję się. Będą spali w nieużywanej sypialni na dole - wyjaśniła Kressida. - Zmieniłam już pościel i posprzątałam na ich przyjazd, ale nie ma tam nic dla Donny'ego. Gdy się obudzi, może chcieć coś poczytać. A wiem, że lubi piłkę nożną.

- Ma trzynaście lat - powiedziała Lottie. - Pewnie wolałby- ”Playboya”.

- O tak, już widzę, jak wchodzę do sklepu Teda i kupuję egzemplarz „Playboya”. - Kressida skrzywiła się. - A poza tym Donny skończył dopiero trzynaście lat. Na pewno nie jest taki.

Lottie nie miała serca burzyć jej iluzji.

- Żartuję. Będziesz się na pewno świetnie bawić. Przyjeżdżają w piątek wieczorem?

- Tak. - Kressida nawet nie próbowała ukryć podniecenia. - Nie mogę się doczekać. Teraz już nic nie może nam

przeszkodzić. Wiem, że to głupie, ale nie mogę uwierzyć, że znów zobaczę Toma. Od lat nie czułam się taka podekscytowana. Jak nastolatka z utęsknieniem czekająca na szkolną dyskotekę.

- Tylko w odróżnieniu od szkolnej dyskoteki, spróbuj nie upić się jabłecznikiem i nie daj sobie zrobić malinek na szyi.

Kressida była zszokowana.

- Robiłaś takie rzeczy? Przecież na szkolnych dyskotekach nie podawali alkoholu.

Lottie rozczulił fakt, że Kressida była taką ignorantką.

- Oczywiście, że nie podawali. Przynosiłyśmy go z domu i popijałyśmy w szatni. Inaczej nigdy nie wytrzymałybyśmy rywalizacji z chłopcami w konkursach na najdłuższy pocałunek.

- *A propos* pocałunków - powiedziała z uśmiechem Kressida, śledząc wzrokiem nadjeżdżający samochód. - Co słychać w pracy?

Lottie odwróciła głowę, bo ulicą przejeżdżał Tyler. Podniósł dłoń w geście powitania. Jechał do Cheltenham na lunch z okazji wręczenia nagród dla lokalnych przedsiębiorców. Miał na sobie swój ciemnogrnatowy garnitur i nie dano się ukryć, że wyglądał w nim znakomicie.

- Przepraszam cię. Co takiego? - zapytała roztargnionym głosem Lottie.

- To jest odpowiedź na moje pytanie. - Kressida z satysfakcją kiwnęła głową. - Każdemu byłoby się trudno skoncentrować na pracy w takim towarzystwie. To jak etat w cukierni, kiedy jesteś na diecie.

- Trochę tak - zgodziła się ze smutkiem Lottie.

- Więc daj się skusić i uszczknij kąsek. - Kressida już puszczała wodze wyobraźni. - Złap tę czekoladkę i zerwij z niej papierek.

- Ponosi cię fantazja. A poza tym, mam Seba. - Lottie czuła się w obowiązku zwrócić uwagę przyjaciółki na ten drobny fakt.

- I co? Mogę wiedzieć, jak wam jest?

- Dobrze.

- Pod każdym względem? - spytała swawolnie Kressida. Oczywiście chodziło jej o seks. I Lottie musiała sama

przed sobą przyznać, że mimo iż niby wszystko było w porządku, sypanie z Sebem okazało się dużo mniej ekscytującym doświadczeniem, niż się tego spodziewała. Było miło, przyjemnie, ale nie oszałamiająco. Nie doświadczała żadnej eksplozji namiętności. Może potrzebowali więcej czasu. Ale nie mogła tego powiedzieć Kressidzie, to nie byłoby w porządku w stosunku do Seba. Uśmiechnęła się.

- Jest wspaniale - powiedziała.

- To którego wolisz? - nie dawała za wygraną Kressida.

- Szczerze? W skali od jeden do dziesięć? Siedem punktów dla Seba, dziewięć dla Tylera - powiedziała Lottie, zastanawiając się, czy Tyler nie zasłużył przypadkiem na dziesiątkę. - Ale jakie to ma znaczenie, kogo ja wolę? Nat i Ruby uwielbiają Seba. I nie znoszą Tylera. - Wzruszyła ramionami. - To oni podjęli decyzję, ja nie mam wyboru - powiedziała.

- A gdybyś miała wybór? - Kressida chyba miała wątpliwości.

- Hej, jeszcze nie spotkałaś Seba. To nie jest żaden Jaś Fasola. Poczekaj, aż go poznasz. Jest fantastyczny - powiedziała Lottie.

Lottie spisywała ze strony internetowej adresy potencjalnych klientów, którzy zamówili pocztą elektroniczną reklamówki Hestacombe, gdy otworzyły się drzwi i do biura weszła Kate Moss. Oczywiście nie ta prawdziwa Kate Moss, ale osoba tak do niej podobna, że takie skojarzenie natychmiast przyszło Lottie do głowy. Dziewczyna miała długie, kręcone, jasnobrązowe włosy, delikatną twarz w kształcie serca i wyraziste kości policzkowe. Ubrana była w błyszczącą oliwkowozieloną sukienkę, kozaki na wysokim obcasie i szeroki, wełniany, kremowy płaszcz na jaskrawopomarańczowej podszewce.

- Dzień dobry - powiedziała Lottie, mając nieodparte wrażenie, że do biura wkroczy za nią ekipa filmowa, stylistka i wizażystka. - Mogę w czymś pomóc?

- Mam nadzieję. Szukam Tylera. - Dziewczyna mówiła niepewnie, z silnym amerykańskim akcentem. Miała twarz Kate Moss i głos Jennifer Aniston.

- Nie ma go. Pojechał na lunch i rozdanie nagród w Cheltenham. - Lottie podjechała na krzesło do sąsiedniego biurka i wzięła do ręki długopis. - Mam coś przekazać? A może ja będę w stanie pani pomóc?

Dziewczyna z wdziękiem potrząsnęła głową.

- Nie, dziękuję. O której mniej więcej Tyler może wrócić?

- Po południu. Nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie. Proszę podać mi swoje nazwisko, a ja przekażę, że była tu pani - powiedziała Lottie, starając się, by zabrzmiało to profesjonalnie. Mimo że w pytaniu kryło się zwykłe wścibstwo.

Ale dziewczyna znowu potrząsnęła głową i uśmiechnęła się do sfrustrowanej Lottie. Sięgnęła po jedną z broszur, które leżały na biurku.

- Proszę nie zawracać sobie głowy, przyjdę później. Mogę wziąć jedną?

Miała idealne drobne ząbki i uśmiech Audrey Hepburn.

- Proszę bardzo - odpowiedziała Lottie, czując się jak Hagrid.

- Dzięki. Do zobaczenia! - Dziewczyna posłała jej jeszcze jeden uśmiech i z wdziękiem wyszła z biura. Po chwili Lottie usłyszała dźwięk silnika i odgłos odjeżdżającego samochodu. Rzuciła się na biurko, chwyciła telefon i wystukała numer Tylera. Był wyłączony. No tak, był na ceremonii rozdania nagród. Hm, zostawić wiadomość czy nie? Cześć Tyler, mówi Hagrid. Słuchaj, nie wiem, czy to cię zainteresuje, ale była tu absolutnie olśniewająca młoda Amerykanka i pytała o ciebie. Czy co? Czy ładniejsza ode mnie? Kurczę, dużo ładniejsza.

Lottie skrzywiła się, widząc swoje odbicie w ekranie komputera. Może lepiej nie zostawiać wiadomości. To byłoby

nieważne. I tak Tyler niedługo wróci, a wtedy będzie miała szansę dowiedzieć się, kim jest ta dziewczyna.

Dwie godziny później do biura przyszła Ginny Thompsett z Harper's Barn. Przyniosła butelkę Superglue, który pożyczyła, żeby przykleić sobie chwiejący się obcas.

- Naprawione. Dzięki. To moje ulubione buty - powiedziała. - Michael jest oczywiście zachwycony, bo nie musi szukać swojej karty kredytowej i płacić za następną parę.

- Powiedz mu, że potrzebujesz sukienki, która by pasowała do butów - poradziła Lottie. - Żeby jakoś uczcić fakt, że zaoszczędziłaś tyle pieniędzy, bo nie kupiłaś nowej pary.

Ginny roześmiała się.

- Nadajemy na tych samych falach. Słuchaj, dziś wieczorem urządzamy małe przyjęcie, żeby uczcić czterdzieste urodziny Michaela. Przyjedzie jego rodzina z Dursley, bardzo sympatyczni ludzie. Jeśli nie masz żadnych planów na wieczór, miło by nam było, gdybyś przyszła.

Lottie z miejsca polubiła Thompsettów, tym bardziej, że gdy przyjechali w zeszłym tygodniu, nie narzekali ani na wilgotne dywany w sypialniach, ani na wciąż jeszcze unoszący się w Harper's Barn obrzydliwy zapach perfum Patrycji Avery.

- Bardzo bym chciała. - Wieczorem Mario zabierał dzieciaki do kina na jakiś okropny film science fiction, więc zaproszenie pojawiło się w samą porę.

- Przyniosę wino - powiedziała zadowolona Lottie. -

O której mam przyjść?

- Koło ósmej. Myśleliśmy, żeby zaprosić również Tylera - dodała wesoło Ginny.

- To... świetnie! - Bardzo dobrze, pomyślała Lottie. Nat i Ruby tolerowali fakt, że pracowała z Tylerem, bo nie mieli innego wyjścia, ale nie spodobałoby im się, gdyby się dowiedzieli, że spotyka się z nim po godzinach. I dlatego świetnie się składa, że Mario zabiera dzieciaki do kina.

- Mogę zapytać, czy coś jest między tobą i Tylerem? - Ginny przechyliła głowę i patrzyła wyczekująco na Lottie.

- Pracujemy razem. To wszystko. - Im bardziej Lottie starała się nie rumienić, tym bardziej czerwone stawały się jej policzki.

- Może jestem wścibską jędzą, ale myślę, że może być coś jeszcze.

Boże, czy to aż tak rzucało się w oczy?

- Mam innego faceta - powiedziała dzielnie Lottie tonem bohaterki z książek Jane Austen.

- Ach, przepraszam. Nie wiedziałam. To przyjdź z nim.

- Jest w Dubaju.

- No dobrze, to przyjdź sama. Chcesz, żebym ja zaprosiła Tylera, czy ty to zrobisz? - powiedziała Ginny z lekką złośliwością. Chyba nie dała się przechytrzyć.

- To twoje przyjęcie, ty powinnaś go zaprosić. - Lottie miała dosyć - najpierw Kressida, teraz Ginny Thompsett. Naprawdę, Hestacombe było pełne wścibskich kobiet.

- Wrzucę mu kartkę z informacją do skrzynki. - Ginny zamilkła. - A nie wiesz przypadkiem, kim jest ta dziewczyna przed jego furką?

Przed furką Tylera? Serce zamarło Lottie w piersi.

- Jest ładna?

- Bardzo! Ma na sobie niewyobrażalnie piękny kremowy płaszcz. - Ginny gestykulowała z entuzjazmem. - Jadąc tutaj, przejeżdżałam koło Fox Cottage. Siedzi w samochodzie przed jego domem. Ale wiem, że Tyler z nikim się nie spotyka, bo pytałam go o to parę dni temu. To wtedy wymyśliłam, że pasowalibyście do siebie, jak ulał.

Lottie uśmiechnęła się, poruszona.

- Była tu rano i pytała o Tylera - powiedziała.

- Muszę jeszcze skoczyć do sklepu po papierosy. Ale jeśli chcesz - zaofiarowała się Ginny - mogę w drodze powrotnej zapytać, czego tam szuka.

- Nie, dziękuję. I nie martw się, wszystko będzie dobrze. - Ale mówiąc to, Lottie wiedziała, że mówi nieprawdę. Z jej punktu widzenia, obecność nieznanego pięknej dziewczyny przed domem Tylera nie wróżyła niczego dobrego. - Może powinnam sama tam pojechać i sprawdzić, co się dzieje?

Rozdział 45

Burze, które szalały nad Hestacombe przez cały poprzedni tydzień, minęły i roztaczająca się przed oczyma Lottie dolina ukazywała całą urodę regionu Cotswold w środku jesieni. Mieniące się w słońcu drzewa olśniewały bogactwem barw, a opadłe liście chrzęściły pod stopami. Lottie, z rękami w kieszeniach swojej czerwonej kurtki, wspiniała się po zasłanej kolorowym dywanem ścieżce, starając się unikać uderzeń spadających z drzew kolczastych kasztanów, które otwierały się pod jej stopami i ukazywały swoje błyszczące brązowe wnętrza. W poprzek ścieżki przebiegł lis, szukając w wielobarwnej ściółce tropów drobnej zwierzyny i zamiatając rudobrązową kitą wyschnięte liście. W oddali zakrakał gawron, a odgłos jego żalostnej skargi odbił się echem od lśniącej tafli jeziora.

Lottie wstrzymała oddech, gdy dotarła do zakrętu, za którym powinien ukazać się Fox Cottage. Najlepiej byłoby, gdyby Kate Moss znudziła się długim czekaniem i odjechała. Szczytem marzeń byłoby, gdyby znudziła się tak bardzo, że wróciłaby z powrotem do Ameryki. Ale nic z tego. To, co najlepsze, nie miało zwyczaju dźbiać się na życzenie. Szare audi wciąż tam stało. A dziewczyna, której daleko było do szarości, siedziała w fotelu kierowcy.

Kiedy Lottie podeszła do samochodu, dziewczyna spuściła szybę i uśmiechnęła się.

- Wiem, co myślisz, ale naprawdę nie musisz się martwić. Nie jestem szalona i nie mam złych zamiarów.

Tego właśnie Lottie się obawiała. Gdyby była szalona lub miała zamiar nachodzić Tylera, można byłoby łatwo się jej

pozbyć - policyjny patrol i oskarżenie o najście w miejscu prywatnym załatwiłoby sprawę. Ale nie można było oczekiwać, że policja aresztuje dziewczynę tylko dlatego, że jest piękna.

- Mam na imię Liana. - Wysunęła w stronę Lottie szczupłą rączkę z paluszkami delikatnymi jak u Barbie. - Jestem przyjaciółką Tylera.

To była druga rzecz, której bała się Lottie. Nie była dumna ze swoich uczuć, ale nic nie mogła na to poradzić. W towarzystwie Liany nawet Halle Berry mogłaby się poczuć brzydka i przysadzista.

- On się ciebie spodziewa? - zapytała.

- Nie. Chciałam, żeby to była niespodzianka. Zapraszał mnie wiele razy - Liana pośpieszyła z wyjaśnieniem - więc mam nadzieję, że się ucieszy.

Broszura leżała obok niej na siedzeniu pasażera, otwarta na mapie posiadłości. A więc tak znalazła Fox Cottage. W zaistniałych okolicznościach raczej nie mogła kazać tej dziewczynie opuścić parku, mimo że taka perspektywa była bardzo...

- Hej, to może być on! - Oczy Liany zaświeciły się, gdy usłyszała odgłos nadjeżdżającego samochodu. - Boże, jestem taka podekscytowana! To on? O Boże, to on!

Liana otworzyła gwałtownie drzwi i wyskoczyła z taką energią, że nieomal zmiotła Lottie z powierzchni drogi. Ta zebrała się w sobie i obserwowała, jak Liana biegnie w stronę Tylera. Jego reakcja była bardzo ważna - gdyby wystraszył się i próbował zabarykadować w samochodzie, znaczyłoby to, że nie jest w istocie tak miłym gościem, jak jej się wydawało. Lecz gdyby on...

- Hej, a więc jesteś! Nie mogę w to uwierzyć! To niewiarogodne! - Tyler rozłożył ramiona, zamknął Lianę w uścisku i okręcił dookoła siebie. - Tak się cieszę, że cię widzę. Dlaczego nie powiedziałaś mi, że przyjeżdżasz? Boże, niech na ciebie popatrzę! Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek.

- Szsz, zaraz się zarumienię. - Liana, śmiejąc się, przycisnęła śliczny paluszek Barbie do jego ust. - I nie jesteście sami. Nie powinieliście wprawiać ludzi w zakłopotanie.

- Uwierz mi, że nic nie jest w stanie wprawić Lottie w zakłopotanie.

Lottie czuła się jednak niezręcznie, bo Tyler nigdy słowem nie wspomniał o Lianie, a chyba powinien.

- Cóż, zostawię was. Aha... Ginny Thompsett zaprosiła cię na przyjęcie w Harper's Barn dziś wieczorem.

- Nie sądzę - powiedział Tyler. - A poza tym przyjechała Liana. - Popatrzył na nią. - Jak długo masz zamiar zostać?

- Jak długo chcesz. Nie mam innych zobowiązań. - Liana ucisnęła rękę Tylera. - Walizki są w bagażniku.

Lottie wiedziała, kiedy należy przyznać się do porażki. Kimkolwiek była Liana, to ona była panią sytuacji. I może w takim razie dobrze się stało, że nie związała się z Tylerem, jeśli ukrywa przed nią przyjaciółki tego kalibru.

- Powiem Ginny, że nie mogłeś przyjść - rzuciła, odchodząc.

- Dzięki - powiedział z roztargnieniem Tyler. - A ciebie zaprosiła?

- Mnie? Tak. - Lottie przyglądała się Lianie, która otworzyła bagażnik. Wewnątrz znajdowały się cztery potężne jasnoniebieskie walizki.

- Baw się dobrze - powiedział Tyler.

- O, na pewno.

- Miłej zabawy - dorzuciła Liana i radośnie pomachała Lottie na pożegnanie. - Fajnie było cię spotkać. Pewnie nieraz się jeszcze zobaczymy.

* * *

- Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć.

- Co takiego chcesz mi powiedzieć? - Jak zwykle, dźwięk głosu Toma w słuchawce przyprawił Kressidę o szybsze bicie

serca. Uśmiechnęła się, przekonana, że Tom próbuje z nią flirtować. Był piątkowy poranek, a ona siedziała przy kuchennym stole, przygotowując na wieczór placek pasterza.

- Moja mama upadła i złamała biodro - powiedział Tom.

Tym razem serce Kressidy zamarło.

- To żart?

- Bardzo chciałbym, żeby tak było. Leży w szpitalu i jutro będzie miała operację. Jest roztrzęsiona i chce, żebym przy niej był. Nie umiem odmówić.

- To twoja matka. Oczywiście, że musisz przy niej być. - Po policzkach Kressidy spływały dwie wielkie łzy żalu i rozczarowania. Starła je natychmiast zdumiona własnym egoizmem.

- Biedactwo, na pewno jest zdenerwowana. Nie martw się o nas, jedź do mamy. Zrobię dla niej specjalną kartkę z życzeniami powrotu do zdrowia.

- Przepraszam - wyszeptał Tom ze smutkiem.

- Mnie też bardzo przykro. Ale to nie ma żadnego znaczenia. Może zanim nam stuknie dziewięćdziesiątka, zdołamy się spotkać? - powiedziała na pocieszenie.

Gdy odeszła od telefonu, wyładowała swoją wściekłość na worku ziemniaków, leżącym na stole. Wyjmowała ziemniaki po kolei z worka i waliła nimi w kuchenną ścianę.

- Dlaczego ja? - wrzasnęła w końcu i zrobiła unik, bo jeden z ziemniaków odbił się rykoszetem od sufitu i przeleciał kilka centymetrów od jej twarzy. - Dlaczego ja? - To wyglądało jak zabawa szaleńca w wesołym miasteczku. Szaleniec walił kulami, gdzie popadnie, ale nie miał najmniejszej szansy trafić do celu. Następny kartofel uderzył w jej ulubiony kubek do kawy i zrzucił go zgrabnym łukiem do zlewu. Kressida wpadła w furję. Nie dość, że Tom nie przyjedzie, to jeszcze straciła kubek. Chwytała leżące na stole ziemniaki i waliła nimi na prawo i lewo jak opętany gracz w krykieta. - Aaaa - wrzeszczała. - Dlaczego jaaa? Dlaczego? Dlaczego zawsze cholerna, zasnana, przeklęta ja?

Jezu, jak długo dzwoni ten dzwonek?

Dysząc jak dzikie zwierzę, Kressida zamarła w bezruchu. Dzwonek u drzwi wejściowych znów zadzwonił. Ktokolwiek to był, bez wątpienia ją usłyszał. Nie mogła udać, że nie ma jej w domu. Pośpiesznie wytarła twarz, przeczesła palcami wzburzone włosy i zmusiła się do kilku głębszym oddechów.

Dobrze, trzeba zachowywać się normalnie. Może wcale nie wrzeszczała tak głośno, jak jej się wydawało, i osoba przy drzwiach niczego nie usłyszała.

Na progu stał Ted ze sklepu.

- Masz załamanie nerwowe? - Ted podszedł do sprawy z właściwym sobie taktem i finezją.

- Nie, Ted. Wszystko w porządku.

- Mnie się to nie wydawało w porządku. Dartaś się jak potępieniec.

Kressida przybrała z wysiłkiem wyniosłą postawę.

- Przepraszam. Trochę się na coś zdenerwowałam. Już mi lepiej. Czym mogę służyć?

Ted przetarł czoło wielką chustką do nosa.

- Kiedy byłaś w sklepie, pytałaś o ciasto orzechowe i powiedziałem ci, że samochód dostawczy jeszcze nie dojechał.

No więc teraz dojechał. Jeśli chcesz to ciasto, możesz przyjść i wybrać.

Dlaczego patrzył w taki dziwny sposób na coś za jej plecami? Kressida obróciła się i zobaczyła, że dywan w holu usłany jest ziemiakami.

- Bardzo miło, że przyszedłeś mi to powiedzieć, Ted. Ale spodziewałam się gości, a w międzyczasie okazało się, że nie przyjadą, więc ciasto nie będzie mi potrzebne.

Co on sobie o niej myśli? Nie musiała długo czekać, żeby się dowiedzieć. - OK.

- Przykro mi, że zadałeś sobie tyle trudu na darmo. - Jeśli można nazwać przejście kilku kroków ulicą wysiłkiem.

- Nie powiedziałbym, że na darmo. Bardzo się cieszę, że przyszedłem. - Ted przerwał i potrząsnął głową. - Niebrzydka z ciebie kobieta. Od jakiegoś czasu ci się przyglądam...

- Oo!

- Jesteś sama, ja też jestem sam - ciągnął. - Szczerze mówiąc, pomyślałem, że moglibyśmy spróbować, ty i ja. Chciałem zapytać, czy nie poszłabyś kiedyś ze mną na drinka - Ted znów przerwał. Oddychał głośno przez nos. - Ale teraz, kiedy usłyszałem, jakich słów używasz, nie masz szans. Teraz cię nie zaproszę.

- OK. - Skarcona Kressida zamknęła drzwi, poszła do kuchni i podniosła kilka rozrzuconych kartofli. - Całe pieprzone szczęście.

Rozdział 46

Następnego ranka Lottie siedziała w biurze od prawie dwóch godzin, kiedy pojawił się Tyler. Popatrzyła na zegar na ścianie - było za dziesięć jedenasta - i z trudem powstrzymała się od komentarza. Bo to przecież byłoby dziecinne.

- Wszystko w porządku? - Tyler zdjął kurtkę.

Nie wiem, czy w porządku. A spędziłeś noc, uprawiając seks z Lianą?

Ale oczywiście tego też nie powiedziała.

- W porządku - odparła swobodnie. - To była miła niespodzianka, że Liana zjawiła się wczoraj, prawda?

Tyler spojrział na nią wzrokiem, który mówił, że on dobrze rozumie, co kryje się za tym pytaniem.

- To dziwna sytuacja. Liana jest tylko przyjaciółką.

- Wszystko wskazuje na to, że bardzo bliską przyjaciółką.

Tyler podszedł i usiadł na skraju jej biurka. Był zamyślony.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, dlaczego zdecydowałem się tu przyjechać? I dlaczego zostawiłem robotę i Nowy Jork?

- Umarł twój przyjaciel. - Lottie była bardzo świadoma jego bliskości, jego odzianego w dżinsy uda.

- Tak, Curtis - kiwnął głową Tyler. - Mój najlepszy przyjaciel od dzieciństwa. - Przerwał. - On i Liana byli zaręczeni.

Zaręczeni! Uczucie ulgi przetoczyło się przez Lottie jak gorąca fala. A więc ona i Tyler rzeczywiście byli tylko dobrymi przyjaciółmi. Ale... przecież było między nimi coś jeszcze. Nie była taka naiwna.

- A gdyby między nami wszystko się ułożyło - powiedziała powoli - ona i tak by przyjechała?

- Nie. - Tyler potrząsnął głową, wziął do ręki ołówek i zaczął stukać nim o biurko. - Dlatego czuję, że muszę ci wyjaśnić, co się dzieje. Pisaliśmy do siebie, kiedy tu przyjechałem. Liana zapytała, czy się z kimś spotykam, a ja powiedziałem, że nie. Bo z nikim się nie spotykam.

- Jasne - kiwnęła głową Lottie. Dzięki Natowi i Ruby to, co mówił, było prawdą.

- Liana to świetna dziewczyna. Spotkali się z Curtisem na przyjęciu dwa lata temu. Dla obojga z nich to była miłość od pierwszego wejrzenia. Kiedy mi ją przedstawił, zrozumiałem, dlaczego. Byli dla siebie stworzeni.

- Byłeś zazdrosny? - zapytała Lottie. - Żałowałaś, że to nie ty pierwszy ją spotkałeś?

- Nie, nic podobnego - Tyler zdecydowanie potrząsnął głową. - Cieszyłem się, że Curtis znalazł sobie dziewczynę, z którą potrafiłem się dogadać. Nie podkochiwałem się w niej - była dziewczyną Curtisa... chyba nie potrafiłbym inaczej o niej myśleć. I myślę, że Liana też nie - dodał, zanim Lottie zdążyła zadać następne wścibskie pytanie. - Lubiliśmy się, lubiliśmy spędzać czas w swoim towarzystwie. Nic więcej. Kiedy Curtis mi powiedział, że zamierzają się pobrać, byłem naprawdę szczęśliwy. Poprosił, żebym był świadkiem. Gdyby mieli dzieci, byłbym ojcem chrzestnym. - Znów zamilkł.

- Ale to się nigdy nie stało - powiedziała Lottie.

- Nie - zgodził się Tyler - bo Curtis umarł pięćdziesiąt lat za wcześnie. Możesz sobie wyobrazić, co przeżyła Liana.

- Ty też.

- Dla niej to było dużo gorsze. Curtis był całym jej życiem. Była kompletnie załamana. - ołówek w palcach Tylera stuknął

coraz głośniej. - Spędzaliśmy razem dużo czasu. Robiłem, co mogłem, żeby pomóc jej przetrwać pierwsze miesiące. Mogła ze mną rozmawiać o Curtisie i wiedziała, że zrozumiem. Ale byliśmy tylko przyjaciółmi. Nasze relacje były czysto platoniczne.

Lottie wbiła wzrok w jego tupiącą lewą stopę.

- Aż do...

- Aż do pewnej nocy cztery miesiące po śmierci Curtisa. Ni stąd ni zowąd Liana zapytała mnie, czy myślę, że jeszcze kiedyś kogoś spotka i będzie szczęśliwa. Powiedziałem, że oczywiście, że jest piękną dziewczyną i świat stoi przed nią otworem. Wtedy zaczęła płakać, ja otarłem jej łzy - powiedział Tyler. - I zaczęła mnie całować.

Słuchanie tej opowieści było okropne, tym bardziej, że Lottie nie miała prawa niczemu się sprzeciwić, a zazdrość ją pożerała.

- A ty odpowiedziałeś tym samym - dokończyła.

- To była jedna z tych dziwnych sytuacji, której nigdy bym się nie spodziewał - mówił Tyler, patrząc przez okno. - Poniosło nas. Nigdy wcześniej nie myślałem w ten sposób o Lianie, bo w mojej świadomości ona należała do Curtisa.

Lottie wiedziała, że nie powinna zadawać żadnych pytań, ale trzymanie języka za zębami nigdy nie było jej mocną stroną.

- Przespałeś się z nią. Tyler kiwnął głową.

- Tak. Nie mieliśmy czasu pomyśleć, czy to dobry pomysł, czy nie. Oczywiście już następnego poranka okazało się, że nie. Liana wciąż opłakiwała Curtisa. Nie była gotowa na nowy związek. Byliśmy przyjaciółmi i nie chcieliśmy tego psuć dla jakiegoś na chybcika skleconego romansu, który skończy się łzami. Było za wcześnie na coś poważniejszego.

Ołówek wyleciał jak z katapulty spomiędzy palców Tylera i uderzył Lottie tuż pod lewą piersią. Au! Tyler uśmiechnął się przelotnie.

- Przepraszam. W każdym razie rozmawialiśmy o tym

I Liana się ze mną zgodziła. Żadne z nas nie chciało zepsuć tego, co udało się nam stworzyć. Więc puściliśmy w niepamięć to, co się wydarzyło i zachowywaliśmy się tak, jakby tej nocy nigdy nie było. I dobrze zrobiliśmy - wzruszył ramionami - bo udało nam się. Ciągłe jesteśmy przyjaciółmi.

A ona ciągle wygląda jak Kate Moss, miała ochotę wykrzyknąć Lottie. To nie miało sensu - jak dla niej było zbyt romantyczne. Liana przyjechała na nie wiadomo jak długo i dzieliła z Tylerem Fox Cottage, w którym przecież jest tylko jedna sypialnia. Poza tym, osiem miesięcy po stracie narzeczonego Liana nie sprawiała wrażenia osoby ogarniętej bezbrzeżnym smutkiem.

JoJo siedziała nad jeziorem i fotografowała łabędzie, gdy usłyszała za plecami czyjeś kroki.

- Nie zwracaj na mnie uwagi - powiedział Freddie. - Pstrykaj sobie.

JoJo lubiła Freddiego.

- To do projektu z geografii. Muszę zrobić mapę ich wędrówek z rosyjskiej tundry za kołem podbiegunowym aż tutaj. Tato pożyczył mi aparat cyfrowy. Jest super - można zrobić tyle zdjęć, ile się chce, i nie trzeba się obawiać, że skończy się film.

Na ziemi obok jej stóp leżał woreczek z okruszkami chleba.- Łabędzie, łypiąc pożądliwie na worek z jedzeniem, pływały w tę i z powrotem, jak gwiazdy filmowe wyczekujące paparazzich.

- Może ja zrobię ci zdjęcie, jak je karmisz? - zaproponował Freddie.

JoJo sięgnęła po aparat.

- Ja zrobię zdjęcie panu. Proszę usiąść na tym kamieniu, to zrobię zdjęcie na tle jeziora. Nie, proszę usiąść na kamieniu - powtórzyła, bo Freddie zrobił kilka kroków w przeciwnym kierunku, jego oczy spoglądały gdzieś ponad nią. - Dobrze, jeśli woli pan stać, zrobię... ojej!

Freddie bez słowa osunął się na ziemię. JoJo wydała z siebie okrzyk przerażenia i podbiegła do niego. Jego oczy były na wpół otwarte, miał sine usta i oddychał z trudem. Bojąc się, że Freddie

umiera, JoJo padła na kolana i krzycząc: „Pomocy!”, złapała go za poły tweedowej marynarki i obróciła na bok, by ułożyć go w bezpiecznej pozycji.

Wokół nie było nikogo, a JoJo nie miała przy sobie telefonu.

- Panie Masterson - zacharczała, ujmując jego twarz w swoje dłonie i modląc się, żeby nie musiała robić sztucznego oddychania. - Czy pan mnie słyszy? O nie, proszę, niech mi ktoś pomoże...

Z kącika ust Freddiego wypłynęła strużka śliny. Mechanicznie poruszał szczęką. Przerażona JoJo zaczęła odganiać łabędzie, które wyszły z wody i natarczywie domagały się uwagi, łypiąc oczyma na Freddiego i zastanawiając się pewnie, kiedy ktoś łaskawie je nakarmi. Boże, powinna tu zostać, czy raczej pobiec i sprowadzić pomoc? A jeśli on umrze, gdy jej nie będzie? A jeśli umrze, bo ona nic nie zrobi?

Nigdy w życiu nie ucieszyła się tak bardzo, słysząc odgłos biegnących stóp. Panika ustąpiła miejsca uczuciu ulgi, gdy zobaczyła, że jakiś dorosły biegnie, by przejąć kontrolę na sytuacją. Tyler Klein, w dżinsach i rozpiętej niebieskiej koszuli odsłaniającej jego tors, zatrzymał się tuż przy niej.

- Słyszałem, że wzywałaś pomocy - powiedział. - Co tu się dzieje?

- On... zachowywał się trochę dziwnie - wyjąkała JoJo. - A potem się przewrócił. Położyłam go na boku - wydawał z siebie takie dziwne odgłosy. I tak płytko oddychał...

- Dzielna dziewczyna. Zachowałaś się super. - Tyler ukląkł, by zmierzyć puls Freddiego i sprawdzić, czy ten może oddychać. - Chyba dochodzi do siebie.

Dzięki Bogu.

- Mam pójść i zadzwonić po karetkę?

- Poczekaj, mam w kieszeni telefon.

- Nie dzwoń po karetkę - wymamrotał Freddie, otworzywszy oczy. Przewrócił się na plecy i odnalazł wzrokiem Tylera. - Wszystko w porządku, wiem, co się dzieje. Nie ma potrzeby jechać do szpitala. Już dobrze.

- No, ale nie zostawimy cię tutaj - odpowiedział Tyler. - Nie możesz oczekiwać, że będziemy się zachowywać, jakby nic się nie stało.

- To pomóż mi wstać. Chyba nie mam wyjścia i muszę ci wszystko wyjaśnić - powiedział ze smutkiem Freddie. - Prędkiej czy później i tak musiałbym to zrobić. I przepraszam, kochanie - zwrócił się do JoJo. - Pewnie wystraszyłem cię na śmierć. Aparat jest cały?

- Tak. - JoJo uśmiechnęła się, ale czuła, że w środku wciąż cała drży. - Tak się cieszę, że już się pan ocknął. Bałam się, że pan umrze.

Freddie poklepał ją po ramieniu i odwrócił się do Tylera.

- Jeśli chcesz się przydać, pomóż mi wrócić do domu.

W poniedziałek rano Lottie przeglądała pocztę, kiedy wszedł Tyler. Bez żadnych wstępów powiedział:

- Wiem o chorobie Freddiego.

- Tak? - Lottie dalej otwierała koperty, zajmując się najpierw tymi najmniej interesującymi. Jeśli Tyler blefował, ona nie miała zamiaru dać się sprowokować. Sprawa była zbyt poważna.

- Wczoraj po południu przewrócił się nad jeziorem. Zaprowadziłem go do domu, a on powiedział mi o guzie mózgu.

O! - Lottie spojrzała na niego. Poczuła ucisk w gardle. Miała wrażenie, że fakt, iż Freddie wyjawiał swoją chorobę komuś jeszcze, czynił ją bardziej realną.

- I o tym, ile czasu dają mu lekarze. - Tyler potrząsnął głową. - Powinien się leczyć. Wiem, jaka jest jego decyzja, i myślę, że nawet rozumiem ten punkt widzenia, ale trudno mi zaakceptować, że tak właśnie postanowił.

- Wiem. Ale Freddie podjął już decyzję i musimy to uszanować. Co to był za upadek? - zapytała zmartwiona Lottie.

- Jakiś niewielki atak epileptyczny. Wygląda na to, że wcześniej zdarzyło się to już dwa razy. Będzie brał jakieś tabletki przepisane przez lekarza, która mają powstrzymać ataki. - Tyler przerwał. - Teraz rozumiem, dlaczego powiedział, że będę mógł

kupić Hestacombe House po Bożym Narodzeniu. Możesz sobie wyobrazić, jak się czuję?

- Umarł król, niech żyje król. - Lottie wzruszyła ramionami i otworzyła następny list. — Jeśli Liana jeszcze tu będzie, na pewno się ucieszy. Wreszcie będzie wam trochę mniej ciasno.

- Wielkie dzięki. - Spojrzenie, jakie rzucił jej Tyler, świadczyło, że nie dał się nabrać na jej nonszalancję. - Ale martwię się, że Freddie mieszka sam. Momenty utraty świadomości będą się zdarzały coraz częściej, a to może nie być jedyny problem. Jak sobie wtedy poradzi?

- Myślmy o tym. Freddie jest w pełni świadomy wszystkiego, co się będzie działo. Wszystko jest pod kontrolą - powiedziała Lottie, czytając adres u góry listu, który właśnie otworzyła. - Właściwie...

- Co się stało? - Tyler z niepokojem obserwował wyraz jej twarzy, który zmieniał się wraz z lekturą listu. - Coś nie tak?

Zdenerwowana, Lottie niezgrabnie odepchnęła fotel na kółkach i zerwała się na nogi.

- Przepraszam, ale właśnie okazało się, że chyba jednak nie wszystko jest pod kontrolą. Jeśli pozwolisz, pójdę teraz do Freddiego. Mam tu coś, o czym powinien się natychmiast dowiedzieć.

Rozdział 47

Freddie nie mógł narzekać na żadną z pielęgniarek, które opiekowały się jego żoną podczas jej pobytu w szpitalu. Wszystkie znały się na swoim fachu i potrafiły obdarzyć pacjentów uśmiechem. Ale Amy Painter była wyjątkowa - on i Mary z utęsknieniem wyczekiwali jej dyżuru. Kiedy przychodziła, jej uśmiech rozjaśniał salę. W zależności od sytuacji potrafiła słuchać ze współczuciem lub rubasznie żartować. Miała krótkie blond włosy i niebieskie oczy, które raz pełne były radości, raz ciepła i troski. W tych trudnych tygodniach była dla Freddiego największym wsparciem. Gdyby on i Mary mieli

córkę, chcieliby, żeby była taka jak Amy. Była najdowcipniejszą, najczulszą i najbardziej doskonałą dwudziestotrzylatką, jaką można sobie wyobrazić.

Freddie wciąż miał list, który Amy napisała do niego po śmierci Mary. Przyjechała również na pogrzeb i płakała rzewnymi łzami. A cztery miesiące później przysłała mu radosną kartkę z Lanzaroty, gdzie w kilku słowach informowała, że wyjechała z Cheltenham i odpoczywa nad ciepłym morzem przed rozpoczęciem pracy w szpitalu w Londynie. Na końcu napisała: „Kochany Freddie, wciąż o panu myślę. Gdy dorosnę, chciałabym żyć w takim szczęśliwym związku jak pan i Mary. Uściski i pozdrowienia, Amy xxx”.

Tej kartki też nie wyrzucił - była mu bardzo droga. A kiedy dowiedział się od doktora Willisa o swojej chorobie i smutnych widokach na przyszłość, nie miał najmniejszych wątpliwości, kogo chciałby widzieć przy swoim łożu boleści. Nie oczekiwał bezinteresowności - zdawał sobie sprawę, że Amy ma swoje własne życie i że prosi o bardzo wiele. Ale wspaniałe było to, że nie musiał się martwić o pieniądze: niezależnie od tego, jakiej sumy zażądałaby Amy, on był gotów z radością zapłacić tyle, ile chciała.

Teraz, widząc wyraz twarzy Lottie, Freddie czuł, że w jego planie pojawiły się jakieś komplikacje.

- Znalazłam osobę, która kiedyś pracowała z Amy w hospicjum - powiedziała Lottie. - Oficjalnie nie podaje się nikomu żadnych informacji dotyczących pracowników, ale wyjaśniłam, że chcesz się z nią spotkać i dostałam adres matki Amy. Ma na imię Barbara i mieszka w Londynie. Napisałam do niej. - Lottie przerwała i popatrzyła na list, który otworzyła w biurze. - Tutaj jest jej odpowiedź... Freddie, tak mi przykro: Amy nie żyje.

Nie żyje? Jak ktoś taki jak Amy może nie żyć? Zdenerwowany Freddie sięgnął ponad kuchennym stołem po list.

Droga Lottie,

Bardzo dziękuję za miły list o mojej córce. Z przykrością muszę Panią poinformować, że Amy zginęła w wypadku samochodowym trzy lata temu. Zgłosiła się jako wolontariuszka do pracy w szpitalu dziecięcym w Ugandzie i bardzo sobie tę pracę chwaliła. Na nieszczęście jeep, którym jechała, przewrócił się i Amy wypadła przez szybę. Powiedziano mi, że zginęła na miejscu, co jest pewnym pocieszeniem - ale myślę, że zrozumie Pani, gdy powiem, że ostatnie trzy lata były dla mnie bardzo trudne. Amy była całym moim życiem i wciąż nie mogę uwierzyć w to, że jej nie ma.

Mam nadzieję, że ta wiadomość nie będzie zbyt wielkim szokiem dla Pani przyjaciela. Pisze pani, że nazywa się Freddie Masterson, a jego żona miała na imię Mary. Pamiętam, że Amy opowiadała mi o nich. Bardzo ich oboje lubiła i zazdrościła im długiego i szczęśliwego małżeństwa. Mojej pięknej dziewczynce chłopcy szybko się nudzili, więc zostawiała ich po paru miesiącach, ale marzyła, by znalazł się ktoś, kto nie będzie jej grał na nerwach ani zanudzał na śmierć. Ale może nie powinnam o tym pisać.

Przykro mi, że przynoszę takie smutne wieści. Raz jeszcze dziękuję za Pani list - miło jest wiedzieć, że ktoś jeszcze oprócz mnie ma Amy w życzliwej pamięci. To bardzo wiele dla mnie znaczy.

*Z poważaniem,
Barbara Painter*

Mieszkanie znajdowało się na dziesiątym piętrze nowoczesnego bloku w Hounslow. Freddiemu nie wolno było już prowadzić, więc wynajął na cały dzień samochód z kierowcą. Wysiadając, poprosił go, by przyjechał w to miejsce za dwie godziny. Potem wszedł do budynku i wjechał na dziesiąte piętro upstrzoną grafitti windą.

- To takie dziwne - powiedziała Barbara Painter - ale jednocześnie takie miłe. Nie mogę uwierzyć, że mnie pan odwiedził. Mam wrażenie, jakbym pana znała.

- Ja też. - Freddie uśmiechnął się i patrzył, jak Barbara napełnia filiżanki herbatą. Mieszkanie, które z zewnątrz nie robiło najlepszego wrażenia, wewnątrz było ciepłe, jasne i bardzo przytulne. Salon mienił się wieloma barwami poduszek i malowideł, a w każdym możliwym miejscu piętrzyły się fotografie Amy w różnych okresach jej życia. Barbara dostrzegła, że Freddie im się przygląda.

- Kilka osób już mi powiedziało, że zamieniam mieszkanie w muzeum, ale te zdjęcia zawsze tu stały. Nie poustawiałam ich, kiedy Amy umarła. Jej ojciec zniknął, zanim się urodziła, więc od zawsze byłyśmy tylko we dwójkę. Dlaczego nie powinnam mieć wokół siebie fotografii osoby, którą kochałam najbardziej na świecie?

- Właśnie. - Freddiemu trudno było pojąć, skąd Barbara Painter bierze siły, by dalej żyć. Taka niesprawiedliwość nie mieściła mu się w głowie. Skoro na świecie jest tylu chuliganów, gwałcicieli i seryjnych morderców, to dlaczego umrzeć musi akurat osoba taka jak Amy?

Barbara, jakby czytając w jego myślach, powiedziała:

- Nie myślę o przeszłości i przyszłości, ale skupiam się na konkretnym dniu. Zmuszam się, by co rano wstać z łóżka. Staram się znaleźć coś, na czym mogę skupić myśli, nawet jeśli to coś drobnego i nieistotnego. Boże, zaczynam mówić jak pani psycholog.

- Korzystała pani z pomocy psychologa?

- Tak - skrzywiła się. - Ale krótko. Zrzuciłam wszystkie papiery z jej biurka i powiedziałam, żeby się ode mnie odpięprzyła.

- I to pomogło? - zapytał Freddie z uśmiechem. Barbara była pulchną, sympatyczną pięćdziesięciolatką, ciemną blondynką z błyszczącymi oczyma i specyficznym poczuciem humoru. Rozmawiał z nią od godziny o Mary, o Amy, o jego guzie, i czuł się w jej towarzystwie zupełnie swobodnie.

- Wczołgała się pod biurko i sama pozbierała wszystkie papiery - opowiadała Barbara. - Powiedziała, żeby się nie

przejmowała. Nie mogłam w to uwierzyć - po raz pierwszy ktoś potraktował mnie jak księżniczkę na ziarnku grochu. Mogłabym pomazać jej całą twarz flamastrem, a ona nie pisnęłaby słówka. Czy to nie śmieszne? Mogłam z nią zrobić, co chciałam. Ojej, skończyła się panu herbata. Może jeszcze filiżankę?

- Dziękuję. - Freddie spojrział na zegarek, żeby sprawdzić, czy już pora na popołudniową dawkę medykamentów. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął małą buteleczkę. Przez chwilę walczył z zabezpieczającą przed dziećmi zakrętką, po czym wytrząsnął na dłoń jedną tabletkę carbamazepiny. Głowa pękała mu z bólu, więc dodał jeszcze kilka pigułek przeciwbólowych.

- To chyba jest trochę nietaktowne - powiedziała Barbara - że skupiam się na swoim nieszczęściu. Ile lekarze dali panu czasu?

- Mniej więcej rok. - Freddiemu spodobała się jej bezpośredniość. - Ale to było w lecie, więc teraz zostało jakieś osiem czy dziewięć miesięcy.

- Amy byłaby bardzo dumna, że wybrał ją pan na swoją opiekunkę. Co pan teraz robi?

Freddie wzruszył ramionami i jedna po drugiej połknął pastylki.

- Chyba dam ogłoszenie. Urządzę casting i spróbuję wyłowić kogoś, z kim będę potrafił wytrzymać. Poza tym, coś mi mówi, że nie będę potulnym pacjentem.

- A więc będzie pan zrzędlwym starcem? Proszę mi wierzyć, z niejednym takim dałam sobie w życiu radę. - Barbara uśmiechnęła się. - Czy kiedy Amy opiekowała się pańską żoną, wspominała, czym się zajmuję?

- Nie przypominam sobie. - Freddie potrząsnął głową. - A dlaczego? Kim pani jest? Ochroniarzem w nocnym klubie?

- Bezcelny! Proszę popatrzeć na to zdjęcie na tablicy.

Freddie posłusznie wstał z krzesła i podszedł do korkowej tablicy, gdzie pomiędzy wizytówkami taksówkarzy, drobnymi notatkami i numerami telefonów, przypiętych było kilka zdjęć.

Jedno ze zdjęć przedstawiało roześmiane Barbarę i Amy, ubrane w jednakowe stroje i badające się nawzajem słuchawkami.

- Jest pani pielęgniarką?

- Tak - kiwnęła głową Barbara.

- Gdzie pani pracuje?

- Nigdzie. W marce przeszłam na emeryturę. - Przerwała. -

I od tego czasu wariuję z nudów.

Freddie aż bał się zadać to pytanie.

- Czy byłaby pani w takim razie skłonna rozważyć możliwość kilkumiesięcznej opieki nad pewnym zrędlwym starcem do momentu, aż wyzionie ducha?

- A czy jeśli pan będzie na mnie krzyczał, będę mogła krzyknąć na pana?

- Obraziłbym się, gdyby pani tego nie zrobiła - powiedział Freddie.

- Jeśli tak, wchodzę w to. Chciał pan Amy, ale ona nie może tego zrobić, więc musi się pan zadowolić mną. - Uśmiechnęła się z dumą do zdjęcia na korkowej tablicy i oczy zaszyły jej łzami. - Wie pan co? Myślę, że Amy byłaby wniebowzięta.

Rozdział 48

Telefon Lottie zadzwonił, a pięćset par oczu popatrzyło na nią oburzonym wzrokiem. Mamrocząc „przepraszam, przepraszam”, zerwała się z krzesła i rzuciła w stronę wyjścia.

Dzwonił Seb.

- Witaj, bogini. Jak się masz?

- Strasznie mi wstyd. Zapomniałam wyłączyć telefon i wszyscy się na mnie gapią.

- Wielkie nieba, nie mów mi, że jesteś w kościele.

- Gorzej - powiedziała ponuro Lottie. - Jestem na turnieju szachowym.

- Gdzie? - Seb najwyraźniej uznał ten fakt za zabawny. - Mówisz poważnie? Nie wiedziałem, że grasz w szachy.

- Nie gram. Nat zapisał się do klubu szachowego w szkole, a jego trener wpisał wszystkie dzieci uczęszczające na jego zajęcia na listę uczestników zawodów dla juniorów. I Nat jakimś fuksem przedostał się do drugiego etapu jednego z największych turniejów szachowych na świecie. Dlatego spędzam niedzielny poranek w szkole w Etloe Park i umieram z nudów - powiedziała Lottie. - Tylko że nie wolno mi umrzeć z nudów, bo przez następne sześć godzin muszę udzielać wsparcia mojemu synowi. - Gdy to mówiła, zza rogu wyłonił się jeden z organizatorów i przemknął obok niej, potrząsając z dezaprobatą wielką szczeciniastą brodą.

- Hm, to nie jest to, co chciałbym usłyszeć - powiedział przeciągle Seb. - Po co w takim razie przylatywałem dzień wcześniej, skoro ty masz inne plany na dzisiaj. Umierałem z tęsknoty, ślicznotko.

- Przyleciałeś? - Żołądek Lottie podskoczył z radości do gardła.

- Przyleciałem. Jadę teraz autostradą M4. Miałem zamiar stanąć u twego progu i zniewolić cię.

- Tak mi przykro. Jeśli nie możesz wytrzymać, możesz zniewolić Maria. Maluje pokój Ruby. - O, nie! Jeszcze jeden z organizatorów minął ją i usłyszał, co mówiła. Dlaczego oni są tacy wścibscy? I dlaczego mają takie dziwaczne brody?

- Daruję sobie. A wieczorem?

- Może być - zgodziła się Lottie, zdając sobie sprawę, że kolejne sześć godzin będzie tym bardziej nie do wytrzymania. Ze wszystkich niedziel w roku ci brodacze musieli wybrać akurat tę na organizację swojego bezsensownego turnieju!

Wyłączywszy telefon, Lottie wślizgnęła się na salę, próbując zignorować pełne dezaprobaty spojrzenia wymierzone jak strzały w jej kierunku. Usiadła, otworzyła torebkę i wyjęła paczkę gumy owocowej. Jeszcze więcej gniewnych spojrzeń! Jakby włączyła radio na pełny regulator! Lottie zdusiła w sobie ochotę pokazania języka wszystkim tym, którzy się w nią wpatrywali, ale dała za wygraną i schowała gumę z powrotem do torebki.

Zawsze jest tak, że czas jeszcze bardziej się dłuży, gdy na ścianie wisi wielki zegar. Lottie wpatrywała się w niego, jakby chciała przyspieszyć jego ruch. Tik tak, tik tak. Dźwięk zegara działał jak hipnoza. Ale przecież nie wolno jej zasnąć.

Od jedenastu minut trwała druga tego dnia rozgrywka. Pod wielkim sklepieniem szkolnej sali panowała kompletna cisza, przerywana jedynie dyskretnym dźwiękiem przesuwanych pionków i klikaniem stoperów. Całą szerokość sali zajmowały poustawiane w rzędy numerowane stoliki i siedzące przy nich twarzą w twarz pogrążone w rozgrywce dzieci. Większość rodziców, w tym Lottie, siedziała na obrzeżach sali w dużej odległości od placu boju, ale spora liczba rozgorączkowanych tatusiów, nie mogąc usiedzieć na miejscach, krążyła wokół stolików, sprawdzając ruchy swoich genialnych pociech i próbując cichcem zdekoncentrować przeciwników. Tatusiowie drapali się po brodach, uśmiechali znacząco lub kiwali z zadowoleniem głowami. Ze swojego miejsca Lottie zobaczyła, że Nat przesunął pionek, po czym pośpiesznie wycofał go na poprzednią pozycję. Ojciec chłopca, z którym Nat grał, przechylił się na piętach i posłał pełen satysfakcji uśmiech swojemu lalusiowatemu synkowi. Gdyby miała w torebce procę, strzeliłaby w tego pana gumą owocową i nie przejmowałaby się hałasem. Całą siłę umysłu skupiła na kibicowaniu Natowi. Tik tak, tik tak.

Zakończyła się druga runda. Nat uściśnął dłoń uśmiechającemu się z wyższością przeciwnikowi, odepchnął krzesło i podszedł do tłoczącej się przy wyjściu Lottie. Z wyrazu jego twarzy mogła odczytać, że z trudem panował nad sobą.

- Nie wygrałem - powiedział niby od niechcenia Nat, a Lottie załała falą czułości. Pierwszą grę też przegrał. Uściśnęła go.

- Nie przejmuj się, kochanie. Pamiętaj, że wiele z tych dzieci gra od wczesnego dzieciństwa. A ty nauczyłeś się grać w szachy parę tygodni temu. Nat wytarł ukradkiem pojedynczą łzę.

- Może teraz mi się uda.

Lottie też miała taką nadzieję, ale widoki nie były optymistyczne. Wyjęła paczkę gumy owocowej i podała jedną gumę synowi.

- To tylko zabawa - powiedziała.

- Ale ja nienawidzę przegrywać. To tak głupio wygląda.

- Nie wygląda głupio. - Jeszcze raz go przytuliła i ucałowała. - A może chcesz stąd wyjść? Nie musimy tu siedzieć z tymi nadętymi kujonami. Możemy iść do domu i spędzić wspaniały dzień, robiąc, co tylko chcemy.

Za jej plecami przeszedł jeden z organizatorów i rzucił jej kolejne pełne oburzenia spojrzenie.

- Nie ma mowy. - Nat stanowczo potrząsnął głową. - Zostaję. Jest jeszcze sześć rund, więc może którąś uda mi się wygrać.

- No to chodźmy do kawiarni. - Lottie spojrzała na zegarek. Mieli dwadzieścia minut do rozpoczęcia następnej gry. Wokół kłębili się ambitni tatusiowie wyposażeni w magnetyczne minizestawy do gry w szachy i tłumaczyli synom, gdzie ci w ostatniej kolejce popełnili błąd.

- Zjemy sobie po pączku i wypijemy colę.

Do lunchu Nat rozegrał cztery mecze i cztery przegrał. Ogromna tablica przyczepiona do ściany rejestrowała postępy uczestników za pomocą złotych gwiazdek i czarnych krzyżyków. Kilku ojców fotografowało na jej tle synów wskazujących na cztery gwiazdki przy swoim nazwisku.

- Nikt inny nie ma czterech krzyżyków - powiedział Nat cienkim głosem. - Tylko ja.

Lottie z żalu prawie nie mogła mówić - miała wrażenie, że w gardle utknęła jej kula wielkości piłki do ping-ponga.

- Ale to wielkie osiągnięcie, że się tu dostałeś - wykrztusiła w końcu. - To są finały. Pomyśl o tysiącach dzieci, które odpadły w eliminacjach. Jesteś lepszy od nich wszystkich i to jest fantastyczne.

Nat wsunął rączkę w jej dłoń.

- Nie chcę na koniec mieć samych krzyżyków. Chciałbym wygrać chociaż jedną grę.

Oszukiwanie było rzeczą naganną i Lottie je potępiała. Starła się w życiu chodzić prostymi ścieżkami. Ale gdyby tylko był jakiś sposób, żeby się dowiedzieć, z kim Nat miał teraz grać, podeszłaby do tych ludzi i zaoferowała każde pieniądze, byleby tylko zapewnić synowi chwilę triumfu. Ale nie było takiego sposobu.

- Chcesz, żebym stała przy twoim stoliku i patrzyła? - zaoferowała się, desperacko próbując pomóc.

- Nie, mamusiu, jeszcze bardziej bym się denerwował. I tak przecież nie umiesz grać w szachy - powiedział Nat ze stoickim spokojem. - Oboje wiemy, że nie masz o tym pojęcia.

Zadzwoił dzwonek, wzywając wszystkich na piątą rozgrywkę turnieju. Lottie uściśnęła Nata, żeby dodać mu odwagi i patrzyła, jak podchodzi do swojego stolika. W szerokiej bluzie i workowatych bojówkach był rozczulająco drobny i bezbronny. Boże, miał teraz grać z jakimś pewnym siebie chojrakiem w okularkach w stylu Harry'ego Pottera, któremu oczywiście asystował tatuś. Nat i Lottie widzieli ich wcześniej w kawiarni, pochylonych nad podręcznikiem gry w szachy, a Lottie usłyszała, jak ojciec mówił: „Tutaj powinienes być zbić *en passant*, Timothy. Przypomnij sobie walkę Polonowskiego z Kasparowem”.

Nadzorujący zawody zapowiedzieli piątą rozgrywkę turnieju. Lottie usiadła na swoim miejscu i posłała pełne nienawiści spojrzenie w stronę ojca Timothy'ego, który z premedytacją rozpoczął deprymujący spacer dookoła ich stolika. Nat potrzebował tylko jednego zwycięstwa. Czy to było aż tak dużo? Kurczę, Timothy właśnie zbił pionek.

Tik tak, tik tak.

Po trzynastu minutach gry podwójne drzwi sali otworzyły się i zamknęły. Na tym etapie Lottie była już tak wytrenowana w sztuce niewydawania żadnych dźwięków i nieporuszania żadnym mięśniem, że przez myśl jej nie przeszło, żeby się obejrzeć. Ale

Nat, podniósłszy wzrok znad planszy, uśmiechnął się szeroko i dyskretnie pomachał na przywitanie czubkami palców, pokazując Lottie, by popatrzyła, kto za nią stoi.

Na środku przejścia stał Seb i uśmiechał się promiennie do Nata. Jeden ze stojących przy drzwiach organizatorów wbił w niego znaczące spojrzenie. Lottie wydała z siebie stłumiony okrzyk radości i skinęła na Seba. On skrzywił się i w odpowiedzi skinął na nią. Wywołując kolejną falę dezaprobaty, Lottie podniosła się z miejsca i przecisnęła się w stronę wyjścia.

Kiedy wydostali się bezpiecznie na zewnątrz, Seb powiedział:

- Miałś rację, że tam jest cholernie nudno. I cicho jak w kostnicy.

- Nie mogę uwierzyć, że tu jesteś! - zachwyciła się Lottie.

- Nie mogłem się doczekać. - Oparł ją o ścianę i pocałował, a w jego niebieskich oczach igrały radosne ogniki. - Mm, już mi lepiej. To na dobry początek. A może byśmy tak wyslizgnęli się na minutkę? Mógłbym ci pokazać, jak bardzo za tobą...

- Przestań - wydyszała Lottie, czując, że ciepła ręka Seba zsuwa się w stronę jej pośladków.

- Nie psuj zabawy. Sprawdzam, czy wciąż jest tak idealna, jak przed wyjazdem.

- Uwierz mi, że tak. - Odsunęła jego lewą rękę. - Nie możemy wyjść, bo zaraz skończy się runda. Jak na razie przegrał wszystkie starcia.

- Nic, tylko się cieszyć - zauważył spokojnie Seb. - Gdyby mu się spodobało, mógłby sam zechcieć organizować turnieje. Wyglądałby śmiesznie z taką brodą.

Rozgrywka skończyła się i dzieci w towarzystwie rodziców zaczęły wychodzić z sali. Zebrawszy wszystkie siły, wystraszona Lottie czekała na Nata przy drzwiach. Wpadł w jej ramiona z siłą kuli armatniej.

- Mamo! Zgadnij, co się stało! Wygrałem!

- Nie! - Lottie była tak zszokowana, że niemal puściła go na ziemię. - Naprawdę?

- Naprawdę! Wygrałem! Przegrywałem i wtedy wszedł Seb i ni stąd ni zowąd zacząłem wygrywać! - Wydając okrzyk triumfu, Nat i Seb przybili piątkę. W przejściu minął ich Timothy z ojcem, którego twarz przywodziła na myśl siekiere. W oczach Lottie zakręciły się łzy radości. Nat rzucił się na Seba i zapiszczał z entuzjazmem: - Nie mogę uwierzyć, że mi się udało!

Seb podrzucił go w powietrzu.

- Jesteś wielki!

- Ty też! Tęskniłem za tobą - wykrzykiwał Nat. - Chodźcie, pójdziemy zobaczyć, jak przypinają złote gwiazdki.

I wiesz co, mamó? Nie wchodź na salę na ostatnią rundę. Bo jak tam siedziałaś, to cały czas przegrywałem, a jak wyszłaś, od razu wygrałem. - Popatrzył poważnie na Lottie. - Lepiej zostań na zewnątrz, bo przez ciebie nie mogę się skupić.

- Teraz mi się nie wykręcisz - wymruczał Seb, gdy organizatorzy dali znak do następnej rundy. - Dane nam jest przynajmniej dwadzieścia wspaniałych minut razem i nikt nie będzie przeszkadzał.

- Jesteś okropny. - Lottie stłumiła uśmiech, bo kilku innych rodziców, pewnie równo stanowczo wydalonych przez swoje pociechy z sali, przeszło obok nich korytarzem. - I tak już dużo tu narozrabiałam. A to jest szacowna instytucja.

- Cii, nie bądź taka nadęta. A poza tym potrzebuję, by ktoś pokazał mi coś na mapie. - Seb złapał ją za rękę i pociągnął w dół korytarza. Skręcił w lewo, potem jeszcze raz w lewo. Zatrzymał się przy drzwiach po prawej stronie, przycisnął do nich Lottie i pocałował, po czym nacisnął klamkę i wpuścił ją do środka.

Znaleźli się w pustej klasie. Żaluzje były spuszczone, ale w półmroku widać było rozwieszona na ścianach mapy. Z szelmowskim błyskiem w oku Seb poprowadził ją do biurka z przodu klasy.

- Robiłaś to kiedyś w fotelu na kółkach?

- Coś mi mówi, że już tu kiedyś byłeś - powiedziała Lottie.

- Więc powiem ci, że w tej właśnie klasie uwiodłem moją nauczycielkę geografii. - Seb uśmiechnął się i wsunął ciepłe dłonie w dekolt jej różowej bluzki.

- Chodziłeś do tej szkoły? Nie przyznałeś się przez telefon. - Ale to w końcu nie była wielka niespodzianka - Etloe Park była najbardziej ekskluzywną prywatną szkołą w okolicy.

- Kiedy powiedziałaś, gdzie jesteś, pomyślałem, że zrobię ci niespodziankę. Nie mogłem się powstrzymać. Hej, odpręż się. Nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Ale Lottie nie potrafiła się odprężyć, mimo że bardzo cieszyła się z przyjazdu Seba. Dla niektórych - na przykład dla Seba - potajemny seks w szkolnej klasie mógł być ekscytujący, ale ją takie okoliczności deprymowały. Jego palce zmagaly się teraz z zamkiem w jej dżinsach. Chwyciła jego rękę, owinęła je wokół swojej talii i pocałowała go w nos.

- Nie wierzę, że uwiodłeś panią od geografii.

- Uwiodłem. Pannę Wallis. Miałem wtedy szesnaście lat, a ona dwadzieścia osiem.

- To okropne - powiedziała Lottie. - Powinni ją wyrzucić.

- Nie bądź taka surowa. Mnie po prostu nie można było się oprzeć. - Seb posadził ją na biurku i przyciągnął do siebie. - W każdą środę wlepiła mi karę i musiałem zostawać po lekcjach. To było marzenie każdego chłopaka. I nigdy nas nie przyłapano. Naprawdę nie chcesz?

- Nie tutaj. I nie teraz. - Lottie zarzuciła mu rękę na szyję i z uśmiechem popatrzyła mu w oczy. - Może później.

- Cieszysz się, że mnie widzisz?

Lottie pomyślała o Tylerze i Lianie, i przyciągnęła Seba do siebie, zsuwając się z biurka w taki sposób, że jej kolana znalazły się pomiędzy jego odzianymi w dżins udami.

- O tak - powiedziała. - Bardzo się cieszę.

W tej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do klasy wbiegł jeden z organizatorów turnieju. Lottie podskoczyła i próbowała odepchnąć Seba, ale jej kolana tkwiły jak w imadle pomiędzy jego nogami. Próbowwała w popłochu wygładzić wzburzone

włosy, zapiąć bluzkę (Boże, jak to się stało?) i zetrzeć z twarzy rozmazaną szminkę.

- Co tu robicie? - zapytał oschle mężczyzna.

- Przepraszam... my...

- Właśnie pokazywałem Lottie moją ulubioną klasę - powiedział Seb. - Podziwialiśmy... ee...

- Łatwo można zgadnąć, co podziwialiście. Proszę stąd wyjść! A sio! - Wymachując ręką, organizator wyganiał ich jak parę bezwstydných psiaków.

- Sio? - Seb z rozbawieniem uniósł brew. - Jeszcze nikt mnie nigdy w ten sposób nie przeganiał.

- Widocznie dzisiaj jest ten pierwszy raz. Poproszono mnie, bym wyprowadził państwa poza obręb szkoły.

Poza obręb szkoły?

- Nie mogę wyjść! - wykrzyknęła przerażona Lottie. - Mój syn jest na turnieju.

Organizator nie wyraził zdziwienia - widocznie wiedział o tym.

- - To może wróci pani do sali, w której są rodzice? - Obrócił się do Seba. - A pan wyjdzie ze mną - powiedział lodowatym tonem.

- Z przyjemnością. - Seb ucałował Lottie. - Spotkamy się później. Mogłabyś wpaść do mnie koło ósmej?

- Dobrze. - Lottie z trudem próbowała utrzymać kamienny wyraz twarzy, bo właśnie zdała sobie sprawę, że przed momentem Seb sprawnie rozpiął jej jedną ręką stanik.

- Jeszcze jedno. - Idąc w stronę drzwi, Seb zwrócił się do zbulwersowanego organizatora. - Skąd pan wiedział, że tu jesteśmy?

Mężczyzna wskazał brodą na górny róg klasy.

- Monitoring - powiedział.

- Boże, w tych czasach nic się nie da zbroić. - Seb ze zdumieniem potrząsnął głową. - Dobrze, że nie mieli ukrytych kamer, kiedy ja miałem szesnaście lat. - Przerwał, pomyślał

chwilę i z wyraźnym zadowoleniem mruknął do siebie. - A może mieli?

Rozdział 49

- Mamo, próbuję być miły dla Ruby, ale ona w kółko śpiewa - narzekał Nat - i to mnie wkurza.

- Wiem, kochanie. Ale zrozum, jest podekscytowana - Lottie przytuliła go. W tej samej chwili kuchenne drzwi otworzyły się i tańcząc, weszła Ruby.

- Mam dziesięć lat, dziesięć lat, lat, lat - śpiewała.

- Widzisz? - Nat z irytacją podniósł wzrok na matkę. Był czwartek. Co ważniejsze, był to dzień dziesiątych urodzin Ruby i nikt nie miał prawa o tym zapomnieć. Koledzy i koleżanki ze szkoły zostali zaproszeni na przyjęcie w sobotę, a dziś wieczorem Mario miał przyjechać prosto z pracy i zabrać ich do Pizza Hut.

Czy to nie jego samochód podjechał pod dom? Boże, co za ulga.

- Chyba tatuś przyjechał - powiedziała Lottie. Na jej słowa Nat i Ruby wydali z siebie okrzyki radości i pobiegli pędem do drzwi, niemal tratując się po drodze. Lottie popatrzyła na zegarek - było za dwadzieścia szósta. Mario musiał wcześniej wyjść z pracy.

- Iiiii - W holu rozległ się pisk radości i Lottie pośpiesznie wyszła z kuchni. W korytarzu klęczała Amber z dziećmi przyklejonymi do boków. Przed nimi piętrzyła się sterta pięknie opakowanych prezentów.

- Przyszłaś! - Krzyknęła zachwycona Ruby. - Myślałam, że już cię nigdy nie zobaczymy, ale ty nie zapomniałaś!

- Och, potworku, czy mogłabym zapomnieć o twoich urodzinach? - Amber ucałowała dzieci. - Poza tym mówiłam ci przecież, że przyjadę, prawda? Przez telefon.

Ruby stuliła ramiona i spojrzała na matkę, sprawdzając, czy usłyszała odpowiedź Amber.

- Czy jest coś, o czym nie wiem? - zapytała Lottie.

- Boże, przepraszam - skrzywiła się Amber. - Dzwoniłam w czwartek wieczorem i Ruby powiedziała mi, że się kąpiesz. Chciałam wiedzieć, czy mogę wpaść dzisiaj, a ona powiedziała, że tak. Myślałam, że ci przekaże.

- Zapomniałam - powiedziała krótko Ruby. Lottie wiedziała, że na pewno nie zapomniała.

- Ale ja się bardzo cieszę. - Popatrzyła na Amber. - Chodzi tylko o to, że za chwilę przyjedzie Mario. Jedziemy do Cheltenham na kolację.

- I tak nie mogę długo zostać. Pewnie wyjdę, zanim on przyjedzie. - Gdy Amber to powiedziała, Lottie zdała sobie sprawę, że wybrała ten dzień, bo liczyła, że jak zwykle w czwartki Mario będzie musiał dłużej zostać w pracy.

- Możesz pojechać z nami do Pizza Hut. Prawda, mamusiu? - Ruby zwróciła się do Lottie. - Byłoby super.

Amber i Lottie spojrzały na siebie, w jednej chwili zdając sobie sprawę, co knuła mała solenizantka.

- Nie mogę, słoneczko. Bardzo miło, że mnie zapraszasz - powiedziała ostrożnie Amber - ale na zewnątrz czeka mój przyjaciel. Wczoraj zepsuł się mój samochód, więc podwiózł mnie tutaj.

Ruby posmutniała.

- Jaki przyjaciel?

- Hm... Myślę, że mogę go nazwać moim chłopakiem.

- Może chciałby wejść? - zaproponowała Lottie.

- Nie, nie sądzę - potrząsnęła głową Amber. - Naprawdę. Ma ze sobą laptopa i w międzyczasie przegląda pocztę.

- On jest miły? - zapytał Nat.

- O tak, bardzo miły.

- A tato nie ma teraz dziewczyny.

- Nie? Na pewno szybko jakąś znajdzie. Nat wytknął do przodu dolną wargę.

- Powiedział, że czeka na Keirę Knightley.

- Szczęściara. W każdym razie - mówiła bez zająknięcia Amber - dziś są czyjeś urodziny i zamierzam tu spędzić godzinę, więc może dobrze wykorzystamy czas i się zabawimy?

- Dobrze! - Ruby położyła głowę na ramieniu Amber. - Zrobisz mi francuski warkocz?

- Oczywiście. Mama jeszcze nie potrafi!

- Nie, jest w tym beznadziejna.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Lottie, zbierając porzucane prezenty. - Chyba na pocieszenie sama je otworzę.

Podjechawszy pod Piper's Cottage, Mario był zmuszony zaparkować za sterylnie czystym niebieskim Fordem Focusem. Kiedy wysiadał, zobaczył mężczyznę siedzącego w fotelu kierowcy. Mężczyzna spojrzał przelotnie na Maria, uprzejmie kiwnął głową i powrócił do studiowania danych w swoim laptopie.

- Wszystko w porządku? Nie zgubił się pan? - zapytał Mario przez dwucalową szparę w oknie.

Mężczyzna podniósł jeszcze raz głowę i uśmiechnął się.

- Nie, nie. Czekam na kogoś.

Pewnie to gość z któregoś z domków, pomyślał Mario. Albo może u Ruby jest jakaś koleżanka.

- Cześć, tatusiu! Zgadnij, kto jest w salonie! - Nat ciągnął ojca przez przedpokój.

- Mam nadzieję, że Keira Knightley.

- Ktoś dużo, dużo lepszy!

Ruby, z uśmiechem na twarzy, siedziała po turecku na krześle na samym środku pokoju, a Amber umiejętnie splatała jej ciemne włosy we francuski warkocz. Mariowi zaschło w ustach - w jednej chwili zrozumiał, kim był mężczyzna w Fordzie Focusie. Jasny gwint! Co Amber robi u boku człowieka, który wygląda jak nauczyciel geografii?

- Cześć, tato! Dziś są moje urodziny! - Ruby promieniała. Pomachała do ojca, uważając, by nie poruszyć głowy. - Popatrz, co Amber mi kupiła! Ekstra, nie?

Mario skupił całą energię, by zachowywać się tak, jakby Amber nie było w pokoju. Kiwnął głową i spróbował skupić się na podziwianiu błyszczącej zielonej bluzeczki, którą miała na sobie Ruby. Od ilu to tygodni się nie widzieli? Amber wyglądała fantastycznie w morelowym sweterku z angory, prążkowanych kremowopomarańczowych dżinsach i wysokich, kremowych kozakach ozdobionych kryształkami. W uszach miała wielkie złote kółka. Od zawsze uwielbiał jej specyficzny styl ubierania się. Boże, jak on za nią tęsknił!

- A mnie kupiła elektrycznego pająka - wtrącił się Nat. - żeby mi nie było smutno, że to nie moje urodziny.

- Pokazałam Amber mój pokój. - Ruby była niezwykle dumna z nowego wystroju swojego królestwa. - Też chciałaby mieć błyszczącą różową tapetę.

- Rzeknij słowo - próbował zażartować Mario - a przybędę z moim stolikiem do tapet.

Amber uśmiechnęła się i spięła koniec warkocza Ruby różową gumką.

- Zrobione - powiedziała. - Wyglądasz jak księżniczka. A ja? Jak ja wyglądam, miał ochotę zapytać Mario. Czy

tak paskudnie, jak się czuję? I nie sypiam z nikim. Zrobiłem się taki cnotliwy, że w pracy wołają na mnie Cliff Richard.

- Ach, zapomniałem ci powiedzieć, że wygrałem świadectwo - wykrzyknął Nat. - Za grę w szachy! Przyniosę je i pokażę ci.

Nat pobiegł na górę, żeby zdjąć świadectwo ze ściany i pokazać Amber. Ta popatrzyła za zdumieniem na Lottie.

- Szachy? Dobry Boże, a może następnym hobby będzie fizyka kwantowa?

- To był koszmar. Spędziłam całą niedzielę w szkole w Etloe Park na turnieju szachowym dla juniorów. - Lottie wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- W Etloe Park? A, tak, słyszałam. Jeden z kolegów Quentina pomagał w organizacji tych zawodów.

Mario powstrzymał się, żeby się nie skrzywić - Lottie opowiedziała mu w szczegółach o zachowaniu panów z brodą.

- A słyszałaś, jaki tam był cyrk? - Amber popatrzyła wycekująco na Lottie. - Wiesz, co się wydarzyło?

- Nie. - Lottie zbierała na czworakach kawałki srebrnej wstążki i turkusowego papieru opakunkowego. - Co za cyrk?

W pokoju była Ruby i to w jakiś sposób zdawało się powstrzymywać Amber od opowiadania. Przekrzywiła głowę na bok.

- Kolega Quentina namierzył w pustej klasie pewną parę. Domyślcie się, co tam robili... Szczyt wszystkiego! Na turnieju szachowym!

Twarz Lottie zasłaniały opadające włosy. Wciąż zbierała z dywanu kawałki papieru. Coraz mniejsze i mniejsze, zauważył Mario. I robiła to z każdą sekundą coraz wolniej.

- Nie słyszałam o tym - powiedziała zduszonym głosem.

- Wiesz, pewnie nie chcieli o tym trąbić. Ale wyobrażasz sobie coś takiego? Nie przeszkadzało im, że ktoś może ich złapać? - Amber odwróciła się do Mario. - Chociaż tobie pewnie by się podobało.

- Nie sądzę. - Od nieszczęsnego spotkania ze złośliwym kotem barmanki Gemmy, Mario wiódł życie mnicha, ale skoro Amber mu nie wierzy, nie ma zamiaru się tłumaczyć. A poza tym, dużo bardziej interesowało go, dlaczego Lottie wciąż czołga się po podłodze i zbiera skrawki papieru tak mak, że trudno je dostrzec gołym okiem.

- To jest moje świadectwo! - Nat wparował do pokoju i z dumą pokazał Amber dyplom. Uścisnęła go i powiedziała, że jest genialny. - Wygrałem mecz i dostałem złotą gwiazdkę. - Wpakował się na kolana Amber. - Seb przyjechał, żeby mi kibicować, chociaż nie można było normalnie kibicować, bo trzeba było być cicho. Ale to było jak czary - przyszedł i od razu zacząłem wygrywać.

- To świetnie, kochanie. - Amber pogładziła go po zmierzwiionych włosach. - Dużo o nim słyszałam, ale jeszcze go nie widziałam. Lubisz Seba?

- Jest świetny. Wesoły i miły.

- To najlepszy facet, jakiego mama miała - dodała Ruby.

- Miło, że tak mówicie - Amber odwróciła się do Lottie. - To musi być ulga, szczególnie po tym ostatnim panu.

Lottie była szczęśliwa z Sebem, Amber z Quentinem... Mario nie mógł tego znieść. Ostatnie tygodnie były najsmutniejszym okresem w jego życiu.

Amber spojrzała na zegarek.

- Ojej, nie zauważyłam, że tak się zasiedziałam. Biedny Quentin, pewnie zastanawia się, czy kiedykolwiek stąd wyjdę.

Quentin. Jak ona może znosić towarzystwo kogoś o takim imieniu? Mario popatrzył przez okno salonu.

- Odjechał - powiedział. - Pewnie zmęczył się czekaniem.

Ale ku jego rozczarowaniu Amber nie zerwała się z krzesła i nie podbiegła do okna, by sprawdzić, czy Mario żartuje.

- Quentin nigdy by tego nie zrobił. To nie w jego stylu - powiedziała, zbierając swoje rzeczy.

Mówiła swobodnym tonem, ale spojrzała znacząco na Maria. Co miało znaczyć to spojrzenie?

- W moim też nie - powiedział wzburzony Mario. - Ja też nie odjechałbym i nie zostawił cię samej.

- Pewnie nie - uśmiechnęła się przelotnie Amber. - Ale jest bardzo prawdopodobne, że natychmiast wdałbyś się w uroczą rozmowę z pierwszą lepszą ładną dziewczyną, która akurat przechodziłaby drogą.

- Nieprawda! - To oskarżenie było jak policzek. - Nigdy bym tego nie zrobił.

- Oj, zrobiłbyś, tatuś, zrobił - powiedziała z przekonaniem Ruby.

Rozdział 50

- To gorsze niż pociąg z duchami. - Seb zrobił krok do tyłu, by obejrzeć swoje rękodzieło. - Boję się nawet na was popatrzeć.

- Rrrr - zaryczał Nat, nie do poznania pod grubą warstwą zielonej i czerwonej farby do twarzy.

- Ślinię się od tych zębów. - Śmiejąc się jak opętana, Ruby siorbnęła, by połknąć ślinę i wepchnęła głębiej kły wampira.

- Tatuś, ty też musisz się przebrać - stwierdziła Maya, której twarz pomalowana była na przerażający purpurowy kolor. Pod oczyma miała głębokie czarne cienie. - Ty i Lottie też musicie być potworami.

- Mama może założyć te brązowe zgniłe zęby - ucieszyła się Ruby - A Seb może udawać ducha.

- O, nie, biedna Lottie. Nie możesz kazać jej założyć tych zębów, niech mój tata je założy. Chodź, przebierzemy ich.

Lottie usiadła w fotelu, a Ruby i Maya zabrały się do malowania jej twarzy. Obok na sofie Nat wypracowywał w skupieniu nowe oblicze Seba. Uśmiechając się na widok ich przejętych twarzyczek, Lottie zdała sobie sprawę, że właśnie doświadcza chwili niczym niezmażonej szczęśliwości. Takie wspomnienia zamyka się w szkatułkach i trzyma jak największy skarb przez resztę życia.

Było Halloween i cała piątka szykowała się do wędrowki od domu do domu, by straszyć i zbierać słodycze. Maya przyjechała na weekend odwiedzić ojca. Lottie bała się, czy Nat i Ruby zaakceptują ośmioletnią córkę Seba, ale jej obawy rozwiały się już w kilka minut po pojawieniu się małego gościa. Pełna życia, pewna siebie blondyneczka ani przez moment nie czuła się onieśmielona nowym towarzystwem. Nie wiedzieć kiedy, ona, Nat i Ruby stali się dobrymi przyjaciółmi. Lunch zjedli tego dnia w Kingston Ash, które Seb dzielił teraz tylko ze swoją siostrą Tiffany - ich rodzice przenieśli się do nowego domu w południowej Francji. Po południu oglądali nowy film o Harrym Potterze, bawili się w „Jaka To Melodia?” i planowali, jak się

przebiorą, żeby porządnie wystraszyć Bogu ducha winnych mieszkańców wioski.

- Skończyłam - oznajmiła z dumą Ruby, robiąc krok do tyłu i pozwalając Mayi przytrzymać lustro. Lottie obejrzała swoje odbicie. Miała czarne usta, fosforyzujący pomarańczowy cień na powiekach i zieloną maskarę, a cała jej twarz upstrzona była wielkimi brązowymi pieprzykami. Popatrzyła na Seba, któremu z zielono- czarnej twarzy zwisał wielki pryszczaty nos. Na głowie miał perukę szalonego profesora, a w ustach zepsute żółte zęby, których widok mógł przyprawić o mdłości.

- Panno Carlyle, ależ pani szlicznie wygląda - wyseplenił Seb. Z powagą ujął rękę Lottie i pocałował ją, wydając przy tym obrzydliwe siorbiące odgłosy.

- Panie Gili - zatrzepotała rzęsami Lottie - nareszcie spotkałam mężczyznę, o którym śniłam.

- Są brzydcy - oznajmiła Maya - ale mogliby być jeszcze brzydsi. - Z entuzjazmem złapała ciemnoczerwoną kredkę. - Nie ruszaj się, tato. Dorobię ci jeszcze trochę pryszczki.

W zeszłoroczne święto Halloween padał rześisty deszcz, niszcząc pieczołowicie wykonane kostiumy i makijaże. Tego wieczoru pogoda była idealna. Powietrze było gęste od kłębiącej się mgły, w której światło latarki nabierało nierzeczywistego blasku, a dźwięki wydawały się stłumione i zniekształcone. Była ósma. Od godziny już chodzili po Hestacombe, strasząc i prosząc o słodczyce przyjaciół i napotkane po drodze gangi upiorów. Przeszli wzdłuż całej głównej ulicy i kierowali się teraz w stronę domków wypoczynkowych. Podekscytowane dzieci biegły przodem. Seb wyjął w ciemnościach swoje zęby i pocałował Lottie.

- Musimy wyjechać o dziewiątej - wyszeptał pomiędzy pocałunkami. - Mam odwieźć Mayę do Londynu.

- Było świetnie. - Lottie miała nadzieję, że jego bordowe pryszczki nie odciskają się na jej brodzie - dość miała swoich pieprzyków.

- Byłoby jeszcze zabawniej, gdybyśmy postraszyli twojego szefa.

- O, nie, tego nie zrobimy.

- Czemu nie? Mieszka tu, prawda? - Po wyjęciu sztucznej szczęki, prawdziwe zęby Seba świeciły bielą w ciemności. - Nie powinniśmy go oszczędzać.

- Nat i Ruby nie będą chcieli do niego iść - protestowała Lottie.

- Hej, ten facet jest Jankesem. Przecież oni hucznie świętują Halloween. Poza tym dzieciaki chętnie wytną mu jakiś kawał.

No, tak. Jeśli Seb je zachęci, bez wątplenia to zrobią. Gdy doszli do Fox Cottage, z ust Lottie wyrwało się westchnienie ulgi - wszystkie światła były pogaszone.

- Nie ma ich.

- Albo się boją. Trzęsą się w ciemnościach. Albo w łóżku - powiedział Seb i mrugnął do nich. - Zadzwońcie do drzwi, dzieciaki.

- Ja nie chcę - powiedziała Ruby.

- Ja też nie - powiedział Nat.

- To ja zadzwonię. - Maya pobiegła w górę ścieżki i z całej siły nacisnęła dzwonek. Dwadzieścia sekund później rozczarowana wzruszyła ramionami. - Nie, nikogo nie ma.

I dobrze, pomyślała Lottie.

- Mam im wrzucić plastikowego pająka do skrzynki? - zapytała z nadzieją Maya.

- O, tak - powiedział z zadowoleniem Nat. - Wrzuć im cały worek pajaków.

- Ciii. - Ruby podniosła rękę. - Co to?

- Twoja ręka - powiedziała Maya.

- Nie, ten odgłos. Ktoś tu idzie.

Nastawili uszu i usłyszeli stłumione przez mgłę dźwięki rozmowy.

- To pewnie Ben i Harry Jenkinsowie. - Oczy Nata rozbłyły na myśl o spotkaniu z największymi rywalami. - Mówili, że będą dziś chodzić. Możemy ich wystraszyć!

- Dobra, chowamy się - zarządził Seb.

Wszyscy skryli się za pogrążonymi w ciemnościach drzewami i krzewami. Lottie i Ruby przykucnęły za murkiem oddzielającym Fox Cottage od ścieżki. Ponad nimi chmury dryfowały na tle księżyca. Tuż przy ziemi mgła kłębiła się jak puchowa pierzynka, tak gęsta, że Lottie niemal nie widziała swoich stóp.

Usłyszeli wybuch śmiechu i zbliżające się kroki.

- To nie brzmi jak rozmowa małych Jenkinsów - wyszeptała Lottie.

- Mamo, ciii...

Lottie zamilkła. Kilka sekund później usłyszała głos, który z pewnością nie należał ani do Bena, ani do Harry'ego Jenkinsów, częściowo dlatego, że był o kilka oktaw niższy od wszystkiego, co oni byliby w stanie wyprodukować, ale głównie dlatego, że doskonale wiedziała, do kogo ten głos należy.

- Uuuuuuuuu - zawyli jednocześnie Seb, Maya, Ruby i Nat. Wskoczyli ze swoich kryjówek i zamachali rękoma tak, jak zwykły to robić duchy.

- Jezu Chryste!!! - wrzasnęła Liana, odskakując do tyłu i wpadając na Tylera.

- Cukierek albo psikus!!!

- Boże drogi, mało nie dostałam zawału - krzyknęła Liana, obejmując się rękoma. - Nie mam żadnych cukierków.

- No to psikus! - Maya wycelowała i odpaliła pistolet na wodę.

Liana wydała z siebie przeszywający pisk, gdy na jej kremowym płaszczu pojawiła się ciemna plama. - Zupełnie wam odbiło? Nie, tylko nie to!

- Nie martw się! - Maya była zdegustowana tą pozbawioną humoru reakcją. - To magiczny atrament. Po dwóch minutach zniknie.

Za murem ogrodu zażenowana Lottie skuliła się i wydała z siebie przeciągły jęk. Nie miała pojęcia, że Maya ma przy sobie pistolet z magicznym atramentem. Seb, który zapewne o tym

wiedział, był tylko facetem, a facet nie rozumie, że niebieski kolor może za kilka minut zniknąć, ale ślad podobny do plamy tłuszczu pozostanie na płaszczu na zawsze.

- Ten płaszcz kosztował tysiące dolarów - Liana, wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało, potrząsała z oburzeniem głową.

- Hej, jest Halloween - zaprotestował Seb. - Bawimy się. Lottie ośmieliła się wyjrzeć ponad murem i zobaczyła

oburzoną twarz Tylera. Przyglądał się uważnie pomalowanym twarzom.

- Czy Lottie wie, w co pan się bawi z jej dziećmi? - Tyler zwrócił się do Seba. A więc rozpoznał winowajców.

Ruby i Nat spoglądali na Tylera z niechęcią. Seb otoczył ich ramionami.

- Nie wiem. Może ją spytamy? - Odwrócił się w stronę muru i podniesionym głosem zawołał: - Lottie! Czy wiesz, w co się bawię z twoimi dziećmi?

Boże, to było straszne. Lottie wyprostowała się pomału, w pełni świadoma uroku, jaki bije od jej czarnych ust, zmarszczek, brodawek i pieprzyków, którymi usiana była jej twarz.

- OK. Posłuchajcie - powiedział Tyler zrezygnowanym głosem. - Nie chcę wam psuć zabawy, ale trochę przesadziliście. Napadając na kogoś w ten sposób we mgle, mogliście przyprawić go o atak serca. A gdyby to był któryś z naszych gości?

- To są dzieci. - Seb uniósł brwi i wskazał na Mayę, Ruby i Nata. - I, jeszcze raz powtarzam, mamy dziś Halloween. Poza tym słyszeliśmy twój głos - dodał - więc wiedzieliśmy, kto idzie.

A jednak! Lottie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- A co, jeśli mój płaszcz będzie zniszczony? - piskliwym głosem upomniała się Liana.

- Wtedy oczywiście zapłacimy za nowy. Chodźcie, dzieci.

- Seb zgarnął ich ruchem ręki. Przeszli obok Tylera i Liany.

- Musicie zacząć odkładać kieszonkowe. Niektórzy ludzie nie mają poczucia humoru, więc przyjdzie nam za dzisiejszą zabawę drogo zapłacić.

Był poniedziałkowy poranek. W głowie Lottie poczucie winy walczyło z narastającą chęcią obrony swoich racji. To ona zawsze pierwsza przepraszała, ale tym razem nie potrafiła zmusić się do uległości. Ostatniego wieczoru Tyler i Liana okazali jej i jej dzieciom pogardę. Dziś rano Liana zawiozła swoje drogocenne palto do Cheltenham, by dowiedzieć się, czy można usunąć plamę w pralni chemicznej. Z pewnością uważali Nata i Ruby za rozbestwionych dzikusów, a ją za nieodpowiedzialną matkę. Ale gdyby zaczęła tłumaczyć, że to Maya była właścicielką nieszczęsnego pistoletu, wyglądałoby to jak próba zdystansowania się od Seba i jego córki. A w zaistniałych okolicznościach nie miała zamiaru zniżyć się do takich gestów.

Boże, niechże uda się usunąć w pralni tę plamę!

- Przecież dobrze wiesz, że ten psikus był idiotyczny - powtórzył Tyler. - Musisz to przyznać.

Psikus był idiotyczny, ale za żadne skarby nie chciała się do tego przyznać.

- Może jak będziesz miał własne dzieci - powiedziała zdenerwowana - trochę się rozchmurzysz i przestaniesz być taki... taki sztywny i drobiazgowy. Dzieci świetnie się bawiły. Czekają na Halloween od wielu tygodni.

- Wszystko pięknie i dobrze - uniósł dłonie Tyler. - Cieszę się. Ale nie powinni byli...

- Bawić się? Popsocić trochę? Wiesz co? Obeszliśmy wczoraj całą wioskę i wszyscy, których spotkaliśmy, byli bardzo mili. Rozumieli, że to szczególna okazja. Nikt inny nie zagroził procesem w sądzie.

- Nie wciskaj mi kitu - tego nie powiedzieliśmy. Usiłuję ci tylko pokazać, że przeprosiny byłyby bardzo na miejscu. Może powinnaś porozmawiać ze swoją... dzieciarnią i uświadomić im, że powinni przeprosić. Nie mnie - ciągnął spokojnie - ale Lianę.

- Maya mieszka w Londynie. Nat i Ruby nie mieli pojęcia, że ma przy sobie pistolet na wodę, do tego napełniony atramentem. - To nie była prawda. Okazało się, że Maya podzieliła się z nimi wcześniej tą wiadomością, ale Lottie uważała, że nie ma to teraz żadnego znaczenia. - To nie oni pociągali za spust. Nie widzę powodu, dla którego mieliby przepraszać.

- W takim razie może twój przyjaciel powinien stanąć na wysokości zadania - powiedział Tyler.

O tak, już to widzę, pomyślała Lottie. Próbując uspokoić wzburzone nerwy, usłyszała odgłos podjeżdżającego pod wejście samochodu.

- Dobrze, powiem mu o tym. W zasadzie oboje przyjdziemy was przeprosić. Myślisz, że wystarczy, jeśli ukłękniemy, czy może powinniśmy położyć się przed wami krzyżem?

- Lottie...

- Tak jak mówię, może niedługo będziesz miał własne dzieci. Ze względu na nie mam nadzieję, że postarasz się być trochę mniej upierdliwy i trochę bardziej wyrozumiały.

Popatrzyli na siebie spoud swoich biurek. Otworzyły się drzwi. Każdy gość, który wszedłby teraz do biura, natychmiast wyczułby atmosferę wrogości. Na szczęście nie był to gość, tylko Liana.

- O, nie, znowu się kłóciliście? Czuję się okropnie. Lottie, strasznie cię przepraszam za to, co stało się wczoraj wieczorem. Możesz mi wybaczyć, że zachowałam się jak stara zrzęda?

Super. I co ona ma teraz powiedzieć? Czując, że się rumieni, Lottie uderzyła w przepraszający ton.

- Jak stara zrzęda? To my powinniśmy przeprosić. Nie powinniśmy byli... zniszczyć twojego płaszcza.

Czy Tyler musiał tu siedzieć i słuchać każdego słowa? I czy jej się zdaje, czy w kącikach jego ust błąka się ironiczny uśmieszek?

- Nie, proszę cię, nie przepraszaj, to była moja wina, zachowałam się jak idiotka. Strasznie mi przykro, że zepsułam twoim dzieciom zabawę. Liana wyglądała czarująco w cu-

kierkowym różowym sweterku i markowych džinsach. - Kiedy zobaczę je następnym razem, na pewno przeproszę, obiecuję. Proszę, przywiozłam im trochę słodyczy. Potraktuj to jako spóźniony okup z okazji Halloween. Dasz im to i powiesz, że Liana przeprasza?

Coraz gorzej. Pokonana, Lottie wzięła do rąk dwa opakowania drogich słodyczy, które Liana przywiozła z eleganckiego sklepu firmy Thorntons.

- Dziękuję. Oczywiście, że im to powiem. Naprawdę, nie trzeba było tego robić.

- Ale zrobiłam to. A pani w pralni chemicznej obiecała, że wyczyści płaszcz. Mówi, że poradziła sobie już z wieloma plamami po magicznym atramencie.

- To dobrze. Zapłacę za czyszczenie.

- A skąd, ani mi się waź! - Liana pomachała w proteście swoją śliczną rączką, po czym popatrzyła na zegarek. - OK, muszę lecieć, mój aromaterapeuta już czeka. - Posłała całusa Tylerowi. - Do zobaczenia, kotku - powiedziała. - Zamówiłam stół na kolację w Le Petit Blanc.

Lottie patrzyła na wychodzącą Lianę i zastanawiała się, jak czuje się kobieta, na którą czeka aromaterapeuta, żeby poddać ją... aromaterapii. I jakie to uczucie posyłać całusy Tylerowi i nazywać go kotkiem. Jeśli tak się do niego zwracała, na pewno ze sobą sypiali.

- Jeszcze jedno. - Tyler przerwał tok jej wzburzonych myśli.

- Co?

- Kwestia atramentu. Możesz się ze mną kłócić do upadłego, ale przecież jak tylko to się stało, wiedziałas, że to nie jest w porządku.

Lottie popatrzyła na niego.

- Tak? - powiedziała gładko.

Na twarzy Tylera rozkwitł znajomy uśmiech triumfu. Strzelił w nią gumką.

- Wszyscy inni na nas naskoczyli. Pamiętasz? A ty scho-
wałaś się w krzakach.

Rozdział 51

- Ciociu Kress? To ja.

Tylko JoJo tak ją nazywała - inaczej Kressida nie byłaby w stanie rozpoznać głosu po drugiej stronie słuchawki. Słowa JoJo brzmiały głucho i chropowato.

- JoJo, to ty, kochanie? Co się stało? Proszę, nie mów tego, co, zdaje mi się, chcesz powiedzieć.

- Źle się czuję - zachrypiała JoJo - ale nie martw się, dobrze? Nauczycielka już zatelefonowała do taty i on zaraz przyjedzie, żeby zabrać mnie do domu. To chyba grypa.

Kressida zamrugała powiekami. Oczywiście, że to grypa. A cóż innego mogłoby równie skutecznie obrócić w proch jej plany na nadchodzący weekend? Było piątkowe popołudnie piątego listopada, a ona właśnie wydała wszystkie zaskórniaki na dwa bilety lotnicze z Bristolu do Newcastle i z powrotem. A Tom kupił cztery bilety na największy pokaz sztucznych ogni, jaki kiedykolwiek miał miejsce w Newcastle. Jak to się stało, że nie wpadli na to, że przecież jakaś przeszkoda z pewnością się pojawi? Musiałby się zdarzyć cud, żeby nic im nie przeszkodziło.

- Och, biedactwo. - Kressida mówiła bardziej do siebie niż do JoJo i była przerażona swoim samolubstwem.

- Od rana źle się czułam, a w ciągu dnia było coraz gorzej. Ale ty przecież możesz jechać do Newcastle beze mnie.

Naprawdę? Boże, nie przyszło jej to do głowy.

- Kochanie, to nie byłoby to samo - powiedziała automatycznie, ale czuła, że nastrój poprawia jej się w tempie lawinowym. - Nie musisz się martwić o...

- Ciociu, muszę kończyć. Tato przyjechał. - JoJo kaszłała i pociągała nosem przez następne kilka sekund. - Ale ty nie rezygnuj. Wiem, że beze mnie to nie to samo, ale przecież też możecie się dobrze bawić.

Czuając się okropnie i bezwstydnie, podniecona jak nastolatka Kressida zadzwoniła do Toma do pracy i powiedziała o chorobie JoJo. Potem zamilkła.

Tom zdawał się być wystarczająco rozczarowany.

- Musieliśmy strasznie nagrzeszyć w poprzednim życiu, żeby zasłużyć sobie na takie pasmo niepowodzeń.

Czy powinna czuć się winna z powodu tego, co miała teraz zamiar zrobić? - Kressida wzięła głęboki oddech. - Chyba, że mogłabym przyjechać sama - powiedziała.

W słuchawce zaległa deprymująca cisza. A potem Tom wyszeptał:

- Zrobiłabyś to? - W jego głosie słychać było nieskrywany zachwyty.

- Oczywiście. - Zachowywała się bez wątpienia jak szalona.

- Moglibyśmy mimo wszystko pójść na pokaz sztucznych ogni, prawda? - dodała, oddychając szybko. - Donny będzie pewnie rozczarowany, ale...

- Nie martw się o Donny'ego, poradzi sobie. Będę czekał na lotnisku, tak jak planowaliśmy. Nie będzie tylko twojej przyzwoitki.

- Nie będzie mojej przyzwoitki - powtórzyła Kressida i położyła dłoń na bijącym jak oszalałe sercu. Czuła się na wskroś nieprzyzwoicie. Jej zachowanie potwierdza wszem i wobec fakt, że jest osobą samolubną i skupioną wyłącznie na sobie. Ale przecież to mógł być weekend, o jakim nawet nie śmiała marzyć!

- Nie mogę się doczekać - dodał Tom z radością i ulgą.

Według najświeższych doniesień magazynów kobiecych golenie nóg było praktyką, której stosowania zaprzestano z końcem dwudziestego stulecia. Wygląda na to, że obecnie jedynym sposobem uzyskania jedwabiście gładkich łydek jest zastosowanie preparatu Veet. JoJo, wkraczająca dopiero w traumatyczny świat depilacji, ale głęboko zainteresowana tym tematem, zapytała kiedyś Kressidę, która metoda jej zdaniem jest najlepsza. Kressida musiała wtedy przyznać, że nigdy nie pozbywała się

nadmiaru owłosienia w inny sposób niż za pomocą swojej wysłużonej golarki. Czy to był swoisty rekord świata? Zawsze się goliła. Depilacja woskiem była podobno bolesna. A skubanie włosów było czynnością śmieszną - ogolenie jednej nogi kosztowało pewnie tyle bólu co wyregulowanie pięciuset par brwi. A jeśli chodzi o rozpuszczanie włosów za pomocą kremu, Kressida nie miała najlepszych doświadczeń. Kiedy miała czternaście lat, ktoś przyniósł do szkoły tubkę kremu do depilacji o nazwie Immac i wszystkie dziewczynki wysmarowały nim sobie ramiona. Zapach był nie do zniesienia.

Ale to było przecież dwadzieścia pięć lat temu, a Immac nie jest już tym samym kremem, którym był wtedy - teraz nazywa się Veet. Jest wielce prawdopodobne, że jego zapach też się zmienił. W związku z ciekawie zapowiadającym się weekendem Kressida postanowiła nieco nad sobą popracować i zakupiła piankę Veet w aerozolu. Producent utrzymywał, że produkt jest delikatnie aromatyzowany. I, co ciekawe, rzeczywiście był.

Siedziała właśnie na brzegu wanny z nogami zanurzonymi w białej pianie, która kojarzyła jej się z brodą świętego Mikołaja, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Rany boskie, czy w tym domu jest ukryta kamera? Czy ludzie robią to specjalnie? Jeśli to był Ted ze sklepu z wiadomością, że ma zamiar dać jej jeszcze jedną szansę, może nie wytrzymać i zaatakować jego brodę delikatnie aromatyzowanym Veetem.

Ale Kressida była psychicznie niezdolna do zignorowania kogoś stojącego pod drzwiami, więc wygramoliła się z wanny i uważnie owinęła w długi szlafrok, żeby nie wywołać szoku u osoby czekającej na progu. Ktokolwiek to był, nie chciała, by pobiegł przerażony w dół ulicy, wykrzykując w panice jej imię.

- Kressida? - Jeśli jej byłego męża zdziwił fakt, że paradowała w szlafroku o trzeciej po południu, nie okazał tego. - Potrzebuję twojej przysługi - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. Mówił tonem, który Kressida dobrze знаła: stwierdzał, że przysługa ma być wyświadczona, a nie prosił o nią.

- Robert, jestem...
- Sasza i ja mamy ważne spotkanie w Paryżu. Bardzo ważne. Czy możesz zająć się JoJo?

Kressida ujęła poły swojego szlafroka.

- Bardzo mi przykro, Robert, ale nie mogę. Rozumiesz...
- Nie, to ty musisz zrozumieć. - Robert stanowczo potrząsnął głową. - Zapytałaś nas, czy możesz zabrać JoJo na ten weekend. Wspaniałomyślnie się zgodziliśmy. I jednocześnie poczyniliśmy pewne własne plany. To, że JoJo się rozchorowała, nie uprawnia cię do wycofania się z obietnicy. Nie możesz teraz nam powiedzieć, że jednak jej nie chcesz. Zorganizowaliśmy spotkanie i uczestnicy przyjadą specjalnie, żeby spotkać się z nami w hotelu George Cinq. Czy jesteś w stanie pojąć wagę tego wydarzenia? - Ale...

- Kressido, uwierz mi. To nie jest spotkanie, które w jakikolwiek sposób moglibyśmy odwołać.

W Kressidzie wzbierał gniew. Przez całe lata Sasza i Robert traktowali JoJo tak, jakby była uciążliwym zwierzakiem. Tym razem posunęli się za daleko.

- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić - powiedziała odważnie. - JoJo jest waszą córką. Jest chora i potrzebuje was, nie mnie. A poza tym ja też mam inne... inne... - Umilkła, bo na tylnym siedzeniu samochodu Roberta coś się poruszyło i Kressida dostrzegła białą jak kreda twarzyczkę i rozczochrane włosy. - Kto to?

- A kto ma być? - Robert popatrzył na nią, jakby była kretynką. - JoJo, oczywiście.

- A co ona robi w samochodzie, skoro jest chora? - Kressida знаła odpowiedź, zanim wypowiedziała to pytanie. Profesjonalista Robert zastosował handlową technikę faktu dokonanego.

- Przywiozłem ją do ciebie. Miałem kazać jej iść pieszo?

- Jak bardzo jest chora? - Kressida popatrzyła na biedną, bladą JoJo.

- Lekarz mówi, że to grypa. JoJo jest mocno zmarnowana i potrzebuje trochę ciepła i czułości - beztrąsko powiedział Robert, zupełnie nie zdając sobie sprawy z nietaktu.

Czasem musi się powstrzymać, by nie wymierzyć mu policzka w tę ohydną, zadufaną twarz. Ale patrzyła na nich JoJo, a Robert nie miał najmniejszego zamiaru ustąpić. Można sobie wyobrazić uczucia dwunastoletniego dziecka patrzącego na dwoje dorosłych, sprzecających się o to, kto z nich ma się nim zająć, bo żadne z tych dwojga go nie chce.

- Przynieś ją. Nie możesz przecież zostawić jej samej - powiedziała zawstydzona sytuacją Kressida.

- Przepraszam - wyszeptła JoJo, gdy Robert wniósł ją do domu, owiniętą w białą- niebieską kołdrę. Wyszedł, by przynieść z bagażnika jej walizkę.

- Nie wygłupiaj się. Nie możesz nic poradzić na to, że jesteś chora. - Kressida przykłęła przy sofie i delikatnym gestem zsunęła wilgotną grzywkę JoJo ze spoconego czoła.

- Ale wszystko zepsułam. Mogłaś jechać do Newcastle i spędzić cudowny weekend z Tomem i Donny'm. - JoJo zaczęła spazmatycznie kaszleć, a jej drobne ramiona trzęsły się z wysiłku. - To takie marnotrawstwo biletów lotniczych.

Robert ponownie pojawił się w salonie i postawił walizkę JoJo przy drzwiach. Popatrzył na Kressidę.

- Wielkie nieba, co się stało z twoimi nogami? Kressida zupełnie zapomniała o piance do depilacji. Z jej łydek na dywan spływała biała piana.

- To Veet - zacharczała JoJo, wyglądając ponad poręczą sofy.

Robert prychnął.

- Kiedy byliśmy małżeństwem, zawsze goliłaś sobie nogi. Pamiętam tę szczecinę.

- A ja pamiętam twoją - odparowała dotknięta Kressida. Gdy Robert wyszedł, JoJo wyszeptła słabym głosem:

- Tak mi przykro, ciociu Kress.

- Och, nie zwracaj na niego uwagi. Mężczyźni nie potrafią powstrzymać się od prawienia złościwości.

- Nie chodzi mi o to, tylko o wyjazd do Newcastle. - Spocona JoJo trzęsa się pod swoją kołdrą. Położyła głowę na ramieniu Kressidy. - I jeszcze te fajerwerki. Tom kupił bilety, pamiętasz? Nie mogłam sobie wybrać gorszego momentu na chorowanie.

- Nie mów tak. Nie pojechałabym bez ciebie. - Kressida pogładziła rozpalone czoło JoJo i pomyślała, że musi porozmawiać z Tomem na gorze, tak, by JoJo nie słyszała rozmowy. - Kogo interesuje oglądanie sztucznych ogni?

Rozdział 52

Lottie wpadła do salonu w Hestacombe House i ucałowała w policzek siedzącego przed kominkiem Freddiego. Miał wrażenie, że wielki, rozbrykany pies trącił go nosem.

- Jesteś okropnie zimna - zaprotestował.

- Bo na dworze jest mróz. - Miała różowy nos i roziskrzone oczy. Zdjęła rękawiczki i błyszczący niebieski szalik. - Kałuże zamarzyły, więc wszyscy idziemy wieczorem na ślizgawkę nad jezioro. Jesteś pewien, że nie chcesz z nami pójść?

- Kiedy o tym mówisz, nabieram ochoty. - Freddie popatrzył na nią z udawaną surowością. - Ale chyba sama rozumiesz, że wizja połamanych nóg mnie nie pociąga.

- Zawieziemy cię tam na wózku, głuptasie.

- Nie, dziękuję. - Freddie miał już kłopoty z utrzymaniem równowagi i lewa noga powoli odmawiała posłuszeństwa, więc na spacerzy wychodził na wózku. Wieczne eskapady wołał jednak pozostawić młodzieży. - Posiedzimy w ciepélku i obejrzymy wszystko z okna.

Zabawa przy ognisku i pokaz fajerwerków stały się już doroczną tradycją w Hestacombe. Początek dali jej dwadzieścia lat temu Freddie i Mary. Ileż miłych wspomnień wiąże się z tym miejscem...

- O czym myślisz? - Lottie przyglądała się jego twarzy.
- Zastanawiam się, co będzie w przyszłym roku. Czy Tyler będzie podtrzymywał ten zwyczaj.

- Będzie. Przypilnuję go.

Freddie uśmiechnął się - nie miał co do tego wątpliwości.

- Nie wiadomo, może ty też stąd znikniesz. Seb może zechcieć wywieźć ciebie i dzieci z Hestacombe... Może zamieszkasz w Dubaju?

Spojrzenie, które rzuciła mu Lottie, świadczyło, że pomysł nie przypadł jej do gustu.

- Nic o tym nie wiem. Nie potrafię sobie wyobrazić mieszkania gdzie indziej. - Uśmiechnęła się. - Ale bardzo się cieszę, że polubiłeś Seba.

- Oczywiście, że go polubiłem. - Lottie przyprowadziła Seba któregoś wieczoru w zeszłym tygodniu. Wydawał się być miłym facetem, może niezbyt odpowiedzialnym, ale bez wątpienia czarującym. I Lottie go uwielbiała. Freddie- mu nie do końca chciało się wierzyć w trwałość tego związku, ale z drugiej strony, czy takie przewidywania w ogóle są możliwe? W końcu on też miał za sobą bujną przeszłość. Spójrzmy prawdzie w oczy: nikt, kto znał go czterdzieści lat wcześniej, nie postawiłby złamanego szeląga na to, że jego małżeństwo z Mary może potrwać tak długo. To pokazuje, że w sprawach miłości nigdy nic nie wiadomo. To wielka loteria. Jest wielce prawdopodobne, że myli się w swoich przewidywaniach i Lottie będzie przez resztę życia niezwykle szczęśliwa u boku Sebastiana Gilla. A Tyler będzie równie szczęśliwy z Lianą. Trochę szkoda, że jego sekretne plany związane z Lottie i Tylerem spaliły na panewce, ale...

- Lottie, kochanie, możesz przysunąć ten stolik? - Barbara wyszła z kuchni, trzymając w dłoniach tacę z kieliszkiem whisky i gorącymi ciasteczkami. - Brrr, zmarzniecicie dzisiaj nad jeziorem.

Freddie obserwował Lottie, która zerwała się, by pomóc. Tak jak Lottie pragnęła, by on zaakceptował Seba, tak samo

Freddie z całego serca chciał, aby ona potrafiła zaakceptować Barbarę. Na szczęście panie przypadły sobie do serca już przy pierwszym spotkaniu. Tym razem obyło się bez rzucanych kątem oka podejrzliwych spojrzeń i wrogości, która wcześniej była pomiędzy Lottie i Fenella.

- Będziecie stąd pięknie widzieć fajerwerki - powiedziała Lottie. - Rozświeć całą jezioro. Jeśli przymarzniemy do ziemi, zadbajcie, by rano ktoś przyszedł nas poodrywać.

- Wypij łyk szkockiej, zanim wyjdiesz - poradziła Barbara. - To cię rozgrzeje. To tylko jakaś tania nalewka Freddiego.

Freddie uwielbiał jej lekceważący stosunek do marności tego świata - w rzeczy samej była to najprawdziwsza trzydziestoletnia słodowa whisky Glenfarclas ze Speyside.

- No, skoro tak... Tylko jeden łyk. - Wielki zegar w holu wybił godzinę siódmą, przypominając Lottie, że czas już iść. - Właściwie przyszedł powiedzieć, że dodzwoniłam się do tego faceta z agencji detektywistycznej. Jeszcze nie wpadł na żaden trop.

Freddie był rozczarowany, ale nie zdziwiony. Gdyby temu człowiekowi udało się zlokalizować Giselle, na pewno dałby znać natychmiast.

- A może spróbujecie skontaktować się z inną agencją? - Barbara chciała pomóc. - Może będą mieli więcej szczęścia.

- Ten facet robi, co może - powiedziała Lottie. - Tylko że takie rzeczy są...

- Czasochłonne - dokończył Freddie. - W porządku, nie musisz uważać na słowa.

- Mówiłam mu, żeby dał z siebie wszystko. Wie, że nie mamy czasu. - Lottie wypięła szkocką jednym haustem, sapnęła i złapała się za gardło. - Faj, jakbym piła benzynę.

- Moja mała dziewczynka. - Freddie z czułością pokręcił głową. - Straszny z ciebie głupek.

Wesołe płomienie ogniska odbijały się od tafli jeziora. Zabawa rozkręciła się na dobre. Siedząc w salonie, Freddie i

Barbara uchyliła okno na tyle, by słyszeć krzyki dzieci i ochy i achy, które towarzyszyły każdej nowej eksplozji sztucznych ogni, rozświetlającej usiane gwiazdami niebo.

- To pewnie ostatnie fajerwerki, jakie widzę. - Freddie czuł się przyjemnie odprężony, zapewne dzięki nadmiernej ilości whisky. Gdyby miał w planach dożyć dziewięćdziesiąt-ki, na pewno nie piłby tyle. A że było, jak było, ilość wypitego alkoholu nie miała najmniejszego znaczenia. Gdyby chciał, mógłby wypić całą tę cholerną butelkę.

- Prawda, jakie to piękne? - Barbara siedziała obok z nogami do góry i z kieliszkiem likieru Tia Maria. - Wiesz, słyszałam o facecie, który poprosił, aby go po śmierci skremowano i zapakowano w gigantyczny fajerwerk, który potem odpalono w wyznaczonym przez niego miejscu.

- A co - zapytał. Freddie - jeśli tym miejscem okazałby się sklep Marksa i Spencera?

- Uważam, że to świetny pomysł. Mnie by się podobało, gdyby zapakowano moje prochy do katapulty i odpalono nad Regent's Park. Tak po prostu. - Barbara wykonała zamaszysty ruch ręką, a na niebie wykwitły kolejne pęki purpurowych chryzantem. - Czy to nie byłoby cudowne? Świetna zabawa dla wszystkich.

Freddie pociągnął następny łyk Glenfarclas.

- Mnie wystarczy, jak moje prochy rozrzuca nad jeziorem.

- Ty tu rządzisz. - Barbara pochyliła głowę i spojrzała na niego z uśmiechem. - Mogę przynieść tabletki?

- Cholerne pigułki. Pewnie, że możesz. - Freddie zdawał sobie sprawę, że tabletki pomagają mu żyć, ale to nie znaczy, że lubił je zażywać. - Wiesz, kiedy mnie zdiagnozowano i lekarz powiedział mi, że mam przed sobą w najlepszym razie rok życia, pomyślałem, że się zabiję. Nie od razu, na miejscu - dodał, chcąc, by Barbara dobrze go zrozumiała. - Ale kiedy... przyjdzie czas. Wiedziałem, co mnie czeka i zdecydowałem, że raczej umrę, niż pozwolę się doprowadzić do takiego stanu. Wydawało

mi się, że to bardzo rozsądne wyjście z sytuacji. Czy wiele osób tak myśli?

Barbara zastanowiła się.

- Sądzę, że tak - powiedziała po chwili.

- Też mi się tak wydaje - pokiwał głową Freddie. - Ale jest pytanie, ile osób faktycznie to robi, kiedy przyjdzie czas. Czy rzeczywiście decydują się, żeby popełnić samobójstwo?

- Nie, większość na pewno nie - powiedziała spokojnie Barbara, potrząsając głową.

- No właśnie. Chciałem to zrobić, ale teraz nie mogę. I w zasadzie nie sądzę, żeby to była kwestia odwagi lub tchórzostwa; po prostu nie jestem sobie w tej chwili w stanie wyobrazić zrobienia czegoś takiego. - Zrezygnowany odstawił szklaneczkę i oparł głowę o oparcie krzesła. - To jest cholernie wkurzające, zapewniam cię. Dlaczego tak się dzieje?

- To się chyba nazywa wola życia - powiedziała ze zrozumieniem Barbara. - Odruch obronny, który włącza się w momencie zagrożenia.

- Nie chciałem, żeby tak było. Sądziłem, że uda mi się uniknąć tych ostatnich kilku miesięcy, bo który człowiek przy zdrowych zmysłach chciałby przez coś takiego przechodzić? Ale teraz nie mam chyba innego wyjścia. Chcę się obudzić jutro rano, i pojutrze, i popojutrze, tak długo jak będzie to fizycznie możliwe. Chcę, żeby ten pieprzony detektyw odnalazł Giselle. Chcę przeżyć jeszcze jedno Boże Narodzenie, chcę ci pokazać ogród następnej wiosny... cholera!

- Proszę. - Barbara wcisnęła mu w dłoń chusteczkę.

- Przepraszam.

- Och, Freddie. Masz do tego pełne prawo.

Freddie otarł łzy, odchrząknął i wbił w okno niewidzący wzrok. Ni stąd ni zowąd ogarnęła go wściekłość i żal, bo nie miał najmniejszej ochoty umierać, a nie mógł zrobić nic, by odmienić bieg wypadków. A może zbyt szybko się poddał, gdy usłyszał diagnozę? Może gdyby nie odrzucił kuracji, byłby teraz na dobrej drodze do odzyskania zdrowia? I jego lekarz, zdumiony, kręciłby

głową i powtarzał: „Muszę powiedzieć, że wynik jest dużo lepszy, niż się spodziewaliśmy, Freddie. Guz właściwie zniknął”. Może... Ale nigdy się tego nie dowie. Życie wydawało mu się wtedy tak ponure, że był gotowy je zakończyć.

Ale to było, zanim spotkał Barbarę. Jej cudowne towarzystwo sprawiło, że chciał, by wspólne poranki i wieczory nigdy się nie skończyły. Wiedział, że była to kobieta, w której mógłby się zakochać. Gdyby tylko spotkał ją pół roku wcześniej... I gdyby jego mózg był wolny od guza...

Ale gdyby nie guz, nigdy przecież nie spotkałby Barbary. Kryła się w tym z pewnością jakaś nauka, myślał Freddie, ale ni w ząb nie umiał odkryć, jaka.

- W porządku? - Barbara z czułością uściśnęła jego rękę.

- Tak. Dziękuję - kiwnął głową Freddie i uśmiechnął się blado, ochłonawszy już z gniewu.

Bum, bum, bum - strzelały fajerwerki. Kaskady szkarłatnych i metalicznie niebieskich świateł spływały z nieba i odbijały się w srebrnoczarnej tafli jeziora.

- W zasadzie Regent's Park to nie był najlepszy pomysł. Kiedy Amy miała szesnaście lat, pojechaliśmy na długi weekend do Paryża. Byłeś tam?

- O tak. Z Mary. - Freddie miał wiele pięknych wspomnień z ich wspólnego pobytu w Paryżu.

Na niebie rozkwitł widowiskowy bukiet jaskrawo-czerwonych i szmaragdowozielonych chryzantem.

- Myślę, że wolałabym być wystrzelona z wieży Eiffla.

Rozdział 53

- Cześć. Myślałam, że Tyler tu będzie.

Lottie wyłączyła pasjansa, którego ukradkiem układała w komputerze i spojrzała na stojącą na progu biura Lianę. Nie tylko wyglądała i mówiła jak anioł, ale również tak pachniała. Jak ona to robi?

- Tyler poszedł do Pelham House. Co to za zapach? - zapytała zdjęta ciekawością Lottie. Czy Liany rozbłyły.

- Zapach? On właściwie nie ma nazwy. Pojechałam do mieszalni perfum w Knightsbridge i tam stworzyli go specjalnie dla mnie... Chodzi o to, żeby dopasować zapach do moich feromonów. Rozumiesz?

Oczywiście. Co za głupie pytanie. Najpiękniejszy zapach świata został stworzony specjalnie dla najpiękniejszej istoty stąpającej po nim. Lottie żałowała, że w ogóle pytała. Gdyby ona pojechała do tej perfumerii, zapewne w mikserze wylądowałoby kilka ropuch, parę kłujących pokrzyw i spora porcja keczupu.

- To takie miłe, że zauważyłaś - wykrzyknęła Liana. - Myślisz, że Tyler jest bardzo zajęty? Co on tam robi?

- Naprawia łóżko z baldachimem. Carringtonowie złamali dwa pionowe słupy i cały materiał spadł na ziemię.

- Żartujesz! Co oni mogli tam robić, żeby tak nabroić?

- Bóg raczy wiedzieć. - Lottie wygięła usta w zabawnym grymasie, bo i pan i pani Carrington byli dobrze po sześćdziesiątce i nie sprawiali wrażenia osób, które mogły uprawiać akrobatyczny seks. Wyglądali na parę, która zakładała do łóżka identyczne ciepłe szlafroki, a nie na atletów, którzy ćwiczyliby wspinanie się po słupach. Chyba, że... hm... oboje...

- Wiem, co ci chodzi po głowie - powiedziała ze śmiechem Liana.

- Nie chcę nawet o tym myśleć. - Lottie pociągnęła łyk wody mineralnej i wielkie krople polały jej się po brodzie. Wytarła je szybkim ruchem ręki. Boże, czy nie potrafi nawet napić się wody bez robienia z siebie widowiska? - W każdym razie Carringtonowie wyjechali. Jeśli chcesz się spotkać z Tylerem, możesz tam iść.

- Jeśli to zrobię, mogę nie oprzeć się pokusie rzucić go na to łóżko i zniewolić. - Oczy jej błyszczały. - Lepiej będzie, jak spotkamy się gdzie indziej. Chciałam ustalić z nim plany na Święto Dziękczynienia.

A więc wszystko jasne - na pewno ze sobą spali. Święto Dziękczynienia? To za kilka tygodni! To ile ona zamierza tutaj siedzieć?

- Wiesz, właśnie dziś rano mówiłam Tylerowi, że musimy zacząć się spotykać - ciągnęła Liana.

- Oo! - A cóż to może znaczyć?

- Musicie kiedyś przyjść z Sebem na kolację. Dobry Boże, czy ona oszalała?

- Nie sądzę, żeby Tylerowi spodobał się ten pomysł - powiedziała bez entuzjazmu Lottie, skubiąc gumkę, którą trzymała w palcach.

- Hej, wiem, że Tyler niezbyt lubi twojego chłopaka, ale to jeszcze jeden powód, by spróbowali poznać się trochę lepiej. Chodzi mi o to, że byłoby dużo sympatyczniej, gdybyśmy wszyscy zostali przyjaciółmi.

Sympatyczniej? Czy Liana nie miała przypadkiem na drugie imię Pollyanna? Lottie wydała z siebie bliżej nieokreślony dźwięk i gorąco zapragnęła, żeby jej rozmówczyni już sobie poszła.

Ale tak się nie stało. Liana, która tego dnia była w wyjątkowo konwersacyjnym nastroju, usadowiła się na skraju biurka Lottie.

- Wiesz, nie masz pewnie pojęcia, jak bardzo przyjazd tutaj mnie zmienił. Powinnaś zobaczyć, w jakim byłam stanie, kiedy umarł Curtis. Wszystko dzięki Tylerowi. Zmienił całe moje życie.

- Mm - mruknęła Lottie, czując, że może nie być w stanie znieść dalszych wynurzeń.

- Myślałam, że nie będę już potrafiła się zakochać - ciągnęła Liana. - I nie wyobrażałam sobie żadnego życia erotycznego. Ale kiedy jest się z kimś takim jak Tyler... hmm... on jest taki...

Wystarczy. Za dużo informacji na jeden raz.

- W każdym razie nie wiem, co bym bez niego zrobiła. - Przechyliła na bok głowę. - To dziwne, jak te sprawy się układają

ją. Myślisz, że twoje życie zmierza w jakimś kierunku, a tu trach, i wszystko się zmienia. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy...

Stan Freddiego wyraźnie się pogorszył. Wezwano doktora, a ten nie pozostawił żadnych złudzeń: Freddiemu nie zostało wiele czasu. Może to dobry moment, żeby przenieść się do hospicjum?

- Nie. - Podparty na poduszkach Freddie z wysiłkiem pokręcił głową. - Nie zmienię zdania. Chcę pozostać tutaj.

- To dobrze. - Doktor zaakceptował jego decyzję. - Porozmawiam z Barbarą, co ma stosować w razie silnego bólu.

- Pokiwał z aprobatą głową. - Wybrałeś sobie świetną opiekunkę.

- Ręce przy sobie. Ma pan w domu żonę - powiedział Freddie.

Lekarz uśmiechnął się i wypisał kilka recept.

- Proszę odpoczywać. I niczym się nie martwić. Świetna rada.

- Ma pan na myśli, że mam przestać grać w rugby? Przecież ja wyłącznie leżę i odpoczywam.

- I podziwia pan najpiękniejszy widok w Anglii. - Doktor obrócił się i wskazał na jezioro, na wznoszące się po jego drugiej stronie wzgórze i na chowające się właśnie za drzewami słońce, które rozświetlało chmury różowym blaskiem.

- Można gorzej spędzać czas.

- Boże, jestem taki zmęczony. - Freddie ziewnął i zdał sobie sprawę, że bełkocze. A nie pił już od tygodnia.

- Zostawię pana - powiedział cicho lekarz. Zanim zdążył zamknąć za sobą drzwi, Freddie już spał.

Lottie weszła do kuchni w Hestacombe House, w której właśnie dzwonił telefon. Barbara podlewała rosnące na oknie bazylię i kolendrę.

- Tak? - zgłosiła się.

Lottie czekała, aż Barbara skończy rozmawiać.

- Niestety Freddie nie może podejść do telefonu. Może zapiszę pańskie nazwisko i przekażę mu wiadomość. Na pewno potem oddzwoni. - Barbara gestem dłoni dała Lottie do zrozumienia, że Freddie śpi, i wyjęła pióro z miski na owoce stojącej na kredensie. Lottie usłużnie podsunęła jej niepotrzebną kopertę. Barbara słuchała przez chwilę, po czym zapisała jakieś nazwisko i spojrzała na Lottie.

- Mogę pana na sekundkę przeprosić, panie Barrowcliffe? Muszę zamienić z kimś słowo.

- Barrowcliffe. Jeff Barrowcliffe? - Lottie uniosła do góry brwi w geście zdziwienia.

Barbara kiwnęła głową i zakryła dłonią słuchawkę.

- To on. Freddie mi o nim opowiadał. Dzwoni, żeby zaprosić Freddiego na przyjęcie w grudniu.

Czując ucisk w gardle, Lottie wzięła z rąk Barbary słuchawkę.

- Ja to zrobię.

Freddie powierzył Lottie i Barbarze zadanie informowania innych o swojej chorobie. Przedstawiwszy się, Lottie wyjaśniła Jeffowi, że z powodu choroby Freddie nie będzie mógł skorzystać z zaproszenia. Ten wydawał się nieco urażony.

- Ale to dopiero za pięć tygodni. Do tego czasu może wyzdrowieć.

- Przykro mi, ale to niemożliwe - powiedziała łagodnie Lottie. - To poważna choroba.

Głos w słuchawce umilkł.

- Co mu jest?

- Ma guza mózgu. - Lottie z wysiłkiem wymówiła to zdanie.

- O, Boże. To okropne. - Jeff był wyraźnie zszokowany. - Wyglądał tak zdrowo, kiedy był tutaj w Exmouth.

- To było tuż po diagnozie. Gdy dowiedział się, że nie pozostało mu już wiele czasu, postanowił skontaktować się z panem.

- Nic mi nie powiedział. - W głosie Jeffa słysząc było przygnębienie. - Nie miałem o tym pojęcia.

- Tak wołał. Ale teraz nie można dłużej ukrywać jego stanu. Proszę posłuchać. Powiem mu, że pan dzwonił. Jeśli będzie czuł się na siłach, oddzwoni jutro, ale muszę pana ostrzec, że jego mowa stała się trochę niewyraźna. Czasem przez telefon trudno zrozumieć, co mówi.

- Dobrze, dobrze. Proszę mu tylko powiedzieć, że dzwoniłem - odparł pośpiesznie Jeff. - I proszę mu przekazać nasze najserdeczniejsze pozdrowienia. Było miło spotkać się w lecie. - Przerwał i odchrząknął. - Czy on... bardzo źle się czuje?

Lottie wolno pokiwała głową.

- Tak. Bardzo. - Na ramieniu poczuła ciepłą, dodającą otuchy dłoń Barbary.

- Proszę mu powiedzieć, że mi przykro - wyszeptał Jeff.

Następnego poranka Freddie obserwował krzątającą się po pokoju Barbarę. Poprawiła białe róże w wazonie i odkurzyła srebrne ramki stojących na kominku zdjęć.

- Wiesz, że dziś czuję się trochę lepiej? - Freddie ostrożnie przechylił głowę najpierw w lewą, a potem w prawą stronę, żeby sprawić, jak mocno boli. Na pewno ból był mniej dokuczliwy niż poprzedniego dnia.

- To chyba dlatego, że zwiększyłam ci dawkę morfiny. Ach, tak. - A więc był na haju i nawet o tym nie wiedział. - Seplenię?

- Trochę - uśmiechnęła się.

- Wypijesz ze mną lampkę szampana? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Jest jedenasta rano. Zrobię ci filiżankę herbaty, dobrze?

- Cóż, jestem zmuszony zadowolić się tym marnym substytutem. Kto to? - Oboje usłyszeli, że przed domem zatrzymał się jakiś samochód.

Barbara wyrzwała przez okno sypialni.

- Nie mam pojęcia. Chyba jacyś nowi goście. Lottie z nimi rozmawia. Masz ochotę na kanapkę z kurczakiem?

- Nie jestem głodny.
- Powinieneś coś zjeść.
- Mam zrzedliwą pielęgniarkę - czy to nie wystarczy? -
Freddie wskazał ręką na krzesło stojące przy łóżku. - Przestań się kręcić, kobieto, usiądź i pomóż mi dokończyć tę cholerną krzyżówkę. Kiedyś potrafiłem rozwiązać takie coś w dziesięć minut.

- Pozwól tylko, że poprawię ci poduszki. Siedzisz po-skęcany. - Barbara pomogła mu się przesunąć i wolną ręką umiejętnie ustawiła za jego plecami puchowe poduchy. - Proszę bardzo. Lepiej, prawda? Gdzie położyłeś pióro?

- Spadło mi - powiedział Freddie.

Barbara uklękła i zajrzała pod łóżko w poszukiwaniu pióra. W tym momencie otworzyły się drzwi i do sypialni weszła Lottie. Wyglądała po części na zszokowaną, a po części na zachwyconą, tak, jakby przed chwilą spotkała świętego Mikołaja.

- Freddie, masz gościa - powiedziała zmienionym głosem.

Jasne! Akurat wtedy, gdy mieli się z Barbarą zabrać za rozwiązywanie krzyżówki. Freddie zmarszczył z niezadowoleniem brwi - wyraźnie nie miał ochoty na przyjmowanie gości.

- Kto to?

Lottie oddychała szybko. Poczekała, aż Barbara odnajdzie pióro i wyczołga się spod łóżka.

- To Giselle - powiedziała w końcu.

Rozdział 54

Freddie miał wrażenie, że zegar w pokoju przestał tykać. Jakim cudem Giselle mogła się tu pojawić, skoro nie było żadnej informacji z agencji detektywistycznej o tym, że ją znaleźli? Chyba, że zadzwonili do Lottie, a ona postanowiła zrobić mu niespodziankę. Ale wyraz jej twarzy wskazywał na to, że jest w równie głębokim szoku, jak Freddie.

- Znaleźli ją? - zapytał speszony.

- Nie - potrząsnęła głową Lottie.

Freddiemu przemknęła przez głowę myśl, że może to wszystko jest przywidzeniem wywołanym nadmierną dawką leku. A może on po prostu śpi i to jest tylko senne marzenie? Czy sny mogą być tak realistyczne?

Lottie podeszła, ułożyła mu włosy i poprawiła kołnierz piżamy. Sięgnęła po wodę kolońską i wklepała odrobinę w jego policzki. Potem wygładziła kódrę.

- No, może być - powiedziała, zrobiwszy krok do tyłu. Freddie był wdzięczny, że nie pośliniła rogu swojej chusteczki do nosa i nie wytarła mu ust. Czuł się jak niedomyty pięciolatek.

- Myślicie, że będzie zszokowana, gdy mnie zobaczy? - zapytał, zdając sobie sprawę, że jego mowa znów stała się bełkotliwa.

Deski w podłodze zaskrzypiały i ktoś pojawił się na progu.

- Nie, Freddie. - Do pokoju weszła Giselle. - Nie będę. Jeśli to był sen, Freddie nie miał powodu do narzekań.

Lottie i Barbara dyskretnie wyszły, zamykając za sobą drzwi i pozostawiając tych dwoje samym sobie.

- To naprawdę ty. - Freddie zdawał sobie sprawę, że to nie były najmądrzejsze słowa, jakie mógł w tej sytuacji wypowiedzieć, ale była to pierwsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy. Kasztanowe włosy Giselle tak jak dawniej układały się miękko wokół jej słodko zaokrąglonej buzi. Patrzyły na niego oczy, które tak dobrze pamiętał. Na ustach Giselle błąkał się niepewny uśmiech. Miała na sobie eleganckie kremowe spodnie i koszulę w kolorze kości słoniowej, na którą narzuciła jasnobrązowy sweter z angory. Kołnierzik koszuli był z jednej strony przekrzywiony, co upewniło Freddiego w przekonaniu, że to jednak nie był sen. Nie sądził, by jego umysł był w stanie wyprodukować we śnie taki szczegół.

- Och, Freddie. Tak cudownie, że mogę cię znów zobaczyć.

- Na jej twarzy malowały się skrajnie różne emocje: radość ze spotkania i smutek z powodu jego choroby. Giselle ostrożnie położyła dłonie na jego ramionach i ucałowała go w oba policzki.

Pachniała jaśminem. Freddie wskazał jej ręką krzesło. Chciał się jej przyjrzeć, przeprosić i dowiedzieć, jak ułożyło jej się życie.

- Nie rozumiem, skąd się tu wzięłaś - powiedział pomału, kiedy Giselle usiadła. - Szukaliśmy cię.

- Właśnie się o tym dowiedziałam. To znaczy, coś tam wcześniej słyszałam. - Ujęła w dłonie jego rękę. - Lottie powiedziała mi przed chwilą, że była w Oksfordzie i rozmawiała z Phyllis Mason.

- Bardzo nam pomogła - powiedział z przekąsem Freddie. - Nie potrafiła sobie nawet przypomnieć, jak nazywał się facet, za którego wyszłaś za mąż.

Giselle uśmiechnęła się.

- Bo to było bardzo dawno. A poza tym, to nie było najłatwiejsze nazwisko do zapamiętania. Kasprzykowski.

- O rany! To musiała być miłość. - Freddie miał w głowie tyle pytań, że nie wiedział, od którego zacząć. - Ale powiedz mi najpierw, skąd ta wizyta. Wciąż tego nie rozumiem.

- A więc choć raz w życiu mam nad tobą przewagę. - Oczy jej błyszczały. - Może powinnam to wykorzystać? - dodała żartobliwie.

- No tak, zasłużyłem sobie na takie traktowanie. - Zdużnienie opadło i Freddie był coraz bardziej zachwycony tą wizytą. - Mogę cię przeprosić? Wiem, jak cię skrzywdziłem i że niczym sobie na to nie zasłużyłaś. Zachowałem się okropnie i przez całe życie źle się z tym czułem.

- Rozumiem. - Pogłaskała go po dłoni. - W przeciwnym razie pewnie nie starałbyś się mnie odnaleźć.

- Wyrzuty sumienia - potrząsnął głową Freddie - to okropna rzecz.

- Nie bądź dla siebie taki surowy. Przestałeś mnie kochać i zakochałeś się w kimś innym. Rozstaliśmy się. To historia stara jak świat. Najważniejsze, że ty i Mary byliście razem szczęśliwi.

- Uśmiechnęła się. - I jeśli to ci pomoże, to powiem, że mnie też w końcu się udało.

To była dla Freddiego ogromna ulga. Gdy usłyszał te słowa, poczuł się niemal fizycznie lżejszy.

- Wciąż jesteś panią Kasprzy... coś tam?

- Tak - kiwnęła głową Giselle. - Ciągłe jestem panią Kasprzykowska. - Przerwała. - Przynajmniej oficjalnie.

- Co to znaczy?

- Peter zabrał mnie ze sobą do Ameryki. Pobraliśmy się. Jego rodzice mnie nienawidzili, bo nie byłam Polką. I nie byłam katoliczką. Mieszkaliśmy z nimi w Wisconsin pod jednym dachem. - Giselle wzdygnęła się na samo wspomnienie. - Nie potrafię opisać, jak bardzo żałowałam, że wyjechałam z domu. Peter był rozpieszczonym maminsynkiem, który był zbyt leniwy, by wytrwać w jakiegokolwiek pracy dłużej niż miesiąc. Wytrzymałam dwa lata, pracując w sklepie żelaznym i odkładając co tydzień po kilka dolarów. W końcu uzbierałam na bilet do domu. Peter ostrzegł mnie, że jeśli kiedykolwiek spróbuję go rzucić, pożałuję tego. Więc uciekłam w nocy, wróciłam do domu i nigdy więcej się z nim nie kontaktowałam.

- To wszystko moja wina. - Freddie wyobraził sobie, jak bardzo musiała być wtedy nieszczęśliwa.

- Co nas nie zabije, to nas wzmocni. Całe szczęście, że nie mieliśmy dzieci. W każdym razie zaczęłam pracować jako opiekunka do dzieci dla pewnej rodziny w Berkshire. - Giselle pochyliła się w stronę Freddiego. - Pewnego razu postanowiłam pojechać na weekend do koleżanki w Oksfordzie. Pojechałam pociągiem, wysiadłam na stacji i wtedy go zobaczyłam. Stał na peronie i czekał na swój pociąg. Nie mogłam w to uwierzyć. Zobaczył mnie i podszedł. Zaczęliśmy rozmawiać, i już było po nas. Nigdy nie dotarłam do tej koleżanki.

- Kto to był?

- Człowiek, z którym szczęśliwie przeżyłam ostatnie trzydzieści sześć lat - powiedziała spokojnie Giselle. - Ojciec moich dzieci. Mężczyzna, którego będę kochać do końca życia, chociaż ma swoje wady.

Freddie próbował wyobrazić sobie scenę na dworcu, gdzie spotkało się ze sobą dwoje zupełnie obcych ludzi. Ich spojrzenia skrzyżowały się i już wiedzieli, że to jest to. Z nim i z Mary też tak było.

- Miłość od pierwszego wejrzenia. - Uścisnął dłoń Giselle. - Jak on się nazywa?

- Nie do końca od pierwszego wejrzenia - odpowiedziała z rozbawieniem Giselle. - To był Jeff Barrowcliffe.

W kuchni na dole Jeff słodził herbatę i próbował wytłumaczyć, dlaczego ukrył przed Freddiem prawdę.

- Byłem po prostu zazdrosny. Freddie był kiedyś moim najlepszym przyjacielem i to nie przeszkodziło mu odebrać mi moją dziewczynę. Wiem, nie zasługiwałem wtedy na nią, ale już raz straciłem przez niego Giselle i nie mogłem pozwolić, żeby ta sytuacja się powtórzyła.

- Rozumiem - powiedziała Lottie.

- Ja też - kiwnęła głową Barbara.

- Nie widzieliśmy Freddiego od czterdziestu lat - usprawiedliwiał się dalej Jeff - a tu ni stąd ni zowąd dostaję od pani e-maila. Byłem ciekaw spotkania z nim, ale nie wiedziałem, czego on chce. Nie ufałem mu. Więc pozbywałem fotografie i zawiozłem Giselle do naszej najstarszej córki. Kiedy Freddie przyjechał, powiedział, że szuka Giselle, ale nie powiedział, dlaczego. Zobaczyłem swojego starego rywala, wciąż przystojnego i dobrze ubranego, i niepozobawionego dawnego uroku. Nie powiedział mi, że jest chory.

Lottie zastanawiała się nad czymś.

- Ale wczoraj zadzwonił pan z zaproszeniem na przyjęcie - powiedziała.

- Wiem. - Na twarzy Jeffa malowało się zawstydzenie. - Zajęło to Giselle trochę czasu, ale w końcu udało jej się sprawić, żebym popatrzył na całą sprawę racjonalnie. Chodzi o to, że to spotkanie po latach było tak naprawdę... fantastyczne. Nasza rozmowa o dawnych czasach i o tym, jak potoczyło się jego

zycie... Kiedy odjechał, zaczęliśmy się nad tym zastanawiać. Postanowiliśmy odszukać naszych starych przyjaciół i zorganizować przed Bożym Narodzeniem spotkanie-niespodziankę. Giselle powiedziała, że muszę zaprosić Freddiego. Obiecała, że z nim nie nawieje. Oczywiście wiedziałem, że miała rację - nie można było go nie zaprosić. - Przerwał, upił łyk herbaty i ostrożnie postawił filiżankę na spodeczku. - Teraz okazuje się, że Freddiego jednak zabraknie. Wczoraj po rozmowie z panią poczułem się okropnie. Jak tylko powiedziałem o tym Giselle, stwierdziła, że musimy tu przyjechać i go odwiedzić.

- A więc ona nie jest pana żoną? - odezwała się Lottie. - Ciągłe jest panią Kiddlididdliowski?

- Jej mąż nigdy nie dałby jej rozwodu. To była rodzina zdeklarowanych katolików. Więc po prostu mieszkamy ze sobą od trzydziestu sześciu lat. W grzechu - dodał Jeff. - Chociaż i tak każdy uważa ją za panią Barrowcliffe.

- To dlatego prywatny detektyw nie mógł jej odnaleźć. Jeff zachichotał.

- Prywatny detektyw? Rany! Ostro zabraliście się do sprawy! Zacznie się puszyć, jak się dowie, że prywatny detektyw deptał jej po piętach w gąszczu niebezpiecznych ulic Exmouth.

- Rzecz w tym, że wcale jej nie deptał - powiedziała Lottie. - Nie był w stanie jej odszukać. Między nami mówiąc, chyba nie za bardzo się starał.

Giselle weszła do kuchni, wycierając oczy.

- Zmęczył się. Chce cię zobaczyć, Jeff, zanim pójdzie spać.

Jeff zerwał się na nogi.

- Jak on wygląda?

- Jak Freddie. Tylko, że jest strasznie chory. - Giselle szukała w kieszeniach czystej chusteczki. - Mój Boże, tak żałuję, że nie spotkaliśmy się z nim wcześniej.

- To nic - powiedziała Lottie, gdy Barbara odeszła, by zaparzyć świeżej herbaty. - Dobrze, że przyjechaliście teraz.

A więc stało się. Znalazł w końcu Giselle. No, nie do końca była to jego zasługa, ale tak czy owak udało im się odnaleźć. Te poszukiwania przywodziły na myśl wierszyk o panu Hilarym, który w poszukiwaniu okularów przewrócił do góry nogami cały dom po to, by stwierdzić, że ma je na własnym nosie.

Freddie otworzył oczy. Na zewnątrz było już ciemno, co oznaczało, że spał dość długo. Ciemnogrnatowe niebo rozświetlone było gwiazdami, a okrągły księżyc odbijał się w nieruchomej, szklistej tafli jeziora. Czy w międzyczasie był tu lekarz? Freddie miał wrażenie, że słyszał szepty doktora i Barbary, gdy drzemał. Głowa nie bolała, ale podejrzewał, że ból pojawiłby się natychmiast, gdyby próbował nią poruszyć. Nieważne. Było mu dobrze i wygodnie. O co więcej można było prosić w takich okolicznościach?

- Freddie? Słyszysz mnie? - To był niski i ciepły głos Barbary. A więc nie był sam. Siedziała na krześle tuż przy jego łóżku. Teraz jej ciepła dłoń dotknęła jego ramienia. - Potrzebujesz czegoś? Mogę coś dla ciebie zrobić?

Czuł, że gdyby spróbował mówić, z jego ust wydobyłby się jedynie bełkot, więc w prawie niezauważalnym geście poruszył głową w prawo i w lewo. Niczego nie potrzebował. Giselle i Jeff mu przebaczyli. Znow chciało mu się spać. Sen był dużo przyjemniejszy od jawy. Kiedy spał, mógł śnić o Mary. Czekając, aż zmorzy go sen, powrócił myślami do swojego ulubionego wspomnienia - do momentu, kiedy wszystko się zaczęło. A przecież mało brakowało, by wcale się nie poznali. Ale to było przeznaczenie. Szczęśliwy zbieg okoliczności. To nieprawdopodobne, jak często drobne decyzje wpływają na całe nasze życie...

Był słoneczny czerwcowy poranek. Freddie zmierzał na spotkanie ze swoim doradcą finansowym. Przyszedł trochę za wcześnie i miał przed sobą trzydzieści minut, które mógł spędzić albo w kawiarni, albo w salonie samochodowym na drugim końcu Britton Road. Lubił przyglądać się samochodom, na które

nie było go stać. Pokusa obejrzenia kilku luksusowych aut była silniejsza i Freddie skręcił w prawo, a nie w lewo. Sekundę później natknął się na stojącą na chodniku dziewczynę, która grzechocząc metalową puszką, zbierała datki. Sięgnął ręką do kieszeni i znalazł parę drobniaków. Czując na sobie wzrok dziewczyny, Freddie podszedł i próbował wrzucić pieniądze w taki sposób, by nie było widać, jak mizerna to kwota. Niestety, daleko mu było do zręczności Davida Copperfielda. Dziewczyna popatrzyła mu prosto w oczy.

- To wszystko? - zapytała prosto z mostu.

To go zirytowało. Przecież wrzucił parę groszy, prawda? A większość ludzi przechodziła obok obojętnie.

- To wszystkie drobne, jakie mam - powiedział rozdarty pomiędzy chęcią, by przeprosić (bo przecież nie był skąpy), a irytacją.

I wtedy to się stało. Kąciki ust dziewczyny uniosły się do góry, a Freddie miał wrażenie, że ktoś zamknął jego serce w delikatnym uścisku, jak w dłoni obleczonej w aksamitną rękawiczkę.

- Jestem pewna, że coś by się znalazło, gdyby się pan bardziej postarał - powiedziała z uśmiechem.

Z trudem łapiąc oddech, Freddie wywrócił na lewą stronę obie kieszenie, by pokazać, że są puste. Potem odwrócił się i odszedł Britton Street, czując na plecach jej wzrok.

Nie potrafił skupić się na samochodach w salonie. Wszedł do kiosku i kupił pudełko zapatek.

- Teraz lepiej. - Na policzkach dziewczyny pojawiły się dołeczki, gdy wsypywał srebrne monety do jej puszkki. Miała żywe, niebieskie oczy i długie, proste włosy koloru pszenicy, a krótka luźna fioletowa sukienka odsłaniała jej fantastyczne nogi.

- To dobrze - powiedział Freddie. Tym razem odszedł sto jardów w przeciwnym kierunku, zawrócił i wrzucił do puszkki kolejnych kilka szylingów.

- Widzę, że zaczyna pan rozumieć, o co mi chodzi - powiedziała dziewczyna.

- Ja ma pani na imię? - zapytał Freddie.

Uśmiechnęła się szelmowsko i potrząsnęła mu przed nosem puszką. Tym razem wyjął z portfela banknot, zwinął go i wcisnął przez wąski otwór.

- Mary.

- Mary. Wydaję na panią fortunę.

- Ale to chwalebny cel.

Gdyby poszedł do kawiarni, ich drogi nigdy by się nie przecięły. Freddie jeszcze raz sprawdził, czy dziewczyna nie ma na palcu obrączki.

- Muszę się teraz spotkać z moim doradcą finansowym. Będzie pani tu jeszcze, kiedy skończę?

Mary uniosła jedną brew.

- Może będę, a może nie.

Jeszcze jeden funt powędrował do puszki.

- Poczekaj pani? Wywróciła oczyma.

- No, dobrze.

- A czy jak wrócę, będę mógł zaprosić panią na kawę?

- Przykro mi, ale nie.

- Dlaczego nie? - zapytał ze strachem w oczach Freddie.

- Bo jest problem.

- Jaki problem?

- Nie pijam kawy. Tylko herbatę. Co za ulga!

- A więc na filiżankę herbaty?

Usta Mary rozciągnęły się w radosnym uśmiechu.

- Jasne. Już myślałam, że nigdy pan na to nie wpadnie.

Freddie leżał z zamkniętymi oczyma. Doskonale pamiętał każdą sekundę tamtego słonecznego poranka. On i Mary poszli na herbatę. Całe szczęście, że miał czym zapłacić, bo przecież wrzucił do tej jej cholernej puszki niemal całą zawartość portfela. Ale to jedno spotkanie wystarczyło i oboje wiedzieli, że nie ma odwrotu od tego, co się wydarzyło. Mieli wrażenie, że są sobie przeznaczeni.

I byli, przez następne czterdzieści cztery lata życia. Ostatnie cztery i pół roku bez Mary było ciężką próbą, ale teraz zdawała

się znowu być bardzo blisko. Freddie miał wrażenie, że wystarczy, by pozwolił swoim myślom płynąć swobodnie, a natychmiast ją spotykał. Czekwała. Tak, uśmiechała się do niego i wyciągała rękę... Ogarnęła go nieopisana radość. Wział głęboki oddech i poszedł w jej kierunku.

Rozdział 55

Kiedy Lottie zatrzymała się następnego ranka na podjeździe przed Hestacombe House i zobaczyła czekającego na nią przed biurem Tylera, wiedziała, co się stało.

- Freddie odszedł. Umarł w nocy - powiedział miękko, gdy wysiadała z samochodu.

Spodziewała się tego. To było nieuniknione. Ale to nie były słowa, których słucha się obojętnie. Lottie zakryła dłońmi usta.

- Barbara mówi, że umarł bardzo spokojnie. Po prostu się nie obudził.

Nie cierpiał. Pojednał się z Giselle i do końca zachował świadomość tego, co się dzieje. Czy można wymarzyć sobie lepszą śmierć?

- Och, Freddie - wyszeptała Lottie.

- Chodź tu. - Tyler objął ją ramionami, a ona zdała sobie sprawę, że po policzkach spływają jej wielkie jak grochy łzy. Czuła dotyk ciepłych dłoni. Wsparła mokrą twarz o jego spraną dzinsową koszulę.

- Jestem samolubna - wyszeptała przez łzy. - Wiem, że będę za nim okropnie tęsknić.

- Szs. Już dobrze. - Spokojny i zrównoważony głos Tylera nie pomógł jej uspokoić emocji. Cichy płacz zamienił się w rozrywający piersi, niekontrolowany szloch. Udało jej się uspokoić dopiero po długiej chwili. Czuła się, i zapewne wyglądała, jakby przepuszczono ją przez wyżymaczkę.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj.

No tak, był przyzwyczajony do pocieszania zrozpaczonych kobiet, miał za sobą miesiące praktyki. Tylko że Liana na pewno nigdy nie doprowadziłyby się do takiego stanu, pomyślała Lottie. Nie pozwoliłaby, by ktoś oglądał ją z czerwonymi wychodzącymi na wierzch oczyma i rozmazaną po całej twarzy maskarą.

- Barbara jest przy nim - powiedział Tyler. - A lekarz jest w drodze.

- Biedna Barbara. Też pewnie płacze.

- Mówi, że możesz pójść na górę i zobaczyć go, jeśli chcesz.

- Tyler wskazał dłonią na połyskujące w porannym słońcu okno sypialni Freddiego.

Lottie wytarła twarz podartą chusteczką. Miała nadzieję, że Freddiemu nie zrobi różnicy, że wygląda jak strach na wróble.

Kiwnęła głową i wzięła głęboki oddech.

- Tak, chcę - powiedziała.

* * *

- Jak się masz? Pomóc ci w czymś? Zdenerwowana i roztrzęsiona Lottie zobaczyła, że

w drzwiach kuchni stoi Tyler i uważnie jej się przygląda.

- Hm... Trzeba rozlać drinki i napełnić wiaderka z lodem. I obawiam się, że nie mamy wystarczającej liczby kieliszków...

- Aha. Dobrze, nie wpadajmy w panikę, pozwól, że ja to zrobię. A poza tym odpowiedziałas tylko na część mojego pytania. - Tyler zaczął otwierać butelki wina. - Pytałem, jak się masz.

- Najlepiej, jak potrafię. Nie najlepiej - przyznała Lottie. - Myślałam, że zewnętrzny catering ułatwi organizację, ale dwie kelnerki w ogóle się nie zjawily, a te które przyszły, są do niczego, więc miotam się tutaj i mam wrażenie, że sprawiam Freddiemu zawód.

- Hej, wiesz, że to nieprawda. I proszę, nie panikuj. - Tyler wcisnął jej w dłoń kieliszek białego jak woda wina. - Przestań

gadać i wypij to. Tylko pomału - dodał, widząc, że Lottie zabiera się do wypicia zawartości jednym haustem.

Lottie kiwnęła głową i posłusznie pociągnęła spory łyk. Czowała się, jakby przebiegła maraton. Nabożeństwo w krematorium w Cheltenham było emocjonalnie wykańczające, a teraz Hestacombe House pełen był żałobników, z którymi nie do końca potrafiła sobie poradzić. To tak, jakby miała organizować przyjęcie chora na gripę. Przyszła właściwie cała wioska, chcąc w jakiś sposób uczcić pamięć człowieka, który bardzo się dla ich miejscowości zasłużył, a Lottie miała nieodpartą ochotę położyć się do łóżka.

- Seb się nie pojawił? - zapytał Tyler. - Myślałem, że tu będzie.

- Nie. Spotkał się z Freddieem tylko raz.

- Wszystko jedno. Powinien tu być ze względu na ciebie. Nie byłoby ci lżej, gdyby tu był?

Lottie upiła jeszcze jeden łyk wina. Tak, byłoby jej lżej, ale Seb powiedział, że tego dnia ma spotkanie z potencjalnymi sponsorami następnego turnieju polo. Kiedy rano zadzwoniła, miał wyłączony telefon.

Ale nie miała zamiaru zwierzać się Tylerowi.

- Nie potrzebuję, żeby ktoś trzymał mnie za rękę. Jestem dość duża, żeby sama pójść na pogrzeb. A poza tym nie jestem sama. - Wskazała dłonią salon. - Znam tu wszystkich. A większość ludzi, którzy tu przyszli zna mnie od urodzenia.

- Dobrze, dobrze, nie usprawiedliwiaj się. Ja tylko zapytałem, gdzie jest twój chłopak.

- Na ważnym spotkaniu. A tu są kieliszki, które trzeba napełnić winem. - Lottie zerwała się na nogi. - O Boże, muszę włożyć grzanki do pieca.

- Daj mi trzydzieści sekund - powiedział Tyler. - Zaraz wracam.

I wrócił, prowadząc za sobą tuzin mieszkańców wioski, na czele z Kressida.

- Biedactwo, miotasz się tu, próbując wszystko zrobić sama.
- Kressida wyjęła jej z rąk ścierkę do naczyń i przytuliła Lottie. - Przyszliśmy pomóc. Zaraz wszystkich nakarmimy i napoimy.

- A gdzie tu można znaleźć coś mocniejszego? - wtrąciła, krzywiąc się, Merry Watkins. - Chyba nie zamierzacie podać gościom wody. Freddie powiedziałby nam do słuchu, gdybyśmy coś takiego zrobili.

Tyler wyprowadził Lottie z kuchni.

- Chodź, myślę, że można ich tu zostawić.

- Dzięki - wyszeptwała z ulgą Lottie.

- Nie ma za co.

- Och, włosy ci całkiem oklapły! - wykrzyknęła Liana, podbiegając do niej. - I cień do powiek spłynął w kąciakach... Wyglądasz na wykończoną.

Zapewne ma na myśli, że wyglądam okropnie, pomyślała Lottie. To na pewno była prawda, ale niekoniecznie chciała o tym teraz słuchać. Kiedy umarł Curtis, Liana z pewnością przez cały pogrzeb trzymała fason i nawet jedna rzęsa nie zmieniła swojego położenia.

- Przepraszam, to było nietaktowne - powiedziała ze skruchą Liana. - Po pogrzebie Curtisa byłam całkowitą ruiną. Gdyby Tyler się mną nie opiekował, nie wiem, jak bym to wszystko przetrwała. - Rozejrzała się. - Seba nie ma? - zapytała.

Czy oni sprzysięgli się przeciwko niej? Zawarli pakt, żeby nękać ją pytaniami?

- Nie, nie ma - powiedział głos za jej plecami, a Lottie aż podskoczyła. - Ale ja jestem. I znam się na rozweselaniu dziewczyn.

Lottie odwróciła się, posłała Mariowi pełen wdzięczności uśmiech i ucisnęła jego ramię.

- Oj! Jest gorzej, niż myślałem. - Patrząc na jej podkrążone czerwone oczy i rozmazany cień, Mario cofnął się z udawanym przerażeniem.

- Dobrze, rozumiem. - Lottie zastąpiła przyjacielski uścisk bolesnym uszczyptnięciem. - Pójdę i poprawię makijaż.

W wielkiej niebiesko- białej sypialni na górze zmyła stary makijaż i nałożyła nowy. W salonie na dole przyjęcie właśnie się rozkręcało, wchodząc w zwykłą popogrzebową fazę. Lottie wyjęła telefon i jeszcze raz wybrała numer Seba, ale nie udało jej się dodzwonić. No, tak, spotkanie w interesach. Nie było sensu zostawiać wiadomości, więc wrzuciła telefon do torebki, spryskała szyję kilkoma kroplami wody Vetyver od Jo Malone'a i przygotowała się, by zejść na dół i dołączyć do gości.

- Och!

- Przepraszam, nie miałam zamiaru cię wystraszyć. - Fenella, która najwyraźniej czekała, aż Lottie wyłoni się z łazienki, obrzuciła uważnym spojrzeniem świeży makijaż i fryzurę, i pokiwała z aprobatą głową. - Dużo lepiej. Szczerze mówiąc, przed chwilą wyglądałaś jak nieboskie stworzenie.

- Tak, wszyscy mi to mówią. - Lottie czuła się lekko skonsternowana, bo nie miała nawet pojęcia, że Fenella tu była. Wyglądała sztywnie jak zwykle: nieskazitelna fryzura, bystre oczy i idealnie skrojony czarny garnitur. - Skąd wiedziałaś, że Freddie...

Ale przecież to było oczywiste.

- Widziałam nekrolog w gazecie. - Fenella urwała i delikatnie odchrząknęła. - Wiesz, pilnowałam, żeby go nie przeoczyć. Oczywiście życzyłam Freddiemu zdrowia, ale byłam świadoma, że prędzej czy później ta informacja musi się pojawić.

Lottie kiwnęła głową, czując się niezręcznie. Czy to oznacza, że teraz powinna ucisnąć rękę Fenelli i grzecznie podziękować jej za przybycie? Ciekawe, czego ona tu szukała? Czy wciąż liczyła na wzmiankę w testamencie?

- Nie. - Fenella była na tyle inteligentna, żeby odgadnąć jej myśli. - Nie oczekuję, że coś mi zostawił. Chciałam się z nim pożegnać. Może nie był miłością mojego życia, ale przecież bardzo go lubiłam.

- Tak jak my wszyscy.

- A więc kto dziedziczy pieniądze - Oczy Fenelli płonęły.- Ty?

- Nie - potrząsnęła głową Lottie. - Nie ja.

- Co za pech. No cóż, chciałam się z tobą pożegnać przed odjazdem. Nie jest łatwo brać udział w pogrzebie, gdy jedyna osoba, którą się zna, leży w trumnie. - Przerwała. - Chyba, że uważasz, że mogłabym zostać chwilę dłużej - dodała. - Jeśli są tu jacyś sensowni mężczyźni, których warto byłoby poznać, mogłabyś mi ich pokazać.

Może Ted ze sklepu? Lottie wyobraziła sobie tych dwoje razem.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy - powiedziała.

- Ten przystojny Amerykanin też nie? Tyler?

- Musiałabyś być trzydzieści lat młodsza.

- Pewnie tak - Fenella z wdziękiem przyjęła przytyk. - Ale ty nie. Kim jest ta śliczna dziewczyna, która się koło niego kręci?

Na pewno robiła to specjalnie.

- To jego przyjaciółka.

- To dla ciebie rozczarowanie?

- Wcale nie. Spotykam się z kimś dużo ciekawszym - pochwaliła się Lottie niczym piętnastolatka. - Organizuje turnieje gry w polo, jest bardzo przystojny i zabawny.

Okazało się, że nie tylko ona ma skłonność do sztubackich zachowań.

- Tak? - powiedziała przeciągle Fenella, unosząc w górę swoje namalowane ołówkiem brwi. - To co on robi w twoim towarzystwie?

Patrzyły na siebie przez długą chwilę. Lottie uśmiechnęła się pierwsza.

- Dzięki. Właśnie takiego wsparcia potrzebowałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Fenella odwzajemniła uśmiech, po czym spojrzała przez okno w kierunku nadjeżdżającego samochodu. - O, jest moja taksówka.

- Chodź, zejdziemy na dół razem. - Lottie podała jej ramię. - Freddie bardzo się cieszył, że cię odnalazł. Nie żałował tego.

Ramię w ramię zeszyły po schodach.

- Udało mu się odszukać Giselle? - zapytała Fenella.

- Tak. - Kiedy Lottie to powiedziała, zdała sobie poniewczasie sprawę, że Fenella i Giselle spotkały się w przeszłości.

- Naprawdę? - Wzrok Fenelli penetrował z zainteresowaniem zgromadzony w salonie tłum gości. - To fascynujące. Ona tutaj jest?

Lottie zawahała się przez moment. - Nie.

- To znaczy, że jest - powiedziała ze śmiechem Fenella. - Może powinnam ją odnaleźć i przywitać się.

- A może nie powinnaś. - Lottie poprowadziła ją w dół korytarza w kierunku drzwi wejściowych. - Twoja taksówka już czeka, pamiętasz? I dziękuję, że przyjechałaś. Do widzenia.

Fenella zaśmiała się, pochyliła się i z malującą się na twarzy sympatią ucałowała Lottie w oba policzki.

- Kochanie, być może jestem pazerna, ale nie jestem taką jędzą, jak myślisz.

Taksówka odjechała z piskiem opon, wprawiając w dziki tan leżące na podjeździe różnokolorowe liście. Lottie powróciła do domu, w którym rozbrzmiewał gwar rozmów - po wypiciu jednego czy dwóch drinków goście odprężyli się i wspominali szczęśliwe chwile spędzone w towarzystwie Freddiego. Odnalazła Giselle i Jeffa rozmawiających w salonie z Barbarą. Jeff miał na sobie garnitur, który z pewnością został wyciągnięty z najdalszych zakamarków szafy tuż przed uroczystością i wciąż nie mógł dojść do siebie w związku z nagłą i nieoczekiwaną zmianą położenia.

- Tu jesteś! - wykrzyknęła Giselle i podała Lottie jedną z fotografii, które właśnie pokazywała Barbarze. - Jeff i ja oglądaliśmy wczoraj stare albumy. Popatrz na to. Ten po lewej to Freddie, a to Jeff.

Lottie popatrzyła z uśmiechem na zdjęcie przedstawiające Freddiego i Jeffa bez łysin, wygłupiających się przed jakimś domem. Pryskali na siebie ze wstrząśniętych butelek z piwem, a

rząd dziewczyn im się przyglądał, chichocząc i unosząc ręce, by zasłonić włosy.

- To ty! - Lottie wskazała na słodką brunetkę w jaskrawo-pomarańczowej spódniczce mini i wysokich białych butach.

- Miałam wtedy w talii dwadzieścia dwa cale - kiwnęła głową Giselle. - To były piękne lata. - Poklepała Jeffa. - Tylko że ty piłeś jak prosię - powiedziała.

- I popatrz, co się stało, kiedy przestałem - Jeff pogładził się po głowie. - Zupełnie wyłysiałem.

- Ach, miałam zapytać. - Giselle popatrzyła na Lottie. - Kim była ta kobieta, z którą żegnałeś się przed chwilą? Ta, która odjechała taksówką? Może to głupio zabrzmiało, ale mam wrażenie, że już ją kiedyś widziałam.

Czterdzieści lat temu, pomyślała Lottie, ale nie powiedziała tego. Ty i Freddie poszliście na przyjęcie wydane przez nią i jej męża. Freddie miał z nią namiętny romans za twoimi plecami, ale nie był dla niej wystarczająco bogaty, więc wrócił do ciebie.

Lottie potrząsnęła głową.

- Boże, zupełnie nie mam pamięci do nazwisk. Nie mogę sobie przypomnieć. To chyba jakaś stara przyjaciółka rodziny.

- W takim razie chyba nie mam racji - wzruszyła ramionami Giselle, ale brwi wciąż miała zmarszczone.

- A może widziałaś ją w telewizji i dlatego wydaje ci się, że ją znasz - wtrąciła Barbara. - Kiedyś byłam na zakupach w Camden Market i powiedziałam „dzień dobry” do dziewczyny, która wydała mi się znajoma. Okazało się, że to była Kate Winslet.

- A wiesz, że być może masz rację? - rozchmurzyła się Giselle. - Ta kobieta była podobna do śpiewaczki operowej, którą widzieliśmy w telewizji kilka dni temu.

Jasne.

- Tylko była starsza - dodał Jeff.

Lottie stłumiła uśmiech. Gdyby Fenella tu teraz była, urwałaby mu głowę. Całe szczęście, że sobie poszła.

Lottie zmieszała się z tłumem i przyłączyła do snuty przez gości opowieści o Freddie. Pomiędzy jedną a drugą rozmową usłyszała, jak Mary Watkins zwraca się poufale do Tylera:

- Wie pan, jakie jest antidotum na pogrzeb, prawda? Piękny romantyczny ślub. Może pan i ta pańska ładna narzeczona dalibyście na zapowiedzi, co? To by nas wszystkich rozweseliło.

Rozdział 56

Dwa tygodnie po pogrzebie Lottie i Barbara wypłynęły małą łódką na jezioro.

- Myślę, że można gorzej skończyć - powiedziała Barbara, patrząc na otaczające jezioro wzgórze pokryte szronem, na łąbędzie spokojnie dryfujące po wodzie i na prześwitujące pomiędzy drzewami dachy domów. - Chociaż ja i tak wolałabym wieżę Eiffla.

- Jeśli nie odpłyniemy, te łąbędzie rzucą się na prochy Freddiego. - Lottie popatrzyła z niepokojem na ptaki, które z zainteresowaniem łypały w ich kierunku paciorkowatymi oczyma. Gdy otworzyła hermetyczne wieczko puszek, stado jak na komendę skierowało się w kierunku łódki, sądząc zapewne, że nadeszła pora karmienia.

- Mówiłam ci, że boję się łąbędzy? - zapytała Barbara.

- Nie bądź beksą. Nic ci nie zrobią.

- Kiedyś łąbędź złamał mi rękę.

- Naprawdę? - żołądek Lottie skurczył się ze strachu.

- No, nie, nie do końca. Ale wiem, że to technicznie możliwe. Przypomnij mi: co my tutaj robimy?

- Zgodnie z *ostatnią wolą* Freddiego *rozzucamy jego prochy nad wodami jeziora*.

- A nie mogłyśmy tego zrobić, stojąc na brzegu? - skrzywiła się Barbara.

- Na środku jest lepiej. Można je rozrzucić we wszystkie strony. OK, zaczynamy? - Ostrożnie uniosła urnę i przechyliła ją

z należnym szacunkiem. Pierwsza garść prochów uniosła się w powietrzu. - Oj... a fuj! Pff!

- Przestań - krzyknęła Barbara. - Lecą prosto w twoje włosy.

- I w usta! - Plując i kaszląc, Lottie omal nie wypuściła urny z rąk. Gwałtowny poryw wiatru sprawił, że szary popiół znalazł się w jej oczach, nosie i gardle.

- O Boże! Łabędzie tu płyną! Idźcie sobie! - wykrzykiwała Barbara. Zerwała się na równe nogi, a łódka zakołysała się raptownie na obie strony. Jeden z samców, przestraszywszy się zapewne owej nieznannej techniki tanecznej, uniósł się i zaczął trzepotać skrzydłami. Przerażona Barbara zrobiła krok do tyłu i zaczęła nogą o dulkę, uwalniając z uchwytu wiosło.

- Nie pozwól, żeby ci uciekło! - Lottie, z ustami i oczyma pełnymi popiołu, poczuła, że urna na jej kolanach zachwiała się, więc pochwyciła ją gwałtownym ruchem.

- Te cholerne łabędzie pożerają prochy Freddiego - zawyła Barbara. - O Boże! Zrób coś! Próbują wleźć na łódkę! Aaa! - Łódka przewróciła się tak lekko, jakby była plastikową zabawką, a Lottie i Barbara z równą łatwością wylądowały w wodzie. Przenikające do szpiku kości zimno zaparło Lottie dech w piersiach. Wszystkie mięśnie skurczyły jej się ze strachu. Temperatura wody o tej porze roku nie ma nic wspólnego z tropikiem, więc zorientowanie się w sytuacji zabrało Lottie trochę czasu. Przynajmniej udało się zmyć z włosów i oczu prochy Freddiego, pomyślała. Wypłynęła na powierzchnię i spotkała się oko w oko z Barbarą. Tę niezwykłą kąpiel zawdzięczały, co prawda, jej panicznemu strachowi przed łabędziami, ale szczęściem w nieszczęściu było to, że Barbara potrafiła nieźle pływać. I że łabędzie dały im spokój. Urażone dziwnym zachowaniem kobiet i brakiem porządnego jedzenia, odpłynęły w odległy zakątek jeziora.

- Jesteś pewna, że to jest podgrzewany basen? - zapytała Barbara, brnąc po pas w wodzie, i mrugnęła do Lottie.

- Chyba zapomnieli wrzucić pięćdziesięciopensówkę do automatu.

- Przepraszam. Spanikowałam. Biedny Freddie. Rozrzucanie prochów nie powinno się odbywać w taki sposób.

- Chciał je- eziora, to m- ma jezioro- zaszczekała zębami Lottie. - Ch- chodź, biegniemy d- do plaży.

Na brzegu czekał na nie Tyler. Potrząsał z niedowierzaniem głową.

- Widziałem, że łódka się przewróciła. Chciałem się rzucić na ratunek! - Pochylił się i podał ciepłą rękę najpierw Lottie, a potem Barbarze, pomagając im wyjść z wody. - Ale woda była dla mnie trochę za zimna.

- Mięczak - powiedziała pogodnie Barbara.

- Być może. Ale ja jestem suchy, a wy jesteście przemoczone do suchej nitki. - Jego ciemne oczy błyszczały z rozbawienia. - I tak na przyszłość: dobrze jest sprawdzić kierunek wiatru, zanim zaczniesz się rozrzucać prochy.

- Ale udało się. - Może nie stało się to dokładnie tak, jak sobie zaplanowały, ale przecież woli Freddiego stało się zadość. Urna spoczywała na dnie jeziora, a wiatr uniósł jego prochy nad piękną doliną Hestacombe. Lottie trzęsła się z zimna, a z jej ubrania kapąła woda. - Wiesz, gdybyś był dżentelmenem, pożyczylbyś sweter.

- Chyba żartujesz! To prawdziwy kaszmir. Chodźcie - powiedział ciepło, podczas gdy Lottie potrząsnęła głową, próbując opryskać go wodą - pójdziemy do domu.

Do Hestacombe House, nie do Fox Cottage. Lottie wciąż nie mogła przyzwyczać się do myśli, że teraz to był dom Tylera. Tyle się zmieniło w przeciągu dwóch tygodni. Tydzień po pogrzebie Tyler oznajmił, że następnego dnia zamierza się przenieść do Hestacombe House.

- A nie powinienes poczekać, aż dom będzie naprawdę twój? - zezłościła się Lottie.

To wtedy okazało się, że Tyler kupił dom od Freddiego już trzy miesiące wcześniej i że wszystkie formalności zostały dawno załatwione.

Po kąpieli Lottie przebrała się w wielki biały szlafrok Tylera i zeszła na dół. Tyler przygotowywał w kuchni kubki z herbatą i zjadał tosta z serem.

- Barbara ma pociąg o drugiej trzydzieści. - Spojrzał na zegarek. - To znaczy, że musimy wyjechać za pięć minut. Jeśli teraz pojedziesz do domu, żeby się przebrać, nie zdążysz wrócić i pożegnać się.

- Wiem. - Lottie objęła rękoma kubek parującej herbaty i łąpczywie wypila kilka łyków. - Poczekam, aż pojedziecie. Jeśli to możliwe.

- Oczywiście, że to możliwe. - Tyler podał jej drugą połówkę tosta z serem. - Powinnaś tu być i pomachać jej na do widzenia.

Barbara wyjeżdżała, wracała do Londynu. Na myśl o tym Lottie potrząsnęła głową - wiedziała, że będzie za nią bardzo tęsknić. Kiedy ujawniono im treść testamentu, najbardziej zaskoczona i wzruszona osobą była Barbara. Okazało się, że Freddie zapisał prawie połowę swojej fortuny szpitalowi dziecięcemu w Ugandzie, w którym pracowała Amy w chwili swojej śmierci. Barbara nosiła się teraz z zamiarem podróży do Ugandy, żeby zobaczyć, w jaki sposób można najlepiej upamiętnić Amy i rozdzielić pieniądze. Druga połowa majątku Freddiego przypadła w udziale hospicjum na przedmieściach Cheltenham, w którym Amy opiekowała się Mary w ostatnich miesiącach jej życia. Pozostałe pieniądze zostały podzielone pomiędzy prywatne osoby w sposób, który do głębi wzruszył Lottie.

Dziesięć tysięcy funtów dla Jeffa Barrowcliffe z przeznaczeniem na nowy, dowolnie przez niego wybrany motor, jako rekompensata za skasowanie wiele lat temu Nortona 350.

Dziesięć tysięcy funtów dla Giselle jako rekompensata za wszystko inne.

Pięć tysięcy funtów dla mieszkańców Hestacombe z przeznaczeniem na szaloną imprezę w restauracji Pod Latającym Bażantem.

Pięć tysięcy funtów dla Lottie Carlyle z przeznaczeniem na jeszcze bardziej szalony rodzinny weekend w Disneylandzie w Paryżu.

Oczy Lottie wypełniły się łzami na wspomnienie rozmowy, którą odbyła z Freddiem pod koniec lata, kiedy pytał ją, gdzie pojechałaby, gdyby mogła wybierać. Tego samego dnia powiedział jej o guzie, a jednak nie zapomniał, co odpowiedziała.

- Proszę. - Tyler podał jej chusteczkę. Był to gest, do którego przyzwyczał się przez ostatnie tygodnie.

- Przepraszam. Nie powinnam. - Lottie wytarła oczy i wydmuchała nos. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić. - Za każdym razem, kiedy pomyślę o tym Disneylandzie, rozklejam się.

- Hej, będziecie się świetnie bawić. Seb pojedzie z wami?

- Może. Nie miałam na razie głowy do randek. - Prawdę mówiąc, Lottie czuła się rozdarta. Seb byłby na pewno zachwycony tą wyprawą, a Ruby i Nat byłiby zachwyceni jego obecnością. Ale głęboko w sercu czuła, że nie taka była intencja Freddiego. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale w przedziwny sposób wiedziała, że Freddie byłby zawiedziony, gdyby pojechała do Paryża w towarzystwie Seba.

- Nie ruszaj się. Masz coś we włosach.

Lottie zamarła w bezruchu, podczas gdy Tyler rozdzielał mokre loki, żeby wyciągnąć coś, czego nie udało jej się zmyć pod prysznicem.

- Co to? - Dość długo to trwało.

- Nic.

- Liść?

Tylec spojrział z góry w jej oczy.

- Martwy żuk.

- Naprawdę?

Trzymał w palcach błyszczący brązowy pancerzyk, któremu brakowało kilku nóg.

- Och, mogło być gorzej. - Lottie pogładziła dłonią włosy. - Nieżywy szczur albo coś w tym rodzaju. - Spojrzała na Tylera i zadrżała: nie odpowiedział uśmiechem na jej marny dowcip, ale patrzył na nią tak, jakby miał ochotę ją pocałować. Nieodpartą ochotę. Lottie, z bijącym sercem, obejrzała się bezradnie. W głowie czuła zupełną pustkę. Zrobi to? Czy czeka, aż ona to zrobi? Czy powinna...

- Hej, jest tam kto? Tyler, bądź tak miły i znieś prośbę te walizki. - To był głos Barbary, dochodzący gdzieś z półpiętra. - Jestem gotowa, nie chcę spóźnić się na pociąg.

A więc stało się: pożegnały się i Barbara odjechała. Lottie machała, aż samochód zniknął za zakrętem, zamknęła za sobą ciężkie frontowe drzwi i wróciła do salonu. Musiała pojechać do domu i przebrać się w suche ubranie, ale jeszcze nie teraz. Na zielonej aksamitnej sofie, stojącej naprzeciwko okna, piętrzyły się poduszki. Lottie zwinęła się na jednym jej końcu, pochyliła głowę i powąchała klapę kąpielowego szlafroka Tylera, żeby zobaczyć, czy poczuje jego zapach. Tak, miękki materiał pachniał Tylerem... Boże, czy on naprawdę chciał ją przed chwilą pocałować, czy tak jej się tylko wydawało? A może ma zbyt bujną wyobraźnię? Może powoli zamienia się w śmieszna kobietę w średnim wieku, której wydaje się, że podoba się mężczyznom, ale to wcale nie jest prawda? I jak to się ma do jej związku z Sebem, któremu na pewno się podoba i któremu należy się odrobinę więcej lojalności? Kurczę, dlaczego życie jest takie skomplikowane?

- Z czym mi się to kojarzy?

Przebudziwszy się raptownie, Lottie zobaczyła, że nie jest sama.

- Ach, tak. Złotowłosa i Trzy Niedźwiedzie.

Lottie miała nadzieję, że nie mamrotała przez sen. Fakt, że pasek szlafroka lekko się poluzował i odstąpił ponętne nagie kształty, był wystarczająco niezręczny.

- Bardzo proszę, czuj się jak u siebie w domu. - Liana uśmiechała się swoim zwykłym anielskim uśmiechem, ale była w jej głosie jakaś ostra nuta. - Wybacz, jeśli uważasz, że to wścibskie pytanie, ale czy wolno mi zapytać, co robisz sama w domu, ubrana jedynie w szlafrok Tylera?

Liana właśnie wróciła od fryzjera. Jej gęste włosy mieniły się pasemkami w kolorze miodu, gałki muszkatołowej i bursztynu. Miała na sobie popielaty golf w rozmiarze trzydzieści sześć albo mniejszym, szare wełniane spodnie, a wążutkie biodra były podkreślone szerokim srebrnym paskiem. Bóg raczy wiedzieć, co sobie pomyślała. I, szczerze mówiąc, trudno jej się dziwić. Była dziewczyną Tylera i miała prawo czuć się urażona. Lottie uniosła się do pozycji siedzącej i szczelnie owinęła szlafrokiem nogi. Czuła się okropnie zawstydzona, a na dodatek zwalista i gruba.

- Przepraszam, nie wiem, kiedy zasnąłam. Barbara wyjechała. Tyler zawiózł ją na pociąg.

Liana zmarszczyła czoło, wciąż niczego nie rozumiejąc.

- A ty czekasz, aż on wróci?

- Nie, nic podobnego. Barbara i ja wypłynęłyśmy łódką na jezioro, żeby rozrzucić prochy Freddiego - mówiła pośpiesznie Lottie. - Ale zaatakowały nas łabędzie, Barbara się wystraszyła i... możesz domyślić się reszty. Łódka się przewróciła i wpadłyśmy do wody. Tyler nalegał, żebyśmy tu przyszły... Barbara oczywiście musiała, bo tu mieszkała... i musiałyśmy się wykapać i przebrać w coś suchego. Moje mokre ciuchy są w czarnym worku w kuchni, zaraz zabiorę je do domu. - popatrzyła na swoje wielkie białe stopy i zerwała się na nogi. Kątem oka zauważyła, że jej mokre włosy zostały na zielonej, jedwabnej poduszce dużą, wilgotną plamę. - Naprawdę nie miałam zamiaru spać. Ale tyle się działo przez ostatnie kilka tygodni, że chyba dopiero teraz zaczyna ze mnie opadać napięcie.

- Biedactwo. - Na twarzy Liany widać było współczucie. - Przepraszam, wiem, że nie powinnam była cię podejrzewać. Dobrze, że się przepasałaś. Wiem, jak to jest - po śmierci Curtisa czułam się tak samo. Przez wiele nocy i dni nie możesz zmrużyć oka, a potem ni stąd ni zowąd ogarnia cię takie znużenie, że śpisz, stojąc, i nic nie możesz na to poradzić.

Lottie pokiwała głową, nie mogąc opędzić się od paskudnej myśli, że w chwilę przed zaśnięciem marzyła o pocałunku z...

- Z Tylerem wszystko było prostsze - powiedziała Liana. Pomógł mi przetrwać i pokazał, że życie się jeszcze nie skończyło. - Uśmiechnęła się ciepło do Lottie. - A ty masz wsparcie w Sebie. Mamy szczęście, nie uważasz? Jeśli chcesz iść na górę i pospać trochę dłużej, nie mam nic przeciwko temu. Powiem Tylerowi, jak wróci. Na pewno zrozumie.

- Nie, już dobrze. Pojadę teraz do domu i przebiorę się, a potem wrócę do biura. W końcu za to mi płacą. - Lottie, w szlafroku Tylera, podeszła do drzwi. Nigdy w życiu nie czuła się bardziej zawstydzona. Czy był na świecie ktoś piękniejszy i czulszy, bardziej gotowy przebaczać i wywołujący większe wyrzuty sumienia niż Liana?

Rozdział 57

Kressida właśnie kończyła pakować partię zaproszeń ślubnych, kiedy jej wzrok padł na podjeżdżający pod furtkę samochód byłego męża. Było to zjawisko niezwykle, wzięwszy pod uwagę, że była to środa, a zegar przed chwilą wybił dziesiątą. I tym dziwniejsze, że Robertowi towarzyszyła Sasza. Czyżby wykupili tygodniowe wakacje w górach i przyjechali zapytać, czy nie zajęłaby się JoJo na tydzień przed Bożym Narodzeniem? Byłoby wspaniale. Czując, że nie jest to bezinteresowna wizyta, Kressida odłożyła pistolet z klejem i poszła otworzyć drzwi.

Pięć minut później radość oczekiwania znikła, a jej miejsce zajęła śmiertelna trwoga.

- To znaczy... chcecie powiedzieć, że przeprowadzacie się do Singapuru? - Kressida wciąż miała nadzieję, że się przesłyszała. - Wszyscy się przeprowadzacie?

- To wyjątkowa okazja! Po to organizowaliśmy te niezwykle ważne spotkania i lataliśmy na każde zawołanie do Paryża. Ale nic nie mówiliśmy, bo nie chcieliśmy zapeszyć - powiedziała Sasza, w której oczach malował się triumf. - Przez chwilę czułam się jak tajna agentka. Nie masz pojęcia, jakie potajemne konszachty prowadzi firmę head- hunterskie. Oczywiście, że nie masz pojęcia, nie sądzę, żeby takie firmy działały pośród wytwórców kartek z pozdrowieniami. Poza tym, cały sweter masz z przodu brudny od brokatu. - Sasza była osobą obsesyjnie pedantyczną. Wskazała palcem kompromitujące miejsce, a Kressida natychmiast się otrzepała.

- Ale co z JoJo? - zapytała z bijącym sercem.

- Oczywiście jedzie z nami. Szybko się przyzwyczai. Singapur to fantastyczne miejsce, jest tam wszystko, o czym dziecko może marzyć.

Ale co ze mną? I z tym, czego ja chcę? Świat przed jej oczyma zawirował. Nie mogąc wykrztusić słowa, Kressida bała się, że za chwilę zemdleje. Jak Sasza i Robert mogli jej coś takiego zrobić? Skąd wiedzieli, że JoJo zadomowi się w nowym miejscu? Miała taką jasną skórę i piegi... spali się przecież! Boże, niech to nie będzie prawda!

- Pomyśleliśmy, że wpadniemy i powiemy ci o tym - oznajmił Robert bardzo zadowolonym tonem. - To takie ekscytujące, prawda? I jakie pieniądze nam zapłacą! Nie uwierzyłybyś, ile wynegocjowaliśmy... - szturchnął łokciem Saszę i oboje wstali, żeby wyjść. - Gdyby wiedziała, popłakałaby się z zazdrości.

- To znaczy, że bardzo im na nas zależało - powiedziała z uśmiechem Sasza i pogładziła włosy.

Kiedy wyszli, Kressida zaniósła się niepohamowanym płaczem. Czuła się tak, jakby ktoś wyrwał jej z piersi serce i podeptał. Traciła JoJo i było to tak bolesne, że nie wiedziała, czy

poradzi sobie z takim cierpieniem. Przez lata była dla JoJo zastępczą matką. Miała wrażenie, że po raz drugi w życiu traci dziecko.

O czwartej zadzwonił dzwonek. Spodiewając się, że to JoJo, Kressida wzięła głęboki oddech, i zanim otworzyła drzwi, rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze. Ale to nie była JoJo. To byli znowu Sasza i Robert. Rozczarowanej Kressidzie zrzędała mina. Czego chcieli tym razem?

- Dobrze, przejdziemy od razu do rzeczy - oznajmił Robert.
- Mamy pytanie. Czy gdyby JoJo zdecydowała, że woli zostać tutaj, niż jechać z nami do Singapuru, zgodziłabyś się zostać jej prawnym opiekunem?

- Słucham? Co... Ja... - zająknęła się Kressida.

- Tak czy nie? - powiedziała z wrodzoną delikatnością Sasza. - Chcemy znać twoją odpowiedź. I nie wywieramy żadnej presji. Decyzja należy całkowicie do ciebie.

Tak czy nie? Dawali jej możliwość wyboru?

- Tak... tak... zdecydowanie tak - powiedziała pośpiesznie, bojąc się, że zmienia zdanie i cofną propozycję.

Sasza uśmiechnęła się i kiwnęła głową z satysfakcją.

- Jesteś pewna?

- Tak... Mój Boże... - Kressida zadrżała. Ogarnęło ją takie wzruszenie, że miała ochotę uściskać Saszę i Roberta. No, może nie do końca. - Nie mogę w to uwierzyć. Dziękuję.

- To wspaniale. A zatem wszystkie problemy mamy rozwiązane. - Robert potarł ręce. Robił to zawsze, kiedy udało mu się pomyślnie zakończyć transakcję. - Możesz sobie wyobrazić, ile rzeczy musimy teraz załatwić. Nie wiadomo, w co ręce włożyć. Bardzo byś nam pomogła, gdybyś wzięła JoJo do siebie na następnych kilka dni, a my zajmiemy się formalnościami.

- Gdzie ona jest? - Kressida nie mogła się doczekać. - W domu? Przywieźcie ją od razu.

Robert i Sasza wyszli. Po niecałych dwudziestu minutach Sasza była z powrotem, z JoJo w samochodzie.

- Ciociu Kress! - Kressida, w kapciach na nogach, pognęła ścieżką, by przywitać się z wyłaniającą się z auta JoJo. - Zgodziłaś się!

- Kressida, z sercem przepelnionym miłością, objęła dziewczynkę ramionami. - Oczywiście, że się zgodziłam, kochanie. Jestem taka szczęśliwa, że nie wiem, co począć.

- OK, zostawiam was. - Chłodny ton Saszy świadczył, iż uważała, że być może inni ludzie nie mają nic lepszego do roboty niż skakanie w kapciach przed domem, ale jeśli o nią chodzi, czekają na nią poważne interesy.

- Cześć, mammo. I dziękuję jeszcze raz.

- Do widzenia, kochanie. Powodzenia na koncercie. - Sasza już zapalała silnik. - O której się zaczyna?

O siódmej trzydzięci. Kressida miała tę godzinę zapisaną w kuchennym kalendarzu od tygodni.

- Mama przyjedzie na koncert? - zapytała zaskoczona pytaniem Saszy. JoJo, obejmując Kressidę w pól, wzniosła oczy ku niebu.

- A jak myślisz? Przez osiem lat nie dotarła na żaden szkolny koncert. Naprawdę nie wierzę, że teraz zaczniesz ją to obchodzić.

Kiedy wróciły do domu, Kressida z zaskoczeniem odkryła, że Sasza i Robert powiedzieli JoJo o przeprowadzce do Singapuru poprzedniego wieczoru.

- Wpadłam w furję - opowiadała JoJo. - No, może nie w furję, to nie w moim stylu. Ale powiedziałam im, że nie chcę jechać. Możesz sobie mnie wyobrazić w Singapurze? Mama i tata będą pracowali od rana do nocy, kierując tą nową firmą. Nie mam nic przeciwko temu, żeby ich odwiedzić w czasie wakacji, ale uwielbiam mieszkać w Anglii. Tu są wszyscy moi przyjaciele. Ty tu jesteś. W szkole świetnie mi idzie. Zaczęłam błagać, żeby pozwolili mi zostać z tobą, ale oni nie byli pewni, czy się zgodzisz. Chciałam do ciebie zadzwonić, ale mi zabronili. Mama powiedziała, że jesteś świetna jako opiekunka, ale prośba o przejęcie pełnej opieki to może być trochę za wiele.

Kressida zrozumiała, że poranna wizyta Saszy i Roberta miała na celu wyprowadzenie jej z równowagi. Dali jej cały dzień, żeby zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie jej brakowało JoJo, kiedy ta wyjedzie. W ten sposób, kiedy wrócili wieczorem i przedstawili swoją propozycję, Kressida była w pełni gotowa, żeby ją zaakceptować. Tylko że nie musieli tego robić, bo i tak by się zgodziła. W tej chwili zastanawiała się, czy można czuć się bardziej szczęśliwym człowiekiem.

- Kochanie, tak się cieszę, że wpadłaś w furję - powiedziała radośnie, *głaszcząc JoJo po twarzy*.

JoJo zniknęła na górze, żeby zmyć z siebie pot i brud po meczu hokeja, w którym grała, i żeby wysłać do wszystkich swoich przyjaciół radosną wiadomość, że zostaje. Kressida, zadowolona, że udało jej się zdażyć na czas z zamówieniem, skończyła ostatnie ślubne zaproszenie i przygotowała kartki do wysłania. Potem zajrzała do koszyka z jarzynami i postanowiła przygotować ulubioną potrawę JoJo: placek pasterza. JoJo zbiegła na dół w chwili, gdy zaczęła obierać i kroić marchew.

- Co robisz?

- Żongluje, jeżdżąc na monocyklu, - Kressida przerzuciła marchewkę z jednej ręki do drugiej, po czym dygnęła. - A jak myślisz? Robię placek pasterza.

- Odłóż tę marchewkę. Nie będziemy dziś jadły w domu - oznajmiła z powagą i emfazą JoJo. - Postanowiłam zabrać cię gdzieś na kolację, żeby uczcić twój pierwszy dzień w roli mojej prawnej opiekunki. Ja stawiam. Tylko, że nie mam ze sobą portmonetki, więc będziesz musiała pożyczyć mi pieniądze, a ja ci oddam. - Wzruszyła ramionami. - Przepraszam za tę komplikację, ale liczy się intencja.

- Oczywiście - Kressida w pełni doceniła gest podopiecznej. - Brzmi fantastycznie. Gdzie pojedziemy?

- Do Burger Kinga. Och.

- Super - powiedziała bez zająknięcia Kressida. Skoro ona i JoJo miały odtąd być razem, jakie znaczenie miało to, gdzie jadły? Z pewnością woli talerz frytek w Burger Kingu w

towarzystwie JoJo niż kolację w Le Manoir aux Quat' Saisons z Robertem i Saszą.

- To idź i przebierz się. Szkoda czasu. - JoJo stanowczym ruchem wyjęła marchewkę z rąk Kressidy. - Umieram z głodu. A ty?

Kressida zrobiła, co jej nakazano, i poszła na górę założyć swoją suknię balową i diadem. A dokładniej mówiąc, czysty niebieski polar i džinsy. Przeczesała szczotką włosy, nałożyła odrobinę cienia na powieki i odrobinę *szminki* na usta, po czym przypomniała sobie o najważniejszym i przejechała dezodorantem w kulce pod białą podkoszulką.

- Jesteś gotowa? - zawołała z dołu JoJo. - Chodź, jedziemy.

Kressida popatrzyła na zegarek. Było dziesięć po piątej, a one wychodziły na kolację. Przy takim tempie będą w domu o szóstej.

- Nie skręcaj tutaj - poinstruowała ją JoJo, kiedy wjechały do Cheltenham i Kressida włączyła lewy kierunkowskaz. - Właśnie otworzyli nowego Burger Kinga. Jedź prosto.

- Nowego? - Kressida posłusznie wyłączyła kierunkowskaz i pojechała dalej główną drogą.

- To jest moja niespodzianka - oznajmiła z dumą JoJo. - Jest większy i lepszy. Wszyscy mówią, że jest świetny.

Kressida uśmiechnęła się, widząc jej entuzjazm.

- Nie mogę się doczekać.

Minęło kilka minut.

- Dojeżdżamy do dużego ronda. Gdzie mam teraz jechać?

- Poczekaj, aż podjedziemy bliżej. - JoJo zmrużyła oczy i wlepiła wzrok w wielką tablicę informacyjną przed nimi. - Musisz skręcić w prawo.

- Kochanie, to wjazd na autostradę. Chyba raczej prosto?

- Nie, na pewno w prawo. Wjedziemy na chwilę na autostradę i zjedziemy następnym zjazdem. Przepraszam - JoJo wyglądała na skruszoną. - Nie wspomniałam o tym? Ale nie

będziesz żałowała, zobaczysz. Wszyscy moi znajomi mówią, że to najlepszy Burger King na świecie.

Całe szczęście, że w baku było dość benzyny. Kressida wzięła głęboki oddech, bo właśnie wyprzedziła ich wielką ciężarówką. Przygotowała się do zjazdu na autostradę M5. Zawsze musiała się psychicznie zmobilizować przed wjechaniem na drogę szybkiego ruchu.

Znalazły się na trzypasmowej szosie. Jechały z niezbyt zawrotną, ale stałą prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę. JoJo wyjęła z torebki paczkę gumy owocowej i podsunęła jedną Kressidzie.

- Skłamałam w sprawie następnego zjazdu.
- Co takiego?
- W sprawie następnego zjazdu - powtórzyła cierpliwie JoJo. - Nie będziemy tam jeździć.
- Nie jedziemy do Burger Kinga? - zapytała oszołomiona Kressida.
- Jedziemy. Tylko że do tego w Chesterfield.
- Słucham? Ale to...
- W połowie drogi pomiędzy nami a Newcastle - dokończyła triumfalnie JoJo. - Dokładnie w połowie drogi. Tam spotkamy się z Tomem i Donnym.

Rozdział 58

To prawdziwy cud, że Kressida nie wcisnęła odruchowo hamulca.

- Nieprawda - powiedziała, mając wrażenie, że to sen.
- Prawda. - JoJo promieniała. - Wszystko jest zaplanowane.

Kressida wolałaby, żeby JoJo powiedziała jej o tym w jakimś innym momencie, a nie w czasie jazdy po autostradzie.

- Ale to nie może być zaplanowane. Jutro musisz iść do szkoły. Nie możesz opuścić lekcji.

- Oj, ciociu Kress, oczywiście, że mogę. Nie wymiguję się od szkoły aż tak często, więc raz mogę udać chorą. Będziesz tylko musiała zadzwonić jutro do szkoły i powiedzieć, że znów mam grypę. Jutro jest czwartek. Nie pójdę na jutrzejszy koncert, ale jakie to ma znaczenie? A potem jest piątek i zaczyna się przerwa świąteczna, więc i tak nic nie będą w szkole robić. Potem są ferie, więc naprawdę trudno sobie wyobrazić lepszy moment.

Kressida zaniemówiła.

- Kiedy to wymyśliłaś? - zapytała po chwili. Plan był tak precyzyjny, że trudno jej było znaleźć w tej chwili odpowiednie kontrargumenty.

- Och, jakąś godzinę temu. Jak mama i tato od ciebie wyszli. To niespodzianka - powiedziała energicznie JoJo - bo musimy uczcić to, co się dzisiaj stało. Myślałam, że będziesz zachwycona. Tyle razy próbowałyśmy umówić się z Tomem i Donnym i nic z tego nie wychodziło. W moim magazynie „Phi!” piszą, że musimy wziąć życie w nasze ręce i sami nim sterować. Więc poszłam za ich radą. Chcesz tę gumę, czy nie?

- Nie wiem - powiedziała słabym głosem Kressida. - Czy w „Phi!” piszą, że powinnam chcieć?

- Na pewno - uśmiechnęła się JoJo i podała jej czerwoną owocową gumę.

- Czy Tom o tym wie?

- Jasne, że wie. Gdyby nie wiedział, nie byłoby po co jechać do Chesterfield.

Serce Kressidy zaczęła łomotać na myśl o niespodziewanym spotkaniu z Tomem. W Chesterfield, czy gdziekolwiek indziej.

- Ale jak ty to...?

- Zadzwoniłam do Donny'ego. Często sobie wysyłamy wiadomości. Powiedziałam mu, jaki mam plan, a on zdecydował, że w to wchodzi - powiedziała lekko JoJo. - Powiedział tacie, że my już jedziemy, więc musieli wyjechać od razu, żeby zdążyć na czas. Zdecydowaliśmy, że Donny będzie miał jutro anginę. Nie wiem, co będzie miał Tom. Może zatrucie pokarmowe?

To było trochę za dużo na jeden raz.

- Oni też robią sobie wolne?

- Ha, muszą. Ale to nie ma znaczenia, bo właśnie bierzemy życie w swoje ręce, a wtedy czasami trzeba zachować się spontanicznie i zrobić sobie kilka dni wolnego.

Czy to też była rada czasopisma „Phi!”?

- To gdzie spędzimy noc? - zapytała Kressida.

- Och, na dzisiaj znajdziemy jakiś hotel w Chesterfield. A jutro pojedziemy do Newcastle - perorowała JoJo. - Mogłybyśmy zostać na cały tydzień.

Jakie wszystko jest proste, gdy ma się trzynaście lat!

- Nie mam ze sobą żadnych ubrań - powiedziała Kressida, czując, że zaczyna ogarniać ją panika. - Żadnej bielizny, szczoteczki do zębów, nic. Ty też nie.

- To dopiero będzie przygoda!

- A ja powinienam pilnować moich interesów.

- Przecież nie masz żadnych zaległości. A poza tym należy ci się odpoczynek.

Boże!

- Ale nie wysłałam nawet tych zaproszeń, które skończyłam po południu. Miałam je zanieść na pocztę jutro rano.

- Przecież Lottie ma klucz. Zadzwoń i poproś, żeby to dla ciebie zrobiła. - JoJo urwała. - Albo możemy zawrócić i pojechać z powrotem do domu, jeśli rzeczywiście tego chcesz. Myślałam, że spodoba ci się moja niespodzianka, ale skoro nie chcesz spotkać się z Tomem i Donnym...

- Nie o to chodzi, kochanie! - krzyknęła Kressida, zdając sobie sprawę, że sprawia JoJo przykrość. I to dzisiaj, kiedy właśnie zamieszkały razem. - Niespodzianka bardzo mi się podoba. Panikuję, bo b a r d z o chcę się z nimi zobaczyć. - W chwili, gdy sięgnęła po dłoń JoJo i uściśnęła ją z wdzięcznością, z impetem wyprzedziła je kolejna ciężarówka. - Głupio się zachowuję, bo jestem zdenerwowana. I założę się, że na każdej stacji benzynowej mają szczoteczki do zębów i... inne rzeczy.

- Majtki na zmianę - odpowiedziała uczynnie JoJo. W tym momencie jej telefon zapiszczał, dając znać, że przyszła nowa wiadomość. - To Donny. Pyta, gdzie jesteście.

- Dojeżdżamy do skrzyżowania numer dziewięć - powiedziała Kressida. - Zjazd na Tewkesbury.

- Oni są przy skrzyżowaniu pięćdziesiątym pierwszym na Ml. Koło Darlington. - JoJo podniosła na Kressidę rozbawiony wzrok. - Pisze, że jego tata umiera ze zdenerwowania, bo boi się spotkania z tobą.

JoJo wystukała coś szybko na klawiaturze.

- Co tam napisałaś? - zapytała Kressida.

JoJo, promieniejąc, podniosła do góry telefon. Na podświetlanym ekranie widniał napis: „Ciocia też. Myślisz, że wszyscy starsi ludzie są tacy zabawni?”.

* * *

Była prawie dziewiąta w nocy. Po trzech i pół godzinach jazdy i jednym krótkim postoju na stacji benzynowej wjechały wreszcie do Chesterfield. JoJo wpatrywała się w rozłożony na kolanach atlas samochodowy i rozmawiała przez telefon z Donnym. Ustalali, jak dojechać do Burger Kinga na Taplow Road. Kressida zatrzymywała się już trzy razy, żeby zapytać o drogę.

Ale teraz w końcu go znalazły. Znajome logo błyszczało przed nimi w ciemnościach nad jasno oświetloną restauracją. Skręcając z ulgą na zatłoczony parking, Kressida czuła się jak nieustraszony zdobywca, jak Indiana Jones, który właśnie znalazł świętego Graala. Szkoda tylko, że nie znalazła kapelusza Indiany Jonesa, żeby ukryć rozczochrane włosy.

O, Boże. W brzuchu znowu zatańczyły jej motyle. Dlaczego nie miała na sobie czegoś choć trochę bardziej twarzowego? I czy szminka, której resztkę odkryła na dnie torebki, nie była zbyt jaskrawa? Rany boskie, i nie miała na sobie ani odrobiny pudru!

Jest pewne, że jak tylko Tom na nią spojrzy, ucieknie z wrzaskiem na drugi koniec parkingu.

- Nie szalej - poradziła jej JoJo, jak tylko zaparkowały pomiędzy brudną zieloną ciężarówką i błyszczącym audi. - Wyglądasz super.

- Nieprawda. Wyglądam jak straszdyło! - Kressida utkwiała przerażony wzrok w lusterku i próbowała trzęsącymi się palcami ułożyć wzburzone kosmyki włosów. Uszczypnęła się w policzki, żeby przywołać na bladą twarz choć odrobinę koloru.

- Posłuchaj. Donny i ja wysyłamy do siebie sms- y od wielu tygodni. Jeśli ktoś coś wie o Tomie, to tylko on. Ciociu, ojciec Donny'ego bardzo chce się z tobą spotkać, tak samo jak ty z nim. I na pewno nie ma dla niego znaczenia, czy masz odlotowe buty albo makijaż. Byłby tak samo szczęśliwy, nawet gdybyś miała na sobie kostium krasnoludka.

Kressida nie była tego taka pewna. Ona z pewnością nie byłaby zachwycona, gdyby Tom pojawił się tutaj w stroju krasnala.

Bip- bip, zadzwieczał telefon JoJo. Przeczytała wiadomość i otworzyła drzwi.

- Dobra, ja i Donny idziemy na hamburgera. Wy przyjdziecie, kiedy uznacie za stosowne.

Kressida bez słowa kiwnęła głową. Była dziewiąta wieczór w skądinąd zwykłą środę, a ona siedziała na parkingu w Chesterfield.

- Dzięki! - powiedziała.

- To było sarkastyczne? - JoJo zatrzymała się z jedną nogą na zewnątrz.

- Nie, kochanie. - Tak bardzo kochała JoJo. - Naprawdę dziękuję. Wymyśliłaś niesamowitą niespodziankę.

- Wiesz, Donny też pomógł. Razem to zrobiliśmy. Kressidzie przyszła do głowy pewna myśl.

- Czy ty i Donny...?

- Oj, skąd! - Oczy JoJo zrobiły się okrągłe z niedowierzania. - Za skarby świata nie chciałabym chodzić z Donnym.

Jest zwykłym przyjacielem. W „Phil” zawsze piszą, jakie to ważne, by mieć przyjaciół wśród chłopców, bo możesz wtedy z nimi pogadać i dowiedzieć się, jak rozumuje płęć przeciwna. I tak właśnie jest z Donnym i ze mną. Jesteśmy tylko kolegami, którzy lubią ze sobą rozmawiać.

- Świetnie. - Kressida uśmiechnęła się do JoJo i pomyślała, że czasami porady „Phil” rzeczywiście mają sens.

JoJo odeszła, żeby spotkać się z Donnym. Kressida odprowadziła ją wzrokiem do drzwi restauracji, po czym wzięła głęboki oddech i wysiadła z samochodu. Brrr, było bardzo zimno. Oprócz wszystkich innych niedociągnięć, jej wygląd zostanie teraz uzupełniony o łzawiące oczy i czerwony nos, co z pewnością zwali Toma z nóg.

- Cześć, Kress.

Odwróciła się i zobaczyła go stojącego parę metrów przed nią z rękoma w kieszeniach. Wokół szyi miał owinięty zielony szalik, a kołnierz palta sterczał do góry, prawie zasłaniając uszy. Każdy jego oddech zamieniał się w obłok białej mgły.

- To niewiarygodne, że tu się spotykamy - powiedziała Kressida.

- Kurczę. - Tom podszedł bliżej. - Właśnie miałem zapytać, czy jesteś tu stałym gościem.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj. Warto było jechać. - Wyjął ręce z kieszeni i przywitał się, całując ją w oba policzki. Kressida poczuła, jaki jest zmarznięty. Cudownie było znów go widzieć. Już prawie zapomniała, jak bardzo podobały jej się drobniutkie zmarszczki w kącikach jego oczu.

- Co te dzieciaki z nami wyprawiają... - potrząsnął głową.

- Wiem. To pewnie była ostatnia rzecz, jaką miałaś ochotę dziś zrobić...

- Ostatnia rzecz? - Uśmiechnął się. - To jest najlepsza rzecz, jaka mogła mi się przytrafić. Już zadzwoniłem do szefa i powiedziałem mu, że biorę kilka dni wolnego. Jest tylko jeden problem...

- Co takiego? - Wyobraźnia Kressidy natychmiast podsunęła jej kilka niemiłych pomysłów na to, co może teraz usłyszeć: że miał już kogoś, że był gejem, że wykupił bilet w jedną stronę do Meksyku. - Powiedz, o co chodzi - poprosiła ze strachem.

- Ok. Widzisz, Donny powiedział mi o tym w ostatniej chwili - pocierał ręką tył głowy, wyraźnie zafrasowany. - Jutro zabieramy was do domu. Chodzi o to, że to nie jest mieszkanie, które można uznać za wysprzątane. Mamy okropny bałagan.

- I to jest problem? - zamrugła ze zdziwieniem Kressida.

- To trochę krępujące. Pomyślisz, że jestem kompletnym niechlujem. Kiedy wrócimy, zobaczysz wczorajsze naczynia, które czekają na umycie.

- Ja też zostawiłam talerze w zlewie - powiedziała.

- I dywan w salonie, który już dawno powinien być odkurzony.

- Mój też.

- A rzeczy do prasowania wysypują się z kosza.

- Też coś!

- Chodź tu. - Z wyraźną ulgą, Tom przyciągnął ją do siebie, a ich parujące oddechy zlały się w jeden obłok. - Chyba powinniśmy przyłączyć się do JoJo i Donny'ego. Ale zanim to zrobimy, chciałbym, żebyś wiedziała, jak bardzo cieszę się, że mamy przed sobą cały tydzień.

Pocałował ją. Kressida przestała się martwić wzburzoną fryzurą i brakiem makijażu. Goście wychodzili z restauracji i mijali ich, zdążając do swoich samochodów. Odwzajemniła pocałunek.

- Ja też - powiedziała.

Rozdział 59

Maria nie cieszyła wizja zbliżającego się tygodnia. Ani tego, który miał nastąpić po nim. Miał zamiar, nie zwracając niczyjej uwagi, przesiedzieć święta w pracy, ale Jerry postanowił położyć

kres takim planom. Gruby Jerry z wiecznie szczeciniastą szczęką był obecnie bardzo zadowolony z życia, bo znalazł sobie chudą dziewczynę o gładkiej twarzy. Obejrzał z uwagą wiszący za jego plecami grafik urlopów.

- Rety - powiedział do Maria - masz w tym roku jeszcze dwanaście dni wolnego. Zrób sobie urlop, kolego, bo i tak nie pozwolą ci przenieść ich na przyszły rok.

- Nic mnie to nie obchodzi - powiedział Mario, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. - Jerry, widziałeś krzywą sprzedaż z zeszłego miesiąca dla...?

- Umarł Maciek, umarł, i leży na desce... - zaintonował z przejęciem Jerry. Jego nowa dziewczyna była zagorzałą wielbicielką pieśni ludowych i ciągała Jerry'ego na zajęcia w domu kultury.

- Nie mam ochoty brać wolnego, OK?

- To najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem - nie poddawał się Jerry. - Ty i Amber zerwaliście wieki temu. Nie mogę uwierzyć, że jeszcze ci nie przeszło i nie znalazłeś sobie kogoś na jej miejsce. Popatrz na mnie i Pam - ona zmieniła moje życie!

Bez wątpienia zmieniła go w irytująco zadowolonego z siebie człowieka. Mario zastanawiał się, czy to jest wystarczający powód, żeby kogoś zwolnić.

- Musisz sobie znaleźć nową turkaweczkę - ciągnął z przekonaniem Jerry. Turkaweczkę! - Wtedy się rozchmurzysz. Tylko frajer przychodzi do roboty, jak nie musi.

- Więc mam zostać w domu i co robić? Kleić latawce? - Mario pokazał ręką na szarobure niebo i owiniętych w szaliki i czapki przechodniów. - Tylko że jest za zimno, żeby wyjść z domu i je puszczać.

- Ty, chłopie, cierpisz na depresję! I myślisz nienormalnie, stary. - Wytknął w stronę Maria masywny paluch. - Weź się w garść! Nie musisz przecież siedzieć w domu. Możesz kupić sobie bilet na samolot i polecieć w jakieś miejsce, gdzie ci tyłek nie zmarznie i gdzie będziesz mógł popatrzeć na jakieś laseczki w

bikini. Podaruj sobie dwa tygodnie seksu bez zobowiązań na jakimś Teneryfie, a poczujesz się jak młody bóg.

- Nie, dzięki. - Mario poczuł się nagle niewiarygodnie zmęczony. Nie miał ochoty na wakacje i na dwa tygodnie seksu bez zobowiązań. Chciał Amber.

Amber miała na sobie aksamitną granatową sukienkę do połowy łydki, eleganckie buty, a w uszach błyszcząły dyskretne kolczyki z perłą. Wyglądała, jakby wychodziła do kościoła. Jego widok chyba jej nie zachwycił.

- Przepraszam - powiedział Mario. - Może powinienem był zadzwonić, ale bardzo chciałem cię zobaczyć. Mogę wejść?

Była siódma wieczór. Słowa Jerry'ego nie dawały mu spokoju przez całe popołudnie. W końcu podjął decyzję i pojechał do Tetbury. Ale mina Amber wskazywała, że byłoby lepiej, gdyby tego nie zrobił.

- Widzisz, Mario, niestety muszę wyjść.

- Daj mi pięć minut. To ważne. - Nie miała nawet pojęcia, jak ważne.

- Za pięć minut będzie tu Quentin.

- Gdzie on cię zabiera? Na konferencję torysów? - Jak tylko to powiedział, Mario zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Oczywiście Amber rozbłysły gniewnie.

- Na spotkanie ze swoimi rodzicami, jeśli chcesz wiedzieć. To są starsi ludzie, a ja chcę zrobić na nich dobre wrażenie.

Mario nie mógł znieść myśli, że robienie dobrego wrażenia na rodzicach Quentina było dla niej takie ważne.

- Możesz to sobie darować. Posłuchaj mnie. Wiesz, co do ciebie czuję. Kocham cię. Proszę, wyjedź ze mną. - Sięgnął po rękę Amber. - Mam jeszcze do wykorzystania dwa tygodnie urlopu i chcę je wziąć teraz. Pozwól mi się zabrać w jakieś bajeczne miejsce. Spędzimy tam dwa najlepsze tygodnie życia, obiecuję.

- Oszalałeś? - wykrzyknęła Amber. - Nigdzie z tobą nie pojedę.

- Proszę.
- Pomijając wszystko inne, jest grudzień - wypowiedziała nazwę miesiąca z naciskiem, dając mu do zrozumienia, że o czymś zapomniał - a ja mam kalendarz wypełniony po brzegi.
- Dziewczyny mogą cię zastąpić. Zapłacę im za to. - Zastanowił się. - Zapłacę podwójnie.
- A co powiem Quentinowi? - Amber uniosła brew, ignorując jego ofertę.
- Nie wiem. Może powiedz mu, że jedziesz na wakacje ze swoją przyjaciółką Mandy - poradził lekkomyślnie Mario. - Przecież zawsze tak robisz.
- Kości zostały rzucone. Jak tylko wymówił te słowa, zrozumiał, że ją stracił. Jeśli złośliwa uwaga na temat jej stroju była błędem, to co teraz powiedział, było jeszcze gorsze. Szczęka Amber zacisnęła się kurczowo.
- Niepotrzebnie tu przyjechałeś, Mario. Quentin może przyjść w każdej chwili. Zabiera mnie do swoich rodziców i...
- Dlatego ubrałaś się jak Margaret Thatcher?
- Nie twój interes, w co się ubieram - odparowała.
- Nawet nie wyglądasz jak ty. - Pokazał palcem na niemal niewidoczny makijaż i gładko zaczesane włosy. - Widziałaś *Żony ze Stepford*.
- Nie zamierzam się z tobą kłócić. Ty żyjesz, tak jak chcesz, a ja będę żyła po swojemu, OK? A teraz, proszę cię, wyjdź.
- Poczekaj. Przepraszam - wystraszył się Mario. - Mówię to wszystko, bo cię kocham.
- Ty wszystkich kochasz. To jest twój problem. - Amber zamykała za nim drzwi. - Nie przejmuj się, na pewno znajdziesz kogoś, kto chętnie pojedzie z tobą na te wakacje. Baw się dobrze. Cześć.

Mario obudził się następnego ranka i jęknął. Teraz zepsuł już wszystko do końca. I gdzie on właściwie był? Zamrugnął i obrócił się na drugi bok w wielkim małżeńskim łóżku, wlepiając zaspane oczy w różowo- kremową tapetę w kwiatki, idealnie dopasowane

marszczone zasłonki i satynową kołdrę w kolorze maliny, która zsunęła się na podłogę. Miał nadzieję, że nie był to efekt jego akrobacji seksualnych.

Ktoś kręcił się w kuchni - słyszał odgłos gotującej się wody i stukanie filiżanek. Cholera! Nie mógł uwierzyć, że znów wpakował się w taką sytuację. Jak mógł być taki...

- Jezu Chryste! - wrzasnął Mario, kiedy otworzyły się drzwi sypialni. W głowie zaświtała mu straszliwa myśl.

Do sypialni wszedł Jerry, niosąc kubek z herbatą. Wyglądał olśniewająco w pogniecionych bokserkach w stylu Barta Simpsona.

- Marnie wyglądasz, kolego - powiedział na przywitanie.

Mario skupił wszystkie myśli na wspomnieniach ostatniego wieczoru. Przypomniał sobie, że po rozmowie z Amber zadzwonił do Jerry'ego i umówił się z nim i pieśniarką Pam zaraz po ich zajęciach w domu kultury.

- Gdzie ja jestem?

- W pokoju gościnnym.

- Co takiego? Masz pokój gościnny? - Kiedy Mario spał tu ostatnim razem, ściany były zupełnie gładkie, a jedynymi elementami umeblowania były stary rower do ćwiczeń i rozlatująca się deska do prasowania.

Jerry chyba się zmieszał.

- Tak, kiedyś był tu lekki bałagan. Ale Pam chciała, żebym zrobił remont. Wybrała tapety i inne rzeczy.

Dawny składzik przywodził teraz na myśl gigantyczną parę staroświeckich pantalonów z falbankami. Kiedy następnym razem Jerry powie mu, że jest smutnym frajerem, będzie wiedział, jak odpowiedzieć.

- Dużo wypilem? - zapytał Mario, wyciągając rękę po kubek z herbatą.

- Butelka szkockiej, którą kupilem ojcu na święta, jest pusta, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć. I musiałem skonfiskować twój telefon.

Hm. Tak, coś sobie przypominał. Jakaś walkę, po której ktoś zabrał mu komórkę.

- Możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Wydzwaniałeś do Amber. To znaczy, próbowałeś się dozwonić, bo po pierwszym telefonie wyłączyła komórkę. - Jerry uśmiechnął się i podrapał po wydatnym brzuchu. - Ale zostawiłeś jej w poczcie głosowej kilka wiadomości. Paplałeś, że masz nadzieję, że dobrze się bawi na konferencji torysów.

- O, Boże.

- To było na początku. Potem mówiłeś coś o Quentinie. I o jego rodzicach. Aha, i powiedziałaś Amber, że nie kochałeś się z nikim od wielu miesięcy, i że nie możesz bez niej żyć, i że wiążąc się z tym nudnym dupkiem, robi największy błąd swojego życia, i...

- Przestań! Nie chcę nic więcej wiedzieć!

Jerry był bardzo z siebie zadowolony.

- W końcu zabraliśmy ci telefon.

- Cholera! - Mario siedział z głową ukrytą w dłoniach. - Jasna cholera!

- Jak chcesz, możesz powiedzieć „dziękuję” - zaproponował skromnie Jerry.

- Świetnie! Bardzo dobrze! To kiedy chce pan jechać?

Kobieta w biurze podróży miała na sobie świetliście żółtą bluzkę i zuchwały uśmieszek. Mówiąc, używała wyłącznie wykrzykników, co było trudne do zniesienia o dziewiątej trzydzieści rano, kiedy ponadto cierpiało się na ból głowy wielkości ratusza w Cheltenham.

- Dzisiaj - mruknął Mario.

- Dzisiaj! Och! Jakie to podniecające! A więc gdzie na Teneryfie?! Gdzieś, gdzie jest dużo ludzi?!

- Może zobaczymy, co pani tam ma, i zdecyduję? - Mario kiwnął głową w stronę komputera na jej biurku.

- Oczywiście! Tak zrobimy! Ilu was jedzie?

- Ilu nas jedzie? - Mario próbował być dowcipny. - Jedziemy tylko my we własnej osobie.

- Och, przepraszam. - Przedstawicielka biura podróży nie posiadała się ze zdumienia. - To znaczy, że jedzie pan na wakacje c a ł k i e m s a m ?

- Tak, właśnie.

- Oo, to wspaniale! - Pani szybko doszła do siebie.

- Nie całkiem. Właśnie zerwałem z dziewczyną. - No i po co to właściwie powiedział?

- Biedak. - Kobieta przyjrzała mu się z zaciekawieniem. - W zasadzie ja też nie mam nikogo - powiedziała zachęcająco. - Więc gdyby miał pan ochotę z kimś się spotkać po powrocie z Teneryfy, wie pan, gdzie mnie szukać!

Mario nie miał najmniejszej ochoty spotykać się z nią po powrocie z Teneryfy, ale zmusił się do uśmiechu.

- Dzięki za propozycję. Moglibyśmy teraz...?

- Mam na imię Trina.

- OK. Szczerze mówiąc, Trina, trochę się śpieszę. Moglibyśmy poszukać jakiegoś miejsca, w które mógłbym pojechać?

- A więc tak to wygląda - zakończył swoją opowieść Mario. Lottie wsypywała na talerze pieczone ziemniaki, które właśnie wyjęła z piekarnika. - Lecę dziś wieczorem. Wszystko załatwiłem. Właściwie powinienem był się zapytać, czy mogę. Przepraszam, nie pomyślałem o tym. Wczorajsze spotkanie z Amber po prostu zważyło mnie z nóg. Burzę ci jakieś plany?

- Nie przesadzaj, nie jesteś taki niezbędny. Radzimy sobie. - Parząc sobie palce, Lottie kroїła gorące ziemniaki na połówki. - Dzieci rozumieją, że potrzebujesz odpocząć. Kto wie - dodała pogodnie. - Może spotkasz tam miłość swojego życia.

Mario uśmiechnął się blado, z uprzejmością chorego na żołądek pacjenta, który słyszy, że na szpitalny obiad podadzą gulasz z jagnięciny. Wyją! z kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru i telefon.

- Tutaj zapisałem adres hotelu, w którym się zatrzymam. Jeśli będziesz chciała się ze mną skontaktować, zadzwoń pod ten numer.

- Nie mogę zadzwonić bezpośrednio do ciebie?

- Zostawiam mój telefon w twoich rękach. - Mario popchną! komórkę przez stół w stronę Lottie. - Zaopiekuj się nim. Chcę być pewien, że znowu nie zrobię z siebie głupka i nie zacznę po paru drinkach wydzwaniać do Amber. Chociaż większego idioty niż wczoraj chyba nie można z siebie zrobić.

- Dobrze. - powiedziała Lottie, wsypując tuńczyka i kukurydzę do jednej miski, a chili z kwaśną śmietanką do drugiej. Potem odstawiła patelnię, podeszła do stołu i objęła Maria z czułością, bo nie znosiła, kiedy był taki smutny.

- Jest już obiad? Fuj, obściskują się! Nie róbcie tego, bo to jest sexy! - zażądał Nat.

- Właśnie zdałem sobie sprawę - powiedział Mario - że nie będę na waszym koncercie świątecznym.

- To nic - wzruszył ramionami Nat. - Jestem owcą. Muszę tylko zajrzeć do żłobu i powiedzieć: „Patrzcie, to Dzieciątko Jezus, baaa”.

- Mój występ też opuścisz. - Ruby wyrosła już z jasełek i uważała, że jej przedstawienie jest o niebo ciekawsze. - Będę śpiewać, tańczyć i robić inne rzeczy.

- Tak mi przykro, Rubensie! - Mario sięgnął po jej rękę z poczuciem winy na twarzy.

- Ale my będziemy cię oklaskiwać - wtrąciła się szybko Lottie. - Ja i Nat. I zrobimy miliard zdjęć, prawda?

- A Seb też przyjdzie? - zapytała Ruby, wpatrując się w Lottie. - Bardzo chciałabym, żeby z nami był.

- Poprosimy go. - Lottie doświadczyła miłego uczucia ciepła w sercu, bo w oczach jej dzieci Seb był pozbawiony jakichkolwiek wad. Od jego powrotu z Dubaju ich więź jeszcze się pogłębiła. - Jeśli nie będzie pracował, na pewno z przyjemnością przyjdzie i zobaczy wasze występy.

- W takim razie w porządku. - Ruby odwzajemniła uścisk Maria. - Nie martw się, tatusiu, Seb cię zastąpi. Mają osły na Teneryfie?

- Na pewno - odpowiedział z ulgą Mario.

- Więc pojeździsz sobie na nich na plaży, tak jak my z Natem, kiedy byliśmy w Weston.

- Może spotkasz dziewczynę - dodał usłużnie Nat. - Wtedy nie będziesz całkiem sam.

- Tatusiu, ty naprawdę możesz tam być samotny - powiedziała Ruby z buzią pełną tuńczyka i kartofli. - Gdyby nie szkoła, pojechalibyśmy z tobą dla towarzystwa.

- Pożyczyłbym ci mojego GameBoya. - Praktycznie nastawiony Nat z żalem potrząsnął głową. - Ale nie na całe dwa tygodnie.

Rozdział 60

Mario wyjechał. W nocy zrobiło się zimno i spadł pierwszy śnieg, wprawiając Nata i Ruby w absolutny zachwyty. Tym bardziej, że w porze lunchu w sobotę pojawił się Seb w swojej nowej terenówce i przywiózł ze sobą dwie pary sanek.

- Dotychczas jeździliśmy na listkach - powiedziała Ruby, głaszcząc z uwielbieniem lśniące czerwone sanki.

- Biedne, zaniedbane dzieci. Załóżcie kurtki i chodźcie - zarządził Seb. - Przetestujemy te cudenka na wzgórzu Beggarbush.

Teraz, drąc się jak potępieńcy, Nat i Ruby pędzili na swoich sankach z górki, ścigając się z innymi okutanyymi w czapki i szaliki dziećmi. Tu spotykali się wszyscy okoliczni amatorzy białego szaleństwa.

- Wybiją sobie wszystkie zęby - martwiła się Lottie. Przed chwilą Nat, używając śniegowców jako hamulców, zeskoczył z sanek na sekundę przed tym, zanim te najechały na leżącego plackiem na śniegu starszego chłopca.

- Dzieciaki mogą wiele wytrzymać. Wstają i szaleją dalej. To co, będziesz zachowywać się jak tchórzliwa mimoza, czy spróbujesz się przejechać? - Seb miał na sobie idiotyczną żółto-czerwoną czapkę klauna i pomarańczową fosforyzującą kurtkę narciarską, mocno już przyprószoną śniegiem.

Skarpa na wzgórzu Beggarbush była koszmarnie stroma i dzieciaki zjeżdżały z niej z prędkością błyskawicy. Lottie zawahała się przez moment.

- Nigdy nie jeździłam na takich sankach - powiedziała. - One są bardzo... aerodynamiczne, prawda?

- Tchórzysz? - zapytał Seb ze złośliwą satysfakcją. - Kobieto, puchu marny!

Lottie nie znosiła, gdy ktoś zarzucał jej tchórzostwo. Szczyciła się tym, że zawsze próbowała wszystkiego, co nowe.

- Nie powiedziałam, że nie pojedę. Zaznaczam tylko, że nigdy na czymś takim...

- Chyba jesteś na to za stara - powiedział Seb. - Za słaba i za wiekowa. Tak, lepiej jak będziesz się trzymać robótek ręcznych.

- Mamo, te sanki są boskie. - Rumiana i dysząca Ruby właśnie wdrapała się na szczyt. - Widziałaś, jak szybko jechaliśmy?

- Och, och! - Pokiwał palcem Seb. - Nie wolno szybko jeździć! Wasza mama tego nie lubi. Tak między nami, chyba woli grać w kulki.

- Dobra, daj mi to. - Lottie miała dosyć ironicznych uwag. Wyjęła sanki z rąk Ruby. Skoro dzieci sobie radzą, to nie jest to chyba aż takie trudne.

- Juhu! - Ruby zaklaskała odzianymi w grube rękawice dłońmi. - Mama będzie zjeżdżać.

- Mama jest słabą i strachliwą kobietką - stwierdził Seb - więc nie oczekujcie, że pojedzie szybciej niż dwie mile na godzinę.

Zaraz się okaże! Energicznie rzuciła sanki w śnieg i usiadła na nich, stawiając stopy na płozach. Przywołała skinieniem Seba.

- Popchnij mnie.
- Mamo, chcesz pożyczyć? - zapytała Ruby, odpinając kask.

- Nie! - Co tam, kaski są dla cykorów. - Chodź i popchnij mnie z całych sił. Uaaaa!

To było zupełnie coś innego niż jazda na staroświeckich drewnianych sankach. Błyszcący pojazd z profilowanego plastiku wyposażony był w nierdzewne metalowe płozy, które sprawiały, że jazda była jeszcze szybsza. Prawdę mówiąc, mknęło się na nich z przerażającą prędkością. Oczy jej łzawiły, lodowate powietrze świszczało w uszach, a oblepione śniegiem włosy biły ją po twarzy. Trzymając się kurczowo linki sterującej, podskoczyła na kilku nierównościach i przemknęła obok siusiącego pod drzewkiem labradora. To było jak jazda kolejką górską bez trzymanki. Mijała ludzi tak szybko, że wydawali jej się jedynie kolorowymi plamami... Ale przecież było to tylko wzgórze Beggarbush i za sekundę górka stanie się mniej stroma, aż w końcu sanki zatrzymają się na do...

Bum! Sanie uderzyły w wystający spod śniegu kamień. Lottie, wyrzucona w powietrze, miała okazję sprawdzić, jakie to uczucie być kulą armatnią. Wydała z siebie przeraźliwy okrzyk, który odbił się echem w całej dolinie, i spadła gwałtownie na ziemię, z rozrzuconymi rękoma i nogami. Zabrakło jej tchu - upadek wydusił z jej płuc całe powietrze.

Okrzyk ucichł, ale Lottie dalej turlała się w dół, a świat wirował jej przed niewidzącymi niczego oczyma. W końcu zatrzymała się z twarzą w śniegu.

- Cholera - jęknęła, wypluwając z ust śnieg i krew. Czowała, że za chwilę zemdleje z bólu. Była tak obolała, że nie wiedziała, która część ciała boli najbardziej.

- Mamo! Żyjesz? - Nat przybiegł pierwszy. Ukląkł przy niej. - Boli cię? - zapytał.

- Troszeczkę - Ból w dole pleców był nie do zniesienia. Obróciła głowę i uśmiechnęła się blado do Nata. - Przyjdzie Seb?

- Tak, już idzie z Ruby. - Nat wyciągnął rękę i odsunął z oka Lottie kosmyk mokrych włosów. Lottie popatrzyła na niego z miłością. - Biedna mamusia. Powinnaś była założyć kask.

Lottie kiwnęła głową. Jak na ironię, jedyną częścią jej ciała, która nie umierała z bólu, była głowa.

- Mamo! - Ruby zatrzymała się gwałtownie przy Lottie, z ręką w dłoni Seba. - Ty leciałaś w powietrzu!

- Wiem - skrzywiła się Lottie. - Jak ptak.

- Niektórzy naprawdę lubią zwracać na siebie uwagę - powiedział wesoło Seb, kucając przy Lottie. - Wasza mama ma pewnie nadzieję, że ktoś utrwalił ten lot na video i będzie mogła sprzedać film do jakiegoś programu telewizyjnego. - Poklepał ją energicznie po plecach. - Już dobrze? Pomóc ci wstać?

Wstać?

- Nie lubię zachowywać się jak słaba kobietka - powiedziała Lottie - ale chyba będziesz musiał wezwać karetkę.

Była szósta wieczorem, zanim Lottie została umieszczona na oddziale szpitalnym i lekarz zostawił ją, by sporządzić opis. Seb i dzieci, wciąż ubrani w kombinezony i śniegowce, zostali w końcu wpuszczeni na salę. Nat i Ruby, widząc kroplówkę i gips, podeszli do matki z pewną obawą.

Ból w dole pleców był wciąż intensywny, ale szpitalne środki przeciwbólowe zaczynały już działać i Lottie potrafiła przynajmniej zebrać myśli. Ucałowała Ruby i Nata i popatrzyła na Seba.

- Lekarz powiedział, że muszę tu zostać co najmniej przez tydzień. Badanie wykazało, że jest krwiak na nerce. To taki siniak czy rana, coś takiego. W każdym razie muszę leżeć, aż się wchłonie.

- Tydzień? - zapytał ze zdziwieniem Seb. - Jasna cholera. Jasna cholera. Tylko jeden krótki zjazd i aż tydzień

w szpitalu w Cheltenham ze złamaną lewą stopą, zwichniętym prawym nadgarstkiem, potłuczonymi żebrami i uszkodzoną nerką. Lulajże, Jezuniu...

- Chodzi o dzieci - Lottie nie była w stanie myśleć o niczym innym od momentu, gdy została przyjęta na oddział. - Mario jest na Teneryfie. Kressida wyjechała do Newcastle, więc nie będzie w stanie się nimi zająć. Jeśli zrobisz mi przysługę, pojedziesz do domu i przywieziesz kartkę z telefonem do hotelu, zadzwonię do Maria i poproszę, żeby wrócił. Ale nie wiem, co mam zrobić dziś wieczorem.

- Hej, nie panikuj. - Seb siedział na brzegu łóżka. - Musi być ktoś, kogo można poprosić o pomoc. Może jakaś inna mama ze szkoły?

- Miałam kilka numerów w notatniku w torebce. Ale torebkę mi skradziono w zeszłym roku i nigdy nie próbowałam, odtworzyć tych adresów i telefonów. - Lottie przeklinała teraz swoją bez troskę. - Skąd mogłam wiedzieć, że coś takiego się wydarzy? Boże, Mario nie mógł wybrać sobie lepszego momentu na wyjazd!

- Dobrze, nie martw się - powiedział Seb. - Zajmę się nimi.

- Co takiego? - Popatrzyła na niego ze zdumieniem. Już wcześniej wspominał, że musi wyjść wieczorem na ważną kolację w interesach, więc nie prosiła go o przysługę. - A co z...?

- Po prostu będę musiał odwołać spotkanie. A oni przeniecą u mnie. - Poczochrał ręką włosy Nata i uśmiechnął się szeroko. - To jak, dzieciaki? Podoba wam się ten pomysł? Czy wolicie spędzić noc w zajezdni autobusowej?

- Pojedziemy z tobą - powiedział radośnie Nat. - Może zagramy w Monopol?

- Może. Ruby, co o tym sądzisz?

- A może w Scrabble? - zaproponowała z nadzieją w głosie. Co za ulga!

- Dziękuję - wyszeptła Lottie i uśmiechnęła się do Seba, czując, jak spływa z niej ciężar odpowiedzialności. Potem zwróciła się do Nata i Ruby: - A wy dwoje zachowujcie się, jak należy.

- Zawsze jesteśmy grzeczni! - Nat prawie się obraził.

- OK. Będziecie potrzebowali klucza do domu. - Wskazała ręką szafkę nocną, w której leżała jej torebka. - Wstąpilibyście do Hestacombe House i powiedzieli Tylerowi, co się stało? Telefon do Maria jest zapisany na kawałku papieru gdzieś w kuchni. Chyba na kredensie.

- Zadzwoń do niego - powiedział Seb. - Odpocznij teraz. Przyjedziemy cię rano odwiedzić.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła? - Starła się nie wzdygnąć, gdy Seb pochylił się, by ją pocałować, i przejechał ręką po jej posiniaczonym ramieniu.

- Wiem - powiedział. - Jestem aniołem.

Chyba trochę przesadził z poczuciem odpowiedzialności. W drodze do Kingston Ash, Seb zastanawiał się, jak rozwiązać problem dzisiejszego wieczoru. Że też musiało się to przytrafić akurat teraz! Lottie była fantastyczna i bardzo lubił jej dzieci, ale opieka nad nieletnimi była ostatnią rzeczą, jaką miał ochotę tej nocy robić. Karina - boska Karina - przyleciała na weekend z Dubaju. Wykręcił się wcześniej z randki z Lottie, tłumacząc, że ma ważne spotkanie z potencjalnym sponsorem następnego turnieju gry w polo. A przed chwilą oznajmił, że odwoła spotkanie, żeby zaopiekować się Natem i Ruby. Bo co miał zrobić w tych okolicznościach? Zadzwonić do opieki społecznej i poprosić o przetrzymanie dzieci przez weekend w pogotowiu opiekuńczym? Poza tym, to on przywiózł sanki i namówił Lottie na zjazd, więc czuł się częściowo odpowiedzialny za jej wypadek.

Ale w tej chwili w jego głowie zaczął kiełkować pewien plan. Stuknął opuszkami palców w kierownicę i uśmiechnął się pod nosem - może uda się mimo wszystko spędzić tę noc tak, jak zaplanował?

- Seb? - powiedział siedzący obok kierowcy Nat. - To jest przygoda, prawda? Byłoby super, gdyby Maya też mogła przyjechać, nie?

- Pewnie, że byłoby super. Ale Maya jest z mamą w Londynie. Może następnym razem - powiedział Seb, wjeżdżając na zaśnieszony podjazd. - No to jesteście. Nie zapomnijcie swoich plecaków.

- Seb? - Nat i Ruby wymienili pełne nadziei spojrzenia. - Musimy myć u ciebie zęby?

- Żartujecie? - Seb uśmiechnął się, bo Maya była zupełnie taka sama. - Pewnie, że nie musicie.

Nat i Ruby rozłożyli w salonie planszę do Monopolu i pieczołowicie układali pieniądze na kupki. Upewniwszy się, że drzwi do kuchni są zamknięte, Seb wykręcił numer Kariny. Odebrała po trzecim dzwonku.

- Zmiana planów - oznajmił, po czym zaczął tłumaczyć, co się stało.

- Na miłość boską! - jęknęła. - Nie wierzę! Przyleciałam z drugiego końca świata...

- Hej, hej! - próbował ją uspokoić Seb. - Nie rwijmy szat!

- Łatwo ci mówić, palancie! A poza tym nie mam na sobie żadnych szat. Leżę w kąpieli, czekając na ciebie.

- Posłuchaj - potrząsnął głową. - Nie miałem innego wyjścia. Nie miał się nimi kto zająć.

- Nie ma w tym kraju opieki społecznej?

- To bardzo fajne dzieciaki. Zabieramy się do gry w Monopol.

- Hip, hip, hura!

- A potem położę je spać. - Seb przerwał, po czym dodał z naciskiem: - W gościnnej sypialni na samym poddaszu. Mam nadzieję, że będą w łózkach około... dziewiątej?

- I wtedy przyjedziesz do hotelu? - ożywiła się Karina. Seb z rozbawieniem potrząsnął głową.

- Jasny gwint. Kochanie, od razu widać, że nie masz dzieci. Nie mogę ich zostawić bez opieki, za to można trafić za kratki. Ale do dziewiątej trzydzieści na pewno zasną kamiennym snem. Więc nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś wskoczyła do taksówki i przyjechała tutaj.

- Ostro się targujesz, kotku - powiedziała z uśmiechem.
- Nie będziesz żałować.
- Masz prochy?

Seb uśmiechnął się szeroko - dzień wcześniej odwiedził dealera.

- A co ci przed chwilą powiedziałem? Nie będziesz żałowała.

Rozdział 61

Ruby nie mogła zasnąć. Gra w Monopol z Natem i Sebem była świetna, tym bardziej, że pokonała Seba, ale kiedy tylko wybiła dziewiąta, zapakował ich do łóżek w sypialni na strychu. Ruby czuła się trochę dziwnie. Dostali do przykrycia tylko koce, a nie kołdry, tak jak w domu. A poza tym Seb powiedział, że też idzie spać, a nie poszedł. Przed chwilą przed dom podjechał samochód, a teraz na dole słychać było dźwięki i głosy, które na pewno nie pochodziły z telewizora.

Było piętnaście po dziesiątej. Nat spał smacznie w łóżku obok. Ruby chciało się pić i męczyła ją ciekawość, więc wyslizgnęła się z łóżka i cichutko otworzyła drzwi na korytarz. Idąc w dół po schodach, pomyślała, że być może tym nocnym gościem jest Maya, że Seb zrobił im niespodziankę i ściągnął ją na weekend. Ruby przebiegła boso po chłodnej podłodze w holu na dole. Drzwi do salonu były zamknięte, ale na pewno Seb nie był tam sam. Ruby podeszła na palcach do drzwi, kucnęła przy dziurce od klucza i popatrzyła do środka.

O nie, chyba jej się przywidziało. Odskoczyła przerażona, ale chcąc się upewnić, że to, co zobaczyła, nie było fatamorganą, raz jeszcze przyłożył oko do dziurki. Seb leżał na kanapie z kobietą. Miała na sobie tylko bieliznę. Seb był bez koszuli i pochylał się nad stolikiem z czymś, co wystawało mu z nosa i wyglądało jak rurka do Pepsi.

Ruby była prawie pewna, że zażywali narkotyki. Widziała w telewizji ludzi robiących coś podobnego. Na chwilę przerażona

zamarła w bezruchu, bo jedna z desek w holu zaskrzypiała pod jej stopami.

- Co to było? - zapytała kobieta w salonie.

Ruby, z walącym sercem, wsunęła się w ciemny kąt pod schodami. Po chwili drzwi salonu otworzyły się.

- Wszystko w porządku, nikogo tu nie ma - powiedział Seb.

- Jeśli to te dzieciaki, zamknij je w piwnicy - zachichotała jego towarzyszka.

- Nie martw się, śpią. W przeciwieństwie do mnie - zamruczał namiętnie i zamknął za sobą drzwi.

Ze swojego ukrycia, Ruby dostrzegła telefon komórkowy Seba, leżący na konsoli po drugiej stronie korytarza. Wybiegła spod schodów, dopadła stolika i z telefonem w dłoni pognęła na górę. Usiadła na piętach na łóżku i przeszukała spis telefonów. Znalazła imię matki i wybrała jej numer.

- Mamo... mamusiu, odbierz telefon, proszę cię, odbierz...

Ale zamiast głosu Lottie usłyszała głos automatycznej sekretarki. Jej oczy wypełniły się gorącymi łzami. Ściskając obiema dłońmi telefon, wyszeptwała: - Mamusiu! Jesteś tam? Chciałam... - głos jej się załamał. Wylała mokre policzki wierzchem dłoni i powiedziała trzęsącym się głosem: - Chcę do domu!

- Nie chce odejść, póki pani nie zobaczy. - Lottie nie wiedziała, czy to, co słyszy, to sen, czy jawa. Otworzyła oczy i zobaczyła stojącą przy łóżku pielęgniarkę.

- Słucham?

- Pani szef. Ma na imię Tyler, tak? Powiedziałam mu, że o tej porze nie ma wizyt, ale bardzo nalega. Więc jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wpuszczę go tu na pięć minut.

Pielęgniarka miała bardzo napięty wyraz twarzy, co wskazywało, że prawdopodobnie robiła to wbrew regułom.

- Strasznie wyglądam? - zapytała Lottie.

- Szczerze? Tak.

- Cudownie. Co mam zrobić? Proszę go poprosić. Kiedy Tyler wszedł na salę, Lottie zrozumiała, jak udało

mu się namówić pielęgniarkę na odstępstwo od regulaminu. Miał na sobie elegancki smoking i olśniewająco białą koszulę, a z kieszeni wystawała mucha.

- Hej, wyglądasz okropnie - oznajmił.

O, złotousty! Trudno się oprzeć twoim pochlebstwom!

- Dzięki. Ty też. Widzę, że dalej pracujesz jako ochroniarz w klubie nocnym.

- Przyjechaliśmy do domu pół godziny temu. - Mówił cicho, żeby nie przeszkadzać innym śpiącym już pacjentom. Przyniósł sobie krzesło. - I znaleźliśmy kartkę, którą ktoś wrzucił przez szparę na listy. Ale dowiedziałem się z niej tylko, że miałaś wypadek i że jesteś w szpitalu, i że nie będzie cię w pracy przez kilka tygodni. Szalałem z niepokoju, bo nie wiedziałem, w którym szpitalu jesteś i co ci się stało. - Umilkł. - Co ci się stało?

Lottie, wzruszona jego troską i wysiłkiem, który włożył w to, żeby ją odnaleźć, opowiedziała mu całą historię. Cieszyła się, że przyszedł. Nawet bardzo się cieszyła, ale lepiej jest, kiedy pewne rzeczy pozostają niewypowiedziane.

- A gdzie są Ruby i Nat? - zapytał Tyler, gdy skończyła opowiadać.

- Są z Sebem w Kingston Ash. Bardzo ładnie się zachował. Zobacz, czy nie zostawił dla mnie wiadomości. Może udało mu się skontaktować z Mariem. - Zdrową ręką wskazała na nocną szafkę. - Mój telefon jest w szafce, ale nie wolno mi go tutaj włączyć. Mógłbyś wyjść poza oddział i zobaczyć, czy nie ma wiadomości od Seba albo Maria?

Tyler wyszedł na zewnątrz z uczuciem ogromnej ulgi, że z Lottie nie było aż tak źle. Na schodach szpitala, wdychając mroźne nocne powietrze, włączył komórkę i zobaczył, że jest jedna wiadomość od Seba.

Tylko że ta wiadomość nie była od Seba. Słuchał w milczeniu urywanych, wypowiedzianych przez łyż słów Ruby.

I wiedział, że za nic w świecie nie może przekazać tej wiadomości Lottie. Bez wahania wystukał numer Seba.

- Mamusiu? - usłyszał drżący głosik Ruby. Widocznie zobaczyła na wyświetlaczu, kto do niej dzwoni.

- Cześć, Ruby. Twojej mamie nie wolno rozmawiać na oddziale. Mówi Tyler. - Powiedział to tak delikatnie, jak to tylko możliwe, ale przecież zorientowała się, kto mówi, jak tylko otworzył usta. - Wszystko w porządku? Byłaś bardzo zdenerwowana, kiedy zostawiłaś wiadomość. Jeśli jest jakiś problem, mogę zaraz przyjechać i zabrać ciebie i Nata.

Nastała cisza. Wiedział, że dla Ruby jest Wrogiem.

- Nie - powiedziała sztywno cieniutkim głosikiem - wszystko w porządku. - I rozłączyła się.

Tyler stał chwilę, wpatrując się w telefon w swojej dłoni i zastanawiając się, co powinien teraz zrobić. Na pewno nie wolno nic powiedzieć Lottie - umarłaby z niepokoju. Ale głos Ruby zdradzał coś więcej niż zwykłą tęsknotę za matką. I dlaczego Seb nie odbierał swojego własnego telefonu? Może zadzwonić na policję albo...

Telefon w jego dłoni zadzwonił. Odebrał go z drżącym sercem.

- Tak - wyszeptala Ruby trzęsącym się głosem.

- Chcesz, żebym przyjechał i zabrał was stamtąd?

- Tak. Przyjedzie pan szybko?

Tyler odetchnął z ulgą. Z nieba spadło kilka płatków śniegu.

- Nie martw się, kochanie. Już jadę. Posłuchaj, wiem, że jesteście w Kingston Ash, ale nie wiem, w którym domu. Gdzieś przy głównej drodze?

- Tak. Jesteśmy w sypialni na strychu. Z okna widać szosę.

- Super. Daj mi dziesięć minut. Jak zobaczysz samochód, zacznij gasić i zapalać światło na poddaszu, a wtedy łatwo was znajdzie. Rozumiesz?

- Tak.

- Mądra dziewczynka. Nat jest z tobą? - Tak.

- A Seb? Jest w domu?

- Tak. - Głos Ruby znowu zadrżał. - Jest na dole... z kimś. Tyler zacisnął szczękę.
- OK, czekajcie na mnie. Już jadę. O nic się nie martwcie.
- Dobrze. Pa.

Wrócił na salę. Lottie drzemała. Jej ciemne włosy rozrzucone były na poduszce, a nagie ramiona mieniły się różnokolorowymi siniakami. Pęknięta warga spuchła. Spod kołdry wystawała zapakowana w gips lewa noga, a owinięta w bandażę prawa ręka leżała bezwładnie na brzuchu. Jak zwykle na widok Lottie poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Pochylił się nad nią.

- Nie ma żadnej wiadomości - powiedział cicho, budząc ją z płytkiej drzemki. - Mario na pewno zadzwoni rano. No, muszę lecieć. W zasadzie mogę wziąć twój telefon ze sobą.

- Dobrze. - Lottie uśmiechnęła się do niego sennie. - Dziękuję, że przyszedłeś. I przepraszam za kłopot w pracy.

Nigdy w życiu nie miał takiej ochoty, żeby kogoś pocałować, i był sam na siebie zły, że taka myśl w ogóle przyszła mu do głowy. Przecież w tej chwili miał do załatwienia dużo ważniejszą sprawę.

- Nie martw się o pracę. Zajmij się sobą. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział. Przynajmniej miał taką nadzieję.

Kiedy wjeżdżał do wioski Kingston Ash, śnieg zaczął padać bardziej intensywnie. Jechał pomału po śliskiej drodze i szukał wzrokiem włączanego i wyłączanego światła na poddaszu. Po chwili minął zakręt tuż za kościołem i zobaczył to, czego szukał. Przed domem, jednym z największych w wiosce, stała na podjeździe błyszcząca terenówka. A co najważniejsze, w jednym z okien na samej górze światło pojawiało się i gasło, ukazując stojące przy oknie dwie drobne figurki.

Tyler podszedł do drzwi wejściowych i zadzwonił. Żadnej reakcji. Zadzwonił jeszcze raz. W końcu usłyszał kroki i szczęk kluczy. Drzwi uchyliły się na parę cali i ujrzał Seba, bosego i z potarganymi włosami, ubranego w same tylko dżinsy.

- Cześć. Lottie kazała mi przyjechać i zabrać dzieci.
- Co takiego? - zaśmiał się Seb.
- Nie musisz się nimi dłużej zajmować. - Tyler w jednej chwili zorientował się, że Seb jest naćpany. - Przyjechałem, żeby je zabrać.

- Ale one śpią. I... nie wiem, jak mam ci to powiedzieć, ale one ciebie nie cierpią. Do widzenia. - Seb, śmiejąc się jak opętany, próbował zatrzasać drzwi, ale Tyler zrobił już krok do przodu i pchnął je w stronę Seba. Zaskoczony Seb zatoczył się do tyłu. Drzwi do kuchni i jadalni były otwarte. Tyler przeszedł obok Seba i otworzył te, które były zamknięte.

- Matko Boska! Kim pan jest?! - wrzasnęła naga blondynka, osłaniając się męską koszulą. - Proszę wyjść, bo zadzwonię po policję!

- Wspaniale. - Rzuciwszy okiem na oproszony białym proszkiem szklany blat stolika i białe kółeczka wokół jej dziurek od nosa, Tyler dodał spokojnie: - Proszę powiedzieć, żeby wzięli ze sobą psa - będę mieli czym się chwalić.

- Zamknął drzwi, pozostawiając kobietę w niemym szoku, i odwróciwszy się, zobaczył na górze schodów tulących się do siebie Nata i Ruby. Gestem ręki pokazał im, żeby zeszli.

- Chodźcie, idziemy stąd.

- Ty gnoju - wyszczał przez zaciśnięte zęby Seb - przyjechałeś tu specjalnie, żeby rozwalić moje życie? Wiem, dlaczego to robisz. Jesteś...

- Nawet nie próbuj - ostrzegł go Tyler.

Ignorując ostrzeżenie, Seb rzucił się na niego z zaciśniętymi pięściami. Tyler złapał go najpierw za jeden nadgarstek, potem za drugi, wykręcił Sebowi ręce do tyłu i wypchnął go przez drzwi wyjściowe do ogrodu. Jednym precyzyjnym ciosem w szczękę postąpił go w sam środek zasypanej śniegiem grządki. Seb leżał, pojękując, podczas gdy Tyler wyprowadził z domu dzieci i zapakował je do samochodu. Potem wrócił i stanął nad Sebem, wciąż trzęsąc się ze wściekłości i hamując się, by nie rozgnieść go na miazgę.

- Nie spotkasz się więcej z Lottie. Nie próbuj do niej dzwonić, a jeśli kiedykolwiek gdzieś przypadkiem na nią wpadniesz, uciekaj, gdzie pieprz rośnie. Zaufała ci i oddała w opiekę swoje dzieci.

- Dobra, dobra. Jezu Chryste, cholernie tu zimno.

- Wciąż leżał plackiem w śniegu, rozebrany do pasa.

- Masz, co chciałeś - wymamrotał przez ściśnięte z zimna zęby. - Mam nadzieję, że jesteś zadowolony. - Wyciągnął rękę. - Pomóż mi wstać, dobrze? Zanim zamarznę na śmierć.

Tyler popatrzył na niego z niesmakiem.

- Poradź sobie - powiedział. - Chyba potrafisz wstać? A jak nie, jeśli o mnie chodzi, możesz zamarznąć na śmierć.

Rozdział 62

Kiedy Kingston Ash zniknęło z pola widzenia, Tyler zatrzymał samochód i odwrócił się, by popatrzeć na siedzące z tyłu dzieci. W jednej chwili zrozumiał, że gdyby oczekiwał choć odrobiny wdzięczności, srodze by się zawiódł. Na szczęście nie był taki naiwny.

- OK, zabieram was do siebie, do Hestacombe House - powiedział, na wypadek, gdyby myślały, że spędzą noc w Fox Cottage.

- Chcę do mamy - wyszeptwała Ruby.

- Wiem, rozumiem, że chcesz, ale ona teraz śpi, a poza tym i tak nie pozwolą ci w nocy wejść na oddział. Więc nie możemy...

- Nie będę spał w twoim domu - oznajmił stanowczo Nat ze wzrokiem wbitym w szybę.

Oddychaj głęboko. Nie wolno ci stracić cierpliwości.

- Ale nie będziemy sami, będzie jeszcze Liana.

- I tak nie będę. - Nat skrzyżował ręce w geście totalnej odmowy.

- Hm, nie macie wielkiego wyboru - zauważył Tyler. - Jesteś mądrym chłopcem. Ruby, wytłumacz mu.

Ciemne oczy Ruby nie wyrażały żadnych uczuć.

- Ja też nie chcę spać w twoim domu. Zostaw nas w szpitalu
- posiedzimy w poczekalni i zaczekamy, aż mama się obudzi.

Rany boskie!

- Posłuchajcie. Nie porwałem was. To wy do mnie zadzwoniliście. Poprosiliście, żebym przyjechał i was zabrał.

- Ja nie - zaprotestował Nat. - Nie chciałem, żebyś przyjeżdżał i mnie zabierał. Spałem, a ona mnie obudziła.

- Nie szturchaj mnie. - Ruby oddała Natowi kuksańca.

- Więc co mam zrobić? Zawrócić i zawieźć was z powrotem?

Cisza.

- Odpowiedzcie mi - nalegał Tyler. - Jestem ciekaw. Czy właśnie tego chcecie?

- Nie - wymruczała w końcu Ruby cienkim głosem.

- Ale nie chcemy jechać do twojego domu - upierał się Nat.

- Rozumiem, ale muszę was ostrzec, że macie dosyć ograniczony wybór. Wasz tata jest na Teneryfie. Lottie powiedziała mi, że jej przyjaciółka Kressida wyjechała. Mogę zapytać matkę Bena i Harry'ego Jenkinsów, czy nie pozwoliłaby wam spać z nimi na piętrowym łóżku. Albo może zawiozę was do Teda ze sklepu? Albo... Już wiem! Jak nazywa się ta nauczycielka, której tak się boi wasza mama? Panna Batcośtam. Myślicie, że przygarnęłaby was na noc?

Cisza.

- Przenocujemy w szpitalu - powiedział Nat.

- Nie przenocujecie, bo ktoś zadzwoni na policję i aresztują was. - Śnieg zaczął padać intensywniej, przykrywając szczerlnie przednią szybę. Tyler westchnął. - Musimy się dogadać. Jutro spróbujemy znaleźć jakieś inne rozwiązanie, ale dzisiaj trzeba przenocować u mnie.

Ruby, przeszukawszy kieszenie spodni, wyciągnęła klucz.

- Przenocujemy w naszym domu - oznajmiła z triumfem w głosie.

- Na pewno nie zostawię was samych.

- Zadzwoniłbyś na policję?

- Zadzwońbym - powiedział z lekkim uśmiechem Tyler. - I zamknęliby was na tydzień w więzieniu.

Ruby wpatrywała się w niego z powagą przez kilka sekund. W końcu wzruszyła ramionami.

- Ale nie będziesz spał w łóżku mamy. Prześpisz się na kanapie na dole.

Co za surrealistyczne uczucie! Lottie pomyślała, że musiała jednak upaść na głowę. Przed chwilą wydawało jej się, że czuje się już lepiej, ale teraz wiedziała, że majaczy, bo w jej kierunku zbliżali się Nat i Ruby w towarzystwie... czyim? Tylera! Ale najdziwniejsze było to, że cała trójka wyglądała bardzo realnie.

- Co się dzieje? - Lottie wygięła szyję, żeby popatrzeć, czy nikogo za nimi nie ma. - Gdzie jest Seb?

- Cześć, mamusiu. Wszystko w porządku. - Dzieci ucałowały Lottie w oba policzki i odsunęły się od łóżka.

- Wróć za dziesięć minut - powiedział Tyler, kiedy Nat i Ruby wybiegli z sali. - Widzisz, że czują się dobrze. Muszę ci tylko...

- Co się stało? - W jednej chwili wyobraźnia podsunęła jej obrazek wypadku, Seba tracącego panowanie nad kierownicą, ekipę pogotowia, która wyciąga z samochodu Nata i Ruby, ale której nie udaje się uwolnić z rozbitego samochodu Seba, zanim nastąpi eksplozja. - O Boże, powiedz mi, że nic mu nie jest - wyszeptała przerażona.

Opowieść o perypetiach ostatniej nocy zajęła Tylerowi dziesięć minut. Lottie słuchała w milczeniu, sztywna ze wściekłości i zgrozy. Kiedy doszedł do końca, była gotowa wyrwać z ręki igłę od kroplówki i powstać z łóżka jak potwór doktora Frankenstein - tylko że nie mogła chodzić.

- Przykro mi. Proszę - Dopiero, kiedy Tyler podał jej paczkę chusteczek, poczuła, że po policzkach spływają jej wielkie jak grochy łzy. - Hej, nie płacz. Wiem, że to wielka przykrość, ale naprawdę jesteś warta kogoś lepszego niż on.

Lottie niezręcznie wytarła oczy niezabandażowaną ręką.

- Naprawdę sądzisz, że to mnie najbardziej wkurza? To, że ten gnojek mnie oszukiwał? Boże, zupełnie mnie nie rozumiesz.

- Ale płaczesz - zauważył Tyler.

- Bo czuję wielką ulgę, że dzieciom nic się nie stało. - Jak on mógł być taki tępy? Drżąc z wściekłości, Lottie rzuciła w Tylera przemoczoną chusteczką. - Bo nie mogę uwierzyć, że byłam taka głupia. - Rzuciła jeszcze jedną chusteczką. - Bo powierzyłam komuś moje dzieci, a nie powinnam była tego zrobić! Bo wszystko robię źle i nie znam się na ludziach i... Boże, przecież wszystko mogło im się tej nocy przydarzyć!

- Ale się nie przydarzyło! Czują się świetnie - powiedział ciepłym tonem Tyler. - A poza tym, skąd miałaś wiedzieć?

- Po prostu powinnam była się domyślić. - Lottie wydymała głośno nos. Pewnie Tyler nie może się doczekać, żeby powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Przecież nigdy nie lubił Seba.

- Wiedziałaś, że bierze kokainę?

- Nie! - Chociaż teraz wydawało się oczywiste, że taka myśl powinna była przyjść jej do głowy. W jednej chwili rozumiała, skąd brał się przesadny entuzjazm Seba, jego niespożyta energia i hiperaktywność, sposób, w jaki śmiał się z rzeczy, które wcale nie były aż takie zabawne. Ta przesada w sposobie zachowania była jednym z powodów, dla którego Nat i Ruby tak go uwielbiali.

- A ty wiedziałaś? - zapytała, czując się głupsza niż kiedykolwiek.

- Domyślałem się. Hej - Tyler podał jej czystą chusteczkę - pamiętaj, że pracowałem na Wall Street. W Nowym Jorku ma się do czynienia z narkotykami trochę częściej niż w Hestacombe.

Ale Lottie nie poczuła się z tego powodu ani o jotę lepiej. Wciąż miała ochotę rozedrzeć Sebastiana Gilla na strzępy gołymi rękami. Podczas gdy on raczył się kokainą i zabawiał w salonie z jakąś dziwką, mała Ruby była tak zdesperowana, że zdecydowała się przyjąć pomoc kogo? Od Tylera!

- Przepraszam, że rzuciłam w ciebie te wszystkie chusteczki.

- W porządku - uśmiechnął się. - Jestem mężczyzną. Umiem poradzić sobie z kilkoma zasmarkanymi chusteczkami.

- Dziękuję, że uratowałaś Nata i Ruby. - Powinna była wcześniej to powiedzieć. - Czy to oznacza, że już cię nie nienawidzą?

- Czyż to nie byłoby miłe? - Tyler popatrzył na nią z ironią.
- Niestety, nie ma możliwości, aby taki cud się wydarzył. Twoje dzieci nie cierpią mnie tak samo, jak zawsze.

- Och. - Lottie była rozczarowana. - A Mario już wyleciał z Teneryfy?

- Nie udało nam się z nim skontaktować.

- Jasna cholera! - Z desperacją potrząsnęła głową. - Co on sobie myśli?

- Nie o to chodzi. Nie możemy znaleźć tego kawałka papieru z jego adresem i telefonem. Przewróciliśmy kuchnię do góry nogami, szukaliśmy wszędzie. - Tyler wzruszył ramionami.
- Po prostu przepadł. Pamiętasz nazwę hotelu?

- Nie - powiedziała bezbarwnie Lottie.

- Wróciliśmy - oznajmił Nat.

- Och, kochanie. - Z trudem powstrzymując łzy, wyciągnęła do niego zdrową rękę. - Chodź tutaj.

Nat sprytnie wywinął się z uścisku.

- Nie przyjdę, jeśli będziesz płakać.

- Biedna mamusia. Bądź dla niej miły. - Ruby pogłaskała matkę po ramieniu.

Lottie starała się ze wszystkich sił powściągnąć emocje.

- Kochanie, tak mi przykro z powodu ostatniej nocy. Jesteś pewna, że wszystko jest w porządku?

Ruby kiwnęła głową, a potem wskazała głową w kierunku Tylera.

- Tylko że on się teraz nami opiekuje.

- Och, Ruby, nie mów tak. - Lottie czuła się zażenowana. - Popatrz, co dla was wczoraj zrobił...

- Ale i tak go nie lubimy - stwierdziła stanowczo Ruby.

- Ale to nic, niedługo wróci tata.

- Nie wróci, jeśli się z nim nie skontaktujemy. Skupcie się teraz - poprosiła Lottie. - Nazwa hotelu i telefon były zapisane na żółtej kartce, która jeszcze w piątek leżała na kredensie. Nie mogła tak po prostu zniknąć. - Kiedy to powiedziała, zauważyła, że ciemne rzęsy Nata zatrzepotały.

- Nat? Masz jakiś pomysł?

- Nie! - krzyknął.

- Jeśli zdarzył się jakiś wypadek, to w porządku - wtrącił się niby od niechcienia Tyler. - Ale jeśli ciągle gdzieś tam jest, musimy po prostu szukać, aż znajdziemy.

Nat rzucił ukradkowe spojrzenie po sali.

- Wylał mi się na nią sok z czarnej porzeczeki - powiedział - i zmieszał się z atramentem. Więc ją wyrzuciłem.

- Ty głupku! - zawyła z rozpaczą w głosie Ruby.

- Hej, to żaden problem - powiedział z ulgą Tyler. - Musimy po prostu przeszukać kosz na śmieci.

Lottie pomyślała, że to jest właśnie miara jego desperacji. Tak bardzo nie może się doczekać, żeby pozbyć się Nata i Ruby, że jest gotowy grzebać w śmierdzącym kubie pełnym klejących się puszek po fasoli, rozkładających się obierków od kartofli i obgryzionych kości kurczaka.

- Nie chciałem, żeby ktoś się dowiedział, co się stało - wymamrotał Nat - więc wyrzuciłem tę kartkę do toalety i spuściłem wodę.

Lottie i Tyler spojrzeli na siebie.

- To było niechący - powiedział niepewnym głosem Nat. Ruby wzniosła oczy do nieba.

- Chyba po raz pierwszy w życiu spuściłeś bez przypominania wodę.

To było zbyt prawdziwe, żeby wydało się komukolwiek zabawne. A więc nie mieli żadnego sposobu, żeby skontaktować się z Mariem.

- Jeśli obiecuję, że będę leżeć w łóżku, czy będę mogła pójść do domu? - zapytała przechodzącą pielęgniarkę.

Pielęgniarka uniosła do góry oczy, dokładnie tak samo, jak przed chwilą zrobiła to Ruby.

- Nie - powiedziała krótko. Och.

- Mam pomysł - wykrzyknęła nagle Ruby. - Amber.

- Juhuu, Amber! - Twarz Nata rozjaśniła się. - Mogłaby się nami zająć. - Chwycił rękę Lottie. - Prawda, mamó? Lubimy Amber!

- Zadzwoń do niej - powiedziała do Tylera Lottie. - Mam jej numer w komórce. A wy trzymajcie kciuki.

Tylera nie było przez dobre piętnaście minut. Kiedy wrócił, nie wyglądał na kogoś, komu ulżyło.

- Nie może.

- O, nie! - Lottie już miała nadzieję, że Amber przybędzie z odsieczą.

- To nie fair - oburzył się Nat. - Dlaczego nie może?

- Jest bardzo zajęta w pracy, nie wie, w co ręce włożyć. Przed świętami ma niekończącą się kolejkę klientek. A wieczorami jeździ po domach.

- A nie moglibyśmy zostać z nią chociaż dzisiaj? - błagała Ruby. - Jest niedziela. Amber nigdy nie pracuje w niedzielę.

- To niemożliwe - powiedział zmęczonym głosem Tyler, przeczesując dłonią włosy. - Dzisiaj Quentin zabiera ją z wizytą do swojej ciotki w Oksfordzie.

A więc tak. Amber była ich ostatnią nadzieją.

- Nie masz się co we mnie wpatrywać - powiedział do Nata Tyler. - Ja wcale tego nie chcę. Ale wygląda na to, że przez następnych kilka dni jesteśmy na siebie skazani. Więc może wykorzystajmy ten czas najlepiej, jak się da.

- Ale nie da się - powiedział Nat. - Nie chcemy, żebyś się nami opiekował. -

- Dla mnie to też jest koszmar - odparował Tyler. - Więc jesteśmy kwita.

- Ta awantura raczej mi nie służy - powiedziała Lottie. Tyler uniósł brwi.

- Więc przestańcie.

Boże! Każde z nich miało swoje za uszami. Teraz wiedziała, jak czują się nauczyciele w szkole w Oaklea, gdy są wzywani do szkolnej bójki.

Na salę weszła energicznym krokiem pielęgniarka.

- Lottie, salowi zaraz zawiozą panią na urografię.
- Musimy się zbierać - powiedział Tyler. Ruby rzuciła na niego podejrzliwe spojrzenie.
- Co z nami zrobisz?
- Zamknę was w garażu.

Kiedy wyszli z sali, pielęgniarka powiedziała z wyrazem twarzy osoby znającej się na rzeczy:

- Mama idzie do szpitala, a tata nie wie, co robić? Większość z nich nie ma pojęcia, jak zajmować się własnymi dziećmi, prawda?

- To nie jest ich ojciec - wyszeptała Lottie. - To mój szef.

- Naprawdę? Boże, szczęściara z pani - powiedziała ciepło pielęgniarka. - To bardzo ładnie z jego strony, że opiekuje się pani dziećmi.

Pojawili się salowi, żeby wywieźć ją na badanie. Lottie przygotowała się na szarpnięcia i wstrząsy, które są nieuniknione w tego rodzaju podróży.

- Proszę mi uwierzyć - powiedziała zmęczonym głosem - nie miał wielkiego wyboru.

Rozdział 63

- Co tu masz? Waży tonę. - Głupie pytanie. Tyler podniósł plecak Nata i rozpiął zamek. Tornister wypakowany był po brzegi... kamieniami.

- Kamienie. Nie mogę zbierać kamieni? - Nat ostentacyjnym gestem zdrapywał przypaleniznę z zakupionych w supermarkecie i przygotowanych przez Tylera Iasagni.

- Jak najbardziej. A mogę wiedzieć, dlaczego?

- Tak robią żołnierze w armii. Są przez to silniejsi. A to jest zupełnie spalone.

Tyler wzniosł się ponad oszczercze oskarżenie Nata.

- Ja powiedziałbym, że jest dobrze wypieczone.
- A ja powiedziałbym, że spalone na węgiel.
- Tak jedzą żołnierze. - Grzebiąc między brudnymi kamieniami, Tyler wyciągnął z tornistra pogniecioną, zabłoconą niebieską kartkę papieru. - Co to?
- List ze szkoły - wymamrotał Nat.
- Kiedy go dostałeś?
- Nie pamiętam. To jest takie twarde!

Tyler zaczął czytać list, napisany przez dyrektorkę szkoły do wszystkich uczniów. List był radosny i tak sprytnie skomponowany, że w pierwszym momencie Tyler dał się ponieść fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa. Zajęło mu kilka sekund, zanim pojął, o co właściwie chodzi i co list nakazuje mu zrobić.

- Jest w pół do dziewiątej wieczorem. Mamy dziś poniedziałek - powiedział wolno Tyler - a tu jest napisane, że wszystkie dzieci mają we wtorek rano przynieść ciasto na kiermasz świąteczny. - Popatrzył najpierw na Ruby, a potem na Nata. - Ale my nie mamy w domu żadnego ciasta, a sklepy są już zamknięte.

- Nie wolno przynieść kupnego ciasta - oznajmił Nat. - Trzeba je upiec.

Świetnie!

- Ruby, ty też masz taki list? - Nie.
- Chociaż tyle - odetchnął z ulgą Tyler.
- Miałam, ale chyba zgubiłam - dodała usłużnie Ruby.
- Więc co się stanie, jeśli zjawicie się jutro w szkole bez domowego ciasta?

Dzieci popatrzyły na siebie z oburzeniem.

- Musimy mieć ciasto. Albo będziemy mieli kłopoty.

Tyler czytał dalej. Wszyscy rodzice i opiekunowie, sugerował radosnym tonem list, powinni wziąć udział w kiermaszu świątecznym we wtorek wieczorem i posłuchać kolęd śpiewanych przez uczniów klasy piątej, ubranych w odświętne wiktoriańskie stroje.

Tyler odwrócił się do Ruby.

- W której klasie jesteś? Popatrzyła na niego z pogardą. -
W piątej.

To była stroma krzywa uczenia się. Błędy niedozwolone.

- Śpiewasz jutro wieczorem kolędy?
- Nieważne. Powiem, że nie mogę przyjść.
- A odświętny wiktoriański strój? Skąd go się bierze?
- Trzeba poprosić mamę i ona go zrobi. Ale mama jest w szpitalu - powiedziała Ruby - więc i tak nie pójdziemy na kiermasz. Nie martw się.

Tyler popatrzył na nią. To była pionowa krzywa uczenia się.

- I nawet nie próbuj piec ciasta - dodał Nat. - I tak byś je spalił.

- Co zrobiłeś w nocy?

- Dwadzieścia cztery babeczki.

- Ale dlaczego...? O, Boże! Kiermasz świąteczny! Zupełnie zapomniałam! - Lottie nie mogła uwierzyć, że tak ważna sprawa umknęła jej pamięci. - A Ruby musi mieć... no nic, będą musieli poradzić sobie bez niej.

- Nie, wszystko jest pod kontrolą. Idziemy na kiermasz - powiedział spokojnie Tyler. - Znalazłem sklep w Cheltenham, w którym można wypożyczać stroje na bale przebierańców.

- Nie musisz tego robić - zaprotestowała Lottie.

- Ale ona musi porządnie wyglądać.

- To jest podstawówka w Oaklea, a nie londyńskie Palladium. Może się przebrać za małego ulicznika - odpowiedziała Lottie. - Weź starą parę spodni i obetnij pod kolanami, żeby wyglądały na podarte, i jakąś starą krzywo zapiętą koszulę. Potargaj jej włosy, usmaruj czymś twarz, i gotowe.

- Dobrze - odetchnął Tyler.

- I nie zapomnij wziąć aparatu.

- Dobrze.

- Aha, i zgłosiłam się do pomocy przy sprzedaży ciast.

- W takim razie cię zastąpię.

- Będziesz potrzebował rękawic ogrodniczych.

- Po co? Żeby Nat przestał mnie gryźć?
- Już chyba przestali cię nienawidzić, prawda?
- Niestety nie. Ale radzę sobie, nie przejmuj się.
- A co z Lianą?
- Ona mnie nie nienawidzi.
- Ale chyba ma dosyć. - Lottie ze wszystkich sił starała się, aby jej głos wyrażał troskę.

- Nic na to nie możemy poradzić. - Tyler wyciągnął z kieszeni marynarki pognieciony list i zmienił temat. - Jutro wieczorem Nat ma wystąpić w jasełkach.

- Jasełka... Gra owcę. To łatwe - powiedziała Lottie. - Owiń go w dywanik z owczej skóry i zapnij kilkoma paskami.

- Nat awansował. Charlie Johnson ma grypę, więc twój syn musi przejąć funkcję głównego pasterza. Już dowiedziałem się wszystkiego od jednej z mam, kiedy odwoziłem ich rano do szkoły. - Tyler wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego. - Ręcznik na głowie, wielka koszula, bosa stopy, laska. Nie ma problemu.

Oczy Lottie wypełniły się łzami: nie będzie mogła obejrzeć jasełek z udziałem Nata.

- Nie martw się, dyrektorka nagra wszystko na video - powiedział Tyler. - Mnie też nie wolno tam iść.

- Nie pójdziesz? - zaniepokoiła się Lottie.

- Nat mi zabronił. Mam czekać na korytarzu. - Tyler przerwał. - Oczywiście, że tam będę. Tylko że on nie będzie o tym wiedział.

Kiedy wrócili do Piper's Cottage, czekała na nich poczta. Ruby podniosła leżącą przy wejściu widokówkę.

- W szkole robiliśmy projekt o Australii. To jest Most Sydney Harbour.

Tyler popatrzył jej przez ramię.

- Nieprawda.

- Prawda.

- Nieprawda.

- Prawda!
- Zobacz, co jest napisane z drugiej strony.

Ruby odwróciła kartkę.

- Widzisz? - Tyler wskazał na drukowany napis u dołu kartki. - Most Tyne w Newcastle- upon- Tyne.

- Skąd wiedziałaś? - zapytała poirytowana Ruby.

- Jestem bardzo mądra - uśmiechnął się. - Ale dobrze kombinowałaś, te mosty są bardzo podobne.

- To nie fair - westchnęła Ruby. - Chciałabym wszystko wiedzieć. Nie mogę się doczekać, kiedy będę dorosła i będę wszystko wiedziała najlepiej.

Tyler pomyślał o Lottie, o Lianie, i o wydarzeniach ostatnich kilku miesięcy.

- Wierz mi - powiedział do Ruby w zamyśleniu - bycie dorosłym nie oznacza, że wiesz wszystko najlepiej.

- Ty też popełniasz błędy? - zapytał zachwycony Nat.

Żartował?

- O, tak. Popełniłem wiele błędów. Jak wtedy, kiedy myślałem, że ukradliście mamie ciuchy, gdy ona pływała w jeziorze.

- To nie my - powiedział Nat.

- Oczywiście, że nie wy. Teraz wiem. Ale wtedy szczerze wierzyłem, że to wy. I to był błąd.

- I jak wyrzuciłeś moją przytulankę.

- Wtedy też - zgodził się Tyler. - Mówiłem, że mi przykro.

- Przytulanki i tak są dla małych dzieci. - Nat był teraz dumny z faktu, że kocyk nie jest mu już potrzebny.

- I zabiłeś Bernarda - wtrąciła Ruby, zanim zdążył pomyśleć, że może w końcu mu wybaczą. - To było morderstwo - powiedziała bez ogródek.

- Wiem. Ale naprawdę nie miałem zamiaru go zabić. To był wypadek. - Tyler potrząsnął głową. - Powiedziałem wam, że dorośli też robią błędy.

- W każdym razie - zmieniając temat, Ruby uniosła kartkę - to jest do mamy od Kressidy. Mam przeczytać?

- Nie powinnaś czytać listów, które nie są do ciebie - zauważył Tyler.

- To tylko pocztówka. Każdy może ją przeczytać. To prawda.

- No to czytaj.

Ruby odchrząknęła z powagą i zaczęła czytać: „Newcastle jest wspaniałe. I Tom też. Nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa. Widok z okna restauracji „W Siódmym Niebie” zapiera dech w piersiach - nie chce się wracać na dół. Pozdrowienia, Kress. Psss, mam nadzieję, że u ciebie i Seba wszystko w porządku”. - Ha, ciekawie, co powie, kiedy jej o nim opowiemy.

- Więc ten pan Tom będzie nowym chłopakiem cioci Kress? I będą się całować? - Nat skrzywił się z obrzydzeniem.

Mają szczęście, pomyślał Tyler.

- Gdyby ciocia Kress do niego nie pojechała - ciągnął Nat - zajmowałaby się teraz nami zamiast ciebie.

Tyler stłumił uśmiech.

- No to chyba można powiedzieć, że jej się udało. Czy ktoś zechce mi pomóc w przygotowaniu kolacji?

Nat wyglądał na oburzonego.

- Zaraz zaczyna się mój ulubiony program.

- Im więcej mi pomożecie, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że przypalę jedzenie.

Teraz Ruby wydała z siebie ciężkie westchnienie.

- W takim razie będę musiała ci pomóc. Ale tylko troszkę.

- Dziękuję. - To było drobne zwycięstwo, ale smakowało... naprawdę wspaniale! Gdy Nat pobiegł do salonu, by włączyć telewizor, Tyler wskazał na kartkę od Kressidy.

- To słowo na końcu czyta się P.S., a nie psss.

- Wiem - najeżyła się Ruby.

- Pewnie, że wiesz. - Kiedy się broniła, wyglądała zupełnie jak Lottie. - Właściwie psss bardziej mi się podoba - powiedział Tyler. - Brzmi tak, jakbyś szeptała komuś do ucha jakiś sekret. To dużo ciekawsze niż stare nudne P.S.

Ruby prawie się uśmiechnęła.

- Też tak myślę - pokiwała z aprobatą głową.

Ruby zbiegła po schodach i pognała przez boisko w stronę stoiska z choinkami. Przechyliła głowę na bok i zapytała:

- Widziałeś mnie?

Miała na sobie jedynie strój ulicznika, a każdy jej oddech zamieniał się w mroźnym wieczornym powietrzu w gęstą białą chmurę.

- Widziałem cię. I słyszałem. Wszyscy słyszeliśmy. - Tyler wskazał na innych rodziców stojących przy stoisku, po czym zdjął sweter, który miał przewiązany w pasie. - Byłaś świetna. Może to założysz, zanim złapiesz zapalenie płuc?

- Ale to jest t w o j e ! - Ruby patrzyła na sweter z takim przerażeniem, jakby chodziło po nim stado żywych karaluchów.

- Ale zostawiłaś płaszczyk w domu, prawda? A teraz ci zimno. Na pewno go nie chcesz? Powieszę go na ścianie.

- A słyszałaś, jak śpiewałam solo linijkę w *Pójdźmy Wszyscy do Stajenki*. - zapytała po chwili.

- Jasne, pewnie, że słyszałem. Klaskałem i gwizdałem najgłośniej. - Tyler zamilkł na chwilę. - Ale chyba lepiej będzie, jak nie powiesz mamie, że to robiłem. Na pewno uważa, że wsadzanie paluchów do buzi i gwizdanie to coś, co może zrobić tylko niewychowany Amerykanin.

Ruby popatrzyła na niego z zazdrością.

- Nigdy nie udało mi się tak gwizdnąć. To znaczy tak z palcami w buzi.

- Mogę cię nauczyć, jak to się robi. Nauczyłem się gwizdać, kiedy pracowałem na farmie bydła w Wyoming. - W tej chwili do stoiska podszedł klient poszukujący choinki. Zanim Tyler skończył go obsługiwać, Ruby odeszła do stoiska z gorącą czekoladą, by porozmawiać z koleżankami. Miała na sobie jego sweter. Małe ustępstwo, ale może... może to dobry początek?

- Nie umiem utrzymać na głowie tego głupiego ręcznika. Zjeżdża mi na boki albo spada na oczy!

- Dobrze, dobrze, nie krzycz. Zaraz sobie z tym poradzimy.
- Spóźnię się! - Nat podniósł jeszcze bardziej głos. - Już się zaczyna.

- Stań spokojnie. - Tyler kucnął przed Natem na parkingu, zdjął rękawiczki i opaskę, i zaczął wiązać wszystko od początku. Nat przeskakiwał niecierpliwie z jednej nogi na drugą. Wcześniej odwiedzili w szpitalu Lottie i teoretycznie zostawili sobie dużo czasu na przejazd do szkoły, ale nie przewidzieli, że droga A46 będzie zablokowana przez ciężarówkę, co spowodowało dwudziestominutowe opóźnienie i takie zdenerwowanie Nata, że o mało nie eksplodował w samochodzie.

- Szybciej, szybciej! - poganiał.

- No, dobrze, gotowe. Wyglądasz świetnie. - Tyler poklepał go po ramieniu. - Idź na salę, już się zaczyna.

Nat spojrzał na niego.

- Gdzie będziesz?

- Nie martw się, poczekam w samochodzie.

- Czy to prawda, że pracowałeś na farmie jak prawdziwy kowboj? - zapytał Nat po chwili wahania.

- Oczywiście, że to prawda. - A więc Ruby powiedziała mi o tym. - Umiem nawet zarzucać lasso.

- I głośno gwizdać z palcami w buzi. - Nat przerwał i zamrugał oczyma. - Możesz wejść i popatrzeć, jeśli chcesz.

Tyler uważał, żeby nie okazać żadnych emocji. Ale pomyślał, że zaproszenie na jasełka może być takim samym szczęściem jak wygrana na loterii.

- Naprawdę? - zapytał. - Jesteś pewien, że nie masz nic przeciwko temu?

- Nie. Jeśli tylko chcesz... - wzruszył ramionami Nat i ruszył w stronę wejścia.

- Dzięki! Czy jeśli przedstawienie będzie fajne, mogę zagwizdać na końcu? - zawołał za Natem.

Było zbyt ciemno, żeby mieć stuprocentową pewność, ale Tyler miał nieodparte wrażenie, że Nat uśmiechnął się do niego.

- Możesz - odkrzyknął do Tylera.

Lottie odruchowo pomyślała, że jej stan znowu się pogorszył, gdy w piątkowe popołudnie zobaczyła wchodzących do sali gości. Nat trzymał Tylera za rękę. Pomachał i uśmiechnął się do niej szeroko, wywołując tym razem u matki niemal palpitację serca.

- O, Boże! Nie wiedziałam, że ząb ci się rusza!

- Nie rufał się! Pfwróciłem się na pferwie na boifku i ząb mi fię złamał na pół. - Nat, bardzo dumny ze szpary, wytknął przez nią język. - Ftrafnie bolało, więc panna Bat- fon zadzwoniła na twoją komórkę i Tyler odebrał i pfyjechał i zabrał mnie do dentyfty. A dentyfta dał mi wielki zaftfyk, który okropnie bolał, ale byłem dzielny! Wyrwał mi ząb i ffędzie było pełno krwi!

- Och, Nat! - Lottie przytuliła go, a potem przyjrzała się z niepokojem jego twarzy, szukając śladów emocjonalnej traumy. - A mnie tam nie było!

- Mamo, udufił mnie! Całą buzię miałem potem ftywną. To było fuper! A potem pofedłem do fkoły, chociaż miałem krew na kofuli. - Była to bez wątpienia oznaka bohaterstwa. - A Tyler dał mi funta za to, że byłem odwawny u dentyfty! I zabiera naf jutro na łyfwy, na lodowifko w Brystolu.

- Wielkie nieba! - Lottie ucałowała Ruby i pogłaskała ją po głowie.

- A ja słyszałam, jak panna Batson rozmawiała dzisiaj z Tylerem, kiedy pojechaliśmy go odebrać - wtrąciła się Ruby. - Śmiała się i mówiła, jak to dobrze, że Tyler się nami zajmuje.

Wielkie nieba!

Nat uśmiechnął się szeroko do Tylera.

- Ja tef to widziałem. Wyglądała, jakby chciała cię pocałować!

Lottie zamrugwała - to, co słyszała, było w rzeczy samej zdumiewające.

- Gdyby panna Batson kiedykolwiek próbowała się do mnie zbliżyć - ostrzegł Tyler - wsadziłbym palce do ust i zagwizdał tak przeraźliwie, że popękałyby jej bębenki w uszach.

- Powiedz mamie to drugie - powiedziała do niego Ruby.

- Co drugie? - Lottie czuła się lekko skołowana. Ciemne oczy Tylera zaświeciły się z rozbawienia.

- Panna Batson zachwycła się, jak to miło widzieć twoje dzieci takie szczęśliwe, bo jakiś czas temu związałaś się z człowiekiem, który absolutnie nie nadawał się do opieki nad nimi. Powiedziała, że Bogu dzięki odzyskałaś rozum i że ja jestem zdecydowanie lepszym wyborem. Z którym to stwierdzeniem oczywiście się zgodziłem.

- A ja jej wtedy powiedziałem, że to Tyler był tym człowiekiem, którego nienawidziliśmy, bo był dla nas taki okropny - wypełnił radośnie Nat.

Po raz pierwszy od czasu wypadku Lottie nie miała za złe losowi, że została unieruchomiona na szpitalnym łóżku.

- I co na to panna Batson? - wyszeptała słabym głosem, wyobrażając sobie życzliwą twarz nauczycielki Nata.

- Schyliła się w moją stronę i wyszeptała mi wprost do ucha: „Wie pan, gdybym nie była nauczycielką, ugotowałabym ich w oleju”.

Świat z każdą minutą stawał się coraz mniej rzeczywisty. Fakt, że Nat i Ruby w ogóle rozmawiali z Tylerem, był sam w sobie niewiarygodny, ale myśl, że panna Batson może reagować w ludzki sposób był tym bardziej...

- Tata zadzwonił w nocy - oznajmił obojętnym tonem Nat. Ta informacja wydała mu się daleko mniej istotna niż wiadomość o wybitym mlecznym zębie.

- Zadzwonił? W końcu! - Lottie odetchnęła z ulgą. - Już leci z powrotem?

Ruby potrząsnęła głową.

- Chciał. Ale powiedzieliśmy mu, że nie ma takiej potrzeby. Radzimy sobie bez niego, prawda?

Radzą sobie bez Maria! I z Tylerem! Zrozumienie, co mówi Ruby, zajęło Lottie chwilę czasu. Parę miesięcy temu taka zmiana nastawienia u dzieci byłaby szczytem jej marzeń. Ale to było przed pojawieniem się Liany i jej triumfalnym wkroczeniem w życie Tylera.

- Kochanie, to prawda, że wkrótce mnie stąd wypiszą. Wypożyczę ze szpitala wózek inwalidzki, ale i tak w domu nie na wiele się przydam. Będę potrzebowała pomocy.

- Powiedzieliśmy tacie, że nie mufi pfyjewdzać. - Nat po-
żerał przyniesione przez Tylera winogrona w tempie godnym
stada szarańczy. - Poza tym i tak nie mamy z nim teraz kontaktu.
Pomowemy ci.

- Dziękuję, kochanie. Wiem, że pomożecie. - Lottie po-
gładziła go po wzburzonych lokach i zaczęła się zastanawiać, jak
poradzi sobie na wózku. Drzwi w Piper's Cottage były takie
wąskie, a łazienka taka mała!

- Ty świntuchu! - wrzasnęła Ruby, rzucając w Nata brą-
zową papierową torebką. - Zostały tylko ogonki! Zżarłeś
wszystkie winogrona.

- Nie wucaj tym we mnie! Wolno mi, bo byłem u dentyfty!

Tyler wyciągnął ręce i rozdzielił ich.

- Lodowisko - powiedział spokojnie. - Tak czy nie? Nat i
Ruby popatrzyli na siebie i usiedli na przeciwległych krańcach
łóżka.

- Widzisz? Zaczynam chwytać, o co w tym chodzi - po-
wiedział do Lottie. Wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

- Radzisz sobie jak zawodowiec - powiedziała wzruszona.
Nat szturchnął łokciem Ruby.

- Ale i tak pfpala fyftko, co gotuje - powiedział.

Rozdział 64

- Proszę bardzo - zanuciła pielęgniarka. - Lottie, ma pani
następnego gościa.

Był piątkowy wieczór, a Lottie pogrążona była w czytaniu artykułu na temat kobiety, która urodziła bliźniaki w łazience, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że jest w ciąży. Podniosła wzrok i, zobaczywszy stojącą w nogach łóżka Lianę, doznała bardzo podobnego uczucia.

- Wyglądasz okropnie. - Liana z uwagą przyglądała się żółtym siniakom, tłustawym włosom, bandażowi na nadgarstku i wystającemu spod kołdry gipsowi. - Jak się czujesz?

- Hm... Lepiej, dziękuję. - Lottie odłożyła gazetę.

- I jesteś na pewno zachwycona? - Liana uśmiechała się, ale w taki sposób, że uśmiech nie sięgał jej oczu.

- Przepraszam cię, nie rozumiem.

- No, tak. Przepraszasz, ale nie robisz nic, żeby z tym skończyć.

- Z czym skończyć? - Lottie zaczynała domyślać się, o co chodzi. W końcu było rzeczą oczywistą, że Liana mogła mieć dość. Przez ostatnie sześć dni prawie nie widywała Tylera. Nic dziwnego, że była wkurzona.

- Dobrze wiesz, z czym - powiedziała.

- Rozumiem, ale co innego mogłam zrobić? - Lottie starała się mówić spokojnie i rozsądnie. - Jestem uziemiona w łóżku, a ktoś musi zająć się Natem i Ruby.

- Tylko ciekawe, dlaczego tym kimś musi być mój facet. Rety!

- Wiem, przepraszam. Ale lekarze mówią, że być może już w poniedziałek pójde do domu i będziesz miała mnie z głowy.

- I gdzie będziesz mieszkać? W tym swoim ciasnym, małym domku? - Liana była damą, więc nie prychnęła - tego nie zrobiłaby nigdy w życiu - ale wydała z siebie bardzo podobny odgłos.

Lottie, która uwielbiała swój mały domek, poczuła się dotknięta do żywego.

- Mnóstwo ludzi mieszka w ciasnych, małych domkach i... - zaczęła ze złością.

- A więc Tyler ci nie powiedział? Nie mówił ci, że zamierza was przenieść do Hestacombe House?

- Co takiego? Nie!

Liana ścisnęła metalową poręcz łóżka z taką siłą, że drobne kosteczki u nasady jej palców zrobiły się białe.

- Pokłóciliśmy się wczoraj o to tak, jak jeszcze nigdy w życiu. Nie dał sobie niczego wyperswadować: chodził po parterze z miarką i sprawdzał, czy drzwi będą dość szerokie dla twojego wózka i zastanawiał się, jak zamienić salon w sypialnię - nic innego go nie obchodzi. Dla niego każda wymówka jest dobra, żeby tylko sprowadzić cię pod swój dach. Powiedziałam mu, że mam dość. I że jeśli ty się wprowadzasz, to ja się wynoszę. I zgadnij, jak to się skończyło! Muszę się wynieść!

Lottie zaniemówiła, zbyt zszokowana, by się poruszyć lub cokolwiek powiedzieć. Ale Liana nie przysłała tu słuchać, przysłała z zamiarem wyrzucenia z siebie wszystkiego, co leżało jej na sercu.

- No więc tak to wygląda. Wygrałaś. - Przechyliła na bok głowę. - Założę się, że nie możesz uwierzyć we własne szczęście, co? Bo powiem ci, że za diabła nie mogę tego zrozumieć. Przecież to ja na niego zasługuję. Jestem piękna, wszyscy mi to mówią. Noszę rozmiar 34. Jestem inteligentna i staram się być miła dla ludzi. Lubią mnie. Umarł mi narzeczony, co oznacza, że już dość wycierpiałam. Boże, jeśli ktoś zasługuje na szczęście, to właśnie ja.

Wypowiadała te słowa suchym, trzeszczącym głosem, jakby ktoś łamał suche patyki. Liana nie mogła pojąć, dlaczego została odrzucona, tym bardziej, że przegrała z kimś, kto ważył dwadzieścia kilo więcej od niej. Chyba, że - przemknęło przez głowę Lottie - chyba, że wcale nie przegrała. Może Tyler, chcąc się pozbyć Liany, używał jej tylko jako narzędzia. Lottie wzdrygnęła się. Z drugiej strony, jak dobrze, że pomyślała o tym teraz, zanim rzuci mu się bezmyślnie w ramiona.

- Tylko popatrz na siebie. - Chcąc samej sobie dowieść, że ma rację, Liana wskazała ruchem dłoni na Lottie, ubraną w

czerwony szlafrok, na którego froncie połyskiwał przypięty przez Ruby znaczek z napisem: „Wracaj do zdrowia!” - Włosy masz w kompletnym nieładzie. Pochłaniasz węglowodany w nieprawdopodobnych ilościach.

- Ilości, które ty pochłaniasz, też są nieprawdopodobne - odparowała odruchowo Lottie, próbując obrócić słowa Liany w żart. Ale Liana miała kiepskie poczucie humoru.

- Nie chcę być niegrzeczna - powiedziała, potrząsając głową. - Chodzi tylko o to, że nic z tego nie rozumiem. Bardzo o siebie dbam. Wydaję fortunę, żeby utrzymać ciało w absolutnie idealnej kondycji. A ty nie.

- A ja nie - zgodziła się Lottie.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie? Czy kiedykolwiek w życiu miałas robiony profesjonalny pedicure?

Lottie popatrzyła na palce u swoich stóp, pomalowane dzień wcześniej przez Ruby tanim różowym lakierem. Ruby zrobiła to z wielką czułością i przejęciem, ale z pewnością niezbyt dokładnie.

- Nie, nie miałam.

- I twoje ciuchy... Czasami masz na sobie dziwne rzeczy. Nigdy nie dobierasz dodatków.

- Przepraszam. - Lottie robiła wszystko, żeby się nie roześmiać.

- Ale nikogo to nie obchodzi! To właśnie mnie wkurza. Jesteś samotną matką z dwójką małych dzieci - to powinno być dla każdego najbardziej zniechęcające. A twój ostatni facet był narkomanem, co wiele mówi o twojej roztropności.

- Chwileczkę, to nie fair - przerwała jej urażona Lottie. - Nie wiedziałam, że...

- Hej, nie obrażaj się. - Liana uniosła w górę rękę. - Nie rozumiesz? Nie masz się po co bronić, bo to, czy się pomylisz, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. I tak każdy ci wybacza. - Przerwała. - A ja nigdy nie robię żadnych głupich rzeczy i dbam o siebie, wydaję na jedną parę butów więcej, niż ty wydajesz na

ubrania przez cały rok, ale gdy przychodzi co do czego, to w rezultacie woła ciębie.

Cudownie było znów zobaczyć Amber, a jeszcze cudowniejsze było to, że Amber przywiozła ze sobą nożyczki. Od trzech dni, od momentu wyjścia ze szpitala, Lottie uczyła się manewrować wózkiem po parterze Hestacombe House. Teraz, chcąc się popisać swoimi umiejętnościami, wjechała do salonu trochę za szybko i otarła kłykcie lewej ręki o framugę drzwi.

- Musisz sobie przyczepić tabliczkę z dużym L. W końcu taka jazda też wymaga nauki. - Jak tylko Lottie nacisnęła na hamulec, Amber zarzuciła jej na ramiona ręcznik i wyjęła grzebień i nożyczki. - Nie mogę uwierzyć, że tyle wydarzyło się przez ostatnie dziesięć dni. Ty w szpitalu, a dziećmi opiekuje się Tyler. Wiesz, kiedy wybiegli mnie przywitać przed dom, zwróciłam uwagę, że mówią z lekkim amerykańskim akcentem. - Uśmiechnęła się, zabierając się do strzyżenia mocno przzerośniętej fryzury Lottie. - Pamiętaj, że naśladownictwo jest największym pochlebstwem. Skoro to robią, to znaczy, że podbił ich całkowicie.

- To prawda. A Liana wróciła do Ameryki. - Lottie wpatrywała się w choinkę i słuchała uspokajającego szcęknięcia nożyczek. Drugim powodem, dla którego tak ucieszyła się z przyjazdu Amber, była potrzeba wygadania się przed jakąś przyjaciółką.

- A więc wszystko się poukładało i wreszcie jesteście z Tylerem razem! Sześć cali, czy trochę więcej?

Lottie była trochę zaskoczona. To się nazywa konkretna rozmowa - Amber nie traciła czasu na owijanie sprawy w bawełnę.

- Hm, jeszcze go nie...

- To znaczy sześć cali, kiedy są skręcone. Kiedy je wyprostujesz, będą dłuższe. - Amber rozciągnęła dłoń jeden kosmyk. - Widzisz? Jak sprężyna. Tak szybko urosły, że lepiej będzie więcej ściąć.

- Dobrze. Tnij. - Lottie zrobiła zawiedzioną minę. -
Przepraszam, myślałam, że mówisz o czymś innym.

- Dobrze wiem, o czym myślałaś, ladacznico. A skoro o tym
wspominasz, to niech to będzie moje następne pytanie.

- Możesz pytać, ale ja i tak ci nie odpowiem.

- Nie powiesz mi? To nie było trzeba zaczynać! - Amber
chwyciła pełną garść włosów Lottie. - Poczekaj, zaraz ci to
wszystko obetnę.

- Nie powiem ci - powiedziała pośpiesznie Lottie - bo nie
jesteśmy z Tylerem w taki sposób.

- Och, przepraszam. Lekarz zabronił, jak przypuszczam?
Słusznie. Skoro dopiero co wyszłaś ze szpitala, nie możesz od
razu...

- Chodzi mi o to, że ja i Tyler w ż a d e n sposób nie jeste-
śmy ze sobą. Jest moim szefem. Zatrudnia mnie. - Lottie za-
mrugała, bo ścinek włosa oparł się na jej rzęsach. - Nic więcej.

Amber przestała ciąć i obeszła fotel, żeby popatrzeć na
Lottie.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Amber zastygła w bezruchu.

- Ale... dlaczego? - zapytała w końcu.

- Nie wiem!

- Nic nie powiedział?

- Nie! - krzyknęła Lottie.

- Pytałaś go?

- Nieee!

- Dobrze, dobrze, popękają mi bębenki. - Amber
zmarszczyła brwi. - Ale cały czas wydawało mi się, że on za
tobą szaleje.

- Mnie też!

- I że jedyną rzeczą, która powstrzymuje was od bycia
razem, jest niechęć Nata i Ruby. Tylko że oni go teraz uwielbiają.
A Liana i Seb zniknęli z pola widzenia, więc wszystko powinno
działać, jak należy.

- No właśnie.
- Więc dlaczego tak nie jest?
- Chcesz wiedzieć, co myślę? - Lottie z trudem wypowiedziała te słowa. - Myślę, że zmienił zdanie.

- Dlaczego?
- Bo Tyler nie jest facetem, który by się czaił. Gdyby miał coś do powiedzenia, dawno by to już powiedział. Miał milion okazji i nie zrobił tego. Zachowuje się, jakbyśmy byli bratem i siostrą. Pomaga mi, pozwalając tutaj mieszkać, ale to nic nie znaczy. - Lottie bawiła się bandażem na nadgarstku. - Myślę, że jakiś czas temu mu na mnie zależało, ale to uczucie minęło. Tak, jakbyś kupiła parę najlepszych dżinsów na świecie i kochała je tak bardzo, że nigdy byś ich nie zdejmowała. - Przerwała. - A po paru tygodniach stwierdziła, że właściwie nie są wcale nadzwyczajne.

- Nie mogę uwierzyć, że z nim o tym nie porozmawiałaś - powiedziała trzeźwo Amber.

Lottie też nie mogła w to uwierzyć. To nie było w jej stylu. Ale miała tyle do stracenia, że bała się wykonać jakikolwiek manewr. Bała się, że wszystko zepsuje.

- Nie potrafię. A poza tym, popatrz na mnie. - Wskazała na gips, na ciągle posiniaczony nadgarstek i wózek inwalidzki. - Nie bardzo mogę się na niego rzucić. Przydusić go do ziemi i zmusić, żeby zmienił zdanie. Jak nie będę się odzywać, to zachowam resztki godności.

- Więc jak długo tu zostaniesz? - Amber wróciła do strzyżenia.

- Jeszcze parę dni. Jak tylko nadgarstek się podleczy, będę mogła poruszać się o kulach. Wtedy wrócimy do domu. - Chcąc zmienić temat, Lottie pomachała ręką. - Wystarczy o mnie. Jak się układa między tobą i Quentinem?

- O, super. Naprawdę wspaniale. Ostatnio prawie nie wychodzę z pracy, ale on nigdy nie narzeka - powiedziała radośnie Amber. - Wczoraj wróciłam do domu o dziesiątej, a on

czekał z prawdziwym domowym obiadem. Możesz w coś takiego uwierzyć?

- Mario nigdy by tego nie zrobił - powiedziała Lottie.

- Wiem. Na tym polega różnica. - Turkusowo- srebrne kolczyki Amber zatańczyły w powietrzu, kiedy potrząsnęła głową. - Quentin bardzo się stara. Mogę mu całkowicie zaufać. Bardzo o mnie dba... Zależy mu tylko na tym, żebym była szczęśliwa.

- Tak, ale czy potrafi cię rozśmieszyć? - zapytała sceptycznie Lottie.

- Lepiej nie zaczynaj. - Amber skierowała w stronę Lottie ostrze nożyczek. - Bo pobiegnę do biura i zapytam Tylera, dlaczego cię nie podrywa. Powiem mu, że umierasz z miłości do niego i że chcesz...

- Nie zacznę! - Lottie pośpiesznie uniosła obie ręce w geście kapitulacji.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- To dobrze.

- Chcę tylko wspomnieć o jednej drobnej sprawie, jeśli można.

- O czym? - Amber popatrzyła na nią podejrzliwie, zwiężając oczy.

- Wczoraj zadzwonił do mnie Mario. Nie spał z nikim przez całe wakacje. Z ani jedną dziewczyną. Nie miał ochoty - powiedziała Lottie.

- On tak mówi.

- Ale to prawda, bo przede mną nie musi kłamać - zauważyła Lottie. - W zasadzie mniej bym się martwiła, gdyby sypiał ze wszystkimi, tak jak kiedyś. Ale zaczynam się o niego niepokoić. Mario nigdy w życiu nie żył w celibacie. Wiesz, naprawdę myślę, że powinnaś...

- Nie kończ! - Amber stuknęła ją boleśnie w głowę metalowym grzebieniem. - Nie dbam o to, co myślisz. Mam Quentina i on mi daje szczęście. Bardzo dziękuję.

- Może zwrócisz uwagę na fakt, że jestem już dosyć obolała.
- Rozcierając dłonią głowę, Lottie przypomniała sobie poniewczasie złotą zasadę: nie denerwuj swojego fryzjera przed końcem strzyżenia. Może fakt, że Quentin nigdy jej nie rozśmieszył, nie miał dla Amber żadnego znaczenia?

Rozdział 65

Kiedy podczas odlotu ogłaszano kolejne opóźnienia, pasażerowie jeden po drugim wpadali we wściekłość. Teraz, kiedy w końcu dotarli do domu, nastrój w grupie bardzo się poprawił. Samolot wylądował z dziewięciogodzinnym opóźnieniem, ale przecież udało im się w końcu wrócić do Bristolu. I dzięki Bogu.

Jedynym wyjątkiem na pokładzie był Mario, któremu było w zasadzie wszystko jedno. Z jego punktu widzenia lotnisko czy samolot były takimi samymi miejscami na spędzenie wolnego czasu, jak każde inne. Na cóż miał wyczekiwać? Może jedynie na spotkanie z Natem i Ruby. Na nic więcej.

Ściągnął bagaż z taśmy i przepychając się przez kłębiący się na lotnisku tłum, podreptał w stronę odprawy paszportowej. Skończyła się nawet zabawa w chowanie alkoholu w walizce i przemykanie go przez odprawę celną, bo teraz można przecież przewieźć tyle butelek, ile się zapragnie. Cholerna Unia Europejska.

Szklane drzwi otworzyły się bezszelestnie i Mario znalazł się w hali przylotów, udekorowanej świątecznie i wciąż wypełnionej tłumem ludzi, mimo że było już po północy. Przy stoliku w kawiarni kilka zakonnic popijało herbatę z termosu, grupy powracających podróżnych były witane okrzykami zachwytu przez rodzinę i przyjaciół, a na ławce spała dziewczyna w wełnianym kapeluszu. W pierwszej chwili Maria przeszył dreszcz, bo pod wełnianym kapeluszem kryły się jasne włosy, zupełnie jak u Amber. Ale przyzwyczał się już do tych dreszczy. Na wakacjach kilka razy dziennie dostrzegał kogoś na ulicy i na ułamek sekundy zamierało w nim serce, bo wydawało mu się, że

to Amber. Dziewczyna miała na sobie ciuchy w stylu Amber i to właśnie przykuło jego uwagę: krótka marszczona ciemnoczerwona spódniczka, świecący różowy sweter i kapelusz i szal we wszystkich kolorach tęczy. Na nogach miała różowe kowbojskie buty, zauważył Mario, zbliżając się do ławki. Wiedział, że to nie będzie ona, ale musiał się upewnić.

Ale to była ona. Boże, to była ona!

Mario przestał oddychać. Patrzył z góry na Amber, śpiącą z głową wspartą na ramieniu i tulącą do siebie wyszywaną cekinami torebkę. Co ona tutaj robi? Jeśli czeka na tego cholernego Quentina, to on... to on... Jezu, czy to się dzieje naprawdę, czy może śni o Amber, leżąc na ławce w hali odlotów w Palma?

Wyciągnął rękę, dotknął jej ramienia i potrząsnął nim niepewnie. Amber otworzyła oczy, a on cofnął rękę, jakby miał do czynienia z warczącym rottweilerem. Świetnie. Bardzo po męsku. I co teraz powinien powiedzieć, skoro już ją obudził?

- Jedziesz na wakacje? - Mario nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Żałosne.

- Amber popatrzyła na niego. - Nie.

- Och.

- Która godzina? Spojrzał na zegarek.

- W pół do pierwszej.

- Ze wszystkich samolotów na świecie - powiedziała cicho Amber - ty musiałeś być w tym ostatnim.

Mario nie śmiał rozbudzać w sobie nadziei.

- Spóźnił się. Mieliśmy przylecieć dziewięć godzin wcześniej. Był jakiś problem z jednym z silników, potem myśleli, że już go naprawili, ale okazało się, że nie. Potem udało się wszystko wyreperować, ale zanim wyznaczyli nam kolejną godzinę odlotu, minęło jeszcze trochę czasu.

- To u ciebie typowe - powiedziała Amber.

- Czekasz tu od trzeciej? - Mario był zmuszony zadać to pytanie, ale wciąż nie pozwalał sobie na choćby iskierkę nadziei.

- Nie. - Amber usiadła wyprostowana i ściągnęła kapelusz. Milczała kilka sekund. - Czekam od szóstej rano.

- Dlaczego? - Mario przygotował się na jakąś złą wiadomość.

- Dlaczego? Bo Lottie nie wiedziała, o której przylatujesz, więc musiałam przyjechać jak najwcześniej, żeby nie przegapić żadnego samolotu. Ale nie udało mi się, prawda? - dodała rozdrażniona. - Zasnęłam, i to na jakiejś głupiej metalowej ławce. Mogłeś przejść obok, w ogóle nie zauważywszy, że tu jestem. Zmarnowałabym cały ten czas i nie doczekałabym się.

Mario oddychał powoli.

- Nie sądzę, żebym mógł kiedykolwiek przejść obok ciebie i cię nie zauważyć. To jest po prostu niemożliwe. I proszę, powiedz mi, o co chodzi. Bo w tej chwili próbuję znaleźć...

- Co? Kanapkę z kiełbasą? - Amber uniosła brwi, patrząc na gestykulującego bezradnie Maria. - Obligacje pożyczki premiowej? Wosk do polerowania mebli?

- Właśnie. Wosk do polerowania mebli.

- Przecież dobrze wiesz, o co chodzi. I powiem ci, że to wszystko wina twojej wścibskiej byłej żony - Amber zamilkła na chwilę. - Jak było na wakacjach?

- Okropnie. Uśmiechnęła się.

- To w takim razie dobrze, że nie pojechałam z tobą.

- Gdybyś pojechała, nie byłoby okropnie. - Mario wyciągnął rękę i postawił ją na nogi. - Gdzie jest Quentin?

- To już skończone. Powiedziałam mu wczoraj.

- Na pewno przyjął to spokojnie. Tak, jak przyzwoity człowiek powinien to zrobić.

- Tak - kiwnęła głową Amber. - Bo to jest przyzwoity człowiek.

- Ale?

- Ale to nie wystarczy. Cholera, on po prostu nie jest tobą.

To były słowa, które chciał usłyszeć. Serce waliło mu w piersi.

- Czy to znaczy, że ja jestem nieprzyzwoity?

- Nie przechwalaj się. Boże - jęknęła Amber. - Martwię się, że będę tego gorzko żałować.

Tak bardzo ją kochał.

- Nie będziesz. Obiecuję. Spojrzała na niego groźnie.

- I lepiej dotrzymaj tej obietnicy. Ostrzegam cię teraz, że jeśli kiedykolwiek mnie oszukasz, to przysięgam, że...

- Nigdy cię nie oszukałem - ubiegł ją Mario. Bo przecież koszmarny numer z Gemmą się nie liczył - to się wydarzyło po odejściu Amber. - I nigdy tego nie zrobię. Przepraszam, że ci przypominam, ale to ty się ze mną bawiłaś i wyjechałaś na wakacje z innym facetem. Żeby go przetestować, zanim zdecydujesz, czy wolisz jego, czy mnie. I na dodatek miał na imię Quentin.

- Masz rację. Przepraszam. To było podłe z mojej strony. - Amber potrząsnęła głową. - Przysięgam na życie, że już nigdy czegoś takiego nie zrobię.

Mario zamilkł i dotknął jej twarzy. Musiał w duchu przyznać, że robiąc to, miała rację. Po raz pierwszy w życiu poczuł, jak to jest, gdy ktoś cię oszukuje i porzuca. Ostatnie tygodnie były dla niego swego rodzaju objawieniem. Gdyby ktoś chciał ująć rzecz w sposób sentymentalny, mógłby nawet stwierdzić, że to doświadczenie zmieniło go na lepsze. Ale nie miał zamiaru mówić tego Amber. Nie był taki głupi.

- Chodź, pojedziemy do domu. Muszę tylko znaleźć parkomat.

- Masz tu swój samochód? - Amber była rozczarowana. - Nie wiedziałam, że przyjechałeś autem. Ja też mam samochód.

Mario przytulił ją do siebie i żarliwie pocałował.

- Cii. Nie masz pojęcia, jak za tobą tęskniłem.

- Chyba mogę się domyślić - powiedziała zaróżowiona, z trudem łapiąc oddech. - I zachowuj się, tu są zakonnice.

Mario i tak nie miał ochoty na pięćdziesięciomilową przejażdżkę z Bristolu do Hestacombe.

- W takim razie lepiej będzie, jak znajdziemy jakiś hotel i wynajmiemy pokój.

Rozdział 66

- A niech to szlag! - krzyknęła Lottie, tracąc równowagę. Przewróciła się i upadając, rozbiła w drobny mak świąteczny stroik, który pieczołowicie układała przez ostatnie dwadzieścia minut.

Otworzyły się drzwi i wszedł Tyler.

- Wszystko w porządku?

- Cudownie! Naprawdę, nie może być lepiej. - Siedząc na podłodze, Lottie wskazała na porzrzucone gałązki ostrokrzewu, pęki różnokolorowego bluszczu i sosnowe szyszki. - Przed chwilą kominek wyglądał jak marzenie, jak obrazek w żurnalu, ale oczywiście wszystko zepsułam.

- Chodź. - Schylił się i pomógł jej stanąć na nogi, a ściśle mówiąc, na nogę, i posadził ją z powrotem na wózku. Czuła się jak marudny niemowlak, który właśnie uczy się chodzić.

- Ten ostrokrzew do niczego się nie nadaje - jęknęła, patrząc na rozrzucone na dywanie czerwone jagody. - Wszystkie owoce opadły. Nie mogę udekorować kominka gołymi patykami. To wszystko nie ma sensu. - Boże, teraz naprawdę zachowywała się jak rozkapryszony dzieciak. Nic dziwnego, że Tyler tak właśnie ją traktował.

- Chcesz, żebym poszedł i przyniósł świeże gałęzie?

- Nie wiesz, z których drzew ścinać. Nie chcę więcej takich bezużytecznych wiechci.

- OK. - Tyler obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju. Przeklinając siebie i swoje hormony, Lottie rzuciła szyszką w kominek. Była ostatnia niedziela przed Bożym Narodzeniem, a stwierdzenie, że między nią a Tylerem nic się nie układało, było daleko posuniętym eufemizmem. W wózku, czy bez wózka, nie mogła dłużej mieszkać w Hestacombe House. Powinna wrócić do domu.

Drzwi otworzyły się ponownie i Tyler rzucił jej czarny sweter i kremową kamizelkę ze sztucznego futerka.

- Włóż to - powiedział. - Na zewnątrz jest zimno.

- Tak? - Udując zdziwienie, Lottie popatrzyła przez okno salonu na pokryty szronem ogród. - A ja myślałam, że mogę założyć bikini.

- Jak będziesz tak ze mną rozmawiać, to założysz.

- Nie mogę ubrać tych dwóch rzeczy razem. To kremowe futerko strasznie linieje.

Pchając wózek dość szybko przez hol, Tyler sięgnął ponad jej ramieniem, wyjął jej z ręki kamizelkę i rzucił ją na ziemię.

- Wielkie dzięki. Teraz będzie cała brudna.

- Przeszanieś jęczeć? Chcesz ten ostrokrzew, czy nie? Zatrzymali się raptownie na wypolerowanym parkiecie

w korytarzu. Minęła dobra chwila, zanim Lottie udało się wcisnąć w wełniany sweter i naciągnąć go na kusą podkoszulkę. Wystawiła głowę przez otwór swetra i powiedziała:

- Na co czekasz? Jedźmy.

Na zewnątrz słońce roztopiało zamrożone w nocy kałuże. Każdy wydech Lottie pozostawiał za nimi ślad w postaci białego obłoku pary. Wózek gwałtownie podskakiwał na wiodącej do jeziora ścieżce, ale Lottie nie śmiała narzekać z obawy, że jeśli przebierze miarkę, zostanie brutalnie zrzucona na zamarznąłą ziemię i pozostawiona, by umrzeć z wyziębienia.

- Nie ten - machnęła lekceważąco ręką w kierunku najbliższego rosnącego ostrokrzewu. - Tu urwałś poprzednie gałązki. Spróbujmy tutaj - wskazała na drzewo rosnące tuż nad brzegiem jeziora.

Tyler bez słowa skierował wózek w stronę plaży. Widząc ich, łabędzie podpłynęły bliżej, ale zorientowawszy się, że przybyli nie mają przy sobie nic do jedzenia, szybko straciły zainteresowanie. To tak jak Tyler i ja, pomyślała Lottie, kiedy ten uniósł ręce w poszukiwaniu odpowiedniej gałązki. Hm, czy to, co widzę, to sekator w jego kieszeni, czy może objaw radości, że jesteśmy razem? Nie, to tylko sekator.

Patrzyła, jak Tyler ścina sporą gałąź ostrokrzewu i potrząsa nią, by sprawdzić, czy jagody mocno trzymają się szypulek.

Podał gałąź Lottie. Spojrzała na pokryte szronem, błyszczące liście.

- Wiesz, co? Daj sobie spokój. Chyba pojedę do domu. Pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Nie bądź takim mięczakiem. To nam zajmie mniej niż pięć minut.

- Chcę powiedzieć, że nie ma sensu, żebym dekorowała ten pokój. Powinnam wrócić do swojego domu.

Zrobiła głęboki wydech. A więc w końcu to powiedziała. Tyler przyglądał jej się spokojnie.

- Dlaczego? - zapytał.

- Bo już dość długo ci się narzucamy. Za parę dni święta. Od dwóch tygodni znosisz obecność moich dzieci, i pewnie niczego bardziej nie pragniesz niż odrobiny spokoju.

- Czy to jest prawdziwy powód?

Nie, miała ochotę wykrzyknąć mu prosto w twarz Lottie. Oczywiście, że to nie jest prawdziwy powód. Ale przecież nie mogę ci powiedzieć, o co naprawdę chodzi, prawda? Chyba, że mogę? O Boże, mogę?

Tyler wpatrywał się w jej twarz. Ku swojemu przerażeniu usłyszała, jak mówi:

- Widzisz, czuję się strasznie zagubiona. Chodzi o to, że w lecie wydawało mi się, że mnie lubisz. Nawet nie wiem, czy jeszcze to pamiętasz. Wszystko się między nami układało, aż do momentu, gdy Nat i Ruby zwrócili się przeciwko nam i zgodnie stwierdziliśmy, że musimy przestać się spotykać.

- Mów dalej - powiedział Tyler.

Mówić dalej? Dobry Boże, czy nie powiedziała już dość? Ale słowa wylewały się z jej ust w sposób niekontrolowany, jakby ktoś dal jej wcześniej do wypicia eliksir prawdy.

- Więc w porządku, jesteśmy dorośli, wiedzieliśmy, że nie mamy wyboru. Spotkałam kogoś innego, a potem pojawiła się Liana, ale cały czas miałam świadomość, że w głębi serca bardzo mi na tobie zależy i myślę, że miałam nadzieję, że tak samo jest z tobą.

- I? - Tyler pytająco uniósł brew.

- I? - powtórzyła zdenerwowana Lottie. - Oni zniknęli. Oboje. A tobie, w jakiś niezrozumiały dla mnie, cudowny sposób, udało się podbić serca moich dzieci. A to oznacza, że nie ma w zasadzie żadnego powodu, dla którego nie moglibyśmy... hm...

- Czego nie moglibyśmy?

Wydawał się być umiarkowanie zainteresowany jej wywodem. To było okropne. Po prostu straszne. Zawstydzona Lottie powiedziała ze złością:

- Słuchaj, próbuję ci powiedzieć, że jeśli ktoś przestaje ci się podobać, to byłoby miło, gdybyś mu o tym powiedział, a wtedy ten ktoś nie będzie marnował czasu na zastanawianie się, czy ci się ciągle jeszcze podoba, czy nie.

Tyler pokiwał głową, przyjmując to stwierdzenie do wiadomości.

- Masz rację - powiedział w końcu. - To brzmi sensownie. Dobrze, zrobię tak, jak mówisz.

Lottie czekała z palcami zaciśniętymi na uchwytach wózka. Długo czekała. Niemal przestała oddychać. W końcu, umierając z niepokoju, wymamrotała:

- Nic nie mówisz.

- Wiem - wzruszył ramionami Tyler, a Lottie odniosła wrażenie, że wokół jego ust błąka się z wysiłkiem tłumiony uśmiech.

- To na pewno dlatego, że nie przestałaś mi się podobać.

Całe szczęście, że Lottie nie mogła chodzić!

- Czy mam rozumieć, że ty ciągle jeszcze...?

- O, tak. - Tyler pokiwał głową, tym razem uśmiechając się szeroko. - Ja z całą pewnością ciągle jeszcze... - Zamilkł.

- Teraz twoja kolej. Czy ty też ciągle jeszcze...?

- Ty gnojku! - Lottie rzuciła w niego gałęzią ostrokrzewu, która leżała na jej kolanach. - Ty parszywy gnojku! Wiesz, że tak!

- Miałem taką nadzieję. Tak mi się wydawało. Ale nie miałem pewności. Nie dawałaś niczego po sobie poznać - zauważył.

- To dlatego, że ty nic nie mówiłeś! - Zerwała się z wózka i, wyprowadzona z równowagi, zaczęła skakać po plaży na jednej nodze. - To ty nie dawałeś niczego po sobie poznać! Myślałam, że już cię nic nie obchodzi, więc nie chciałam robić z siebie kompletnej idiotki! - Pokrzykując, straciła równowagę i zachwiała się, o mały włos nie upadając na twardą ziemię. Tyler pochwycił ją w ostatniej chwili. Podświadomie bardzo chciała, żeby to zrobił.

- Broń, Boże - powiedział, przeciągając samogłoski - żebyś kiedykolwiek zrobiła z siebie kompletną idiotkę.

Pachniał fantastycznie, tak, jak pamiętała. Ciepło jego ciała przyciągało ją jak magnes, ale wciąż nie знаła odpowiedzi na wszystkie pytania.

- Miałaś zamiar kiedykolwiek coś w tej sprawie zrobić? - Oczy Lottie błyszczały z oburzenia i z pożądania. - To znaczy, czy gdybym nie powiedziała dzisiaj tego wszystkiego, dalej zachowywalibyśmy się tak, jak przez ostatnie dwa tygodnie?

- Nie. - Tyler w zamyśleniu potrząsnął głową. - Oczywiście, że w końcu bym coś powiedział. Ale nie chciałem kolejnego falstartu.

Kolejnego falstartu?

- Zwariowałaś? - krzyknęła Lottie. - Tak bardzo czekałam na ten falstart, że, jak widzisz, sama pierwsza wyskoczyłam z bloków startowych.

- Rozumiem, ale tu przecież nie chodzi tylko o ciebie i o mnie. - Znowu popatrzył na nią w ten denerwująco enigmatyczny sposób.

- Nie? - Wnętrznosci zadrżały jej ze strachu. - A o kogo jeszcze? - Wyobraźnia podsunęła jej obraz lecącej z powrotem Liany.

- Trzeba wziąć innych pod uwagę. Na przykład dwie dość ważne osoby...

Ach, o to chodzi!

- Masz na myśli moje dzieci? Przecież cię kochają.

- Kochają mnie od dziewięciu dni. No, może od dziewięciu i pół - wzruszył ramionami Tyler. - Ale wcześniej nienawidziły mnie z całego serca. Kto wie, czy jutro znowu nie zmienia zdania?

- Nie zmieniają. Zawojowałeś ich całkowicie - wykrzyknęła Lottie. - A to oznacza, że możemy być razem.

- Mam nadzieję. Ale i tak uważam, że lepiej ich zapytać, jak się na to zapatrują, niż stawiać ich przed faktem dokonanym.

- Bardzo rozsądnie. Chyba masz rację. Zapytamy ich, jak tylko wrócą. - Mario i Amber zabrali dzieci na zakupy świąteczne do Cheltenham. Lottie popatrzyła na zegarek. - Będą w domu za kilka godzin - powiedziała i wzdygnęła się. - Rety, co będziemy robić do tego czasu?

- Przestań. - Tyler zdjął z siebie jej wędrujące po jego koszuli dłonie. Nie zdążyła rozpiąć nawet jednego guzika. - Najpierw musimy uzyskać ich zgodę.

Chyba trochę przesadza!

- To moje dzieci - zaprotestowała na głos. - Uwierz mi, nie będą miały nic przeciwko temu.

- Wszystko jedno. - Tyler wyjął z kieszeni kurtki telefon i podał go Lottie. - Zadzwoń do Maria - powiedział.

- Do Maria?

- Spytaj, czy już ich zapytał.

- To znaczy, że ty...?

- Zrób to - powtórzył Tyler.

Zdumiona Lottie wystukała na klawiaturze numer Maria. Kiedy odebrał, powiedziała:

- Tyler prosi, żebym cię spytała, czy już ich zapytałeś. - Odpowiedź zajęła Mariowi jedną chwilę. - OK, dzięki - odpowiedziała i rozłączyła się.

- I co?

- Zapytał. Powiedzieli, że spoko!

- Spoko? - Uśmiech rozjaśniał powoli twarz Tylera i wędrował w stronę jego oczu. - Co za ulga! „Spoko” to więcej, niż się spodziewałem.

- Widzisz? Wiedziałam, że nie będą się sprzeciwiać. -
Lottie z radością zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. -
Zawsze mam rację.

Tyler odwzajemnił pocałunek z taką siłą, że zadrżała od stóp do głów.

- Jedno małe słówko rozwiązuje wszystkie nasze problemy -
powiedział. Lottie oderwała się od niego i zaczęła skakać z
powrotem. - Co robisz?

- Zabierzesz ornie teraz do domu - oznajmiła, siadając w
wózku. - Tu jest trochę za zimno na to, co mam na myśli.

- Naprawdę? Cóż, w takim razie... - Tyler obrócił wózek w
kierunku domu. - Spoko - dokończył z uśmiechem.